

EDUARDO ROCA

WARSZTAT KSIĄZEK
ZAKAZANYCH



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

EDUARDO ROCA

WARSZTAT KSIĄZEK
ZAKAZANYCH

Z hiszpańskiego przełożyła
ELŻBIETA RZEWUSKA



Wydanie elektroniczne

O książce

Powieść historyczna o początkach nowoczesnego druku osadzona w XV-wiecznej Kolonii. Czytelnik znajdzie w niej wszystkie elementy średniowiecznej intrygi: zdrady, morderstwa, walkę o władzę, rodzinne tajemnice, zemstę, miłość i zakazane związki. Bestseller w Hiszpanii.

Kolonia, pierwsza połowa XV wieku. Na straży dostępu do wiedzy stoi cenzura kościelna. W gestii hierarchów znajdują się wszystkie skrytoria, zaś przepisywane tam księgi muszą być zgodne z nakazami Kościoła. Nieliczną grupę uczonych i profesorów Uniwersytetu Kolońskiego, spotykających się potajemnie, łączy jedno pragnienie: sprawić, by poprzez druk książek wiedza i osiągnięcia nauki dotarły do prostych ludzi. Ich dążenia napotykają też opór możliwych, którzy w książkach widzą drogę do utraty władzy. Działając z całkowicie odmiennych pobudek, ryzykując życiem, dwóch ludzi jest gotowych podjąć wyzwanie upowszechnienia książek.

Lorenz Block, utalentowany złotnik, po śmierci żony samotnie wychowujący córkę, zafascynowany wizją świata pełnego książek, potajemnie konstruuje prasę drukarską. Jako chłopiec nie został przyjęty do zakładu kopistów, nie przestał jednak interesować się pismem. Za swoje dążenia zapłaci wysoką cenę.

Prowadzący podwójne życie Nikolas Fischer, właściciel pierwszego świeckiego skrytorium – człowiek bogaty, wykształcony i kochający piękno, ale całkowicie pozbawiony skrupułów, dla którego liczą się tylko pieniądze – podstępными metodami dąży do wyeliminowania wszelkiej konkurencji na rynku książki. Jego działalność będzie kosztować życie wielu ludzi. Rozmiłowany w luksusie, mieszka w pałacu w otoczeniu kobiet, które zaspokajają jego potrzeby seksualne. Jedną z nich, piękną Olgę, wykorzysta jako narzędzie w intrydze, jaką ukuł, by przechwycić wynalazek Lorenza.

Dzieje tych dwóch głównych protagonistów przeplatają się z losami innych ważnych postaci książki. Eriki, córki Lorenza, odważnej, nad wiek dojrzałej dziewczyny o złotym sercu, która prowadzi ojcu dom. Alonsa, kierującego grupą kopistów głuchego syna Nikolasa, będącego owocem jego związku z córką wezyra. Pomiędzy Eriką a Alonsem, wbrew woli ojca, zrodzi się uczucie. Są też czarne charaktery: skorumpowany burmistrz Kolonii Heller Overstolz i arcybiskup miasta, Dietrich von Moers, okrutny, cyniczny manipulator, łączący religię z polityką.

EDUARDO ROCA

Pisarz hiszpański i naukowiec, urodzony w 1963 w Barcelonie. Ukończył Politechnikę Katalońską, gdzie obronił pracę doktorską z inżynierii przemysłowej. Obecnie mieszka i wykłada w Heidelbergu w Niemczech. W swojej pracy łączy działalność naukową z aktywnością na polu kultury. Wydany w 2011 Warsztat książek zakazanych jest jego debiutem literackim.

www.eduardoroca.com

Tytuł oryginału:
EL TALLER DE LOS LIBROS PROHIBIDOS

Copyright © Eduardo Roca 2011
Copyright © Planeta Madrid S.A. 2011
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Aleksandra i Andrzej Kuryłowicz 2013

Polish translation copyright © Elżbieta Rzewuska 2013

Redakcja: Dorota Jakubowska

Ilustracja na okładce: cosma/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-88722-88-2

Wydawca
WYDAWNICTWO ALEKSANDRA I ANDRZEJ KURYŁOWICZ
adres korespondencyjny:
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

O książce

O autorze

Dedykacja

Motto

Prolog

CZĘŚĆ PIERWSZA MIASTO

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

CZĘŚĆ DRUGA ODKRYCIA

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

CZĘŚĆ TRZECIA NA ROZSTAJACH

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

CZEŚĆ CZWARTA ZOBOWIĄZANIE

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

Epilog

Od autora

Podziękowania

Przypisy

Wizjonerom, którzy spełniają ludzkie marzenia

Przyszłości...

Strzeż się człowieka jednej księgi

Tomasz z Akwinu

**Przeze mnie droga w miasto utrapienia,
Przeze mnie droga w wiekuiste męki,
Przeze mnie droga w naród zatracenia.**

**Dante Alighieri, Piekło, Pieśń III
(tł. E. Porębowicz)**

Prolog

Okolice Kolonii, 1430

Chłopiec przycupnął wśród nisko zwisających gałęzi olbrzymiego kasztanowca na skraju gęstego lasu i wpatrywał się uważnie w zarośla. Po chwili jego cierpliwość została nagrodzona i długowłose szarobury zajęc wynurzył się zza grubego pnia stuletniej brzozy. Wyprostował się, nastawił słuchy i przednimi skokami potarł nos. Nie zdążył podskoczyć nawet dwa razy, kiedy chłopak rzucił się na niego. Szybki ruch dłoni, suchy chrząst i martwy zajęc zawisł u paska jego spodni.

Pogwizdując wesoło, chłopiec ruszył w drogę powrotną. Rano ojciec zwymyślał go od leni i darmozjadów i wyrzucił z domu, ale chłopak pomyślał, że kiedy za parę godzin wróci z zajęcem na kolację, ojciec zapomni o tym, co powiedział. Zadowolony malec szedł pod górę ścieżką między drzewami. Dotarłszy do szczytu, stanął jak wryty. Oddział pięciu strażników spoglądał na niego w milczeniu. Chłopak stał tak przez chwilę, oniemiały z przerażenia, po czym odwrócił się i popędził z powrotem w dół zbocza. Żołnierze pobiegli za nim.

Koller, najszybszy z nich, porzuciwszy hełm i halabardę, dopadł go pierwszy. Złapał i trzymał wierzgającego nogami chłopaka nad głową, czekając na kompanów. Dowódca rozkazał mu przywiązać go do drzewa. Był to ten sam kasztanowiec, za którym chłopak krył się kilka minut wcześniej. Na wilgotnej ziemi widać było jeszcze ślady jego stóp.

– Nie wiesz, że te ziemie należą do arcybiskupa? – spytał ostrym tonem jeden z żołnierzy.

Chłopiec się nie odezwał. Palila go skóra nadgarstków mocno ściśniętych sznurem. Twarz też zaczynała mu płonąć – żołnierz uderzył go skórzaną rękawicą i teraz wymachiwał nią, grożąc kolejnymi ciosami.

– A, nic nie mówisz? Mowę ci odjęło? Zaraz sprawdzimy. Rozpalić ognisko – polecił pozostałym.

Czterej strażnicy spojrzeli na siebie w zdumieniu. Przecież ten kłusownik to zupełny dzieciak, pomyśleli, z ledwie zarysowanym wąsikiem nad górną wargą. Ognisko?

– Nie słyszeliście? Ruszać się! – popędził ich dowódca. Chwilę później płomienie sięgały gałęzi drzewa. Miękkie liście kasztanowca zaczynały się powoli marszczyć i zwijać. Jeden z nich, strącony przez lekki powiew wiatru, opadł na gołe ramię chłopca, zostawiając czerwony ślad. Z ust dziecka wydobył się stłumiony jęk bólu.

– No... Ile zajęcy dzisiaj złapałeś? – zapytał dowódca. Chłopiec milczał, usta miał zaciśnięte, butny wyraz twarzy.

– Nie jesteś niemową, to pewne. Ale do mówienia jakoś się nie kwapisz.

Chłopak uciekł spojrzeniem w bok. Nie miał zamiaru rozmawiać z tymi żołnierzami; zajęc był jego, schwytał go własnymi rękami. A las należał do wszystkich. Zaciśnął mocniej wargi.

Zuchwała mina dzieciaka jedynie rozwścieczyła dowódcę.

– Nic nie mówisz? No to za chwilę na pewno już nie powiesz ani słówka. – Wyjął sztylet z pochwy, zbliżył się do chłopca i przycisnął mu ostrze do gardła. – Bawer, Koller! – krzyknął. – Chodźcie tu!

Dwaj żołnierze spojrzeli na siebie ze strachem w oczach.

Byli młodzi, niedoświadczeni, wykonywali pierwsze zadanie poza murami.

– Żeby mi się tylko nie ruszył – dowódca rozkazał jednemu. – A ty – rzucił do drugiego – trzymaj mu głowę. Jak koniowi do piłowania zębów. O tak. Nie masz nic do powiedzenia? – zwrócił się do chłopca. – To twoja ostatnia szansa.

Z oczu chłopaka wyzierał obłądny strach.

Dowódca wepchnął czubek sztyletu między zaciśnięte wargi. Nie chcąc zranić Kollera, który siłą rozwierał szczęki chłopca, przycisnął kolanem brzuch malca, przytrzymał za brodę i usiłował obciąć język. Udało mu się jednak tylko go nadciąć. Wstrzymując oddech, chłopak wyrywał się z rąk żołnierzy. Popłynęła krew i skowyt bólu wypełnił las.

– Trzymać go, do kroćset. Mocno! – krzyknął dowódca.

– Staramy się! – zawołał Bawer. – Ale to diabelskie nasienie się wyrywa.

– Tym gorzej dla niego.

Podniósł sztylet i opuścił go na przerażoną twarz. Lekko zadrasnął dłoń Kollera, który zdumiony nagłym ruchem, ledwo zdążył odsunąć rękę. Rozległ się nieludzki krzyk. Chłopiec już nie mógł mówić, z ust wydobywały się tylko nieartykułowane dźwięki i bulgot krwi zalewającej gardło; gdyby żołnierze trzymali go dłużej, z pewnością by się udusił. Ohydne cięcie rozplątało wargi i rozszarpało język i dziąsła. Jeden czy dwa białe zęby leżały na trawie. Chłopiec wił się na ziemi w szkarłatnej kałuży jak pozbawiony głowy wąż. Żołnierze nie potrafili oderwać wzroku od widoku krwi. Nie chcieli patrzeć, a jednocześnie nie mogli się powstrzymać.

– Dawać mi tamto polano – polecił dowódca.

Żołnierze, zamarli w niemym przerażeniu, nie poruszyli się.

Przeklinając, dowódca chwycił kawał rozpalonego drewna i zbliżył do twarzy chłopca, który siedział związany, nieprzytomny, z opuszczoną głową. Szarpnął dzieciaka za włosy i przyłożył drewno do rany. Krew natychmiast przestała płynąć, ale swąd palonego ciała wrył się w pamięć żołnierzy na zawsze, jak pamiętany z dzieciństwa zapach mleka, które wykpiąło na rozgrzaną blachę.



Był wczesny ranek. Mężczyzna spał w swoim domu w Kolonii, z głową złożoną na twardym drewnianym stole. Obudził go własny kaszel. W ręce ciągle trzymał gęsie pióro, z którego skapywał atrament. Otworzył oczy, kiedy płomień niemal lizął mu twarz.

Obejmowały już stół, makaty na ścianach, sięgały belek w suficie. Usiłował wstać i pobiec do żony i córki, lecz nie mógł się ruszyć. Czuł się tak, jakby jeszcze niezupełnie się obudził albo jakby płomień go zahipnotyzowały. Otrząsnął się w końcu, podniósł się i poczuł, jak gęsty, ciężki dym chwyta go za gardło niczym dłoń. Pochylony, podszedł do dzbana z wodą stojącego w misce do mycia. Wody było niewiele, ale wylał ją na płomień, które jedynie się wzmogły, jakby ze złością zareagowały na próbę ugaszenia. Wydawało się, że ta odrobina płynu tylko podsycała ogień, zamiast go ugasić. Mężczyzna chwycił wilgotną szmatę, zakrył nią nos i usta i doszedł do pierwszego schodka.

Pożar jeszcze nie ogarnął pomieszczeń na górze, ale dym był tam dużo gęstszy. W półmroku rozświetlanym jedynie połyskującymi z dołu płomieniami ledwo widział własne ręce. Po omacku wszedł do pokoju córki. Łóżko było puste. Serce podeszło mu do gardła. Pobiegł do dużej sypialni. W starym, rozklekotanym łóżku spała niczego nieświadoma żona, a córka, wstrząsana

gwałtownym kaszlem, krzyczała i potrzasała nią z całej siły.

– Mama nie chce się obudzić! – zawołała przestraszona.

Dookoła słychać było trzaski płonącego drewna. Jeśli nie wydarzy się cud, pomyślał mężczyzna, dom za chwilę zamieni się w górę popiołu.

Chwycił żonę obiema rękami za ramiona i potrzęsął. Najpierw delikatnie, potem gwałtownie. Obrócił głowę z jednej strony na drugą, podparł pod plecami, chcąc postawić ją na nogi. Nie reagowała. Żołądek mu się ścisnął i poczuł silne mdłości.

– Mamo, proszę... – łkała dziewczynka, ściskając rękę matki.

Mąż zbliżył twarz do ust kobiety. Wyczuł słaby oddech, ślad nadziei.

– Śpi, ale mocno – uspokajał córkę.

Podłoga zatrzeszczała pod stopami. Jedna z belek nie wytrzymała naporu ognia i płomień dosięgły piętra. Mężczyzna spojrział na córeczkę, pobladła z przerażenia. Dusił ją wszechobecny dym. A potem spojrział na żonę; zdawała się spać spokojnie pomimo dymu wypełniającego pomieszczenie. Pomyślał, że chyba zdąży. Rozejrzał się; podłoga nie wyglądała jeszcze najgorzej. Spomiędzy desek prześwitywała migotliwa jasność, ale uznał, że przez chwilę to wszystko jeszcze wytrzyma. Nie było czasu do stracenia. Podniósł żonę i przewiesił sobie przez ramię, a potem chwycił małą za rękę. Lecz kiedy znalazł się u szczytu schodów i spojrział w dół, stanął jak wryty. Płomień powoli, lecz nieubłaganie obejmowały schodek po schodku.

– Tato, boli mnie.

Znad chusteczki widział tylko oczy córki. I dopiero wtedy zauważył, jak mocno ściska jej rękę.

– Przepraszam, córeczko. Musimy wrócić na chwilę.

Położył żonę na łóżku, a sam przykucnął przy małej. Oczy miał czerwone ze zmęczenia i od dymu.

– Musimy tu zostawić mamę. Nie mogę przenieść was obu. Schody nie wytrzymają.

– Ale ogień tu dotrze i mama nie będzie mogła wyjść.

– Nie, kochanie. Wrócę zaraz i ją wyniosę. Nie martw się.

Nie czekał, by odpowiedziała. Podnosił małą, żeby położyć sobie na ramieniu, jak przedtem żonę, ale dziewczynka nie chciała wypuścić ręki matki. Kiedy nią szarpnął, wybuchła rzewnym płaczem.

Płomień obejmowały już całe schody. Jęzor ognia, niczym żywa istota, podchodził coraz bliżej. Nie namyślając się, mężczyzna skoczył w dół i upadł na kamienną posadzkę. Stopy zaboląły go tak bardzo, że przewrócił się do tyłu. Ale nie wypuścił z rąk małej. W piekle, w jaki zamienił się dom, w dymie i płomieniach nie mógł dojrzeć drogi ucieczki. Obok zobaczył nietkniętą płomieniami komodę, w której trzymali koce. Położył na pół przytomną córkę na podłodze i otworzył komodę. Metalowe okucia paliły jego ręce żywym ogniem, ale oparły się płomieniom i uratowały to, co było w środku. Poczuł, że nogi się pod nim uginają, opadał z sił, był gotów się poddać, lecz słaby płacz córki przywrócił mu siły.

Wziął dziewczynkę na ręce, owinał mocno kocem ją i siebie i nie bacząc na otaczające go płomień, pobiegł w stronę drzwi. Pchnął je, na pół już nadpalone, przekroczył próg i potykając się, zrobił parę kroków, po czym upadł u stóp sąsiadów, którzy przybiegli z pomocą. Wielu trzymało w dłoniach drewniane kubły.

Zdezorientowany widokiem tych wszystkich ludzi i pochodni, to zbliżających się, to oddalających, mocno przytulił do siebie córkę. Noc była wilgotna. Dziewczynka, cała drżąca, lecz świadoma, że jest uratowana, zapłakała cicho.

– Mama...

Poderwał się na nogi. Owinał się kocem i przeskoczył płomień, które teraz zastąpiły drzwi.

Zaślepiiony bezwzględny nakazem ratowania żony, nie pojmował, na jak straszne niebezpieczeństwo się naraża. Zostawił za sobą zdumione spojrzenia sąsiadów i płacz kobiet, które pospiesznie zaopiekowały się jego córką.

Kiedy znalazł się wewnątrz, czuł jedynie żar płomieni. Gorącym powietrzem nie można było oddychać. Chciał wejść na piętro i uratować żonę. Ogarnęło go przerażenie, kiedy zobaczył, że schodów już nie ma. W wypalonym suficie ziała czarna dziura, przez którą – jak przez komin – wydobywał się dym. Wydawało mu się, że płomienie wyciągają macki, by go schwytać, że są migotliwymi twarzami, wpatrującymi się w niego, podchodzącymi coraz bliżej, śmiejącymi się z niego; twarze jak potwory, łapczywie pożerające wszystko dookoła, rozsypujące w proch to, co przez tyle lat było jego domem.

Przesunął komodę w miejsce dziury, gdzie jeszcze niedawno stały schody, wszedł na nią i usiłował dostać się na podłogę na piętrze. Podskoczył, chwycił się brzegu, lecz deska została mu w rękach i spadł. Ogień buchnął jasnym płomieniem. Usłyszał dochodzący z góry łoskot. Spojrzał tam: dach powoli się zapadał. Jedna z drewnianych belek, spadając, omal go nie przygniotła; zdążył się usunąć, ale zaraz spadła na niego następna. Uderzenie nie było może bardzo silne, lecz płonące drewno otarło się o ramię i wydał z siebie ryk bólu. Podniósł się z ziemi i jeszcze raz wszedł na komodę. Gdy wyciągnął w górę ręce, skóra na plecach napięła się jak na bębnie i pękła. Zwinawszy się z bólu, znowu spadł na ziemię. Chciał się podnieść i spróbować jeszcze raz, lecz w tym momencie czyjeś ręce chwyciły go za to, co jeszcze zostało z jego ubrania, i pociągnęły. Nie wiedział, co się dzieje. Wiedział tylko, że na górze jest jego żona, a on musi ją uratować. Bronił się resztką sił.

– Szaleńcze, wychodź stąd! Już nic nie możesz zrobić! – usłyszał.

Zesztywniał cały. Poczuł, że ktoś jeszcze ciągnie go za ubranie. Zobaczył, że znajduje się coraz bliżej wyjścia, i zdał sobie sprawę, że w żaden sposób nie jest w stanie się oprzeć. Kolejny łoskot. Uniósł wzrok i ujrzał, że całe piętro opada wielkimi kawałami. Zaczął się szarpać, kopać, gryźć, aż któryś z mężczyzn uspokoił go potężnym uderzeniem w szczękę. W głowie mu pociemniało i na pół przytomny, pokonany, dał się wynieść na zewnątrz.

Dwaj mężczyźni posadzili go na ziemi, w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą leżała jego córka. Kilka sekund później, z płomieniami odbijającymi się w źrenicach, zobaczył, jak zapada się cały dach.

Siedział nieruchomo, patrząc na dogasające płomienie, otwierał i zamykał zaczerwienione oczy, jak gdyby ciągle miał nadzieję, że to tylko koszmarny sen, a on zaraz się obudzi. Nic prawie nie zostało z jego domu, a trzask dopalających się desek stawał się nie do zniesienia. Stracił wszystko. Poczuł, że ktoś staje obok. To była sąsiadka z jego córeczką w ramionach. Bez słowa położyła mu ją na kolanach.

Dopiero wtedy zareagował. Spojrzał na córkę. Nie wolno mu się poddać, nie wolno zatonać w bezbrzeżnym smutku. Przytulił ją mocno, opiekuńczo. Dziewczynka nie płakała; wydawało się, że utkwiała wzrok nieruchomo w jakimś miejscu pamięci. Przyłgnęła czarną od sadzy twarzą do piersi ojca i dopiero wtedy łzy popłynęły z jej oczu, powoli żłobiąc wąskie bruzdy na osmalonych policzkach.

Miał wrażenie, że coś szarpie go na plecach. Poczuł przeszywający ból rozrywanej skóry. Dotknął pleców ręką, chcąc sprawdzić, co to jest. To ogień zostawił na nim swój ślad. Wydało mu się, że ogarnięte nim było – i poparzone – całe ciało. Pokonany bólem, zapłakał razem z córeczką.

Od tej chwili mieli tylko siebie.

Okaleczony chłopiec całymi tygodniami wałęsał się w lasach w pobliżu rzeki, bojąc się zbliżyć do zamieszkanego osad. Przeżył, jedząc robaki i korzonki. Wpadał w panikę, gdy zobaczył z daleka jakichś ludzi albo usłyszał ich głosy. Ale nadszedł moment, kiedy musiał się poddać.

Obszarpany, bezbronny, słaby i oszpecony, z dala – z własnej woli – od rodzinnego domu, któregoś dnia dojrzał ze wzgórza mury Kolonii, największego miasta w okolicy. Ruszył tam, pogodzony i z koniecznością znalezienia się wśród ludzi, i z tym, że do końca życia nie wypowie już ani jednego słowa. Miał nadzieję, że ukryje się wśród tysięcy zamieszkujących miasto dusz i nikt spośród wielu kalek tułających się po ulicach nie zwróci uwagi na jego przerażającą szramę. Miał tylko trzynaście lat, ale nie był już dzieckiem. Dzieciństwo skończyło się dwa miesiące wcześniej, pogrzebane pod wielkim kasztanowcem.

Pierwszego dnia pobytu w mieście trafił na kolejkę ludzi przy kościele Świętego Michała Archaniola. Ktoś powiedział, że można tu dostać miskę gorącej zupy. Posiłek, choć skromny, wystarczał mu w zupełności i dzięki temu mógł jakoś przetrwać.

Któregoś popołudnia, stojąc po zupę, nagle poczuł na ramieniu silną dłoń. Wystraszył się, obejrzał za siebie. Osobnik stojący za nim był niewiele wyższy od niego, okutany długą czarną peleryną z kapturem, spod którego świdrował chłopca spojrzeniem. Skóra dłoni nieznajomego była bardzo biała, niemal przezroczysta, poznaczona fioletowymi żyłami. Człowiek ten, jak zjawa, przypominał chłopakowi postacie z lasu, które oszpeciły go, wyrzuciły na margines życia. Lecz tym razem nie odda skóry tak łatwo. Rzucił się do ucieczki. Wytarty łach, który go okrywał, został w ręce mężczyzny.

Biegł, nie oglądając się za siebie, ale czuł na szyi groźny oddech nieznajomego, tropiącego go wąskimi ulicami. Po chwili wydało mu się, że słyszy więcej kroków. Nie było to echo ani nawet jego własne kroki; uciekał przecież boso.

Skreślił w jakąś uliczkę i zobaczył przed sobą wysoki mur, zamykający drogę ucieczki. Dobiegł i przywarł do niego, jak gdyby chciał sprawić, by mur się rozstąpił. Znalazł się w pułapce. Kroki zabrzmiały teraz inaczej; były wolniejsze, miarowe. Pięć postaci podobnych do człowieka z kolejki po zupę pojawiło się na przeciwległym końcu ulicy. Z zasłoniętymi twarzami zbliżały się powoli. Chłopak trząsał się cały, nie wiedząc, któredy uciekać.

Znalazłszy się już zupełnie blisko, czarne postacie bez słowa rzuciły się na niego. Chwyciły go za ramiona, pociągnęły, unieruchomiły. W oczach chłopca odbiły się wszystkie przerażające doznania ostatnich lat, noce spowite bólem i chłodem, baty od ojca, kiedy był mały, swąd własnego ciała, stopy oblepione krwią i błotem, dygotanie zziębniętego ciała z nadejściem zimy. Z gardła wydobył się skowyt jak pokonanego, umierającego zwierzęcia.

Wtedy zbliżył się szósty człowiek i zsunął kaptur, podczas gdy pozostali nadal owinięci byli pelerynami. Twarz nowo przybyłego nie była blada. Rysy miał łagodne, a niebieskie oczy niezwykle jasne. Krzyk chłopca milkł powoli i w jego miejsce dało się słyszeć miękkie skomlenie, skierowane tylko do tego mężczyzny. Przypominał sobie matkę, daleko w wiosce, brutalnie traktowaną przez jego ojca, a wspomnieniu temu towarzyszyły ciepłe słowa nieznajomego:

– Obserwujemy cię od dawna. Możesz się już nie martwić. Takich jak ty jest wielu. I niedługo ich poznasz.

Chłopiec patrzył podejrzliwie, lecz już nie trząsał się ze strachu. Oddychał ciężko.

– Wiem, jak źle ludzie cię potraktowali, ty jednak wiedz, że od tej chwili będziesz bezpieczny. Nikt nigdy więcej cię nie skrzywdzi i nigdy nie będziesz sam. Zaufaj mi.

Słowa brzmiały dla chłopca jak łagodny wiosenny wiatr, wszystkimi nerwami docierały do koniuszków palców. Tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz zaznał od kogoś dobroci, i ta chwila poruszyła w nim zapomnianą strunę.

– Odpędź wszystkie troski, chłopcze. Od teraz jesteś pod opieką Nikolasa Fischera.

Mężczyzna przypieczętował swą obietnicę silnym uściskiem. Ciemne postacie odsunęły się i chłopak, ze łzami w oczach i ciągle nieco drżący, odwzajemnił uścisk. Słowa, które usłyszał, napęliły go ufnością i powoli się uspokajał. Przyłgął do wysokiego mężczyzny jak rozbitek do skały. Został przyjęty do nowej rodziny, więc choćby miał to być jedyny powód do wdzięczności, będzie temu człowiekowi dozgonnie wdzięczny.

CZĘŚĆ PIERWSZA

MIASTO

**Wszędzie spokoju szukałem i nie znalazłem
Nigdzie, jak tylko w kąciku z książką.**

TOMASZ Z KEMPIS

Kolonia, 1435

Pogoda tego październikowego ranka zapowiadała się kapryśnie. Na pełnych kolorów ulicach zaczęły się pojawiać grupy mieszkańców najstarszego miasta imperium, miasta, które powstało czternaście wieków wcześniej, jako osada rzymskich legionów nad Renem. Chociaż dzień wstał pochmurny, a przelotne, gwałtowne deszcze moczyły co chwila głowy i chodniki, żywe kolory, jak fragmenty mozaiki, barwiły główne place.

Mieszkańców przepelniała radość: nowy burmistrz świętował objęcie stanowiska, oferując ku ich uciesze morze piwa i liczne przedstawienia. Na ulice wyległa prawie cała Kolonia, gdyż w większości warsztatów zarządzono wolny dzień. Niektórzy przybyli, bo porwał ich uliczny gwar i zabawa, inni zaś, by skorzystać z łatwiejszego w tłumie dostępu do kieszeni i mieszkań mniej uważnych piwoszów i gapiów. Wydawało się, że wszystkich kolończyków przepelnia radość, bo i zbiory tego lata nie były złe. Nikt jeszcze nie myślał, że wkrótce przyjdzie zima i długie noce, wypełnione chłodem i zmartwieniami.

Ciągle niedokończona, ale już wznosząca się majestatycznie południowa wieża katedry budziła powszechny podziw.

Mówiono, że kiedy budowa obu wież zostanie zakończona, z ich szczytów, w bezchmurny dzień, będzie można dojrzeć miasto Brede w pobliżu ujścia Renu. W mieście nie było zakątka, do którego z wieży nie sięgałby wzrok. Od Altmarkt, pulsującego życiem targu, po oba wyloty głównej ulicy Hochstrasse mieszkańcy niemal fizycznie czuli opiekę świętych murów, wzniesionych w hołdzie Bogu i jego czcicielom, Trzem Królom. Tam spoczywają ich relikwie, sprowadzone z dalekiej ziemi.

Dla tych, którzy mieszkali poza murami, katedra też miała ogromne znaczenie – żyli w jej cieniu, widać ją było z każdego miejsca wiele kilometrów od miasta. Postrzępiony profil wielkiej budowli dawał mieszkańcom okolicznych wsi poczucie bliskości Stwórcy. W surowym, ciemnobrunatnym wiejskim krajobrazie wielokątne zagonki wyglądały jak części jakiejś bożej układanki. Pomiedzy nimi, jak ostrze wielkiego noża, lśnił Ren, płynął meandrami i znikał w oddali, w gęstniejącym powietrzu, za horyzontem ginącym we mgle, dzielącym obraz na dwie części: w górze, wysoko, błękit złamany bielą chmur; w tle ochra i żółć topoli i jesionów, wzdłuż nurtu wody, lecz w bezpiecznej od niej odległości. Trochę dalej rozpościerająca się na wschód i na północ zieleń lasów iglastych, olbrzymiej przestrzeni, nie do ogarnięcia wzrokiem. I porozrzucane tu i ówdzie rudawe i pomarańczowe połyskujące od wilgoci dachy, świadczące o obecności ludzi z dala od hałaśliwego miasta, harmonijnie dopełniające elementy pejzażu.

Nowo mianowany burmistrz, Heller Overstolz, zaprosił mieszkańców na uroczystość z okazji powołania go do władz miejskich na stanowisko, które od kilku lat starał się objąć.

Samego Hellera trudno było zobaczyć z placu, gdy ukazał się na gotyckiej wieży, koronującej fasadę magistratu – Rathausu. W niecodziennej scenerii zwrócił się do obywateli z płomiennym, pełnym obietnic przemówieniem. Zebrani na placu stali w milczeniu, przerwawszy rozpoczętą już zabawę. Większość słuchała jak zauroczona nowego Bürgermeistra, nie dlatego, że byli

szczególnie zainteresowani tym, co powie, lecz dlatego, że jego wystąpienie stanowiło nowość – w ten sposób zrywał z pewną rutyną.

Heller, z ustami wykrzywionymi w grymasie, patrzył na te wszystkie przejęte twarze. Z wysoka nie rozpoznawał rysów, widział jedynie intensywne kolory strojów i szerokie uśmiechy tych, którzy już spróbowali darmowego piwa. Odetchnął głęboko i dalej wygłaszał mowę, przygotowaną poprzedniego wieczoru i wyuczoną na pamięć. Stał wyprostowany, szczupły, przykuwając uwagę, poruszając prawym ramieniem w górę i w dół, jak gdyby wybijał rytm. Miał na sobie odświętne szaty z czarnego aksamitu, futrzaną pelerynę chroniącą przed zimmem i kapelusz z szerokim rondem i wypukłą główką, sprowadzony z Flandrii. Heller nie przerywał przemówienia, choć myśli miał już zaprzątnięte czymś innym. Uśmiech nie schodził z jego twarzy, ale szare oczy z ledwo zarysowanymi nad nimi brwiami prawie nie dostrzegały pospólstwa na placu. Spoglądał w siebie, wracał do wspomnień.

Był niezmiernie zadowolony z tego, co osiągnął. Okazał talent w prowadzeniu odziedziczonego po ojcu interesu budowlanego i w bardzo młodym wieku uzyskał tytuł mistrza: został najmłodszym mistrzem w całej Nadrenii. Ale szybko wciągnęła go polityka i władza. Stopniowo piął się po kolejnych szczeblach kariery i niebawem został przewodniczącym cechu mistrzów budowniczych. Zdobył wówczas sławę twardego negocjatora w zażartej walce o zachowanie autonomii cechów przeciwko władzy lokalnej, zawsze skorej do podejmowania decyzji w sprawach cen, transakcji i podatków. W sposób naturalny Heller nauczył się być przekonujący, nieustępliwy i uparty. A także, kiedy należało, niebezpieczny. Przede wszystkim jednak nauczył się, że bez władzy nigdy nie dopnie celu.

Aby osiągnąć to, co sobie zamierzył, musiał zmienić pozycję społeczną. Wielu mieszczan drogo kupowało tytuły szlacheckie, pragnąc za wszelką cenę przynależeć do tej wpływowej warstwy społeczeństwa. Heller wytrwale zbierał potrzebne pieniądze. I nagle zdarzyło się coś, co pozwoliło mu skrócić drogę do celu: poznał córkę starego barona. Agripina była owocem późnego małżeństwa barona i liczyła sobie ledwo kilkanaście lat. Rodzice nadali jej imię żony cesarza Klaudiusza, która urodziła się w germańskim mieście nad Renem i na której cześć to miasto zostało nazwane Colonia Claudia Ara Agrippinensium. Chowana bez matki, która zmarła przy porodzie, piękna i niezmiernie ufna córka barona prowadziła beztrudne życie, rozpieszczana przez ponad sześćdziesięcioletniego ojca i liczną służbę.

Prostoduszność dziewczyny była tak wielka, że Heller, poznawszy ją, uznał, iż głupotą z jego strony byłoby nie wykorzystać takiej okazji. Użył całego swojego wdzięku tak skutecznie, że wkrótce rozkochał ją w sobie do szaleństwa. Ślub odbył się mimo początkowych protestów barona, który pragnął zachować córkę dla kogoś ze szlacheckim rodowodem.

Tak więc Heller uzyskał tytuł szlachecki dzięki sakramentowi małżeństwa. Jeszcze we wczesnym okresie narzeczeństwa przekonał coraz bardziej słabnącego przyszłego teścia, że to właśnie on, Overstolz, powinien zarządzać posiadłościami barona i – co najważniejsze – objąć po nim stanowisko w administracji. Kiedy baron zmarł, Heller uważany był już za swojego człowieka i, w wieku czterdziestu kilku lat, miał silną pozycję jako kandydat na wysokie stanowisko we władzach.

Podczas gdy małżonek zręcznymi posunięciami poprawiał swoją pozycję społeczną, Agripina pędziła życie w otoczeniu służby. Początkowo protestowała, grymasiła, robiła, co mogła, by zwrócić na siebie uwagę coraz częściej nieobecnego w domu męża, lecz w końcu musiała się poddać. Uznała, że jej los został przypieczętowany: czekają życie, w którym nie zabraknie dóbr materialnych, lecz będzie to życie bez mężczyzny, do którego mogłaby się przytulić. Smutna

i zniechęcona stała obok męża wygłaszającego orację.

Tymczasem wśród zebranych na placu mieszkańców Kolonii wybuchły frenetyczne oklaski. Heller spojrział na żonę i zrobił krótką przerwę. Nastąpił moment podziękowań. Nowy Bürgermeister doskonale wiedział, jak bardzo musi dbać o zachowanie poprawnych stosunków ze wszystkimi, którzy się liczą. Zdobył upragnioną pozycję, lecz zdawał sobie sprawę, że sukces może okazać się tymczasowy. Co prawda małżeństwo pozwoliło mu uzyskać tytuł szlachecki, ale był przecież członkiem cechów, nastawionych krytycznie wobec lokalnych władz, na których czele teraz stanął. Jeden fałszywy krok i nie wyciągną do niego ręki ani członkowie rady miejskiej, ani cechowi kamraci.

Poza tym był jeszcze arcybiskup, najbardziej nieustępliwy, najbardziej niebezpieczny. Dietrich von Moers był jedną z najpotężniejszych postaci w całym Świętym Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego. Oprócz zarządzania archidiecezją należał do grona książąt elektorów, mających prawo wyboru cesarza. Heller musiał okazać przed nim posłuszeństwo i pokorę. Powiązania arcybiskupa z cesarzem, z papieżem w Rzymie i arystokracją – von Moersowie należeli do najstarszych rodzin – dawały mu pełnię władzy w Kolonii, chociaż zasadniczo rezydował w Bonn. Pomimo to jego wizyty były częste, a posiadłości w mieście niezliczone. Również okoliczne ziemie należały do niego: gdyby któregoś dnia zakazano przejazdu przez jego włości, Kolonia zostałaby całkowicie odizolowana od świata. Mówiono, że na jego rozkaz wody Renu mogłyby się zatrzymać.

I dlatego zakończenie uroczystości przeznaczone było dla arcybiskupa. Nowy burmistrz poprosił go, aby zajął jego miejsce i zwrócił się do obecnych ze słowami modlitwy. Sam usiadł koło żony, nie patrząc na nią, wziął ją za rękę i przyjął nabożną minę. Agripina opuściła głowę i w stanie wielkiego uniesienia wysłuchiwała słów arcybiskupa.



Uroczyste „amen” wypełniło plac. Zapadła cisza, która nie trwała jednak długo. Muzycy zaczęli stroić instrumenty, a gwarny tłum skierował się w stronę budek i straganów z napojami, które burmistrz kazał przygotować dla mieszkańców. Z głów szybko wywietrzały podniosłe słowa; ogólna wesołość, śmiechy i tańce opanowały miasto.

W ratuszu Heller udał się do sali, do której zaproszeni zostali przedstawiciele władzy, aby uczcić jego wyniesienie do tak znaczącej godności i wziąć udział w przyjęciu dla wybrańców. Kolejno podchodzono do niego, by pogratulować awansu i świetnej mowy. Inaczej niż na placach i ulicach, tutaj podano wina najlepszej jakości. Wysoki, około pięćdziesięcioletni mężczyzna w kapeluszu koloru fuksji i eleganckiej tunice z ciężkiego jedwabiu w tym samym kolorze czekał na odpowiedni moment, by złożyć wyrazy uznania.

– Moje serdeczne gratulacje, Bürgermeister. – Słowom towarzyszył lekki ukłon.

– Dziękuję, mój dobry Nikolasie – odparł Heller, kładąc szczególny akcent na słowie „dobry”. – Czy zaszczyćcie nas swoją obecnością na ucztę przygotowanej przez władze miejskie?

– Naturalnie. Dobrze wiecie, że okazja jest tego warta, Herr.

Heller uniósł dłoń.

– Porzućmy te formalności... Mam nadzieję, że przypadną wam do gustu przysmaki, któreśmy przygotowali dla uświetnienia tej skromnej uroczystości. Nie oddalajcie się zbyt daleko, Nikolasie. Znajdziemy chwilę, żeby porozmawiać o waszych... umiejętnościach.

– Jestem do waszej całkowitej dyspozycji – odparł Nikolas Fischer, cofając się o krok przed burmistrzem i jego żoną.

Agripina przyglądała się wszystkiemu jak urzeczona. Obecność tylu znaczących osobistości

oszałamiała ją, gdyż w swym codziennym życiu zawsze była otoczona tymi samymi służącymi, pretensjonalnymi i ckliwymi. Zarumieniła się, zauważywszy, że ten wysoki mężczyzna w pięknej tunice obserwuje ją uważnie; jego inteligentne oczy zdawały się czytać w jej myślach. Przez chwilę zawirowało jej w głowie.

Przed Hellerem przechodzili kolejno wszyscy zaproszeni goście. Starał się zapamiętać słowa i ton, jakim się do niego zwracali, by móc ocenić, kto był szczerze zadowolony z jego mianowania. Odkrywanie, kto mu sprzyja, a kto jest wrogiem, miało być od tego dnia jednym z codziennych zadań. Ostatni podszedł do niego arcybiskup. Heller ujął jego dłoń w swoje ręce i klękawszy, ucałował pierścień.

– Dobrze już, dobrze... Wstańcie, burmistrzu. – Oblicze Hellera zajaśniało dumą. – Dzisiaj jest wasz dzień. Muszę przyznać, że zaskoczyło mnie wasze piękne przemówienie... – Zamilkł na chwilę, słysząc wesole okrzyki dochodzące z zewnątrz. – Niewątpliwie zdobyliście sobie serca mieszkańców.

Oczy arcybiskupa zaprzeczały serdecznym słowem. Spod gęstych, opadających jak strzały brwi patrzył na burmistrza wzrokiem twardym, nieprzeniknionym. Heller przypomniał sobie, co powszechnie mówiono: niejeden człowiek drżał przed gniewnym wzrokiem Dietricha von Moersa.

– Były to jedynie wyrazy wdzięczności dla miasta, które mi tak wiele ofiarowało, Ekscelencjo.
– Jestem przekonany, że Stwórca stoi po stronie tych, którzy potrafią okazywać wdzięczność – powiedział arcybiskup z lekkim uśmiechem.

Heller poczuł mrowienie na plecach. Pochylił się, kiedy arcybiskup, pobłogosławiwszy go, szybko odszedł do zastawionego stołu. Zacisnął szczęki. Agripina u jego boku westchnęła.

– Co ci jest? – spytał z irytacją.
– Nic. Arcybiskup był bardzo uprzejmy dla ciebie... Prawda, mój drogi mężu?



Przez plac przed ratuszem, gdzie świętowanie osiągnęło punkt kulminacyjny, szedł mężczyzna. Był szczupły, choć szeroki w ramionach, nosił granatową tunikę z zasłaniającym twarz kapturem. Puciołowaty jegomość z różowymi policzkami, trzymający w rękach wielki gliniany dzban z piwem, zastąpił mu drogę.

– Wyglądasz na zakonnika, wymknąłeś się z klasztoru, braciszku? – Wybuchnął śmiechem i powiało od niego alkoholem.

Nieznajomy nie odpowiedział. Mężczyzna ze złości ściągnął mu z głowy kaptur.

– Dobry Boże! Cóż za galant! Czy może jesteś giermkim jakiegoś rycerza?

Nieznajomy nadal milczał. Kręcone jasne włosy były lekko zmierzwione. Zdziwiająco ciemne oczy wpatrywały się w mężczyznę z dzbanem.

– Co? Nic nie mówisz? – Nieco mętny wzrok spoważniał. – Może ci się nie podoba nasz nowy Bürgermeister? Pewnie należysz do tych oszczerców, co to mówią, że wielki Heller Overstolz jest zabójcą? Ach! Co za podłość! Jego przeciwnik zginął zaatakowany przez bandę łobuzów. Heller się nimi zajmie i zaprowadzi porządek! Na pewno!

Skrzywił się ze złości, kiedy znowu nic nie usłyszał w odpowiedzi.

– Masz, pij. – Podsunął bliżej dzbanek. – No. Pij!

Młody człowiek zawahał się chwilę, po czym wziął dzbanek do ręki, ale do ust nie podniósł.

– Na co czekasz? Przecież dziś świętujemy – upierał się bełkotliwie grubas.

Wtedy chłopak podniósł szybko dzbanek i wypił wszystko do dna. Przechylił go, żeby pokazać

pijaczynie, że nic nie zostało.

– Wielkie nieba! Ale pociągasz!

Znowu wybuchnął głośnym śmiechem i twarz mu się rozweseliła. Klepnął chłopaka parę razy po ramieniu i zabierając dzbanek, zawołał:

– To się nazywa pić! Idę po więcej! Niechby i wszyscy wielcy panowie się pozabijali, skoro nam w zamian dają piwo!

Zataczając się jak bąk i czkając, pijaczek odszedł, co chwila wpadając na kogoś z tłumu. Młodzieniec zachował niewzruszony spokój, nałożył kaptur i lekkim krokiem oddalił się z placu. Krętymi uliczkami szedł do celu. Pomyślał, że jak na jeden dzień widział dostatecznie dużo. Teraz wracał do swoich, do cieni w podziemiach miasta.

W Kolonii, jak w każdym innym mieście w tamtym czasie, pokrewne warsztaty rzemieślnicze zrzeszały się w cechy. W każdym cechu było zazwyczaj kilkunastu mistrzów, a ich warsztaty i cechy znajdowały się na tej samej ulicy, która często nosiła nazwę wykonywanego zawodu. Miasta rozwijały się w granicach murów, przybывало nowych domów, panowała ciasnota i brud.

Metaliczny dźwięk dobiegał już uszu Lorenza Blocka, gdy cichymi krokami zbliżał się do swojego miejsca pracy. Charakterystyczny delikatny odgłos precyzyjnych uderzeń o szlachetny metal. Kiedy Lorenz wszedł do warsztatu, miarowy dźwięk ucichł i głowy jego kolegów zwróciły się w stronę strumienia światła, które wpadło przez na pół otwarte drzwi.

Właścicielem zakładu złotniczego był jego teść, drobny rzemieślnik, który stopniowo, cierpliwością i pracą, wyrobił sobie renomę. Miał doskonałych czeladników i dobrze przyuczonych terminatorów. Lorenz nagle poczuł się winny; oni też brali udział w uroczystościach przejęcia władzy przez burmistrza, ale wrócili do pracy szybciej niż on.

Starał się nie zauważać nagannych spojrzeń rzucanych w jego kierunku i podszedł do swojego stanowiska przy dużym stole, na którym leżało mnóstwo najróżniejszych, mniejszych i większych narzędzi. Praca złotnika, choćby wykonywana w grupie, jest pracą samotniczą. Tak więc dzielenie stołu z innymi było jedynie kwestią organizacji. Zdjął z kołka długi skórzany fartuch, nałożył go, zręcznie zawiązał na plecach i usiadł. Wziął do ręki kawałek metalu, leżący w jego części stołu, i przyjrzał mu się z bliska. Oglądał go uważnie, z każdej strony. Był gotowy do pracy. Nikt się do niego w warsztacie nie odezwał, ale Lorenz nie potrzebował rozmowy.



– Chcę dostać materiał po dobrej cenie. Jak będziesz miał, przynieś, i żebym nie przepłacił.

– Najpierw porozmawiajmy o pieniądzach, żebym wiedział, że mam po co szukać. Ostatnim razem wytargowałeś połowę umówionej sumy.

– To dlatego, że spadła wartość złota na rynku. A nie dlatego, że jestem bezlitosnym negocjatorem. I tak mnie oskubałeś!

– Gdybyś nie był bezlitosny, tobyś tego nie zrobił. Pewnie bym i tej wytargowanej ceny ci nie wyrwał. Tym razem nie dam się okpić.

– Nie? No to zapomnij o robieniu ze mną interesów. Jeśli nie sprowadzisz złota dla mnie, to jeszcze zobaczymy, komu uda ci się je sprzedać.

Ernest Blum odwrócił się i poszedł do swojego kąta w głębi warsztatu, ciasnego i ponurego. Światła tam było mało, a powietrze wydawało się gęstsze.

– Ależ, Herr Blum. Nie rób mi tego. Wiesz przecież, że zawsze sobie żartuję... – Pośrednik wyraźnie się wycofywał.

– Nie wyglądało mi to na żart. Ja sobie na żarty pozwalam po pracy – odparł Ernest.

– W porządku. Pod koniec tygodnia przyniosę tyle, ile się da.

– To mi się podoba. Widzisz, jak łatwo poszło? A jak przyniesiesz, porozmawiamy o pieniądzach. Wiesz, że dam ci najwyższą cenę.

– Zatem do piątku – pożegnał się handlarz.

Nie ruszył się z miejsca. Jakby obawiając się, że coś może go jeszcze ze strony złotnika spotkać, patrzył, jak tamten odchodzi w głąb warsztatu i znika w cieniu, pozostawiając po sobie jak zwykle nieprzyjemnie wrażenie. Dopiero wtedy zdecydował się odejść. Kiedy znalazł się przy stanowisku Lorenza, najbardziej oddalonego od kryjówki mistrza, zatrzymał się na chwilę.

– Nie wiem, dlaczego nie szukasz zajęcia gdzie indziej – powiedział, patrząc gdzieś w przestrzeń.

Lorenz odwrócił się w jego stronę.

– Tak, ty. – Tym razem handlarz spojrział mu prosto w oczy. – Szukaj sobie innego miejsca, póki możesz, Lorenz. Masz talent. Nie daj się oszukiwać przez tego skąpca, który cię nie docenia.

Przerwał mu głos z głębi warsztatu.

– Ej, Jurgen. Nie wychodziłeś przypadkiem? Nie przeszkadzaj moim ludziom, rachunki mi się potem nie zgadzają. – Ernest Blum wynurzył się z cienia i zaraz potem zniknął znowu. Małe węgielki żarzące się w palenisku dawały rozproszone światło i czasem wydawały przedziwne syczące odgłosy, jak płuca człowieka oddychającego brudnym, cuchnącym powietrzem. – Lorenz! – Głos Ernesta rozbrzmiał w całym warsztacie. – Chodź tutaj!

Lorenz podniósł głowę i poczekał chwilę, aby przyzwyczaić wzrok do cienia panującego w ciemnym kącie warsztatu. Od dłuższego czasu pracował nad kielichem i starał się nadać mu perfekcyjną wypukłość. Teraz odłożył kielich, który zadźwięczał jak upadająca moneta, i poszedł w głąb warsztatu.

Koledzy zerkali na niego kątem oka. Wszyscy siedzieli wokół wielkiego drewnianego stołu, podzielonego rzędkiem narzędzi na połowy.

– Dzień dobry, Erneście – przywitał mistrza Lorenz.

Ernest siedział na drewnianej ławie. Całe pomieszczenie pełne było form, narzędzi, drewnianych modeli i niedokończonych metalowych drobiazgów. Półki stojące pod ścianami uginały się pod ciężarem tych przedmiotów i utrudniały przejście. Ernest wygospodarował przestrzeń między półkami, wykorzystał nieregularną konstrukcję budynku i zaanektował ten kąt. Tam chronił się w półmroku, mając widok na cały warsztat, jak z wieży strażniczej. Długo wpatrywał się w Lorenza, szukając najmniejszej oznaki niepokoju. Niczego takiego nie dostrzegł i przez twarz przemknął mu niemal niezauważalny grymas. Oczy Lorenza z trudem przyzwyczajały się do słabego światła.

– Dlaczego się spóźniłeś?

– Dałeś nam pozwolenie, żeby pójść na uroczystość z okazji wyboru burmistrza. Potem tu przyszedłem.

– Ale przyszedłeś ostatni, Lorenz. – Końcowa spółgłoska zabrzmiała jak syk węża. – Zawsze przychodzisz ostatni.

– Przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

– Mam nadzieję. Skończyłeś zamówienie?

– Kończę je. Został mi jeszcze jeden kielich.

– Dzisiaj skończysz? Jeśli nie, pieniądze, które stracę, odliczę od twojego zarobku. Nie mam ochoty płacić za kolejne pomyłki.

– Wiem. Już mi mówiliście. Będzie gotowe.

– No to idź już.

Ernest Blum często demonstrował swoją wyższość w stosunku do zięcia.

Lorenz wrócił na swoje stanowisko. Tym razem nikt na niego nie spojrział. Każdy mógł słyszeć rozmowę, więc wiadomo było, że mistrz się nie wściekł i że sprawy potoczą się jak zawsze. Lorenz

potrzebował swoich zarobków, a Ernest potrzebował tak utalentowanego złotnika, jakim był jego zięć, jednak wszyscy byli pewni, że wcześniej czy później łącząca ich więź zostanie zerwana.



– Proszę, tu są zamówione sztuki. – Lorenz wszedł po cichu do schronienia Ernesta. Na stole położył okrągłą tacę z dziesięcioma kielichami i piękną karafką na wino, okrągłą, z dużym płaskim dnem.

– Doskonale. Masz jakąś robotę?

– Nie. – Lorenz miał nadzieję, że chociaż raz Ernest pozwoli mu wcześniej iść do domu. W ostatnich tygodniach wychodził z warsztatu ostatni, żeby zdążyć wykonać zamówienia na czas.

– To wyczyść tygiel w palenisku i uporządkuj trochę warsztat, kiedy twoi koledzy pracują, bo oni są zawaleni robotą – powiedział Ernest, nie podnosząc wzroku znad rysunku, który trzymał w rękach. Odłożył go, pokazał nań palcem i rzucił pytanie: – Potrafisz wykonać taki wzór?

Niemal cały stół zajmował rozwinięty rulon z narysowanym na nim trzy poziomym naczyniem w kształcie fontanny z dość szeroką najniższą częścią. Zrobienie przedmiotu tej wielkości i ze szlachetnego metalu byłoby zadaniem pracochłonnym, pomyślał Lorenz.

– Myślę, że tak.

– Co by ci było potrzebne? – Ernest przeszedł od razu do rzeczy.

– Musiałbym robić oddzielnie poszczególne części i znaleźć sposób ich połączenia. Chociaż, jeśli ma tu płynąć woda...

– Ma płynąć woda – przerwał mu szef.

– ...wówczas trzeba bardzo uważać, żeby nie przeciekała w miejscach łączenia. Lepiej zrobić duże formy, jak do wytapiania w piasku.

– Tym się nie przejmuj. Można to zrobić?

– Można.

– W porządku.

Lorenz czekał na nowe instrukcje, ale Ernest zajął się znowu rysunkiem i nawet nie zwrócił uwagi na przyniesione przez niego przedmioty. Odszedł więc, żeby wykonać polecenie, które uważał za poniżające: żaden z czeladników nie robił tego, co należy do ucznia. W każde, nawet najprostsze zadanie wkładał cały swój talent, i wiedział doskonale, że wyłącznie z woli Ernesta nie awansował nigdy z czeladnika na mistrza. Tak niesprawiedliwe traktowanie nie dawało mu szansy na lepsze zarobki ani na założenie własnego warsztatu.

Lorenz, wdowiec z dwunastoletnią córką, miał wielkie poczucie odpowiedzialności. Dawało mu to siłę do znoszenia wszelkich przeciwności, nawet jeśli w pracy nie cieszył się takim uznaniem, na jakie zasługiwał. Właściwie nie było to dla niego ważne. Błąkała mu się po głowie myśl, coś, co – jak sądził – mogło mieć znaczenie. Nie było to przekonanie, raczej przeczucie, jak wtedy, kiedy budzimy się ze snu, wiedząc, że coś nam się śniło, ale nie możemy sobie przypomnieć co. Zrobiliby wszystko, aby stało się rzeczywistością. Dla swojej córki Eriki.

I dla Ebby. Zawsze dla Ebby.



W ciszy i półmroku swojego kąta Ernest zbliżył do świecy srebrne przedmioty pozostawione przez Lorenza. Przesuwał każdy w jej świetle, jak gdyby podziwiał skarb, jak gdyby nadawał im ostateczny połysk. Wziął do ręki kielich i oglądał go z bliska. Ciężki, lecz nie przesadnie,

w najdrobniejszym szczególe był dziełem, każdy szlif wprawiał w zachwyt. Efekt był perfekcyjny; piękny przedmiot będzie doskonale spełniał swoją funkcję. Dostanie za niego wysoką cenę. Odstawił kielich na tacę. Świeca rzuciła żółtawe światło na szeroko uśmiechniętą, zadowoloną twarz złotnika.

Dzień powoli zbliżał się ku końcowi. Nikolas Fischer szedł ulicą, na której ciągle widniały ślady porannych uroczystości. Wrócił niedawno z ostatniej podróży akurat na czas, by wziąć udział w uczcie wydanej na cześć nowego burmistrza. Bardzo był dumny, że znalazł się pośród zaproszonych gości. Zadowolony z siebie pomyślał, że łagodny zmierzch pasuje do duchowego spokoju, jaki opanowywał go, ilekroć szedł do skryptorium, swojej świątyni. W wieku pięćdziesięciu lat był właścicielem największego świeckiego warsztatu kopistów w Kolonii.

Budynek, w którym znajdował się warsztat, był w początkach swej historii przeznaczony – jak wiele innych w Kolonii – na cele religijne. Sam parter w kształcie nawy z absydą w głębi świadczył, że miała to być bazylika, nigdy jednak nie została poświęcona. Domyślił się, że albo projekt upadł, albo skończyły się pieniądze, kiedy wiele lat później przejął niewykończoną i porzuconą budowlę.

– Herr Gebel. – Nikolas przywitał swojego zastępcę, nie podnosząc zbyt głośno głosu, aby nie mącić ciszy panującej w sali, w której pracowało dwadzieścia osób.

– Herr Fischer. Witam.

Zastępca poderwał się i stanął u boku właściciela warsztatu. Fischer wolnym ruchem zdjął pelerynę i kapelusz, położył je na ramieniu Gebela i usiadł na jego miejscu przy stole. Zgodnie ze zwyczajem zajmie się sprawdzaniem wykonanej w ciągu dnia pracy.

Mimo niskiej temperatury czoło Helmutha Gebela pokryło się drobnymi kropelkami potu. Nieco zagubionym wzrokiem rozejrzał się pomiędzy filarami. Strzelając palcami, dał znak siedzącemu najbliżej młodemu kopiście. Ten natychmiast wstał. Skrywając niechęć, zaczął zapalać świece i łójówki, porozstawiane po całym pomieszczeniu. Zastępowały naturalne światło o świcie i o zmierzchu, również w dni pochmurne i deszczowe, tak częste o tej porze roku, chociaż jeszcze nie nadeszła zima.

Kopiści pracowali przy pulpitych w grupach po trzech, tworząc półokrąg przy każdym z sześciu olbrzymich okien nawy. W pogodne dni wielkie, umocowane łożowanymi ramkami szyby przepuszczały mnóstwo światła, a okna wychodzące na północ i południe zapewniały światło słoneczne przez większą część roku. W środkowej części ustawione były stoły, na których pieczołowicie układano gotowy materiał. Nikolas Fischer kupił budynek wiele lat wcześniej, po powrocie z zagranicy, i zdecydował się wykonywać zawód inny niż ten, któremu poświęcił się jego ojciec. Chciał zająć się pracą, jaka do tej pory była domeną zakonników w klasztorach. Młody Fischer wierzył, że popyt na książki będzie większy niż podaż. I miał rację.

Uniwersytet w Kolonii rozpoczął działalność w 1388 roku i od początku zaistniała potrzeba kopiowania manuskryptów na użytek profesorów i studentów. Do skryptorium, które powoli znajdowało dla siebie miejsce na rynku zdominowanym przez skryptoria klasztorne, zaczęły napływać pierwsze zamówienia. Nikolas szybko znalazł sposób na zwiększenie produkcji, przekształcając rzemiosło w manufakturę: ostrożnie rozdzielał strony oryginału, dawał kopistom po kilka kartek i w ciągu paru tygodni miał je przepisane w tylu egzemplarzach, ile zamawiał kupujący. Im więcej egzemplarzy, tym liczniejsza musiała być grupa kopistów.

Rozpoczął sprawdzanie od skryby, który siedział najbliżej. Nikolas nigdy nie robił niczego na chybił trafił, ani w interesach, ani w życiu prywatnym. Kopista, chudzina, z siwymi rzadkimi

włosami, pozdrowił go pełnym szacunku skinieniem głowy. Znali się od wielu lat i w oczach Nikolasa zasłużył sobie na opinię sprawnego i niezawodnego pracownika. Był jednym z pierwszych, którzy zostali zatrudnieni w skryptorium. Nikolas przysunął strony leżące na pulpicie obok stołu i wiersz po wierszu przeglądał pracę. Nie spieszył się, sprawdzać należało powoli i dokładnie.

Gdy skończył, spojrzął na obecnych, którzy wpatrywali się w niego z niepokojem w oczach.

– Corneliusie, jeszcze raz dziękuję za staranną pracę – powiedział. – Pozdrów ode mnie rodzinę i niech z tobą dzielą dumę z uznania, jakim twoja praca cieszy się w tym miejscu. – Podniósł głos, aby słyszeli go wszyscy kopiści, siedzący przy swoich stołach. – Wielki wysiłek z doskonałym rezultatem.

Helmuth, zastępca Nikolasa, poprowadził go do sąsiedniego stołu. Pracował przy nim młody uczeń, Sven Vront, który w krótkim czasie osiągnął dość przyzwoity poziom. Umieszczono go z dwoma innymi kopistami, żeby pomogli mu szlifować technikę pisania. Niewiele mówił. Nikolas wziął z pulpitu kilka ułożonych w stos kartek i czytał je ze zwykłym irytującym spokojem. W końcu zbliżył jedną do światła padającego od strony okna i oświadczył:

– Jeśli chodzi o twoje umiejętności, szanowny Svenie, usprawiedliwia cię młodość. Będę niezmiernie wdzięczny, jeśli zechcesz sprawdzić tę stronę z twoimi kolegami kopistami i samemu zdecydować, czy powinna być przepisana jeszcze raz, czy nie. Jeśli powinna, będę wdzięczny za zrobienie nowej kopii jeszcze dzisiaj, tak aby nie pokrzyżować zaplanowanych przez Herr Gebła zadań. – Pozostałe strony odłożył na pulpit, razem z przeznaczonymi do oprawienia.

Uczeń przyjął słowa krytyki, nie okazując rozczarowania.

– Dziękuję, mistrzu.

Aleksandryn kopiowany przy sąsiednim stole nie zajął Nikolasowi dużo czasu. Bardzo stary manuskrypt, pozbawiony ozdób, został spisany uncją¹, pismem dużo prostszym i bardziej przejrzystym niż pismo współczesne. Wystarczyło pociągnąć litery mocniejszą kreską. Dlatego niemożliwe było, aby kopiści popełniali pomyłki. Nikolas zaakceptował kopie i poszedł dalej.

Przy następnym stole nie wziął do ręki żadnej kartki. Stał za plecami Marcusa Oestego i obserwował, jak pracuje. Kopista siedział pomiędzy dwoma innymi i był najmniej z nich trzech doświadczony. Nikolas przyglądał się przez kilka minut. Marcus nie przerwał pisania, gdyż znał zwyczaj mistrza. Nie po raz pierwszy Herr Fischer kontrolował jego pracę. Przesuwał pióro zdecydowanym ruchem, mając ramię mocno oparte o powierzchnię stołu. Kiedy zanurzał je w rożku z atramentem, spoglądał uważnie na stronicę, której kopie przygotowywał. Na szczególności zwracano w tym skryptorium wielką uwagę.

– Robi znaczne postępy – odważył się wtrącić Helmuth, ryzykując, że odwróci uwagę mistrza. – Często sprawdzam, jak pracuje.

Nikolas nic na to nie powiedział. Wykonane kopie i improwizowany egzamin potwierdzały nabycie umiejętności.

Po chwili Nikolas Fischer podwinął rękawy tuniki i odsłonił ręce do łokci. Marcus Oeste położył pióro w rowku na stole, gdzie już leżały inne. Wstał z krzesła, grzecznie ustępując miejsca. Pozostali dwaj kopiści też odłożyli swoje pióra do rowków i przyglądali się uważnie pokazowej lekcji.

Nikolas wziął do ręki pióro odłożone przez Marcusa, spojrzął na jego czubek, a potem w oczy ucznia.

– Jest trochę stępione... – powiedział Marcus.

– Jest trochę stępione – przyznał mistrz.

Pilniczkiem wyostrzył czubek, zanurzył pióro w atramencie, spojrzął na stronicę do skopiowania

i pewną ręką nakreślił kolejną literę. Idealnie prostą i wyraźną.

– Czubek pióra, szanowny Marcusie, powinien ledwie dotykać papieru. Jeśli naciskasz na nieregularne włókna papieru, kreska sama z siebie zaczyna drżeć. Każdy moment wahania, każde drgnięcie będzie zauważone przez tego, który przeczyta tekst. Pamiętaj, że z powodu takich usterek czytelnik z niechęcią odrzuci twoją kopię. I co najważniejsze: pamiętaj, że z biegiem lat tych czytelników będzie dużo więcej. Kilka wolumenów, które teraz kopiujemy, istnieje od wieków. Czy potrafisz sobie wyobrazić, ile osób przeczyta twoją kopię przez ten czas, kiedy będzie użyteczna?

Wrócił do pisania. Robił to perfekcyjnie i bardzo szybko. Kiedy skończył, odłożył stronicę na miejsce ukończonych kopii, podniósł się i zaprosił Marcusa do dalszej pracy.

Sprawdzał pozostałych kopistów. W panującej ciszy rozległ się jego niski głos.

– Czy ktoś zechce przynieść mi trochę wody? Doskwiera mi pragnienie.

W pomieszczeniu czuć było zapach topionego wosku. Różowawe światło zmierzchu wpadało przez okna po zachodniej stronie, natomiast po przeciwnej stronie w szybach odbijało się światło stojących na parapetach świec. Na zewnątrz cienie nocy wygrywały walkę z dniem.

Nikolas przyglądał brwi obiema dłońmi, zasłaniając przy tym całą twarz. Był to pretekst, by na chwilę zamknąć oczy. Od paru lat wzrok coraz bardziej mu się męczył. Ale na szczęście nie stracił ostrości; w jego zawodzie byłaby to prawdziwa katastrofa.

Kontynuował codzienny obchód i przekonywał się, że praca idzie dobrze. Następny w kolejce kopista, pochodzący z Fuldy, zreflektował się zapewne w tym momencie, że nie powinien być wprowadzać w życie ryzykownego pomysłu. Spróbował zostawić jakiś osobisty ślad na kopiowanych stronicach, chociaż wiedział, że mistrz nie będzie z tego zadowolony. Sama obecność Nikolasa kazała mu wątpić w powodzenie. Martwił się nie tyle tym, co mistrz mógłby powiedzieć o samym pomysle, ile tym, czy zaakceptuje jakość wykonania. Objawiał nerwowość od chwili, gdy Herr Fischer przestąpił próg skryptorium.

Nikolas oglądał stronicę. Zatrzymywał się przy niektórych liniach. Nic nie mówił, ale twarz mu ciemniała, chociaż zachowywał spokój. Nie chciał osądzać pochopnie. Czytał tekst, porównywał szczegóły, zastanawiając się, czy potrafi pohamować gniew. Helmuth też się przyglądał i kiedy zauważał, że coś nie odpowiada oryginałowi, przeklinał siebie za niedopilnowanie kopisty z Fuldy.

Po dłuższej chwili mistrz otrząsnął się z zamyślenia. Westchnął głęboko, trzymając w górze plik kartek. Drugą ręką przyglądał jasne włosy, rzadkie na skroniach, lecz gęste i zmierzwiłone na czubku głowy. Helmuthowi wydało się, że wyrywał sobie dłuższe kosmyki.

W głuchej ciszy słowa Nikolasa zabrzmiały jak uderzenia pięścią o stół.

– Zrób to jeszcze raz.

Podarł stronicę i rzucił fragmenty na stół kopisty. Odwrócił się i odszedł.

– I żebyś mi się nie ważył prosić o zapłatę za czas, jaki na to poświęcisz – dodał od siebie Helmuth.

Nikolas Fischer usiadł przy swoim stole. Podniósłszy głowę, spojrzał jeszcze raz na swoich podwładnych, pochylonych teraz nad pulpitemi. Jego stół znajdował się na końcu nawy, w tym miejscu absydy, w którym zwykle mieści się ołtarz. W istocie rzeczy, był Fischer pasterzem tego stadka owieczek i musiał dbać o to, by nie brakowało pieniędzy na opłacenie ich pracy. I nigdy nie brakowało. Wysilek całego życia rekompensowały w ostatnich latach znaczne przychody i dobra organizacja, więc jego stała obecność w skryptorium nie była konieczna. Daleko nie szukając, następnego dnia miał umówione spotkanie z arcybiskupem, Dietrichem von Moersem. Musiał mieć więc pewność, że wszystko będzie szło jak po maśle. Podniósł zagniewany wzrok na Helmutha,

który odczuł wielki ciężar odpowiedzialności.

Zastępca Fischera nie potrzebował słów. Był tam po to, aby nie powtórzyła się sytuacja sprzed kilku minut. Musi lepiej pilnować pracowników, zarówno kopistów, jak i uczniów. I może prowadzić ich bardziej twardą ręką. Na końskiej twarzy pojawił się wyraz wrogości. Nie miał zamiaru być jeszcze raz zmuszony do szukania pracy. Zajmował dobrą pozycję i nie myślał jej tracić. Dla kopisty z Fuldy zbliżały się niedobre czasy.

W zręcznych palcach Lorenza obracał się niewielki kawałek metalu. Owalny kształt i małe kółko w tylnej części wskazywały na to, że jest to niewykończony jeszcze klejnot. Być może pierścień. Albo raczej pieczęć. Obok leżała już rozbita piaskowa forma, z której został wyjęty. Były w niej wyżłobione kanały i zagłębienia, którymi płynął stopiony brąz. Młoteczkiem i cienkim dłutem Lorenz czyścił powierzchnię, usuwając grudki i zanieczyszczenia. Na koniec sztyftem maczanym w sproszkowanym pumeksie polerował cały przedmiot. Na błyszczącym polu pojawił się jedyny znak: litera „T”.

Drewniana płyta, na której pracował w niewielkim pokoju skromnego domu, pełna była podobnie wyglądających przedmiotów. Na każdym Lorenz umieszczał inną przygotowaną formę. W słabym, żółtawym świetle świecy, przy którym pracował, widać było niemal wszystkie litery alfabetu, pokryte czerwonym woskiem. Na arkuszu papieru migotały bezładne czerwone ślady samogłosek i spółgłosek.

Nieoczekiwane poruszenie przy drzwiach zaniepokoiło Lorenza. Otwierały się powoli, wpuszczając podmuch zimnego powietrza. Nagła jasność oślepiła go i dopiero gdy drzwi się zamknęły, mógł rozpoznać dwie zbliżające się postacie. Erika prowadziła za rękę małego Matthiasa.

– Przestraszyłeś się?

Dziewczynka uśmiechała się słodko, podchodząc do ojca. Lorenz, ciągle z wyrazem niepokoju na twarzy, przywitał się z dziećmi, Erikę pocałował w policzek, a małemu Matthiasowi zwichrzył włosy.

– Strasznie zimno na dworze, a tutaj takie przyjemne ciepło! Erika zdjęła ciemnoszarą pelerynę, którą miała narzuconą na wiśniową sukienkę, i położyła ją na oparciu krzesła. Matthias podszedł do Lorenza.

– Co robicie, Herr Block? – zapytał chłopiec głośno. Różowa skóra kontrastowała z niemrawym i sennym wyglądem, raczej niespotykanym u dziecka w jego wieku. W szczupłej twarzy błyszczały bystre oczy. Postawiony kołnierz wełnianego płaszczyka nieokreślonego koloru sięgał okrągłego podbródka.

– Tylko pieczęcie – odparł Lorenz, pomniejszając wagę swojej pracy.

– Matthias zje z nami kolację. Jego ojciec jeszcze pracuje w warsztacie, a mama... ma za dużo pracy z małymi dziećmi.

Lorenz kiwnął głową.

– Idę zrobić jedzenie. A wy pozbierajcie to wszystko – rozkazała Erika, wskazując na bałagan na jedynym stole w pokoju.

Lorenz zgodził się posłusznie.

– Tak jest. – I mrugnął okiem do Matthiasa. Dziewczynka podeszła do znajdującego się w pomieszczeniu paleniska. Ogień niemal w nim wygasał. Poruszyła resztką głowni, żeby go ożywić, dorzuciła kilka polan, najpierw mniejsze i dopiero po chwili większe i cięższe. Zdjęła poczerniały sagan z łańcucha i napełniła wodą z beczki. Z trudem zawiesiła go z powrotem na miejsce. Po chwili płomień zaczęły go ogrzewać.

Wąska fasada nadała prostokątny kształt przestrzeni mieszkalnej od drzwi wejściowych do dziedzińca z tyłu domu. Było to jedno pomieszczenie, z paleniskiem w głębi. Zawilgocone klepisko z ubitej ziemi nosiło ślady przestawianych kilku ledwie mebli: stołu, paru krzeseł, kufra... W mieszkaniu było jeszcze górne pięterko, na tyle duże, żeby pomieścić dwa wysłużone łóżka i komodę.

Cała przestrzeń na dole wypełniła się parą z sagana, okna zaszyły mgiełką. Erika wspięła się na palcach, by sięgnąć do garnka, i nasypała do niego kilka garści mąki ze stojącego obok niej worka. Wrzątek zabarwił się na biało. Wielką drewnianą chochlą mieszała papkę, która powoli zaczynała gęstnieć. Odłożyła chochlę na brzeg sagana, odsunęła z twarzy długie ciemne włosy i zatknęła za uszami. Spojrzała na ojca i chłopczyka.

– Co jest narysowane na tych pieczęciach? – Matthias spytał Lorenza, który uważnie zbierał ze stołu swoje narzędzia pracy.

– Litery.

– Litery?

– Tak. Popatrz. – Lorenz znowu usiadł i posadził sobie małego na kolanach.

Przysunął jedną z pieczęci do zaciekawionej buzi chłopca i zaczął tłumaczyć:

– To jest litera „M”. Taka sama jak w twoim imieniu. Matthias.

– Em?

Lorenz przytaknął z uśmiechem.

– Może poprosisz Erikę, żeby nauczyła cię czytać? Bardzo dobrze umie czytać. I pisać.

Erika, zajęta gotowaniem przy kominku, odezwała się:

– Ojciec, całymi dniami ci pomagam. Kiedy mam go uczyć?

Lorenz pokiwał głową w zamyśleniu.

– No popatrz, Matthiasie. Wygląda na to, że odmawia. Lorenz wiedział, że jego córka, usłyszawszy to, zaprotestuje.

Wychował ją na dziewczynkę dumną, sumienną i energiczną. Czasem zdawało się, że paraliżuje ją nieśmiałość, ale było to przelotne wrażenie. Erika była silna i jeśli chciała coś zrobić, nic jej nie mogło powstrzymać. Nadawało jej to fałszywe poczucie pewności siebie, co uważał za bardzo dobrą cechę. Sam czuł się pewniej, ufał jej i wiedział, że bez jej pomocy nie dałby sobie rady. Ale nie umiał jej tego powiedzieć. W ich samotnym życiu niewiele znajdowali okazji, żeby wyrażać swoje uczucia. Dla Lorenza żadna chwila nie była odpowiednia. A lata mijały.

– Na pewno nie! – zawołała Erika i machnęła chochlą. Trochę gęstej papki spadło jej na głowę. Widząc przyjaciółkę upačkaną kolacją, Matthias zaczął pokazywać ją palcem, zaśmiewając się do rozpuku.

– Co się stało? – spytała Erika. Dotknęła ręką włosów. – A, to dlatego tak się śmiejesz?

Potrząsnęła łyżką w stronę Matthiasa i parę zawieszistych klusek z zupy poleciało w jego stronę. Śmiejąc się ciągle, złapał je do ręki i wsadził do buzi.

– Dobrze.

Erika rzuciła ze złośliwym uśmieszkiem:

– Mam tu jeszcze pełen garnek...

Lorenz patrzył na nich z radością. W końcu uznał, że czas pokazać, kto tu jest dorosły, i zaprowadzić trochę porządku.

– Wystarczy tego rzucania jedzeniem. Lepiej zjedzmy kolację przy stole.

Wziął gliniane talerze i podszedł do Eriki.

– Idź usiąść. Ja nałożę.

Odsunęła go.

– Ojcie, to ja mam tobie pomagać.

Lorenz uśmiechnął się, kiedy podawała mu pełen talerz.

– Wiem. Zanieś go do stołu.

Erika też się uśmiechnęła i posłuchała ojca. Kiedy wszyscy siedzieli już przed pełnymi talerzami, dziewczynka złożyła dłonie. Matthias zrobił to samo. Widząc, że ojciec nie zauważa, co zamierza zrobić, wyszeptała:

– Ojcie.

Spojrzał na nią, przymknął oczy i złożywszy dłonie, wysłuchał słów córki.

– Panie, pobłogosław te dary, które w swojej szczodropliwości nam ofiarowujesz. Daj chleb głodnym i drogę do Boga tym, którzy chleb mają. Amen.

Matthias powtórzył „amen”, nie odrywając wzroku od stojącego przed nim talerza. Jego rodzina żyła jeszcze skromniej niż Blockowie, mimo że rodzice ciężko pracowali całymi dniami. Ale i tak zawsze udawało mu się zapełnić żołądek pełnym talerzem ciepłej stawy. Często dzięki Ericie. I to właśnie jej był dzisiaj wdzięczny za posiłek. Nie wiedział, kto to jest Bóg, poza tym to nie on przygotował te smaczne kąski. Lorenz miał podobne myśli, ale ograniczył się do wysłuchania w ciszy modlitwy córki.

W czasie kolacji na wszystkie pytania Matthiasa odpowiadała Erika. Była od niego tylko o kilka lat starsza, ale zachowywała się, jak gdyby była jego matką, zajmowała się nim przez większą część dnia. Dbała o tego małego tak samo, jak dbała o ojca. Uważała, że opiekowanie się bliskimi to coś naturalnego w życiu każdej dziewczyny, osieroczonej przez matkę.



Kiedy sprzątnęli po posiłku, Lorenz usiadł na łóżku i przewracał strony narracyjnego poematu zatytułowanego Biedny Henryk. Ostrożnie dotykał papieru welinowego, w który był oprawiony. Wodził powoli palcem wzdłuż wersów, mówiących o tragedii ludzkiej – w książce przedstawiono losy rycerza ukaranego przez Boga trądem. Przyjaciel Lorenza, Johann Buchmann, już wcześniej mówił mu o tym poemacie. Księgarz sądził, że być może w bohaterze historii Lorenz zobaczy siebie. Jak dotąd przeczytał zaledwie tę część, która mówi o okolicznościach, w jakich Henryk zapada na straszną chorobę. Johann wszakże zapewnił Lorenza, że na końcu opowieści bohater dozna duchowej odnowy, a to przyniesie ulgę jego cierpieniom. Użył przy tym słowa „katharsis”.

Obok Lorenza leżała kartka papieru: podnosił ją od czasu do czasu i kładł na stronie przeciwległej do tej, którą czytał. Palcem lewej ręki zaznaczał słowo, które zwróciło jego uwagę, a prawą ręką to samo słowo na luźnej kartce – i porównywał je. Litery były te same, ale na jego kartce tańczyły jak czerwone mrówki, które zgubiły drogę do mrowiska.

Położył kartkę i książkę na podłodze i jednym silnym dmuchnięciem zgasił świecę. Dla pewności zwilżył palce i ścisnął knot. Zamknął oczy, starając się zapaść w odprężający sen, jakiego od dawna potrzebował. Za oknem gwizdał wiatr. Wbrew temu, co często słyszał od wielu ludzi, były sprawy, których w minionych latach nie udało mu się urzeczywistnić. Za zasłonką, kilka kroków dalej, spała w swoim łóżku Erika, nieświadoma rozterek ojca.

Tej nocy, w ciemnościach, Lorenz znajdował jedyne pocieszenie; po omacku wyszukał palcami leżącą na podłodze otwartą książkę. Dotknięcie papieru i farby użytej do spisania długiego poematu Hartmanna von Aue rzucało na niego czar, jak gdyby przesiąkał jakąś magiczną mocą. I w końcu zasnął.

Kiedy otworzył niewielkie drewniane drzwi, przyprawiający o mdłości smród uryny omal nie zwałił go z nóg. Ulica była pusta i sprawiała przygnębiające wrażenie. Liczne wykusze i gzymsy nie dopuszczały światła słonecznego, dlatego zawsze panował tu ponury półmrok. Nikolasowi jednak to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, odpowiadało mu, że miejsce nie było zbyt uczęszczane. W ręce trzymał prostokątny pakunek, owinięty w kawałek materiału, takiego samego brązowego koloru jak jego peleryna. Zamknął za sobą uważnie drzwi, zasłonił twarz i skręcił w przecznicę. Szybko przeszedł na drugą stronę, nie chcąc, by ktokolwiek go zauważył. Ta ulica też była wąska, chociaż nie tak jak poprzednia. Przebiegł przez labirynt kilku innych uliczek i dopiero kiedy dotarł do niewielkiego otwartego placu, odsłonił twarz i zwolnił kroku.

Wszedł do stajen, gdzie zwykle wynajmował konie. Był dobrym klientem i właściciel zarezerwował dla niego pięknego kasztana. Nie mówiąc wiele, Nikolas dosiadł konia i pogalopował do pałacu arcybiskupa. Dietrich von Moers go oczekiwał. Nikolas popędził konia, żeby się spieniał, chciał bowiem sprawiać wrażenie, że przybywa z daleka. Zawsze dbał o pozory.



Głośne rzenie wyrwało arcybiskupa z głębokich rozmyślań. Dobrze czuł się w Kolonii, a w pełni obowiązków duszpasterskiego sił dodawała mu bliskość budowanej katedry. Mieszkańcy z dużą powściągliwością okazywali należny von Moersowi szacunek. Wszyscy obawiali się jego władzy i wpływu na prace sądów – i z tego był bardzo zadowolony. Podniósł się z krzesła i leniwym krokiem podszedł do okna. Na dole, na dziedzińcu, Nikolas Fischer oddawał lejce stajennemu. Arcybiskup uniósł lekko brwi, westchnął i wyszedł z gabinetu w momencie, gdy służący informował go o przybyciu cenionego kopisty.

– Zaprowadź go do biblioteki. I przynieś nam piwo.

Służący kiwnął głową i pobiegnął wykonać polecenie. Był jeszcze na schodach, gdy doleciał go głos arcybiskupa:

– Ale nie najlepsze. Nie będziemy popełniać grzechu zarozumialstwa.

Drobne kroki Dietricha von Moersa ginęły w gęstych dywanach, pokrywających marmurową posadzkę. Usiadł w fotelu za dużym stołem ze szlachetnego drewna. Wielki fotel, podobny do tronu, był wyższy niż pozostałe. Dzięki temu siedząca przed nim osoba musiała trzymać głowę lekko podniesioną. W salonach arcybiskupa było wiele takich drobnych elementów, niepozostawiających gościom żadnych wątpliwości co do tego, kto tu jest najważniejszy. Czekał w fotelu wyprostowany, z na pół przymkniętymi oczami. Po chwili wszedł służący i gromkim głosem zaanonsował Nikolasa Fischera. Von Moers ukrył zniecierpliwienie; musi zbesztać służącego za ostentacyjne zapowiadanie wizyt. Nie chciał, by Jego Ekscelencję uznano za pyszałka. Nie bez przyczyny on, Dietrich von Moers, był arcybiskupem Kolonii, arcykanclerzem Cesarstwa Rzymskiego i elektorem Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego.

Wchodząc do biblioteki, Nikolas zdjął nakrycie głowy. Arcybiskup podał mu miękką, lepką od potu rękę.

– Ekscelencjo, najdostojniejszy księżę arcybiskupie... – zaczął powitanie Nikolas. Ukląkł, aby

ucałować pierścien – czerwone oko na wyciągniętej dłoni wysokiego dygnitarza kościelnego.

– Dobrze już, dobrze. Znamy się na tyle, że możemy pominąć te formalności. Usiądźcie, Nikolasie. Byliście ostatnio w podróży?

Zanim odpowiedział, otworzyły się drzwi. Lokaj wniósł dwa kufle i niewielką beczułkę inkrustowaną szlachetnymi kamieniami z małym kranikiem na dole. Von Moers ręką wskazał mu, gdzie to postawić, po czym kazał wyjść. Kiedy drzwi się zamknęły, Nikolas powiedział:

– Jesteście, księżę arcybiskupie, doskonale poinformowani. Byłem w Wenecji, skąd właśnie przywożę dla was podarunek, jeśli Wasza Ekscelencja uczyni mi ten honor.

Arcybiskup wziął w swoje drobne dłonie pakiecik, który Nikolas położył ostrożnie na stole.

– Wiecie aż nadto dobrze, że dowody przyjaznych uczuć są zawsze mile widziane. Oczywiście możecie uświetnić tę skromną bibliotekę naszego Świętego Kościoła tyloma egzemplarzami, iloma zechcecie. Cóż to jest tym razem, Nikolasie?

– Podróż Marca Pola, arcybiskupie.

Odwijając cienki materiał, w który prezent był owinięty, Dietrich von Moers uniósł brew.

– Sądzicie może, że ksiązę elektor w Kolonii i arcykanclerz Cesarstwa Rzymskiego nie posiada przynajmniej kilku egzemplarzy tej książki? – spytał z ironią w głosie, wzrokiem obejmując bibliotekę.

Nikolas się uśmiechnął.

– Ale przyjrzyjcie się dobrze temu wydaniu, Ekscelencjo.

Arcybiskup wziął do ręki książkę, otworzył zniszczoną okładkę i głośno przeczytał tytuł:

– Opisanie świata... – Przymknął oczy. – Takie stare wydanie... Czy może...?

Nikolas, wyraźnie zadowolony, przytaknął.

– Tak, Ekscelencjo, tak. Pierwsze wydanie księgi Marca Pola, w języku prowansalskim, od lat uważane za zaginione, słynne Il milione.

Von Moers nie ukrywał zdumienia.

– Ale jak...? – Uśmiechnął się. – Nie wiem, po co pytam, i tak mi nie powiecie, jak je zdobyliście, prawda? No dobrze, rozumiem, że nie chcecie ujawniać swoich źródeł.

Arcybiskup pociągnął za piękny upleciony z materiału sznur, który wisiał za jego plecami.

– Sprowadzę tu kogoś, kto zna prowansalski. Nie na darmo mówi się, że nie zawsze potrzebna jest wiedza, bardziej się przydaje nazwisko tego, który ją posiada.

Do biblioteki wszedł służący.

– Zabierz to piwo i przynieś wino, które przysłał nam ksiązę. – Zwrócił się do Nikolasa. – Jest doskonale, zobaczycie. Ale, Nikolasie... – Wstał z fotela. – Wybaczcie moją ciekawość... chciałbym poznać waszą opinię o naszym nowym burmistrzu.

– O naszym burmistrzu? Cóż innego może powiedzieć uniżony sługa Waszej Ekscelencji i Boga, jak tylko okazać chęć współpracy z tym, który został wybrany?

Von Moers uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Widzę, że zawsze macie właściwą odpowiedź, a nawet aż nadto właściwą, Herr Fischer. Chodzi mi o to, co się tu opowiada.

Nikolas słuchał uważnie. Arcybiskup, widząc, że nie otrzyma odpowiedzi, zniecierpliwił się.

– Wiecie przecież, że wyeliminowanie jego rywala to sprawa samego Hellera.

Dietrich von Moers utkwiał wzrok w twarzy Nikolasa. Kopiście wydało się, że obserwuje go zmija, gotowa do ataku. Nadejście służącego z winem dało mu chwilę do zastanowienia. A kiedy ten wyszedł, Nikolas postarał się znaleźć słowa, którymi sobie zanadto nie zaszkodzi.

– Wiadomo, że ludzie niskiego stanu lubią powtarzać pogłoski, bez złych intencji, dla zwykłej

rozrywki. Godny pożalowania wypadek, jakiemu uległ hrabia, wpadając nocą do rzeki, rozpalili wyobraźnię ludu.

– Nie słyszałem o tym z ust kogoś z ludu, lecz od szlachetnie urodzonych, żarliwych wyznawców naszego Pana – odparł arcybiskup z irytacją.

Nikolas odchrząknął. Wchodził na śliski teren, musiał bardzo uważać na słowa. Ale zanim powiedział cokolwiek, odezwał się von Moers.

– Posłuchajcie, Nikolasie, będę z wami szczery. – Usiadł na nowo i położył dłonie na biurku. Wyglądały jak szpony drapieżnika. – Nigdy nie ukrywałem, że hrabia był moim faworytem. Był to człowiek głęboko wierzący, dusza miłosierna, i zawsze okazywał hojność wobec Kościoła. Prawdziwy przykład pobożności.

Nikolas wspomniał w myśli to, co mówiono o hrabim i jego zamiłowaniu do młodych panien, a także biciu służby za najdrobniejsze przewinienie. Przełknął drwinę z łykiem wina.

Arcybiskup mówił dalej.

– Nie mam nic przeciwko Hellerowi. Pomimo mojego pochodzenia i szlacheckiej krwi – Nikolas wiedział, że kiedy nie wymieniał tytułów kościelnych, von Moers zwykle podkreślał, że wywodzi się ze starożytnego rodu – potrafię zaakceptować, a nawet pochwalić tych, którzy znajdują dla siebie miejsce w społeczeństwie dzięki uporowi i talentom. Z drugiej strony nie mogę nie okazać pewnej... nieufności, kiedy widzę ostentacyjne przejawy ambicji. Sami widzieliście ten tumult i wrzawę, jakie Heller nam podarował w dniu przyjęcia stanowiska. To zupełnie normalne, należy go zrozumieć, ale zgodzicie się ze mną, że takie zadzieranie nosa jest w złym guście.

– Naturalnie, księżę arcybiskupie. I jest grzechem, chociaż nie wiem, czy zasługuje na wieczne męki w piekle, czy może wystarczy jakiś krótszy pobyt w czyśćcu.

Dietrich von Moers chciał zapewne miną wyrazić niezadowolenie, ale w końcu wykrzywił tylko usta w półśmiechu.

– Wy i wasza cudowna ironia! – Roześmiał się. – Doprawdy, Nikolasie, muszę docenić waszą umiejętność trafiania w sedno. Wykorzystajcie ją, żeby opisać mi, według waszych kryteriów, naszego nowego burmistrza.

Jak dobry pies myśliwski, który nigdy nie zostawia złowionej zwierzyny, arcybiskup nie miał zamiaru wypuścić Nikolasa, dopóki ten nie odkryje swoich kart. Szanowany kopista, dając do zrozumienia, że pytanie traktuje poważnie, postawił kielich na srebrnej tacy i oparł się wygodnie w krześle. Złożył ręce na podołku i dopiero wtedy przemówił.

– Nie ma wątpliwości, Wasza Ekscelencjo, że burmistrz Overstolz pokazał, iż jest człowiekiem ambitnym, obdarzonym umysłem praktycznym i talentem do wypowiedzania tego, co jego interlokutor chce usłyszeć. Ta umiejętność najwyraźniej otwiera więcej drzwi, niżby nakazywała przyzwoitość. Biorąc pod uwagę jego zawód mistrza budowlanego, może okazać się przydatny dla miasta, dla was, Ekscelencjo, i Jego Cesarskiej Wysokości jako pośrednik pomiędzy cechami i kupcami, którzy zajmują coraz ważniejszą pozycję w miastach takich jak Kolonia.

– Aha... – Dietrich von Moers odwrócił wzrok i zamyślił się na chwilę. Nikolas szybko przebiegł w myślach dopiero co wypowiedziane własne słowa, upewniając się, że nie zawierają niczego niewłaściwego.

Von Moers wstał i założywszy ręce na plecach, podszedł do okna.

– Moje obawy tego właśnie dotyczą, Nikolasie. Z pewnością wiecie, że niedługo tron cesarstwa znajdzie się w innych rękach, przejmie go dynastia Habsburgów. Z jednej strony jestem z tego zadowolony, gdyż są żarliwymi katolikami, z drugiej jednak muszę mieć się na baczności, bo znani są z tolerancji wobec lokalnych władz. A Heller jest koniem, którego trzeba trzymać na wodzy.

– Nie rozumiem waszego niepokoju, Ekscelencjo. Wy jesteście księciem całego arcybiskupstwa Kolonii, wasza władza w mieście jest olbrzymia. W wielu sprawach dla Hellera wy będziecie ostatnią instancją.

Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego było zlepkiem krajów, księstw, terytoriów i ksiąstewek, rządzonych przez lokalnych monarchów. Zgodnie z tradycją cesarzem zostawał władca jednego z najsilniejszych krajów. Jednak czasem dysputy przy wyborze cesarza kończyły się krwawymi wojnami. Aby wyeliminować takie sytuacje i połączyć istniejący system z systemem nowoczesnym, zcentralizowanym i autorytarnym, cesarz Karol IV wydał w 1356 roku Złotą Bullę, w której, między innymi, ustalono formę przeprowadzania wyborów. Miało ich dokonywać siedmiu elektorów, czterech świeckich i trzech duchownych, wśród których znajdował się arcybiskup Kolonii. W 1435 roku na czele cesarstwa stała dynastia Luksemburgów, jednak z układu zawartego między nimi i Habsburgami wynikało, że wobec bardziej niż prawdopodobnego braku następcy tron zostanie przekazany Świętemu Cesarstwu. Następnym cesarzem miał być Habsburg. W tej sytuacji wybór sprowadzał się jedynie do formalnego potwierdzenia.

Arcybiskup wrócił na miejsce przy stole.

– Nikolasie, wiecie, że spoczywa na mnie olbrzymia odpowiedzialność polityczna. A także znacie moje obowiązki wobec naszego Świętego Kościoła. Przede wszystkim obowiązuje mnie służba Bogu, naszemu Panu. – Wzniósł oczy na sufit pokryty drewnianą polichromią. – Na drugim miejscu są Ojciec Święty i Jego Cesarska Wysokość. Nie mogę tych dwóch sfer oddzielić, gdyż razem tworzą władzę doskonałą. – Połączył dłonie, krzyżując palce. – Władza duchowa i władza ziemską. A ja nie rezyduję w Kolonii, jak wiecie. Hrabia i ja mówiliśmy tym samym językiem. A teraz wszystko jest wielką niewiadomą. Nie twierdzą, że Hellerowi zależy wyłącznie na karierze... Niech Bóg broni! Powiedzmy, że jak dotąd nie określiliśmy naszych stanowisk. Nikolasie, cesarstwo potrzebuje władzy centralnej, silnej władzy!

Zacisnął dłonie. Szczękami ruszał tak mocno, że sine wargi niemal zniknęły. Mówił dalej, wolniej dobierając słowa.

– Jesteśmy nadzieją Zachodu, jego bastionem, jego twierdzą... Czy wyobrażacie sobie, Nikolasie, podział naszego cesarstwa?

Nikolas skinął powoli głową.

– Rozumiem, Wasza Wielbność, że to byłaby bardzo niebezpieczna sytuacja... – odparł ostrożnie.

Oczy von Moersa ciskały iskry.

– No właśnie! A heretycy już się tu pojawiają, zastawiają pułapki! To może być upadek chrześcijaństwa, cywilizacji! Nie wolno nam do tego dopuścić!

Uderzył pięścią w stół, tak głośno, że aż sam się przestraszył. Zorientował się, że zaczyna tracić panowanie nad sobą. Potarł nerwowo rękę i uspokoił się.

– Wy, Nikolasie, też jesteście człowiekiem praktycznym.

I bardzo utalentowanym, niewątpliwie.

– To nazbyt łaskawa opinia, Ekscelencjo – podziękował Nikolas.

– Nie, nie, nie przesadzam, i dobrze, że o tym wiecie. Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą u was cenię.

Przerwał na chwilę, widząc zaciekawienie na twarzy Nikolasa. Znowu się podniósł i zaczął przechadzać się po pokoju.

– Wiecie, co to jest?

– Płonę z ciekawości.

– Doskonale zdajecie sobie sprawę, kto jest nad wami, jakie miejsce wy zajmujecie. To, mój drogi Nikolasie, sprawa podstawowa. W tym kraju potrzebna jest tradycja, porządek, szacunek dla Boga i Jego woli, a nie chciwość, pogoń za pieniądzem, lichwa.

Dietrich von Moers stanął za Nikolasem, który poczuł się nagle dziwnie bezbronny. Palce arcybiskupa zacisnęły się na jego ramionach, niczym dżdżownice wijące się w wilgotnej ziemi. Rosłe, kluchowate ciało częściowo zasłaniało światło wpadające przez okno, rzucało cień, jak groźbę. Ciężar całego cesarstwa wypełnił bibliotekę. Nikolas nie wiedział, co powiedzieć. Siedział cichy i potulny.

– Wierzę, że będziecie informować mnie o wszystkim, co uznacie za ważne. Wasze skrytorium i umiejętności pozwalają wam mieć kontakt z ludźmi w naszym mieście i poza nim. Nie zapominajcie, sprawiedliwych czeka nagroda. – I zniżając głos, jak w konfesjonale, dodał: – Tak jak i na słabych duchem spada zemsta Boga.

Nikolas przełknął ślinę.

– Jestem jedynie skromnym sługą bożym, Wasza Ekscelencjo. Obawiam się, że przydajecie mi więcej umiejętności, niż posiadam. – Uśmiechnął się nieśmiało.

– Ale nie ma wątpliwości, że dla dobra cesarstwa będę zawsze do usług.

– Cieszę się, słysząc te słowa, Nikolasie. Ani chwili nie wątpię w wasze oddanie. – Poklepał go po ramieniu. – Raduje nas prezent i wizyta, ale nie chciałbym być nieuprzejmy i zabierać wam więcej czasu.

Nikolas wstał. Dietrich von Moers, przyjmując błogi wyraz twarzy, odprowadził go do drzwi. Stojąc w progu, kopista skłonił się i, gotowy do wyjścia, już zaczął nakładać kapelusz. Zobaczył, że ramię arcybiskupa unosi się lekko. Blask pierścienia padał na obłudnie serdeczny uśmiech von Moersa. Nikolas ujął wiotką dłoń i pokornie ucałował czerwony kamień na palcu. Poczuł, że robi mu się niedobrze.

Silny nurt potężnego Renu łagodził ciężką kontynentalną zimą w głębi kraju. W połowie listopada zimno było codziennością, a nadchodząca pora roku wisiała już nad miastem jak czekający na rozpoczęcie ataku wróg. Grube płaszcze, wełniane kaptury, czapki różnego koloru i fasonu, wszelkiego rodzaju ciepłe okrycia były koniecznością. Dni stawały się coraz krótsze, a długie wieczory spędzano w domach w rozgrzewającym ciepłe kominków.

Przy tak niskiej temperaturze niewiele było do roboty poza domem, więc począwszy od ostatniej niedzieli października, Erika dawała lekcje czytania małemu Matthiasowi. To, że pomagała ojcu w pracy, nie było powodem, żeby nie podjąć się nowego zadania, któremu poświęcała kilka godzin w tygodniu. Od tamtej pory minęły dwa tygodnie. Tego zimnego dnia wiatr nieprzerwanie uderzał w okiennice sąsiedniego domu. Kiedy Erika otworzyła drzwi i wyszła na ulicę, z paleniska uniósł się kłębek popiołu i zakołysał w powietrzu w pustym pomieszczeniu.

Erika zastukała do drzwi wąskiego domu, gdzie mieszkała rodzina Smidów, spodziewając się, że jej mały przyjaciel przybiegnie ją przywitać. Ale gdy się otwarły, stanęła w nich Frieda, matka Matthiasa, w wielkim fartuchu, o który wycierała dłonie. Z wnętrza dochodził silny zapach cebuli. Frieda miała wydatne policzki i ślady zmęczenia wokół oczu. Uśmiechnęła się słabo i zaprosiła Erikę do środka.

– Wejdz, kochanie, wejdz. Jest strasznie zimno.

– Dziękuję, Friedo – powiedziała Erika.

Padła bez przerwy od kilku dni, i mimo że zrobiła ledwie kilka kroków, nogi miała przemoczone i sztywne z zimna.

– Robię kolację, ale Matthias mi mówił, że znowu będzie jadł u was. Wytłumaczyłam mu, że żywienie go nie może stać się waszym obowiązkiem.

– Ależ nie, Friedo, proszę. Mój ojciec chce, żeby przychodził. Lubi odpowiadać na jego pytania. Poza tym Matthias i ja musimy pracować. – Zrobiła oko do chłopaka, który nieśmiało przyglądał się tej scenie, przyklejony do nogi stołu. Uśmiechnął się i pobiegł w głąb domu.

Akurat wtedy wrócił do domu Penrod Smid. Twarz i ręce miał pomazane gliną, był w wesołym nastroju i już od progu było go słychać.

– Wielkie nieba, czyż to nie piękna Erika zaszczyca nas swoją obecnością...

– Dzień dobry, Herr Smid. Dzisiaj też poszliście do pracy? – Erika odpowiedziała na powitanie.

– Tak, moja droga. Kiedy trzeba skończyć robotę dla kupca, któremu pilno, niedziele nie istnieją.

– Już, mogę iść! – zawołał Matthias, kiedy wrócił. Ubrany był w ciepły płaszcz, a na głowie miał podniszczoną wełnianą czapkę. W ręce trzymał zwinięty kawałek materiału.

– Co to jest? – spytała Erika.

– Taki drobiazg – odparła Frieda. – Mały prezent, wełniany kaptur dla Lorenza, żeby go chronił przed tym zdradzieckim zimnem.

– Dziękuję, ale nie musieliście... – powiedziała Erika, biorąc zawiniątko, które Matthias jej podał.

– To tylko kaptur, Eriko. Twój ojciec i ty tyle dobrego dla nas robicie.

Twarz Friedy wyrażała szczerą wdzięczność. Erika miała ochotę uściskać ją, poczuć, że ma większą rodzinę, że jej ojciec i ona nie są tak zupełnie sami. Ale Matthias już przestępował z nogi na nogę.

– To już? Idziemy? – spytał.

– Idź, Matthiasie, idź. I bądź grzeczny, bo jak nie, to Erika i Lorenz nie będą chcieli cię więcej widzieć... – Frieda przytuliła go z uśmiechem.

Kiedy Erika i Matthias wyszli, Frieda podeszła do męża i pocałowała go w policzek. Powiedziała coś, o czym często myślała.

– Ta dziewczyna to skarb. Nie wiem, jak Lorenz poradziłby sobie bez niej.

A Penrod dodał:

– I my też. Gdzie są nasze małe?

– Śpią. Więc lepiej mów cicho.



– Przeczytaj to, co napisałam.

– Ale to trudne. Całe dwie linijki. – Matthias wpatrywał się w kartkę, którą podsunęła mu Erika.

– Nie narzekaj. Już wiesz, jak brzmi każda litera. Musisz się trochę wysilić.

Minęło kilka godzin, odkąd skończyli posiłek, i teraz, siedząc jak najbliżej kominka, zajęli się nauką czytania. Matthias mozolnie starał się łączyć litery w sylaby, ale słowa nie pojawiały się od razu. Dopiero kiedy kilka razy powtórzył sylaby i zorientował się, że jest to słowo mu znane, wtedy czytał je płynnie. W ciągu niecałych dwóch tygodni nauczył się wszystkich liter.

Mimo to nauka była dla jego małego umysłu nie lada wyzwaniem. Tego dnia właśnie zaczynał już czytać całe zdania, ale brzmiały one w jego wykonaniu nieco zagadkowo. Przy niektórych słowach bardzo się męczył, lecz upór i duma z tego, że jest pierwszym w rodzinie, który uczy się czytania, sprawiały, że zaczynał od nowa, poprawiał błędy, powtarzał do upadłego.

Erika poszła do kuchni, kiedy już powtórzyła z nim cały, przygotowany poprzedniego wieczoru materiał. Słyszała rytmicznie powtarzane sylaby, za każdym razem coraz lepiej. Skończył czytać zdanie:

– Ry-cerz-pod-biegł-do-ko-nia.

Podniósł dumnie głowę i powtórzył.

– Rycerz podbiegł do konia.

Erika podeszła i spojrzawszy na kartkę ponad jego ramieniem, powiedziała:

– Nie, Matthiasie. Przecież widzisz, że to jest jedno słowo. Tu nie możesz niczego oddzielić.

Nic jej nie zniechęcało do uczenia chłopca. Zawsze też znajdowała czas, żeby pomagać ojcu. Kiedy malec dalej się trudził, tak poważny i skupiony, że nie mogła się nie uśmiechnąć, rzuciła okiem na ojca, który najwyraźniej nie zwracał uwagi na to, czym ona i Matthias się zajmują.

Ale tak nie było. Gdy wróciła znowu do kuchni, patrzył na nią z dumą w oczach. Czasem zapominał, że przecież jest jeszcze małą dziewczynką. Zawsze była zajęta to sprzątaniami, to gotowaniem, przynoszeniem wody albo praniem, albo reperowaniem ubrania. Kiedy potrzebował, pomagała mu w jego projektach. A teraz uczyła Matthiasa czytać. Zwykle trudno jest przekonać małego chłopca, żeby chciał czytać, lecz Erika robiła to bardzo dobrze. Nagle wrócił myślami do czasu, gdy sam był w wieku swojej córki. Wtedy wszystko wyglądało inaczej, przynajmniej w jego rodzinie.

Jego ojciec, Hans Block, był mistrzem złotniczym, u którego wielu ważnych klientów zamawiało

wyroby. Był bardzo ceniony, a przedmioty, które wychodziły spod jego ręki, cechował niezwykle artystyczny. Mały Lorenz patrzył na niego z podziwem, zachwycił go kunszt ojca, fascynowały lekkie uderzenia w cenny metal. Zanim jednak Lorenz został uczniem, ojciec przygotował dla niego niespodziankę.

Mając przez wiele lat kontakty z ludźmi bogatymi i wpływowymi, Hans Block przekonał się, że niewielu spośród nich nie było świadomych znaczenia nauki, podczas gdy jego terminatorzy i ludzie prości i biedni traktowali umiejętność czytania i pisanie jak coś osobliwego. Kiedy więc Lorenz był małym dzieckiem, ojciec pomyślał, że wiedza będzie najcenniejszym darem, jaki mu pozostawi. Nie wiadomo, jakich wpływów używał, udało mu się jednak umieścić chłopca w seminarium z obietnicą, że w przyszłości Kościół wzbogaci się o jeszcze jedną duszę. W rezultacie syn nauczył się ładnie pisać i szybko czytać, nabył też kilka innych umiejętności, które niekoniecznie były przydatne dla zwykłego człowieka. Natomiast obietnica dana braciszkom przez ojca została złamana częściowo z powodu niezdecydowania syna co do wyboru zawodu, a częściowo z powodu pazerności, z jaką seminarium chciało zapewnić sobie kolejny etap edukacji młodego ucznia.

Lorenz opuścił religijną społeczność, tak jak przyszedł, nie pozostawił po sobie szczególnego wrażenia. Zawsze był nieśmiały i raczej małomówny. Został uczniem w warsztacie ojca i byłby tam dłużej, gdyby któregoś dnia nie dotarła do niego pewna wiadomość: w Kolonii otwierano skryptorium pod świeckim kierownictwem, wówczas pierwszą taką instytucję. Wszyscy zainteresowani pracą kopistów musieli przejść egzamin. Pismem Lorenz interesował się od dawna, dużo wcześniej niż szlachetnymi metalami, i teraz, po krótkim, ale pracowitym pobycie w seminarium był pewien, że da sobie radę.

Był przekonany, że w mieście nie ma wielu ludzi z takimi umiejętnościami, ale kiedy dotarł na miejsce, do starego budynku przypominającego bazylikę, zatrzymał się zdziwiony. Kolejka osób chcących poddać się próbie ciągnęła się bez końca. Rozmawiano o wielkich mistrzach i wspaniałej przyszłości. Wszyscy wydali się Lorenzowi lepiej przygotowani od niego. Mimo to czekał na swoją kolej, cierpliwy i jednocześnie niespokojny.

W chwili kiedy przestąpił próg tego budynku, Lorenz wiedział, że nie chce być w żadnym innym miejscu. Nagie kamienne ściany i wielkie okna nadawały mu wygląd świętego miejsca, ale zapach nie był zapachem kadzidła: pachniało farbą i papierem, woskiem i kredą, starą biblioteką i mądrością. W końcu nadeszła jego kolej.

– Nazwisko?

– Lorenz Block.

– Wiek?

– Dwanaście.

– Siadaj.

Patrząc na młodego, energicznego mężczyznę zasypującego go instrukcjami, Lorenz pomyślał, że jego koścista twarz przypomina mu pysk konia.

– Masz przepisać na ten pergamin pierwszą kolumnę tej stronicy. Tu masz pióro i atrament.

Lorenz nie potrafił opanować zdenerwowania. Cała jego przyszłość zależała od tej jednej próby. Rozejrzał się dookoła. Dziesiątki jego konkurentów uważnie kopiowało stronicę.

– Na co czekasz? Nie mamy całego dnia.

Bez zastanowienia chwycił pióro do lewej ręki i umoczywszy czubek w atramencie, zabierał się do przepisywania.

Wystraszył go ostry, oburzony głos mężczyzny kierującego próbą.

– Co robisz? Zamierzasz pisać lewą ręką?

Pozostali kandydaci przerwali pisanie i odwrócili głowy, żeby zobaczyć, kto jest źródłem zamieszania.

– Nie, przepraszam. Właśnie przenosiłem pióro do prawej. Widzicie?

Lorenz, czerwony ze wstydu, miał nadzieję, że mu uwierzono. Był to błąd, na jaki nie mógł sobie pozwolić. Zawsze chętniej używał lewej ręki, chociaż nauczył się też pracować prawą, jak wymagano w seminarium. Zamknął oczy i nabrał głęboko powietrza. Zabrał się do pracy.

– Krzywo stawiasz linie – oznajmił koński pysk.

Starał się pisać lepiej, ale obecność tego mężczyzny wywoływała zbyt wielkie napięcie.

– Litery powinny być bardziej okrągłe.

Lorenz wyprostował plecy, chcąc chociaż trochę odprężyć mięśnie. Ruchem tym zmienił pozycję ciała i nachylenie ręki. Pióro upadło na pergamin, a on patrzył na nie w niemym zdumieniu.

– Wystarczy. Zostaw to już.

Kiedy Lorenz podniósł głowę, zobaczył, że obok stoi ktoś, kogo nigdy przedtem nie widział. Dojrzały wiekiem, ale ciągle jeszcze dość młody, wyglądał bardzo dystyngowanie. Spod granatowego nakrycia głowy wystawała gęsta jasna czupryna.

– Co też tutaj mamy? – spytał swego pomocnika mistrz kopista.

– Nic takiego, Herr Fischer. Nieudacznik. Mańkut, chociaż udaje praworęcznego.

Lorenz starał się zapanować nad sobą. Zacisnąwszy usta i z trudem powstrzymując łzy, wstał, chcąc jak najszybciej opuścić to miejsce, gdy usłyszał niski, uprzejmy głos jasnowłosego mężczyzny. Trzymał w ręce jego kartkę.

– Nie trać czasu na coś, co ci nie przyniesie żadnej korzyści. Znajdź sobie, chłopcze, szlachetny zawód i zapomnij o literach. Chleba z tego nie będziesz miał.

Lorenz nie odpowiedział. Odwrócił się i wyszedł z budynku, który go tak zafascynował.

Był bardzo rozczarowany, ale wiedział, że są rzeczy, których nie będzie mógł robić: do pisania nie może używać wyrobionej, sprawniejszej ręki. Pogodził się z tą myślą i uznał, że mistrz dał mu dobrą radę. Nie mógł pracować jako kopista, ale ambicja nie pozwoliła mu zrezygnować z tego, co stało się jego pasją. Odkrył, że pracując lewą ręką, nie tylko osiąga lepsze rezultaty, niż gdyby pracował prawą, ale nawet, kiedy się przyłoży, potrafi pisać litery i słowa ze zdumiewającym mistrzostwem.

I tak Lorenz wrócił jako uczeń do warsztatu ojca, gdzie jego umiejętności były niekwestionowane. Rodzice zmarli jednak przedwcześnie, zanim zdążył zdobyć tytuł mistrza. Z powodu długów przynależny mu w spadku warsztat przeszedł w ręce chciwych członków cechu. Z tego i kilku innych powodów do tej pory zajmował pozycję czeladnika w warsztacie Ernesta Bluma. Pomimo wszystko litery i druk nigdy nie zniknęły z jego życia. Jego ręka nie mogła uczynić z nich sztuki, ale wiedział, że istnieją sposoby, aby mieć je wokół siebie.



– Ojczy? Nic wam nie jest? – Głos Eriki przywrócił go do rzeczywistości.

– Nie... nie. Wszystko w porządku.

– Zasnęliście z otwartymi oczami? – spytał szeptem Matthias.

Erika dała mu kuksańca w bok.

– Nie odpowiadaliście – powiedziała do ojca. – Myślałam, żeście ogłuchli.

Uśmiechnął się lekko i wciąż zamyślony odparł:

– Nie, wspominałem tylko pewne sprawy.

– Jakie? – dopytywał się Matthias.

– Wścibski jesteś. Nie możesz się o wszystko pytać. To niegrzecznie – upomniła go Erika.

Matthias zacisnął usta i spuścił wzrok. Lorenz złapał chłopca za brodę i podniósł jego głowę.

– Spokojnie, mały. Możesz mnie pytać, o co chcesz. Przypominałem sobie, jak to było, kiedy miałem tyle lat co Erika.

– Też umieliście czytać i pisać?

Lorenz skinął głową.

– Kto was nauczył? – Matthias wpatrywał się w niego z szeroko otwartymi oczami. Bardzo chciał wiedzieć.

Erika znowu szturchnęła go łokciem.

– Chodź już, Matthiasie. Idziemy. Powiedziałam twoim rodzicom, że cię przyprowadzę przed kolacją.

Lorenz spojrział z czułością na małego.

– Innym razem ci opowiem. To długa historia.

Matthias kiwnął ze smutkiem głową, rozczarowany, że wraca do domu, nie zaspokoiwszy ciekawości. Uwielbiał baśnie i zawsze z niepokojem oczekiwał szczęśliwego zakończenia. Erika wzięła go za rękę i poprowadziła do drzwi. Lorenz zazdrościł łatwości, z jaką chłopiec porzucał drobne smutki. On obiecał, że opowie swoją historię, a Matthias dowie się, że zakończenia nie zawsze są szczęśliwe.

Wkrótce potem Lorenz wyszedł z domu. Słońce powoli zachodziło i w całym mieście zaczęły pojawiać się ruchome cienie. Pomarańczowe światło zdawało się otoczone delikatną mgiełką. Z powodu zimna trzeba było dodatkowo okrywać ramiona grubą peleryną albo czymkolwiek, co dawało choć trochę ciepła. Rodzice Matthiasa, Penrod i Frieda, głęboko przesądni, obserwowali odlot ostatnich ptaków na południe i widok ten nie oznaczał nic dobrego. Ptaki leciały po wschodniej stronie miasta, a to miało zapowiadać długą i męczącą zimę.

Lorenz szedł wolno mokrymi od deszczu ulicami, jak zawsze pogrążony w rozmyślaniach. Kiedy otworzył małe drzwi do księgarni Johanna Buchmanna, znalazł się w zupełnie innym świecie. Świecie, gdzie wszystko było możliwe, gdzie dzięki książkom marzenie stawało się rzeczywistością. Czuł, że zostanie wysłuchany i zrozumiany. Poza tymi ścianami jego życie zastęgało wokół błędów przeszłości. Tam natomiast w każdym zakamarku panowała cisza i każdy ruch wydawał się tłumiony przez wszechobecny papier: ściany zajmowały regały pełne książek, zasłaniające to, co mogło znajdować się za nimi. Lorenz przesunął palcem wskazującym lewej ręki po grzbietach książek na jednej z półek. Nikt nie zauważał gestu, od którego zaczynał swoje wizyty i który dla niego był niczym fizyczna więź ze światem wyobraźni. Chociaż była to niedziela i późna godzina, księgarz miał gościa. Stojąc w głębi księgarni, spojrzął ponad ramieniem swego rozmówcy – sądząc po stroju, osoby zamożnej. Niemal niezauważalnym ruchem powiek zareagował na przybycie Lorenza. Johann Buchmann, człowiek pogodny i serdeczny, miał siwe włosy i chyba nie rozstawał się ze swoim zielonym beretem, a przynajmniej Lorenz nigdy go bez tego nakrycia głowy nie widział. Oczy błyszczwały inteligencją. Kiedy mówił, w kącikach ust tworzyły się dwie małe zmarszczki. Policzki i skronie też pokrywały równoległe zmarszczki. Był życzliwy wobec ludzi i powściągliwy zarówno w rozmowach, jak i przy stole; szczupły, mówił głosem ścisłym, ale wyraźnym, pozbawionym wszelkiej agresji, mimo że zwykł był mówić prawdę, którą nie każdy chciał usłyszeć. Zapewne dlatego nie miał zbyt wielu klientów, ale byli to klienci najwierniejsi z wiernych. Poprzeczny ślad u nasady dużego nosa świadczył o tym, że księgarz dopiero co zdjął okulary. Z całą pewnością zagłębiał się w lekturze do chwili, gdy przerwało mu ją przybycie klienta. A biorąc pod uwagę skłonność Johanna do drobiazgowości, rozmowa z nim z pewnością musiała się przedłużyć.

Lorenz lubił go, gdyż w ostatnich latach księgarz był dla niego podporą, kimś, kto pomagał mu tłumić niepokoje. Po śmierci Ebby przed pięcioma laty stał się człowiekiem samotnym, udręczonym. W Johannie znalazł ratunek, dzięki niemu utrzymywał się na powierzchni. Lektura, kiedyś proste ćwiczenie samej umiejętności czytania, teraz stała się oknem na świat.

Raz w tygodniu Lorenz przychodził do tego uświęconego miejsca, szukając inspiracji. Księgarz zawsze miał coś do powiedzenia o książce, którą dla niego wybrał. A każdy pochwalony przez niego wybór był jeszcze większą zachętą.

Zdarzało się często, że losy książki ciekawsze były od treści w niej opisanej, o czym księgarz mógł długo Lorenzowi opowiadać. Wspominał kiedyś, z zachwytem, historię kopii Boskiej komedii, która opuściła Italię z aktorską trupą. Aktorzy uciekali ze swojego kraju, szukając schronienia w górach. W czasie burzy stracili orientację w Alpach i poruszali się wzdłuż rzeki, sądząc, że to

Rodan, gdyż wydawało im się, że napotkani ludzie tak właśnie wymawiają jej nazwę. Kiedy dotarli do Strasburga, dowiedzieli się z przerażeniem, że ta szeroka, wartko płynąca rzeka to Ren i że zamiast znaleźć się na południu i morzem wrócić do Italii, poruszali się w kierunku nieprzyjaznych ziem północnych. Musieli sprzedać niemal cały dobytek, by zdobyć pieniądze na powrót, a ponadto dawać mieszkańcom miasteczek, przez które przejeżdżali, darmowe religijne widowiska w zamian za miskę ciepłej stawy.

Miał też Johann w swoich zbiorach krytyczne wydanie powiastek moralizujących hrabiego Lucanora, które zostawił przez pomyłkę pewien niezwykle podróżnik, przyodziały w bogate stroje, zupełnie w tych okolicach nieznanie. Przybywał z dalekiego południa, najodleglejszych zakątków Kastylii, gdzie ta księga została napisana. Cere miał śniadą, a na brodzie kilka krzywo rosnących włosków. Jego język, zupełnie niezrozumiały, pełen był gardłowych dźwięków; księgarz twierdził, że nie słyszał wcześniej, by ktoś mówił w ten sposób. „Chociaż, prawdę powiedziawszy – dodał – nasza mowa też nie jest miękka ani dźwięczna, tak jak na przykład włoska”.

Dzięki takim anegdotom Lorenz patrzył na świat w zupełnie inny sposób niż wówczas, kiedy sam pobierał nauki. W tamtych ciemnych czasach jedyna droga do zdobycia umiejętności czytania i pisania prowadziła przez Kościół. Tylko Kościół i arystokracja mieli dostęp do wiedzy. Ale sytuacja się zmieniała, w dużej mierze dzięki takim ludziom jak Johann. Korzystając z jego rad, Lorenz poznał historię książki; czytał o podróży Odyseusza, poznawał utwory o tematyce miłosnej autorstwa Owidiusza, a także dzieje legendarnego protoplasty Rzymian opisane w Eneidzie.

Stopniowo Lorenz zaczynał wybierać do czytania książki w swoim ojczystym języku. Już w poprzednim wieku autorzy odchodzili od pisania po łacinie, będącej wówczas wyłącznym środkiem przekazywania wiedzy. Przyjmowali niemiecki jako narzędzie komunikacji, ustanawiali dla niego własny świat, tak jak to kiedyś zrobili z łaciną, językiem, który nie był ich. Poruszano tematy, które zaprzętały także mieszkańców innych krajów Europy, piszących w swoich językach: pragnienie życia i nieustanne pamiętanie o śmierci, która zbierała żniwo w czasie każdej nowej epidemii, każdej nowej wojny, każdej nowej klęski głodu.

Lorenz wolał raczej czytać o sprawach, które w jakiś sposób go dotyczyły, niż o tym, co opisywano przed wiekami i z czym nic go nie łączyło. Rekomendowane przez Johanna książki pozostawiały w nim osad zwątpienia. Lektura sprawiała, że lepiej pojmował, jak urządzone jest świat, i rozumiał, sam udręczony przez życie, jak mały jest człowiek wobec przeznaczenia. W tym ostatnim momencie, wobec śmierci, wszyscy stawali się sobie równi i nikt, bez względu na bogactwa i znaczenie, nie mógł zapewnić sobie szczęśliwego końca. Dlatego nie ufał naukom dotyczącym Boga, a jeszcze mniej ufał tym, którzy te nauki wpajali, zwłaszcza gdy czerpali z tego korzyści materialne.

– Znalazłeś już coś, przyjacielu?

Zaskoczony odwrócił się od półek. Głos księgarza wyrwał go z zamyślenia.

– Nie, ciągle szukam, Johannie.

– Dobrze, dobrze, nie rezygnuj – rzekł Buchmann z uśmiechem. – Przepraszam, że nie zająłem się tobą wcześniej. Sam rozumiesz, interesy to interesy.

– Nic się nie stało. Ja się tutaj nigdy nie nudzę. Przyszedłem po papier.

– Skończyło ci się to wszystko, co ostatnio kupiłeś?

– Tak, szybko mi schodzi. I Erika też go używa – usprawiedliwiał się Lorenz.

– W porządku. Ale najpierw chodź ze mną. Mam coś dla ciebie.

Lorenza nie zdziwiły słowa księgarza – zawsze miał coś dla niego, zwykle książki. Johann pociągnął go za sobą do wnętrza księgarni, w drugiej ręce trzymając świecę. Żółtawe światło

padają na półki wypełnione tomami. Na końcu długiego korytarza znajdowały się kręcone schody, które wznosiły się wokół pionowej belki. Wszystko było zrobione z drewna. Na górze, spod zamkniętych drzwi wydobywała się wąska strużka słabego światła. Świeca była jednak jeszcze potrzebna. Lorenz trzymał się nieco z tyłu, onieśmielony niespodziewanym zaproszeniem do prywatnego mieszkania.

Kiedy Johann otworzył drzwi, blask oślepił ich tak, że musieli zasłonić oczy. Słońce miało za chwilę zejść, ale teraz pomarańczowa tarcza rzucała ukośne promienie, które wpadały przez okno i dosięgały stołu. Tam zaś pozłacane litery na welinowej okładce mieniły się w świetle i odbijały w zachwyconych oczach Lorenza. Jeszcze chwila, a słońce zniknie za horyzontem. Johann podniósł książkę.

– Chciałbym, żebyś to przeczytał. Nie ma innego egzemplarza, o ile mi wiadomo. Wszystkie przypadły z takiego czy innego powodu. Ten dotarł do mnie bardzo dziwną drogą, być może kiedyś ci o tym opowiem. – Lorenz nie wątpił, że tak się stanie. – Nie chcę wystawić tej książki na sprzedaż, bo to rzadka rzecz. Z pewnością by ją kupiono, i to za dobrą cenę, mimo że to bardzo skromne wydanie.

– Dlaczego tak cię interesuje? Czemu mówisz, że to rzadka rzecz? – spytał zaciekawiony Lorenz. Starał się skupić uwagę na książce, ale tym, co mu sprawiło przyjemność, było znalezienie się na prywatnym terenie Johanna. Nigdy przedtem go tam nie zaproszono i było to dla niego oznaką zaufania.

– Chodź, siadaj tutaj.

Wokół stołu ustawione były w idealnym porządku krzesła. Lorenz nie wiedział, czy księgarz ma rodzinę, dlatego wydało mu się dziwne, że człowiek, który – tak przynajmniej sądził – mieszka sam, ma w domu tyle krzeseł. W głębi przy oknie, za kominkiem z saganem na wodę, stał jeszcze jeden stół, a przy nim tylko jedno krzesło. Na parapecie czekało na zapalenie kilkanaście świec.

Johann delikatnie przewrócił kilka kartek.

– Ta książka jest dla mnie ważna, bo jest jedyna. Spójrz na te linie. Są krzywe. Ten, kto to pisał, nie był zawodowym kopytą. W żadnym miejscu margines nie jest równy. Litery też są nieregularne, a na dodatek inaczej wyglądają w różnych słowach.

– To znaczy, że kopyta nie umiał pisać?

– Nie, Lorenz. To znaczy, że ten, kto tak pisał, zrobił to z własnej woli, może chciał sporządzić taki unikatowy tekst, a może...

Lorenz nie odważył się na postawienie żadnej hipotezy. Czekał. Emocje, jakie czuł w słowach księgarza, oznaczały, że powie coś niezwykle ważnego.

– ...ale nie, to niemożliwe. Poza tym to jedyne sensowne wytłumaczenie. Być może to sam autor pisał swoje dzieło.

Lorenz nie wiedział, co powiedzieć. Wysłuchał słów Johanna i przyszło mu do głowy, że pomiędzy myślą i rzeczą, czyli książką, która teraz leżała otwarta przed nimi, były jedynie ręka i pióro, prowadzone mądrością autora. Nie ruszając się z Kolonii, odkrył korzenie pisarstwa. Johann mówił dalej.

– Gdziekolwiek linia się wykrzywia, a litery pisane są ciasno, jedna przy drugiej, jak gdyby tekst płynął swobodnie, nie dotykając papieru. A gdzie indziej pismo jest koślawe. Najwyraźniej autor miał już myśli poukładane, bo w przeciwnym razie byłyby skreślenia i poprawki. Dlatego sądzę, że mamy przed sobą dzieło oryginalne, nikt poza autorem nie miał go w rękach.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – spytał Lorenz.

– Najpierw chcę, żebyś to przeczytał. Uwierz mi, że warto. To rzadki egzemplarz i potem będę

chciał z tobą o nim porozmawiać. Dowiedzieć się, co o tym sądzisz.

– Ale chyba nie powinienem...

– Bierz. I idź do domu – rzekł Johann. – Na pewno zostawiłeś wszystko na głowie Eriki. Dla niej też coś mam. To bajki. Jestem pewien, że z każdej wyciągnie jakąś naukę.

Lorenz położył sobie obie książki na kolanach, jak skarb. Nie śmiał nic więcej powiedzieć, żeby czar nie prysnął. Już przy drzwiach wyjściowych Johann podał mu zamówione pergaminy i przez chwilę jeszcze rozmawiali. Tymczasem wieczór już zapadł. Johann, którego twarz w świetle świecy wydała się bardziej pomarszczona, a policzki bardziej zapadnięte, powiedział na pożegnanie:

– Wcześniej ci o tym nie mówiłem, ale musisz uważać, Lorenz. Są książki, w których tkwi jakieś przekleństwo. Jedni tropią je, żeby zniszczyć, inni żeby pomnożyć. Wszyscy są niebezpieczni, ale strzeż się zwłaszcza tych pierwszych. To nasi wrogowie. Przeciwno tym drugim nie trzeba walczyć. – Po chwili dodał: – Ucałuj ode mnie Erikę.

Lorenz wyszedł na ulicę, mocno przytrzymując schowane pod peleryną książki. Nie biegł, ale szedł szybko. Noce w Kolonii mogły być niebezpieczne. Towarzyszył mu dźwięk skórzanych podeszew butów na mokrej ulicy, nie bardziej straszny niż pisk myszy upolowanej przez kocura. Nie spotkał nikogo. Miasto odpoczywało i przygotowywało się do nowego dnia. Życie w tamtych czasach nie było łatwe.

Kiedy zamknął za sobą drzwi domu, błyskawica przecięła niebo i usłyszał głośnie dudnienie deszczu. Erika spała przy stole, pod jej policzkiem leżała kartka papieru, w ręce miała pióro. Wyjął je powoli, pocałował córkę w czoło i delikatnie, nie budząc jej, wziął na ręce. Zaniósł ją do łóżka i siedział, głaszcząc jej włosy, póki nie ułożyła się wygodnie. Kiedy zszedł na dół, wziął książkę, którą dał mu Johann, i obejrzał uważnie. Z wierzchu niczym się nie wyróżniała. Dopiero na pierwszej stronie, po podziękowaniach, znalazł słowa, które mogły być tytułem albo mottem pierwszej części.

Wiosenny odpoczynek.

Rano w rezydencji Herr Fischera zawsze panowała cisza. Po latach codziennej rutyny służba doskonale wiedziała, co pan lubi i jaka jest jego wola. O świcie służący, zajęci swoimi obowiązkami, pracowali w milczeniu. Jakiegokolwiek hałasy wyciszane były łagodnymi upomnieniami, dopóki pan nie obudził się ze snu, czasem nawet i później, gdy jadł śniadanie, a także po śniadaniu, aż do chwili, kiedy wychodził z domu. Irytowały go odgłosy domowej krzątaczki, a jeszcze bardziej przeszkadzał mu panujący w domu nastrój służalczości. Mieszkał w otoczeniu ludzi, którzy do niego należeli, służyli mu i wykonywali jego polecenia za strawę i marny grosz. Nikolas Fischer nie znosił ślepego posłuszeństwa, chociaż zdawał sobie sprawę, że ci wszyscy ludzie są tu po to, aby prowadzić jego dom. Pałacyk, w którym było mnóstwo schodów do zamiatania, stopy ubrań do codziennego prania, pokłady kurzu do wycierania ze wszystkich kątów, dom duży, dom otwarty. Nikolasowi podobał się jego rozkład, zupełnie odmienny od tego, co widywał w innych domach, przystosowanych do ponurego klimatu Nadrenii.

Ten ranek nie był wyjątkiem; jedynym, co Nikolas chciał słyszeć, była cisza. Po śniadaniu zamierzał poćwiczyć strzelanie z łuku cisowego. Za kilka dni miał towarzyszyć burmistrzowi Overstolzowi w polowaniu i nie zamierzał zrobić z siebie pośmiewiska. Posługiwania się łukiem nauczył go Raynard Hendrik, zapewne jedyna osoba, którą mógł nazwać przyjacielem.

W swoim czasie Raynard był znanym rycerzem, który z powodu nieprzewidzianych okoliczności popadł w niełaskę. Gdy nagle zachorowała jego żona, nie stawił się na wezwanie swojego seniora, za co został surowo ukarany. Przez chorobę popadł w długi i musiał sprzedać konia i zbroję. Niewiele to pomogło, gdyż w końcu jego żona zmarła. Pocięchę znajdował w alkoholu, który wkrótce stał się treścią jego życia. Gdy niemal sięgał już dna, poznał Nikolasa. Zobaczył go na grzbiecie andaluzyjskiego konia. Raynard, dawny jeździec, zachwycił się lekkością zwierzęcia tak pełnego gracji i tak różniącego się od mocno zbudowanych niemieckich koni. Pod wpływem alkoholu rozgadał się i opowiedział nowemu znajomemu swoją historię. Nikolas postanowił podarować mu tego konia. Wiedział, że takim prezentem zdobędzie sobie sojusznika w zawsze niepewnej przyszłości.

– Raynardzie, za kilka dni jadę na polowanie z Hellerem Overstolzem. Chciałbym, żebyś patrzył, jak strzelam, i poprawiał błędy. Nie mogę zawieść oczekiwań naszego burmistrza. – Nikolas z łukiem w dłoni stał przed tarczą ustawioną na pięknym dziedzińcu pałacu.

Główny dziedziniec, pełen zieleni i otoczony kolumnami, pomiędzy którymi przechodzono do licznych pomieszczeń, przypominał pałace Nasrydów. Nikolas kazał zbudować go według takich wzorców i sam podejmował decyzje co do wykończenia. Stylizowane kolumny biegnące wokół dziedzińca dawały poczucie bezpieczeństwa. Ich łuki podpierały dwa piętra pałacu. Wzdłuż całego podcienia sklepienie zdobiły kasetony z ciemnego drewna, dach był dwuspadowy, wąskie balkony miały metalowe barierki, a okna w dolnej części były osłonięte kratą.

Kostki bruku ułożone wokół dziedzińca tworzyły ścieżki, które wychodząc z czterech rogów i z połowy długości, spotykały się w środku i stanowiły obramowanie kwietników.

Spełniała się tu muzułmańska wizja rajskiego ogrodu z piękną fontanną, usytuowaną w samym środku dziedzińca. Dzięki systemowi kamiennych kanalików umieszczonych wzdłuż ścieżek woda

doprowadzana była do wszystkich skrzydeł domu.

Kolejnym elementem arabskiej architektury w pałacu były podkowiaste łuki między kolumnami, połączone geometrycznymi ornamentami, które przepuszczały światło. Stropy zaś, drewniane, ozdobne, były charakterystyczne dla architektury mudejar. Na każdym kroku dało się zauważyć, że natchnieniem dla stworzenia tego pałacu było Al-Andalus².

– Masz pewną rękę, Nikolasie. Jestem przekonany, że zadziwisz burmistrza. Jak słyszałem, mniej jest zręczny w strzelaniu, dużo bardziej w liczeniu pieniędzy i wybieraniu żon.

Nikolas wybuchnął śmiechem.

– Wszystko zależy od tego, do czego ludziom potrzebne są ręce: do liczenia pieniędzy czy do pracy.

Mocno trzymając łuk, Nikolas włożył strzałę i z łatwością naciągnął cięciwę. Gdy uznał, że jest wystarczająco napięta, zbliżył łuk do twarzy, przymknął lewe oko i przygotował się do strzału. Bez jednego drgnięcia puścił cięciwę. Strzała poszybowała z olbrzymią szybkością, a łuk zakołysał się w jego dłoni. Chwilę później trafiła niemal w sam środek tarczy.

– Doskonale, Nikolasie. W ogóle nie potrzebujesz moich rad. Twój spokój gwarantuje ci sukces.

– Dziękuję, Raynardzie. Bardzo to uprzejme, co mówisz.

Po kilku kolejnych udanych strzałach zrobili przerwę. Nikolas wrócił do rozmowy.

– A jednak będę cię potrzebował. Mam plany co do ciebie na moje następne podróże.

– Bardzo ci jestem wdzięczny, ale...

Nikolas mu przerwał. Lubił doprowadzać sprawy do końca.

– Trudno znaleźć kogoś, kto z równą łatwością potrafi wyszukiwać właściwych i zdolnych ludzi.

Nikolas miał dla niego więcej pochwał. Zawołał lokaja i oddał mu łuk. Położył rękę na ramieniu swojego instruktora, chcąc w ten sposób przydać wagi swoim słowom.

– Już nie wspomnę o twojej oczywistej ogładzie i wyborze sposobów pilnowania mnie i moich bagaży przed ewentualnymi rabunkami. Te umiejętności bardzo by mi były przydatne i, prawdę mówiąc, Raynardzie, byłbym ci wdzięczny, gdybyś rozważył propozycję.

Zbliżali się już do wejścia do pałacu, kiedy Nikolas chłodnym wzrokiem spojrzął na Raynarda. W ciszy dźwięczało pytanie. I niemal dało się słyszeć myśli instruktora.

– Dobrze – odparł. – Chętnie będę ci towarzyszył, Nikolasie.

Twarz kopisty zmieniła się w mgnieniu oka. Zniknął chłód, pojawił się szeroki uśmiech zadowolenia.



Nikolas Fischer wrócił do domu dopiero wieczorem. Póki miał światło dzienne, pracował w skrytorium, a potem załatwiał sprawy w mieście. Prowadzenie tak wielkiego interesu jak jego wymagało utrzymywania kontaktów, choć czasem było to zajęcie nieprzyjemne. Na początku jego warsztat wzbudzał niechęć, a nawet obawy na różnych szczeblach władzy. Z biegiem lat jednak kopista znalazł swoje miejsce w solidarnej sieci ludzi oddających sobie wzajemnie przysługi, co wszystkim przynosiło korzyści. Kościół szybko odkrył, że nowy, świecki kopista jest sprzymierzeńcem, a nie wrogiem, i że mogą egzystować, nie wchodząc sobie w drogę.

Mając taki właśnie cel, Nikolas podtrzymywał znajomości, których często nie akceptował, ale które pozwalały mu realizować rozmaite zamierzenia. Właśnie tego samego dnia złożył wizytę, niezmiernie ważną, wpływowej rodzinie patrycjusza, Styggerom. Ci potomkowie szlacheckiego rodu zainwestowali kapitał w rozmaitych sektorach handlowych, przede wszystkim w urzędzie celnym. Był to wystarczający powód, aby Nikolas ubrał się odświętnie i przybył na ucztę z okazji zaręczyn

jednej z córek. Wiedział, czego można się tam spodziewać: afronty i drwiny, plotki i docinki, a wszystko to przy zachowaniu jak najlepszych manier.

Zasadą Nikolasa było nie wyróżniać się. Uważał, że poruszanie się w świecie ludzi wpływowych przypomina przepływanie Renu: nigdy nie wychodzi się na drugi brzeg na tej samej wysokości. Należy płynąć z prądem i założyć z góry, że wyjdzie się na ląd trochę niżej. Jeśli zużyje się zbyt wiele sił na walkę, nie osiągnie się sukcesu. W czasie przyjęcia kopista uśmiechał się, kiedy należało się uśmiechnąć, komplementował kaftany mężczyzn i suknie kobiet, chwalił dobry smak. Zakończył wizytę, nie zobowiązując się do niczego. Zachował się tak, jak tego po nim oczekiwano.

W czasie którejś rozmowy udało mu się coś uzyskać: od jakiegoś czasu książki przekraczały granice, a Ren mógł stać się prostą i wygodną trasą do przewożenia ich w obie strony; urzędy celne były punktami kontrolnymi, ale nie barierami, których nie można by było pokonać dzięki odpowiednim kontaktom. Jego skryptorium nie zależało już wyłącznie od Uniwersytetu w Kolonii. Inne ośrodki kulturalne wzdłuż rzeki także oczekiwały na jego dostawy. I Gunter Stygger obiecał ułatwić transport.

Przyjęcie się skończyło, Nikolas osiągnął sukces, więc po powrocie do domu oddał się swoim tajemnym przyjemnościom. Gdyby kiedyś odkryto jego styl życia, wielu ludzi odwróciłoby się od niego. A może nawet konsekwencje byłyby jeszcze surowsze. To nie były czasy tolerancji.

Późnym wieczorem siedział w jednej z wielkich sal w pełnym przepychu andaluzyjskim pałacu i smakował wino z bogato zaopatrzonej piwniczki. Śmiał się w duchu, wyobrażając sobie, jakie miny mieliby wszyscy ci zmanierowani uczestnicy przyjęcia, gdyby usłyszeli o jego upodobaniach. Zgorszeni, zasłaniałoby usta wydelikacjonymi dłońmi i z obłudą świętoszków, bez chwili refleksji, wymierziliby karę.

W głównej sali również znalazły się arabskie akcenty. Jedną ze ścian pokrywał mural z ceramicznych kafelków z geometrycznymi dekoracjami na brzegach. Padało na niego łagodne światło lampy z brązu w kształcie kielicha. Poduszki pokryte czerwonym jedwabiem i delikatne perskie dywany dopełniały wschodnią atmosferę. W środku pokoju, z małej kadzielnicy stojącej na niskim stoliku z tureckiego marmuru wydobywały się opary aloesu.

Obok Nikolasa spoczywała na poduszkach młoda dziewczyna o długich jasnych włosach. Spojrzenie miała nieprzeniknione, a głęboki błękit oczu jak połyskująca morska woda kontrastował z jasną cerą. Suknia z zielonego materiału, przylegająca do ciała, podkreślała delikatne kształty. Srebrne bransoletki dźwięczały przy każdym ruchu rąk.

– Skończyłaś miniatury do ostatniego zamówienia? – spytał Nikolas, trzymając w palcach kawałek faszerowanej sarniny.

– Jutro skończę – odparła. Wpatrzona była w gobelin na przeciwległej ścianie.

– Postaraj się nie zwlekać za długo – powiedział obojętnym tonem.

Ilse Holz przesunęła powoli wzrok na Nikolasa i przez chwilę obserwowała go w milczeniu. Potem podniosła rękę i pogłaskała jego policzek; drapał ją lekko.

– Wiesz, że nigdy cię nie zawodzę.

– I mam nadzieję, że nadal tak będzie. – Uśmiech Nikolasa zniknął, zanim się pojawił.

– Czyżbyś wątpił, mój drogi?

Wciąż trzymała dłoń na jego policzku. Teraz przesunęła ją i zaczęła powoli masować białą miękką szyję. Nie uciekł przed dotykiem. Z przechyloną do tyłu głową, z zamkniętymi oczami mruczał jak kot. Lecz po chwili otworzył oczy i powiedział:

– Nigdy nie wiadomo, kto może cię zawieść.

Ilse odsunęła się łagodnie. Pomyślała, że on jest jedyną osobą, której może zaufać.

W drzwiach salonu stała ciemnowłosa, pięknie zbudowana dziewczyna. Włosy miała ściągnięte w kok na czubku głowy. Suknia – podobna do sukni Ilse – uszyta z lśniącego pomarańczowego jedwabiu podkreślała bujne kształty; ruchy bioder, kiedy szła, działały na zmysły. Niosła dzban pełen wina, który postawiła na stoliku obok innych nakryć. Nie podnosząc wzroku, odwróciła się, chcąc odejść, lecz Nikolas ją zatrzymał.

– Chodź tutaj, Elisabeth. Usiądź przy nas.

Wtedy dopiero podniosła głowę, podeszła i usiadła obok. Ilse, nie zmieniając pozycji, spojrzała na nią uważnie spod zmrużonych powiek.

– Gdzie są pozostałe dziewczyny? – Nikolas zapytał Elisabeth.

– Zaraz przyjdą. Przygotowują inne potrawy. – Zielone oczy zatrzymały się na półmisku zimnych krwistych mięs.

Jej pan wziął do ręki kawałek mięsa. Czekala na nie z rozchylonymi ustami, niecierpliwie. Nikolas nie spieszył się, patrzył, jak dziewczyna wyciąga język i chce nim złapać plasterki. W końcu, kiedy już miała go w ustach, gryzła każdy kęs, rozkoszując się jego smakiem. Jeszcze raz to zrobili, teraz bliżej siebie, usta gotowe jak do pocałunku. Czuli swoje oddechy na zaróżowionych policzkach, półprzymkniętych powiekach, ustach wilgotnych od soków mięsa i pożądania, od pragnienia, by poddać się lubieżnym igraszkom.

Ilse przyglądała się im, siedząc z boku, czekając na moment, kiedy do nich dołączy.

Jak w tysiącrotnie powtarzanych uwodzicielskich scenach, Nikolas zanurzył dłoń w stojącej na niskim stoliku misie pełnej dojrzałych winogron. Włożył ociekające sokiem palce w usta Elisabeth – oblizala je szybko – a potem wyjmował powoli, czując na nich język i ślinę. Wziął jedno grono i obrócił się ku Ilse: rozchyliła wargi. Zbliżył owoc, jak gdyby chciał, aby go pocałowała, gdy ona tymczasem pieściła grono aksamitnymi wargami. Nacisnął mocniej, póki usta się nie rozwarły. Gdy przegryzła owoc, słodki sok wypełnił jej usta.

Ilse przysunęła się do Nikolasa. Rozchyliła wargi, wysunęła skórki grona i wilgotną od śliny włożyła ją w jego usta. Bawili się tak przez chwilę, póki jedno z nich jej nie połknęło. Pocałowali się. Językiem najpierw muskała dookoła jego wargi, a potem odnalazła drogę do jego języka. Jak żadna umiała sprawiać mu zmysłową rozkosz. Nikolas nigdy by się do tego nie przyznał, ale odkąd pojawiła się Ilse, jego życie nabrało innego wyrazu: czuł, że osiągnął to, co można by nazwać szczęściem. Noce stały się czystą rozkoszą, której się w pełni oddawał. Od czasu gdy Ilse zamieszkała w jego domu, nie przyjął żadnej innej służącej. Ona była najmłodsza i najpiękniejsza.

W tym momencie Nikolas odsunął się delikatnie.

– Jeszcze nie, Ilse. – Podniósł kielich z winem w jej stronę i sam pociągnął łyk.

Ilse położyła się na poduszkach, szepcząc coś do siebie. Wiedziała, że Nikolas lubi decydować o formie ich seksualnych kontaktów, a także mieć pewność, że są wobec siebie szczerzy. Lubił czuć, że ma do czynienia z osobą taką jak on, ze swoimi pragnieniami, świętościami i żądzami. Z taką jak jego ciemną stroną charakteru, ukrytą i tajemniczą.

– Za często zmieniasz zdanie, Nikolasie.

– Przecież znasz nasze zasady – odparł, smakując wino.

– Tak, znam – wyszeptała.

Drzwi otworzyły się i stała w nich jeszcze jedna dziewczyna, o ciemnych kręconych włosach. Niosła tacę z deserami i suszonymi owocami. W milczeniu postawiła ją na stoliku i odwróciła się, chcąc odejść.

– Zostań – powiedział głośno Nikolas. Dziewczyna posłusznie położyła się obok Elisabeth.

Kopista opadł na plecy, na miękkie poduszki. Ilse usiadła mu na kolanach. Nie pozwoli, żeby

ktokolwiek zajął jej miejsce. Rozpięła krótką tunikę, którą miał na sobie, i odsłoniła muskularne piersi, już twarde od czułych pieszczot, jakimi obsypywała go jedna z dziewcząt. Ilse spojrzała swoimi błękitnymi oczami w jego oczy i zapytała:

– Ciągłe uważasz, że mogę cię zawieść?

Nikolas poderwał się ku niej, ignorując pozostałe dziewczyny. Przyciągnął do siebie, całował w szyję, zostawiał ślady zębów na skórze, językiem delikatnie pieścił ucho. A gdy znalazł usta, przywarł do nich swoimi ustami. To była jego odpowiedź.

Tej samej nocy pustoszącymi ulicami miasta szedł pewien człowiek. Na głowie miał coś, co przypominało pomarańczowy turban. O tej porze ostatni piesi wracali do swoich domów lub wynajmowanych kwater. Po drobnym deszczu niebo się rozjaśniło i zapadła bezchmurna i zimna noc. Mokre ulice, pokryte ubitą ziemią lub kocimi łbami, błyszczały, a na niektórych w kałużach odbijały się gwiazdy. Mężczyzna poczuł przyływ energii. Po wielu dniach spędzonych na kołyszącym się pokładzie statku z przyjemnością poczuł twardą ziemię pod stopami. Jeden koniec miękkiego nakrycia głowy opadał mu na twarz i zasłaniał usta, chroniąc gardło przed zimnym powietrzem. Szczupłe ciało okrywały grube szaty dobrej jakości, ale nie ostentacyjnie eleganckie. Miał około czterdziestu lat, chociaż postarzały go zmarszczki na czole, na policzkach pod skośnymi oczami i, najgłębsze, wokół prostej linii ust. Pozwalały przypuszczać, że wiele w życiu przeżył.

Omijał ulice, gdzie był jeszcze jakiś ruch, i szedł bez konkretnego celu, pogrążony w rozmyślaniach. Do rzeczywistości przywrócił go okrzyk „Uwaga!”, częsty o tej porze. Uskakując pod ścianę, żeby nieczystości nie spadły mu na głowę, zderzył się z małym chłopakiem.

– Przepraszam cię, młodzieńcze. Zadałem ci ból? – zapytał, chwytając go za ramię.

Z lękiem w oczach chłopiec odparł, że nie. Ale coś w jego twarzy nie umknęło uwagi mężczyzny i nie wypuścił go z rąk.

– Zostawcie mnie! To boli! – jęknął malec.

Jakiś przechodzień zawołał z daleka:

– Człowieku! Co robicie temu chłopcu?

Mężczyzna wyciągnął w górę drugą rękę.

– Nie robię nic poza tym, szanowny panie – odparł – że chronię go przed popadnięciem w kolejne kłopoty. Bo tak się na pewno stanie, jeśli go z rąk wypuszczę. Prawda, przyjacielu?

Przechodzień zbliżył się z groźnie zmarszczonym czołem.

– Może wyjaśnicie...

Mężczyzna w pomarańczowym nakryciu głowy pociągnął chłopaka za ramię i spojrzał na niego przenikliwym wzrokiem. Powiedział surowo:

– Zrozumiecie, kiedy ten łobuz odda mi sakiewkę, którą tak zręcznie wyciągnął z mojej kieszeni.

Chłopiec otworzył szeroko oczy. Zaczął się szarpać.

– Co mówicie, panie? Ja nic nie ukradłem!

Mężczyzna w turbanie wykonał szybki ruch wolną ręką i z kieszeni tuniki chłopca wyciągnął skózaną sakiewkę. Pokazał ją przechodniowi.

– A skąd się wzięła ta sakiewka z moimi inicjałami, złodziejaszku? Nazywasz się może Yago Kaufmann, jak uniżony sługa?

Twarz chłopca pokryła się rumieńcem wstydu i złości. Raz jeszcze się szarpnął i wyrwał z rąk prześladowcy. Rzucił się do ucieczki z drwiącym uśmiechem. Yago się roześmiał.

– Śmiejecie się, chociaż chciał was okraść? – Przechodzień nie wierzył własnym oczom. – Ja bym mu jeszcze dobrze przyłożył!

– Szlachetny panie – odparł Yago. – Nie obraża mnie, kiedy chce mnie okraść ktoś potrzebujący, zwłaszcza dziecko, bo robi to, żeby przeżyć. Obraża mnie natomiast bogacz, który robi to z chciwości. Jemu na nic się nie zda to, co mam.

– Przydałoby się nam więcej ludzi takich jak wy, do kierowania naszym losem. Obawiam się jednak, że nie jest to powszechny sposób myślenia wśród rządzących.

Yago, ubawiony, przerwał mu. Zniżył głos.

– Nie bądźcie niezadowoleni, sąsiedzie, i uważajcie, z kim rozmawiacie i jakie opinie wyrażacie. Jeśli będziecie mówić takie rzeczy, narazicie się na poważne niebezpieczeństwo; władza cieszy się błogosławieństwem Boga, który jest wszędzie. Tylko tym można wytłumaczyć, dlaczego ucieczka przed poborcą podatkowym jest tak trudna, wręcz niemożliwa.

Rozstali się wśród śmiechów i pod rozgwieżdżonym niebem poszli każdy w swoją stronę. Yago Kaufmann, najwyraźniej w świetnym humorze, przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej dojść do celu. Skręcił w najbliższą ulicę, owinał się peleryną i rozejrzał dookoła, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Z twarzą zasłoniętą pomarańczowym szalem szedł uważnie, chroniąc się pod okapami domów. Zatrzymał się przed wejściem do jednego z nich i dwoma krótkimi, lecz donośnymi stuknięciami zawiadomił o swoim przybyciu. Gdy drzwi się otwarły, zniknął w nich, jakby go ciemność połknęła.

– Bądź pozdrowiony, przyjacielu.

– Bądź pozdrowiony.

Za zamkniętymi drzwiami przeszli po omacku ciemnym wąskim korytarzem. Tam gdzie się jeszcze bardziej zwiężał, w słabym świetle ukazały się ich twarze. Johann Buchmann wziął do ręki lampkę oliwną, stojącą na stosie książek, i odwrócił się w stronę swojego gościa.

– Dobry wieczór, Yago. Nie mogłem się ciebie doczekać. Wiesz, jaką przyjemność sprawiają mi nasze rozmowy.

– I mnie również, Johannie. Czy dużo osób dzisiaj przyszło?

Przepraszam za spóźnienie, ale zatrzymało mnie nieoczekiwane wydarzenie.

– Ci sami co zawsze. Dzisiaj dołączył jeszcze Stan Weigand. Kiedyś już tu był, tylko zbiegło się to akurat z jedną z twoich podróży.

– Czy to nie ten, który wszystko krytykuje? Ten, który zna się na... przyrodzie.

– Tak, jest wyznawcą Alberta Wielkiego. Na naszych spotkaniach przedstawiamy różne punkty widzenia – oświadczył sentencjonalnie księgarz.

– Oczywiście, Johannie, oczywiście.

– Chodźmy na górę. Czekają na nas.

Poszli do końca korytarza. Wchodząc po schodach, Yago Kaufmann uniósł brzegi peleryny, żeby się nie potknąć. Kiedy znalazł się na piętrze, ujrzał sześć osób siedzących wokół stołu; dwa krzesła pozostały puste. Johann i Yago zajęli swoje miejsca. Na stole leżało mnóstwo książek, gdzieś porozstawiano świece, które oświetlały pokój i barwiły oczy zebranych żywym, żółtawym światłem.

W sprzyjającej atmosferze, jaka panowała pośród księgozbioru Johanna Buchmanna, spotkała się grupa przyjaciół. Łączyła ich wspólna ambicja: rozpowszechnianie kultury. Mieli rozległą wiedzę o otaczającym świecie, o różnych wyznaniach, o odkryciach, które zaprzeczały prawom powszechnie i bez zastanowienia akceptowanym od niepamiętnych czasów. Wszyscy studiowali rozmaite dziedziny nauki i pragnęli, aby postępów w nich nie zwalczano ani nie podawano w wątpliwość na podstawie wierzeń, które oni nazywali zabobonami. W spotkaniach brali udział astronomowie, alchemicy, przyrodniczy i leksykografowie, a także uczeni, których dyscypliny

nigdzie jeszcze nie były uznane. Przychodzili profesorowie uniwersyteccy, ukrywający swoją wiedzę, aby nie pozbawiono ich stanowisk. Jedynymi spośród zebranych, którzy niczego nie studiowali, ale wiedzieli trochę o wszystkim, byli Yago i Johann.

Yago był kupcem. Podobało mu się takie określenie, chociaż ludzie na ogół z uporem chcieli znać szczegóły: „Jaki kupiec?”, pytali. Ale on, wiecznie uśmiechnięty, odpowiadał krótko: „Kupiec. Po prostu kupiec”. Należał do starej rodziny hodowców bydła, która przybyła do Kolonii kilka pokoleń wcześniej. Nie tracąc kontaktu z ziemiami na wschodzie kraju, skąd się wywodzili, osiedli w stolicy Nadrenii. Podejmując właściwe decyzje, Yago zajął się powiększaniem handlowego dominium swoich przodków, rozszerzał pole działania, przystosowywał do nowych czasów. Ale zawsze odmawiał trzymania steru interesów we własnych rękach; bardziej odpowiadało mu życie w drodze, mimo jego niebezpieczeństw. W czasie ciągłych podróży poznawał odmienny świat, inne warunki i swoim ciętym językiem często kontrargumentował teorie uczonych na spotkaniach u Johanna. Był też zapalonym bibliofilem, który, gdziekolwiek by się zatrzymał, z wielkim pietyzmem przechowywał książki z różnych zakątków świata. Niektóre chętnie oddawał Johannowi, inne zatrzymywał dla siebie jak skarby do odkrywania w niekończące się zimowe wieczory. Nic nie mogło sprawić mu większej przyjemności niż wieczór z książką, przy dźwiękach deszczu padającego za oknem. To on zdobył egzemplarz Wiosennego odpoczynku. W żydowskiej dzielnicy w Toledo usłyszał o tej hiszpańskiej opowieści. Dwóch mężczyzn rozmawiało o niej w małej oberży, przylegającej do budynku dawnej szkoły tłumaczy, a istnienie egzemplarza potwierdził później pewien żydowski uczony, darzony powszechnym szacunkiem. Wszyscy zdumieni byli banalnością tematu i złożonością interpretacji symboli.

Po powitaniach Yago zaczął szczegółowo opisywać książkę.

– Nie wyobrażacie sobie nawet, jak wielkie było moje zdumienie, kiedy znalazłem wersję książki w naszym języku.

– Wersję? Skąd wiesz, że to wersja, skoro znasz jedynie opinię jakiegoś Żyda i nawet nie widziałeś oryginału? – zawołał Ulbrecht Harde.

– Jak zawsze masz rację, Ulbrechcie – zgodził się Yago. – Ale wszystko tu się zgadza: temat, bohaterowie... Nawet symbolika wskazuje ten sam kierunek.

– Ale też możliwe, że jest to reinterpretacja tego samego motywu – argumentował Ulbrecht, który wolał niemiecką oryginalność od importowanych eksperymentów.

– Tak, być może. Pewne natomiast jest to, że należy do tej samej tradycji, i ważniejsze wydaje się ustalenie powiązań, a nie zastanawianie się, czy pierwsze było jajko, czy kura. – Yago starał się oddzielić to, co ważne, od tego, co nieistotne.

– Może więc powinniśmy obejrzeć książkę. Która to jest, Johannie? – spytał Harde, rozglądając się ochoczo.

– Przykro mi, że muszę was rozczarować, panowie, ale pożyczyłem ją przyjacielowi, będzie przychodził na nasze spotkania. Mam nadzieję, że mi wybaczą – usprawiedliwiał się księgarz.

Odezwał się Stan Weigand. Zawsze ubierał się na czarno i wszyscy, nie tylko Yago, znali jego twardy, pryncypialny charakter. Piękno i dobroć przyrody, przedmiotu jego studiów, w żaden sposób nie odbiły się na jego naturze. Chociaż wszyscy jego uczniowie uznawali, że jest sprawiedliwy w ocenach, woleliby go nie mieć jako profesora na Uniwersytecie w Kolonii.

– Dlaczego uważasz, że jego opinia będzie miała większe znaczenie niż nasza? I jeszcze jedno: skąd masz pewność, że stanie się naszym towarzyszem w dyskusjach?

– Co do pierwszego pytania – zaczął Johann – nie twierdzę, że jego zdanie jest ważniejsze. Uważam, że cechuje go wielka wrażliwość i inteligencja, i z tego powodu chciałbym, aby brał udział

w naszych spotkaniach. Myślę, że to jest też odpowiedź na drugie pytanie, Stan.

– W takim razie powinniśmy byli zostawić temat tej książki na inny dzień – odparł uczony.

– Od początku spotykamy się z pewną regularnością, niezależnie od nowych odkryć czy nowych nabytków. Dlatego zaczynamy – powiedział Yago, idąc z pomocą Johannowi, który najwyraźniej nie przekonał surowego profesora. – W czasie moich ostatnich podróży spotkały mnie wielkie niespodzianki. Sądzę, że nasza katedra okaże się mała, kiedy uda nam się ją skończyć. To znaczy, jeśli będziemy ją kiedyś oglądać na własne oczy.

– Co masz na myśli, Yago? To będzie jedna z największych budowli w Europie, widok z wież będzie się rozpościerał na wiele kilometrów dookoła i będziemy o nich mówić, że dotyczą nieba. Nie wydaje ci się to wystarczającą ofiarą dla naszego Pana? A może jesteś zwolennikiem wieży Babel?

– Ach, szanowny ojciec Wahrheit, obawiam się, że ojca uraziłem. Chyba niezbyt jasno ująłem swoją myśl.

– Być może.

– We Florencji budynki publiczne nie służą już Bogu, lecz człowiekowi. Bóg przestał być miarą wszystkich spraw. My spotykamy się tutaj, aby dyskutować o naszych brakach: nasze społeczeństwo jest prymitywne, nie ma dostępu do nauki. Ludzie nie mają nic poza wiarą, boją się, popycha ich strach, cierpią. W północnej Italii wszystko się zmienia: place powstają po to, aby mieszkańcy mogli obserwować życie w czasie spacerów, w kościołach portyki są większe, aby wierni mogli się widzieć, bazyliki buduje się tak, aby były przestronne, a nie jak najwyższe; przybliża się je do ludzi.

– I już nie składa się w nich ofiary Bogu? – spytał proboszcz.

– Od tych praktyk nigdy się nie odejdzie, bo taki jest sens istnienia kościołów. Ale zmienia się perspektywa. Nie są to już zimne i ciemne miejsca pokuty, szuka się w nich czegoś ludzkiego i użytecznego. Tak jak w malarstwie. Widziałem we Florencji obraz, którego punktem centralnym był człowiek. Tematem obrazu było to, czym człowiek zajmuje się na co dzień, a nie sceny z życia świętych czy oddawanie czci Bogu. Poza tym pojawiają się nowe techniki, jak punkty zbiegu perspektywy i szerokie tło, po to, żeby oddać wrażenie głębi. Ciągłe jeszcze są tacy malarze, którzy umieszczają wszystkie osoby jedne na drugich na pierwszym planie, ale na szczęście już nie wszyscy malują tak jak kiedyś. I tak człowiek zaczyna być miarą wszystkich rzeczy.

– Bardzo dobrze, Yago, na tym polega nasza walka. Ale gdzie, w całym tym procesie, jest miejsce dla Boga?

– W głębi naszych serc. Tak właśnie wielbimy Boga, gdy przychodzimy na nasze spotkania – odparł kupiec.

Ojciec Martin Wahrheit się uśmiechnął. Był jedynym człowiekiem Kościoła w tym gronie i wiele razy czuł się w obowiązku bronić Boga. Chociaż nie brakowało momentów, kiedy i on nie był całkowicie w zgodzie z ortodoksyjnym punktem widzenia. Ponadto z rozmów tych zawsze wynikało coś dobrego. Chodził w długiej czarnej sutannie. Oczy miał czarne, czasem wesołe, skrzące się, czasem smutne, i ostro zarysowany spiczasty podbródek.

– To śmiałe słowa, Yago. Ja sam czasem podobne myśli przekazuję z ambony, przyjacielu, tylko w nieco bardziej subtelnej formie. Nasze społeczeństwo nie jest jeszcze na to przygotowane. Nie widzę związku między zmianą perspektywy w sztuce a zmianą codziennego życia naszych współobywateli.

– Czasem drobne posunięcia dają nam nowe spojrzenie. Fakt nazwania współobywatelami mieszkańców miasta daje pojęcie o waszym zaangażowaniu. To właśnie jest celem naszych

spotkań: nadać wagę słowom. Dlaczego są takie, a nie inne. Powinniśmy dążyć do otwarcia się na innych, podkreślać wagę sztuki... Kim jesteśmy? Dlaczego martwimy się tym, czym się martwimy? W gruncie rzeczy zawsze mówimy o tym samym, ojcze. Czasy się zmieniają, ale ludzkie zmartwienia nie.

– Doskonale to ująłeś, Yago. Przekonałeś mnie.

– Ale co ja mam tobie powiedzieć? Ty jesteś Martin Wahrheit, ksiądz ludzi biednych. Obaj mamy te same przeczucia, ty jednak na co dzień obcujesz z prostymi ludźmi i znasz ich problemy. Dlatego przyznaję ci prawo protestu. Czasem widok głodnej twarzy potwierdza banalność sztuki.

– Zwłaszcza gdy ta sztuka służy do dekoracji kościołów, do których przychodzą ci biedni. I tych świętych pyszałków w kapeluszach i uroczystych szatach...

Przez twarze zebranych przemknęły uśmiechy, jak fala po powierzchni morza. Wszystkim znana była niechęć księdza Martina Wahrheita wobec coraz większych wymagań Kościoła, ale niewielu wiedziało, jakie są prawdziwe powody. Przypuszczano, że to z powodu kontaktu z ludźmi biednymi, choć była to zaledwie część prawdy.

Pośród śmiechów i rozmów, chwilami poważnych, chwilami burzliwych i ekscytujących, spotkanie zbliżało się do końca. Wkrótce miał nastać świt. Przyjaciele nie przychodzili tu, aby zmieniać świat. Oni już żyli w innym świecie, pełnym ksiązek i wiedzy, gdzie jedynymi bogami byłby postęp i poszukiwania. Dla nich nie Bóg był centrum wszechświata, lecz człowiek i jego zdolność czynienia zmian. Znajdowali się na początku podróży i stąpali po niezbadanym terenie, stopniowo nabierającym kształtu. Wielu ginęło w tej drodze, lecz z każdym upadkiem kolejny męczennik oświeślał szlak tym, którzy czerpali siły ze swojej wiary. Trudno było dokonać wyłomu w sposobie myślenia, lecz krok po kroku, cios za ciosem, coś się zmieniało.

Miasto broniło się przed surowością zimy. Większość mieszkańców spędzała dni w różnego rodzaju zakładach i warsztatach. Zagniatali i piekli chleb w piekarniach, urabiali glinę w garncarniach, korowali i czyścili drewno w stolarniach, kuli żelazo w kuźniach. I prawie wcale nie widzieli słonecznego światła. Dni stawały się coraz krótsze.

Ilse skończyła prace, które jej polecono wykonać, i poszła przygotować sypialnię Nikolasa. Z pokoju, przez wysokie okno, przedzielone w środku kolumną i częściowo przesłonięte piękną grubą kotarą, roztaczał się widok na ogród. Docierał tu delikatny szmer fontanny, kojący zmysły. Porozkładała poduszki na wielkim łożu z baldachimem według swojego gustu, a kilka zbytecznych włożyła do jednej z dwóch wielkich komód stojących pod ścianą. Zamykała szufladę, kiedy weszła Elisabeth, oferując pomoc.

– Sama to zrobię – powiedziała Ilse. – Co więcej – dodała – chcę to zrobić sama. Wyjdź, proszę.

Elisabeth szczególnie się nie zdziwiła. Przyzwyczyła się do oschłego zachowania Ilse wobec pozostałych kobiet, zwłaszcza gdy nie było Nikolasa. Ale przykrość sprawiało jej to, że choć były sobie równe, Ilse traktowała ją z góry. Wyszła bez słowa.

Po kolacji Ilse usiadła koło kopisty, opiekuńcza i rozmowna. Pozostałe cztery dziewczyny usadowiły się dookoła i razem zabawiały mistrza opowiadaniem najświeższych plotek. Od czasu do czasu Nikolas pograżał się we własnych myślach i wtedy Ilse ściągała go na ziemię pytaniem, jakie tylko ona mogła zadać.

– Drogi Nikolasie, czy masz jakąś nową ciekawą książkę w warsztacie? Czy jest jakaś praca, którą zaskoczył cię wielki Helmuth? – zapytała z wyraźną ironią w głosie.

– Nie przydawaj Helmuthowi rangi osoby – zawołał Nikolas.

– Czy może lepiej przydać mu rangę konia? – Ilse wybuchnęła śmiechem.

– Mimo takiego ponurego wyglądu, a może dzięki niemu, Helmuth bardzo dobrze wykonuje swoją robotę – oświadczył Nikolas. – We wszystkich warsztatach w Kolonii jest jakiś Helmuth, zdolny powiązać pewien zawodowy talent z dużą dozą dyscypliny. Bez nich pracownicy byłiby z pewnością bardziej zadowoleni... ale mniej wydajni.

– Ale czy wszyscy są tacy brzydki? – Ilse zamrużyła gwałtownie powiekami.

Wszystkie kobiety serdecznie ubawiła ta uwaga, Nikolas też uśmiechnął się z wyraźną przyjemnością. Takie rozmowy odprężyły go i pomagały choć na chwilę zapomnieć o pracy. Poczł się jak nauczyciel instruujący swoje podopieczne w trudnej sztuce życia. Dlatego słuchał ich z niekłamaną życzliwością.

– Ach, moje słodkie przyjaciółki! – westchnął. – Bądźcie mi wierne, a nie wpadniecie w szpony tych gburowatych osobników, którzy chłostają terminatorów, popędzają rzemieślników i liżą rękę, która ich karmi.

I na tym Nikolas zakończył rozmowy, lecz nie wieczór. Podniósł się i podszedł do Avy w sposób, wydawało się, zupełnie przypadkowy. Była to piękna kobieta o dojrzałych kształtach, ze wszystkich tam obecnych najbardziej pulchna. Pochylił się ku niej i szepnął coś do ucha, po czym udał się do swojego pokoju. W salonie pozostał delikatny ślad jego obecności, znikające brzmienie głosu i bosych nóg stąpających po wschodnich dywanach.



W pokoju Nikolasa Ava z tajemniczym uśmiechem stawiała obok łóżka amforę z gorącym aromatycznym likierem. Wyszła do czekających w przedpokoju dziewcząt i z obojętną już twarzą zwróciła się do Ilse.

– Nikolas chce, żebyś weszła.

Ilse ogarnęło wzruszenie. Chociaż tej nocy będzie tą wybraną.

W pokoju podeszła do łóżka, na którym czekał już Nikolas, i ramionami objęła go za szyję, preludium do gorącego pocałunku. Poczuli płomień pożądania. Połączeni w uścisku przesunęli się wolno w stronę rozłożonych poduszek. Odchyłili głowy, obydwójce na kolanach, patrzyli sobie w oczy. Odsunęli się na chwilę i kiedy zrzucili ubranie na podłogę, głos Nikolasa przytłumił szmer fontanny w ogrodzie.

– Cały dzień czekam na ten moment.

– Nikolasie... – szepnęła do ucha skrytego pod gęstą jasną czupryną.

Żar namiętności rozpalił Nikolasa. Gorącymi wargami muskał bujne piersi dziewczyny, a czubkami palców przebiegał po delikatnej, jasnej skórze, którą tak dobrze znał. Pragnienie rosło, oddech stawał się krótki, urywany.

Ilse poczuła, że i jej ciało coraz gwałtowniej reaguje na zmysłowe pieszczoty, osunęła się na poduszki i rozwarła nogi.

Kiedy drzwi się po cichu otworzyły, ani Nikolas, ani Ilse nie przerwali pieszczot. Ava podeszła do łóżka. Podniosła z podłogi zostawioną tam wcześniej amforę. Wydobywały się z niej nikle smużki o zapachu wiśni. Pochyliwszy się ku Nikolasowi, nalała likier do jednego z dwóch kielichów, aby go schłodzić. Spojrzała na Ilse, wyciągniętą na łóżku, wijącą się w podnieceniu, pieszczącą łono.

– Nektar bogów w rajskej temperaturze – powiedział kopista, wylewając strużkę likieru na rozchylony kwiat jej kobiecości. Pochylił się i z rozkoszą zlizywał słodycz. Ilse była gotowa.

Teraz Ava, zdjawszy swą przezroczystą suknię, naga zbliżyła się do swego pana, otoczyła ręką w pasie, a drugą pieściła członek, by szybko osiągnął maksymalną siłę.

Doświadczoną dłonią poprowadziła Nikolasa ku Ilse. Jęk obydwójga oznaczał, że wszedł w nią. Mocne pchnięcia następowały po sobie z coraz większą szybkością. Ich siła rosła, pobudzana pożądaniem, i Ilse wkrótce osiągnęła orgazm. Gdy słabł, odepchnęła Nikolasa. Teraz była kolej Avy. Czekwała na niego, oparta na kolanach i łokciach, z głową na poduszce. Nikolas przywarł do jej szerokich bioder, aby wzmocnić każdy atak, i patrzył na Ilse i jej piękne ciało. Leżała zmęczona, z powiekami na pół przymkniętymi z rozkoszy. Wtedy zaatakował gwałtownie i po kilku niekontrolowanych już ruchach opadł na plecy Avy, lekko pieszcząc ciało Ilse.



Słuchając szmeru wody i głębokich oddechów Nikolasa i Avy, Ilse zamknęła oczy. Była zaspokojona i zmęczona. Leżąc tak blisko swego protektora, wspominała wydarzenia, które na zawsze wryły jej się w pamięć. Przypominała sobie, jak poznała Nikolasa, mistrza i kochanka. Nawet teraz zastanawiała się czasem, jak w ogóle mogło dojść do tego, co stało się dziesięć lat wcześniej. Ona, niemal jeszcze dziecko, i on, dojrzały mężczyzna o inteligentnych oczach i dumnej postawie.

W jej rodzinnej wiosce Holzowie od zawsze walczyli z głodem i chorobami. Rok wcześniej epidemia zarazy zebrała tragiczne żniwo: zmarła niemal połowa mieszkańców. Drzwi domów pozabijano deskami i stracono kontakt z resztą świata. Ludzie wiedzieli, że są pozostawieni sami

sobie. Ilse oczami wyobraźni wciąż widziała potworny spektakl śmierci, który rozgrywał się co dzień; czuła wówczas na szyi jej cuchnący, ciepły oddech, każdego wieczoru myślała, że przeżyty dzień może być ostatnim. Kiedy zaraza wygasła, nikt o niej nie mówił. Jej wspomnienie zostało pogrzebane we wspólnym grobie z ostatnimi trupami. Ale w ojcu Ilse nieszczęścia i bezsilność wywołały gniew. Czuł ślepą nienawiść do losu, chciał, aby żywi zapłacili cenę za zmarłych. Jak za najstarszego syna, którego zaraza zabrała w młodym wieku. Najczęściej ta nienawiść skupiała się na Ilse. Do pewnego wieczoru. Była już w łóżku, kiedy, choć pobita i słaba, wstała po omacku, postanawiając z tym skończyć. Bez względu na konsekwencje.

Dom składał się z jednego pomieszczenia, które służyło za kuchnię, jadalnię i sypialnię. Najmłodszy brat – jedyny, który przeżył zarazę – i matka spali spokojnie w łóżku obok łóżka ojca, niczego nieświadomi. Łóżko Ilse stało dalej. Przyglądała się przez chwilę śpiącym, a potem, utykając, podeszła do kominka i wzięła do ręki ciężki żelazny pogrzebacz. Nie zawahała się nawet przez chwilę. Pierwszy cios zabrział głucho. W oczach jej poczerwieniało. Wiedziała, że narzędzie dosięgło celu. Dwa następne ciosy trafiły w coś miękkiego i porowatego. Jak gdyby uderzała nie ojca, lecz suchą morską gąbkę – to wyobrażenie utkwilo jej w pamięci. Oparła zakrwawiony pogrzebacz o ścianę przy kominku. Panowała głucha, ciężka cisza. Ilse wzięła do ręki przygotowany węzełek z ubraniami i wyszła. Nigdy się nie dowiedziała, co się stało z rodziną. Miała czternaście lat.

Jadła to, co udało jej się wyżebrać na drogach, i po wielu dniach w zapadłej twarzy widać było tylko wielkie oczy. Wyzierał z nich głód. Postanowiła iść w górę rzeki, do miasta, do Kolonii.

Nikolas podróżował Renem, w drodze powrotnej z Düsseldorfu. Kiedy minęli Monheim, statek zatrzymał się na płyciźnie przy brzegu, ponieważ przeciekał. Zauważono to wkrótce po rozpoczęciu podróży, lecz kapitan twierdził, że dopłyną bezpiecznie do najbliższego portu. Zanim jednak dotarli do Leverkusen, woda sięgała już do kostek. Nikolas zjechał ze statku na grzbiecie swojego konia i kiedy podążał drogą wzdłuż rzeki, zauważył z daleka wędrowca idącego w tym samym kierunku. Niebawem stukot końskich kopyt ostrzegł pieszego. Nie odwracając się, zszedł z drogi i podniósł z ziemi kij, niewątpliwie w celu ewentualnej obrony.

– Przepraszam, mein Herr, czy nie zechcielibyście wskazać mi jakiejś gospody, gdzie można zjeść przyzwoite śniadanie?

Postać cofnęła się o krok i odwróciła w jego stronę. Mimo że policzki, nos i czoło pokryte były sadzą, Nikolas zobaczył przed sobą śliczną dziewczynkę. W umorusanej twarzy błyszczały jasne oczy, a spod kaptura zniszczonej peleryny wymykały się jasne kosmyki.

– Och, najmocniej przepraszam. Wziąłem cię za mężczyznę.

– Nie jestem stąd, ale widziałam dom niespełna kilometr w tamtą stronę – odparła dziewczyna. Podniosła zakrzywiony kij i wskazała na wschód.

Nikolas skupił uwagę na czubku kija. Ona też tam spojrzała, zastanawiając się, na co patrzy nieznajomy. Nie miała pojęcia, co go zainteresowało.

– Zrób to jeszcze raz, proszę.

– Co?

– Jeszcze raz pokaż kierunek.

Leżąc teraz w łóżku tego mężczyzny, Ilse Holz przypominała sobie, co czuła tamtego dnia, kiedy jeszcze raz podnosiła gałąź. Spodziewała się, że spełniwszy ekscentryczną prośbę, otrzyma jakąś monetę. Nigdy nie pomyślała, że od tego niewinnego gestu zależeć będzie jej przyszłość. Nikolas poruszył się w siodle. Nic nie powiedział. Zdziwiło go, że ręka jej nie zadrżała. Doświadczenie pozwalało mu wypatrzeć talent w takich drobnych szczegółach.

Mała Ilse potrząsnęła głową i zaczęła powoli odchodzić. W swoich wędrówkach nauczyła się nie ufać samotnym podróżnikom.

– Zaczekaj, proszę.

Nie posłuchała. Oddalała się coraz bardziej.

– Proszę, zaczekaj! – powtórzył. – Może szukasz pracy? Teraz się zatrzymała.

– Gdzie? – zapytała, nie odwracając głowy.

– W Kolonii. Chodź ze mną, powiem ci, jakie są warunki. – Pociągnął cugle i zwrócił konia w kierunku, który wskazała. Kiedy usiedli przy stole w gospodzie, Nikolas zamówił smakowite śniadanie, składające się z zimnych mięs, chleba i jajek. Ilse nigdy nie widziała takiej obfitości jedzenia. Nawet w najlepszych czasach przed zarazą.

– Umyj ręce tam, na dworze. Chcę cię poddać próbie – powiedział Nikolas. – Ach, i przy okazji zmyj ten brud z twarzy. Niewiele o tobie wiem, ale jeśli, jak się domyślam, pochodzisz z daleka, przy mnie nie musisz niczego ukrywać.

W miarę jak Ilse zaspokajała apetyt, na jasnej twarzy pojawiały się rumieńce. Nikolas opróżnił kufel piwa, zrobił miejsce na stole i rozłożył spore zawiniątko. Wewnątrz znajdowało się kilkanaście trzcinek różnej wielkości, umieszczonych w zręcznie przyszytych kieszonkach. Nikolas zmieszał odrobinę czarnego proszku z resztką piwa w kuflu. Umoczył czubek pałeczki i narysował prostą linię na kawałku papieru, który wyjął ze skórzanej sakwy.

– Narysuj taką samą linię, obok tej. Dokładnie taką samą.

Ilse odsunęła swój talerz, wytarła usta brzegiem rękawa i chwyciła pałeczkę w taki sam sposób, jak to zrobił nieznajomy mężczyzna. Z jego zachowania widziała, że nie są to żadne żarty. Narysowała równiuteńką równoległą linię. Ręka jej nie zadrżała. Odłożyła pałeczkę i przyciągnęła talerz z jedzeniem.

Nikolas wytarł szmatką tłuste plamy, jakie zostawiły palce dziewczyny. Przyglądał się uważnie dwóm liniom. Umoczył na nowo czubek pałeczki w atramencie i pewną ręką wykaligrafował kilka liter. Potem podał ją dziewczynie. Powtórzyła wszystkie jego ruchy, nawet zawinęła rękaw. Grubość kreski odtworzyła przez silniejsze lub słabsze naciśnięcie pałeczki, tak jak on to zrobił. Nie wiedziała, co to wszystko znaczy, ale zrozumiała pojęcie „dokładnie tak samo”.

Nikolas zamyślił się, a Ilse tymczasem ponownie napełniła talerz. Nie miała pojęcia, kiedy znowu będzie miała okazję jeść takie wspaniałości. Po chwili kopista zebrał swoje rzeczy, zostawił parę monet dla oberżysty i powiedział:

– Pojedziesz ze mną, jeśli zechcesz. Dostaniesz dach nad głową, jedzenie i nauczysz się manier. W zamian będę od ciebie żądał, abyś wykonywała takie ćwiczenia jak te, które przed chwilą zrobiłaś. Nie powiedziałaś mi, jak się nazywasz. Możesz zachować nazwisko, jeśli nic ci nie grozi ze strony władz. W przeciwnym razie lepiej je zmienić.

– Nazywam się Ilse Holz. I tak będziesz mnie nazywał, kiedy będę pod twoją opieką.

Ilse uśmiechnęła się, wspominając tamte słowa. Minęło prawie dziesięć lat i niewiele zostało w niej z tamtej dziewczynki w łachmanach. Odwróciła się i pogładziła nagie ramię Nikolasa.

Słońce powoli znikало, zostawiając czerwony ślad na horyzoncie. Listopad zbliżał się do końca, dni były krótkie i zimne. Od czasu do czasu dźwięk dzwonów wzywających na msze przerywał monotonię i wskazywał godziny. Lorenzowi, który siedząc wieczorami samotnie w domu, z coraz większą wprawą modelował stemple, czas mijał szybko.

Siedział na taborecie i cierpliwie nadawał kształt małym kawałkom metalu, leżącym na niemal całej powierzchni poszczerbionego stołu. Stół wyglądał jak miejsce pracy rzemieślnika, a to złościło jego córkę, która kazała mu codziennie sprzątać cały bałagan. Stary i zniszczony mebel musiał też służyć do posiłków, bo ciągle brakowało im pieniędzy na kupno nowego.

Jeszcze przed kolacją Lorenz szlifował metal. Stemple błyszcząły jak pierścienie, które robił w ciągu dnia, ale sam materiał, którego używał w domu, był dużo gorszego gatunku. Nie był to metal szlachetny, gdyż taki przeznaczano na piękne przedmioty; to, co teraz robił, miało służyć celom praktycznym. Dzięki tym stemplom Lorenz realizował swoje pragnienie stworzenia „sztucznego” pisma. Nawet teraz przebiegał go przyjemny dreszcz, kiedy przypominał sobie pierwsze próby i pierwsze stemple, które zrobił właściwie przypadkiem, z łatwiejszymi łacińskimi literami. Potem zaczął robić inne, z literami gotyckimi. Zauważył jednak, że kiedy odbijał je na papierze, tylko niektóre łacińskie litery zostawiały na nim ślad. W końcu odkrył, że na metalu powinno być wyryte lustrzane odbicie litery, jaką miał przedstawiać. Jego talent – zwany przez niektórych ułomnością – do pisania lewą ręką okazał się bardzo pomocny.

Lecz mimo postępów, jakie czynił, uważał, że zbyt wiele czasu poświęca na coś, co, jak sądził, jest bardzo proste. Problem polegał na takim przygotowaniu kawałków metalu z literami, aby dało się składać całe słowa. Nie potrafił sprawić, aby litery były równe i w równej od siebie odległości. Próbował różnych sposobów, na przykład metalowej listwy, którą kładł na papierze, albo rysowanych węglem linii, które później można usunąć, wycierając je kulką z chleba. Ale na nic mu się te pomysły nie zdawały. Wstrzymywały pracę i sprawiały, że cały proces był dużo wolniejszy niż prosta sztuka pisania, poza tym papier się brudził i w żaden sposób nie dawało się go oczyścić. Wszystko to było bardzo ważne, ale przecież Lorenz postawił sobie za cel uzyskanie pisma takiego samego jak pismo ręczne albo lepszego. I szybszego, dużo szybszego.

Odłożył metal i zajął się przycinaniem kawałka drewna. Po chwili trzymał w ręce niemal doskonały w kształcie cylinder, długości dłoni. Spróbował włożyć na niego jeden z pierścieni, ale stwierdził, że jest ciągle zbyt gruby i nieregularny. Ściał nieco powierzchnię i znowu spróbował. Dopiero wtedy zaczął wygładzać go i polerować, póki nie był idealnie gładki. Nakładał pierścienie, jeden po drugim, jak na palec, tak aby były płaską częścią zwrócone w jedną stronę. Poszedł po papier i położył go na kawałku w miarę jeszcze gładkiej powierzchni stołu. Małym pędzelkiem uważnie, bez pośpiechu nakładał farbę na litery stempla. Ale zauważył, że pierścienie się obracają. Znalazł więc starą koszulę, urwał dwa wąskie kawałki i mocno zawiązał je na obu końcach sztucznego palca. Pierścienie się nie ruszyły. Odbił litery na papierze. Raz. I drugi raz. I następny. I jeszcze jeden.

Na żółtawej, idealnie gładkiej powierzchni papieru widać było słowo. Napisane dużymi literami, powtórzone w odstępach, bez jednego błędu, idealnie równe, jedno jedyne słowo, powielone

kilkukrotnie:

W domu panowała cisza. Pozmywane po kolacji naczynia leżały na kamiennej półce obok kominka, ale w całym pomieszczeniu unosił się jeszcze zapach jedzenia. Zanim Erika poszła spać, dołożyła do paleniska dwa polana. Pobudzony prądem powietrza z komina ogień zapłonął żywszym czerwonym płomieniem.

Kolacja minęła powoli i monotennie. Po zamglonym spojrzeniu ojca Erika poznała, że chodzi mu po głowie jakiś pomysł. Prawie nie rozmawiali. Zaczęła opowiadać mu o tym, jak spędziła rano, o tym, że z każdym dniem trudniej było o drewno na rynku, że dwa razy musiała chodzić po wodę do studni, że sznur u drewnianych wiader się urwał. Na szczęście upadły w taki sposób, że woda się nie wylała, ale ona bardzo się wystraszyła. Zauważyła, że ojciec w ogóle jej nie słucha, więc pomyślała, że powie mu o tym, co ją dręczy, co rodzi się w sercu i o czym często myśli teraz, kiedy dorasta. Na ogół unikała takich rozmów, żeby nie niepokoić ojca, ale dziś mogła być spokojna – nic z tego, co powie, do niego nie dotrze.

Erika nie była dziewczyną leniwą ani ospałą, która by się bała ciężkiej pracy w domu. Jej nieśmiałe żale świadczyły o braku zadowolenia z tego, co robi, chociaż było to coś, co wypełniało jej dni. Mówiła, że czuje się samotna, że czasem całymi dniami nie ma z kim zamienić słowa, że tylko Matthias słucha jej z uwagą, że chłopiec czyta coraz lepiej, ale mógłby szybciej się uczyć, gdyby poświęcić mu więcej czasu... Kiedy wypowiedziała słowo „czyta”, Lorenz poruszył się w krześle i spojrzał na nią jak ktoś, kto wrócił z daleka, z jakiegoś odległego miejsca. Była to zaledwie chwila, ale napełniła ją czułością. Wysłuchał jej i wrócił do swoich myśli. Łyżka wędrowała między talerzem i jego ustami w powolnym rytmie, jak czerpak w młyńskim kole poruszonym przez wodę.

Po kolacji Erika siedziała jeszcze i przyglądała się, jak ojciec zbiera ze stołu naczynia, a następnie rozkłada narzędzia i wraca do przerwanej pracy. Oczy migotały mu radością, kiedy rytował literę, polerował metal, nadawał połysk i wykańczał stempel. Erika, z mieszaniną radości i troski, poszła na górę. Miała wrażenie, że ojciec czasem jej nie zauważa, że bardziej pilnuje własnych spraw, nie interesuje go nic poza pracą, ale też wiedziała, że kiedy jest zaprzątnięty tworzeniem stempli, nie myśli o przeszłości. Zanim odeszła, pocałowała ojca w policzek.

Jak każdego wieczoru, odłożył trzymany w dłoniach przedmiot, wrócił z krainy, w której przebywał myślami, i spojrzał na córkę. Pocałował ją czule i patrzył, jak wchodzi po schodach i zniką z oczu. Znowu pomyślał o Ebbie, swojej zmarłej żonie, i o tym, jak bardzo Erika urosła. Z każdym dniem stawała się coraz bardziej podobna do matki.

Wrócił do pracy. Chciał jeszcze tego wieczoru znaleźć lepszy sposób na unieruchomienie pierścieni. Wymyślić coś, co je połączy tak, aby po nałożeniu na cylinder nie mogły się obracać. W czasie kolacji o niczym innym nie myślał i zdawało mu się, że znalazł rozwiązanie, musiał tylko tak to połączenie zamontować, żeby nie odbiło się na papierze. Brąz, używany do pierścieni, dzięki dużej zawartości cyny dawał się łatwo obrabiać, dlatego udało mu się to zrobić małym pilnikiem.



Lorenza powoli zaczęło ogarniać zmęczenie. Zasnął z głową na ramionach opartych o stół. Mimowolne skurcze przebiegające po twarzy świadczyły, że sen miał niespokojny. Obudził go nagły trzask drewna. Podniósł głowę. Czoło miał zroszone potem, chociaż w pokoju było bardzo zimno. Spojrzał na tłacę się jeszcze resztki polan w kominku. Śnił mu się sen, który powtarzał się nieustannie. Podniósł się, trzymając w dłoni świeczkę, prawie wypaloną, dającą nikłe, drżące światło. Podeszedł do kominka, postawił świeczkę na kredensie i dołożył ostatnie polana do ognia.

W oczach odbiły się żywe płomienie i powrócił w myślach do snu.

Śniło mu się, że nagi wędruje przez opustoszałe i zimne ziemie. Otoczył ciało ramionami i rozcierał je, chcąc choć trochę się rozgrzać, lecz niewiele to pomagało. Z daleka zobaczył ciemny zarys lasu, który wydał mu się miejscem spokojnym, bezpiecznym, i szybko pobiegł w tamtym kierunku. Lecz im szybciej biegł, tym bardziej drzewa się oddalały. Pragnienie dotarcia tam było silniejsze od zmęczenia i w końcu, ostatkiem sił, dotarł do skraju lasu.

Wszedł nieco głębiej i od razu zrobiło się ciemno i groźnie. Odwrócił się, lecz nie zobaczył nawet śladu pustkowie, przez które dopiero co biegł. Nagle zrobiło mu się gorąco, nie tylko z wysiłku; wydało mu się, że otacza go rozgrzane powietrze, czuł, że wokół niego robi się coraz gęściej, ciałniej. Trochę dalej zobaczył światło, wyraźnie wskazujące drogę ucieczki. Światło, które nie raniło, było przyjemne.

Gdy doszedł do miejsca, skąd dolatywało, jasność zamieniła się w szalejący ogień, pożerający wszystko dookoła jak wściekłe zwierzę. Przerażony Lorenz zaczął uciekać, lecz płomienie podążały za nim. Co chwila napotykał przeszkody, niskie gałęzie, krzewy, gęstą warstwę suchych liści pod nogami. Potykał się, przewracał, a ogień nieubłaganie pełzał za nim. Żar czał się, zagrażał. W końcu Lorenz, wyczerpany, wypadł na tę samą pustą przestrzeń, przez którą wędrował wcześniej. Lecz teraz nie było widać żadnego ognia. Nie widział też lasu, być może pochłoniętego przez żywioł, choć nigdzie wokół nie było śladów pożogi. Gdziekolwiek spojrzał, roztaczał się widok jałowej ziemi, bez roślinności, bez domów, bez zwierząt, bez żadnych oznak życia. I tylko on sam, na tym pustkowie, pragnący jedynie, aby dosięgły go jęzory żywych płomieni.

Ile razy śnił ten sen, budził się z ustami spalonymi pragnieniem i z otępiałą głową. Wróciło wspomnienie tragedii. Oczami wyobraźni wciąż widział Ebbę, patrzącą na niego ze smutkiem, pogodzoną z tragicznym losem – nie mógł się uwolnić od tego obrazu.



Zgasił ogarek świecy i wszedł na górę do alkowy. Zatrzymał się na chwilę i włożył głowę między zasłone dzielącą pomieszczenie na dwie części. Patrząc na śpiącą Erikę, zrozumiał, jak bardzo tęskni za Ebbą. Były podobne jak dwie krople wody. Ciemnowłosa, ciepła i serdeczna Ebba była jego podporą w czasie długich szczęśliwych lat. Przy niej czuł, że szczęście trwać będzie wiecznie, że nigdy ich nie opuści. Lecz z biegiem lat nauczył się, że nic nie trwa wiecznie. Podszedł i otulił Erikę kocami, żeby zimno nie pozbawiło jej sił, i pocałował lekko, żeby się nie obudziła. Wdzięczny jej był za wszystko, co dla niego robiła, bez jednej skargi, bez jednego pytania, wyrozumiała dla jego nagłych impulsów, pełna szacunku dla długich okresów milczenia. Wkrótce stanie się kobietą, a on nie będzie mógł zapewnić jej żadnego posagu. Musi być silna i pogodzić się z niedostatkiem.

Jeszcze przez chwilę patrzył na nią, a potem ostrożnie poszedł do swojej części sypialni. Zdjął koce z łóżka. Nie miał pojęcia, jak prędko odezwą się dzwony na jutrznię z pobliskiego kościoła Świętej Cecylii. Były dla niego sygnałem, że pora wychodzić do pracy. Zdjął wysokie sznurowane kamasze i postawił przy łóżku. Na starym chybotliwym krześle powiesił spodnie, kaftan i tunikę z grubego materiału.

Nagi usiadł na twardym łóżku i podrapał się w głowę. Wreszcie położył się na wznak, ale nagły spazm bólu wykrzywił mu twarz. Ciągłe odkryty przewrócił się na bok. Plecy pod łopatkami były jedną wielką blizną. Pomarszczona czarna skóra wyglądała jak warstwa smoły, charakterystyczny ślad po oparzeniu. Mimo upływu lat rana wydawała się nie do końca zagojona i była nieustającym bolesnym przypomnieniem tragicznego wypadku. Lorenz przykrył się kocami i zasłonił bliznę. Miał jeszcze nastąpić czas, kiedy zobaczą ją inne oczy.

Nikolas dosiadł Goliata i wziął łuk z rąk Raynarda.

– Nie zapomnij nasmarować cięciwę, kiedy już ją założysz. Inaczej mogłaby się zerwać. Łój jest w małej torbie, włożyłem do sakwy.

– Dziękuję, Raynardzie. A strzały? – spytał Nikolas.

Raynard przeszedł pod głową konia na drugą stronę i klepnął parę razy drugą sakwę, wiszącą na zadzie.

– Tu są. Wszystkie nowe, wypolerowane, wejdą w dąb jak w masło.

– Nie zamierzam polować na dęby, dobry człowieku – odparł Nikolas uszczypliwie i poderwał konia.

Było jeszcze ciemno. Dzień wstał zachmurzony i na mrocznym niebie trudno było dojrzeć jakąkolwiek gwiazdę. Raynard stał jeszcze i patrzył, jak galopujący rumak znika w ciemności. Pomyślał, że im lepiej będzie się wiodło Nikolasowi, tym lepsza będzie i jego sytuacja. Kopistę czekał ciężki dzień polowania na terenach wokół zamku Hellera, na połaciach ziemi w pobliżu Kolonii. Raynard wiedział, że jego przyjaciel jest dobrze przygotowany.

Chociaż w obecności Raynarda okazywał pewność siebie, w rzeczywistości Nikolas był bardzo niespokojny. Zdawał sobie sprawę, że udział w polowaniu, na które zaproszono wszystkich arystokratów z Kolonii, to nie to samo, co zwykle spotkanie towarzyskie. Tworzące się na polowaniach sieci powiązań były ściśle uzależnione od umiejętności strzeleckich. Nawet najlepszy myśliwy nie nawiązywał więcej kontaktów niż inni, ale ten, kto nie radził sobie z łukiem, natychmiast stawał się obiektem plotek i drwin. Dlatego Nikolas przygotował się bardzo starannie.

O większości uczestników wiedział już co nieco. Były to osoby powszechnie znane w mieście, reprezentujące władzę. W swoim środowisku Nikolas wspinał się po szczeblach kariery na równi z innymi. Początki były trudne; przebył długą drogę, aby dotrzeć do miejsca, w którym się teraz znajdował. Przeszkody, z jakimi przyszło mu się zmierzyć, o mało nie doprowadziły do tego, że zrezygnował ze swoich planów, ale pokazał siłę charakteru. I sprawił, że ludzie władzy stopniowo zaczęli go akceptować w swoim towarzystwie. Pomimo to musiał być ostrożny: jeden fałszywy krok będzie oznaczał upadek, wysiłek wszystkich lat pracy zostanie zaprzepaszczone. Niejeden raz widział na własne oczy, jak spotyka to innych ludzi.

Overstolza znał od czasu, kiedy ten zaczął odgrywać znaczącą rolę w cechach rzemieślniczych. Szybko przypadli sobie do gustu, pomimo różnicy charakterów. Heller był impulsywny, Nikolas – refleksyjny, ale mieli takie samo zdanie co do cechów: dzięki nim mogli utrzymać własne pozycje i rozszerzać swoje wpływy, a także eliminować konkurencję. Przyjęli jednoznacznie konformistyczną postawę. Byli tak samo przeciwni zmianom jak najbardziej konserwatywna szlachta. Jeśli jednak z biegiem lat rosło znaczenie niektórych rzemieślników, potrafili i to wykorzystać. Zawsze sięgali po więcej, nawet po zdobycie szlacheckiego tytułu, aby tylko zagarnąć jak najwięcej władzy w swoje ręce. Zarówno Heller, jak i Nikolas wiedzieli, jak dopiąć celu, chociaż ich metody w niczym nie były do siebie podobne.

Nikolas w czasie licznych podróży zaobserwował, że w wielu krajach panuje silna scentralizowana monarchia, zdolna do ograniczenia przywilejów lokalnych feudałów.

Obowiązywały tam jednakowe podatki dla wszystkich, którzy prowadzili wymianę handlową. W Świętym Cesarstwie rzeczywistość wyglądała inaczej. Olbrzymie terytorium obejmowało księstwa różniące się wielkością i systemem rządów, a cesarz był jedynie symbolem władzy. Kolonia, wolne miasto, które miało własne wojsko, rządziła się swoimi prawami. Wygrywał ten, kto był bardziej przebiegły niż inni. Heller realizował cele, starając się być zawsze w centrum wydarzeń. Nikolas zaś wolał pozostawać w cieniu. Ani się nie spieszył, ani nie miał takich ambicji jak burmistrz. Wystarczyły mu pieniądze i oglądanie spektaklu życia z wygodnego, pewnego i przyjemnego kącika.

Przekroczywszy rzekę, wjechał w zalesione tereny baronii Hellera na południu miasta. Przytknął dłoń do kapelusza ozdobionego piórami i dał Goliatowi ostrogę. Ujadanie psów towarzyszyło wschodowi słońca, białej kuli światła wynurzającej się spoza gęstych chmur.

Służba z trudem utrzymywała wrywające się do przodu groźne psy. Myśliwi mieli na sobie stroje w krzykliwych kolorach, które – jeśli patrzyło się z pewnej odległości – wyglądały jak plamy farby na murawie. Stali w długim rzędzie wzdłuż ściany gęstego lasu. Gdy był już blisko, zatrzymał konia, by przywitać gospodarza. Szukał Hellera i w końcu go zobaczył, siedzącego na grzbiecie swojego konia i niemal pękającego z zadowolenia. Wydawał rozkazy służbie i wieśniakom, którzy musieli porzucić swoją pracę i wziąć udział w polowaniu jako naganiacze. Nikolas czekał, aż skończy, a tymczasem przywitał kilku swoich znajomych.

– Nikolas! – zawołał Heller.

Fischer zeskoczył z konia i podszedł bliżej. Burmistrz ze swojego nie zsiadł.

– Cieszę się, że przyjechałeś.

– To mnie wasze zaproszenie sprawiło przyjemność. – Nikolas podniósł głowę.

Heller się uśmiechnął. Pochylił się i powiedział cicho:

– Zrobiliśmy się bardzo oficjalni, prawda?

Nikolas uniósł lekko brew.

– Zawsze jestem oficjalny, o ile pamiętam. – A po chwili dodał: – I dyskretny.

I wskoczył na konia. Kątem oka zauważył, że burmistrz nie wie, jak potraktować tę uwagę. Wierzył jednak, że na tyle cieszy się jego zaufaniem, aby móc pozwolić sobie na dosadne słowo bez obawy o własną głowę. Heller przywołał służącego.

– Jaką masz broń? – spytał Nikolasa.

– Łuk i sztylet.

– Doskonale. Jedź za tym człowiekiem, poprowadzi cię do twojej grupy. Jesteś dobrym strzelcem?

Nikolas wzruszył ramionami.

– Mam pewną rękę. Spodziewam się mieć udany dzień.

– Jestem pewien, że tak będzie. W porządku. Jedź z nim. Spotkamy się później.

Dojeżdżacz chwycił Goliata za uzdę.

– Módl się, żeby szczęście nam sprzyjało i żebyśmy zdrowi i cali spotkali się na uczcie! – zawołał Heller, oddalając się z wesołą miną.

Nikolas miał czujne ucho. Na polowaniach wypadki zdarzały się często, ale nie mógł odgadnąć, czy te słowa nie były ostrzeżeniem. Z Hellerem nigdy nic nie wiadomo. Odjechał wolno, prowadzony przez służącego.



Po krótkiej modlitwie każda grupa skierowała się na wyznaczone miejsce. Z Nikolasem byli,

między innymi, baron oraz księżę, któremu towarzyszył syn, nadęty szesnastolatek, z kołczanem wypchanym strzałami, jakby szedł na wojnę. Kiedy zobaczył, jak niewiele broni ma Nikolas, zapytał drwiąco, czy nie wybiera się przypadkiem polować na zające.

– Na pewno nie, szanowny panie, biorąc pod uwagę, że wszystkie dawno uciekły, bo wystraszyły je nasze głosy.

Chłopak zmarszczył czoło, nie wiedząc, jak zrozumieć słowa kopisty, i spłonął rumieńcem, gdy usłyszał głośny śmiech ojca.

– Zobaczymy po polowaniu, kto będzie musiał zjeść własne słowa – mruknął, spiął konia i odsunawszy się nieco od grupy... zajął pozycję w pierwszej linii.

Wiatr był korzystny, wiał w twarze, dzięki czemu zwierzyna nie mogła wyczuć ludzkiego zapachu. Psy, im bliżej lasu podchodziły, tym bardziej zajadle ujadły. Jeden ze służących zadał w róg, dźwięk odbił się echem, kiedy odpowiedziały mu rogi w każdej po kolei grupie.

Usłyszano okrzyki: kilka jeleni znalazło się w strefie strzału. Po sygnale myśliwi zacieśniali koło. Tylko jelonkom nie była przeznaczona śmierć, oczywiście jeśli nie trafiła ich jakaś przypadkowa strzała. Często się to zdarzało, kiedy rozentuzjzmowani strzelcy pragnęli cokolwiek upolować.

Nikolas cierpliwie układał kilka strzał pod dużym palcem lewej ręki, w której już trzymał dobrze napięty łuk. Grotami skierowane były w dół. Postępował dokładnie według wskazówek Raynarda. Młody paniczek natomiast siedział z wdziękiem w siodle, nie trzymając wodzy, i powodował koniem, jedynie co jakiś czas naciskając kolanami na jego boki. Łuk z jedną strzałą trzymał w pogotowiu; czekał na swoją zdobycz. Widać było po nim żądzę zabijania. Kołczan ze strzałami, przewieszony przez plecy, podskakiwał w takt końskich kroków. Psy już ruszyły, a za nimi naganiacze. Po chwili zobaczyli przemykającego jelenia. Młodzieniec spojrzął spod oka na Nikolasa.

– Zamierzacie może wszystkie strzały wystrzelić za jednym razem, doświadczony łuczniku? – odezwał się dowcipniś.

– Tuje trzymam, gdyż brakuje mi zręczności w szybkim wyjmowaniu ich z kołczana, którą to umiejętność niewątpliwie posiadacie – odparł skromnie Nikolas.

Młodzieniec uśmiechnął się z zadowoleniem.

Usłyszeli okrzyk:

– Jest, jest!

Wspaniały jeleni wyskoczył sponad kępy krzewów wprost na grupę myśliwych. Przerażone zwierzę próbowało uciec w inną stronę, ale na drodze stanęły mu psy z naganiaczami i popychały ku myśliwym. Młody księżę wypuścił strzałę i trafił je w zad; jeleni zachwiał się, ale nie upadł. Rozwścieczony młodzian napierał na koniu, wypuszczając kolejne strzały, lecz nie mógł trafić do celu. Nie zwracał uwagi na głośne ostrzeżenia i sunął za jeleniem, który mimo że zraniony, szedł w stronę innych stanowisk myśliwych. Jeśli chłopak się nie zatrzyma, znajdzie się na linii ich strzałów.

Nikolas na Goliacie ruszył do przodu. Chciał dogonić jelenia, a w każdym razie mieć go w jakimś momencie bokiem do siebie. Wówczas bez trudu trafiłby zwierzę i przerwał jego samobójczy bieg i pościg niedoświadczonego młokosa. Niepokojny o syna księżę jechał tuż za nim.

– Stój! Wracaj! Trafią cię! – krzyczał. Bez skutku: albo chłopak nie słyszał, albo zacięty upór pchał go do przodu. Nikolas zbliżał się do celu. Dopadł do wąskiej ścieżki i zatrzymał konia. Miał kilka sekund na strzał.

Prawa ręka sięgała strzał z szybkością błyskawicy. Nie miał czasu do namysłu ani na dokładne celowanie. Musiał wystrzelić możliwie najwięcej, aby mieć pewność, że przynajmniej kilka trafi

zwierzę i je zabije. W mgnieniu oka wypuścił wszystkie osiem, które trzymał w ręce. Dwie czy trzy dosięgły celu, przednie nogi jelenia ugięły się i upadł na ziemię. Ale żył jeszcze, podnosił głowę z pięknym porożem i wył z bólu. Syn księcia zatrzymał konia i wściekły zeskoczył na ziemię.

– Do diabła, skrybo! Poszatkowałeś go tyloma strzałami! Zniszczyłeś skórę!

Księżę, wzburzony zachowaniem syna, krzyknął z furją:

– Skończ przynajmniej z cierpieniem tego zwierzęcia. Dobądź sztyletu!

Chłopak z wściekłością wbił nóż w szyję jelenia i przeklinając, wskoczył na konia. Księżę zbliżył się do Nikolasa. Z wyrazem zażenowania na twarzy powiedział:

– Przepraszam za zachowanie syna. Nie zdaje sobie z tego sprawy, ale wasze strzały zapobiegły nieszczęściu.

– Proszę się nie sumitować, księżę. W jego wieku trzeba być zuchwałym i śmiałym, jeszcze zdąży nauczyć się ostrożności.

Księżę się uśmiechnął.

– Zawsze z satysfakcją słucham, kiedy z waszych ust padają takie wyważone słowa. Jestem przekonany, Herr Fischer, że prowadzenie interesów z wami jest przyjemnością. – W oczach pojawiły się figlarne błyski, ciekaw był reakcji Nikolasa.

Kopista, jak zawsze opanowany, zaspokoił jego oczekiwania.

– Jesteście dla mnie zbyt łaskawi, księżę. Chciałbym odwzajemnić waszą życzliwość i zaoferować moje skromne umiejętności, w czymkolwiek mogłyby być przydatne. Proszę liczyć na mnie i moją gotowość do współpracy, kiedy tylko zechcecie.

Księżę z zadowoleniem przyjął tę odpowiedź. Obaj mężczyźni wrócili na swoje stanowiska. Podczas gdy wieśniacy zajmowali się jeleniem, oni prowadzili przyjemną rozmowę o różnych aspektach polowania: niebezpieczeństwie przypadkowego strzału, zuchwałości służby, niedostatków klasy u niektórych uczestników, znaczeniu pochodzenia... Nikolas dobrze spożytkował ranek, a miał przed sobą jeszcze resztę dnia.



Na polanie w środku lasu paliły się dwa ogniska. Kilkunastu służących ćwiartowało zwierzynę, inni nadziewali mięso na długie kije i obracali nimi w ogniu. Myśliwi przyglądali się widowisku, popijając reńskie wino. W pobliżu ognisk, na świeżej trawie, kilka połączonych ze sobą drewnianych płyt tworzyło długi stół. Na białym obrusie leżały srebrne sztucce. Dla Bürgermeistra uroczysta oprawa była niezmiernie ważna. Heller z kielichem w dłoni podszedł do Nikolasa, który przyglądał się wszystkiemu w milczeniu. Gdy burmistrz pogratulował mu jego zachowania w czasie polowania, kopista wykorzystał moment i zaproponował toast na jego cześć.

– Mam nadzieję, że wszyscy razem ze mną uczcicie szczodrość naszego burmistrza i jego celne oko! – zawołał głośno.

Stuknęły o siebie srebrne kielichy. Heller z uśmiechem podziękował za życzenia i dłonią dał znak, aby wszyscy wrócili do rozstawionych na stołach mis z dymiącym mięsiwem. Po czym sam zwrócił się do Nikolasa.

– Widziałem, że rozmawialiście długo i serdecznie z księciem. Czy to oznacza, że zadowoleni jesteście z polowania? – spytał z ironicznym uśmiechem.

– Przyznaję, że zwierza było bardzo dużo, niektóre okazy naprawdę wspaniałe – odparł Nikolas, wznosząc kielich.

– Cieszę się, że dobrze spędziliście czas.

Burmistrz oddalił się wolnym krokiem. Małymi oczkami uważnie obserwował swoich gości; nie

umknął mu żaden szczegół. Nikolas w dalszym ciągu stał przy stole i drobnymi łykami sączył doskonale wino. Kolejne smakowite kąski pojawiały się na talerzach, zanim poprzednie zniknęły. Większość serwowanych dań nie była odpowiednia na tego rodzaju posiłek pod gołym niebem, ale Nikolas jadłem się nie interesował. Nie przyszedł tu po to, żeby jeść i pić. Przechadzał się wśród ludzi, czasem zatrzymywał i w pewnym momencie usłyszał rozmowę, która wydała mu się interesująca.

– Piękne futro – powiedział jakiś człowiek w za małym kapeluszu myśliwskim.

– Jesteście nazbyt łaskawi, baronie. To od Pabsta, garbarza.

– Od Pabsta? Obawiam się, że będziecie musieli zmienić dostawcę.

– A dlaczego? Robi dla nas futra, odkąd pamiętam. Nigdy nie dał powodu do narzekań.

– Podobno nasz gospodarz uważa, że garbarz podżega przeciwko niemu. Jego upadek to kwestia czasu.

– Niedobry czas na bunt. Jeszcze trochę bażanta?

– Dziękuję, książę. – Po chwili baron wrócił do interesującego go tematu. – Mówią, że Heller jest zaniepokojony, bo Pabst zdobywa coraz większe wpływy i monopolizuje handel skórą w Kolonii. Doskonały ten bażant!

– Próbowaliście wina? Burmistrz ma niewątpliwie dobry gust – powiedział książę, podnosząc głos i kielich w stronę Hellera. Po czym dodał ciszej: – Mimo pochodzenia.

Nikolas podszedł bliżej. Stojąc za ich plecami, wsunął między nich ramię, stuknął kielichem w ich kielichy. Spojrzeli na niego ze zdumieniem.

– Wznoszę toast za reńskie wino, panowie – powiedział, puszczając do obu oko. W odpowiedzi lekko pochylili głowy.

Po chwili dołączył do innej grupy, licznej i bardzo ożywionej: burmistrz występował w roli mediatora w dyspucie na temat największej zdobyczy polowania. Nikolas myślał o przyszłości, jaką zamierzał wyświadczyć Overstolzowi, i o tym, jak będzie ona przyjęta. Może Bürgermeister uzna ją za dar niebios, a może okaże wdzięczność bezinteresownemu darczyńcy. Gra toczy się o wysoką stawkę. Tym razem przegranym był Wilhelm Pabst.

Lorenz wstąpił do oberży w pobliżu biblioteki, żeby przed wizytą u swego przyjaciela Johanna napić się miodu. Miał ciężki dzień i musiał się odprężyć. W warsztacie przez wiele godzin pracował nad pięknym klejnotem i był zadowolony z efektu, jednak Ernest ciągle dawał mu różne inne polecenia, zmuszając do przerwania pracy, więc coraz bardziej oddalał się termin oddania zamówienia. Być może o to chodziło teściowi: zażądać wyższej zapłaty, ponieważ wykonanie klejnotu wymagało dużo więcej czasu.

Złoty Bażant pękał w szwach. Stoły ustawione były rzędami, a bywalcy siedzieli na szerokich ławach po obu stronach. Unosili kufle pełne piwa, stukali nimi, wołając: „na zdrowie”, i przechyliwszy głowy, chciwie wypijali bursztynowy płyn. Różnych ludzi można tu było spotkać, od zwykłego terminatora do bogatego mieszczanina. Bywał tam również niejeden samotny starzec. Przekonani, że niedługo pożegnają się z życiem, pozbywali się – w tej czy innej oberży – i tak niewielkiego dobytku. W zamian za kilka miedziaków oberżysta pozwalał im zajmować któryś z pokoi na piętrze, póki ich śmierć nie zaskoczyła albo pieniądze się nie skończyły.

Popijając powoli miód, Lorenz przeglądał kilka luźnych kartek. Ich brzegi zwijały się, jak gdyby chciały wrócić do skórzanego futerału, z którego je wyciągnął. Linie liter w dwóch kolumnach były niemal doskonale równe. Marginesy w kilku tylko miejscach trochę się zwężały, ale oto miał przed sobą tekst drukowany.

W hulaszczej atmosferze jeden głos nagle wybił się ponad inne. Gwar powoli ustawał, aż w końcu zapadła pełna napięcia cisza. Lorenz też odłożył swoje kartki.

– Jesteście wszyscy bandą próżniaków!

Mężczyzna, który wykrzyczał te znieważające słowa, miał na sobie wiśniową kamizelę i białą koszulę, a jego głowę zdobił wiśniowy beret. Żakiet w takim samym kolorze leżał na pobliskiej ławie. Sprawiał wrażenie człowieka zamożnego. Mimo eleganckiego wyglądu zachowywał się jak grubianin i prostak.

Lorenz zwrócił uwagę na jego kanciastą twarz. Wydało mu się, że skądś znany mu jest ten profil, podobny do końskiego pyska. Przemknęło mu w pamięci wspomnienie klęski, jaką poniósł, kiedy chciał zostać terminatorem u kopisty. To ten człowiek ujawnił wówczas jego leworęczność. Lorenz nie zamierzał poświęcać temu wielkiej uwagi: ot, zwykły przypadek, dwóch ludzi, których drogi po latach krzyżują się w zamkniętej przestrzeni w wielkim mieście Kolonii.

Awanturnik nie poprzestał na tym jednym okrzyku. Wyciągniętym palcem wskazywał każdego, do kogo się zwracał. Potknął się o nogę ławy i na chwilę stracił równowagę.

– Nikt z was nie wie, co to jest prawdziwa praca. Wałkonie! – krzyczał rozwścieczony. – Żaden mi tu nie będzie mówił, co mam robić.

Elegancko ubrany, dystyngowany mężczyzna odezwał się spokojnym tonem:

– Powinniście stąd wyjść, Herr Gebel. – Zabrzmiało to niemal jak rozkaz. – Nikt tu nie chce słuchać waszych obelg.

Najpierw rzuciliście się na Meyera – ciągnął, ręką wskazując na oberżystę, który śledził zamieszanie zza drzwi do kuchni – za to, że nie nalał piwa do samego brzegu. A potem dobraliście się do Alfreda, wrzeszcząc na cały głos, że kupiectwo nie jest przyzwoitym zawodem. Wydaje mi

się, że już wystarczy.

Awanturnikowi na chwilę odebrało mowę.

– A jak nie? To co zrobisz?

Odezwały się inne głosy z sali. Większość bawiących w oberży podzielała zdanie eleganckiego mężczyzny.

– Idź już, Helmucie! Wiecznie to samo. Ciskasz obelgami, następnego dnia wracasz, jakby nigdy nic.

Dołączyli się jeszcze inni. Teraz naigrawali się z człowieka, który przed chwilą ich obrażał.

– Tak! Zjeżdżaj stąd! Nie jesteś tu potrzebny!

– Nędznicy!

Wyzwiska padały z obu stron, lecz nic nie uciszyło prowokatora.

– Zazdrościcie mi! W pracy mnie szanują, mam ważne stanowisko. A tymi rękami... – Podniósł obie dłonie i wpatrywał się w nie zagubionym wzrokiem. – Tymi rękami tworzę sztukę.

Zamilkł, lecz po chwili ożywił się i wyrzucił z siebie potok wyzwisk, zniewag i pretensji.

– A ty umiesz tworzyć sztukę? – zawołał do człowieka, który siedział obok nad miską zupy i nie wtrącał się do dysputy.

Wyglądał skromnie. Skórzany fartuch zakrywał tunikę z worka, spod której wylaniały się silne ramiona. Czuć było od niego rybą i stęchłym potem. Podniósł głowę i zmarszczył ze zdziwienia brwi.

– Pytałem, czy umiesz tworzyć sztukę.

Zwalisty chłop odstawił miskę i wstał. Stojący przed nim „artysta” nie sięgał mu nawet do ramienia. Krzyki i rozmowy w oberży nagle ustały.

– Jeśli myślisz, że się tu przed tobą zacznę trząść ze strachu, to się grubo mylisz – powiedział człowiek z końską twarzą.

– Nie musisz – odparł siłacz.

I nie czekając na odpowiedź, wymierzył mu potężny cios w szczękę. Beret pofrunął na drugi koniec lokalu.

Dał się słyszeć lekki szmer, jakby westchnienie ulgi.

Od drzwi kuchennych dobiegł drżący głos oberżysty.

– Nie, nie, proszę, wyjdź z nim na dwór.

Meyer nie chciał dopuścić do bójki w swojej gospodzie. Nie byłby to pierwszy raz, a doprowadzenie wszystkiego do porządku kosztowało krocie. Potrząsał łysą głową i rozglądał się na wszystkie strony szeroko otwartymi, wystraszonymi oczami, szukając wsparcia u bardziej przytomnych klientów.

Leżący na ziemi awanturnik znowu podniósł krzyk.

– Bestia! Pożalujesz tego! Nie wiesz, kim jestem!

Lecz portowy siłacz chwycił go za włosy i ryczącego z bólu powłókł na zewnątrz. Tam dołożył mu drugi raz, po czym przewrócił na ziemię. Zza drzwi czyjaś ręka cisnęła beretem, który potoczył się po błocie w stronę właściciela.

W gospodzie się uspokoiło. Jeszcze przez chwilę rozmawiano przyciszonymi głosami, ale zaraz wrócił wesół nastrój sprzed awantury. W ciepłej atmosferze i oparach alkoholu opowiadano sobie anegdoty i powoli zapominano o incydencie.

Lorenz popijał swój miód w milczeniu. Czuł, że w jakimś sensie los wynagrodził przykrość, jaką kiedyś wyrządził mu ten człowiek. Dopił trunek i wyszedł.

– Dobry wieczór, Johannie.

Złotnik przestąpił próg księgarni ze skórzanym futerałem w ręce. Księgarz stał w korytarzu, pochylony nad otwartą książką.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę – powitał go.

Lorenz się uśmiechnął. Znowu znalazł się w świecie tajemnym, świecie niezwykłych doznań, w świecie księgarni. Dał się unieść nastrojowi tego miejsca, w którym każda ściana mieściła opowieści z dalekich ziem, o wspaniałych ludziach.

Wzrok Johanna powędrował ku rękom Lorenza. Tym razem nie była to książka.

– Co przynosisz?

Zdawało się, że Lorenz zapomniał o przedmiocie, który nosił ze sobą przez cały dzień. W obojętnej chwili czuł się jedynie widzem oglądającym przedstawienie. Wrócił do rzeczywistości.

– Ach tak. – Otrząsnął się. – Mam tu coś, co chciałbym ci podarować w podziękowanie za te wszystkie książki, które mi pożyczasz.

– Ależ, przyjacielu. Taka niespodzianka. Oświeć mnie twoją mądrością.

Lorenz znowu się uśmiechnął. Johann przemawiał ustami którejś postaci z jego książek, starego mędrca dającego rady bohaterowi epepei.

– Mam nadzieję, że będzie ci się podobać. – Złotnika nagle ogarnęły wątpliwości.

Ostrożnie otworzył futerał i wyjął z niego zwinięte w rulon kartki.

– To dlatego ostatnio potrzebowałem tak dużo papieru. Wydaje mi się, że jestem na właściwej drodze, Johannie. Znalazłem sposób kopiowania liter; dłoń kopisty, nawet najpewniejsza, nie jest tu w ogóle potrzebna.

Johann wziął do ręki stronice i rozłożył na stole. Potem, w ciszy, przebiegł oczami kolejne linie. Kiedy skończył pierwszą stronę, położył ją na spód i obejrzał drugą, trzecią i czwartą... Wszystkie były skopiowanym tekstem książki, którą pożyczył Lorenzowi, Wiosenny odpoczynek. Podniósł wzrok i spojrzał na złotnika. Ale oczami wyobraźni widział więcej niż to, co znajdowało się przed nim. Więcej niż skopiowane litery, niż papier, niż słowa. Widział coś ponadczasowego, coś, czego nie sposób opisać. Coś, co będzie trwało wieki.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? – spytał w końcu.

Lorenz nie potrafił odgadnąć, czy tymi słowami Johann chciał go skrytykować, czy pochwalić. Przedstawił przyjacielowi nowy pomysł, który wydał mu się udogodnieniem, ale być może księgarzowi nie będzie się podobał. Kiedy usłyszał pytanie Johanna, zdał sobie sprawę, że jego wynalazek może mieć wpływ na bardzo wiele spraw. Jak zmieni się książka? Jak to, co wymyślił, wpłynie na jej przygotowywanie, na jej wygląd, na sprzedaż? W obecnej chwili Johann nie posiadał w swoich zbiorach dwóch jednakowych egzemplarzy.

Jednak zanim księgarz wygłosił swoje zdanie, uśmiechnął się szeroko. Ten uśmiech sprawił, że jego twarz się rozpromieniła.

– To, Lorenz, to... jest wspaniałe! – zawołał, wymachując kartkami w powietrzu.

Do środka wpadało z ulicy zimne powietrze, ale policzki Johanna zaróżowiły się z emocji, jak gdyby ogarnęła go fala ciepła. Był naprawdę podekscytowany.

Lorenz się uspokoił. I zaczął wyjaśniać, na czym polegała jego praca.

– Może to jest dopiero pomysł – powiedział. – Od jakiegoś czasu zastanawiam się nad tym i robię postępy, ale bardzo wolno mi to idzie. Na razie mam tylko tyle. Odbite słowo w słowo.

– Najwyższy czas, żeby ktoś się czymś takim zainteresował. Są już pługi do pracy na polu, narzędzia do obróbki lnu i mielenia ziarna... Ale nie ma maszyn do kopiowania książek.

Gorąco cię zachęcam, Lorenz. Nie poprzestawaj na tym, co zrobiłeś. I musisz wiedzieć, że nie

byłbym w tej zachęcie osamotniony.

Lorenz się zdziwił.

– Tak. Mam przyjaciół, których twoja praca bardzo ucieszy – oznajmił księgarz. – Przedstawię ci ich niedługo. To niezmiernie interesujący ludzie, zapaleni czytelnicy. Radzi będą cię poznać...

Johann spojrział w górę na drewniany sufit księgarni, jak gdyby chciał z niego wyczytać przyszłość.

Pełen entuzjazmu zwrócił się do Lorenza.

– Powiedz mi, skąd ci ten pomysł przyszedł do głowy? Złotnik opowiedział wtedy o swojej leworęczności i o pracy nad stemplami nakładanymi na drewniany drążek.

– Nie udaje mi się zrobić tyle, ile bym chciał, bo dzień jest krótki i zużywam sporo materiału – tłumaczył. – Nie zawsze mogę kupić to, czego potrzebuję. Wiesz, że nie mamy z Eriką za dużo pieniędzy. A chodzi o to, żeby robić wiele kopii jednej książki w krótkim czasie. Wtedy takie książki jak te, które mi pożyczasz, przestaną być jedynymi egzemplarzami.

Johann roześmiał się serdecznie.

– Popatrzcie no! Zupełnie jakbym słyszał siebie!

Obydwaj przyjaciele byli w doskonałym nastroju.

– Zaczekaj. Pozwól, że ci pogratuluję, jak należy. Księgarz zniknął w końcu ciemnego korytarza. Po chwili wrócił z bukłakiem i dwoma kielichami. Postawił je na drewnianym stole i napełnił przezroczystym płynem.

– Za twój niezwykle eksperyment! – wznosił toast księgarz.

– Obyś któregoś dnia zobaczył jego plon! – dodał Lorenz. Popijając wino, Johann patrzył na Lorenza, jakby widział go po raz pierwszy. Albo jakby odkrył w nim jakiś nowy rys. Nagle zmrużył oczy.

– Drogi przyjacielu – oznajmił poważnym tonem. – Zdaje mi się, że wiem, w jaki sposób możesz za to dostać trochę pieniędzy. – Pokazał na zadrukowane stronicę rozrzucone na stole.

Lorenz nic nie powiedział. Należało to do jego zawodu i nie rozumiał, dlaczego ktoś miałby płacić za zwykłe próbki. Zaczął je robić, żeby ćwiczyć zręczność w dłoniach; z pewnością byli już tacy, którym podobne pomysły chodziły po głowie.

– Muszę to jeszcze sprawdzić, ale jestem prawie pewien, że niedługo dostaniesz pierwsze zamówienie – powiedział Johann.

Lorenz poczuł mrowienie w żołądku, początkowo lekkie, niemal niezauważalne, które powoli przybierało na sile. Wrażenie, jakiego nie potrafił określić. Czuł się lekki jak wolno szemrzący strumyk, zwiewny jak szybujący w powietrzu ptak. Mrowienie w dołku było teraz bardzo silne i napełniło go wielką radością. Wraz z tym uczuciem rosła nieznośna obawa, czy sprostą oczekiwaniom.

Przez całą noc na miasto padał gęsty śnieg. Rankiem tego pierwszego grudniowego piątku mokra ziemia mieszała się z białym puchem pod kołami wozów, pod kopytami zwierząt i butami ludzi. Wilhelm Pabst, właściciel największej garbarni w Kolonii i wielce szanowany członek cechu, szedł, utykając, pomiędzy dwoma pacholkami. Jeden z nich trzymał lejce, którymi popędzał muły, z wysiłkiem ciągnące wózek. Wiatr ciał w twarze lodowatym chłodem i wilgocią.

Garbarz szedł wyprostowany mimo obrażeń, których doznał. Oko miał spuchnięte, a z nosa wystawały dwie zakrwawione szmatki, tamujące krew. Ale głowę trzymał wysoko. Spodziewał się, że przyjmą go władze cechu, które tego ranka zbierały się na posiedzeniu. Prawdę mówiąc, mogło być dużo gorzej. Złożył skargę tego samego dnia, kiedy został zaatakowany. W przeciwnym razie musiałby prosić o zwołanie zebrania, czekać dwa albo trzy dni, żeby członkowie zechcieli się spotkać, i dopiero wtedy przedłożyć skargę. W tym czasie całe miasto poznałoby już wersje wydarzeń, które różniłyby się od jego wersji. To, że burmistrz mu nie sprzyjał, było publiczną tajemnicą i Pabst mógł się spodziewać, że jego pozycja zostanie zachwiana.

Jego dwaj służący, też mocno poturbowani, byli teraz parę kroków za Pabstem. Coś do siebie po cichu mówili i spoglądali ze strachem w oczach. Nie wiedzieli, jak od tego momentu potoczą się ich losy. Szli blisko siebie, dzielili swoje obawy. Pabst też był głęboko zaniepokojony; wiedział, że koszty tego, co się stało, będą bardzo duże. O tej porze powinien być już w magistracie, żeby zapłacić podatki. Poborca, Rolf Rysen, znienawidzony i przeklinany przez wszystkich, którzy mieli z nim do czynienia, znany z bezwzględnej surowości, budził powszechny strach.

Wilhelm Pabst musiał przedstawić swoją sprawę przed radą miasta. Skierował kroki w stronę wejścia do Arbeitshausu. Dom Pracy służył jako miejsce spotkań różnych cechów. Ponieważ nie było tam służby, przedstawiciel garbarzy, nieco zdziwiony nagłą prośbą jednego z członków, zaprosił ich do środka. Służący przywiązał mulicę do kółka białego w kamienną ścianę i wszyscy weszli do głównej sali.

Pabst stanął przed półokrągłym podwyższeniem, na którym siedziało siedmiu członków rady. Rozpoczęto nagle zwołane posłuchanie. Ale nieskładne, nerwowe wyjaśnienia garbarza wzbudziły nieufność. Kiedy skończył, posypały się pytania. Spodziewano się być może złapać go na jakiejś niezgodności, pomyłce, na czymś, co potwierdziłoby jego relację lub zaprzeczyło jej prawdziwości. W oczach członków rady można było dostrzec niedowierzanie.

– Wilhelmie, proszę, uspokójcie się.

Garbarz otarł kąciki spierzchniętych ust. Opanował drżenie rąk i wyprostował się. Zdawał sobie sprawę, że jest poddawany próbie, ale był przecież doświadczonym człowiekiem interesu. Przełknął ślinę i spróbował wciągnąć powietrze do płuc. Twarz wykrzywił mu grymas bólu. Nie mógł głęboko oddychać.

– Zostałem obrabowany! – zawołał rozwścieczonym głosem.

– Herr Pabst, może zechcecie nam wyjaśnić w sposób bardziej składny okoliczności tego godnego pożałowania incydentu? – odezwał się elegancko ubrany mężczyzna, jeden z najstarszych mistrzów stolarskich.

Wilhelm Pabst jeszcze raz wciągnął powietrze, póki nie poczuł bólu, i odzyskał spokój. Musi być

przekonujący.

– Szedłem przez miasto do ratusza, żeby zapłacić podatki za ostatnie transakcje handlowe. Osiemdziesiąt złotych guldenów! Dzisiaj mijał termin. A wszystkie pieniądze mam zainwestowane. Wszyscy wiecie, że zima w tym roku trzyma mocno... Chodzi o to, że do przyszłego tygodnia, kiedy sfinalizuję interes z klientami na południu, nie będę miał pieniędzy. Wtedy dopiero mogę zapłacić podatek. – Zebranych zdziwiła wysokość wymienionej sumy, mimo że przyzwyczajeni byli do wszelkiego rodzaju transakcji. Wilhelm Pabst wyczuł to. – Na Boga Świętego! Niektórzy wolą mieć za ochronę armię ludzi na takich krótkich odcinkach. Ja wolę nie zwracać na siebie uwagi i idę z kilkoma zaufanymi. Do dzisiaj nikt na mnie nie napadł. Jestem porządnym obywatelem! Zwykłym kupcem!

– Już dobrze, Wilhelmie, uspokójcie się. Opiszcie jeszcze raz okoliczności, tym razem trochę wolniej – odezwał się jeden z członków rady.

Rodzaj przeprowadzanych interesów i wysokość podatków dla nikogo nie były tajemnicą. A drobni rabusie stanowili powszechny widok w mieście: żebracy wyrywający sakiewki, wyrostki o zręcznych palcach, ulicznice wyćwiczone w ocyganianiu naiwnych, pielgrzymi, którzy wszystko stracili po drodze, jakiś opryszek kryjący się za załomkiem... Ale nikt nigdy nie słyszał o kradzieży takiej sumy w biały dzień i w środku miasta. Gdyby rozeszły się informacje o tego rodzaju atakach, byłaby to katastrofa: zarówno lokalni kupcy, jak i ci spoza miasta baliby się handlować w Kolonii.

– Czekali na nas. Na pewno. Było ich chyba z sześciu i nie wyglądali na zwykłych przestępców. – Wilhelm Pabst utkwiał wzrok w podłodze.

– Jak to? – Przedstawiciele cechów spoglądali na siebie ze zdziwieniem.

– Jestem pewien. Podeszli prosto do mnie i wyrwali mi torbę. Ci ludzie nie czekali na pierwszego lepszego, który się pojawi... Czekali na mnie. I dziwnie wyglądali. Mieli na sobie wytarte habity, przewiązane w talii zwykłym sznurem. – Garbarz szedł od jednego końca podwyższenia do drugiego i spojrzeniem smagał każdego z zebranych jak biczem. Nie posiadał się z gniewu. – Byli boso. Ci tutaj mogą poświadczyć. – Wskazał na swoich ludzi, którzy stali pod ścianą.

– W porządku. Mówcie dalej.

– Kaptury zasłaniały im twarze po same oczy. Szybko podeszli. Nie biegli, ale szli szybkimi krokami. Podnieśli nas, jakbyśmy nic nie ważyli, i rzucili na ziemię. To było w drodze do ratusza. Wskoczyli na nas jak duchy w pobliżu katedry. Ponieśli nas w ciemną uliczkę i pobili. Na tyle tylko, żebyśmy stracili orientację. Milczeli przy tym, a na ulicy nie było nikogo. Kiedy się otrząsnąłem, szukałem rękami po kieszeniach, ale sakiewki nie znalazłem. Widziałem tylko, jak znikają, tak samo szybko, jak przyszli, wiatr rozwiewał im habity... – Pabst miał twarz wykrzywioną w poczuciu bezsilności, jeszcze raz przeżywał ból i poniżenie. Zaciskał mocno ręce.

– Byli jacyś dziwni – powiedział wystraszony służący, choć nikt go nie pytał. – Skórę mieli... bardzo białą. Jakby siną. Jak trupy. Ale byli bardzo silni. I szybcy. Nie zdążyliśmy nic zrobić.

Słowa służącego zrobiły wrażenie na zebranych. Członkowie rady znowu wymienili między sobą spojrzenia.

– Powiedzieli jakieś imię, cokolwiek, kiedy odchodzili?

– Nic. Ani słowa – odparł Pabst ostrym tonem. – Dwaj z nich zerwali mi pelerynę i zaczęli grzebać po wszystkich kieszeniach. Czulem ich blisko siebie, nie mogłem się jednak ruszyć. Ciosy, jakie mi zadali, były silne. – Przerwał na chwilę. – Resztką sił próbowałem się odwrócić i poczułem uderzenie w twarz. Myślałem, że mi głowa pęknie. Potem już tylko słyszałem, jak uciekali. A sakiewkę miałem schowaną w pasie. Co za głupota! – Kręcił ze złością pochyloną głową;

zaciśnięte pięści i drżący podbródek świadczyły o olbrzymim napięciu. Teraz zadrżał mu także głos. – Nie zdołam zebrać na dzisiaj potrzebnej sumy. Chcę, aby znaleziono złodziei, ale przede wszystkim proszę o pomoc w uzyskaniu przesunięcia terminu u poborcy podatkowego. W przeciwnym razie... stracę licencję. Mogę być nawet oskarżony o oszustwo!

Członkowie rady to milczeli, to szeptali między sobą jakieś uwagi. Nie umieli zająć stanowiska w tej sprawie, gdyż nigdy przedtem nie mieli z niczym podobnym do czynienia. W końcu najmłodszy z nich odważył się wyrazić obawy wszystkich.

– Proszę wybaczyć pytanie, Herr Pabst, ale... czy macie świadków, że w sakiewce znajdowało się osiemdziesiąt monet?

– Moi ludzie są świadkami, że mówię prawdę! – krzyknął wzburzony.

Patrzono na niego ze zdumieniem. Słowo służącego znaczyło mniej niż nic, biorąc pod uwagę, że kupiec daje mu jeść. Pabst nie mógł się już dłużej opanować.

– Nie pozwolę, żeby moje słowa podawano w wątpliwość! Zostałem okradziony i pozbawiony możliwości spłacenia długu wobec miasta. Przyszłość mojego interesu jest zagrożona. Żądam, aby przedstawiciel Arbeitshausu był obecny, kiedy przedstawię sprawę przed poborcą Rysenem!



Rolf Rysen, wysłuchawszy relacji garbarza, poruszył się w krześle. Wielki pokój, w którym się znajdowali, urządzone był bez przepychu; stał tam jedynie duży stół, pełen pism urzędowych i dokumentów. Podłoga z desek nie była niczym przykryta. Całe pomieszczenie jakby odzwierciedlało zimny, surowy charakter poborcy podatkowego. Rolf Rysen wyglądał jak przesadnie schludny szczur. Ubrany był na czarno, głowę miał łysą, tylko na czole leżało kilka przylizanych pasemek, jasnych, prawie białych. Brwi za to były gęste, szeroko rozrośnięte. Wszystko to nadawało mu nieco karykaturalny wygląd. Małe oczka zwężyły mu się jeszcze bardziej, kiedy stanął przed nim garbarz Wilhelm Pabst i trzech członków rady cechów, którzy towarzyszyli mu jako świadkowie. Po wysłuchaniu relacji poborca powiedział:

– Wasza przyszłość jest zagrożona, Herr Pabst, wiecie o tym?

– Z tego powodu przybyliśmy do was, aby się odwołać – wyjaśnił garbarz.

Poborca niemal niezauważalnie potrząsnął głową. Głosem opanowanym, cichym, mówił dalej.

– Bardzo jasny kolor skóry? Ja też mam bardzo jasną skórę. Siedzę tu przez cały boży dzień i w ogóle nie widzę słońca. Poza tym całe miasto już wie o waszych ostatnich wyczynach handlowych. Mówi się, że sprowadziliście barkę pełną hiszpańskich skór i futer. Trochę ryzykowne, czyż nie?

– Rzeczywiście. Mam jeszcze pewną ilość towaru do sprzedania. A zysk z transakcji będę miał w przyszłym tygodniu.

– To rady miejskiej nie obchodzi. Termin waszej spłaty upływa dzisiaj.

– Ale... Szanowny poborco Rysen, jeśli mi nie przedłużycie terminu, stracę licencję i nie będę mógł sprzedać nawet jednej beli skór. Wszyscy na tym stracimy!

– Herr Pabst, wielu usiłowało mnie oszukać, ale nikomu się to jeszcze nie udało... i nikt się w takim przypadku nie uratował od ruiny. Wasza historia jest... jak by ją nazwać?

– Zrobił niezadowoloną minę i po dłuższej pauzie zawołał: – Wasza historia jest nieprawdopodobna!

Garbarz zorientował się, że jego nadzieje pryskają. Szukał pośród obecnych przyjaciela, życzliwego spojrzenia, czegoś, czego mógłby się uchwycić. Członkowie rady cechów spuścili wzrok, nie chcieli być zamieszani w sprawę, co do której sami mieli wątpliwości. Poborca mówił dalej:

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co w rzeczywistości się wam przytrafiło. To, czy wam wierzę, czy nie, nie ma w tym wypadku znaczenia. Otrzymałem ściśle polecenia od burmistrza, aby nie przedłużać terminów spłat podatków, gdyż to prowadzi do zaniedbań w gospodarowaniu tak wielkim miastem, jakim jest Kolonia. Zdajecie sobie przecież sprawę, ile trudu i pieniędzy trzeba poświęcić na poprawę stanu ulic i budynków, na przygotowanie wizyt arcybiskupa, na utrzymanie pozycji Kolonii w handlowej rywalizacji z innymi miastami... Wy najlepiej o tym wiecie, Herr Pabst, ponieważ zawsze byliście... i mam nadzieję, że będziecie... cenionym kupcem. Ja pracuję dla tego miasta, a miasto uzależnione jest od mojej właściwie wykonywanej pracy, rozumiecie?

W małych oczach poborcy, patrzących z zimną obojętnością, Wilhelm Pabst zobaczył swoją klęskę. Do tej pory był jednym z najbogatszych kupców w Kolonii, a teraz znalazł się o krok od utraty swej pozycji.

– Pozwólcie jednak, że skonsultuję się z Jego Ekscelencją. Jak wiadomo, w niektórych przypadkach władza może zrobić wyjątek. – Obecni przyjęli to zdumiewające oświadczenie w milczeniu. Uśmiechając się, Rysen podniósł się i drobnymi kroczkami zniknął za drzwiami, które znajdowały się za jego plecami.

Wróciła nadzieja. Pabst starał się nie pamiętać o nieporozumieniach z burmistrzem i zastanawiał się raczej nad innymi sposobami wybrnięcia z tej sytuacji: lichwiarze, zaprzyjaźnieni kupcy, któryś bankier. Mógłby skontaktować się z Fuggerami, z którymi już kiedyś załatwiał podobną sprawę. W ciągu kilku dni będzie miał guldeny, których gwarancją był towar znajdujący się w magazynach. Jeśli to by nie wystarczyło, mógłby zabezpieczyć kredyty przyszłymi transakcjami. Więcej by go to kosztowało, ale wierzył, że wszystko jest możliwe. Zapewne nowy burmistrz okaże współczucie dla jego przypadku, a także wyrozumiałość i dobrą wolę.

Kiedy poborca wrócił, Wilhelm Pabst był w nieco lepszym nastroju.

– Miałem szczęście móc zapytać Jego Ekscelencję burmistrza Overstolza o ten niecodzienny przypadek. Muszę dodać, że bardzo był zaskoczony i naturalnie zajmie się zapewnieniem bezpieczeństwa na naszych ulicach.

– I jaka była odpowiedź, poborco Rysen? – spytał garbarz, patrząc wyczekująco.

– Że nie ma wyjątków.

Idąc ulicami Kolonii, Johann Buchmann czuł się jak ryba wyjęta z wody. Niedawno skończyły się święta Bożego Narodzenia, a pokłon Trzech Króli zostawił w mieście ślad w postaci niezliczonych pielgrzymów brnących przez zaśniewane ulice. Kilka wieków wcześniej Fryderyk I Barbarossa przywiózł z Mediolanu doczesne szczątki trzech świątłych przybyszów do stajenki Jezusa. Wspaniała katedra, której budowę rozpoczęto przed dwoma wiekami i w której zamierzano umieścić święte relikwie, dotąd nie była ukończona i nic nie wskazywało, że ten moment szybko nastąpi.

Johannowi wszystko, co znajdowało się poza odizolowanym bastionem księgarni, wydawało się chaotyczne i niezrozumiałe. Krzyki, ostre zapachy, hałas, rozgardiasz, tłum ludzi i mnóstwo zwierząt – wszystko to było dla niego niezrozumiałe. Najlepiej pojmował świat ograniczony do języka i słów zapisanych na kawałku papieru.

W czasie rzadkich spacerów zawsze zauważał, że otaczający go świat jest pozbawiony ładu, i po raz kolejny tracił nadzieję, że możliwe jest stworzenie świata doskonałego, w jakim sam przebywał. Idealem według niego byłby wynikający z nieprzymuszonej woli porządek, w którym życie biegłoby z dala od ekonomicznych i społecznych konfliktów. Wiedział jednak, że jest to zupełnie nierealna wizja, tak więc żył marzeniami, rozmyślając o tym, co można by zmienić. Sporo czasu spędzał w odosobnieniu, przebywał jedynie z książkami – i ten świat stał się dla niego światem rzeczywistym. Dlatego zetknięcie się z prawdziwymi ludźmi, ich problemami i bolączkami było trudnym doświadczeniem. Fascynowała go jednak myśl, że tym nieszczęśnikom, zlanym potem pomimo zimna i brudnym mimo bliskości rzeki, mógłby dać szansę znalezienia się w żywiołowym i czystym świecie dobrej książki. Poczuł, że być może ma do spełnienia taką misję. To było sensem jego życia i od czasu do czasu potrzebował kontaktu z miastem, żeby ciągle pamiętać, że nie wolno mu rezygnować z ambicji ulepszenia świata.

Minął Altmarkt – główny rynek – i skierował się w stronę Hochstrasse, głównej ulicy, na której obu końcach znajdowały się bramy miasta. Była wewnętrzną arterią, biegła równolegle do rzeki, przez nią przechodzili kupcy dostarczający zaopatrzenie dla miasta, zorganizowanego koncentrycznie wokół tętniącego życiem centrum. Zgiełk i zamęt rozchodziły się jak fale na wodzie po wrzuceniu kamienia ku granicom miasta i zanikały za murami. Tam już rządziła cisza.

Z głównej ulicy wszedł w krętą uliczkę, wychodzącą na niewielki, cichy plac, wybrukowany kamieniami i wysypany piaskiem. Na przeciwległym krańcu stał kościół Świętego Michała Archaniola. Prowadziło do niego kilka schodów, na których rozłożyło się na swoich szmatach kilkanaście osób. Kościół wznosił się dość wysoko na tle pokrytego chmurami nieba. Słońce pojawiło się między nimi i oświetliło plecy księgarza i brudne oliwkowe twarze leżących na schodach mężczyzn. Żaden z nich nie zwrócił na niego szczególnej uwagi, ale wyglądali niepokojąco.

Kościół Świętego Michała Archaniola był budynkiem na planie prostokąta. W połowie wysokości ścian znajdowały się małe okna z nadprożami, jedyne źródło światła z zewnątrz. Szkło w nich było tak samo szare jak wielkie ciosane bloki kamienia wokół nich, związane białawą zaprawą.

U szczytu schodów wznosił się ocieniony portyk z niewielkim łupkowym daszkiem, wyraźnie

zniszczonym. Z jednej strony odstawał od muru, akurat w miejscu, gdzie znajdowało się wejście do kościoła. Jeszcze wyżej, nad portykiem, widać było kilka otworów okiennych, dość przypadkowo rozmieszczonych i – prawdę mówiąc – niezbyt przydatnych, biorąc pod uwagę, jak niewiele światła wpadało do wnętrza. Niewielka nawa główna rozszerzała się nieznacznie przed prezbiterium i półokrągłą absydą. Za portykiem, idąc wzdłuż kamiennej ławy przy murze, dochodziło się do zbudowanego z drewna atrium, które stanowiło jedną część z ciężkimi wrotami, zawsze otwartymi.

Wewnątrz zapach kadzidła mieszał się z wonią, jaką roztaczali pątnicy. Przepędzeni z katedry po zakończeniu uroczystości korzystali z życzliwości proboszcza tej parafii, który pozwolił im zatrzymać się w kościele przez parę dni. Kilka osób w drewnianych ławkach budziło się powoli i równie powoli zbierało swoje rzeczy, w większości zwykłą pelerynę i zwykły kij.

Johann minął chrzcielnicę i boczną nawą doszedł do małych zniszczonych drzwi. Zapukał kilka razy i czekał oparty o kamienny filar. Obserwował, jak diakon w czarnym stroju i białej komży wypuszcza spirale dymu z kadzielnicy.

– Dzień dobry, Johannie. Nie spodziewałem się ciebie – powiedział ksiądz, otwierając drzwi i wyciągając dłoń na powitanie.

– Dzień dobry, ojcie Martinie. Nie chciałbym przychodzić nie w porę. – Księgarz uściśnął serdecznie jego dłoń.

– Nigdy nie przychodzisz nie w porę. Czasem tylko twoje słowa są nie w porę – odparł duchowny z uśmiechem.



Szli obaj przejściem za ołtarzem, objęci ramionami, spoglądając co chwila to pod nogi, to na siebie.

– Parafia bardzo się ostatnio powiększyła – zauważył Johann.

Nie chciał od razu poruszać tematu, który go tam przywiódł. Wymiana poglądów zawsze sprawiała mu przyjemność, a z ojcem Martinem Wahrheitem rozmawiało mu się bardzo dobrze, zwłaszcza kiedy chodziło o kwestie teologiczne.

– O tej porze roku zwykle pojawia się dużo ludzi – przyznał proboszcz. – Dlatego musimy rozcieńczać wodą zupę, którą zaczniemy teraz wydawać, zresztą dzięki jałmużnom na Boże Narodzenie. Ale starczy nam tej zupy tylko na dzisiaj i jutro. Zobaczysz, że pojutrze nawet ślad nie zostanie po tych pątnikach. To ludzie wiecznie w drodze, przyzwyczajeni do wędrowania od jednej uroczystości do drugiej, zadowoleni, że przynajmniej przez kilka dni mają miejsce do spania i gorącą strawę w żołądku.

– Więc wykorzystują Kościół? – spytał Johann z nutką ironii.

– Powiedzmy raczej, że dla niektórych jest to jedyna szansa przeżycia. Inni potrzebują tego miłosiernego wsparcia, żeby pielgrzymować do świętych miejsc. Czują ciężar wielkiej winy, a jedyną formą jej odkupienia jest pielgrzymka. Odpusty nie są na każdą kieszeń.

– No tak, są dla sprawujących władzę i mających pieniądze. To dzięki nim Kościół się bogaci...

– Przyznaję, że tak to w istocie wygląda. Chociaż nie zgadzam się ze sposobem wykorzystywania odpustów, w tych ciężkich czasach to jedyny dodatkowy dochód – powiedział ojciec Martin. – Nie nasz jednak; nasza parafia jest biedna, uzależniona od zbiorów. Widziałeś, w jakim stanie jest nasza świątynia. Ale w większych parafiach wpadają na różne pomysły, żeby ratować się z kłopotów, wywołanych zresztą chciwością i systematycznym grabieniem wspólnego dobra. Do naszej parafii bulle i odpusty przychodzą po wygórowanych cenach i za takie same

powinniśmy je sprzedawać, bo inaczej nikt by ich nie kupił. Ale i tak rzadko kto o nie pyta. Tutaj ludzie nie mają pieniędzy.

– Wolno wam sprzedawać tylko te, które dostajecie? – spytał księgarz.

– Nie, nie. Tylko że to są te oficjalne... – Ojciec Wahrheit zamilkł. – W całej parafii tylko ja potrafię pisać. Nie mogę marnować czasu na pisanie odpustów i narażać się na wrogość wyższych instancji. Albo nie móc ich sprzedać, jak teraz. Mamy pilniejsze sprawy.

– Rzeczywiście. Diabeł czyha za każdym rogiem... – oświadczył Johann sentencjonalnie.

– Nie sądzę, żeby to był diabeł. Chociaż może i tak. Może to diabeł rok w rok spekuluje cenami zboża, powoduje, że plony są coraz gorsze, i pozwala tym, którzy mają gdzie przechowywać suche ziarno, aby rzucali je na rynek, kiedy ceny wzrosną trzykrotnie. Może i diabeł sprawia, że to ziarno nie jest takie suche, jak powinno, i gnije; w zeszłym roku o połowę zmniejszyła się ludność tej parafii. Przez kilka miesięcy rodziły się martwe dzieci albo przychodziły na świat przedwcześnie. Że nie wspomnę o nieznanym liczbie poronień, które mężowie niemal zawsze przypisują cudzołóstwu swoich żon i co z kolei wywołuje więcej agresji. Serce się kraje.

– Mówisz, że tak się dzieje każdego roku? – spytał Johann z niedowierzaniem.

– Jeszcze gorzej jest w latach, kiedy zbiory są marne. Wielu ludzi zapada na zgorzel, trzeba im obcinać ręce albo nogi, przypuszczam, że z powodu tej samej choroby. To sezonowa choroba; trwa trzy czy cztery miesiące. Po ulicach kręcą się osobnicy zapowiadający apokalipsę, która objawiła im się w pijackich snach; sieroty, z konieczności kradnące gdzie popadnie... Albo samotne matki i wdowy, które się prostytuują w zamian za kawałek chleba. Niektóre nawet robią to w kościele, nie zważając, że to jest Dom Boży. Zwykle je wyrzucamy, ale jest nas tylko dwóch, diakon i ja, i nie zawsze dopilnujemy. – Pokręcił głową, zrezygnowany. – Kiedy odprawiamy msze, klienci wchodzą do pomieszczeń i bocznych kaplic, z dala od ołtarza. Ponieważ wejście na chór jest z boku – Martin Wahrheit wskazał na rzeźbioną drewnianą konstrukcję przylegającą do ściany – nie możemy go widzieć. Czasem stoją tam kolejki.

Proboszcz spojrział w górę z wyrazem goryczy na twarzy. Oslaniająca chór drewniana balustrada na obu końcach wykonana była z kamienia, tak jakby budowniczowie musieli w trakcie prac znaleźć tańszy materiał. Sądząc po tym, co ksiądz opowiadał, kościół z pewnością przeżywał kiedyś lepsze czasy.

– Idziemy na górę? – zabrzmiało to jak zaproszenie, a nie pytanie.

Minęli chór i zbliżyli się do małego nadproża bez drzwi. Parę kroków dalej wznosiły się wąskie kręcone schody. Stopnie miały kształt trójkątów wokół drewnianego słupa. Były tak wąskie, że mieściło się na nich tylko pół stopy. Wchodzili po omacku w półmroku. W miarę jak zbliżali się do szczytu, robiło się jaśniej. Półokrągła ściana dezorientowała, zdawała się nie mieć końca. Na ostatnich stopniach widać już było przedostające się przez małą klapę światło. Ksiądz podniósł ją i obaj znaleźli się w dzwonnicy. Słońce wychylające się spoza chmur rzucało słabe promienie między dwoma wielkimi łukami, zdobionymi dzwonnice kościoła Świętego Michała Archaniola.

W samym środku wisiał olbrzymi dzwon, przytwierdzony do grubej krokwi, wygiętej od ciężaru. Z tak bliska wydawało się, że dzwon zaraz spadnie, a jego dźwięk boleśnie atakował uszy. Obok, do mniejszej belki przytwierdzony był niewielki dzwon. Chociaż tak mały, wydawał z siebie groźny głos. Żałobne tony docierały tam, gdzie nie sięgało brzmienie jego większego brata.

Z tej wysokości rozpościerał się widok na całą Kolonię. Z pięćdziesięcioma tysiącami mieszkańców była jednym z największych miast w Europie. Rzeka ginęła pośród czerwonych pól, pustych, bez życia. Dzielące je płoty były białawe, gdzieniegdzie poszarzałe, a nieśmiałe zimowe słońce nie mogło rozpuścić śniegu i lodu, które je pokryły w nocy. Wszechobecna rzeka

płynęła łagodnie i powoli, obojętna wobec trosk ludzi zamieszkujących jej brzegi. Ojciec Martin Wahrheit przerwał ciszę i wyciągnął rękę w stronę obrzeży miasta, za murami.

– Widzisz tamte domy? Są z gliny i słomy.

– Tak. A tam dalej to cmentarz waszej parafii?

– W zeszłym roku okazało się, że jest za mały, i musieliśmy rozebrać część muru. Ale osób do pochowania było tyle, że przestaliśmy kopać groby. Tamte wzniesienia ziemi, ciemniejsze niż pozostałe, to masowe groby. Rodziny powkładały do nich małe krzyże. A w tamtym, trochę dalej od miasta, jest ich trzydzieści dwa. I nie wszystkie rodziny to zrobiły.

– Serce się kraje – przyznał Johann.

Potwornie ciężkie warunki życia, nieszczęścia i cierpienie współmieszkańców wywoływały nie tylko żal i współczucie, ale też głuchy sprzeciw, pragnienie ulżenia ich losowi.

– No ale chyba nie przyszedłeś po to, żebym ci opowiadał o nieszczęściach, jakie nas otaczają...

– I o tym, Martinie, i o tym. – Johann pozwolił sobie nie tytułować księdza. Na szczycie dzwonnicy byli z dala od uszu wiernych, a skoro tylko oni dwaj tam się znajdowali, nie było potrzeby zwracać się do duchownego tak formalnie. – Jak wiesz, zajmujemy się rozpowszechnianiem kultury jako dobrem koniecznym, chociaż jak dotąd nasze działania były dość ograniczone: dużo gadania i kilka rozprawdzonych wśród ludzi tekstów ujawniających niesprawiedliwość, których nikt nie był w stanie czytać... z wyjątkiem osób, które się tych niesprawiedliwości dopuszczały. Myślę, że nadszedł moment, żeby coś zrobić, a ty możesz nam w tym pomóc.

– Ja? – Martin dotknął palcem własnej piersi. – W jaki sposób?

– Mówiłeś wcześniej o odpustach, z których dochody napełniają szkatuły arcybiskupstwa. Myślę, że moglibyśmy sprawić, żeby te dochody trafiały prosto do twojej parafii.

– Ależ to niemożliwe. Już mówiłem, że ani ja nie mam czasu na pisanie odpustów, ani nie mogę nikomu zapłacić, żeby wykonał to zadanie. Dzięki nim mogliśmy zdobyć pieniądze, ale parafii nie stać na to, żeby je pisać... Co za ironia!

– Przedstawię ci osobę, która to potrafi. Kiedy dowiesz się, o co chodzi, wszystko stanie się jasne. Zaufaj mi, Martinie.

– Doskonale. Przedstaw mnie temu szlachetnemu dobroczyńcy.

– Napisz to, co powinno się w nich znajdować, i daj mi egzemplarz jakiegoś innego odpustu – powiedział Johann. – Ta osoba przyjdzie do ciebie z wykonaną pracą. A pieniędzmi nie musisz się przejmować. Myślę, że ten człowiek poczeka, aż sprzedasz pierwsze odpusty. Nie będziesz żałował.

Ojciec Martin Wahrheit oparł dłoń na ramieniu przyjaciela i uśmiechnął się serdecznie. Promienie słońca, choć niezbyt ciepłe, obiecywały nadzieję i pociechę wobec tych wszystkich nieszczęść, o których rozmawiali.

– Mam nadzieję, że to nigdy nie nastąpi, Johannie.

CZĘŚĆ DRUGA

ODKRYCIA

**Nadzieja każe rozbitkowi wyteżać ramiona,
Nawet kiedy znikąd nie widzi jeszcze ziemi.**

OWIDIUSZ

Kolonia, marzec roku 1436

Nikolas kierował powoli wozem jedną z ulic w pobliżu murów. Nieopodal znajdował się warsztat introligatorski, w którym oprawiano książki przepisywane przez kopistów w jego skryptorium. Bardzo pilnował wykonania opraw, do tego stopnia, że osobiście dostarczał skopiowane stronicę i dawał dokładne instrukcje co do wzorów okładek.

Po nocnych deszczach wstał zimny ranek. Nikolas pociągnął lekko za lejce i zatrzymał konie przed warsztatem. Na tej samej ulicy mieściło się też kilka sklepów rzeźniczych, powietrze przesiąknięte było silnym odorem, a spływająca do ścieków krew tworzyła tu i ówdzie małe kałuże.

W warsztacie rozchodził się inny zapach; mieszanina woni, która przypominała mu pierwszą wizytę, jaką złożył w podobnym miejscu wiele lat wcześniej i na innej ziemi. Andaluzyja, zapach skór wyłożonych na dziedzińcu, kleju i mąki, niegaszonego wapna, otrąb, garbników i wody do macerowania, farb... Wiele skór było gotowych do użycia, a niektóre wymagały dodatkowego wykończenia. Nikolas pilnie śledził cały proces oprawiania. A Stein Rosberk był człowiekiem dokładnym i doskonałym rzemieślnikiem. Powitał klienta szerokim uśmiechem.

– Dzień dobry, mein Herr.

– Dzień dobry, Stein. – Nikolas uściskał dłoń właściciela warsztatu.

– Skóry, które nam przysłaliście, są doskonałe. Widać, że sami je wybieraliście.

Dopiero od niedawna Nikolas miał kontrolę nad handlem skórą. Wyświadczenie przysługi Hellerowi okazało się dobrym posunięciem. Kiedy burmistrz się o wszystkim dowiedział, w dowód wdzięczności oddał w jego ręce cały handel skórą. Nikolas wolałby wprawdzie zajmować się tylko wykańczaniem skór, ale nie mógł pogardzić dochodami, jakie przynosiła hurtowa sprzedaż. Poza tym mógł teraz zatrzymywać najlepsze egzemplarze dla siebie, podczas gdy kiedyś Pabst wydzieliał mu je według własnej woli. W nowej sytuacji Rosberk kupował skóry u Nikolasa i dopilnowywał, aby jego książki były najpiękniejsze, najstarszanniej oprawione. Mimo korzystnej dla siebie pozycji Nikolas nie podniósł cen. Ale wymagał, aby stosowano techniki sztuki mauretańskiej, które poznał w Kordobie i które, jako wzór doskonałości, rozpowszechniły się w całej Europie.

– Dziękuję, Stein. Wiesz, jak cenię dobrą robotę. Nie mógłbym ci dać niczego, co nie jest pierwszej jakości. Najlepsze dla najlepszego. Przy okazji, masz już...?

– Oczywiście! Stworzyliśmy prawdziwe dzieło sztuki. Nie wiem, kto będzie tym szczęśliwcem... A może to do waszej własnej kolekcji?

Nikolas potrząsnął głową.

– No tak. Ktokolwiek zostanie szczęśliwym posiadaczem tej książki, otrzyma prawdziwy klejnot. Zaczekajcie chwilę.

Stein oddał się tak szybko, na ile pozwalała mu chroma noga. Nikolas tymczasem wyjął z kieszeni kilka stronic z wzorami okładek dla innych książek; był to motyw kordobański, geometryczny i kwiatowy. Chciałby widzieć je na okładkach z doskonałej koziej skóry, świeżo dostarczonej do warsztatu.

Wrócił Stein. Trzymał w rękach gruby tom, luźno owinięty kawałkiem bawełny. Poprosił

Nikolasa do dużego stołu i delikatnie położył na nim książkę. Już zamierzał zdjąć materiał, kiedy w ostatniej chwili zmienił zdanie. Efekt będzie lepszy, jeśli Herr Fischer zrobi to sam, pomyślał.

Nikolas wstrzymał oddech, kiedy jego palce dotknęły materiału. Rozwijał go powoli, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. I oto leżał przed nim wspaniały egzemplarz Dekameronu, którego okładki z miękkiej cielej skóry ozdobione były okuciami i kłamrą w rzeźbionym srebrze. Wciągnął do płuc zapach: ciepły, przyjemny. Kłamra precyzyjnie przylegała do oprawy. Miejsca zszywania niemal w ogóle nie było widać, a cała książka była po prostu majstersztykiem.

– Dziękuję, Stein. Jest naprawdę piękna. To chyba twoje najlepsze dzieło. – Nikolas był szczerze wzruszony. Spojrzał na rzemieślnika, któremu oczy zaszyły mgłą. Nie miał o Steinie zbyt wysokiego mniemania, gdyż często wygłaszał opinie nieświadczące o zbytnej inteligencji. Ale musiał przyznać, że introligator kocha swój zawód i że cały swój talent wkłada w takie dzieła jak to, które trzymał teraz w rękach.

Widok tak pięknie oprawionej książki wprowadził Nikolasa w świetny humor. Wziął do ręki wzory okładki do nowej książki i z zapalem wyjaśnił, jakie są jego życzenia. Prosił rzemieślnika o rzecz niezmiernie ważną i delikatną, gdyż książka na tematy religijne była przeznaczona dla żony feudalnego magnata. Kłamry na okładkach w tego rodzaju dziełach były najczęściej wykonywane ze szlachetnych metali i zdobione drogimi kamieniami. Nikolas zdawał sobie sprawę, że zadanie może być czasochłonne, ale ze względu na hojność okazaną przez arystokratę zależało mu, aby Stein wykonał je jak najszybciej. Rzemieślnik, niemal odurzony pochwałami, przystał na wszystkie warunki. Poczł się niesłychanie ważny, mogąc pracować dla cenionego i szanowanego kopisty, który z każdym rokiem umacniał swoją pozycję w mieście.



Kiedy Nikolas przyszedł do skryptorium, nawet nie przywitał się z Helmuthem, od razu usiadł przy swoim stole i otworzył przyniesioną książkę. Sprawdzał każdą stronicę, aby upewnić się, że kolejność jest właściwa, że nie ma plam ani błędów, i dopiero wtedy odetchnął z ulgą. Otwierał teraz książkę na chybił trafił i rzucał okiem na opisane w niej historie. W nowelach dużo było pikanterii, małżonkowie ochoczo się zdradzali, klerycy oddawali się rozpuście, a zakonnice ulegały naturalnym żądom cielesnym. Znając Hellera i jego raczej wątpliwą pobożność, Nikolas był pewny, że dzieło mu się spodoba.

Przeglądając nowele, przypomniał sobie Zacariasa i zawsze pożyteczne z nim rozmowy. To wtedy poznał włoski oryginał i mnóstwo innych cennych książek. Był to okres w jego życiu zabarwiony we wspomnieniach miedzianym kolorem zachodzącego na południu słońca. Był to też okres dla niego trudny i tylko książki uratowały go przed poczynieniem nierozważnych kroków. Książki stały się jego przeznaczeniem: postanowił wrócić do Kolonii i sprawić, aby i inni mogli je czytać. Reszty dokonała jego umiejętność przewidywania.

Ostrożnie zamknął piękny wolumen i na nowo owinął cienkim materiałem. Z pewnością zachwyci Hellera, ale wątpił, czy burmistrzowi ta książka sprawi taką samą przyjemność jak jemu. Po raz pierwszy ofiarowywał w prezencie tak cenny egzemplarz. Jego długa znajomość z Overstolzem bardziej była oparta na wymianie uprzejmości niż na zaufaniu – i teraz nadeszła jego kolej. Musi podtrzymywać stosunki z Hellerem, tak jak w zimie podtrzymuje się ogień w kominku. Im dalej od niego, tym większy panuje chłód.



Tego samego popołudnia Nikolas przybył do ratusza, gdzie zastał Hellera w otoczeniu współpracowników. Burmistrz przeprosił go i, zajęty wydawaniem poleceń, dopiero po chwili znalazł czas, aby mogli porozmawiać bez świadków. Wskazał wygodne krzesło i sam usiadł obok. Nikolas przypomniał sobie arcybiskupa, który dla zaznaczenia dystansu przyjmował swoich gości oddzielony od nich dużym stołem. Gest Hellera, bardziej przyjazny, sprawił, że poczuł się swobodniej.

– Jakie nowości przynosisz, Nikolasie? – spytał z uśmiechem burmistrz, chociaż wzrok świadczył, że myśli o innych sprawach.

– Przynoszę wam podarunek. Ten piękny egzemplarz wyszedł z mojego skryptorium i został wykonany specjalnie dla was i dla waszej rodziny. Mam nadzieję, że się wam spodoba.

Heller przyjął dar z umiarkowanym zdziwieniem. Odwinął materiał i odłożył go na krzesło obok. Przyglądał się książce i powoli przesuwiał ręką po okładce.

– Nadzwyczajne! – zawołał. – Po raz kolejny widzę, że wasza sława jest w pełni zasłużona. To bardzo uprzejme z waszej strony, Nikolasie. Jestem pewien, że Agripina będzie zachwycona.

Nie otwierając książki, przywołał służącego, a gdy ten się pojawił, oddał mu ją.

– Każ to odesłać mojej żonie, niech powiedzą, że jest to dar od sławnego kopisty Nikolasa Fischera.

Nikolas starał się nie dać po sobie poznać, jak bardzo czuje się zawiedziony. Burmistrz nawet nie pofatygował się, żeby otworzyć książkę.

– Przy okazji, mam tu parę dokumentów do skopiowania...

Głos Hellera zabrzmiał głucho, pusto. Nikolas pomyślał, że zapłaciłby każdą cenę, żeby zobaczyć twarz słodkiej Agripiny czytającej o żonach, które zdradzają swoich prostackich mężów. I pomyślał też, że ofiarowując żonie Overstolza książkę, udało mu się burmistrza obrazić i się na nim zemścić.

– Naturalnie, zaraz zarządzę, żeby ktoś po nie przyszedł. Zaszczycem dla mnie jest, że wybraliście nasze skryptorium. Z radością będę służył mieszkańcom Kolonii – odparł Nikolas obojętnym tonem.

Heller się roześmiał.

– Zawsze taki poprawny, mój drogi Nikolasie! Przynajmniej tyle mogę zrobić...

Przysunął się i zniżając głos, powiedział:

– Nawet nie wyobrażacie sobie, do jakiego stopnia... zniknięcie Pabsta rozjaśniło horyzont, zwłaszcza od czasu, gdy przeniósł się do innego miasta. Był wielką przeszkodą, a teraz i moja pozycja wzrosła.

– Cieszę się – odparł Nikolas.

Heller znowu się roześmiał.

– Większość nie uwierzyła w to, że został napadnięty! Ale są i tacy, którzy uważają, że Pabst nie mógłby czegoś takiego wymyślić. I bardzo dobrze. Sądzę, że to, co stało się z garbarzem, będzie przestrogą dla ludzi, którzy chcieliby uniknąć płacenia podatków. Niech myślą, że gdzieś skrywa się jakieś niebezpieczeństwo, którego nie potrafią ani określić, ani ocenić.

– Zdaję sobie sprawę, Bürgermeister, że to właśnie chcieliście osiągnąć. Nawet najsilniejsi kryją w sobie cień wiary w złe siły. A nikt nie będzie ryzykował, kiedy może stracić dobre stanowisko.

– Naturalnie, mój Nikolasie. I o to właśnie, o utratę dobrej pozycji, nie musicie się martwić, póki będziecie stać po mojej stronie. Potrafię się odwdzięczyć.

Nikolas pomyślał o książce, którą podarował burmistrzowi.

– Nie wątpię, Heller, pod tym względem jesteście do siebie podobni.

Heller, bardzo zadowolony, poklepał go w kolano i wstał.

– Dobrze już, dobrze... Musisz mi wybaczyć, mam spotkanie w mieście.

Nikolas też wstał.

– Zaproszenie jakiegoś arystokraty? – zapytał lekkim tonem.

Heller domyślił się intencji kopisty, który zawsze w taki czy inny sposób przypominał mu jego dawną pogardę dla patrycjuszy.

– Tak, obiad z wybitną osobistością z Nadrenii. Wydaje się zainteresowany nawiązaniem ściślejszej współpracy z uniżonym sługą. A na tym skorzystamy obydwaj...

– Obydwaj? – zdziwił się Nikolas.

– Naturalnie, drogi przyjacielu, my obydwaj, dlatego że to, co przynosi korzyści mnie, przynosi je także wam.

– Czy może mój żołądek przetrawi bażanta, którego wy przeżujecie? – zapytał przekornie.

– Ależ z was żartowniś. Nie sądzę, aby czyjkolwiek przyjaźń sięgała tak daleko. Ale jeśli ktoś ma szczęście, jego przyjaciel na tym korzysta. A kiedy ten ktoś ma kłopoty – spojrzał na Nikolasa, podszedł bliżej i położył dłoń na jego ramieniu – przyjaciel też je miewa, nie sądzicie?

Poufały gest i spojrzenie klóciły się z wymuszonym uśmiechem. Nikolas wytrzymał wzrok i pożegnał się. Kiedy konno odjeżdżał z ratusza, wydało mu się, że obiecane opiekuńcze skrzydła burmistrza nabierają groźnego wyglądu. Poczul nagły powiew chłodu i szczelniej owinął się peleryną.

Przeraźliwie mroźna noc zawładnęła miastem. Wydawało się, że ciemność gęstnieje w powietrzu, podobna do zwartej, niemalże namacalnej mgławicy, i tworzy od samych murów niewidzialną lodową kopułę. Domy w opustoszałym mieście, wyciszone i ciemne, jakby tuliły się do siebie, a ich szarawe mury jeszcze bardziej zaciemniały każdy załomek, każdą szczelinę.

Lorenz pracował w domu nad odpustami. Zamówienie, które otrzymał od księgarza, zmusiło go do dodatkowego wysiłku, ale zauważalne postępy były nieustającym bodźcem do pracy. Dzień w dzień nie mógł się doczekać momentu wyjścia z warsztatu po to, by pędzić do domu i kopiować stronę po stronie. Kiedy Johann powiedział mu o tym zleceniu, Lorenz przede wszystkim ulepszył swój wynalazek i wydłużył drewniany walec, na który nakładał stemple, do szerokości kartki papieru, żeby móc kopiować całe linijki tekstu. Ale w niektórych przypadkach nie było to możliwe. Kiedy jakaś litera powtarzała się często, brakowało mu stempli i musiał je wtedy przestawiać, a to powodowało ogromną stratę czasu.

Drewniane drążki niszczyły się szybko od ciągłego nakładania i zdejmowania pierścieni; pomyślał więc, że będzie musiał zastosować inny sposób mocowania stempli, a także odpowiednio zmienić ich kształt. Spróbował ryc litery w metalowych klockach. Pierwszym sukcesem było to, że z tej samej ilości metalu mógł zrobić więcej stempli. Pozostała kwestia mocowania – potrzebował jakiejś prowadnicy, w której mógłby umieszczać rządki liter. Ten problem też szybko rozwiązał: zrobił z metalu szynę ze wzdłużnym rowkiem dopasowanym do kształtu klocków. Dzięki temu litery układały się ciasno jedna obok drugiej. W górnej części prowadnicy umieścił uchwyt; naciskając nań, powodował, że litery odbijały się równo na papierze. W końcu znalazł potrzebne rozwiązanie!

Jednak nie wszystkie problemy związane z jego wynalazkiem dało się tak łatwo rozwiązać, a wiedza z dziedziny złotnictwa nie wystarczała. Musiał pomyśleć o tym, jak często w tekście występuje określona litera. Bez wątplenia samogłosek było najwięcej. Wkrótce Lorenz wiedział już dokładnie, które litery i jak często są użyte w odpustach, i trzymał je uporządkowane w specjalnie na ten cel przygotowanym drewnianym pudełku. Od początku zdawał sobie sprawę, że to, co będzie drukować, powinno mieć wygląd tekstu pisanego przez kopistę, dlatego każda litera miała kształt powszechnie używanego pisma gotyckiego. W rezultacie jego odpusty mogły się równać z kopiami wykonanymi przez najlepszych skryptorów.

Mając gotowe całe linijki, Lorenz odbijał strony dużo szybciej. Konieczna okazała się wtedy pomoc Eriki, która sama już niecierpliwie czekała na ten moment. Stojąc obok, w milczeniu odbierała kartkę z wydrukowaną linijką i wieszala ją na cienkim sznurku, rozciągniętym przez całą szerokość pomieszczenia. Z zewnątrz mogło się wydawać, że zrobiła wielkie pranie albo że książki się zawilgościły i po rozdzieleniu kartek trzeba je było powiesić do wyschnięcia. Lorenz odbijał dwadzieścia linijek, po czym wyciągał litery z metalowej szyny i składał następną. Erika z zachwytem w oczach przyglądała się ojcu, jakby był czarodziejem, zamieniającym zwykłe słowa w ceremoniał. Tekst wydłagał tak:

Posiadaczowi tego listu odpuszczane są wszystkie grzechy popełnione do dnia jego wydania. Tym samym potwierdzam, że posiadacz odpustu należy do parafii Świętego Michała Archanioła, jest żałującym za grzechy, prawdziwym chrześcijaninem,

wyznał wszystkie swoje grzechy, jak nakazuje Kościół, i po nałożeniu nań pokuty z żalem i skrucną odbytej obiecał poprawić swoje doczesne życie i modlić się szczerze do naszego Pana każdego wieczoru, a także uczestniczyć w mszach w naszym kościele Świętego Michała Archaniola przynajmniej raz w tygodniu poza niedzielami i świętami. Na dowód tego zobowiązania wydajemy ten list odpustowy, który potwierdza, o czym było wyżej.

Na górze dokumentu widniało miejsce jego wydania, Kolonia, a pod spodem odstępną na wpisanie daty. Na dole strony zaś było imię ojca Martina i poniżej odstępną na jego podpis. Była to gwarancja, że za odpust zapłacono i że jest autentyczny. Posiadacz listu mógł mieć pewność, że po śmierci jego dusza pójdzie prosto do nieba. Nie czekały go zatem czyściec ani przerażające piekło, przed którymi drżeli jednakowo królowie, wasale i niewolnicy. A przynajmniej dopóty, dopóki nowe przewinienia nie zmuszą go do wykupienia kolejnego odpustu.



Erika nagle poczuła się źle. Niosła akurat kolejną kartkę, żeby ją powiesić na sznurku, kiedy pod wpływem silnego bólu w brzuchu zgięła się wpół. W ręce ścisnęła pogniecioną kartkę.

– Co ci jest, córeczko? Dobrze się czujesz? – zawołał wystraszony Lorenz.

– Tak, tak. Nie wiem, co to było. Dzisiaj jestem trochę zmęczona.

– Idź spać. Skończymy jutro – powiedział.

– Ale jeszcze dużo brakuje do dwudziestej strony.

Z trudem dokończyła zdanie. Chwyciła się za brzuch.

– Znowu? Co ci jest? – zawołał Lorenz. Podeszedł i wyjął z jej ręki kartkę. – Usiądź tutaj. Napij się wody. – Dotknął czoła córki, bardziej po to, by ją pocieszyć, niż sprawdzić, czy ma gorączkę. – Teraz już lepiej?

– Przez chwilę mnie bolało. To na pewno nic wielkiego. Nie martw się.

– Dobrze, ale ty idź odpocząć. Ja jeszcze trochę popracuję.

Ze spuszczoną głową weszła po schodach na górę, udając, że nie czuje bólu, żeby nie niepokoić ojca. Nie był nie do wytrzymania, ale nieustanny i męczący. Czasem lekko się wzmagał, wywoływał niewielki skurcz, jednak bardziej męczyła ją obawa, że będzie znieacka atakował, niż jego dotkliwość. Wyciągnęła się na łóżku i poczuła w brzuchu przyjemne ciepło, jakby mrowienie. Trochę oszołomiona zasnęła, snem płytkim, niespokojnym. Ostatni tydzień był dla niej trudny. Powoli zbliżała się wiosna, pora roku, którą bardzo lubiła, lecz tym razem miała wrażenie, że wisi nad nią czarna burzowa chmura. Czasem złościła się na Matthiasa i karciała go za byle co. Zauważała, że chłopiec robi coraz większe postępy w czytaniu i pisaniu, a mimo to czuła potrzebę pokazania, że potrafi być sroga. Nie pozwalała mu się bawić w czasie przerwy w lekcji, kiedy odpoczywał od trudnej sztuki uczenia się na pamięć, nie śmiali się także ani nie żartowali, kiedy przygotowywała kolację. Wiedziała, że coś się w niej zmienia, ale nie miała pojęcia co.

Kiedy w środku nocy kilka razy zbudził ją lekki chłód, pomyślała, że to z powodu zimy i cienkiego koca. Nad ranem poruszyła się niespokojnie, słysząc, jak ojciec budzi się za zasłonką. Na pół senny podeszedł do niej i spytał, jak się czuje. Była wypoczęta, więc powiedziała, że dobrze. I rzeczywiście. Bóle przeszły. Wróciło za to uczucie chłodu między nogami. Leżała jeszcze przez chwilę, a kiedy usłyszała, że drzwi na ulicę zamykają się za ojcem, wstała i odsunawszy koce, zobaczyła na prześcieradle plamę krwi. Nie była duża i teraz już prawie sucha, ale na jej widok Erikę opanowało uczucie dręczącej niepewności. Wystraszona, usiadła oparta o ścianę z kolanami podciągniętymi pod brodę. Nie ruszała się.

Po chwili doszła do siebie i z przerażeniem zobaczyła na prawej nodze strużkę świeżej krwi. Nic jej nie bolało, więc zeszła do kuchni. Znalazła na półce kilka szmatek, którymi poratowała się przed

plamieniem. Żeby odpędzić złe myśli, zabrała się do sprzątanania, a gdy tylko przyszedł Matthias, kazała mu powtórzyć to, czego się nauczył, i zapytała, czyjego mama jest w domu.

Frieda siedziała przy stole w skromnej kuchni i z kłosów żyta wyłuskiwała ziarna, z których miała później upiec chleb. Ciemne włosy ściągnęła w kok na czubku głowy, a na prostej sukni z grubego materiału widać było ślady cerowania. Kiedy Erika powiedziała jej, co się stało, Frieda uśmiechnęła się niewyraźnie i – zerkając na boki, jak gdyby miała wyjawiać wielką tajemnicę – podniosła fałdy długiej spódnicy. Pokazała jej, że ona też w podobny sposób chroni ciało i ubranie. Prawie całą godzinę poświęciła na uspokajanie młodziutkiej sąsiadki, dzielnej nauczycielki jej małego synka.

Frieda wytłumaczyła jej wszystko. Powiedziała, że to, co zauważyła, jest zupełnie normalnym procesem, że w tym okresie piersi jej nabrzmieją, każdego miesiąca będzie odczuwać ból w brzuchu, taki właśnie, jak czuła poprzedniego dnia. Będzie ją bolało nie dlatego, że cierpi na niestrawność, najadła się twardego chleba albo z głodu brzuch się buntuje. Nie – wytłumaczyła – ten ból powstaje niżej, daje uczucie ciepła, przychodzi falami, czasem nawet wywołuje dziwny zimny pot. Spojrzała na Erikę serdecznym wzrokiem i z odrobiną niepokoju oznajmiła:

– Jesteś teraz kobietą.

Powiedziała też Ericie, że zacznie się bardziej interesować chłopcami, bo kobieta została stworzona po to, aby wydawać na świat dzieci.

– Ja mam dwadzieścia dwa lata i już urodziłam pięcioro, chociaż tylko troje żyje. – Uśmiechnęła się smutno.

Frieda mówiła jeszcze o tym, jak zmieni się ciało Eriki. Nie tylko urosną jej piersi, ale i włosy na łonie i pod pachami, będzie miała większe pośladki i szersze biodra... Czasem będzie czuła zmęczenie albo wpadnie w zły humor. A czasem wręcz przeciwnie, bez szczególnego powodu będzie w doskonałym nastroju, ze wszystkiego zadowolona, jak kiedyś, gdy była mała i niczym się nie martwiła.

Umilkła, zauważywszy, że dziewczyna wpatruje się w przestrzeń i w ogóle jej nie słucha. W pamięci Eriki nagle pojawiła się postać jej matki, rzucającej córce ukradkowe spojrzenia, kiedy ojciec uczył ją czytać i pisać. Sprawiała wrażenie, że jest zajęta szyciem, ale w rzeczywistości obserwowała ją – Erika zauważała to kątem oka i taki niewyraźny jej obraz zatrzymała w pamięci. Czasem odwracała się nagle, chcąc zaskoczyć matkę, ale Ebba, być może wyczuwając zamiar córki, już pochylała się nad cerowaną suknię. A może to wszystko nigdy się nie wydarzyło, może istniało jedynie w jej głowie? A może tylko wyobrażała sobie to, co mówiła Frieda, może powinna czuć się winna i zawstydzona, jak wtedy, kiedy po obudzeniu zobaczyła krew między nogami.

– A, i uważaj na mężczyzn, oni widzą takie zmiany – Erika usłyszała głos Friedy.

– Co to znaczy?

– Nie będziesz mogła się odpędzić od chmary szarańczy. Musisz mieć się na baczności i wiedzieć, że będą chcieli od ciebie tylko jednego.

– Ale ja od nich niczego nie chcę.

– Tak, teraz nie chcesz. Ani jutro, ani pojutrze. Ale nadejdzie dzień, kiedy i ty będziesz czegoś od nich chciała. I tego dnia musisz być przygotowana, musisz wiedzieć, co ryzykujesz.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Erika zaczerwieniła się, udając, że nie rozumie.

– Nieważne. Dowiesz się w swoim czasie. Jesteś jeszcze za młoda. Chodź tu do mnie, kochanie.

Frieda otworzyła ramiona i mocno przytuliła Erikę. Dziewczyna przylgnęła do niej, spragniona matczynego ciepła, czuła jej dłoń głaszczącą włosy i zdała sobie sprawę, że oto jej dzieciństwo się

skończyło. Po policzkach potoczyło się kilka wielkich, błyszczących jak diamenty łez.



Ernest poruszył się w swoim zagraconym kącie. Dopiero co skończył sprawdzanie ksiąg rachunkowych, co mu zwykle zabierało pół dnia, i postanowił wyjść coś zjeść. Zamknął księgę, wynurzył się na światło dnia i uważnym spojrzeniem obrzucił warsztat. Przy długim stole już od rana siedzieli jego rzemieślnicy. Wszyscy pilnie dłutowali metal, nadawali mu kształt, piłowali i polerowali albo uważnie ostukiwali detale na małym kowadełku. Wszyscy z wyjątkiem Lorenza. Nigdzie go nie było widać. Zdziwiony Ernest chciał już wypytać kilku wścibskich kolegów, którzy zdawali się wiedzieć wszystko o wszystkich, ale okazało się to niepotrzebne.

Kiedy rozejrzał się dokładniej, zobaczył go siedzącego przy stole z głową opartą na ramionach. Ruszył zdecydowanym krokiem, a głowy rzemieślników podnosiły się powoli; obserwowali mistrza idącego wzdłuż stołu z uśmiechem przyklejonym do ust. Któryś lekkim kuksańcem w bok dawał znak koledze zaabsorbowanemu pracą, inny spojrzeniem i ruchem podbródka kierował uwagę na Lorenza. Stopniowo ustawał stukot i metaliczny dźwięk narzędzi, aż w końcu w warsztacie zrobiło się zupełnie cicho. Słyszać było jedynie ściszone chrapanie.

Z wściekłością w oczach Ernest podniósł rękę i pięścią rąbnął w stół, aż zatrzeszczało. Narzędzia zadygotały, a Lorenz wyprostował się nagle jak za naciśnięciem sprężyny. Na policzkach widać było odpryski metalu i odcisnięty ślad rękawa. Oczy miał zaczerwienione. Z niezmaconym spokojem wytrzymał wściekły wybuch teścia.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz? Za to ci płacę? Myślisz, że możesz tu przychodzić, żeby sobie wygodnie pospać? Naprawdę nie rozumiem. Przysięgam, że nie rozumiem, dlaczego w tej chwili nie wyrzucasz cię do rynsztoka, z którego cię wyciągnąłem.

– Przepraszam, już tego więcej nie zrobię. Mam kłopoty.

– Kłopoty... Taaak! – Zaśmiał się szyderczo. – Dla mnie kłopoty zaczęły się w dniu, kiedy stanąłeś w tych drzwiach, a ja, głupi, pozwoliłem ci zostać terminatorem. Co za nieszczęście! Po tysiackroć przeklinam ten dzień. Ale na tym się nie skończy, o nie... W tym tygodniu będziesz zostawał dłużej, odpracujesz zmarnowany czas. – Spojrzał na pozostałych rzemieślników. – A wy co? Na co się gapicie? Może też chcecie pracować dłużej? Żaden z was mnie nie ostrzegł. Mógłby tak pół dnia spać. Pewnie go kryjecie? Coś takiego...

Przestraszeni perspektywą wydłużenia i tak już wyczerpującego dnia pracy, rzemieślnicy niezwłocznie wrócili do swoich zajęć. Znowu dał się słyszeć brzęk obrabianego metalu.

Lorenz siedział w milczeniu na swoim drewnianym stolku. Już się nie tłumaczył. Źle się stało i wiedział o tym. Nie miał zamiaru winić Ernesta za to, że znowu stał się obiektem jego wściekłości. W głębi duszy sam siebie obwinał, przecież to on wolne chwile poświęcał na coś, co tylko przysparzało mu trosk. Poza tym, ponieważ Erika źle się czuła poprzedniego wieczoru, chciał wrócić do domu, być z nią, dowiedzieć się, jak jej minął dzień. Teraz będzie się jeszcze martwiła, bo on wróci późno. A odpusty powinien oddać w terminie. Miał nadzieję, że kiedy je skończy, wszystko wróci do normy i będą mieć więcej czasu dla siebie. Może nie powinien był przyjmować tego zamówienia. Przecież nie był kopistą. Nadaremnie kiedyś próbował, ale jak powiedział mu wielki mistrz, nigdy nim nie zostanie.

Wiosna była już w pełni i w ten słoneczny, ciepły dzień ulice zaroily się od mieszkańców. O tej porze jednak słońce zaczynało chować się za horyzontem i nagle zrobiło się bardzo zimno. Kilku mężczyzn schodziło właśnie z niewielkiego statku, który przycumował w rzeczonym porcie Kolonii. Bagażu mieli niewiele. Udali się prosto do jednej z portowych tawern, a jej właściciel, widząc ich z daleka, z radości zacierał ręce. Sądząc po wielobarwnych strojach, byli wędrownymi handlarzami; zostawiali pieniądze i nie stwarzali problemów. Zwrócił się do idącego przodem mężczyzny:

– Dobry wieczór, bądźcie pozdrowieni w skromnych, lecz chędogich progach tej tawerny. Ile pokoi potrzebujecie?

– Powiedzmy, że potrzebujemy pięciu łóżek, i nieważne, czy wszystkie będą w tej samej izbie – odparł człowiek wyglądający na przywódcę przybyłych, szczerząc w uśmiechu zepsute zęby. – Będziemy was niepokoić tylko jedną noc. Dzisiaj załatwiamy interes, a jutro wyjeżdżamy.

– Mimo to spodziewam się, że zechcecie zostawić tutaj co nieco waszych monet – mruknął do siebie oberżysta.

Odsunął się, pozwalając im przejść. Kiedy przyjmował od nich pieniądze za nocleg, ogarnął go nagły chłód, lecz przypisał go raczej powiewowi wiatru. Nie miał pojęcia dlaczego, ale napuszony sposób wyrażania się tego człowieka i uparte milczenie jego towarzyszy wywarły na nim nieprzyjemne wrażenie. Zwrócił uwagę na przekłute uszy herszta. Był to wyraźny ślad po kolczykach. Usta przecinała szrama, a kroki stawiał jak ktoś czujący się niepewnie na twardej ziemi. Oberżyscie przyszły na myśl złowieszcze opowieści o atakach piratów na statki Hanzy, a w ustach poczuł metaliczny smak krwi.

Strach go obleciał, więc tylko odesłał gości do ich kwatery na piętrze, a sam zajął się klientami, którzy szukali odpoczynku przy zastawionych stołach na parterze.



Już od dłuższego czasu sprowadzanie towarów z dalekich stron stało się podstawą wzrostu dobrobytu w wielkich miastach, a rzeka Ren przekształciła się w niezmiernie ważny szlak komunikacyjny. Poruszały się na niej niezliczone statki, przywożące rozmaite towary: miód, skóry, drewno, tkaniny, żywicę, żelazo... Do portu w Kolonii sprowadzane były produkty pochodzące z całego świata.

Już przed wiekami kupcy zorganizowani byli w konfraterniach, zwanych hanzami. Obecnie, w tych niepewnych czasach, musieli szukać sposobów obrony własnych interesów. Zawiązały się sojusze miast. W efekcie takich sojuszów pomiędzy miastami na terenie Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego w roku 1356 powstała Liga Hanzeatycka z Lubeką jako głównym ośrodkiem i portem Hanzy. Stopniowo dołączały kolejne miasta i wkrótce było ich już dziewięćdziesiąt. Od momentu, kiedy zakres jej wpływów objął kraje nadbałtyckie, Liga kontrolowała handel przybrzeżny i morski w północnej Europie. Zarządzana była demokratycznie przez przedstawicieli wszystkich miast, którzy spotykali się na zjazdach, zwanych Hansetagen, i doprowadziła do ogromnej ekspansji handlu dzięki takim przedsięwzięciom jak tworzenie nowych

ośrodków handlowych i odpowiednich warunków do rozwoju rolnictwa i przemysłu, budowy kanałów i dróg. Wpływ Ligi widoczny był również w sferze językowej; w miastach handlowych w rejonie Bałtyku i Morza Północnego używano odmiany języka dolnosaksońskiego z Lubeki.

W tamtych czasach ataki piratów na otwartym morzu były na porządku dziennym. Napadali na dalekomorskie statki, ale też zapuszczali się na ląd i dokonywali strasznych zniszczeń. Cierpieli na tym wszyscy, lecz kupcom – dzięki wspólnym działaniom – udawało się minimalizować straty. Jednak mimo sukcesów w potyczkach z piratami nawet Hanza nie była niepokonana. Tym bardziej że łatwiej było zorganizować zasadzkę na rzece niż na otwartym morzu.

Kiedy wiosną 1436 roku w Kolonii skończyły się zapasy zboża, należało się spodziewać, że wielu kupców tam właśnie zechce wysłać swoje nadwyżki. Ładowali towar na statki i wyruszali sprzedać go w mieście. Wszyscy chcieli wykorzystać tę sytuację. Również burmistrz Heller Overstolz.



Zmrok już zapadł. Bürgermeister owinięty w ciemny strój zręcznie zeskoczył z konia. Kilku towarzyszących mu uzbrojonych mężczyzn zrobiło to samo. Znajdowali się przed skromnym domem na oddalonym od miasta terenie jego baronii. Mieszkała tam chłopska rodzina dzierżawiąca ziemię w zamian za pańszczyznę, lecz Heller kazał im tego dnia zostawić dom do jego dyspozycji.

Odetchnął głęboko i razem z obstawą zdecydowanym krokiem przekroczył próg. W pokoju oświetlonym migotliwym światłem świec popijał wino Morgenstern. Na widok Hellera nie ruszył się z krzesła, a szrama przecinająca twarz zamieniła się w uśmiech, jakim chciał go powitać. Zimnym spojrzeniem objął jego towarzyszy.

– Zdaje się, że nie macie wielkiego zaufania do unizonego sługi – rzekł i skłonił głowę.

– Wy też nie chadzacie sami – odparł Heller, wskazując na znajdujących się w pomieszczeniu ludzi.

Morgenstern ruchem ręki kazał im wyjść. Heller taki sam znak dał swoim.

– No dobrze, nie zwlekajmy z nadto – powiedział burmistrz. – Wiem, że nie lubicie oddalać się od swojego statku.

– Nie przeszkadza mi opuszczanie statku, jeśli to warte mojego zachodu. Mam ludzi, którzy pilnują go pod moją nieobecność.

– Jestem o tym przekonany.

Heller włożył rękę do kieszeni peleryny. Wyjął z niej małą skórzaną sakiewkę. Morgenstern wyciągnął brudną, pokrytą śladami po oparzeniach rękę. Burmistrz wahał się chwilę, zanim podał mu sakiewkę. Pomyślał jednak, że interes, jaki właśnie zamierza ubić, przyniesie mu wielkie korzyści. Korzyści, które – jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – zaowocują znacznym powiększeniem majątków wielu ważnych osobistości, w tym i jego własnego. Morgenstern uśmiechnął się złośliwie, ukazując szczerbate uzębienie. Jeszcze chwila i Heller rzucił sakiewkę na stół.

– Nie wolno wam przepuścić żadnego statku ze zbożem – przypomniał, zdając sobie sprawę, że jest to zupełnie zbyteczne.

Patrzył w oczy Morgensterna z butną miną, choć nie potrafił ukryć niepokoju. Niełatwo przychodziło mu okazywać nieustraszoną wobec kogoś, dla kogo jedynym prawem było prawo silniejszego.

– Żaden kupiec mi się nie oprze, burmistrzu. Moi ludzie i ja mieliśmy do czynienia z dużo groźniejszymi przeciwnikami. Na Morzu Północnym w czasie burzy zostawialiśmy za sobą spalone

galery i mnóstwo trupów – oświadczył Morgenstern z dużą dozą przesady, a przynajmniej taką miał Heller nadzieję. – I nie zamierzamy zmieniać naszych strategii.

Overstolz bez trudu mógł sobie wyobrazić krwawe wyczyny pirata. Wydało mu się, że czuje zapach krwi na rękach, którymi teraz liczył jego pieniądze.

– Zapewniam was, że byle kupiec jest drobnym pyłkiem dla załogi Wütanfall.

Burmistrz poczuł, jak po plecach przebiega mu zimny dreszcz: nazwa „atak furii” przynosiła zaszczyt statkowi i samo jej wspomnienie mogło niejednego marynarza zamienić w przerażonego chłopca okrętowego. Usta pirata wykrzywiły się w uśmiechu, a chwilę później rozbrzmiał gardłowy rechot. Heller pomyślał, że przypomina to ohydny, histeryczny śmiech hieny. Zadrżał cały, słysząc dźwięk, w którym pobrzmiwał trzask łamanego drzewa, jęk skazańca, a nawet ślad jakiejś słodkiej melodii.

Zdołał tylko powiedzieć cicho:

– Mam nadzieję.

I szybko się pożegnał. Nie był w stanie przebywać dłużej w towarzystwie tego nieprzewidywalnego człowieka. Im szybciej stąd wyjdzie, tym szybciej odzyska pewność siebie.

Koń ruszył truchtem, gdy tylko Heller wskoczył na siodło. Obecność swoich ludzi i zwiększająca się odległość między nim i tym podejrzanym indywiduum przywróciły mu spokój. A kiedy ta odległość zwiększyła się jeszcze bardziej, był znowu sobą, człowiekiem, który myślał o jutrze, nie wybaczając zniewag, ukrywał swe zamysły, wykonując zręczne posunięcia, i był, jak oliwa, zawsze na wierzchu.

Sprawy układały się doskonale. Informacja o braku zapasów zainteresowała kupców z innych miast, ale gdy tylko pierwsze statki zostały zaatakowane, uznali oni, że handel z Kolonią to za duże ryzyko. Od tego momentu przez kilkanaście następnych miesięcy do miasta miało trafiać jedynie zboże pochodzące z zapasów Hellera i ludzi z jego otoczenia. Jako jedyni dostawcy będą je sprzedawać po bardzo wysokich cenach. Taka była zasada rynku: za niższą ofertę wyższa cena. Wiele osób nie będzie mogło tyle płacić. Dla nich pozostaną ochłapy, resztki chleba, suszone owoce gnijące w zawilgoconych po zimie sklepach. Wiadomość o atakach na statki niebawem dotrze do miasta, sprawi, że obcy kupcy będą się trzymali z dala od Kolonii, do reszty pozbawi niezadowolonych mieszkańców sił, jakie mogliby jeszcze mieć.

Heller skierował się prosto do domu. Niemal czując już w dłoniach ciężar pieniędzy, którymi wkrótce będzie mógł się cieszyć, postanowił miło spędzić resztę wieczoru. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż myśl o powiększaniu władzy i majątku.

Niemal zapomniał już, że tego samego popołudnia jego podwładny w ratuszu dał mu pakunek, który przywiązał do siodła. Sięgnął ręką, by sprawdzić, czy ciągle tam jest. Miał nadzieję, że mimo późnej pory Agripina nie będzie jeszcze spała. W końcu gdyby nie małżeństwo z córką barona, nie byłby dziś tym, kim jest. Musi okazać jej wdzięczność.



Agripinę znalazł w sypialni – czesała swoje długie złote włosy. Siedząc przed pięknym tremo, szlachetna dama jak w hipnozie poruszała grzebieniem z kości słoniowej, na którym po obu stronach wryto baśniowe sceny. Byli tam wielcy panowie, tacy, jakich widziała w swoich snach; wyobrażała sobie, że przybędą po nią i wyratują z tego pozbawionego ciepła i uczucia pałacu. Gładząc złociste pukle, myślała o tym, jak bardzo jej mąż zmienił się od dnia ślubu. Zanim się pobrali, kiedy zabiegał o jej względy, poświęcał jej całą swoją uwagę. Teraz pozostało jej tylko

nić do czynienia ze służbą, która ze współczuciem obserwowała jej samotne spacer w zamkowych ogrodach.

Podniosła wzrok na swoje odbicie w lustrze. Zobaczyła grzebień rozczesujący jedwabiste błyszczące włosy, popatrzyła w smutne zielone oczy. Miała dziewiętnaście lat i łagodne rysy twarzy, na pewno nie najpiękniejsze – potrafiła to przyznać – ale nie uważała, że jest brzydka. Dlaczego więc Heller nawet jej nie dotykał?

Przyzwyczyła się wymyślać różne historie, żeby mijający czas nie był tak potwornie trudny do zniesienia. Czytała wszystkie książki, które przynosił jej Heller, a opowieści, których bohaterami byli dzielni rycerze, podobały jej się najbardziej. Kiedy wiosenny wiatr muskał jej delikatne policzki, wyobrażała sobie, że dotyka jej dłoń walecznego wojownika. Człowieka honorowego i wiernego, który w zbroi i ze szpadą w dłoni wespnie się po ścianie do okna i uwolni ją z zamknięcia. Weźmie w ramiona, ucałuje i zabierze ją daleko od tego miejsca, z dala od Hellera.

Przez otwarte okno usłyszała tętent konia. Wychyliła się, a gdy jeździec zbliżył się do bram zamku, rozpoznała w nim męża. Wahala się chwilę, lecz w końcu uznała, że zaczeka, aby przyszedł do niej. Heller nie lubił publicznych demonstracji uczuć. Ona zaś z trudem akceptowała tego rodzaju powściągliwość. Na swój sposób ciągle kochała Hellera; takiego przynajmniej, jakiego pamiętała z innych czasów.

Podskoczyła, kiedy jej mąż z hukiem otworzył drzwi do sypialni.

– Czy przeszkadzam, droga żono?

Agripina podniosła się rażno z krzesła i drobnymi kroczkami podeszła do Hellera. Wspięła się na palce i ostrożnie pocałowała go w policzek. Widziała okazały pakunek w jego dłoniach.

– Nie przeszkadzasz, drogi mężu. Czym mogę ci służyć?

Heller obojętnie przyjął pocałunek. Zmrożona takim brakiem reakcji opuściła głowę. Ale na twarzy burmistrza widać było wyraźne ożywienie.

– Przywiozłem ci prezent – zawołał.

Agripina uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale nie okazała zainteresowania. Nie chciała, żeby zamiast czułości obdarowywano ją prezentami. Mimo to wzięła do ręki pakunek. Delikatnymi białymi palcami rozwiązała sznurek i odwinęła opakowanie: jej oczom ukazał się równiutko złożony strój z miękkiego materiału. Chwyciła go w obie ręce i rozwinęła, chcąc lepiej się przyjrzeć. Była to piękna suknia w kolorze purpury, godna księżniczki. Obcisła góra sięgała wysoko pod szyję, a spódnica była szeroka, układana w fałdy. Guziki z kryształu w kolorze sukni połyskiwały w świetle licznych świec, przypominając kielichy pełne najlepszego czerwonego wina. Klamra u paska była ze złota, a wykończenia sukni ze złotych ozdobnych tasiemek. Cały strój sprawiał wrażenie jubilerskiego dzieła.

Agripina patrzyła w oszołomieniu. Nigdy przedtem nie widziała podobnej sukni.

– Zamówiłem ją specjalnie dla ciebie. Sprowadzono ją z Florencji. – W słowach Hellera brzmiała duma.

Agripina podeszła do wielkiego łóża z baldachimem i ostrożnie – jakby trzymała w rękach delikatny kryształ – położyła na nim suknię. Odwróciła się i pobiegła do Hellera z otwartymi ramionami, uradowana. Pragnęła pokazać mu, że ciągle go kocha, że zachwycił ją prezent, że chce okazać mu wdzięczność w taki sposób, w jaki by sobie tego życzył.

Jedyną reakcją Hellera była, jak zwykle, nieco stonowana oziębłość. Na moment otoczył żonę sztywnym ramieniem i natychmiast się odsunął. Ożywienie, z jakim wszedł do sypialni, zastąpiła uprzejma obojętność.

– Cieszę się, że ci się podoba – oświadczył. Nie patrzył na nią i tylko obracał w dłoniach sznurek

odwinięty z pakunku. – Wkrótce będziesz mogła w niej wystąpić. Styggerowie znowu urządzają przyjęcie. Zdaje mi się, że w tej rodzinie ostentacja jest dobrze widziana, nie sądzisz?

– Tak – odparła uprzejmie Agripina. Stała teraz z dala od męża, oparta o miękkie łóżko, i delikatnie gładziła zdobioną złotem suknię.

Patrząc smutnymi oczami na męża, nie umiała ukryć rozczarowania. Wiedziała, że nie wolno jej nigdy okazywać mu braku szacunku. Zasady wychowania obowiązujące w wyższych sferach były bardzo surowe, szkoda tylko, że nie było w nich miejsca na czułość i serdeczność. A Heller bez trudu dostosował się do konwenansu.

Na chwilę zapadła ciężka cisza. Obydwoje starali się znaleźć słowa, by ją zapełnić, i w końcu odezwała się Agripina:

– Czy miałeś dobry dzień?

– Tak, jeden z lepszych. A ty?

– Tak, ja też.

– Jest coś, o czym muszę cię zawiadomić: wyjeżdżam z rana na kilka dni, będę bardzo zajęty. Muszę się szybko położyć. Dobrej nocy.

Kolejne zdania zdawały się łączyć dość nieskładnie. Spoglądając co chwila to na podłogę, to na żonę, Heller sprawiał wrażenie, jakby mówiąc, myślał o czymś innym. Pożegnał się skinieniem dłoni i zniknął za grubymi rzeźbionymi drzwiami. Głośnie trzaśnięcie zagłuszyło słowa Agripiny:

– Dziękuję za... prezent. Dobrej nocy.

Po raz kolejny przemówiła do pustki. Melancholijny wzrok zatrzymała na okładce książki, którą kilka dni wcześniej mąż przysłał jej przez posłańca. Dekameron. Pomyślała, że skoro z pewnością nie uda jej się zasnąć tej nocy, najlepiej będzie zabrać się do czytania. Nie знаła treści, ale książka wyglądała pięknie. Na pewno znajdzie w niej pobudzające do marzeń opowieści. Wzięła ją do ręki i zmęczonym krokiem podeszła do łóżka.

Nadszedł dzień targowy i Altmarkt wypełnił się mieszkańcami Kolonii. Erika z trudem przepychała się między ludźmi. O tej porze roku głód zaglądał w oczy najbiedniejszym, którzy podchodzili do rozstawionych wokół stoisk z nadzieją na miłosierny odruch, jałmużnę, jakieś resztki, za które nikt by i tak nie dał grosza. Wiosenne słońce oślepiało na błękitnym niebie, ale w cieniu ciągle było zimno. Matthias trzymał się mocno ręki Eriki. Dziewczyna odpychała napierający na nich tłum i wykorzystywała najmniejszą wolną przestrzeń, żeby się precisnąć.

Na zadaszanej powierzchni przed sklepami i warsztatami, obok stoisk z żywnością kręciły się zwierzęta. W drewnianych naczyniach stały dzbany z oliwą, obok mięso zawinięte w siatki – wołowina, świnina, baranina, koźlecina, jagnięcina – jeszcze dalej suszyły się skóry, wydzielające odrażającą woń. Gdzie indziej stoiska pełne były zimowych warzyw, suszonych owoców i pachnących świec. Zapachy, ostre, przenikliwe, mieszały się ze sobą. W powietrzu czuć było woń dochodzącą z palenisk, piwnic z winami i kuźni. Kolonia na pierwszy rzut oka wydawała się dobrze zaopatrzona, było tu wszystko, czego ludzie potrzebowali.

– Trzymaj się mnie, Matthiasie. Już widzę twoją mamę.

Obok pomieszczeń giełdy zbożowej Erika zauważyła jasne włosy Friedy. Stała, oczekując swojej kolejki. Na twarzy kobiety widać było zmęczenie. Chłopiec złapał matkę szybko za rękę, by nikt go nie odepchnął.

– Mamo, już jesteśmy – oświadczył.

Frieda przywitała ich z radością.

– Jak to dobrze, że was widzę! Jak spędziliście rano?

– Napisałem całą jedną stronę, ja sam! – powiedział Matthias, dumny ze swego osiągnięcia.

– Dobrze mu idzie – pochwaliła go Erika, tego dnia w szczególnie dobrym humorze. – Jak tak dalej pójdzie, nie będzie mnie już potrzebował – dodała, mierzwiąc jego jasną czuprynę.

– Nie! – Chłopak się nadał. – Chcę, żebyś mnie uczyła...

– Nie upieraj się, Matthiasie. Na razie korzystaj z tego, co masz. Dobrze?

– Tak – mruknął pod nosem.

– Gdzie jest Penrod? – spytała Erika.

– Dostał trochę raków i karpi do sprzedania. – Frieda pokazała palcem przeciwległą stronę placu.

– Nie poszedł dzisiaj do warsztatu?

– Nie, nie mają roboty. Zawiadomią, jak im będzie potrzebny.

Erika wiedziała, co to znaczy. Frieda tylko od czasu do czasu przynosiła do domu pieniądze, kiedy udało jej się sprzedać to, co uszyła, a teraz Penrod musiał zarabiać, handlując na rynku tak jak dziś, dopóki nie wróci do garncami. Ta rodzina była w większej potrzebie niż ona i ojciec.

– Później pójde kupić ryby. Jutro są urodziny ojca i chcę mu przygotować niespodziankę. Na pewno nie pamięta...

Erika opuściła wzrok i westchnęła ciężko. Kobieta starała się ją pocieszyć.

– Jestem przekonana, że bardzo się ucieszy.

Erika uśmiechnęła się, przysunęła do Friedy i szepnęła jej do ucha:

– Dziękuję, że mi wtedy pomogłaś.

Sąsiadka pomogła Ericie w bardzo ważnym dla niej momencie. Tylko matka mogła wyjaśnić, co dzieje się z jej ciałem, i Frieda zachowała się jak matka.

– Nie ma za co, Eriko. Gdybyś czegoś potrzebowała, powiedz mi. Dobrze się czujesz?

– Tak. Wszystko w porządku – odparła nieśmiało.

Przez kilka pierwszych dni czuła się dziwnie, ale potem zrozumiała, na czym ten proces polega. I nieustannie zadziwiała ją jej nowe wcielenie. Coraz częściej czuła, że delikatne ciało dziewczynki nieuchronnie się zmienia.

– Byłaś chora? – spytał zaciekawiony Matthias.

– Coś w tym rodzaju.

Frieda i Erika wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i wybuchnęły śmiechem. Matthias znowu się nadąsał.

– Nie wiem, co jest takie śmieszne...

Żebrak w wytartych łachmanach zatrzymał się przy Ericie i wyciągnął do niej brudną rękę, prosząc o jałmużnę. Mimo że wszyscy przyzwyczaili się już do towarzyszącego żebrakom odoru, Matthias, niewinne jeszcze dziecko, zacisnął palcami nos.

Erika też nie zdołała powstrzymać ledwo uchwytnego skrzywienia ust. Poszperała w kieszeniach i wyjęła monetę.

– Dziękuję, panienko, niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Potem przeniósł wzrok na małego Matthiasa i dodał:

– Zbliżają się trudne czasy, uważajcie na siebie. – I zniknął w hałaśliwym tłumie.

Frieda spojrzała na Erikę, nagle wyciszoną. Patrzyła, jak ów człowiek, zgarbiony, słaby, oddalał się, powłócząc nogami. Powiedziała cicho:

– Od dawna pewno nic nie jadł.

Matthias zmarszczył brwi.

– Dlaczego mi to powiedział?

Widząc niepokój w oczach synka i Eriki, Frieda pomyślała, że trzeba ich czymś zająć. Za młodzi byli na takie troski.

– Eriko, oddaję ci moje miejsce.

Matthias i ona odwrócili się w stronę stoiska. Dziewczyna stanęła na palcach, żeby się dobrze przyjrzeć towarom, i zapytała o cenę. Zdumiała się, słysząc odpowiedź.

– Mąka tak podrożała? Ze złota jest?

– Nie jest ze złota. Ale to jedyne zapasy, jakie mamy w Kolonii, moja panno. Nie słyszałaś o napadach? Piraci zaatakowali kilka statków na rzece. W dodatku zbiory były słabe... Jak nie chcesz kupić, to przepuść tych, którzy czekają za tobą – surowym głosem oświadczyła sprzedawczyni. Dostyc miała tych biednych, którzy przychodzą po zboże, a potem nie chcą wydać swoich groszy.

Zajęła się zaraz następnym klientem. Mężczyzna wyciągnął z sakiewki pieniądze i poprosił o dwa worki.

– Dziękuję, panie – powiedziała przekupka zupełnie innym tonem. Obdarzyła kupującego szerokim uśmiechem, odsłaniając przy tym braki w uzębieniu. Młody mężczyzna sprawiał wrażenie zamożnego. Miał na sobie długą tunikę z błyszczącego niebieskiego materiału obszytą białą taśmą z czarnym szwem.

Erika i Frieda przyglądały mu się z zainteresowaniem. Był przystojny, miał szerokie ramiona, kręcone jasne włosy i ziemistą cerę. Bez wysiłku podniósł dwa ciężkie worki z mąką.

– To chyba ktoś ważny – szepnęła Frieda.

Erika zwróciła uwagę na migdałowe, ciemne jak noc oczy. Na moment młodzieniec zatrzymał na niej wzrok i zaraz wtopił się w otaczający tłum. Poczowała ucisk w piersi, zbladła i nawet Frieda z niepokojem zapytała, co jej się stało.

Głos przekupki przywrócił ją do rzeczywistości. Wrzaskliwym głosem zapytała, czy w końcu kupuje coś, czy nie. Erika poprosiła o ćwierć kilo mąki. Po zapłaceniu przeliczała drobniaki, jakie jej zostały w sakiewce.

– Przy tych cenach prawie nic nie zrobię na jutrzejsze święto.

– Nie martw się, Lorenz będzie ci wdzięczny za wszystko – pocieszyła ją Frieda.

Erika uśmiechnęła się i pożegnała z nią i z Matthiasem. Musiała się spieszyć, żeby zrobić resztę zakupów.

Frieda poczekała jeszcze przy stoisku z mąką, póki Erika nie zniknęła jej z oczu. Dopiero potem przeszła do następnego, gdzie sprzedawano suszone owoce.

– Nie kupimy mąki? – Matthias zdziwił się zmianą zamiarów matki.

– Nie, synku. Jest za droga. Kasztany też są dobre, przyjrzyj im się tylko! – zawołała, starając się nie okazać wstrętu; kasztany były pomarszczone, rozmiękle. Na niektórych widać było sinawe plamy.



Erika szła powoli, uważając, żeby nic jej nie wypadło z rąk. Zakupy kosztowały więcej, niż myślała. Oprócz mąki i ryby kupiła też papier i atrament dla ojca. Przepychała się pomiędzy wracającymi już do domów kolończykami i w końcu, żeby umknąć z tłoku, skręciła w mały piaszczysty zaułek.

Patrzyła uważnie pod nogi. Nie chciała się potknąć o kamień, jakich wiele leżało w piachu. Zależało jej jednak na tym, by wrócić jak najszybciej i przygotować wszystko na następny dzień. Dopiero potem zrobi kolację. Mimo że ojciec pewnie nawet nie zauważyłby braku talerza mącznej zupy – gdyby nie ona, cały dzień spędziłby, odciskając litery na papierze – czuła się odpowiedzialna za jego zdrowie.

Przypomniała sobie, jak jeszcze niedawno przez kilka dni leżała chora w łóżku i nie mogła gotować posiłków. Ojciec co wieczór przynosił jej gorący rosół. Tak było przez tydzień. Gdy nadeszła sobota, musiał wcześniej wrócić z warsztatu do domu, bo osłabł i źle się poczuł. Okazało się, że kiedy dbał, aby Erika posilała się ciepłą zupą, sam prawie nic nie jadł. A Ernest wpadł we wściekłość, twierdząc, że nie stać go, aby któryś rzemieślnik opuścił choćby jeden dzień pracy.

Chociaż Ernest był jej dziadkiem, Erika wiedziała o nim tylko to, co powiedział jej ojciec. Nie było tego dużo. Od śmierci jej matki Herr Blum trzymał się od nich z daleka, mimo że Lorenz pracował w jego warsztacie. Przed pożarem stosunki między teściem i zięciem były całkiem poprawne. Erika miała mgliste wspomnienia rodzinnych spotkań, niedzielnych obiadów, ale gdy matka zginęła, skończyły się spotkania.

Podniosła głowę, by sprawdzić, jak daleko ma jeszcze do domu, i zaraz znowu ją opuściła, wpatrzona we własne drobne stopy.

Nagle od uderzenia w ramię omal nie straciła równowagi. Sprawunki wypadły jej z rąk na ziemię. Rozgniewana już zamierzała rzucić jakieś złe słowo w stronę tego, kto się z nią zderzył, lecz powstrzymała się. Przed nią na ziemi leżały dwa worki z mąką. Kiedy podniosła głowę i rozpoznała sprawcę, oblala się rumieńcem: był to ten sam jasnowłosy młodzieniec o szerokich

barkach, którego widziała na rynku. Poczula taki sam jak wtedy skurcz w piersi i nie było jej nieprzyjemnie, kiedy młodzieniec utkwiał wzrok w jej twarzy.

– Przepraszam... – wydusiła z siebie.

Nieznajomy zareagował lekkim ukłonem, po czym ukląkł i pozbierał rzeczy Eriki, nie zwracając uwagi na to, że pobrudzi sobie piękny niebieski kaftan.

– Dziękuję – wyszeptala, kiedy podał jej pakunki.

Opuściła wzrok na sznurowane trzewiki młodego człowieka, zrobione z delikatnej skóry. Pomyślała, że musiały być bardzo drogie. Nie miała odwagi spojrzeć w jego ciemne, głębokie oczy.

On zaś milczał. Uśmiechnął się nieśmiało, przyglądał uważnie, badawczo. Ale nawet nie otworzył ust. Erika pomyślała z niechęcią, że ona przynajmniej przeprosiła – cóż więcej mogła zrobić – za to, że się tak niefortunnie zderzyli. On natomiast nawet na to się nie zdobył. Ale gniew, jaki czuła wcześniej, powoli mijał.

Stali tak obydwój bez słowa, patrząc tylko na siebie. Po wrzawie i hałasach na rynku Erika była nawet zadowolona z tego momentu ciszy i spokoju. Nie miało znaczenia, że zakupy się rozsypały. Czuła się ożywiona, szczęśliwa. Przypomniała sobie, że Frieda ostrzegła ją, iż niebawem obudzi się w niej zainteresowanie chłopcami. I miała rację. Teraz, nie wiedząc dlaczego, Erica nie chciała, żeby ten moment przeminął. Zupełnie jak gdyby niewidzialna siła trzymała ją w pobliżu tego młodzieńca.

Lecz to on pierwszy oderwał od niej wzrok. Pochylił się i podniósł z ziemi worki. Ericie zrobiło się przykro. Nieznajomy wykonał tak elegancki ukłon, że poczuła się jak księżniczka, po czym odszedł bez słowa.

Erika westchnęła, jak obudzona z transu; nie pamiętała, czy w ogóle oddychała w czasie tego dziwnego spotkania. Teraz dopiero, odzyskawszy jasność umysłu, doszła do wniosku, że się wobec tego chłopaka zblazniła. Obwiniła się o to, że go wcześniej nie zauważyła i nie zapobiegła zderzeniu. Może wtedy coś by powiedziała; może zapytałaby go, jak się nazywa, zaczęła rozmowę o byle czym, o pogodzie, o drożyznie na rynku. Ale tak się nie stało. Mogło też być tak, że gdyby się nie zderzyli, on wcale by się nie zatrzymał, żeby porozmawiać. Wieczorem w jakiejś oberży przy piwie pewnie będzie się naśmiewał z kolegami z całego incydentu.

I z obrazem jasnej czupryny nieznajomego w pamięci Erika ruszyła w dalszą drogę do domu.



Wieczorem Lorenz i Erika siedzieli przy stole nad talerzami ugotowanej wcześniej mącznej zupy. Jedli w milczeniu, każde zajęte własnymi myślami.

Erika wciąż przywoływała w pamięci tę chwilę, którą spędziła z młodym nieznajomym. Prawdę mówiąc, nawet nie byli razem, znaleźli się w tym samym miejscu jedynie przez przypadek. Czuła się jednak nieco zagubiona. Emocje, jakie się w niej tego dnia obudziły, w niczym nie przypominały ani jej miłości do ojca, ani matczynej czułości, jaką okazywała Matthiasowi. Wspomnienie oczu, jasnych włosów, zarysu ust nieznajomego wywoływało mrowienie w brzuchu i uśmiech na twarzy. Tak czuła się jako mała dziewczynka w słoneczny letni dzień, gdy nie miała żadnych obowiązków.

Przestała jeść i w milczeniu obserwowała ojca. Zastanawiała się, jak najlepiej zacząć rozmowę.

– Skąd wiadomo, że ktoś jest zakochany? – rzuciła niemal bezwiednie.

Stało się. Zadała to pytanie. Teraz pozostało jej tylko czekać.

Lorenz spojrział na córkę, jakby nie pamiętał, że wciąż siedzą razem przy stole. Nie odzywał się przez dłuższy czas, w gardle mu zaschło, więc odkaslnął kilka razy. Erika miała wątpliwości, czy w ciągu całego dnia ojciec z kimkolwiek oprócz niej zamienił choć jedno słowo. W końcu zapytał:

– Co mówisz? Nie słyszałem.

Szarobrązowe, czyste jak kryształ, badawcze oczy Lorenza wpatrzone były w córkę jak w przedmiot, nad którym właśnie pracuje. Erice wydało się, że ojciec za chwilę chwyci dłuto i szmatkę i zacznie cyzelować jej rysy, jej emocje, jej życie, jej przyszłość z taką samą troską, z jaką cyzelował metal. To był najlepszy moment, aby rozmawiać, pytać o sprawy dla niej najważniejsze, powiedzieć o tym, co dzieje się w jej ciele i umyśle, aby przekonać się, że ojciec zrozumie i otworzy przed nią drzwi do czekającego ją nieznanego świata. Ale to wszystko do niego nie docierało. Widział w niej tylko swoją córeczkę, małą dziewczynkę. Erika rozumiała, że własny ojciec w ogóle jej nie zna.

– Nic. Pytałam tylko, kiedy chcesz oddać przepisane odpusty.

– Już niedługo. Prawie skończyłem. Robię jeszcze na nowo niektóre litery, bo szybko się zużywają. Za parę dni zaniosę wszystko Johannowi.

– I weźmiesz więcej?

– Nie wiem. Oby tak się stało! Byłoby to nowe wyzwanie.

– Tak. Oby tak się stało.

Erika przysunęła miseczkę, ale chęci do jedzenia już nie miała. Ojciec skończył kolację i zabrał się do polerowania nowych liter.

Helmuth wynajmował pokój w mieście. Gdy wieczorem wrócił z pracy, poczuł rozchodzący się wokół zapach świeżo przygotowywanej kolacji. Viveka, właścicielka domu, z każdym dniem chudsza i bardziej pomarszczona, z entuzjazmem przygotowywała swoje znakomite duszone mięso. Gotowanie było jedną z niewielu radości, jakie jej jeszcze pozostały. Mąż jej umarł, kiedy miała dwadzieścia pięć lat, została sama z dwojgiem dzieci, więc żeby nie skończyć na ulicy jako prostytutka, zaczęła wynajmować pokoje z posiłkami. Co prawda nigdy nie otrzymała pozwolenia na wynajem, miała za to w tamtych czasach młode, pięknie zaokrąglone ciało, którym w zamian za milczenie zainteresował się miejski urzędnik. Od tamtej pory minęło prawie dwadzieścia lat i urzędnikowi, już staremu, wystarczyło duszone mięso i szybki stosunek od czasu do czasu.

Któregoś dnia Helmuth zaszedł do jej domu. Był wówczas chudym siedemnastolatkiem, którego Nikolas wyciągnął z jednego z klasztorów, aby pomagał mu w jego nowym warsztacie. Przekonały go umiejętności Helmutha jako kopisty, jego zdyscyplinowanie i posłuch, a także pełne oddanie się pracy. Dla Helmutha zaś, stawiającego pierwsze kroki jako kopista, stała praca i zarobki wielokrotnie przewyższające mizerne wynagrodzenie w klasztorze były zapowiedzią bezpiecznej przyszłości. Za to, co dostawał od Nikolasa, mógłby sobie wynająć dom, ale niedoświadczony jeszcze w sztuce życia, wybrał łatwiejszą drogę. Przypadkiem dowiedział się o domu Viveki, która za skromną sumę oferowała wikt i opierunek. I jeszcze coś więcej.

Do czasu gdy owdowiała, Viveka oprócz męża nie знаła innego mężczyzny. Wkrótce potem odkryła jednak, że choć nie grzeszyła urodą, mężczyźni doceniali jej ciało. Nie tylko urzędnik, który wykorzystywał ją szantażem, ale i inni goście. Większość z nich zatrzymywała się na krótko, a na widok krągłości Viveki chętnie się do niej zalecali i nie zaniebdywali sposobności, by się posuwać jeszcze dalej.

Początkowo tak ją oburzało zachowanie szczególnie natarczywych gości, że niejednemu wymierzyła siarczysty policzek. Zdarzył się jednak przypadek, że któryś z nich, oburzony takim potraktowaniem go przez gospodynię, wyniósł się, nie płacąc rachunku. Viveka z wściekłością w oczach pobiegła z tym do swojego urzędnika. Ale ten tylko wzruszył ramionami. Nie mógł jej pomóc, przecież nielegalnie wynajmowała pokoje – od tego były karczmy i oberże – więc co właściwie chciała zgłosić i komu? Viveka natychmiast zrozumiała, że jeśli chce mieć pieniądze na utrzymanie dzieci, nie może sobie pozwolić na odmawianie swojego ciała.

Ubierała się w kryjące kształty suknie i tuniki, ale to niewiele pomagało; zawsze znalazł się ktoś, kto się do niej umizgiwał. W końcu, zrezygnowana, po kolacji chodziła do pokoju tego lokatora, który żądał jej towarzystwa. Większość szczerze ją wynagradzała, byli jednak tacy, którzy uważali, że jest to usługa wliczona w cenę pokoju. Walczyła o to, by nie zostać zwykłą dziwką, ale zdawała sobie sprawę, że poniosła klęskę. Płakała często i tak długo, aż łzy wysychały, a ona zasypiała ze zmęczenia.

Gdy zjawił się Helmuth, Viveka już od dłuższego czasu oddawała się tym nocnym praktykom. W oczach chłopaka tliło się pożądanie, ale nie odważył się zrobić najmniejszego kroku. Dystans, poprawność, z jaką się do niej odnosił, objawiła się Vivece jak ideał dobrego wychowania. W swoim mrocznym życiu zobaczyła światło: ten chłopak, z surową twarzą, wielkim nosem

nieśmiałym spojrzeniem, sam kwiat młodości, traktował ją z szacunkiem. Jak damę. Czerwienił się, kiedy czasem uśmiechała się do niego, czuł się zażenowany w jej obecności, nigdy nie podnosił głosu i o wszystko grzecznie prosił. Czasem kątem oka zauważała, że przygląda się jej z żarem w oczach. Przy nim czuła się kobietą, a nie dziwką.

Pewnej nocy, spragniona czułości i bliskości mężczyzny, Viveka poszła do pokoju Helmutha. Rozebrała się bez słowa, położyła obok niego w łóżku i wzięwszy jego niezgrabną dłoń w swoje ręce, uczyła go swojego ciała. Uśmiechnęła się, słysząc i czując jego reakcję na sam dotyk. Inni mężczyźni byli na ogół tak pijani, że spędzone z nimi krótkie chwile były prawdziwą męczarnią. Objęła Helmutha, aby go ukoić, i powolnymi pieszczotami sprawiła, że ją posiadał. Chłopak wyznał potem, nie bez zażenowania, że był to jego pierwszy raz, a Viveka postanowiła zadbać, aby nie był ostatni.

Kiedy Helmuth chciał być z nią, w czasie kolacji dotykał ukradkiem jej dłoni. A że chciał być często, Viveka rezerwowała dla tego małomównego i delikatnego chłopaka najpóźniejszą godzinę wieczoru. Uszczknęła coś niecoś z zarobionych pieniędzy i kupiła sobie flakonik z pachnidłem, aby zagłuszyć zapachy innych zbliżeń. Nie była szczęśliwa, lecz dzieci i ten dyskretny związek z Helmuthem dawały jej namiastkę szczęścia.

Mijały lata i chłopak dorastał. Poprawiała się też jego sytuacja finansowa. Viveka obawiała się, że któregoś dnia oświadczy jej, że zamierza się ożenić. I zostawić ją. Ale ten dzień nie nadchodził. Helmuth w dalszym ciągu u niej mieszkał, płacił rachunki w terminie, zawsze szczerze. Była między nimi milcząca gwarancja, niepisany pakt.

Od czasu do czasu rozmawiali, a raczej Vivece udawało się coś z niego wyciągnąć. Traktowała jego pracę w skryptorium jak połączenie sztuki i wysokiego stanowiska. Nie umiała czytać ani pisać, ale kiedyś widziała książkę w pięknej okładce, z rysunkami, które ją zachwyciły. Kiedy Helmuth rano wychodził do warsztatu, wyobrażała sobie, że rozpalone dłonie, którymi pieścił jej ciało w nocy, przeniosą jakąś jej cząstkę do książki. Tak jak przekonana była, że dotykając jej, Helmuth wypełniał ją treścią pięknych dzieł, nad którymi pracował całymi dniami.

Po kilku latach Viveka umieściła córkę na służbie, a syn został terminatorem w kuźni. Skończyły się problemy finansowe. Tylko raz, kiedy miała niewiele ponad trzydzieści lat, pomyślała, że dobrze byłoby spędzić życie z Helmuthem. Była starsza od niego, ale w głębi duszy wierzyła, że jej marzenie się spełni.

Któregoś wieczoru uznała, że nadszedł moment, żeby wyjawic swoje plany. Helmuth wrócił z warsztatu przepelniony radością: Nikolas Fischer znacznie podniósł mu zarobki. Nie posiadał się ze szczęścia, usta mu się nie zamykały, podszczypywał i obsypywał pocałunkami Vivekę, a ona też się radowała, widząc, jak bardzo jest zadowolony. Ta noc należała do nich. Kiedy on, spełniony i zmęczony, chrapał obok, Viveka uznała, że wspólne życie właśnie się zaczęło.

Gdy rano Helmuth poszedł do skryptorium, Viveka zajęła się jego ubraniami. Przeszukała stare i zacerowała je, najlepiej jak mogła. Potem poszła na rynek kupić najlepsze produkty. Tego wieczoru musiała przygotować kolację godną wigilii Bożego Narodzenia. Wysprzątała i udekorowała cały dom.

Chciała zadziwić go, uczcić awans i wreszcie zdobyć na zawsze. Nigdy więcej nie będzie musiała przyjmować lokatorów. Zostaną tylko ona i Helmuth.

Ale tego wieczoru nie wrócił. Gdy zjawił się nad ranem, ledwo trzymał się na nogach. Nie widział ładnie ubranej Viveki ani kolacji, już zimnej. Nie widział, jak pięknie udekorowany był skromny dom. Zataczając się, przemknął na górę i nawet się nie zatrzymał. Viveka płakała po cichu, przekonywała się, że nic w tym złego, że się upił, że poszedł uczcić sukces z kimś ze

skryptorium, a ponieważ nie miał wprawy w picie, nie potrafił się ograniczyć.

Helmuth nie przeprosił za swoje zachowanie ani niczego nie wyjaśniał. Nigdy się nie dowiedział, że Viveka czekała na niego całą noc, i wzruszył ramionami, kiedy powiedziała mu, że będzie znowu wynajmować pokoje. Ten gest wyjaśnił jej wszystko: dla Helmutha była tylko gospodynią. Tak było i tak zawsze będzie.



Pewnego marcowego wieczoru, wiele lat później, Viveka nie była w nastroju do świętowania. Kończyła czterdzieści cztery lata, ale ani dzieci o tym nie pamiętały, ani ona nikomu nie powiedziała. Cóż miała świętować – to, że ciało od dawna już nie było takie jędrne, że straciła zęby, że oczy, kiedyś wielkie, ginęły pomiędzy zmarszczkami? Jedyne, na czym jej teraz zależało, to zaoszczędzenie pieniędzy na spokojną, samotną starość.

Helmuth polubił wieczory w oberżach i coraz rzadziej spędzali noce razem. Wbrew oczekiwaniom przyniosło jej to ulgę. Dlatego zdziwiła się, że w czasie kolacji ukradkiem dotknął jej ręki. Od dawna nie uczynił tego gestu. Może przypadkiem, pomyślała, przypomniał sobie o jej urodzinach, ale obojętna twarz mężczyzny pozbawiła ją wszelkich wątpliwości: po prostu się nie upił. Może nie zostało mu dużo pieniędzy, a może nie chciało mu się szukać prostytutki.

Tej nocy Viveka bez entuzjazmu zaspokajała jego seksualne potrzeby. Chciała mieć to jak najszybciej za sobą i zajęła myśli liczeniem, ile pieniędzy jej jeszcze brakuje do rozpoczęcia życia w samotności, ale za to życia wolnego.



Następnego ranka Helmuth wstał w złym humorze. Chciał w domu znaleźć to, czego zwykle szukał w innych miejscach, lecz efektem był tylko niepokój i napięcie. Viveka była obojętna, bierna. Na dodatek coraz częściej wydawało mu się, że nikt nie docenia jego wysiłków; jego, Helmutha, który zawsze tak skrupulatnie spełniał swoje obowiązki. Nie potrafił uporządkować myśli. Musiał wyjść ze skryptorium i w najbliższej oberży pociągnąć parę łyków mocnego alkoholu. Na pewno poczuje się lepiej, pomyślał.

Korzystając z jego nieobecności, jeden z najmłodszych terminatorów, niedawno przyjęty do pracy, odezwał się do siedzącego obok starego kopisty.

– Przepraszam, że was pytam, Corneliusie, ale... tyle się mówi o naszym mistrzu... Herr Fischer. chyba nie jest z Kolonii, prawda?

Cornelius odparł cicho:

– Nie wierz we wszystko, co mówią w mieście... dużo jest takich, którzy chlapią językami z zazdrości. Nikolas jest najlepszym kopistą w cesarstwie i pracować dla niego to przywilej.

Terminator przytaknął, ale wyglądał na zawiedzionego. Kolega, chcąc rozbudzić jego ciekawość, powiedział tajemniczym tonem:

– Ale to prawda, że nie wiadomo, ile ma dzieci.

Chłopak ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

– Ma dzieci? No, no... nie wiedziałem!

Kopista pokiwał z przekonaniem głową. Jeszcze jeden, siedzący niedaleko, też się raptem zainteresował. Nie mógł nie wtrącić swoich trzech groszy.

– To jasne, że musi je mieć. Mówią, że nie da się policzyć, z iloma był kobietami. Dlaczego niby ciągle go nie ma w warsztacie?

– Myślałem, że ma dużo obowiązków. bo sprzedaje te książki, które tu kopiujemy. – Młody terminator był coraz bardziej zaintrygowany.

Cornelius zmarszczył czoło.

– Naturalnie, że i dlatego często go nie ma! Ale jedno nie wyklucza drugiego! Nie zauważyłeś, jak się nosi, jaki z niego galant? Ej, chłopcze! Nawet nie wiesz, ile kobiet czeka w pogotowiu. Taki mężczyzna... z pieniędzmi... z koneksjami... Może się nawet między sobą licytują!

Chłopaka niemal przytknęło z wrażenia.

– Słyszałem, że ma mnóstwo kochanek w całej Nadrenii!

– No tak, tak... – Stary kopista podniósł rękę, jakby chciał powstrzymać uwagi młodych. – Ja bym aż tak nie powiedział. Ale z drugiej strony trudno się dziwić. Nie wiadomo, czy ma żonę, a to wystarczy, żeby się ludziom języki rozpuściły. Faktycznie, jego życie osłania tajemnica...

Cornelius się zamyślił. Wszyscy czekali w nadziei, że coś jeszcze usłyszą.

– Nie znam nikogo, kto by widział jego pałac w środku, ale słyszałem, że dużo w nim złota, srebra i drogich kamieni, że zasłony są z najlepszego jedwabiu, a meble z drewna tak twardego, że wydają się jak ze skały wykute. Podobno w wielkiej spiżarni są tak olbrzymie zapasy najlepszych produktów, że można by latami nie wychodzić z pałacu i codziennie urządzać ucztę. Jest tam też, jak mówią, dużo służących o bujnych kształtach, w sypialniach wielkie łóżka, poduszki z czaplich piór, pokryte bogatymi, kolorowymi materiałami, a na podłogach puszyste dywany. Na dziedzińcu oprócz koni trzymają zachwycające egzotyczne zwierzęta. Muzycy nieustannie grają piękne melodie, a wokół roznosi się zapach perfum i pachnidła.

Wszyscy kopiści przerwali pracę i przysłuchiwali się Corneliusowi, któremu takie zainteresowanie wyraźnie sprawiało przyjemność.

– Rozumiecie chyba – dodał kopista z Fuldy – że całe to bogactwo nie może się brać tylko z książek i tego skryptorium? Coś się za tym kryje, interesy, o których nigdy się nie dowiemy, a które, całkiem poważnie mi o tym mówiono, mają związek z czarami i kobietami.

Nagle usłyszeli dźwięk zamykanych drzwi. Wszedł Helmuth. Kopiści rozbiegli się, wrócili na swoje miejsca i pochylili głowy nad stronicami. Młody chłopak, ciągle pod wrażeniem opisu pałacu i wyobrażając sobie ponętne kobiety u stóp Nikolasa, ze zdenerwowania zaczerwienił się aż po linię włosów. Helmuth usłyszał tylko ostatnie zdanie, o interesach, ale nie potrafił zidentyfikować głosu.

– No, no, no... widzę, że kiedy mnie nie ma, wydaje wam się, że to miejski rynek! – zawołał, tłumiąc wściekłość. – To dyshonor dla mnie ciągle wam przypominać, że jesteście tu po to, żeby pracować, a nie marnować czas na paplanie o niczym!

Rąbnął w stół z taką siłą, że spadło z niego kilka piór. Wiedział, że gdyby zapytał, kto mówił o tych ukrytych interesach, usłyszałby głuchą ciszę, więc tylko ciężkim krokiem przechadzał się pomiędzy stołami i pilnie obserwował każdego kopistę. Zwrócił uwagę na młodego terminatora, który, czując na sobie wzrok Helmutha, opuścił głowę.

Helmuth pochylił się nad nim tak nisko, że jego głowa znalazła się tuż przy twarzy chłopaka. Czuć było słodko-kwaśny oddech. Palcem jak zagiętym szponem pokazał jedną z liter w przepisywanym tekście.

– Tu jest błąd – powiedział.

Terminator przełknął ślinę. Nie widział żadnego błędu, ale nie ośmielił się zaprzeczyć. Palec Helmutha powędrował dalej.

– A tu jeszcze jeden. I tutaj.

Wytykał nieistniejące błędy na prawie skończonej stronie. Chłopak z trudem powstrzymywał łzy.

Helmuth wziął do ręki pióro, umoczył je w kałamarzu i strząsnął krople atramentu na papier.

– Musisz to zrobić jeszcze raz. Widzisz, ile plam.

Młody terminator płonął z wściekłości. Pół dnia pracy poszło na marne. Teraz będzie musiał zostać dłużej i pracować do późnej nocy. I następnego ranka zaczynać nowy zwykły dzień. Nie wiedział, czy ma się rozplakać, czy zwymyślać Helmutha i żądać sprawiedliwego traktowania. Ale tylko zagryzł wargi. Łzy powoli spłynęły po policzkach. Nadzorca, z triumfalnym uśmiechem na końskiej twarzy, przeszedł do następnych stanowisk. Gdy był dostatecznie daleko, stary Cornelius powiedział uspokajająco:

– Nie martw się. Nikolas jest sprawiedliwy i nie wyrzuci cię, jeśli będziesz dobrze pracował. Pomimo wszystko to jest najlepsze miejsce dla kopisty. Uwierz mi.

Terminator wytarł oczy rękawem. Westchnął głęboko i – już spokojniejszy – zabrał się do przepisywania strony na nowo.

W nocy padał silny deszcz. Rano słońce wstało zakryte chmurami, lecz teraz było już wysoko na niebie, a chmury się rozpierzchły. Gdzieś w cieniu jeszcze leżał śnieg i lód. Na takie słońce najprzyjemniej było spoglądać przez okno, z ciepłego, przytulnego mieszkania. Była to ostatnia niedziela marca 1436 roku.

Yago wszedł do księgarni i z przyjemnością wciągnął powietrze. Johann zobaczył go z głębi pomieszczenia i pocierając czubek nosa, natychmiast przyszedł się przywitać.

– Znowu zasnąłeś nad książką, stary przyjacielu? – zawołał przybysz, wyciągając dłoń na powitanie. Johann uścisnął ją serdecznie.

– Muszę dokładnie sprawdzać moje książki, żeby klienci byli zadowoleni.

– Szukasz kleksów czy porwanych stronic?

– Oddzielam dobre książki od niedobrych – odparł Johann.

– Ach! Więc sprzedajesz tylko najlepsze?

Johann uniósł brwi. Jego twarz przybrała zabawny wyraz.

– Nic takiego nie powiedziałem! Tylko umieszczam je osobno.

– A jest popyt na niedobre książki? – spytał Yago z lekką ironią.

– Nawet sobie nie wyobrażasz! Już od dawna są najczęściej poszukiwane.

– Nie wiedziałem, że męki i cierpienia mają tylu zwolenników.

Johann się roześmiał.

– Dziwisz się? Cała nasza religia się na tym opiera, przyjrzyj się tylko jej przedstawicielom, jak oni cierpią... – powiedział drwiąco. – Ale nie, to nie cierpienie przyciąga czytelnika do pewnych książek, raczej bywa, że ktoś komuś źle doradził, a komuś innemu nie chciało się poszukać. Ale po to tu jestem, żeby służyć radą tym, którzy są ciekawi i spragnieni wiedzy. Świat książek jest burzliwym morzem, gdzie łatwo można stracić kierunek, jeśli brak nam punktu odniesienia, przewodnika.

– Ach, przyjacielu! – Oczy Yagona zajaśniały. – Niechcący dotknąłeś mojego świata. Czegóż to ja nie wiem o podróżach, mój dobry Johannie! Choć zwykle staram się dotrzeć do celu bez szwanku i szybko wrócić, gdyż od tego zależy mój zarobek, muszę przyznać, że najciekawsze podróże to te, kiedy nieoczekiwanie zmuszony do zmiany trasy, docierałem do nieznanego mi portu. Odkrywanie nowych krajów, poznawanie nowych ludzi to przyjemność, która jest w zasięgu niewielu...

– Masz rację, mało kto może podróżować – przyznał Johann.

Yago pokręcił głową.

– Nie, nie. Mało jest takich, którzy mają oczy i serce otwarte na to, co życie może nam zaoferować na każdym kroku.

– Carpe diem quam minimum credula postero, jak powiedział Horacy – zacytował Johann.

– Chwytaj dzień, jak najmniej ufając przyszłości. Widzę, że mnie rozumiesz.

– Oczywiście. Ja też nieustannie podróżuję, tylko że docieram do plaż z papieru i atramentu.

– Oszczędzone ci są burze i bóle głowy.

– Mylisz się. – Johann znowu potarł czubek nosa. – Przecież mówiłem ci o niedobrych książkach.

Trudno sobie wyobrazić większy ból głowy!

Yago klepał Johanna po ramieniu i śmiał się serdecznie. Obaj zauważyli, że drzwi do sklepu się otwierają i staje w nich Lorenz. Zmrużył oczy, żeby przyzwyczaić je do przytłumionego światła.

– Johann? – spytał niepewnym głosem. Zakłopotał się, słysząc śmiech Yagona. Księgarz podszedł szybko, by się przywitać.

– Chodź, Lorenz, chodź! Witaj!

Yago uśmiechnął się i lekko skłonił głowę na powitanie. Patrząc na pakunek w dłoni Lorenza, Johann zawołał:

– Ciekawe, czemu zawdzięczam twoją wizytę. Ale, proszę, nie stój tak, chodź dotrzymać nam towarzystwa. To jest Yago Kaufmann, mój dobry przyjaciel. Przyszedłeś we właściwym momencie, bo właśnie miałem go poczęstować doskonałym sznappsem. Niedawno udało mi się zdobyć.

– Ale dzisiaj jest niedziela, dzień Pański i... – zaczął Lorenz.

Johann chwycił go za ramię i poprowadził do środka. I dokończył:

– ...i Pan nakazał, aby w tym dniu Go czcić, więc nic złego nie robimy, spełniając Jego wolę, nie sądzisz?

Yago spojrział na Johanna z szelmowskim uśmiechem.

– Jeszcze trzeba wiedzieć, że to nalewka na żurawinach, twoja ulubiona. I Pana naszego też...

Księgarz podszedł do stojącej przy ścianie szafki, gdzie trzymał napoje i kieliszki. Napełniając je, powiedział przez ramię:

– Wątpię, aby Pan w swej nieskończonej mądrości na darmo dał nam wiedzę, jak robić taki wspaniały napój, i czułe podniebienie, by móc go smakować. Wnoszę z tego zatem, że nie robimy nic innego, jak tylko postępujemy według Jego planów.

– A to nicpoń z naszego księgarza! – zawołał Yago. – Któregoś dnia zarobisz sobie na piekło. Wystarczy, że przed arcybiskupem wygłosisz podobną herezję.

Johann podał kieliszki Lorenzowi i Yagonowi.

– Możesz być pewny – powiedział – że nasz drogi książę Kościoła podpisałby się pod moimi słowami, biorąc pod uwagę, że, jak mówią, sam ciągle dopuszcza się takich czynów. Na zdrowie!

Wypili jednym haustem, oprócz Lorenza, który musiał na dwa łyki podzielić zawartość kieliszka.

– Lorenz – odezwał się Yago – miałem okazję oglądać w Kolonii kilka twoich świetnych prac... a nasz wspólny przyjaciel zapewnia mnie, że cechy twego intelektu przewyższają zręczność dłoni.

Lorenz podrapał się w szyję i uśmiechnął nieśmiało.

– Nie wiem, czy zasługuję na taką ocenę, Herr Kaufmann.

– Mów mi Yago, proszę. Jestem tylko skromnym kupcem, ale mam nadzieję, że kiedyś zasłużę sobie, byś włączył mnie do kręgu swoich przyjaciół.

Złotnik nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Johann przyszedł mu z pomocą.

– Lorenz, czy to, co trzymasz pod pachą, ma jakiś związek z twoją wizytą?

Złotnik odstawił szybko kieliszek i położył zawiniątko na stole.

– Tak, przyszedłem oddać twoje zamówienie. Jest gotowe.

Nie zastanawiając się, zaczął rozwijać pakunek. Johann dał mu do zrozumienia, że Yago wie o projekcie i zasługuje na zaufanie. Po chwili oczom obecnych ukazał się stos kartek ze skopiowanym tekstem. Johann i Yago pochylili się z ciekawością, a księgarz wziął do ręki kilka egzemplarzy, by je porównać.

– Są identyczne... – powiedział cicho. Uśmiechnął się do Lorenza. – Gratuluję ci. To wspaniała

robota. Te odpusty wyglądają, jak gdyby wykonał je doskonały kopista. I w tak krótkim czasie! Zrobiłeś pierwszy krok, ale jak wielki!

Lorenz zarumienił się od tych pochwał. Yago obserwował ich w milczeniu, bawiąc się kieliszkiem. Johann rzeczywiście opowiedział mu o ambitnych planach Lorenza i teraz czuł, że oto stoi przed nim ktoś o wyjątkowej twórczej wrażliwości.

– Ja byłem tylko pośrednikiem – powiedział Johann, zawijając pakunek. – Ale może dobrze by było, gdybyś sam zaniósł odpusty ojcu Wahrheitowi? Jestem pewny, że z przyjemnością cię pozna.

Widać było, że księgarza i złotnika łączą silne więzy przyjaźni, że czują dla swoich poczyną olbrzymi podziw. Równie wyraźnie było widać, że otwiera się przed nimi świat nowych możliwości: jeśli uda się reprodukcja książki z taką łatwością, trafią one do wszystkich domów.

Lorenz odmówił kolejnego kieliszka. Wysłuchawszy wskazówek, jak znaleźć parafię Świętego Michała Archanioła, pożegnał się i wyszedł z zadowoloną miną. Johann się zamyślił. Yago zamierzał zrobić jakąś uwagę, gdy księgarz nagle powiedział:

– Biedny Lorenz. Należy mu się trochę radości...

– Skąd te słowa współczucia, przyjacielu? – zdziwił się Yago.

– Nie ma łatwego życia.

I opowiedział o tym, jak młodziutki terminator u złotnika chciał zostać kopistą, a także o skutkach pożaru w 1430 roku.

O tym, że Lorenz stracił żonę, a Erika matkę, że Ernest obwinił o wypadek Lorenza, tak jak i on sam siebie winił.

O tym, że po latach bezsilnego obserwowania, jak przyjaciel jego zamienia się w bezcielesną zjawę, zobaczył go pewnego popołudnia w drzwiach swojej księgarni.

– Ucieszyłem się, widząc go tutaj, kupującego papier, znowu zainteresowanego słowami, drukiem. A tym bardziej cieszę się, że myśli nad systemem pisma „sztucznego” czy mechanicznego, nie wiem, jak to nazwać. Jeśli uda mu się znaleźć jakieś rozwiązanie, pomyśl tylko, co to oznacza dla książek.

Yago zastanowił się chwilę.

– Kopie będzie się robić szybciej i taniej niż u kopistów.

– Właśnie. To zaś ułatwi rozpowszechnianie książek, a w efekcie...

– ...wiedzy – dokończył Yago.

Johann się uśmiechnął.

– Musisz dbać o niego – dodał Yago. – Twój stosunek do ludzi sprawia, że znajdujesz w nich złoto, że widzisz wrażliwość, nawet skrytą pod warstwą mierności, a w tym wypadku nieszczęścia. Nie zostawimy Lorenza. Możesz liczyć na moją pomoc.

Księgarz, wyraźnie wzruszony, lekko poklepał Yagona po ramieniu.

– W świecie wstrząsanym zmianami potrzeba ludzi takich jak ty, Yago, i jak Lorenz, ludzi śmiałych, uczciwych... Nie tych przeklętych spekulantów.

– Tak, słyszałem o tym. Ja na szczęście mam zapewnioną świeżą żywność, ale większość mieszkańców.

Gwałtowna reakcja Johanna zdumiała Yagona.

– Całe rodziny karmią się zepsutymi, zeschniętymi warzywami! Do diabła! Co za okrucieństwo, dają wyśrubowane ceny na mąkę, żeby pozbyć się zgniłych kasztanów! I co zyskują? Trochę więcej pieniędzy? A co w zamian za to? Ile ludzi się pochoruje!

Yago rozumiał rozterki księgarza. Milczał.

– I oczywiście pośród tych najbiedniejszych najbardziej cierpią najsłabsi, starcy i dzieci. Myślisz

może, że władze coś robią? Nie! Dostają swoją działkę! To jest oburzające...

Kupiec westchnął ciężko. Chciałby uspokoić przyjaciela, ale nie potrafił znaleźć właściwych słów. Doskonale wiedział, jak funkcjonuje rynek, jak pozbawieni skrupułów spekulanci wykorzystują głód zwykłych ludzi. Była to potworna niesprawiedliwość, kiedy kierowana niskimi pobudkami niewielka grupa krzywdziła tak wiele osób. Nie wiedział, w jaki sposób, ale był przekonany, że któregoś dnia wszystko to się zmieni.

– Możemy tylko walczyć – odezwał się.

Johann, już spokojny, wyglądał przez okno.

– Wierzę w to – powiedział – wierzę, że możemy czegoś dokonać, nawet jeśli sprowadzi się to jedynie do walki. – I zwracając się ku Yagonowi, dodał: – Przyszłość musi być lepsza.

Po wyjściu z księgarni Lorenz zobaczył, że ulice wypełniły się hałaśliwym tłumem. Można było przypuszczać, że dobra pogoda skończyła się z nadejściem nocnego deszczu, lecz była to tylko krótka przerwa, bo już od południa słońce na nowo rozgrzało powietrze i ludzkie serca. Trwał okres ciepłego przedwiośnia i niemal wszyscy mieszkańcy wyszli z domów, by jak najradośniej spędzić wolny od pracy dzień. Czekwały ich jeszcze dni deszczowe, dni, kiedy słońce będzie usiłowało pozbyć się ołowianoszarej pokrywy chmur, a przebić się zdoła na chwilę tylko o świcie, ale najgorsza zima była już za nimi. Jak co roku, cieszyli się, że natura zamknęła kolejny cykl, a oni przetrwali. A nie było łatwo. Wielu zginęło po drodze.

Lorenz dał się unieść nastrojowi i z uśmiechem przypomniał sobie poprzedni dzień: dzień jego urodzin. Skończył trzydzieści pięć lat. Wyszedł z warsztatu później, gdyż Ernest znowu nakazał mu odrobić rzekome opóźnienia, był zmęczony i w ogóle nie myślał o swoich urodzinach. Potykając się o nierówny bruk, włókł się ulicami, niemal już ciemnymi o tej porze. Erika ucieszyła się na jego widok. Siedziała w drzwiach, na podwyższonym progu, który miał chronić przed wodą na wypadek gwałtownych deszczy. Obok niej w zapadającym zmroku Matthias pisał patykiem na piasku całe abecadło.

Zobaczywszy Lorenza, chłopiec przywitał się grzecznie, spojrzał na Erikę i na jej lekkie skinienie głową popędził do domu. „Dobry wieczór, ojcze”, powiedziała i pierwsza weszła do środka. A tam na udekorowanym stole stały pyszne potrawy. „Wszystkiego najlepszego”, dodała, jakby wcześniejsze powitanie było niepotrzebnym wstępem. Lorenz się zdumiał. Nie mógł znaleźć słów i na moment wróciła myśl sprzed kilku dni: chyba za mało interesował się córką. Świat wokół siebie widział w czarnych kolorach, głowę zaprzętały mu problemy z teściem w pracy, przygnębiała go obojętność kolegów, cena mąki, monotonia następujących po sobie dni... A teraz nagle zobaczył przed sobą masę kolorowych dań – biały chleb, suszoną wołowinę i raki. Sagan z gęstą dymiącą zupą, w której pływała ciecierzycą, i obok sagana misa z pieczonymi przepiórkami. Lorenz nie mógł pojąć, jakim sposobem – skoro dawał jej tak niewiele pieniędzy na tydzień – Erika umiała to wszystko zdobyć. „Mam swoje sposoby. Oszczędzałam przez kilka miesięcy”, powiedziała z rumieńcem zadowolenia na twarzy, kiedy ją zapytał.

Tej słonecznej niedzieli Lorenz, idąc zatłoczonymi ulicami, czuł w sobie jeszcze tę samą radość i ukontentowanie, jakimi przepełnił go spędzony z córką wieczór. Radość i ukontentowanie spotęgowane słowami zachęty ze strony Johanna i Yagona. Nagle zdał sobie sprawę, że ma naprawdę dużo szczęścia. Dotąd, kiedy zastanawiał się nad sobą, utwierdzał się w przekonaniu, że od czasu śmierci Ebby fortuna się od niego odwróciła. Ale przecież miał śliczną córkę, która go kochała, miał pracę i pasję, która wypełniała krótkie chwile odpoczynku i popychała do jeszcze większego wysiłku. Nie brakowało im na co dzień chleba, a to – w czasach, w jakich przyszło im żyć – oznaczało bardzo dużo.

Lorenz niośł związaną sznurkiem paczuszkę. Przechodząc przez Altmarkt, jak zawsze pełen ludzi, zobaczył coś, co zwróciło jego uwagę. Akurat tego dnia, w niedzielę, pojawiło się tam mnóstwo oszustów, sprzedawców magicznych napojów, mikstur rzekomo leczących wszystkie choroby. Przycisnął paczkę do piersi i przyspieszył kroku. Niejeden z tych kanciarzy pociągał go za

rękaw, usiłując sprzedać mu jakiś napój i grożąc, że jeśli tego nie zrobi, spotka go coś strasznego. Idąc szybko dalej, kątem oka zobaczył Friedę. Pomagała kupić miksturę znajomej staruszce, która, z zakrzywionym kijem w dłoni, ledwo trzymała się na nogach. Frieda go nie zauważyła; ale on zauważył na jej twarzy głęboki niepokój, tak jakby nurtowała ją jakaś myśl. Co też ją gnębi? – przemknęło mu przez głowę.

Lorenz poszedł dalej pogrążony we własnych myślach. Nagle odkrył, że i jemu towarzyszy niepokój, lecz początkowo nie potrafił określić jego źródła. Po chwili już wiedział, co go spowodowało. Uświadomił sobie, że w jakimś sensie postępował wbrew sobie: od dłuższego czasu był z dala od Kościoła, od wszystkiego, co reprezentowało Boga i duchowość. Od śmierci Ebby miał wrażenie, że porządek rzeczy został zachwiany. Świat wydawał się tak okrutny, tak niesprawiedliwy, że czasem złotnik zapytywał sam siebie, czy warto było cokolwiek robić dla siebie i dla innych. Oddalił się od Kościoła i Boga, bo nie uchronili go przed tragedią, a on nie znalazł w wierze pociechy. A teraz niósł owoc swojej pracy do świątyni wspólnoty chrześcijańskiej, która go tak zawiodła.

Mimo że urodził się w Kolonii, Lorenz rzadko kiedy chodził ulicami w tej części miasta, oddalonej od centrum i od znanej mu doskonale dzielnicy rzemieślników. W tej okolicy wąskie uliczki były bardziej zaniedbane, a wystające okapy domów przesłaniały niebo. Same domy były zbiorowiskiem nieregularnych, ciemnych ścian, niemal w całości pokrytych olbrzymimi plamami wilgoci. Droga, którą szedł Lorenz, otwierała się na małe plac; wydawało się, że to jedyne miejsce w kłębowisku wąskich, podobnych do tuneli ulic, gdzie można swobodnie odetchnąć. W tej ciasnej i brudnej przestrzeni, z dala od wrzaskliwego głównego rynku mieszkańcy wychodzili ze swoich domów, przystawali, rozmawiali z sąsiadami w atmosferze bardziej przypominającej wiejskie skupisko, gdzie wszyscy się znają, gdzie czują się pewnie. Nawet kościół wznosił się prosty, skromny, nie zdobity go ornamenty, tak typowe dla innych świątyń. Lorenzowi zawsze wydawało się, że za przepychem i wystawnością niektórych Domów Bożych starano się coś ukryć. Kościół to przecież dom cieśli, myślał Lorenz, a cieśla w Kolonii miał praktycznie taki sam dom jak jego sąsiad.

Gdy znalazł się w głównej nawie, zobaczył, że kamienne ściany nie są niczym udekorowane. W głębi wisiał prosty krzyż bez figury Chrystusa, a pod nim stał kamienny blok, służący za ołtarz. Nie był przykryty obrusem ani przystrojony srebrnymi ornamentami, jakie robiono w jego warsztacie. Kościół katolicki należał do najlepszych klientów Ernesta, ale najwyraźniej wyroby Herr Bluma nie trafiały do tej parafii.

W drewnianych ławkach siedziało kilku wiernych. Brudne tuniki z grubego sukna ledwo przykrywały gołe nogi, a na stopach widać było obszyte wełną lub zniszczoną skórą sandały. Oczy pały żarliwą wiarą, że modlitwy zostaną wysłuchane; żyły i ścięgnię na splecionych dłoniach znaczyły lata ciężkiej pracy. Lorenz bezwiednie umoczył wskazujący i serdeczny palec w chrzcielnicę i zrobił znak krzyża. Mimo wszystko nosił w sobie wiarę ukształtowaną w dzieciństwie, w seminarium, wpajaną, kiedy popełniał jakieś przewinienie. Nawet gdyby bardzo chciał, nie mógłby się jej wyrzec.

Boczną nawą Lorenz przeszedł do małych drewnianych drzwi i ostrożnie zastukał. Kiedy przedstawił się i powołał na Johanna Buchmanna, ojciec Martin Wahrheit serdecznie się ucieszył. Wyciągnął rękę na powitanie i zaprosił Lorenza do środka. Pokój był duży i niemal zupełnie pusty. Przez środek posadzki z wielkich kamieni przebiegała wytarta linia, ślad, że tędy przechodzono przez pokój tysiące razy. Kilka krzeseł, ciemny sekretarzyk pod ścianą, a w głębi niewielki kufer stanowiły całe umeblowanie. Prostą krzyż, błyszczący kielich mszalny – Lorenz głowę by dał, że

jest z alpaki – i lustro dopełniały dekoracji.

– Drogi przyjacielu, proszę, wejdźcie – powiedział ojciec Martin ciepłym głosem.

– Dzień dobry, ojcze.

– Wspaniały, synu mój. Widzę, że macie coś dla mnie.

– Przepraszam, że tak długo to trwało, ale potrzebowałem więcej czasu, żeby skończyć odpusty – tłumaczył się złotnik.

– Nieważne. To, że mamy dodatkowe dochody, zawdzięczamy waszemu wysiłkowi i pomysłowości, więc nie musicie przeproszać.

Lorenz położył pakunek na sekretarzyku i rozwiązał sznurek. Delikatnie odwinął zielony materiał, w który zawinięte były odpusty. Podniósł jeden i podał ojcu Martinowi. Ksiądz obejrzał kartkę w świetle słońca, wpadającego przez małe okno za jego plecami. Wyciągnął ręce, żeby się lepiej przyjrzeć, po czym odłożył na sekretarzyk. Kątem oka zauważył, że Lorenz stara się ukryć wyraz zniechęcenia na twarzy.

– Zdaje się, że nie jesteście bardzo zadowoleni z waszej pracy, Herr Block.

– Ależ nie. Jestem zadowolony – odparł Lorenz z lekkim uśmiechem. Ale unikał patrzenia księdzu w oczy.

Martin Wahrheit rzucił krótkie przenikliwe spojrzenie.

– Może zatem niezupełnie zgadzacie się z dyspensami w odpustach?

Lorenz stracił pewność siebie. Ale nie zamierzał kłamać.

– Otóż... ja...

– Odważnie, synu. – Głos ojca Wahrheita brzmiał uspokajająco. – Wielu ma o nich takie samo zdanie jak wy. Ja sam uważam, że powinno się ich zakazać.

Wsparty takim argumentem, Lorenz nie wahał się już.

– Nie sądzicie, że się nad tym nie zastanawiałem. Uważam, że nie można tolerować sprzedaży odpustów jak paszy dla zwierząt. Jak to jest, że miarą wiary jest zwykły pieniądz, że bogaci, płacąc więcej, mają większą szansę pójścia do nieba...

Nie dokończył zdania, zarumieniony z wrażenia; nieco pożałował swych słów. Ksiądz zachęcił go do wyrażenia swojej opinii, a on zdał sobie teraz sprawę, że powiedział za dużo. Nie wiedział, jakie mogą być konsekwencje takiego braku rozwagi.

– Cóż mogę wam powiedzieć? Macie rację. Odpusty papieskie są zniewagą dla nauk naszego Pana. Nie można kupować ani sprzedawać wiary czy też, jak mówicie, Herr Block, wybaczenia. Nikt nie ma prawa czynić z naszej pracy przedmiotu transakcji handlowej. Nie wolno dopuszczać, aby tego rodzaju występek stał się oficjalną praktyką Kościoła.

Lorenz słuchał z uwagą. Słowa ojca Wahrheita były echem jego własnych myśli.

– Ale nawet jeśli zgodzimy się z tym, co powiedziałem, przyznacie, Herr Block, że świat, w którym żyjemy, jest pełen dysproporcji, nierówności, niepodporządkowany żadnej logice, że nie ma związku pomiędzy zachowaniem człowieka i jego dochodami, między jego kodeksem etycznym i kieszenią. W naszej parafii też mamy kilku zamożnych mieszkańców. Niewielu. Większość parafian to ludzie dość ubodzy, ale odwiedzają nas także ci bogatsi. I właśnie oni, ani lepsi, ani gorsi od pozostałych, będą kupować te odpusty, które tak starannie dla nas przygotowaliście.

– Rodzaj sprawiedliwego podziału zysków – powiedział Lorenz.

– Tak właśnie na to patrzę – przyznał ojciec Martin. – Poza tym... nie wiem, czy zauważyliście, ale budynek kościoła wymaga naprawy. – Ksiądz podszedł do jednej z kamiennych ścian zakrystii. Pokryta była wielką plamą wilgoci, obok zaś przez sporą szparę między kamieniami prześwitywało słońce. – Nie wiadomo kiedy może się przytrafić nieszczęście. Ten kościół stoi już prawie trzysta

lat, ale nie sędę, żeby przeżywał gorsze czasy niż obecnie. W ciągu dwudziestu lat, odkąd tu jestem, nie mogliśmy niczego naprawić. A zimy są ciężkie. Woda w dziurach zamarza i je rozsada. To naprawdę przerażające. W zeszłym roku ta szpara była tylko cienką nieregularną linią łączącą kamień.

Leciutki podmuch powietrza poruszył jego włosy. Drzwi, którymi Lorenz wszedł do zakrystii, otworzyły się i stanął w nich młody diakon z dymiącą kadzielnicą. Podeszedł do sekretarzyka, postawił tam i natychmiast pomieszczenie wypełnił zapach kadzidła. Diakon uśmiechnął się na powitanie i wyszedł tymi samymi drzwiami równie dyskretnie, jak wszedł.

– Robert pomaga mi w parafii. Pochodzi z tej dzielnicy i robi, co może, żeby miski zupy wystarczyło dla wszystkich. Uważa, że zawsze można nakarmić każdego, kto tego potrzebuje. Ja się z nim zgadzam, ale czasem rozdajemy tylko wodę zabeloną mąką. Jest bardzo młody. Nie rozumie, że czasami trzeba wybierać.

– Czy pieniądze z odpustów też przeznaczą na zupę dla biednych?

– Naturalnie. To jest dla nas najważniejsze. Jeśli coś zostanie, może zreperujemy te ściany. Nasz kościół trzyma się dzięki ludziom. Gdyby ich zabrakło, kazania głosiłbym w szczerym polu.

Lorenz poczuł sympatię do ojca Wahrheita. Zdał sobie sprawę, że nie może dłużej oddalać się od wiary, z którą rósł od dzieciństwa. I był przekonany, że Ebba cieszyłaby się, gdyby znów zaczął ufać Bogu. Poczul falę tęsknoty i radości; po raz pierwszy od bardzo dawna wspomnienia nie były bolesne.

– Nie wiem – powiedział ksiądz – czy Johann wam o tym wspominał, ale dopóki nie sprzedamy pierwszych odpustów, nie będziemy mieli czym zapłacić.

– Oczywiście, ojczcie. Myślę, że córka i ja będziemy mogli poczekać.

Po trzech tygodniach nieoczekiwanie dobrej pogody z początkiem kwietnia nadeszły uporczywe deszcze, które trwały piętnaście dni. Szeroki Ren płynął leniwie, niosąc gałęzie i cały brud z góry rzeki, gdzie nurt był wartki. Dni stawały się dłuższe, lecz mało kto to zauważał, tak były szare i ponure. Aż wreszcie przyszedł dzień, kiedy słońce wzeszło na bezchmurnym niebie, a noce stały się cieplejsze.

Gdy więc promienie słoneczne przepędziły wreszcie wiszącą nad miastem mgłę, w Nikolasa wstąpiła nowa energia. Pewnego ranka pod koniec miesiąca postanowił skończyć pracę wcześniej niż zwykle i wydał w domu polecenia, aby na wieczór przygotowano wystawną ucztę. W miarę możliwości zawsze starał się kierować instynktem. Skoro śmierci nie można było uniknąć, lepiej, żeby zabrała sobie ciało szczęśliwe, a nie doczesną powłokę wyniszczoną postami.

Gdy tylko wyszedł wczesnym rankiem, kobiety zabrały się do pracy. Ilse pokazała swój przywódczy talent i stanęła na czele przygotowań. Dobrze wiedziała, że zarówno Elisabeth, jak i Ava zrobią wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę Nikolasa; za wszelką cenę będą chciały stać się – po kolacji – jego wybrankami na tę noc.

Ilse rozmawiała ze swoimi towarzyszkami o tym, jakie potrawy podadzą wieczorem, i jednocześnie zastanawiała się, jaką powinna przyjąć strategię. Czuła, że Ava ze swoją krągłą figurą ma nad nią przewagę; poza tym pięknym głosem wprawiała słuchaczy w zachwyt. Elisabeth była drobniejsza i w tańcu poruszała się z niezwykłą gracją i zmysłowością. Uroda Ilse natomiast miała w sobie elegancję i styl. I była jedyną dziewczyną, o której naukę Nikolas zadbał. Miała swój udział w jego pracy. Jej rywalki były tylko dziewczynami do towarzystwa.

Powinna to wykorzystać, nie tylko po to, aby mieć wobec nich silniejszą pozycję, ale też po to, aby zagłuszyć strach, który ogarniał ją czasem nocami. Niejeden raz budziła się zlna potem. Śnił jej się ten sam koszmar: Nikolas zostawił ją, znalazł inną dziewczynę, która zajęła jej miejsce, a ją odesłał tam, skąd wyratował od głodu, od nędzy, od pierwszego, który by ją wziął siłą. Od życia, do którego przysięgła sobie nigdy nie wrócić.



Po powrocie do domu czekała na Nikolasa niebiańska orzeźwiająca kąpiel. Gdy wyszedł z wanny, nałożył wygodny jedwabny strój i udał się do wielkiej sali, jaśniejącej od ciepłego światła świec, pełnej upajającego zapachu żywic. Wszystko było tam przygotowane do uczyty. Usiadł na miękkich poduszkach rozłożonych na podłodze i dał się urzec stojącym przed nim na niskim stole specjalom – pieczone prosię, dziczyzna duszona w winie z jęczmienia, kuropatwy w pikantnym sosie z przyprawami, zimne wino reńskie i owoce w cukrze wyglądały smakowicie. Kiedy jadł – powoli, małymi kęsami, delektując się każdą potrawą – Ilse siedziała obok, uśmiechała się, pilnowała, by niczego mu nie brakowało, i dyskretnie, nie narzucając się, wyprzedzała każde życzenie.

Ava usiadła naprzeciwko Nikolasa ze starą piękną lutnią opartą o podolek. Patrzyła na niego z uwodzicielskim uśmiechem i delikatnie trącała palcami struny. Z zamkniętymi oczami zaczęła nucić tęskną melodię, przypominającą arabskie pieśni. Po chwili Elisabeth wstała i zatańczyła

w takt muzyki, wdzięcznie kołysząc biodrami. Ilse jeszcze raz przekonała się, że te dwie kobiety umiały oczarowywać. Uśmiechnęła się, chociaż w głębi duszy czuła mieszaninę zazdrości i lęku, a także, musiała przyznać, pożądania.

Ava skończyła pieśń, Elisabeth też przerwała taniec i usiadła obok na poduszkach. Ilse klasnęła parę razy w dłonie, dając znak, aby wniesiono likiery. Czekaając na nie, zaczęła rozmowę z Nikolasem. Nadeszła jej chwila.

– Miałeś czas sprawdzić moje ostatnie ilustracje, Nikolasie?

– Tak, są piękne. Niemal tak piękne jak ty.

Ogarnęła ją wielka radość. Zauważyła przy tym, że Ava uważnie ją obserwuje. Wiedziała, że musi dalej zabawiać Nikolasa rozmową.

– Bardzo mi się podobał ten tekst. To piękna opowieść, wzruszyła mnie. Pamiętasz tę historię?

– Przypomnij mi, proszę.

Udało mi się przykuć jego uwagę, pomyślała. Odchrząknęła lekko i zaczęła opowiadać.

– Powiadają mędracy z miasta, w którym to się wydarzyło, z bogatego Bagdadu, że któregoś dnia jakiś sługa poszedł na rynek. Zobaczył tam Śmierć, która dała mu groźny znak. Przerażony, popędził sługa do swojego pana i błagał go, aby dał mu najlepszego wierzchowca, chciał jak najszybciej odjechać i nocą dotrzeć do odległego miasta Isfahan.

„Dlaczego chcesz pojechać do Isfahanu?” – spytał pan.

„Bo spotkałem Śmierć na rynku. Pokazała mi dziwny znak”.

Panu żal zrobiło się sługi i dał mu konia. Sługa natychmiast odjechał. Tego samego dnia pan spotkał Śmierć na rynku.

Spytał ją:

„Dlaczego groziłaś mojemu słudze?”.

Śmierć odparła ze zdziwieniem:

„Groziłam? Nie, nie. Zdziwiłam się tylko, że go tam widzę, a jest zapisane, że zabieram go dziś w nocy w dalekim Isfahanie”.

Nikolas uśmiechnął się i klasnął w dłonie.

– Brawo, Ilse! To piękna opowieść o przeznaczeniu, przed którym, jak mówią, nie ma uciezki. Ale ja znam inną historię, bardziej odpowiadającą mojemu rozumieniu spraw. Pozwólcie, że ją wam opowiem.

Nikolas podjął:

– Pewnemu zrujnowanemu kupcowi, który mieszkał w Kairze, śniło się, że ma pojechać do Isfahanu, bo tam znajdzie skarb, który przywróci mu dawne bogactwa. Po trzech długich dniach podróży dotarł o zmroku do miasta. Nie znalazł żadnej kwatery, więc schronił się na małym placu pod ścianą meczetu. Tej samej nocy do pobliskiego domu włamali się złodzieje i został arestowany razem z innymi żebrakami. Kupiec wyjaśniał strażnikowi powód swojej wizyty w Isfahanie, a ten roześmiał mu się w twarz.

„Cóż z ciebie za idiota! Ja też mam takie sny, ale w ogóle nie zwracam na nie uwagi. Kiedyś śniło mi się, że mam pojechać do Kairu i tam odszukać biały dom, na którego dziedzińcu znajduje się słoneczny zegar. Za zegarem jest drzewo figowe, a pod drzewem zakopany w ziemi skarb. Ale myślisz, że coś z tym zrobiłem? Jasne, że nie. Masz, weź ten pieniążek i wracaj do domu, marzycielu”.

Kupiec wziął monetę i szybko wrócił do swojego miasta. Strażnik opisał mu jego dom. Gdy znalazł się na dziedzińcu, przekopał ziemię pod drzewem figowym i znalazł skarb.

Ilse kiwnęła głową.

– Tutaj też się spełnia przeznaczenie. Gdyby nie pojechał do Isfahanu, nigdy by tego skarbu nie znalazł.

– Oczywiście, moja droga Ilse. Ale kupiec znalazł fortunę, bo pojechał jej szukać, a strażnik, przez to, że nic nie zrobił, przegapił swoją szansę. To bardziej do mnie przemawia: musisz iść szukać szczęścia, jeśli nie chcesz, żeby ślepa Fortuna lub złe Fatum jednakowo cię potraktowały.

Ilse miała wrażenie, że słyszy własne słowa. Ona też szukała szczęścia. Popatrzyła wokół siebie i zauważyła, że Elisabeth, nigdy niezainteresowaną rozmowami, powoli pokonywał sen. Ava przysłuchiwała się, ale nic nie mówiła. Jej rolą było śpiewać, a nie opowiadać historie. Ilse miała w zanadrzu kolejną, poznaną przy okazji licznych lektur. A kopista, w radosnym humorze po kolacji, winie i likierach, też opowiedział kilka następnych.

Księżyc stał już wysoko na niebie, kiedy Elizabeth zasnęła mocnym snem, zmęczona całym dniem pracy. Nikolas i Ilse dalej wymieniali się opowieściami, przy czym jej historie stopniowo nabierały coraz bardziej erotycznego odcienia.

Nikolas w końcu zrozumiał aluzję. Wstał i wziął Ilse za rękę. Ava siedziała nieporuszona. I czekała. Nikolas odwrócił się i wyciągając ramię w jej stronę, powiedział:

– Chodź z nami, piękna Avo.

Wszyscy troje wyszli z sali, zostawiając śpiącą na poduszkach Elisabeth. Ilse szła otoczona ramieniem Nikolasa, a za nimi postępowała Ava. Ilse zrobiło się przykro, że nie jest tą jedyną, ale pocieszała się, że w ogóle została wybrana na kolejną noc. Oparła policzek na jedwabnym rękawie Nikolasa i ulegle dotrzymywała mu kroku.

W Kolonii, jak w większości miast w owych czasach, miejscem spotkań różnych ludzi były gospody, oberże i karczmy, chociaż niektóre na taką nazwę chyba nie zasługiwały. Przebywali tam głównie mężczyźni, a zgiełk i hałas był ogłuszający. Oberża U Kuchcika należała do najbardziej obskurnych i miała wątpliwą sławę. Mieściła się na obrzeżach dzielnicy garncarzy na południu miasta, w pobliżu małego, spokojnego Augustinerplatz. Tym bardziej w okolicy dawał się we znaki harmider dochodzący z jej wnętrza. Piwo, wino i dużo mocniejsze alkohole wędrowały z rąk do rąk w szalonym tempie, potęgując atmosferę wrzaskliwej wesołości.

Kobiety, które można było tam zobaczyć, przychodziły tylko po to, żeby załatwić swoje nieczyste interesy i oferować swoje usługi. Siedzące tu i tam pośród zebranych wokół stołów mężczyzn rzucały się natrętnie w oczy. W zależności od celu swoich zabiegów spoglądały wzrokiem dumnym lub służalczym, uległym lub wyzywającym. Twarze wielu z nich nosiły ślady ciężkiego życia, niechcianych ciężarów, straconych iluzji, zemsty kochanków. Stanowiły żywe świadectwo okrutnych czasów.

Jedna z nich wyróżniała się spośród pozostałych, młodsza i radośniejsza. Miała w sobie jeszcze dziewczęcą świeżość, a niewinność musiała stracić niedawno. Jej policzki były zaróżowione jak po dniu spędzonym przy żniwach w upale lata, a jasne włosy zaplecione w dwa warkoczki. Tunika, w lepszych czasach biała, ledwo zakrywała duże piersi, ciemna sukienka na ramiączka sięgała do połowy łydki.

Prostytutkom na ogół nie zbywało na zuchwałości. Wiedziały, z kogo da się wyciągnąć pieniądze, a kto nie zapłaci, i z daleka wyczuwały niedoświadczonych, którym łatwo opróżnić sakiewki. Ta dziewczyna natomiast zachowywała się raczej nieporadnie. Dawała się wciągać w rozmowy z typami, po których widać było, że nie wynagrodzą jej starań, ale których – może z braku doświadczenia, a może dlatego, że była dobrze wychowana – słuchała z uwagą. Pojawiła się w oberży U Kuchcika po ucieczce ze swojej wioski, oszukana przez młodzieńca, który obiecał jej wspaniałą przyszłość w zamian za jej niewinność. Uznana za kobietę lekkich obyczajów, zanim mogła nią zostać, Hermine – bo takie było jej imię – odkryła z goryczą, że tylko uroda zapewni jej utrzymanie, czego w swej naiwności wcześniej się pozbawiła.

Helmuth Gebel obserwował ją, jak z uśmiechem i lekkością – czy to naturalną, czy też wystudiowaną – chodziła między stolami. Należał do tych, którzy w oberży szukali anonimowości, a dumę i honor trzymali z daleka od swoich przywar. Ale z czasem jego wizyty stawały się coraz częstsze. Ostatnio przestał przykładac wagę do swojej reputacji i folgował złym skłonnościom z nieubłaganą częstotliwością przyływów fal. Nie wystarczały mu już czułość i opieka, jakie nadal, mimo upływu lat, otrzymywał od Viveki. Teraz stał się jednym z najlepszych klientów pośród bywalców tego przybytku. Był jednak znany nie tylko z tego, że dobrze płacił. Z biegiem czasu zaczął odnosić się do ludzi z ogromną pogardą i zachowywał się coraz bardziej agresywnie.

– Jeszcze jeden kufel, Ludwigu.

Oberzysta podał mu piwo i wyciągnął rękę nad barem.

– Nie ufasz mi?

– Nie ufałbym własnemu ojcu, gdybym go znał – odparł Ludwig.

– Cha, cha, cha! A to dobre... – Ciężką ręką klepnął oberżystę w ramię.

Ludwig skrzywił się tylko, przyzwyczajony do różnych reakcji swoich klientów, często gorszego usposobienia niż Helmuth. Podniósł monetę rzuconą na lepki od trunków drewniany bar i mruknął coś, co zginęło w ogólnym tumultie, w wylewających się ze wszystkich stron ogłuszających dźwiękach.

– Przekłęta końska mordą.

Helmuth naturalnie nie usłyszał uwagi, pociągnął duży łyk piwa i czerwonymi od alkoholu oczami wodził za Hermine. Drugim łykiem opróżnił kufel i cisnął nim o ścianę za barem. Ludwig rzucił mu pełne nienawiści spojrzenie. Po szerokiej, pooranej twarzy Helmutha spływały krople potu.

– Chodź ze mną, ślicznotko – powiedział – pokażę ci, co potrafi prawdziwy mężczyzna.

– Tak myślisz? Gdybym tak dostała chociaż jednego guldena, ile razy to słyszę...

Helmuth chwycił ją za rękę i wyciągnął z oberży. Nie opierała się. Po drugiej stronie placu stał dom z kamienia, zniszczony wieloletnim działaniem surowego klimatu. Drewniane drzwi, takie same jak w okolicznych domach, pchnięte ręką Helmutha otworzyły się z żalnym skrzypnięciem. Wewnątrz paliła się jedna świeca, oświetlając człowieka w kapturze, siedzącego przy małym stole. Helmuth bez słowa rzucił mu kilka monet i powlókł dziewczynę przez sień. Brudnymi schodami weszli na górę do pokoju, którego drzwi stały otworem. Tam atmosfera była jeszcze bardziej przytłaczająca: woń spermy i świńskiego tłuszczu mieszała się z potem i wilgocią. Pod ścianą na podłodze leżał siennik powleczony wełnianym materiałem.

– Powiedz mi coś o sobie – rzekł Helmuth bezbarwnym głosem.

– W mieście jesteśmy nikim. Jesteśmy córami nocy, nie mamy twarzy. Co cię obchodzi moje życie? – zapytała dziewczyna.

Podszedł do niej i z całej siły uderzył w twarz, aż jej głowa odskoczyła w bok. Po zaczerwienionym policzku spłynęła łza. Zrozumiała, że ten klient nie będzie taki jak inni. Przyjdzie jej ciężko zapracować na swoją zapłatę.

– Nazywam się Hermine. Jestem z Wiesbaden. Najmłodsza z ośmiu córek biednej rodziny. Przyjechałam do Kolonii, bo miałam dosyć głodu i wyzywania od kurew. Wychodzi na to, że zostałam kurwą.

– Lubisz to? Potrafisz zadowolić mężczyznę?

– Radzę sobie. – Wzruszyła ramionami. Połykając łzy, usiłowała się uśmiechnąć.

Helmuth opuścił spodnie i pokazał miękki członek, zwisający spomiędzy siwego owłosienia. Zaczął się dotykać.

– Chodź tu.

Podeszła bliżej, nie wiedząc, co ma robić. Bała się, że znowu uczyni jakiś fałszywy krok. Pochyliła się i delikatnie dotknęła penisa. Nie drgnął nawet, więc włożyła go do ust i językiem pieściła żołądź. Helmuth szarpnął ją za włosy, chciał zobaczyć jej twarz. Ujrzał płynące po policzkach łzy i grymas obrzydzenia. Jeszcze raz brutalnie szarpnął za włosy i dłonią zaciśniętą w pięść uderzył w twarz. Hermine upadła na plecy; starała się cofnąć. Z pękniętej wargi toczyła się strużka krwi. A Helmuth poczuł, że członek budzi się do akcji.

Rzucił się ku niej i za włosy pociągnął na siennik. Hermine złapała go za rękę, chcąc uwolnić się od bólu – miała wrażenie, że ten człowiek wrywa jej włosy. Helmuth pchnął ją na siennik tak, że twarzą uderzyła o drewnianą podłogę. Ten sam policzek, wcześniej uderzony pięścią, w mgnieniu oka zmienił kolor z fioletowego na czarny. Dziewczyna próbowała odwrócić się, wstać i uciec, lecz Helmuth jej na to nie pozwolił. Zerwał jej spódnice i biodrami unieruchomił ciało. Pochylił się, cuchnącym oddechem wionął w twarz, we włosy, a gdy znalazł ucho, zacisnął na nim zęby. Hermine

krzyczała z bólu. Rozerwał białą tunikę; guziki potoczyły się ze stukotem po podłodze. Teraz był gotowy. Wszedł w nią z furją, brutalnie. Każde pchnięcie wywoływało jęk bólu. Za kolejnym osłabła, odwróciła twarz, by ukryć łzy w brudnym, zapchlonym sienniku.

Kiedy skończył, wciągnął spodnie. U dołu koszuli zauważył krew. Sięgnął do zawieszanej na szyi sakiewki. Poszukał w niej guldena i strzelił nim w powietrze.

– Kup sobie coś ładnego – mruknął.

Śledził lot monety. Tam, gdzie upadła, zobaczył złożoną na pół kartkę papieru. Zaciekawiała go, podniósł ją, rozwinął i zobaczył, że jest to tekst odpustu.

– Pobożna z ciebie kobieta. Nie wiesz, biedne niewiniątko, że to cię do nieba nie zaprowadzi? Masz kilka nowych grzechów do dodania do poprzednich. A ten dzisiejszy to grzech śmiertelny, możesz być pewna. – Śmiech Helmutha rozbrzmiał w całym pomieszczeniu i odbił się jak bolesne echo w głowie Hermine.

Czytając odpust, kopista zwrócił uwagę na jedną rzecz. Mimo że został napisany charakterystycznym stylem – Helmuth był żarliwym wyznawcą, i z racji swoich nocnych praktyk musiał kupować sobie niejedno odpuszczenie grzechów – było w nim coś, czego nie rozumiał. Znał różne gatunki papieru, a wieloletnie doświadczenie dało mu umiejętność rozpoznania sposobu produkcji tylko po jego grubości. Czegoś takiego nigdy przedtem nie trzymał w rękach. Wreszcie patrząc pod światło świecy, już wiedział: na papierze nie było żadnego śladu znaków wodnych.

Złożył kartkę i schował do kieszeni. Był pewien, że Nikolas się ucieszy i w jakiś sposób mu to wynagrodzi.



Ilse obudziły o świcie cicho otwierane drzwi. Zobaczyła jedną ze służących, która dawała jej znaki, żeby wyszła. Spojrzała na Nikolasa śpiącego obok. Po drugiej stronie łóżka Ava też jeszcze spała. Wstała, narzuciła koszulkę i stanęła za drzwiami z zasną, niezadowoloną miną.

– Czego chcesz? Po co mnie obudziłaś?

– Przepraszam, Ilse, ale Herr Gebel chce, żeby Nikolas jak najszybciej przyszedł do warsztatu. Ma jakąś bardzo pilną sprawę.

– Pan jeszcze śpi. Nie powiedziałaś mu?

– Tak. Ale posłaniec mówi, że to bardzo pilne... Przepraszam, że się ośmieliłam.

– Dobrze, dobrze. Idź już. Sama się tym zajmę.

Wróciła do sypialni. Opromieniało ją ciepłym blaskiem pomarańczowe światło wstającego słońca. Ava spała dalej z ramieniem na piersi Nikolasa. Ilse odsunęła je delikatnie. Zbliżyła twarz do jego twarzy i powoli, lekkimi pocałunkami zaczęła go budzić.

– Co... co się dzieje...? – wymamrotała.

– Helmuth przysłał posłańca, żebyś zaraz przyszedł do warsztatu – szeptała. – Zdaje się, że to coś pilnego.

Nikolas położył dłonie na czubku głowy, a potem zasłonił sobie oczy.

– Pilne? Co, u diabła, może być pilnego w warsztacie kopistów? – mruknął. – Jeśli okaże się, że to jakieś głupstwo, zobaczy, jak potrafię się rozgniewać.



Helmuth prawie spał, siedząc pochylony przy swoim stole. W głowie mu łomotało, a w ustach czuł gorycz. Brak snu kompensował sobie myślą, że szef będzie mu wdzięczny za wiadomość, którą miał

dla niego. Do tej pory, ilekroć wydarzyło się coś nieoczekiwanego, Helmuth czekał do chwili, kiedy Nikolas sam się pojawi. Tym razem zrobił wyjątek. Na stole przed nim leżał tekst odpustu, który znalazł u prostytutki. Uśmiechnął się na dźwięk otwieranych drzwi.

Nikolas rzucił okiem na warsztat. Wszyscy kopiści zajęci już byli swoją pracą. Spojrzał na Helmutha, któremu uśmiech nagle zniknął z twarzy.

– Co było takie pilne? – warknął.

Helmuth wyobrażał sobie, że wręczy odpust z triumfalną miną i w przekonaniu, że mistrz będzie zadowolony z takiego odkrycia. Teraz zaczynał w to wątpić.

– Wczoraj znalazłem to... Jest to odpust, ale chociaż go dokładnie oglądałem, nie ma znaku wodnego ani znaku kopisty, który go zrobił. Myślałem, że... że chcielibyście o tym wiedzieć.

Nikolas wyrwał mu papier z ręki.

– I z powodu takiej bagateli wysyłasz po mnie człowieka o świcie?

– Eee... Myś... myślałem, że... Herr Fischer, że może to oznacza konkurencję i...

– Uważasz, że mamy się zajmować jakimś nędznym tekstem odpustu? – Nikolas podniósł głos.

Kilku kopistów rzuciło ukradkowe spojrzenia. Helmutha oblał pot.

– Przepraszam, panie, może powinienem poczekać, ale dałem się ponieść...

Z każdym słowem zastępca Nikolasa zdawał się kurczyć w sobie. Nie miał już nic na swoją obronę.

– Proszę, wybaczcie mi. To się nie powtórzy – powiedział piskliwym głosem.

Nikolas zajął miejsce przy swoim stole. A zanim Helmuth usiadł przy swoim, polecił mu pójść do miasta po nowy zapas papieru. Ledwo skinąwszy głową, zastępca wymknął się z warsztatu. Skrybowie, pod surowym wzrokiem mistrza, pracowali w napiętym skupieniu. Słysząc tylko skrzypienie piór na papierze i lekkie skwierczenie świec, zawsze palących się o tak wczesnej porze dnia.

Spokojny już, rozłożył odpust na stole i dokładnie mu się przyjrzał.

Pierwszy wniosek, do którego doszedł także Helmuth, był oczywisty: brak znaku wodnego utrudniał ustalenie pochodzenia papieru i, co za tym idzie, autora tekstu. Ale w tym odpuscie kryły się inne tajemnice. Było w nim coś więcej, coś, co mu umykało, czego nie umiał ubrać w słowa.

Wziął do ręki szkło powiększające. Przez kilka minut przyglądał się każdej linijce, każdemu słowu, każdej literze. Wyprostował się na krześle, pocierał w zamyśleniu nos, mrugał oczami. Zapalił kilka nowych świeczek i ustawił w półokręgu na stole.

Ciągle nie mógł nazwać tego, co zdawał się widzieć, czuł, że coś mu umyka. Oparł głowę na dłoniach. Kątem oka znowu spojrzał na kopistów: wszyscy zaprzątnięci byli pracą. Bardzo dobrze. Nie chciał, aby mu przerywano albo by ktokolwiek widział, co robi. Helmuth nie tak szybko wróci z miasta.

Wśród przedmiotów znajdujących się na stole było kilka drewnianych linijek. Służyły mu do zaznaczania linii na papierze. Wziął jedną, najmniejszą, i cienko zaostrzonym węglem otoczył ramką jedną z liter. Przy kopiowaniu liter, zwłaszcza tych, które zaczynały rozdział lub paragraf, zwykle liniowano papier w ten sposób. Ułatwiało to dokładne odwzorowanie liter, tak by były niemal identyczne z oryginałem.

Teraz Nikolas odwrócił proces: otaczał liniami skopiowane litery. Robił to mechanicznie i kiedy zaznaczył wszystkie, odłożył linijkę, oparł się plecami o krzesło i w wyciągniętych dłoniach trzymał przed sobą tekst odpustu.

I wtedy jego doświadczone oko zobaczyło to, czego szukał.

Nareszcie wiedział. Nie było to łatwe, ale przecież on – mistrz – nie mógł w końcu nie dotrzeć do

sedna: doskonałość tego tekstu okazała się jednocześnie jego niedoskonałością.

Zaznaczone litery były jednakowe, nie różniły się niczym – ani rozmiarem, ani grubością kreski. Były identyczne, a to mogło oznaczać tylko jedno.

Złożył kartkę na pół i włożył ją do kieszeni. Nie chciał, aby wpadła w czyjeś ręce, nawet Helmutha, który takiego szczegółu nie zauważył. Musiał sam się dowiedzieć, kto zrobił tę kopię.

I, przede wszystkim, jak.

To, co przed chwilą odkrył, mogło oznaczać jedno: tekst nie został napisany ludzką ręką.



Zdecydowanym krokiem wyszedł ze skryptorium. Z jasnym rozwichrzonym włosom, podniesioną wysoko brodą, pewny siebie mijał krzątających się już wokół swych spraw mieszkańców. Równie uprzejmie odpowiadał na pozdrowienia znajomych, jak i odmawiał propozycjom prostytutek. Gdy miał już za sobą bardziej zaludnioną dzielnicę, owinał się wełnianym płaszczem i na głowę nasunął kaptur. Teraz szedł ostrożniej i rozglądał się uważnie w obie strony. Starał się uniknąć spotkania z kimś, kto mógłby go rozpoznać. Ale kroku nie zwolnił, choć nie biegł. Zakapturzony mężczyzna biegnący ulicami Kolonii mógł tylko wzbudzić podejrzenia.

Był już blisko celu wyprawy i jak dotąd na nikogo się nie natknął. Niemniej zdarzyło się coś, co na chwilę wytrąciło go z równowagi.

Starał się wybierać uliczki mało uczęszczane, takie, na które wystarczyło zaledwie rzucić okiem, by nabrać pewności, że są puste. Wychodząc z jednej z nich, natknął się na mężczyznę w lachmanach, podpierającego się zakrzywionym kosturem. Na widok Nikolasa wyciągnął rękę, prosząc o jałmużnę. Stał bardzo blisko i kiedy odsłonił ramię, widać było guzowate krosty trędowatego.

Mimo że istniały leprozoria, gdzie zamykano chorych, aby izolować ich od reszty społeczeństwa, wielu z nich uciekało stamtąd albo kryło się przed zamknięciem. Obecność tego człowieka tutaj była o tyle dziwna, że trędowatym nie wolno było przekraczać murów miasta. Choroba skazywała takich ludzi na wólcę i samotność. Mężczyzna zbliżył rękę do twarzy Nikolasa; dał mu do zrozumienia, że za jałmużnę zostawi go w spokoju.

Nikolas chciał się cofnąć, lecz potknął się o wystający kamień i omal nie upadł na ziemię. Trędowaty, z błyskiem jadu w oczach, wykorzystał moment nieuwagi swojej ofiary i zbliżył się niebezpiecznie. Nagle zobaczył, że Nikolas wciąga nosem powietrze.

– Panie, proszę tylko o jałmużnę. Wyglądacie na szlachetnego i litościwego człowieka – nalegał.

Znowu podsunął bliżej rękę. Zdumiał się, kiedy Nikolas mocno ją uchwycił. Nikt nigdy nie odważył się dotknąć trędowatego.

– Gdybyś był uczciwy, znalazłbym w kieszeni monetę dla ciebie. Dziękuj Bogu, że cię nie oskarżę przed władzami.

Powiedziawszy to, zaczął zdrapywać rzekome krosty z ręki oszusta.

– Namęczyłeś się, robiąc te fałszywe rany z mąki, kleju i farby – powiedział Nikolas.

Człowiek przelękał nerwowo ślinę i błagał, aby go puścić.

Nikolas mocnym szarpnięciem przyciągnął go ku sobie.

– Żebyś w murach Kolonii nigdy więcej nie zobaczył, jeśli nie chcesz zawisnąć na gałęzi jak zwykły szczur. Zrozumiałeś?

Oszust zrozumiał, że groźba nie była rzucona na darmo. Uciekł, zapominając o kij, niepotrzebnym już elemencie przebrania.

Nikolas otrzepał rękę. Miał do pokonania ostatni odcinek drogi.

Ulica nie była szczególnie wąska, lecz stare, wysokie domy niebezpiecznie się ku sobie chyliły. W połowie ulicy znajdowały się niewielkie drzwi, solidne mimo zniszczonego wyglądu, z mocnym rygłem. Drzwi, które prowadziły do najważniejszego z jego sekretów.

Światło ledwo przenikało pomiędzy kamiennymi ścianami. U góry widać było tylko wąski prostokąt nieba. Nikolas nasunął kaptur na głowę, strzepnął pył z ramion płaszczem i rzuciwszy po raz ostatni okiem w jedną i drugą stronę, pochylił się i zniknął w mroku za drzwiami.

Głośne stuknięcie drzwiami odbiło się echem po całym budynku. Głuchy trzask przetoczył się pod sam dach i wrócił po kamiennych ścianach, w powietrzu pełnym drobinek kurzu i pajęczyn. Dom, zbudowany na planie kwadratu, był duży i najwyraźniej opuszczony. Wydawało się, że mieszkają w nim tylko szczury i że jego przeznaczeniem jest pogrążenie się w ruinie. W rejestrach miejskich nie widniała informacja, że ktoś go zamieszkiwał. A jednak pusty nie był. Bynajmniej.

Zatrzasnąwszy drzwi, Nikolas zrzucił pelerynę i zdjął ze ściany jedno z leżących tam łuczyw, gotowych do zapalenia. Użył hubki i krzemienia, po czym z zapaloną pochodnią ruszył korytarzem, krokiem pewnym, jak ktoś, kto tę drogę przebywał wiele razy. Jego elegancki strój w pięknych kolorach, świadczący o zamożności, rażąco kontrastował z tym wilgotnym, ponurym miejscem o oknach zamurowanych ceglami.

Minął kilka pomieszczeń i korytarzy, skręcił w prawo i schodami zszedł na dół. Poza kamieniem i piaskiem płomień pochodni ukazywał puste otwory; sprawiały wrażenie, jak gdyby ktoś wyrwał to, co się w nich znajdowało. Obok, na ścianach, widniały ślady dawnych epok. Były to wyobrażenia Najświętszej Pani i świętych strzegących grobów dawnych chrześcijan.

Nagły powiew powietrza poruszył płomieniem łuczywa. Nikolas wchodził właśnie do dużej sali. Wokół ścian leżały wielkie paki, na środku zakurzonej kamiennej posadzki widniały ślady świadczące o tym, że niedawno przeciągano tamtędy pakunki. Znajdowały się w nich arkusze papieru, osłonięte surowymi skórąmi.

Nikolas podszedł do miejsca, gdzie kilkanaście takich pakunków leżało jedno na drugim. Między nimi było wąskie przejście. Skierował światło pochodni tak, by płomień oświetlił nieforemne schodki wyryte w ziemi. Ostrożnie zszedł na dół.

Żółtawe światło łuczywa gubiło się w nieprzejranej ciemności niewielkiego korytarza. Trochę dalej wąski podest prowadził do prymitywnych drzwi, zbitych ze starych krokwi i przymocowanych do kamiennej ściany.

Nikolas zatknął łuczywo w metalowym kółku w ścianie i z całej siły pchnął drzwi. Poruszyły się z głuchym jękiem i odsłoniły jaśniejszą przestrzeń. Wrócił po łuczywo, po czym pomagając sobie ramieniem, zamknął drzwi. Wciągnął głęboko powietrze: zapach farby i wosku zawsze sprawiał mu przyjemność.

Stał przez chwilę, ogarniając wzrokiem całą przestrzeń. W głębi zobaczył pierwszą oznakę życia. Młodzieniec z jasnymi kędzierzawymi włosami stał pochylony nad pulpitem. Nieświadomy obecności Nikolasa zgrabnym ruchem ręki przesunął piórem po częściowo zapisanej kartce papieru. Nie przestraszył się, kiedy kopista stanął przy nim i położył mu rękę na ramieniu.

– Alonso, jak praca nad książką?

Młody człowiek migdałowymi oczami śledził ruch warg Nikolasa.

– Dobrze. Prawie skończyliśmy.

Mówił w sposób osobliwy, jak gdyby gardło i struny głosowe nie były w stanie przekształcić dźwięku w słowo. Ciemne oczy i ciemna karnacja różniły go od typowego Niemca. Ubrany był równie elegancko jak Nikolas, zdawało się jednak, że to ponure miejsce, w którym przebywał, jest jego częścią.

– Pozwól, że obejrzę kilka stron – powiedział Nikolas powoli.

Chłopak skinął głową. Obydwaj podeszli do dużego stołu, na którym ułożone były niewielkie stosy kartek. Na każdy stos składały się egzemplarze tej samej strony. Z największą uwagą Alonso wziął jedną kartkę z każdego stosu: pełne koloru linie tekstu i szczegółowe ilustracje tworzyły prawdziwe dzieło sztuki.

Alonso złożył w ten sposób całość książki i podał kartki Nikolasowi. Zanim je wziął, kopista wytarł ręce o tunikę. Wrócił do stołu Alonsa, usiadł na krześle i położył przyszłą książkę przed sobą. Alonso stanął obok, czekając na reakcję mistrza. Lecz Nikolas milczał. W żółtawym blasku świec sprawdzał każdą stronę, przeglądał uważnie, lekko – prawie nie dotykając – podnosił ją i przeczytaną odkładał na bok.

Palce rysowały w powietrzu linię wiersza, podczas gdy oczami starał się wyśledzić treść opowieści. Miniatury, które zdobiły tekst, pomogły mu znaleźć ukryte znaczenie. Gry karciane, wywodzące się z Orientu, już przed wiekiem utorowały sobie drogę do Europy poprzez Włochy i zdołały napotkać zagorzałych przeciwników. Dysputy i rękoczyny, do jakich dochodziło pomiędzy graczami, stały się powodem wprowadzenia przez władze zakazu gier. Ktokolwiek ośmielił się naruszyć prawo, był surowo karany.

Nie wiadomo, jakim sposobem karty, traktowane jak zamach na chrześcijańską moralność, trafiły na europejski kontynent.

Według legendy miał je przywieźć ze swoich podróży Marco Polo. Inne źródła podawały, że sprowadzono je ze Wschodu podczas wypraw krzyżowych.

Nikolas przyglądał się dłużej ilustracji, na której na złotym tle widniała postać króla z monetą w dłoni. Takie rysunki, oddzielające fragmenty tekstu w książkach, nazywano miniaturami. Odwrócił się, poczekał, aż Alonso na niego spojrzy, i zapytał:

– Kto ją zrobił? – Wskazał na miniaturę.

– Ja – odparł nieśmiało chłopak.

– Jest doskonała – powiedział po prostu mistrz.

– Dziękuję. – Alonso starał się skryć dumę. – Inne też były trudne. Czy ta jest dobra? – zapytał, wskazując miniaturę na następnej stronie. Przedstawiała scenę gry: kilka kobiet w bogatych strojach i wymyślnych fryzurach siedziało przy stole z kartami w dłoniach.

– Tak. Chociaż na twarzach można było pokazać więcej szczegółów. Tu ledwo da się odróżnić nos od ust, nie mówiąc już o kolorze oczu... Ale to wystarczy. Ciężko mi przyznać, lecz przyszli właściciele, dość miernej inteligencji, nie docenią takich subtelności. – Nikolas mówił, nie odrywając wzroku od miniatury. Po chwili, jakby przypominając sobie o Alonsie, spojrzał na niego i dodał: – Powinieneś żądać od twoich towarzyszy, żeby stawiali sobie takie same wymagania, jakie ty sobie stawiasz.

– Tak zrobię. Będę z nimi zaraz rozmawiał. Przygotowują papier do następnego zamówienia.

W przepaścistych oczach Alonsa widać było szczerść i podziw. A poddanie się poleceniom mistrza nie było udawane; wręcz przeciwnie. Wydawało się, że wdzięczny jest za każde skierowane do niego słowo.

– Doskonale. I nie daj się przez nich zastraszyć. Muszą zaakceptować to, że jesteś najlepszy.



Nikolas zajął się znowu książką, która była celem jego wizyty. Na zewnątrz chmury kłębiły się na niebie, zasnuły je niemal całkowicie i powoli szarość pokryła miasto. Na stronach, które Nikolas

niał przed sobą, opisane były karciane sztuki, prezentowane przez włoskiego magika, Paola Comettiego, tekst zaś napisał – incognito – słynny włoski uczone i krytyk tradycji średniowiecza, Lorenzo Valla. Podejrzewano, że nazwisko jest pseudonimem, chociaż od czasu do czasu pojawiał się ktoś, kto twierdził, że zna go osobiście. Otóż Valla opisywał krok po kroku, w jaki sposób magik Cometti sprawiał, że karty znikają, albo zgadywał, jaką kartę wybrał z talii przypadkowy uczestnik przedstawienia. Językiem prostym i zrozumiałym teoretyk tłumaczył, że to, co powszechnie uważano za magiczne praktyki, nie było niczym innym, jak zwykłymi karcianymi sztuczkami, których każdy mógł się nauczyć. Był to zatem podręcznik do nauki szachrajstwa i mistyfikacji, cech bardzo przydatnych grającym na pieniądze – wystarczający powód, aby władze mi mogły nie pozwolić na jego rozpowszechnianie.

Mimo że arcybiskup von Moers dawno temu wprowadził zakaz gier hazardowych na terenie całego arcybiskupstwa, w mieście organizowano wiele potajemnych spotkań. Oddawali się tej rozrywce nie tylko ludzie prości, ale też ludzie możni, dużo mniej skłonni do podporządkowywania się zarządzeniom władzy.

– Ile kopii zrobiliście?

– Dziesięć.

– Zróbcie jeszcze dziesięć. Świetne kopie. Jestem pewien, że będzie więcej chętnych.

Alonso skinął w milczeniu głową.

– Planuję pierwszą sprzedaż za dwa dni. Trzeba będzie je tylko oprawić. Odebrałeś okładki?

– Jeszcze nie. – Chłopak opuścił głowę.

– Ja po nie pójdę – powiedział Nikolas.

Już sobie wyobrażał, jakie wrażenie zrobią te książki na jego ambitnych klientach, zwłaszcza tych, którzy się niedawno wzbogacili. Wielu pociągała szansa pozbawienia swoich rywali nie tylko majątku, ale i godności. On sam miał przyjemność brać udział w takich potajemnych spotkaniach, czasem po to, by grać, a dużo częściej, aby powiększyć i tak już dużą sieć kontaktów.

Przypomniawszy sobie spotkanie, do którego doszło w zamku markiza Ferdinanda von Ahrenda. Jeszcze podczas uczty kilku z zaproszonych gości, postaci znaczących w Kolonii, wraz z samym markizem dyskretnie udało się na partię karcianych gier. Znajdował się między nimi kapitan największej floty statków operujących w Hanzie, baron, właściciel najlepszych terenów wokół miasta, bławatnik od lat mający monopol na towary tekstylne oraz kupiec dostarczający tkaniny samemu cesarzowi. A także Nikolas, kopista.

– Panowie, mam nadzieję, że dzisiaj szczęście będzie wszystkim sprzyjać. Ostatnio uśmiechało się wyłącznie do naszego drogiego żeglarza – powiedział markiz uprzejmym tonem, wskazując na kapitana, mężczyznę drobnej postury.

– Będzie musiał o nie powalczyć. Czuję, że fortuna mnie dzisiaj nie odstąpi – oznajmił kupiec tekstylny. Gdy mówił, podwójny podbródek trząsał się na boki.

– Będziecie nam to musieli udowodnić, bo ja też miałem udany dzień – dodał bławatnik, zawsze zwracający na siebie uwagę strojem. Zdjął nakrycie głowy w kształcie turbanu. – Miejcie na uwadze, że tkaniny są poszukiwanym towarem o tej porze roku.

– Być może wszyscy będziemy mieć dziś szczęście. Nie pozostaje nam nic innego, jak zaciekle o nie rywalizować. – Nikolas zakończył tę pozornie przyjazną rozmowę. Jemu nie robiło różnicy, kto wygra, gdyż i tak wszyscy ci panowie byli potencjalnymi kupcami jego książek.

Zapadła głęboka cisza, kiedy von Ahrend rozdał graczom po trzy karty.

Talia składała się z pięćdziesięciu dwóch kart i była prawdziwym dziełem sztuki, wykonanym w Stuttgarcie w 1430 roku. Nawiązujące do myślistwa awersy zostały ozdobione rysunkami

dworskich postaci w sielankowych pozach z psami, jeleniami i kaczkami.

Nikolas nigdy nie przestał zachwycać się tymi rysunkami i teraz, wspominając ową grę, też miał je przed oczami.

Przy świetle świec, których migocące cienie tańczyły na ścianach, mężczyźni wpatrywali się w trzymane w dłoniach karty. W oczach pozbawionych emocji być może dałoby się dojrzeć tylko blask złotych monet. Zaciśnięte usta kryły pragnienie wygrania za wszelką cenę. Nikolas znał skąpstwo i pazerność tych ludzi, znał też skutki tych słabości i wiedział, że w końcu wygranym w tej grze będzie zawsze on sam.

Wyłożono cztery karty na środek stołu. Na początku grano o małe stawki: noc była długa i nikt nie chciał być pierwszym, który wypadnie z gry z braku pieniędzy. Ale stopniowo stawki podwyższano. Wyglądało na to, że kapitan powtórzy sukces poprzedniego spotkania. Nie krył zadowolenia, pobudzonego dodatkowo irytacją pozostałych graczy.

– Trudno uwierzyć, że fortuna tak was hołubi – zawołał markiz z udawaną ironią.

– No cóż, trochę umiejętności też trzeba mieć. – Kapitan wzruszył ramionami i dodał: – Nie można ufać tylko przypadkowi.

– Trochę umiejętności? To skromność przez was przemawia czy może my wszyscy jesteśmy ostatnimi durniami? – Podwójny podbródek kupca zatrzęsł się znowu. W cierpkim głosie nie było nawet śladu pogodnego tonu.

Nikolas odkaszlnął lekko. Pozostali spojrzeli po sobie z niepokojem. Kupiec znany był z gwałtownego charakteru, a także z tego, że nie potrafi przegrywać.

– Skromność, oczywiście. Jakże mógłbym tak źle oceniać moich towarzyszy w tej grze? – odparł kapitan z przesadną uprzejmością w głosie. Zamilkł na chwilę, po czym dodał cicho, jakby mówił do siebie: – Zwłaszcza kiedy tak szczerze stawiają...

Kupiec zacisnął zęby, przekrwione oczy utkwił w twarzy kapitana, ale nie odezwał się. W drugim rozdaniu podniósł stawkę. Powtarzał niezwiązane ze sobą słowa i twarz mu fioletowała ze złości. Pozostali gracze starali się zachować spokój, ale napięcie rosło i atmosfera gęstniała. Nikt co prawda nie odważył się spojrzeć wprost na kupca, niemniej starano się mieć na oku nie tylko jego, ale też – przede wszystkim – jego szpadę, zwisającą z oparcia krzesła. Wyglądało na to, że za chwilę straci panowanie nad sobą.

Stawka była już tak wysoka, że do ostatniej rozgrywki stanęło dwóch przeciwników. Kapitan jeszcze ją podbił, a sądząc po zadowolonej minie, miał dobrą kartę. Kupiec, opanowując wściekłość, dodał do puli i zamknął grę. Nadszedł moment odsłonięcia kart. Kapitan niespiesznie pokazał swoje; tak pewien był swego triumfu, że z trudem powstrzymał się od zgarnięcia pieniędzy w swoją stronę. Kupiec z całej siły rąbnął pięścią w stół, aż wszystko zadrżało. Z kącików ust płynęła piana. Potrzyzymał jeszcze przez chwilę karty w powietrzu i rzucił je na stół. A potem parsknął gromkim śmiechem.

– Oszukałem was, co? Myśleliście, że naprawdę byłem wściekły?

Klasnął w dłonie i zgarnął pieniądze. Wygrał partię. Kapitan lekko zbladł i uśmiechnął się melancholijnie. Podwójny podbródek kupca trząsł się jak końska grzywa. Zwycięzca odkaszlnął i dalej śmiał się do rozpuku.

– Nie zapominajcie, że jestem bardzo zręcznym kupcem, przyjacielu – powiedział i mrugnął okiem do bławatnika. Zebranych przy stole ogarnęła ogólna wesołość.

Gra ciągnęła się jeszcze długo w noc. Ostatecznie najlepiej na niej wyszedł kupiec, chociaż nie mógł pochwalić się wielką wygraną. Nikolas zauważył, że pomimo to przegrani kierowali w stronę kupca mało przyjazne spojrzenia: należało działać ostrożnie w czasie następnego spotkania.

Między graczami istniała niepisana umowa, że zwycięzcą w grze nie może być dwa razy z rzędu ta sama osoba. Nikolas zresztą i tak z pełnym przekonaniem unikał wygranych w grze. Wolał przegrać niewiele w karty, a zarobić krocie na innych słabostkach graczy.

Tak był pogrążony we wspomnieniach, że niemal zapominał o Alonsie i o miejscu, w którym się znajdował. Nie przychodził tu codziennie, lecz w tym budynku, ukrytym przed ludzkim wzrokiem, czuł się lepiej niż w skrytorium, gdzie kopiowane były oficjalne – i nieszkodliwe – teksty. Cisza była tu czymś więcej niż normą. Alonso i jego towarzysze kopiowali niebezpieczne książki. Ich rozpowszechnianie budziło wątpliwości z moralnego punktu widzenia, ale ci, którzy te moralne wartości ustalali, byli również najlepszymi klientami. To drugie skrytorium mogło istnieć jedynie w tajemnicy. Paradoksalnie, ono właśnie przynosiło Nikolasowi największe dochody. I nikt, absolutnie nikt nie mógł się o nim dowiedzieć.

– Mam dla ciebie nowe zadanie – powiedział.

Alonso czekał.

– Musisz zdobyć pewne informacje. Nie wiem jeszcze, czy to ma jakieś znaczenie, czy nie, ale może okazać się ważne.

Nikolas wyjął papier z kieszeni.

– Musisz dowiedzieć się, kto to zrobił.

Alonso wziął kartkę z odpustem do ręki. Ruchem ramion zdawał się prosić o wyjaśnienia. Nikolas pokazał mu litery, które wcześniej tak dokładnie zakreślił węglem. Chłopak zbliżył papier do światła świecy i przyjrzał mu się z uwagą. Po chwili spojrzął na Nikolasa i skinął głową. Kopista się uśmiechnął; wiedział, że chłopak zrozumiał, jak ważne jest to zadanie. Był bardzo dumny z Alonsa, bo ten zawsze doskonale wykonywał polecenia. Tak doskonale, że czasem Nikolas zapominał, iż niewzruszony spokój chłopaka i cisza, jaka go otaczała, miały jedno źródło: był głuchy.

Była już połowa maja. Ciało Eriki powoli traciło dziewczęce kształty. Rozkwitała w niej kobieta. Tak jak i wiosna dookoła. Świeża trawa porosła łąki i bydło miało się nareszcie czym pożywić. Deszczu jak zwykle nie brakowało, ale temperatura się podniosła i dni wydłużyły. Dla większości mieszkańców Kolonia stała się znowu przyjemnym miejscem.

Przed wyjściem do pracy Lorenz spojrział na córkę, krzątającą się w kuchni. Wstała wcześniej, żeby przygotować mu coś do zjedzenia. Nie podobało jej się, kiedy wychodził rano o pustym żołądku.

– Jesteś taka poważna, córko. Stało się coś?

Złotnik winił się za to, że zaabsorbowany własną pracą poświęcał jej tak niewiele uwagi. Tego ranka zauważył jednak jej smutny wzrok, a przecież zwykle żegnała go z radością.

– Nic, tylko... – powiedziała cicho. – Chodzi o Matthiasa. Coś mu zaszкодziło i od dwóch dni jest chory.

– Nie przyszedł wczoraj?

– Nie, ojciec, od trzech dni już nie przychodzi. Wczoraj poszłam po niego, ale leżał w łóżku, chory.

Lorenz się zafrasował; nawet nie zauważył nieobecności chłopca.

– I co jest naszemu malcowi?

Uśmiechnęła się blado, słysząc słowo „naszemu”. Być może ojciec na wiele rzeczy nie zwracał uwagi, ale przynajmniej tak jak i ona darzył tego chłopca, niemal jej brata, ciepłymi uczuciami.

– Jest osłabiony, ma gorączkę, brzuch go boli i ciągle wymiotuje... Ma zmętniałe oczy i strasznie chce mu się spać... Nie wiem, Frieda uważa, że pewnie coś zjedli, bo Penrod też jest bardzo chory.

Lorenz pogłodził jej policzek.

– Zobaczysz, że szybko wyzdrowieją.

Erika wzruszyła ramionami.

– Oby tak było... No, idź już, bo się spóźnisz.

Lorenz wyszedł, mając przed oczami obraz zmartwionej twarzy córki. To dobrze, że Erika potrafi kierować się uczuciami, ale z drugiej strony powinna myśleć i o sobie. W końcu chłopiec był synem sąsiadów, należał do rodziny, która w każdej chwili mogła zniknąć z ich życia. Natychmiast pożałował tych myśli, uświadomił sobie, że to nieszlachetne. Jego córka była bardzo młoda, bezsilna wobec bólu. Poza tym, pomyślał, jest kobietą, z macierzyńską dbałością pochyla się nad każdym małym dzieckiem.

Uczucia macierzyńskie.

Zatrzymał się. W głowie mu się niemal zakręciło na myśl, że jego córka ma już dzieciństwo za sobą, że staje się kobietą. Jego córeczka, jego maleństwo. Powiedziałyby mu chyba, gdyby...

Teraz dopiero zdał sobie sprawę, jak dotkliwie odczuwał nie tylko brak żony, ale i matki dla Eriki.

Kilka dni wcześniej dostał od Johanna wiadomość, że ojciec Martin chce mu zapłacić pierwszą część sumy za teksty odpustów. Tego popołudnia, po pracy w warsztacie, poszedł na plebanię. Nie zależało mu tak bardzo na pieniądzach, raczej na satysfakcji zobaczenia na własne oczy, że jego wysiłki do czegoś się przydały. Było to w jakimś sensie uczucie podobne do tego, jakiego doświadczał w warsztacie, tyle tylko, że tam rzadko kiedy miał okazję rozmawiać z klientem i usłyszeć od niego samego, czy podoba mu się wykonany przezeń przedmiot. Lorenz czuł jakąś szczególną sympatię do tego księdza, tak oddanego swoim wiernym, sympatię, zdaje się, odwzajemnioną.

Z ojcem Martinem przeszli przez kościół i usiedli w ławce w samym środku głównej nawy. Kilka osób modliło się w milczeniu w pobliżu ołtarza, inni szeptali modlitwy. Lorenz po cichu starał się przekonać księdza, żeby zatrzymał pieniądze, że miał na pewno pilniejsze sprawy, ale ojciec Martin się uparł.

– Oprócz czasu, jaki poświęciłeś na kopiowanie odpustów, musiałeś kupić papier i inne przybory. Lorenz, nie przyjmuję twojej odmowy, tak jest sprawiedliwie. I nie traktuj tego tylko jak zapłatę za pracę, to jest też zachęta, żebyś kopiował następne. To, oczywiście, nie jest wszystko, ale nie sądzę, żebym długo czekał na resztę. Jak widzisz, w parafii jest duże zapotrzebowanie na odpusty.

Lorenz wziął monety. Przez chwilę trzymał je w dłoni, jak gdyby były czymś kruchym, po czym wsunął do kieszeni.

– Nie smuć się, Lorenz, dzięki odpustom mamy więcej jedzenia. W tym tygodniu każdy, kto przyjdzie, dostanie ciepłą zupę. To prawdziwe błogosławieństwo Boga, bo już prawie nie mieliśmy żadnych zapasów. Nie zdziw się, kiedy poproszę cię o więcej, jeśli nadal będą je tak kupować.

– Z przyjemnością to zrobię, ojcze. I tym razem spróbuję pisać je szybciej.

– Doskonale, doskonale... – Ojciec Martin zamyślił się na chwilę. – Lorenz, jeszcze jedno. Jestem ci wdzięczny za to, co robisz, ale jeśli kiedykolwiek zechcesz przestać, powiedz mi o tym.

Lorenz się zdziwił.

– Przestać kopiować odpusty? Dlaczego, ojcze?

– Nie chciałbym przed tobą ukrywać, że nie cieszę się szczególną sympatią wśród hierarchów. Wielu księżom w mieście, że nie wspomnę arcybiskupa, nie podobają się ani moje kazania, ani to, co robię w parafii. Naturalnie możesz liczyć na moją dyskrecję. Odpowiadam za parafię, za wszystko, co się w niej dzieje. Tak więc jeśli czujesz się z tym niezręcznie, wystarczy, że mi powiesz. Ja to zrozumieję i nadal będę ci wdzięczny za wszystko.

– Naprawdę uważacie, że grozi wam jakieś niebezpieczeństwo? – spytał Lorenz. – Chcecie przecież jedynie dać parafianom możliwość odpuszczenia grzechów i zdobyć pożywienie dla potrzebujących.

– Zauważyłeś, że nasza parafia jest na uboczu, trochę zapomniana. Dlatego postawiłem sobie taki cel: Bóg jest miłością i nie ma większego aktu miłości, niż współczuć tym, którzy cierpią, którzy nic nie mają. Pamiętasz słowa Jezusa: Łatwiej jest wielbładowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego³. W naszej parafii jest tak niewielu bogatych, że sporą część nieba mamy już dla siebie! – Ojciec Martin się roześmiał.

Lorenz też się uśmiechnął, widząc, z jakim optymizmem ksiądz patrzy na codzienną twardą rzeczywistość. Słowa duchownego nieco go uspokoiły. Nawet przez moment nie myślał o porzuceniu kopiowania odpustów, tym bardziej teraz. Akurat wtedy przykuśtykał do kościoła człowiek bez stopy, podpierający się na grubo ciosanym szczudle. Podeszedł do głównego ołtarza, przyklęknął z opuszczoną głową i oddał się modlitwie. Widać było, że na Lorenzu zrobiło to wrażenie. Ksiądz ukradkiem obserwował jego reakcję.

– Proszę się mną nie przejmować, ojciec – powiedział Lorenz. – To, co robię, sprawia mi przyjemność.

– Bardzo się cieszę. Wiesz? Byłbym szczęśliwy, gdybyś traktował naszą parafię jak drugi dom. Możesz przychodzić, kiedy chcesz, choćby po to tylko, żeby sprawić nam radość swoją obecnością. Johann często to robi.

– Dziękuję, ojciec. Będę pamiętał. To wspaniały człowiek, prawda? Niezwykle mądry.

– Istotnie – przytaknął ksiądz. – Ale przede wszystkim dobry człowiek.

– Czy nie wszyscy uczeni są dobrzy? – spytał Lorenz.

– Nie. Na nic mądrość, jeśli nie towarzyszy jej szlachetne serce. Mądrość wynikająca z wiedzy daje nam umiejętność podejmowania decyzji. Ale... na cóż nam taka umiejętność, jeśli nie wynika z miłości? Dobroć, żeby rozkwitła, potrzebuje czystości uczuć.

Lorenz poruszył się w ławie i poczuł ból na plecach: blizna po oparzeniu dała o sobie znać. Drgnął, oczy mu zaszyły łzami. Po chwili powiedział, jakby do siebie:

– Czasem życie jest takie okrutne... Tak boli, kiedy dobrzy ludzie cierpią, a nikczemnicy triumfują...

Ojciec Martin skinął ze zrozumieniem głową.

– Przypomnij sobie Adama i Ewę! Żyli w raju i zostali wypędzeni za to, że zjedli owoc drzewa poznania dobra i zła. Myślę, że Bóg chciał nam przez to powiedzieć, że grzech powstał wtedy, kiedy człowiek przyswoił sobie świadomość siebie, czyli wiedzę, dociekliwość. To jest to, co mówiłem przedtem: im więcej wiemy, tym więcej mamy możliwości wyboru. Tylko że wiedza, której nie towarzyszy miłość, nie daje nam żadnej korzyści, prowadzi do grzechu. Oddala nas od Boga, gdyż oddala nas od nas samych. Pan nasz stworzył nas na swój wzór i podobieństwo, abyśmy wszyscy byli Miłością. Ale tak samo jak wiedza niewiele znaczy bez miłości, tak i dobroć bez wolności nie może istnieć. Wiedza – dotknął ręką głowy – i serce – położył dłoń na piersi – muszą zawsze iść w parze. Życie może być okrutne, lecz nieszczęścia umacniają wiarę. Przed sądem Pańskim nic nie umknie.

Lorenz przytaknął, nieco zagubiony. Jednak słowa księdza przyniosły mu pewną ulgę. Powiedział:

– Ból jest czasem tak wielki...

Ojciec Martin wyczuł, że Lorenz przeżywa jakiś dramatyczny moment swojego życia. Przypomniał sobie nagle, że jest wdowcem. Spojrzał na niego życzliwie. Zastanawiał się, jakie słowa mogłyby przynieść pociechę.

– Rozumiem cię. Wiesz, dlaczego istnieje ból?

Lorenz pokręcił głową.

– Dlatego że istnieje miłość. Bez miłości nie odczuwalibyśmy niczego, wszystko byłoby nam obojętne. Pamiętaj o tym, ile razy czujesz ukłucie w sercu. Tak jakbyś patrzył na monetę: po przeciwnej stronie bólu zawsze, zawsze jest miłość.

Ojciec Martin zamilkł, chcąc w ten sposób połączyć się w smutku ze złotnikiem.

Lorenz też milczał. Siedział z zamkniętymi oczami, ogarniany uczuciami, których nie potrafił powstrzymać i które potrzebował wyrazić. Krótka chwila, jednak wystarczająca, aby poczuł ulgę. Pożegnał się z księdzem skinieniem głowy. Przykląkł w przejściu, przeżegnał się i zamyślony skierował w stronę wyjścia. Nie zauważył, że siedzący w ostatniej ławce zakapturzony mężczyzna wstał i poszedł za nim.

Idąc za Lorenzem, mężczyzna w kapturze trzymał się w bezpiecznej odległości, nie chcąc, by złotnik zauważył, że jest śledzony. Szedł cicho jak kot, żaden krok nie odbijał się najcichszym

echem w ciemnych, pustych uliczkach. Przestraszył się, kiedy wielki kocur parsknął nagle i rzucił się przed nim do ucieczki. Lorenz odwrócił się, lecz nikogo nie zobaczył, gdyż mężczyzna jednym skokiem skrył się za rogiem uliczki, którą akurat mijał. Przyłgnął do ściany i zastanawiał się, co zrobi, jeśli Lorenz cofnie się, żeby zaspokoić ciekawość. Na szczęście tego nie zrobił.

Nieco dalej po przeciwnej stronie ulicy, za rogiem dały się słyszeć żalosne jęki, przybierające na sile. Kiedy Lorenz podszedł bliżej, zobaczył grupkę osób tłoczącą się przed otwartymi drzwiami jednego z domów. Pomyślał, żeby zawrócić i pójść inną drogą, ale idąc tędy, oszczędzał na czasie. Gdy znalazł się na wysokości drzwi, zrozumiał, co się stało: ludzie oplakiwali czyjąś śmierć. Wśród zebranych rozpoznał kolegę z warsztatu, który podszedł do niego.

– Dzień dobry, Lorenz. Przychodzisz złożyć kondolencje?

– Nic nie wiem. Szedłem do domu. Kto umarł?

– Czcigodny starzec Wernig. Dla wielu, którzy się tu urodziliśmy, był jak drugi dziadek. Podobno zjadł coś zepsutego, może kasztany, no i od tego umarł. Pan Bóg się ucieszy, mając go przy sobie!

Lorenza wzruszyły łzy tego mężczyzny, było mu naprawdę przykro. Z jednej strony skrępowany był sytuacją, z drugiej zaś czuł wdzięczność za to, że ktoś, z kim ledwo dwa słowa zamienił w warsztacie, chciał podzielić się z nim swoim smutkiem. Położył dłoń na jego ramieniu.

– Tam, gdzie jest tak wielki ból, jest wielka miłość – powiedział. – I to jest piękne.

Kolega spojrział na niego i uśmiechnął się przez łzy.

– Dziękuję, Lorenz. Zapamiętam twoje słowa.

Pożegnali się uściskiem dłoni i szeptem wypowiedzianym błogosławieństwem. Ze środka doszedł znowu płacz kobiety, a z oddali zawodzący głos jakiegoś zwierzęcia.

Mężczyzna w kapturze przyglądał się tej scenie ukryty za na pół rozwalonym murem. Zobaczywszy, że Lorenz się oddala, poszedł znowu za nim krętymi uliczkami, ale w pewnym momencie znalazł się na środku którejś z nich sam. Zdezorientowany, rozglądał się dookoła i po chwili zrozumiał: Lorenz wszedł do własnego domu.

Jak cień przebiegł ulicę, kryjąc się pod parapetami okien na parterze skromnych domów. Niektóre miały zamknięte okiennice albo nic się za nimi nie działo; przez inne, w świetle świec i lampek oliwnych, można było zajrzeć do wnętrza. Już miał zamiar zrezygnować, kiedy wypatrzył tego, którego szukał. Siedział plecami do niego przed niewielkim paleniskiem i rozgarniał żar. Do pomieszczenia weszła kobieta i zbliżyła się do okna. Mężczyzna w kapturze uskokzył w bok i przykucnął pod oknem. Zrobił to tak szybko, że kaptur opadł na plecy, ukazując jasne, kręcone włosy. Wstrzymując oddech, czekał, podczas gdy dziewczyna zamykała okiennice.

Alonso odetchnął z ulgą. Wyprostował się i nałożył kaptur. Zadowolony przymknął migdałowe oczy. Dowiedział się, gdzie mieszka ten człowiek, a przy okazji odnalazł dziewczynę z rynku. Z lekkim uśmiechem na ustach rozpląnął się w ciemnych uliczkach Kolonii.



Lorenz wracał do domu pełen smutku po spotkaniu z kolegą. Miał wprawdzie nadzieję poprawić nastrój i pokazać Erice otrzymane od ojca Martina pieniądze, których tak bardzo potrzebowali, ale kiedy zamknął za sobą drzwi, przeraziła go twarz córki.

– Co... co się stało?

Erika szła ku niemu przez niewielki pokój. W palenisku płonął ogień, a w saganie grzały się resztki południowego posiłku. Na twarzy dziewczyny malowało się osłupienie i zmęczenie. Wzrokiem błądziła dookoła.

– Kiedy wyszedłeś, Penrodowi się pogorszyło. – Głos miała lekko zachrypnięty, jak ktoś, kto długo milczał. – Czekałam na ciebie, myślałam, że jesteś w warsztacie... Lorenz się zmieszał.

– Poszedłem do parafii Świętego Michała Archanioła. Przepraszam. Nie myślałem, że zajmie mi to tyle czasu. – Nadaremnie szukał jej wzroku.

– Penrod nie żyje – powiedziała. Lorenz zbladł. – Odszedł niecałą godzinę temu. Byłam z nimi, z... – Palcem pokazała dom sąsiadów. – Potem wróciłam, żeby czekać na ciebie. Nie wiedziałam, co robić.

Dotknęła nerwowo głowy. Lorenz podszedł do paleniska. Patrzył w milczeniu w ogień, a potem wziął pogrzebacz i powoli rozniecał nim żar.

– Musisz tam pójść... Tak mi ich żal... Ja tu zaczekam na ciebie. Nie martw się o mnie. – Po chwili dodała: – Zrobię ci coś do zjedzenia. Ja nie jestem głodna, a ty? – Lorenz pokręcił głową. – Ale, ojczu, przecież musisz coś zjeść. No, idź już – powiedziała, zamykając okiennice.

Z uczuciem dławienia w gardle Lorenz poszedł do sąsiadów. Nie musiał pukać, lekko popchnięte drzwi same się otworzyły. Ktoś stojący w korytarzu dał mu znak, żeby poszedł dalej.

Kiedy przekroczył próg skromnego pokoju, zobaczył najpierw łóżko zajmujące cały środek, a na nim ciało Penroda. Z jednej strony stała żona, Frieda, z twarzą wykrzywioną bólem, obok niej Matthias, jeszcze w gorączce, prawie nieprzytomny. Jedna z sąsiadek stała w pobliżu. Lorenz usłyszał też głos innej kobiety, która za zasłoną starała się uspokoić dwoje małych dzieci.

W ciszy przerywanej tylko płaczem dzieci Lorenz podszedł do łóżka i klęknął przy zmarłym. Modlił się. Wydało mu się, że traci równowagę, że brakuje mu powietrza, i poczuł ulgę dopiero, kiedy głośno powiedział „Amen”. Wtedy odezwał się w nim szczerzy żal i współczucie dla Friedy.

Wstał powoli i zwrócił się do wdowy. Drżącymi wargami podziękowała za kondolencje. Chwyciła go za ręce i wybuchając płaczem, przyłgnęła do niego. Zaskoczony, podtrzymał ją, a ona odsunęła się dopiero po chwili, która Lorenzowi wydała się wiecznością.

Położył dłoń na ramieniu Matthiasa i powiedział parę słów pociechy, które wydały mu się pozbawione znaczenia. Chłopiec starał się okazać powagę, stał się przecież teraz jedynym mężczyzną w domu. Ale w oczach czaił się strach. Przerażony nieszczęściem patrzył przed siebie nic nierozumiejącym wzrokiem. Wargi lekko mu drżały. Lorenz przyklęknął przy nim.

– Matthiasie... – powiedział ciepłym głosem. Podniósł rękę chłopca, była napięta. – Matthiasie – powtórzył – musisz się położyć.

Chłopiec powoli odwrócił głowę, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności ludzi. Matka patrzyła na niego zapłakanymi oczami. Nagle zaczął drzeć na całym ciele, krzyknął i płacząc rzewnymi łzami, rzucił się Lorenzowi na szyję.

Wkrótce, już przy drzwiach, Lorenz zegnał się z Friedą, jeszcze raz składając jej kondolencje.

– Dziękuję ci, Lorenz – powiedziała cicho. – Pan chciał go już teraz zabrać do siebie, żeby dłużej nie męczył się w tej nędzy. – Głos jej drżał. – Takie straszne czasy, a Penrod tak się poświęcał, prawie nic nie jadł, żebyśmy my mogli, dzieci i ja... Ja... ja kazałam mu więcej jeść, ale wtedy wybierał najgorsze kawalki, zepsute owoce. – Załkała. – Parę dni temu... źle się poczuł, jak Matthias, ale jemu brzuch spuchł, zrobił się twardy jak kamień. Robiłam, co mogłam, Lorenz, wydałam ostatnie pieniądze na mikstury i maści, i wszystko na nic...

Złotnik starał się znaleźć słowa pocieszenia.

– Teraz nawet nie mogę wyprawić pogrzebu, na jaki zasługuje.

Lorenz się zdziwił.

– Tak, Lorenz. Musimy pochować go we wspólnym grobie. Wiem, że wielu to spotyka, ale tak mi strasznie żal...

Zakryła dłońmi policzki, po których toczyły się łzy. Nie zastanawiając się wiele, Lorenz wyjął z kieszeni monety, które dostał od ojca Martina, i wcisnął jej do ręki.

– Friedo, proszę, nie odmawiaj tych pieniędzy. To nie jest dużo, ale przynajmniej godnie go pochowasz. Ja ich nie potrzebuję, damy sobie radę, i Erika też tak uważa. Przynajmniej tyle możemy dla ciebie zrobić.

Obolała z rozpacz, lecz przepędzona wdzięcznością Frieda wyszeptała tylko „dziękuję”. Lorenz wyszedł, obiecując, że następnego dnia przyjdą razem z Eriką. Pożegnali się nieporadnym uściskiem.

Na ulicy Lorenz oparł się o ścianę i westchnął głęboko. Poczł pieczenie w oczach, bolało go gardło i głowa. Pocierając skronie, wszedł do domu. Erika czekała, otębiała i wylękała jak zagubiony ptaszek.

– Tak... kolacja. Zostało trochę zupy z obiadu... Chcesz? Ja... nie, chyba nie będę jeść, nie wiem, może powinnam? – mówiła nieskładnie, nie patrząc na ojca.

Lorenz podszedł do niej, objął ramieniem i przygarnął do siebie. Erika chciała coś powiedzieć, ale głos jej uwiązł w gardle. Przyłgnęła do niego i zapłakała. Stali tak przez chwilę w milczeniu. Jak dawno jej do siebie nie tulił, pomyślał.

Tragiczne wydarzenia ostatnich tygodni sprawiły, że w mieście panowała atmosfera smutku i przygnębienia. Ludzie przyzwyczaili się do śmierci, obcowali z nią na co dzień w domach sąsiadów, rodziny, znajomych. W takiej sytuacji władze postanowiły zrobić coś, co pozwoli mieszkańcom zapomnieć o ich nędznej egzystencji.

Na ulicach zebrali się chętni do obejrzenia najdzielniejszych rycerzy Świętego Imperium. Dźwięki trąb wojennych wypełniły przestrzeń, słyhać je było teraz ze wzmożoną siłą. Wieściły przybycie rycerzy. Tego ranka chyba całe miasto ściągnęło na plac Świętego Jerzego przystrojony na tę okazję dekoracyjnymi tkaninami, banderami, proporcami i tarczami herbowymi niektórych rodów. Kiedy rycerze w pełnym rynsztunku w otoczeniu giermków defilowali przez plac na swych rumakach, podniosła się ogłuszająca wrzawa. Mieszkańcy Kolonii czekali niecierpliwie na rozpoczęcie turnieju.

Wokół placu rozstawione były drewniane podwyższenia, na których kręcił się rozbawiony tłum. Wydawało się, że nikt nie pamięta dramatów ostatnich tygodni. Radowano się też dlatego, że takie widowiska odbywały się w Kolonii bardzo rzadko.

Zupełnie inna atmosfera panowała w części zarezerwowanej dla arystokracji i kleru, gdzie stały ławy, krzesła i fotele. Niektóre ozdobne, z miękkimi siedzeniami, wyściełane bogatymi materiałami, inne proste, ze zwykłego drewna.

Plac został podzielony tak, aby odbywać się mogły różnego rodzaju walki, w których rycerze demonstrowali siłę i odwagę: potyczki z siodła z kopią, na miecze lub maczugi, w drużynach... Dla rozrywki mieszkańców przygotowano też inne przyjemności. Karuzel, na przykład, był zabawą rycerską, w której przedstawiano walki dawnych bohaterów; w kolejnej konkurencji, rzucie kopią jeździec musiał trafić nią w metalowy pierścień; w grze w manekina, zwanego turkiem, ćwiczono zręczność – jeśli rycerz nie trafił w pierś, manekin, trzymający w ręce miecz, obracał się i boleśnie go uderzał. Tego dnia pokazywano także sztukę sokolnictwa, zazwyczaj uprawianą przez królów i wielmożów. Kolończycy, którzy znali te ptaki jedynie z wizerunków na chorągwiach, z zacięciem przyglądali się, jak sokół lub jastrząb posłusznie wracał z łupem na ramię sokolnika czy jastrzębnika; człowiek i ptak żyjący w niemal doskonałej symbiozie.

Rycerze otrzymali już od heroldów wezwanie do uczestniczenia w walkach. Burmistrz Heller Overstolz zorganizował je po to, aby poprawić nastroje mieszkańców, wyczerpanych utratą bliskich i głodem. I przy okazji uciszyć budzące się pomruki niezadowolenia.

– Ludzie wyglądają na zadowolonych, burmistrzu – zawołał Nikolas na powitanie.

Heller i Agripina w odświętnych strojach zajęli już swoje miejsca na podwyższeniu.

– Rzeczywiście. Przynajmniej tyle możemy dla nich zrobić – odparł burmistrz. Wyraźnie przejęty, ujął delikatne dłonie żony w swoje ręce.

– To, co się stało, jest straszne, doprawdy – aksamitnym głosem odezwała się Agripina. Zaskoczyła tym Nikolasa, który nigdy nie słyszał, aby wyrażała jakąś opinię. – Zepsuta żywność... do czego to dochodzi... – Pokręciła głową, ale nie podniosła wzroku. Heller pocieszająco ścisnął jej dłoń.

– Woleli jeść zepsute owoce niż nic – powiedział Nikolas. – Brak ziarna i mąki nikomu nie

przyniósł korzyści.

Spojrzał spod oka na Hellera. Burmistrz nic nie powiedział, ale uwaga Nikolasa sprawiła, że Agripina nagle podniosła głowę i zawołała:

– Tych piratów trzeba wyłapać i powiesić. To wszystko twoja wina. Powinieneś wydać za nimi list gończy. – Spojrzała na męża oczami pełnymi niepokoju.

– Już o tym myślałem. Ale musiałbym użyć wszystkich oddziałów wojska, z niewiadomym skutkiem. To szczone typy i niezmiernie niebezpieczne. Jak dzikie zwierzęta, są nie do poskromienia.

Nikolas obserwował, z jakim przekonaniem Heller zareagował na słowa żony. Dobiegły go słuchy, że burmistrz był jednym z tych, którzy skorzystali na braku żywności, wołał jednak zamilczeć. Zaczął żegnać się z politykiem i jego wierną żoną. Gdy całował dłoń Agripiny, usłyszał:

– Nikolasie, proszę przyjąć podziękowania za książkę, którą zechcieliście nam podarować.

– Macie, pani, na myśli Dekameron? – spytał, unosząc lekko brwi.

Agripina rzuciła szybkie spojrzenie na męża. Zaabsorbowany był walką na placu. Ściszyła głos i z ujmującym nieśmiałym uśmiechem powiedziała:

– Tak. To książka z pewnością bardzo... pouczająca. Nie wiem, czy mnie rozumiecie.

W oczach damy przez moment zamigotały ogniki. Zrozumiał doskonale.

– Cieszę się, słysząc wasze słowa, pani. Jestem przekonany, że uważny czytelnik potrafi znaleźć w niej to, co dla niego najważniejsze.

Wypuścił jej dłoń i oddalił się. Zdawało mu się, że Agripina zagryzła wargę, aby ukryć uśmiech.

W pobliżu, z prawej strony, zasiadł arcybiskup Dietrich von Moers, czekając na rozpoczęcie spektaklu. Zobaczywszy Nikolasa, przywołał go do siebie.

– Co za niespodzianka! Nikolas! – Był w świetnym humorze. – Po raz pierwszy widzę was bez książek. Zaczynałem już wierzyć, że dni macie wyłącznie nimi wypełnione.

Wokół arcybiskupa kręciła się służalcza świta kościelnych dostojników.

– Ja też znajduję czas na odpoczynek, arcybiskupie. W przeciwnym razie źle bym prowadził moje interesy. – Pochylił się w niskim ukłonie i ucałował pierścień.

Dietrich von Moers zaśmiał się wesoło.

– Macie rację, Nikolasie. Wszystkim nam potrzebny jest odpoczynek. Ale nie za dużo; żeby się nie skarżyć, że brakuje pieniędzy na podatki albo jedzenie...

– Czyżby ktoś nie zapłacił podatku? – spytał kopista z niedowierzaniem.

– Zawsze się taki znajdzie. Ale moi poborcy podatkowi wiedzą, jak naprawić takie niedopatrzenia. Nie wolno łamać umowy z Bogiem.

– Naturalnie. Obowiązek wobec Boga jest ważniejszy niż własne życie.

Arcybiskup przytaknął, nieświadomy zapewne ironii w słowach kopisty. Przekonany o ich szczerości, zaprosił Nikolasa do swojego grona.

– Usiądźcie tu koło mnie, Nikolasie. Stąd jest najlepszy widok na walki. A poza tym obok nas mamy sędziów, czcigodnych rycerzy, wybierających zwycięzców. Może uda nam się wpłynąć na ich decyzje. – Dotknął ramienia kopisty i lekko popchnął go na krzesło, w ostatniej chwili opuszczone przez księdza, który zrozumiał intencje arcybiskupa.

Nikolas usiadł wygodnie i rozejrzał się po placu. Pomiędzy namiotami, gdzie zbierali się rycerze, ich giermkowie i słudzy, dostrzegł znajomą postać. Raynard też go zauważył i skinął z daleka ręką na powitanie. Nikolas się odklonił. Człowiek ten brał udział w turnieju dzięki pieniądзом i wpływowi kopisty. Nikolas życzył mu jak najlepiej; poza wszystkim Raynard był jego przyjacielem.

Chorągwie ze znakami herbowymi zatknięte na drzewcach łopotały na wietrze. Walki rycerzy szlchetnych rodów odbywały się od samego rana, zapowiadane przez heroldów i pilnie obserwowane przez osoby odpowiedzialne za ich właściwy przebieg.

Nikolas zwrócił uwagę na przygotowania do potyczki, która miała się właśnie zacząć. Dwaj rycerze dosiedli swoich koni, siwka i karego, po przeciwnych stronach bariery, zamknęli przyłbice, kopie trzymali w pogotowiu i czekali na sygnał do rozpoczęcia ataku.

– Zaczynać już! – wrzasnął ktoś z miejsc przeznaczonych dla pospólstwa.

Gdy herold wzniósł chorągiew, obaj rycerze spięli konie i kłusem ruszyli ku sobie. Łoskot metalowych zbroi tłumił stukot końskich kopyt, które pędząc, wznosiły gęste tumany kurzu. Ściskając w dłoniach stępione kopie, uderzyli. Posypały się odpryski drewna. Ale nie wszystkie opadły na ziemię, jeden utkwił w ramieniu rycerza na karym koniu. Jeździec na siwku zdobył pierwsze punkty. Rozentuzjasmowana publiczność krzyczała i biła brawo, a tymczasem rycerze wracali na swoje miejsca w szrankach, gotowi do następnej potyczki.

– Podoba się wam? – arcybiskup spytał Nikolasa.

– Tak, bardzo. Pasjonujące zawody. I wspaniali, silni mężczyźni, przyjemnie jest patrzeć na ich walkę.

Von Moers poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

– I nie mylicie się, Nikolasie. To nie to, co ci słabeusze, jakich teraz pełno dookoła. Co rusz zapadają na jakąś chorobę, z byle powodu... – Machnął niecierpliwie ręką i ściszył trochę głos. – My byliśmy z innej gliny ulepieni, wiercie mi. Moi rodzice całe życie poświęcili, żeby utrzymać swoje ziemie, swoich wasali i chłopów, i nas, swoje dzieci. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek słyszał z ich ust słowo skargi. A teraz jest tak, że im więcej dajesz, tym więcej żądają, lubią wygodne życie. Lenistwo to jeden z grzechów głównych, Nikolasie.

O czymkolwiek by mówił, arcybiskup zawsze nawiązywał do kwestii religijnych. Chciał zapewne w ten sposób podkreślić znaczenie swoich słów i przydać im wiarygodności.

– Wiem o tym, księżę arcybiskupie. Ale cóż możemy zrobić? Trzymać się z daleka od takich niezdrowych praktyk... to wszystko.

Rozmowę przerwały frenetyczne oklaski: jeździec na siwku wygrał kolejną potyczkę, a panna szlchetnego rodu kazała zawiesić szarfę na jego kopii. Okazała się nią kuzynka Agripiny, piętnastoletnia panienka, zauroczona wyczynem zwycięskiego jeźdźca. Nikolas spojrzął na Hellera, któremu całe widowisko wyraźnie się nie podobało. Ale zaklaskał w dłonie i udając zainteresowanie, czekał na następną walkę.

– Widzę, że rodzina naszego burmistrza uwielbia turnieje.

Głos arcybiskupa przypomniał Nikolasowi, obok kogo siedzi.

– Istotnie. Mówią, że kuzynka jego żony szybko się rozwija. – Nikolas natychmiast podjął tok myśli.

– Ten rycerz ma szczęście, dziewczyna jest... śliczna. Powinni ją szybko wydać za mąż.

Głos von Moersa zmatowiał, a w kącikach ust pojawiła się biaława piana. Nikolas wolał skupić uwagę na turnieju. Miała się odbyć jeszcze jedna walka.

Zwycięzcą okazał się rycerz na siwym koniu. Zrzucił z siodła kolejnego przeciwnika. Przy dźwięku trąb podszedł do trybuny, gdzie siedział burmistrz, aby wysłuchać werdyktu sędziów. Nagrodą w finalnym pojedynku była zbroja i koń pokonanego. Zwycięzca podniósł przyłbicę, zebrani ujrzeli wreszcie jego twarz. Był to Raynard. Nikolas ucieszył się z wygranej przyjaciela, a widząc zachwyty w oczach kuzynki Agripiny, uznał, że zwycięstwo jest podwójne.

– Wspaniały turniej – zawyrokował arcybiskup. – Czy będziecie nam towarzyszyć podczas uczyty,

którą w swej szczodrości przygotował burmistrz Heller?

Nikolas zawahał się, ale w oczach swego rozmówcy wyczytał odpowiedź, jakiej powinien udzielić.

– Oczywiście.

– Doskonale. Bo chciałbym prosić was o małą przysługę.

Kopista nie zdążył zapytać, jaka to miałaby być przysługa.

– Porozmawiamy o tym później.

Nikolas skinął głową. Mógł oczekiwać, że i wieczór będzie bardzo pożytecznie spędzony.



Kilka godzin później uczestnicy widowiska przenieśli się na salony ratusza. Moźni i władcy raczyli się bażantami, wołowiną po lombardzku i wieloma innymi smakołykami rozstawionymi na stołach. Goście zajmowali miejsca według ściśle określonego porządku: u szczytu stołu – gospodarz. Tym razem Heller oddał honorowe miejsce arcybiskupowi, a sam usiadł po jego prawej stronie. Kolejno zasiadały inne osobistości, w zależności od statusu i politycznej roli, jaką odgrywały. Dania również ustawione były w nieprzypadkowy sposób – każdy biesiadnik mógł nakładać na talerz to, co było w zasięgu jego ręki. Z wyjątkiem gospodarza, który mógł wybierać, co chciał. Wino wypijano z jednego, ciągle uzupełnianego kielicha, przekazywanego kolejno z rąk do rąk, po tym, kiedy napił się z niego gość honorowy.

Na placu też odbywała się uczta. Bez sreber i wina, ale przewyższająca wszystko, do czego mieszkańcy, w czasach niedostatku, byli przyzwyczajeni. To już nie była mączna zupa ani nadpsute owoce; podawano im króliki i wieprzowinę, i piwo z wielkich beczek, niemal bez dna. Najbiedniejsi, których była większość, siedzieli przy stołach do końca, a to, co zostało z jedzenia, zawijali w chusteczki lub wkładali do kapeluszy, żeby zabrać do domu. Nie wiedzieli, kiedy znowu trafi im się taki poczęstunek.

Na uczcie odbywającej się w ratuszu honorowymi gośćmi byli zwycięscy rycerze. Dumni ze swoich umiejętności, opowiadali o doskonale znanych sobie strategiach obronnych i o najeżonych niebezpieczeństwem przygodach, z których udało im się wyjść cało. Wszyscy słuchali ich uważnie, a zwłaszcza damy, zachwycone emanującą z nich siłą i śmiałością.

Był wśród nich Raynard, który cieszył się zwycięstwem u boku Galiany, kuzynki Agripiny; dziewczyna wpatrywała się w niego jak urzeczona. Sam zwycięzca spoglądał na nią ukradkiem rozmiłowanymi oczami. Nieco później wyszło na jaw, że od pewnego czasu spotykali się bez świadków. Po deserach zakochani wystąpili z nieoczekiwaną wiadomością: poinformowali rodzinę Galiany o małżeńskich planach. Ku powszechnemu zdumieniu Raynard oficjalnie poprosił o rękę panny. Na widok uszczęśliwionej twarzy Galiany Agripina i reszta rodziny uzgodnili, że rozmawiać będą o szczegółach następnego dnia, w mniejszym gronie. Heller nie okazał zadowolenia. Nikolas ze swojego dość odległego miejsca obserwował tę scenę: zobaczył, że burmistrz wstaje z jakąś wymówką, której nie usłyszał. Z pewnym niepokojem zauważył, że arcybiskup prowadzi ożywione rozmowy z siedzącymi obok gośćmi. Wreszcie spojrzął na Raynarda: kilka tygodni wcześniej nikomu nie przyszłoby do głowy zaprosić go na taką uroczystość, a teraz był na ustach wszystkich.

Po uczcie kopista podszedł do niego, by pogratulować mu zwycięstwa w turnieju oraz z okazji zaręczyn – dzięki małżeństwu z Galianą zapewni sobie dostatek na całe życie. Pomyślał, że teraz nie będzie już Raynardowi potrzebny, i to w jakiś sposób przepełniało go smutkiem.

– Gratuluje, Raynardzie – powiedział i lekko skinął głową. – Widzę, że niedługo będziesz miał żonę, a także poprawisz swoją pozycję.

Rycerz wstał.

– Dziękuję, Nikolasie. Ostatnio, odkąd poznałem Galianę, szczęście znowu się do mnie uśmiechnęło.

Na chwilę odwrócił wzrok, sprawiając wrażenie, że ukrywa prawdziwe intencje. Nikolas już się domyślał, co to było.

– Jestem ci wdzięczny za to, co dla mnie zrobiłeś. Bez ciebie to wszystko nie byłoby możliwe.

– Beze mnie? – zapytał z udanym zdziwieniem kopista.

– Tak. Dzięki tym pracom, które mi dawałeś, zdobyłem zbroję i konia i odzyskałem honor. Nie tylko cieszę się uznaniem, ale też będę miał za żonę najpiękniejszą pannę w Kolonii.

Nikolas się uśmiechnął.

– Bardzo się z tego cieszę, przyjacielu. Każdy jest godny swego losu. Mam tylko nadzieję, że nie stracę twojej przychylności. Jesteś znowu rycerzem, a wkrótce zostaniesz mężem.

Raynard uśmiechnął się nerwowo.

– Bądź spokojny. Ja nie zapominam.

– To dobrze. Życzę ci dużo szczęścia w następnych wyzwaniach, Raynardzie.

Z lekkim ukłonem pożegnał się, a Raynard usiadł z powrotem przy stole.

Dietrich von Moers rozsiadł się wygodnie w swoim krześle, zatuszczone palce ślizgały się wokół kielicha z winem. Otaczali go arystokraci i bogaci mieszczanie, szukający jego cennych rad. Nikolas podszedł do nich, by porozmawiać z arcybiskupem i dowiedzieć się, o jakiej to przysłudze wcześniej wspominał. Bardzo był ciekawy, gdyż układy z von Moersem zawsze przynosiły duże korzyści obu stronom.

– Chciałbym porozmawiać z arcybiskupem na osobności. Potrzebuję jego opinii w pewnej ważnej sprawie – powiedział z uśmiechem.

Obecni spojrzeli na niego z niechęcią. Nikolas zamierzał pozbawić ich cennego towarzystwa jednej z najbardziej wpływowych osób w cesarstwie.

– Herr Fischer – odezwał się arcybiskup – doceniam wasze zainteresowanie. Myślę jednak, że pytanie, które zamierzacie mi zadać, może poczekać do jutra. Teraz jestem zajęty. – Wskazał dłonią stojące wokół osoby, które natychmiast odzyskały animusz.

Nikolas nie krył rozczarowania. Nie nalegał jednak, jedynie podszedł bliżej i szeptem zapytał krótko:

– A przysługa?

Nawet nie patrząc na niego, von Moers powiedział:

– Przyszliście za późno. Zrobi to ktoś inny.

Nikolas oddalił się z uśmiechem na ustach. Nie zmartwił się szczególnie zmianą postawy arcybiskupa, który nie po raz pierwszy pokazał, że potrafi być nieprzewidywalny. Jeszcze tylko ukłonił się elegancko wszystkim obecnym i zdecydowanym krokiem wyszedł z salonu. Poczul, jak rodzący się w trzewiach żar gniewu ogarnia całe ciało.

Maj dobiegał końca i Lorenz wciąż pracował nad swoim wynalazkiem. Ciągłe wpadał na jakiś nowy pomysł, lecz z każdym związanych było tyle drobnych problemów, że nieraz wpadał w panikę. Powinien zostawić to, spojrzeć z dystansu, spokojnie pomyśleć.

Zastanowił się nad podstawowym zadaniem: jeśli chce napisać od razu cały wiersz, a tym bardziej kilka wierszy, potrzebuje dużo więcej liter. Ale wycinanie każdej litery oddzielnie zajmuje zbyt wiele czasu. A może, pomyślał, wykorzystać swoje doświadczenie złotnika i zrobić formy do odlewania każdego znaku? W warsztacie Ernesta używał jednego rodzaju matrycy, nie było to jednak to, czego szukał. Potrzebował takiej, którą można by odbijać litery wiele razy, wytrzymałej, być może z brązu.

Zaczął myśleć nad rozwiązaniem. Wziął kawałek papieru pomazanego farbą, pałeczkę węgla i narysował coś, co przypominało płaski relief znaku na metalowej płytce.

– Gdyby można było wypełnić metalem te wgłębienia...

– Co mówisz, ojczu?

Otrząsnął się z zamyślenia. Erika stała za nim i przez ramię, w świetle świec rozstawionych na stole po skończonej kolacji, przyglądała się rysunkowi.

– Zastanawiałem się, jak odbijać literę jednym stemplem po wielekroć, żebym nie musiał każdej robić oddzielnie, z tymi pierścieniami czy czymś innym. To zabiera za dużo czasu.

– A gdybyś wlał tutaj stopiony metal? – spytała, wskazując środek rysunku. – Gdybym tam wlała stopiony ser, toby miał kształt litery.

– Tak, córko. Na tym polega odlewanie metalu, ale... – Lorenz zrobił ręką taki ruch nad rysunkiem, jak gdyby to rzeczywiście była forma. Erika się uśmiechnęła. Lubiła widzieć ojca skoncentrowanego na pracy. Cieszyło ją, że słuchał tego, co miała do powiedzenia. – Jeśli tak to zrobię, metal przeleje się brzegami. A gdy skrzepnie, zrobi się twardy i znowu dużo czasu zajmie mi piłowanie...

– Zrób je głębsze, jak pudełko, a wtedy ser się nie przeleje. – Wysunęła podbródek do przodu jak ktoś, kto zdecydowanie kończy dyskusję, po czym wróciła do mycia naczyń po kolacji.

Lorenz przymknął oczy. W uwadze Eriki kryło się rozwiązanie. Zagłębienia w formach, jakie robił w warsztacie, rzeczywiście nie były głębokie, najwyżej kilka milimetrów. Głębsze nie były potrzebne. Samo zagłębienie w płytce metalu nie stanowiłoby dla niego żadnego problemu. Owszem, musiałby porządnie wypolerować metal, żeby na literze nie pozostały żadne skazy i żeby wytrzymała długie użytkowanie. Problemem było zrobienie odlewu. Zastanowił się nad tym, co powiedziała Erika: „Zrób je głębsze”. Głębsze? Płaski relief nie może być głębszy, litera źle wyjdzie. Zatem co? Coś jak szufladka. Tyle że z szufladką kojarzyło mu się drewno, a taki materiał nie utrzyma stopionego metalu. Co robić? – myślał.

Wstał. Erika kątem oka obserwowała, jak ojciec ze zmarszczonym czołem przemierza pokój tam i z powrotem. Poruszał ustami, mrużąc coś do siebie. Wiedziała, że myśli, że nie powinna mu przeszkadzać, chociaż umierała z ciekawości. Czyściła palenisko, starając się nie robić hałasu, niemal wstrzymując oddech. Jeśli ojciec szybko nie znajdzie rozwiązania, znowu ogarnie go apatia, nie będzie z nią rozmawiał, jak już nieraz się zdarzyło.

Nagle Lorenz się zatrzymał. Wzrok padł na półkę, na której stało kilka książek. Jasne! – pomyślał. Musi zrobić coś w rodzaju składanej kasety, wąskiej, z wysokimi ściankami, przypominającej wydrążoną książkę widzianą z góry. Od dołu zamknięta by była plakietką z literą, od góry wlewałby stopiony metal. Gdy metal zastygnie, powstanie sztabka z literą u jednego końca. Wziął jedną książkę do ręki, obracał ją, starając się wyobrazić sobie, jak by to wyglądało. Litery nie przewracałyby się, tak jak nie przewracają się książki stojące obok siebie na półce. Stosując ten sam system, mógłby bez trudu tworzyć kolejne linie pisma.

Uśmiechnął się. Zacznie tego samego wieczoru.

Widok rozradowanych, błyszczących oczu ojca ucieszył Erikę. Ale sen już ją morzył, więc powiedziała:

– Idę spać, ojcie. A ty?

Najwyraźniej nie miał takiego zamiaru.

– Jeszcze trochę popracuję. Ty idź odpocząć.

– Dobrze, ale nie siedź za długo. – Wiedziała, że nie ma sensu go przekonywać.

Lorenz kiwnął głową, myślami był już w innym świecie. Musi wcielić pomysł w życie.



Następnego ranka, kiedy zeszła na dół, zobaczyła ojca zajętego czymś przy palenisku. Sądząc po bałaganie i ilości narzędzi porzucanych na stole i na podłodze, przez całą noc nie zmrużył oka.

– Eriko, chodź, chcę ci coś pokazać – zawołał.

Podeszła do niego i pochyliła się nad rozżarzonymi węgielkami. Ojciec miechem wdmuchiwał powietrze. W samym środku, niemal przykryte popiołem, leżało małe metalowe naczynie. Biorąc pod uwagę, że to, co się w nim gotowało, nie było rosołem, Erika uznała, że saganek trzeba spisać na straty.

– Co to jest? Ten garnuszek bardzo mi się przydawał.

– A teraz mnie się przydaje. Mam nadzieję, że tych nie zniszczę. – Pokazał na kamienną podłogę. – Będę tam nalewał cynę.

Erika zobaczyła, że stoją tam, równiutkie i dokładnie wypolerowane, powiązane rzemieniem metalowe płytki, tworzące niewielką prostokątną formę. Nie wiedziała, czy coś jest w środku.

– Zrobiłem formę na próbę. Tak jak mi powiedziałaś.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Ja?

– Tak. Powiedziałaś, co zrobić, żeby topiony ser się nie przelał... głębsze wycięcie, jak w pudełku, to twoje słowa. Głębiej wyciąć nie mogę, ale mogę umieścić płaski relief na spodzie metalowej formy. To jest rozwiązanie!

Erika nie wszystko rozumiała. Nie pytała jednak, czekając na koniec eksperymentu, który na jej oczach przeprowadzał ojciec.

Lorenz przez szmatkę mocno złapał rączkę garnka. Z największą uwagą przechylił go nad formą i cienką stróżką wlewał do niej roztopiony metal. Gdy srebrny płyn wypełnił formę mniej więcej do połowy, ojciec odstawił garnek i usiadł na podłodze. To samo zrobiła Erika. Jeszcze był czas, zanim ojciec będzie musiał pójść do warsztatu dziadka Ernesta.

Po kilkunastu minutach Lorenz zaczął ostrożnie zdejmować rzemienie. Małym młoteczkiem odbijał płytki z brązu od cynowego skarbu, który po utwardzeniu odzyskał szary kolor. Kiedy już wszystkie elementy leżały obok paleniska, wziął przez szmatkę dwa. W jednej ręce trzymał dolną

część formy z brązu. W drugiej maleńką sztabkę, której jeden koniec uczernił sadzą. Podniósł obie, żeby Erika mogła je zobaczyć.

W denku formy z brązu widniał wyryty przez Lorenza z olbrzymią dokładnością kształt litery, a w dolnej części cynowej sztabki wyraźne jej odbicie: piękny obraz małej łacińskiej litery „i”.



Lorenz patrzył na córkę z prawdziwą satysfakcją.

– Eriko! Czy ty rozumiesz, co udało mi się osiągnąć? Ta litera jest łatwa do wyrycia, dlatego na niej zrobiłem próbę, ale myślę, że to samo można zrobić ze wszystkimi. I muszę mieć duże litery, cały alfabet. Z tym będzie trudniej, lecz mając formy, w taki sposób będę je wytapiać całymi tuzinami!

Mówił szybko, gestykulował, kręcił się niespokojnie. Musiał już pójść do warsztatu, a wolałby dalej pracować nad literami. Erika włożyła mu do ręki kawałek chleba i suszonej ryby. Od progu odwrócił się i zapytał:

– Mogłabyś mi pomóc? Nie jestem pewien, czy cyna jest dość wytrzymała. Odbijaj tę literę tyle razy, ile będziesz mogła. Jak wtedy, kiedy używaliśmy pierścieni. Muszę wiedzieć, ile wytrzyma.

Lorenz wyszedł. Zauważył, że patrzyła na niego z niepokojem: na pewno martwi się o niego, bo nie spał w nocy, nie zjadł śniadania. Wzruszyła go ta oznaka czułości, ale w tej chwili nie to było dla niego ważne. Radość z sukcesu przyćmiła dręcząca obawa. Skąd, u diabła, zdobędzie pieniądze na tak ogromną ilość metalu, potrzebną do wytopienia setek liter?



Kilka dni później Lorenz wybiegł szybko z warsztatu i z trudem łapiąc oddech, wpadł do domu. Ledwo otworzył drzwi, zobaczył porozwieszane we wszystkich możliwych miejscach sznurki uplecione z ostnicy, a na nich całe mnóstwo kartek z tekstem odpustu. Erika pracowała. Bardzo poważnie potraktowała pomaganie ojcu. Ponadto, mając zajęcie, mogła nie myśleć o nieszczęściu, jakie spotkało Matthiasa. Od śmierci Penroda malec prawie do niej nie zaglądał. Był najstarszym dzieckiem i mimo że lat miał niewiele, musiał pomagać matce. Stracił dziecięcą radość, w podkrążonych oczach malował się przemożny smutek. Dla Eriki drukowanie tekstów dla ojca było lekiem na przygnębienie.

– Dzień dobry, ojczu. Nie wiem, kiedy mi dzień minął. Jeśli mi nic nie przeszkodzi, jutro wieczorem będziesz mógł zanieść swojemu proboszczowi dużo odpustów.

– Dziękuję, córeczko. Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobił. – Lorenz przytulił ją lekko. Od czasu śmierci sąsiada przełamywał nieco swoją niemal chorobliwą nieśmiałość. Śmierć Pernoda i silne emocje, których był świadkiem, poruszyły go do głębi. I teraz starał się bardziej otwarcie okazywać uczucia. Dla Eriki i dla siebie samego.

Podszedł do paleniska, żeby pobudzić ogień do życia. Wpatrywał się w migające płomyki i myślał

o kolejnym etapie pracy nad swoim wynalazkiem.

Żeby zmniejszyć koszty metalu, zaczął próby z ołowiem, który z powodu ciężaru i nieciekawego wyglądu nie był ceniony przez rzemieślników i, co za tym idzie, nie był drogi.

Potem chciał do mieszanki dodać miedzi, co miało zwiększyć wytrzymałość sztabek, lecz okazało się, że topienie tego metalu przekracza możliwości jego niewielkiego paleniska.

Po kilku próbach uznał, że stop dwóch trzecich cyny i jednej trzeciej ołowiu da mu wystarczająco wytrzymały materiał. Dowodem tego były niezliczone kartki z odbitymi na nich literami „i”.

Gdy ten problem został rozwiązany, Lorenz stanął przed kolejnym, dużo poważniejszym. Wszystkie pieniądze wydał na próbowanie stopów i nie miał już za co kupić metalu na litery.

Na szczęście odpusty sprzedawane za przystępną cenę miały duże wzięcie wśród niezamożnych parafian ojca Martina. Byli wdzięczni za to, że zdobyli szansę życia w zgodzie z Bogiem dzięki niewielkiej kartce, którą zazdrośnie chronili i o której odczytanie prosili każdego, kto umiał i zechciał to zrobić.

Następnego dnia, w niedzielę, Lorenz wyszedł z domu o zmroku z pakunkiem owiniętym zielonym materiałem pod pachą. Niebo pokryte było niewielkimi, czerwonymi chmurami, połyskującymi na obrzeżach, powoli znikającymi za horyzontem. Szedł niemal pustymi ulicami, a kiedy zobaczył przed sobą sylwetkę kościoła Świętego Michała Archaniola, zwolnił kroku i rzucił okiem na stojących lub siedzących w pobliżu żebraków. Wiedział, że nie stanowią żadnego niebezpieczeństwa, lecz mimo to wyczuł pewne napięcie. A zaraz potem wyrzuty sumienia. Kilku spojrzło na niego hardo, kilku wyciągnęło żebrzącą dłoń, z głową opuszczoną, skrytą pod kapturem, świecącym się od starości i tłustego brudu.

Kilkoma krokami pokonał schody i przedsionek. W kościele umoczył palce w święconej wodzie, przeżegnał się i chwilę stał w ciszy. Szedł powoli bocznym przejściem; msza jeszcze się nie skończyła. Wierni wypełniający ławki w ciszy i uniesieniu wpatrywali się w ojca Martina Wahrheita. W starych kamiennych ścianach słychać było tylko śpiewny głos księdza i odgłos kroków Lorenza.

– Bóg, nasz Pasterz, czuwa nad wszystkimi swymi owieczkami. Dokąd doprowadziłoby nas zwątpienie w Jego dobroć? Jaki sens miałby świat bez prowadzącej dłoni Najwyższego, świat, w którym rządziłby chaos? Zaprawdę powiadam wam, że Bóg cieszy się, kiedy pragniecie sprawiedliwości, ale strzeże przed zwracaniem waszego gniewu ku Niemu zamiast ku tym, którzy odpowiedzialni są za ziemskie nieszczęścia, spowodowane przez człowieka. Bóg i nasz Pan Jezus Chrystus będą zawsze z nami w tej walce, bo Królestwo Niebieskie należy do potrzebujących. Nie lękajcie się. – I robiąc znak krzyża, zakończył: – Idźcie w pokój.

– Amen – jednym głosem odpowiedzieli wierni.

Lorenz odczekał chwilę, a kiedy przy prezbiterium nikogo już nie było, podszedł tam między ławkami. Na jego pełne szacunku powitanie ksiądz odpowiedział serdecznym skinieniem głowy. Usiadł w pierwszej ławce, w zadumie patrząc na wiszący przed nimi prosty drewniany krzyż.

– Czy wydaje mi się tylko, czy też rośnie liczba żebraków pod kościołem?

– Dzieci Boga nie poznaje się po ubraniu, ale prawdą jest, że dopiero po żniwach będzie ich więcej. Niedługo.

– Chwalebna jest wasza samarytańska postawa. Lubię tu przychodzić. Dobrze się tu czuję.

– Wiesz, że zawsze będziesz mile widziany, Lorenz. A jeszcze milej, kiedy przynosisz to, czym chociaż trochę można poprawić marny żywot tylu ludzi.

– Czasem wydaje mi się, jakbym miał ręce skalane, ojcze. Oczywiście cieszę się, że te odpusty

służą jakiemuś dobru, ale muszę się przyznać, że potrzebuję pieniędzy na kupno metalu... robię próby i eksperymenty, które chyba nikomu nie przyniosą pożytku... – powiedział Lorenz i podał księdzu zielony pakunek.

– Pamiętaj, że wyroki boskie są niezbadane. I pomyśl, że twoimi eksperymentami możesz pomóc, i to bardzo, tym, którzy takiej pomocy potrzebują. Jeśli o mnie chodzi, to, co robisz dla mnie, jest darem Boga. Daj się prowadzić intuicji, bo na pewno kieruje nią dobroć. Poczekaj tu na mnie.

Ojciec Martin poszedł z pakunkiem do zakrystii. Wrócił szybko. Podszedł do Lorenza i włożył mu do ręki garść monet. Zamknął ją z ciepłym uśmiechem. Rozmawiali jeszcze, dopóki nie pojawił się jakiś wierny ze sprawą do księdza.

Lorenz się zamyślił. Trzymane w dłoni monety ciążyły mu, ale nie zamierzał jeszcze raz tłumaczyć tego ojcu Wahrheitowi. To było tylko jego odczucie i tylko on musiał z tym walczyć. Połowę sumy wyda na metal, a za drugą kupi coś ładnego dla Eriki. Jego córka nie może bez końca cierpieć tylko dlatego, że los nie był łaskawy dla jej ojca, pomyślał Lorenz. Przeżegnał się i wyszedł z kościoła. Słońce zachodzące na szaroniebieskim niebie rzucało pomarańczowawe światło na kamienne ściany domów. Poczul na twarzy lekki powiew wiatru.

Lato zaczęło się deszczami. W Kolonii, położonej nad rzeką, nie było to nic dziwnego – bliskość wody sprzyjała częstym opadom. Roślinność, gęsta, zielona i ciemna, pokrywała tereny wzdłuż brzegów, ciepłe dni sprawiały, że wszystko rosło z oszalamiającą szybkością. Rzadko używane ścieżki znikwały pod warstwą napierającej zieleni, a zapracowani wieśniacy musieli pilnować, by chwasty nie rozpleniły się na polach. W deszczowe dni świt wstawał późno, gdyż niebo pokryte było chmurami, które nie przepuszczały słonecznego światła. Nurt Renu, srebrzysty, rwący, płynął wartko, popędzany milionem kropel. W mieście woda zbierająca się na okapach dachów spadała strumieniami na przechodniów.

Owinięta peleryną postać szła szybko ulicą, uciekając przed strugami deszczu. Buty miała misternie wykonane z cienkiej, zdobionej wzorami skóry, z długim skórzanym paskiem, który od kostki owijał całą łydkę. Po białych, gładkich policzkach spływały łzy. Kobieta szła po mokrej ziemi krokami krótkimi, zdecydowanymi. Wiedziała, dokąd idzie.



Ernest Blum zawsze bardzo wcześnie przychodził do pracy. Jeszcze przed wschodem słońca zamykał drzwi wygodnego domu i zapuszczał się w wąskie uliczki, prowadzące do warsztatu, który odziedziczył po swoim ojcu, a ten po swoim; od chwili powstania warsztat pozostawał w tej samej rodzinie. Ernest pracował według narzuconej sobie rutyny i zaczynał każdy dzień kolejno od ważenia metalu, przedmiotów już wykonanych i tych, nad którymi rzemieślnicy jeszcze pracowali. Robił to bardzo dokładnie, zapisywał każdą ilość, dodawał i odejmował. Musiał wiedzieć, ile materiału kupił, ile mu zostało, ile zużył. Jeśli rachunki się nie zgadzały, co zdarzało się dość często i zwykle przez jakąś pomyłkę, wyładowywał złość na pracownikach, którzy musieli się w takie dni mieć na baczności. Często wybierał sobie któregoś rzemieślnika i obserwował – czy go nie okrada, czy na pewno uczciwie pracuje. Chociaż rzemieślnik był niewinny – z góry można było tak założyć, gdyż nikt w warsztacie nie zamierzał być złapany na gorącym uczynku – czuł się w takim dniu jak nędzny złodziej.

Ernest Blum nie miał wielkiego talentu do złotnictwa, ale doskonale wiedział, kiedy go oszukiwano. Od bardzo dawna większą uwagę poświęcał poznawaniu natury ludzkiej niż pracy w metalu. Przejął interes po przedwczesnej śmierci ojca, któremu na spacerze cegła spadła na głowę. Od tamtej pory prześladowały go przeróżne manie, podobnie jak i wielu mieszkańców miasta, z biegiem lat narastające. I było ich coraz więcej. Poza tym, że na ulicy siedł zawsze przyklejony do ściany, nigdy nie przeszedł pod drabiną, na widok czarnego kota zawracał i wybierał inną drogę, obserwował loty czapli, chociaż nie miał pojęcia, jak je interpretować, nie brał do ręki lustra, bojąc się, że je stłucze, i bardzo uważał, aby nie rozsypać soli.

W młodym wieku udało mu się zdobyć tytuł mistrza, jeszcze za życia ojca. Dziadek, który już wówczas nie zajmował się zawodem, wstawił się za nim – choć niechętnie – u swoich wpływowych przyjaciół, powołując się na długi wdzięczności. Dziadek Blum należał do starej gwardii tych, którzy tworzyli nową rzeczywistość i uważali, że tylko oni potrafią dokończyć tego dzieła. Ernest zdał w końcu egzamin dzięki temu, że głosował za nim przewodniczący komisji. Musiało to dziadka

kosztować sporo guldenów, myślał Ernest, który uważał, że w tym pieskim życiu nikt niczego nie robi za darmo. A potem doszło do tragedii – w pożarze domu zginęła jego córka. Te dwie przedwczesne śmierci, ojca i jedyne dziecko, odebrały mu hart ducha i naznaczyły jego charakter głęboką urazą. Żona się od niego odwróciła. Prawdę mówiąc, odwróciła się od całego świata. Odmówiła kontaktu z kimkolwiek, przestała wychodzić z domu, całymi dniami nie rozmawiała z nikim poza warsztatem. Właściwie i tam w ogóle się nie odzywała.

Ernest kończył obliczenia z poprzedniego dnia, kiedy otrzymał ważne zamówienie. Ni mniej, ni więcej, tylko cała zastawa ze srebra i złota, bogato dekorowana. Sprawdził listę zakupionych surowców. Jediną niewygodą było to, że klient przysyłał własnego rysownika, który miał przygotować szablony ze wzorami. Mistrz Blum nie był przyzwyczajony do tego, żeby ktoś obcy kręcił się po warsztacie, ale musiał się zgodzić na ten warunek, jeśli chciał przyjąć zamówienie. W końcu, pomyślał, będzie to uciążliwe dla tego, komu Ernest zleci zrobienie tych przedmiotów; pechowy rzemieślnik będzie musiał znosić obecność obcego, który będzie się we wszystko wtrącał. Na twarzy Bluma pojawił się złośliwy uśmiech: już zdecydował, że powierzy tę pracę Lorenzowi. Dobrze wykona robotę, a skoro jest taki uprzejmy, bez trudu spełni wszelkie żądania.

Usłyszał głośne stukanie do drzwi. Było za wcześnie na czyjekolwiek wizyty. Zostawił rachunki i poszedł otworzyć.

– Dzień dobry. Wy jesteście Ernest Blum?

– A kto pyta? – Właściciel warsztatu spojrział na twarz ukrytą w półcieniu. Twarz kobiety, to pewne; poznał po głosie i delikatnych ruchach.

Bez słowa podała mu list. Ernest Blum się nie spieszył. Przeczytał go powoli, po czym spojrział na dziewczynę z mieszaniną zdziwienia i rezygnacji. Zapytał tylko:

– Kiedy chcecie zacząć...? – Rzucił okiem na list. – Frau Berg?

Nieznajoma kobieta zrobiła krok do przodu i przekroczyła próg. Skryta przed deszczem, zdjęła pelerynę i odsłoniła olśniewającą twarz. Mimo wilgoci jasne włosy błyszczały. Przy każdym ruchu głowy luźno puszczone pasma nakładały się na siebie, mieszały, rozdzielały, spadały na twarz. Dłonią białą jak marmur chwyciła jeden kosmyk i wsunęła za ucho. Wzrok miała jasny, przejrzysty. Proste brwi nad ciemnoniebieskimi oczami uwydatniały inteligentne spojrzenie. Były ciemniejsze niż włosy. Na gładkiej twarzy, na którą padało nieco światła z rozstawionych w całym warsztacie świec, odbijały się alabastrowe błyski jak na niektórych złotych i srebrnych przedmiotach. Cała postać wyglądała jak dzieło złotnika, pomyślał Ernest. Czekał na odpowiedź.

– Najlepiej od razu, dzisiaj. Chciałabym zobaczyć, jak pracuje mistrz złotniczy takiej miary jak wy – odparła z wystudiowanym ruchem dłoni.

Mile polechtany tymi słowami Ernest przez chwilę pomyślał, że sam wykona zamówienie, ale miał inne sprawy na głowie. Ponadto nie miał zbyt wielkiego zaufania do umiejętności kobiet. Uważał, że ich miejsce jest w domu. I być może w jakiejś innej profesji, ale nie w złotnictwie. Przyjął jednak warunki i wstępną zapłatę; za późno było, by się wycofać.

– Dobrze. Jak widzicie, nikt jeszcze nie przyszedł do pracy. Możecie odejść teraz i wrócić w południe. Ja jestem bardzo zajęty, więc polecę wam jednego z moich pracowników. Kiedy wrócicie, będziecie mogli zacząć.

– Dziękuję. Bardzo bym chciała już się do tego zabrać. Opowiadano mi niezwykle rzeczy o jakości prac pochodzących z tego warsztatu.

– Istotnie, mamy poważnych klientów – odparł zadowolony Ernest.

– Tak słyszałam. – Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Proszę wrócić w południe – powtórzył mistrz. – Będę miał czas przygotować rzemieślnika do

nowego zadania i do... waszej wizyty.

Dziewczyna skinęła głową. Pożegnała się lekkim ukłonem, narzuciła kaptur i wyszła. Przez chwilę, wystawiwszy głowę przez próg, Ernest przyglądał się, jak odchodzi w deszcz. Podrapał się w głowę i zamknął drzwi z rzadką u niego delikatnością.



Lorenz przyszedł do warsztatu o zwykłej porze. Noc miał złą, spał mało i krótko, co mu się ostatnio często zdarzało. Z wynalazkiem szło mu coraz lepiej, jednak praca przy złozeniu litery na każdej formie była tak monotonna, że czasem miał wrażenie, iż posuwa się do przodu w zółwym tempie, i zastanawiał się, czy to wszystko warte jest zachodu: dodatkowy wysiłek po całym dniu pracy w warsztacie, wykradanie godzin, które mógłby spędzić z córką, i tych przeznaczonych na odpoczynek.

W dni, kiedy ogarniały go takie pesymistyczne myśli, czas poświęcany na pracę nad wynalazkiem wydawał się stracony. To prawda, miał wtedy obok siebie Erikę, która ze wszystkich sił starała się mu pomagać. Nie wiedział, co nią powodowało. Czy zaraził ją namiętnością do pisma, czy pomaga mu, bo lubi dobrze wykonaną robotę, czy może dlatego, że są wtedy razem? Gdy przypominał sobie Ebbę, rozpacz, która jak cienki woal przesłaniała mu spojrzenie, znowu nabierała ostrości. Wtedy ślęczenie nad literami go męczyło, chwile poświęcone każdej formie dłużyły się i ciążyły jak kara. Ogarniała go straszliwa pustka.

Wszechobecny metaliczny dźwięk unosił się już w warsztacie, kiedy Lorenz usiadł przy swoim stanowisku. Tym razem nie przyszedł ostatni, ale też nie pierwszy. Dwaj jego towarzysze już pracowali, a trzeci, Bertram – od ponad trzydziestu lat pracujący w warsztacie – opowiadał coś szeptem Ernestowi. Bardzo często to robił. Lorenz skupił się na swojej robocie. Narzędziem z rogu bawołu uderzał w metal leżący na woreczku z piaskiem i już kilkoma uderzeniami uformował doskonały kształt miseczki. Ernest przerwał mu i powiedział:

– Chodź ze mną na chwilę.

Z pochyloną głową Lorenz poszedł w głąb warsztatu. Przy jego szczęściu nic dobrego tam go nie czekało.

Ernest usiadł, lecz nie zaproponował krzesła Lorenzowi.

– Zrobisz nowe zamówienie zdobionej zastawy. Klient przysyła kogoś, kto przygotowuje rysunki. Będziecie razem pracować.

Lorenz stał nieporuszony. Jeśli będzie musiał pracować z kimś obcym, wykonanie przedmiotów zajmie dużo więcej czasu. Już widział siebie, jak po raz kolejny coś poprawia, póki nie zadowolą rysownika. Poza tym nie lubił rozmawiać. Jednak nie mógł odmówić, nic by mu to nie dało.

– Dobrze. Kiedy chce zacząć? – zapytał. Pomyślał, że milczenie będzie potraktowane jak arogancja.

– Dzisiaj. I niedługo przyjdzie. Życzę sobie, żebyś się odpowiednio zachował wobec tej panny. Nazywa się Olga Berg. Klient dobrze płaci, a zamówienie jest duże.

Usłyszawszy słowo „panna”, Lorenz nie potrafił ukryć zdumienia. Ernest jakby na to czekał, kryjąc spojrzenie pod krzaczastymi brwiami.

– Co, nie podoba ci się?

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu się zdziwiłem.

– No, to wracaj do roboty. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz.

– Proszę się nie martwić.

Ze swojego ciemnego kąta Ernest obserwował idącego przez warsztat zięcia. Wiedział, że

Lorenz jest najcierpliwszy ze wszystkich rzemieślników i ze stoickim spokojem wykona każde zadanie. Uśmiechnął się krzywo, odsłaniając przy tym resztki pożółkłych zębów.

Johann przytrzymał zielony beret, którego o mało co wiatr mu nie zdmuchnął z głowy. Wspinał się z trudem pod górę ulicy prowadzącej do domu profesora Stana Weiganda. Był do niego zaproszony na obiad. Księgarz nieczęsto zamykał sklep, gdyż nigdy nie wiadomo było, kiedy pojawi się jakiś klient, ale wobec nalegań profesora nie pozostało mu nic innego, jak przyjąć zaproszenie. Upał już dawał się we znaki.

Zastukał trzy razy kołatką. Drzwi otworzyła Jana, służąca, wywodząca się z Pilzna, kobieta w zaawansowanym wieku i nieco przygłucha, i poprosiła, aby poszedł na dziedziniec z tyłu domu. Profesor Weigand, w czerni od stóp do głów, siedział przy małym stoliku z litego drewna, czytając książkę. Na widok Johanna wstał, jego zwykle zatroskane oblicze rozjaśniło się i zaraz pojawił się uśmiech obramowany perfekcyjnie zadbaną brodą; dbałość profesora o wygląd nieustannie zdumiewała księgarza.

– Johann, proszę, wejdz... – przywitał go profesor. Uścisnął jego dłoń i poprowadził do krzesła.

– Co czytasz? – spytał Johann, idąc za nim.

– Wreszcie kończę Wieśniaka z Bohemii Johannesesa von Tepla.

Księgarz otworzył szeroko oczy.

– Udało ci się to zdobyć? – zdziwił się.

Weigand skinął głową z zadowoloną miną.

– Mam jeszcze przyjaciół na Uniwersytecie w Pradze, którzy robią mi takie prezenty. Ale nie dlatego cię zaprosiłem, tylko z powodu tego tutaj...

Pochylił się i podniósł coś z ziemi. Postawił na stole małą baryłkę.

– Yago był uprzejmy spełnić zawiązka moje skromne życzenie i przywiózł z Frankfurtu apfelwein, kilka buteleczek. To najlepszy jablecznik w całym imperium! – zawołał, poklepując baryłkę. Napełnił szklanice. – Proszę.

Johann się uśmiechnął. Pomyślał, że źródłem tego pogodnego nastroju, nie tak częstego u profesora, był próbowany wcześniej trunek.

– Zaczekamy na Yagona. Przywiózł więcej jablecznika, niż go prosiłem, sprawił mi tym wielką przyjemność. Zaprosiłem go na obiad, żeby mu podziękować. Moja kucharka przyrządza wspaniałe perliczki. Tobie też jestem winien wdzięczność za twoje książki, opinie... i za sznapsa, którego wypijamy w pokoiku za sklepem.

Johann nie uważał, że należą mu się jakieś dowody wdzięczności.

– Wiesz przecież, że lubię takie wizyty. W mojej pracy wiele godzin spędzam sam albo mam krótkie spotkania z klientami, jeśli można to tak nazwać. Więc o ile tylko twoje obowiązki na uniwersytecie pozwalają ci na odwiedzanie mnie, będziesz miłym gościem.

Na wspomnienie uniwersytetu profesor zamyślił się na chwilę.

– To mi przypomina, że dzisiaj po południu oczekuję dwóch studentów. Jeden z nich to młody człowiek, który ma zostać nauczycielem, ma wielką intuicję. Zdolności tego drugiego są raczej mierne, ale nadrabia uporem i wytrwałością, co wielu innym by się przydało.

Johann słuchał, popijając trunek. Stan cieszył się sławą surowego i wymagającego profesora, ale też był swoim studentom bardzo oddany i w każdej chwili do ich dyspozycji. Nie irytował się, kiedy

domagali się odpowiedzi na te same pytania i dyskusji na te same tematy. Lecz jeśli ktoś okazał się leniem – a takich nie brakowało – profesor nie miał dla niego litości.

– Nasza obecność nie będzie przeszkadzać?

– Nie, nie. Spodziewam się ich po zachodzie słońca. A obiad skończymy dużo wcześniej... tak myślę. – Uniósł brwi; wyglądał, jakby na coś czekał.

– Dzień dobry... Coś takiego, Johann! Co za miłe spotkanie, i w cieniu – usłyszeli głos Yagona.

Pojawił się na dziedzińcu odziany w elegancki kaftan w kolorze ciemnego szkarłatu i ciemnobrązowy turban. Przez ramię przewieszoną miał osobliwie wyglądającą torbę z pięknie wyprawionej skóry. Uścisnął dłonie obu mężczyzn i szybko usiadł. Z radością przyjął szklanice jablecznika od profesora. Ale wzrok miał niespokojny. Widząc zaintrygowane spojrzenie Johanna, powiedział w końcu:

– Mam dla was niespodziankę.

Położył tę dziwną torbę na stole i wyjął z niej książkę. Stan i Johann spojrzeli na nią z przejęciem, zupełnie jak gdyby kupiec otwierał przed nimi kufer ze skarbami.

– Natknąłem się na to dzieło w czasie poprzedniej podróży, ale trzymałem w domu, trochę ze strachu, żeby nie zginęło, a trochę z egoistycznych pobudek. Wyznam wam, że wysoko sobie cenię tę rzecz, i mam nadzieję, że docenicie to, że się nią z wami dzielę. Długo jej szukałem, rozpytywałem wśród tych, którzy mogliby cokolwiek wiedzieć, ale wymykała mi się jakby za sprawą czarodziejskich sztuczek. Gdy tylko natrafiłem gdzieś na jej ślad, zaraz zniknęła w magiczny sposób. Z Toledo musiałem jechać do Ruidery, gdzie znajdują się słynne laguny. I tam po raz kolejny zrozumiałem związek między literaturą i rzeczywistością: okazuje się, że te laguny stanowią część rzeki Guadiany, ale nigdzie nie widać jej wód. Podobno całymi kilometrami nurt rzeki biegnie pod ziemią. Chociaż nikt tego nie wie na pewno.

– A co to ma wspólnego z literaturą? – spytał Johann. Uniósł brew ze zdziwieniem i pociągnął łyk ze szklanicy.

– Moja książka zniknęła bez śladu w Ruiderze. Rozczarowany i zmęczony poruszaniem się po strasznych drogach spędziłem tam kilka dni, póki nie zapragnąłem wrócić do mojej drogiej Nadrenii. Podróż przez miasta Hiszpanii przebiegła spokojnie. W Barcelonie zatrzymałem się na trochę, chcąc jeszcze raz nacieszyć oczy widokiem Morza Śródziemnego. Czuję, że prowadzi mnie niewidzialna ręka. Jak zaczarowanego, kroki przywiodły mnie do małej zatoki, gdzie, zapominając o czasie i biegając po piasku, zniszczyłem obuwie. Ten szelma czas mknął jak szalony, przesypuje się jak morski piasek, mięciutki, kiedy śący się między palcami... te mikroskopijne ziarenka... wyslizguje...

– Może byś trochę przyspieszył opowieść, Yago? Jutro muszę wstać o świcie i nie chciałbym... – przerwał profesor z lekką ironią. Wiedział, że kupiec bardzo lubi upiększać swoje relacje.

– Wybaczcie, panowie, moje dywagacje. Opowiadam więc dalej. – Odchrząknął. – W pobliżu, na piasku siedział dziwny człowiek, wyjątkowo chudy. Nie patrząc na mnie, przesunął się i usiadł obok. Zamierzał zacząć nowe życie i pozbywał się wszystkiego, co mu zawadzało. W dzielnicy garncarzy znalazł podupadłą gospodę, gdzie sprzedał ubranie. Ale jeszcze coś mu zostało, ostatnia rzecz, najcenniejsza.

Opowiadając, Yago robił dramatyczne przerwy, co słuchających na ogół doprowadzało do rozpaczki. Ale teraz i księgarz, i profesor z uwagą chłonęli jego słowa.

– Oczywiście pomyślicie sobie: zwykły oszust, podchodzi do ciebie z dobrym słowem, a jedyne, czego chce, to ulżyć ci w noszeniu sakiewki. W Kolonii też są tacy. Ja również tak myślałem. Ale nawet nie wyobrażacie sobie mojego zdumienia, kiedy pokazał mi, co to było.

Yago rozwiązał sznurek i skórzana torba się otworzyła. Powoli wyjął jakiś przedmiot. Była to książka, zniszczona, z poszarpanymi okładkami. Porysowana skóra świadczyła o jej długim i burzliwym życiu.

– I to było to – powiedział, podnosząc książkę. – To, czego szukałem. Jak ja się czułem, kiedy wziąłem ją do ręki i przeczytałem tytuł! Łzy mi w oczach stanęły, tak silną wzbudziło to we mnie emocję.

– Jeśli nie sprawimy kłopotu, Herr Kaufmann, czy zechcielibyście powiedzieć nam, o jaką książkę chodzi? – spytał kąśliwie Weigand.

– Ach! Nie powiedziałem wam? Gdzie ja mam głowę. Nazywa się O tym, jak Trzej Królowie ze Wschodu spotkali Pana i czego ów dokonał w ciągu tak krótkiego życia. Tytuł długi i niezbyt atrakcyjny jak na inspirującą treść zawartą na jej stronach. Napisana jest dziwną mieszaniną kastylijskiego i aragońskiego. Opisuje dzieje Jezusa i wydarzenia, które były nam nieznane. Jest to dialog między dobrem i złem, a personifikacją jednego i drugiego jest dwóch pogańskich złodziejasków. Jeden z nich, ten dobry, w dzieciństwie zetknął się z boskością: włożono go do tej samej wody, w której obmywany był Jezus, i krósty pokrywające ciało tego nieszczęśnika, a był dotknięty trądem, zniknęły jak ręką odjął. Naturalnie, kiedy spotyka Mesjasza na krzyżu, nie rozpoznają się z powodu upływu czasu. Dimas, jak nazywa się dobry złodziej, zawiera mądrości Pana i przyjmuje wiarę chrześcijańską, Gestas zaś, zły złodziej, trwa w pogaństwie.

Popijając jabłecznik, Yago po mistrzowsku ciągnął opowieść. Potrafił kilkoma słowami rozbudzić zainteresowanie w słuchaczach. A kiedy skończył, i profesor, i księgarz delikatnie dotykali jego skarbu, jakby chcieli również palcami wchłonąć tę historię, to spojrzenie na świat z innej perspektywy, świadectwo epoki, która nie wróci, inny niż kanoniczny opis znanego wszystkim wydarzenia.

I tak krytyk naturalista Stan Weigand oraz księgarz Johann Buchmann dali się uwieść niezwyklej opowieści. W tajemniczy sposób obaj oczami wyobraźni zobaczyli Yagona przesypującego między palcami piasek na dalekiej południowej plaży. Obdarzeni jego światłem, zauważyli, że im mocniej zaciska pięści, tym szybciej umykają mikroskopijne ziarenka. Dostąpili wtajemniczenia: dzielili jego odkrycia, jego ambicje, jego frustracje, jego pragnienia. Nie mogła istnieć między nimi silniejsza więź.



Wejście Jany z perliczkami przerwało kojącą ciszę. Trzej przyjaciele spojrzeli na nią i się uśmiechnęli. Widok był niezwykle: stara służąca przygotowała dla nich wspaniałą ucztę. Jana służyła w rodzinie profesora od czasu, gdy jako bardzo młoda dziewczyna przyjechała do Kolonii. Przy stole zastawionym potrawami rozmowa potoczyła się dalej.

– Johannie, czy widziałeś ostatnio Lorenza? Wiesz może, jak idzie praca nad jego pomysłem?

– Posuwa się do przodu. Po kilku pierwszych próbach, niezbyt udanych, odpusty wyglądają pięknie. W rzeczywistości dużo ich kopiuje jego córka, ma trzynaście lat. A to oznacza, że wynalazek się sprawdza.

Weigand spojrział wyczekująco, spodziewając się, że wyjaśni mu, o kogo chodzi.

– Chyba mówiłem ci o nim, kiedy się ostatnio widzieliśmy – powiedział Johann. – To złotnik, który wymyślił sposób, aby można było szybciej robić kopie książek. I mam nadzieję, że niedługo weźmie udział w którymś z naszych spotkań.

Obgryzając kostkę perliczki, profesor skinął głową.

– Musisz go poznać – dodał Yago – uważam, że to człowiek o niezwyklej intuicji. Wrażliwa dusza.

– Masz rację, Yago – przytaknął księgarz. – Rozmawiałem o nim z ojcem Martinem. Jest zachwycony i Lorenzem, i tym, co dla niego robi. Ktoś inny na jego miejscu wykorzystałby pomysł do wzbogacenia się, a on tymczasem pracuje dla tego, który potrzebuje pomocy. Myślę, że któregoś dnia przyprowadzę go na uniwersytet, żeby poznał to miejsce – dodał, zwracając się do profesora. – To człowiek, którego muzyka wtapia się w melodię, jaką grają ludzie tacy jak wy.

Yago i profesor spojrzeli z lekką ironią. Odezwał się Weigand:

– Drogi i szacowny Johannie, myślę, że dobrze by ci zrobił odpoczynek od czytania poezji. Taki okres abstynencji sprawiłby, że twoich rozmów, zawsze wyważonych i ciekawych, nie ubarwiałyby metafory godne zakochanego trubadura.

Księgarz się uśmiechnął, nieco zarumieniony.

– Dobrze, już dobrze. Wiecie, o co mi chodzi. Wierzę w to, co on wymyślił, i wierzę, że wszystkim będzie przydatne.

– Chciałbyś pozbawić pracy kopistów i wyrugować ten szlachetny zawód? Lepiej, żeby tego nie usłyszano na uniwersytecie... – odparł profesor.

– Myślę raczej o rozpowszechnianiu wiedzy – wyjaśnił księgarz.

– Rozpowszechnianie wiedzy to nie tylko książki, Johannie.

– Jak to? – wtrącił Yago.

– Do czego może służyć narzędzie, jeśli nie wiesz, jak go używać, Yago? To samo dotyczy książek i umiejętności czytania. Wiecie, jaki mam zawód: jestem profesorem. Studentom potrzebny jest ktoś, kto nimi pokieruje, pomoże zrozumieć to, co czytają. A moi uczniowie mają za sobą długie lata nauki.

Johann pokręcił głową.

– Nie próbuj przyjmować postawy szerzonej przez Kościół. Przypomnę ci, co powiedział Sokrates: wiedza jest cnotą. I dlatego może być przyswojona. Więc czemuż nie za pomocą dobrej książki?

– Tak, przyjmijmy, że wiedza jest cnotą, zatem czymś niematerialnym. Będzie więc przymiotem duchowym, a te, jak wiadomo, nie u każdego człowieka wystąpią w jednakowym stopniu. Dlatego...

– ...znajdą się tacy, którzy nie będą mieć żadnych predyspozycji do nabywania wiedzy – dokończył Yago.

Profesor uśmiechnął się z zadowoleniem. „Pokierował” Yagona ku właściwemu wnioskowi.

– Nawet mi przez myśl nie przechodzi, że jest jakieś podobieństwo pomiędzy twoją pracą a tym, czym zajmuje się ksiądz ze swoimi kazaniami... – ironizował Johann, wiedząc, że profesor nie sympatyzuje z klerem. Weigand odchrząknął.

– Wiesz doskonale, że różnice są ogromne. Ja jestem badaczem świata materialnego. Kościół opiera się wyłącznie na wierze, tak jak i jego poglądy oraz dogmaty. Naszym kredo są słowa Protagorasa: człowiek jest miarą wszechrzeczy. Materialnych i niematerialnych. A nie Bóg, który nas stworzył i obdarzył inteligencją.

Yago usiadł wygodniej w krześle. Lubił dowody autentycznej pasji u osób, które czują, że mają jakąś misję do spełnienia. Ściszył głos, mówiąc:

– Uważaj na swoje słowa. W tym mieście w niejednym krew by zawrzała, gdyby cię usłyszał.

– Ale mam rację! Wiedza jest wytworem zmysłów i zdolności i dlatego jest to dzieło wyłącznie ludzkie, a nie boskie. Pamiętasz, jaką książkę czytałem, kiedy przyszedłeś?

– Naturalnie. Wieśniak z Bohemii.

– No właśnie. To wspaniała książka. Po śmierci ukochanej żony wieśniak spotyka Śmierć.

Nawiązuje się między nimi dialog, jaki można by usłyszeć w sądzie. Śmierć staje w obronie klasycznej postawy: niewolnik jest niewolnikiem, pan jest panem. Ludzie na próżno się wysilają i próbują cokolwiek zmienić, życie ziemskie nie jest nic warte. Tak to widzi Kościół. A co na to powiada wieśniak? Że człowiek jest najwspanialszym, najbardziej niezależnym, najbardziej twórczym dziełem Boga. Wyobrażasz to sobie? Wyobrażacie to sobie? – dodał, spoglądając na Yagona.

– Tak. Tak właśnie myślał Protagoras.

– I kto zwycięża w tej słownej potyczce? Jak się kończy? – spytał z ciekawości kupiec.

– Jeszcze nie doszedłem do końca. Ale powiedziano mi, że na końcu pojawia się Bóg i przyznaje wieśniakowi pierwszeństwo za odwagę, chociaż Śmierć i tak go zabiera, gdyż nikt nie ucieknie przed prawami natury. Mógłbyś i ty to przeczytać. Język jest bogaty, lecz nie patetyczny. Poza tym formą narracji jest dialog, tak jak w pismach Platona. Ach, moi ukochani helleńscy twórcy! Czy wiedzieliście, że sztuki przedstawiane w teatrach służyły im do kształcenia ludzi w kwestiach politycznych? To nie to, co nasze czasy, gdy organizuje się tylko rozrywki dla gawiedzi i wpycha do głów otępiające umysł idiotyzmy... – Zwykle blada twarz profesora pokrywała się rumieńcem, w miarę jak coraz bardziej żarliwie wygłaszał swoje poglądy. Johann odkaslnął.

– Dialog... – zaczął. – Czy nie tego starasz się uczyć swoich studentów?

– Wiesz przecież, Johannie, brałeś kiedyś udział w jednym z naszych konwersatoriów. Przy okazji, proszę, przyjdźcie mnie odwiedzić, kiedy tylko zechcecie, ty i ten Lorenz. Dialog stanowi formę nauki nie tylko dla ucznia, ale i dla uczącego. Różne opinie wzbogacają wszystkich, a pytania i wątpliwości ucznia zmuszają profesora do pogłębiania własnej wiedzy, organizowania myśli, zauważania ewentualnych błędów w swoich teoriach i znajdowania sposobów ich naprawienia.

– Tak właśnie dzieje się, ilekroć się spotykamy, profesorze – oświadczył księgarz. – Nawet kiedy dużo nie zjem ani nie wypiję, zawsze wychodzę stąd syty, nakarmiony mądrością i chęcią dowiedzenia się czegoś więcej.

Wszyscy się roześmiali. Profesor jeszcze raz napełnił szklanice wspaniałym frankfurckim jabłecznikiem, a Jana wniosła tace z deserami.

– Dobrze nam zrobi ten napój – powiedział Johann. – Dialog ma tę niedogodność, że w ustach sucho, a i język przysycha do podniebienia. A więc wypijmy za naukę!

Trzej mężczyźni, śmiejąc się, wzniesli szklanki. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Kolejny dzień dołączał do sumy dni minionych i potwierdzał odczucia Yagona na barcelońskiej plaży. Czas mknął jak szalony.

Wczesnym popołudniem przed wielkim portalem zamku Otisa Wolffa rozległ się głos domagający się otwarcia drzwi. Sam Wolff, zagłębiający w lekturze książki o kawalerii, nie słyszał wołającego. Ani jego żona, Roderica, siedząca obok i zajęta haftowaniem na tamborku. Tym bardziej niczego nie słyszały ich dzieci, odpoczywające po obiedzie w ciszy swoich sypialni. Jedyne służba, jak zawsze zajęta codziennymi obowiązkami w zamku, zareagowała na wołanie.

Forteca rodziny Wolffów stała na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na Waldrand. Położone nieopodal wielkiego miasta Kolonii, to małe miasteczko początkowo było osadą zamieszkaną przez wieśniaków, którzy pracowali na ziemiach feudalnego pana. Po przeciwnej stronie zaczynał się las. Z biegiem lat Waldrand rozrosło się i nie tylko służyło klanowi Wolffów, ale też było miejscem dobrze prosperującego handlu i rzemiosła.

Pomimo że od czasu wojen krzyżowych feudalizm stopniowo, lecz nieubłaganie chylił się ku upadkowi, Otis Wolff walczył o zachowanie systemu, który od niepamiętnych czasów przynosił rodzinie olbrzymie dochody. Od wieków okoliczne ziemie znajdowały się w rękach rodziny i Otis żył w przekonaniu, że miasteczko na nich powstałe tylko Wolffom zawdzięcza swoje istnienie i rozwój.

Podniósł wzrok znad książki, odłożył ją i podszedł do okna. Znajdował się w jednym z pomieszczeń wieży, zwanej wieżą hołdu, gdyż tam odbywał się rytuał składania hołdu przez wasali. Przyglądał się przez okno rozrzuconym u stóp wzgórza domom. Otis Wolff należał do tych, którzy uważali, że jego pańszczyźniani chłopci, żyjący poza murami miasta, powinni być mu wdzięczni za strawę, jaką im zapewnia. Był przekonany, że panujący system jest najlepszy z możliwych i że wszyscy są tego samego zdania. Niektóre chłopskie rodziny od pokoleń żywiły się owocami tej ziemi. I nie zamierzały jej porzucić. Żaden z jego chłopów nie prosił o pozwolenie odejścia. Nie trzeba nawet wspominać, że gdyby to zrobił, Otis by się nie zgodził. Utrata lennika oznaczała konieczność znalezienia innego, godnego zaufania, a nie było to łatwe w czasach, w których zaraza podstępnie atakowała ciała, gotowa zniszczyć wszystko.

Wyzwoleni wieśniacy też nie odchodzili, co nie dziwiło Otisa; płacili niewiele za uprawę bardzo żyznej ziemi, a stawienie się zbrojnie na wezwanie seniora od lat nie było wymagane. Widząc, jak w czerwcowym słońcu zbierają plony ostatnich ozimych zasiewów, pomyślał, że może nadeszła pora podwyższenia podatku. Jako senior tych ziem musiał dbać o reprezentację i dochody – i to mógł być jeden ze sposobów na ich zwiększenie. Wiele posiadłości, jak zamki czy wioski, poddzierżawił rycerzom ze szlacheckich rodów, którzy zawarli z nim umowy wasalne, lecz kilku nie wywiązywało się z płatności. Taki niewdzięcznik potrafił nawet zmarnować najpiękniejszą ceremonię składania hołdu, w czasie której miał otrzymać potwierdzenie swojego lenna.

Nie można też było zapominać o tworzącej się w miastach nowej klasie, mieszczanach, którzy początkowo odgrywali służebną rolę. Ale w miarę jak handel się rozwijał, także poza murami miasta, i rósł dobrobyt, zaczęli żądać coraz więcej praw. Głównym celem tych żądań było znalezienie dla siebie miejsca wśród klasy uprzywilejowanej. A żeby tak się stało, zabiegali o przestrzeń należącą do arystokratów, stopniowo tracących przywileje przypisane im z urodzenia.

Rozmyślając tak, zobaczył, że ktoś idzie przez plac i zbliża się do wieży. Zmarszczył ze zdziwienia brwi, ale gdy rozpoznał mężczyznę, uśmiechnął się figlarnie. Żonie, wciąż zajętej haftem, nic nie powiedział.

Niedługo czekał na pojawienie się służącego.

– Herr Nikolas Fischer prosi o posłuchanie, panie.

– Każ wejść – powiedział Otis, gładząc sumiaste wąsy, poprzetykane siwizną.

Kiedy mówił, wąsy poruszały się wraz z ruchem ust. Mała i spiczasta broda oraz haczykowaty nos sprawiały, że wyglądał jak drapieżny ptak dziobiący kawałek mięsa.

Żona, kobieta wielkiej tuszy, odłożyła na bok robótkę, zamierzając wyjść z pokoju, by nie przeszkadzać mężowi w spotkaniu z drogim przyjacielem. Zawsze to robiła, ilekroć przyjmował wizyty. Tym razem Otis ją zaskoczył: poprosił, aby została. Usiedli oboje w fotelach ustawionych naprzeciwko drzwi. Z uprzejmym wyrazem twarzy i wzrokiem skierowanym ku wejściu oczekiwali gościa. Na moment zanim zawsze elegancka postać Nikolasa ukazała się ich oczom, pod sumiastym wąsem Otisa pojawił się szeroki uśmiech.

– Drogi Nikolasie, jakże cieszy mnie wasza wizyta. – Podniósł się, a za nim, z dużym wysiłkiem, wstała z fotela Roderica.

Kopista wykonał głęboki ukłon przed arystokratą, po czym ucałował pulchną dłoń jego małżonki, ozdobioną wspaniałymi klejnotami. Na szyi miała zawieszoną równie olśniewającą kolbę. Tłuste ciało przelewało się ponad prostą linią dekoltu brokatowej sukni.

– Otisie, Roderico. Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale idę prosto z warsztatu introligatorskiego i przynoszę coś dla was.

Roderica spojrzała na męża z niepewną miną, ale słowa przybysza ją zaintrygowały.

– Nigdy nam nie przeszkadzacie, Nikolasie. Zechciejcie usiąść. Czy napijecie się czegoś? – spytał Otis, też nieco zaskoczony.

Wskazał gościowi krzesło.

– Wdzięczny jestem, ale nie, dziękuję. Nie mam dużo czasu.

– Wiecznie taki zajęty. Jesteście tacy jak ja, Nikolasie. Najrozsądniejsze, co możecie zrobić, to samemu zająć się sprzedażą waszych dzieł. Powierzenie tego kupcom wydaje mi się głupotą. Szukają tylko okazji, żeby się wzbogacić kosztem innych.

– Zgadzam się z waszą opinią, Otisie.

Kopista spojrział z sympatią na Rodericę, która, mimo że starała się to ukryć, z niecierpliwością czekała na wyjawienie powodu jego wizyty. Otis zauważył to i wymieniwszy z Nikolasem porozumiewawcze spojrzenia, zawołał:

– A zatem dajcie to, co nam przynieśliście.

Nikolas podał Roderice mały pakunek owinięty w błękitny aksamit. Ostrożnie rozwiązała sznurek, odwinęła materiał i ze zdumienia aż zakryła usta dłonią.

Była to Księga godzin, manuskrypt wykonany na specjalne zamówienie – Otis zamówił go dla swojej żony. Znajdowały się w niej modlitwy i psalmy na każdą kanoniczną godzinę dnia, oddzielane pięknymi winiętami przedstawiającymi życie chrześcijan. Okładki z tłoczonej skóry zdobione były złotem i srebrem.

– Teraz będziesz mogła zaprowadzić w zamku monastyczne obyczaje – oznajmił feudalny pan. – Może będziemy mieć jeszcze większy porządek.

Roderica spojrzała na męża z rozrzewnieniem.

– Dziękuję, Otisie. Tak się o mnie zawsze troszczysz. Jest piękna.

Chwyciła drobną dłoń Otisa i ucałowała ją kilka razy w tym samym miejscu. Przyjął ten gest

z zadowoleniem. Poklepał ją po ramieniu i niezgrabnie uwolnił rękę.

– Dlaczego nie pójdziesz pokazać książki matce? Ona też się na pewno zachwyci.

– Tak. Natychmiast. Dziękuję, Otisie, i wam również, Nikolasie. – Roderica skłoniła głowę przed kopistą i szybkim krokiem wyszła z pokoju.

– No to jesteśmy sami – powiedział Otis.

Zniknęła chłodna obojętność sprzed paru minut, a na twarzy Wolffa pojawił się wyraz tak wielkiego przejęcia, że aż wąsy rażno poruszały się w górę i w dół. Ścisząc głos, zapytał:

– A co z moim drugim zamówieniem?

Nikolas odparł równie konfidencjonalnym szeptem:

– Wszystko w porządku, ale jeszcze nie jest skończone. Będziesz musiał podnieść stawkę, bo chętnych do kupienia jest dużo, a egzemplarz tylko jeden.

Otis podniósł się nagle i zniecierpliwionym krokiem przemierzał pokój.

– Dlaczego nie zrobisz więcej? – W głosie chciał pomieścić i krzyk irytacji, i szept, jakiego wymagała ostrożność.

– To niemożliwe. Czy zdajesz sobie sprawę, jak się narażam? Ten, kto naprawdę chce mieć tę książkę, będzie musiał zapłacić. Da mi to pewność, że znajdzie się w rękach osoby, która jest jej godna, bo przedkłada księgę nad złoto.

Otis starał się uspokoić. Usiadł z powrotem w fotelu, odetchnął głęboko i łagodniejszym tonem powiedział:

– Przepraszam, Nikolasie. Chodzi o to, że ja muszę ją mieć. Zbyt długo już na nią czekam, a tyle o niej słyszałem. – Spojrzał gdzieś przed siebie i wyobraził sobie przez chwilę treść manuskryptu. – Powiedz mi, ty ją przecież widziałeś. Czy jest tak... – zawahał się, szukając właściwego słowa – ...mocna, jak mówią? – W oczach zamigotały mu ogniki.

– To bardzo szczególna księga, drogi Otisie. Nie jest szokująca, a już na pewno nie dla mieszkańców kraju, gdzie została napisana. To ilustrowany manuskrypt, bardzo stary, jego autor żył pomiędzy pierwszym a szóstym wiekiem. Być może pewne opisane w nim sprawy można nazwać... drażliwymi, ale na pewno by cię zaciekały. Wyjaśnia się tam liczne i zróżnicowane formy osiągania maksymalnej rozkoszy przez mężczyznę i kobietę.

Niepewny śmieszek zabrzmiał jak powietrze przeciskające się przez arystokratyczne zęby Otisa. Zacierał dłonie.

– Zapłacę, ile zażadasz, Nikolasie. Możesz być pewny.

– Cieszę się, Otisie.

Pukanie do drzwi przerwało rozmowę i rozzłościło Otisa. Miał ochotę dalej rozmawiać o książce.

– Wejść! – krzyknął.

Ten sam służący, który towarzyszył Nikolasowi, stanął w progu.

– Jest ktoś do was, panie.

– Nie widzisz, że jestem zajęty? Niech przyjdzie później!

Nikolas wykorzystał moment i wstał, aby się pożegnać.

– Nie zwracajcie na mnie uwagi, Otisie. Muszę już iść, mam jeszcze sprawy do załatwienia. Wielka przyjemność, jak zawsze.

Otis podszedł do kopisty. Spod kaftana wyjął sakiewkę z monetami, a z niej sumę za książkę dla żony. Dwa razy wyższą od uzgodnionej.

– To po to, abyście mnie mieli na względzie, przed innymi.

Będę czekać na wiadomość – powiedział ledwie słyszalnym szeptem.

Kiedy Nikolas wyszedł, Otis przybrał surową postawę, jak zawsze przed służbą.

– O co chodzi? Komu tak się spieszy? – Usiadł znowu w fotelu. Nie lubił stać, uważał, że w obecności wyższych od niego służących traci autorytet.

– To wasz poddany, panie. Mówi, że sprawa jest ważna.

Otis prychnął z irytacją.

– Każ mu wejść!

Niewiele ponad dwudziestoletni chłop stanął przed panem. Skłonił się nisko i padł na kolana, nie śmiejąc podnieść wzroku. Twarz miał brudną, a ubranie cuchnęło. Otis z obrzydzeniem zatkał sobie nos.

– Co za ohyda! Pospiesz się, nie mam zamiaru znosić smrodu gnojówki przez resztę dnia.

– Panie, przyszedłem prosić o pozwolenie na zawarcie małżeństwa.

Na twarzy Otisa pojawił się wyraz perwersyjnej przyjemności; od dawna czekał na taką okazję.

– Wiesz, co to znaczy, prawda? – spytał z uśmiechem, gładząc wąsy.

– Tak, panie. – Chłop nie podnosił głowy. Odgłos siąkania zirytował Otisa.

– Dostyc tej mazaniny. Prawo jest prawem i wszyscy musimy go przestrzegać. Kiedy planujesz ślub?

– Za miesiąc, panie.

– Kim jest dziewczyna?

– Wanda, panie. Córka Volkera, pastora.

Otis chwilę się zamyślił. Znał prawie wszystkich swoich chłopów, ale zapamiętanie ich imion przychodziło mu z trudem – jeśli w ogóle było możliwe.

– Córka pastora? – Nagle oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki. – Czy to nie ta młódka...? – Dłonie feudała nakreśliły w powietrzu kształt pełnych piersi. Chłop zagryzł wargę, tłumiąc szloch. – Wyślę ludzi po twoją żonę po skończonej uroczystości.

Z ust chłopca nie padł żaden dźwięk. Kiedy pan kazał mu wstać i wrócić do pracy, na brudnej twarzy widać było biegnące wzdłuż policzków dwa błyszczące ślady łez.

Otis został sam. Z zadowoleniem pomyślał, jak udany miał dzień. Niedługo będzie mógł wykorzystać prawo, którego nowe czasy zamierzały go pozbawić. Ius primae noctis, prawo pierwszej nocy należało do niego, tak jak i dziewictwo przyszłej żony chłopca. Szelmowski uśmiech znowu pojawił się na drapieżnej twarzy. Bez wątplenia na wygodne życie składały się drobne przyjemności.



– Ta zastawa musi być gotowa na jutro, i nie obchodzi mnie, w jaki sposób to zrobisz. Na twoim miejscu bym się pospieszył. Inaczej będziesz musiał dzisiaj zostać dłużej.

Zbliżał się już koniec dnia, kiedy słowa Ernesta rozbrzmiały w czterech ścianach warsztatu. Czeladnicy i terminatorzy tak byli przyzwyczajeni do sposobu, w jaki traktował Lorenza, że wcale ich nie dziwił choleryczny głos, ilekroć mistrz się do niego zwracał. Ale na pewno zdziwił Olgę Berg, która w ciągu kilku dni, odkąd z nimi pracowała, okazywała szczególne zainteresowanie złotnikiem.

– Klient chce wiedzieć, co się dzieje z jego zamówieniem. Zniecierpliwi się długim czekaniem. A jeśli nie będzie zadowolony, możesz być pewny, że ty wyjdiesz tymi drzwiami, a nie on. Reszta mnie nie obchodzi.

Lorenz nauczył się znosić codzienne ataki ze spokojem. Skupiał się na pracy i zupełnie izolował od otoczenia. Pochylony nad stołem, dłutem cyzelował grawerunek na jeszcze jednym talerzu z największego zamówienia, na którym Ernestowi tak zależało. Wystraszył się, kiedy nagle poczuł dotknięcie czyjejś ręki na ramieniu. Dłuto spadło na podłogę.

– Przepraszam – powiedziała Olga.

Pochylił się, by podnieść dłuto, i spod oka rozejrzał się, sprawdzając, czy Ernest nic nie widzi. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Mówiłam do ciebie, ale nic nie słyszałeś.

Lorenz nieśmiało przeprosił, nie patrząc na nią. Dłuto położył na stole.

– Pytałam, dlaczego Ernest tak cię traktuje.

Olga go niepokoiła. Była bardzo ładna i kiedy ją zobaczył, miał ochotę dotknąć włosów w przepięknym kolorze podobnym do złotego kruszcu.

– Źle cię traktuje, krytykuje wszystko, co robisz. Do innych nic nie ma, zupełnie tego nie rozumiem. Jestem tu tylko tydzień, ale przecież widzę, że jesteś doskonałym złotnikiem. Najlepszym.

Lorenz odwrócił głowę w stronę kantorku Ernesta. Lepiej, żeby go nie było w pobliżu. Gdyby słyszał tę rozmowę, wpadłby w furję i nie tylko jemu, ale i Oldze by się dostało.

– Nie wiem, o czym mówisz. Robię, co do mnie należy, jak wszyscy... – Mimowolnie zaczął wycierać dłonie z brudu.

– Jesteś artystą, Lorenz, i niech ktoś spróbuje zaprzeczyć. – Ciepły głos Olgi sprawił mu przyjemność; zadrżał lekko. – Nigdy nie widziałam równie pięknej rzeczy – dodała, biorąc do ręki talerz. Patrzyła nań tak, jak gdyby chciała zapamiętać każdy szczegół rysunku. – Jest doskonały. To, co ja robię, jest niczym w porównaniu z twoją pracą.

Lorenz zaczerwienił się z zażenowania. Spojrzał na Olę, której wzrok na chwilę przyciemniał.

– Twoje grawerunki są wspaniałe. Są zaskakująco prawdziwe, wydaje się, że zaraz nabiorą życia.

Sprowokowany jej uśmiechem, Lorenz też się uśmiechnął. Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment. Opuścił wzrok.

– Jest mi łatwiej dzięki twoim rysunkom. Pięknie rysujesz. Gdzie się nauczyłaś? – zapytał, przełamując nieśmiałość.

Pytanie chyba wzbudziło jej niepokój, bo odsunęła się o krok. Lorenz, myśląc, że popełnił nietakt, powiedział:

– Przepraszam, nie chciałem...

Ale Olga nie pozwoliła mu skończyć.

– Nic się nie stało. Musiałam opuścić dom, kiedy byłam mała, podróżowałam po całym kraju. Jestem sierotą. Na szczęście znalazłam się w dobrych rękach, które ukształtowały moje surowe, a nawet nieodkryte predyspozycje.

– Chyba nie były takie surowe, bo rysujesz doskonale, z niebywałą precyzją. Może powinienem poznać tego mistrza, żeby...

– Nie sądzę, by ci się podobał. To twardy człowiek. Za bardzo. Dlatego go zostawiłam – powiedziała z uśmiechem. – Ale dziękuję.

Lorenz, widząc, że się nie gniewa, odetchnął z ulgą. Jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność. Na ogół czuł się niezręcznie wśród obcych ludzi, bo zarzucali go pytaniami, na które wolał nie odpowiadać. Olga o nic go nie pytała. I jak zauważył, jej też nie zależało, żeby rozmawiać o przeszłości. Była to nić, która ich łączyła.

– Nie musisz mi za nic dziękować. Powiedziałem prawdę.

– Już idę. Nie chcę, żeby Ernest z mojego powodu robił ci wyrzuty.

Na pożegnanie delikatnie dotknęła ramienia Lorenza. Tak ciepły gest i tak nieoczekiwany.

Chwilę później w warsztacie rozbrzmiał rozwścieczony głos Ernesta.

– Wydaje ci się, że gdzie jesteś, Lorenz? Jeśli szukasz dziwki, idź do oberży. Frau Berg przychodzi tu do pracy, a nie po to, żebyś się o nią tarł jak pies w rui.

Rzemieślnicy podnieśli głowy, ciekawi dalszego ciągu. Tym razem gwałtowność wybuchu naprawdę ich zdumiała. Nikt nic nie powiedział, ale wszyscy widzieli, że to Olga podeszła do Lorenza. W powietrzu zaległa cisza, a Ernest wrócił do swojego kąta. Głowy znowu pochyliły się nad stołami i nie odezwał się ani jeden głos w obronie złotnika. Ku bezgranicznemu zdumieniu Olgi Lorenz też milczał, chociaż tym razem zacisnął usta w niemej furii.

Erika czuła wokół siebie wielką pustkę po wyjeździe Matthiasa. Dwa tygodnie wcześniej przyszła zapłakana Frieda. Erika wystraszyła się, widząc, że sąsiadka nie jest w stanie wydusić z siebie nawet jednego słowa. Ale Frieda ją uspokoiła. Dzieciom nic się stało. Przełknęła ślinę, odetchnęła głęboko i powiedziała:

– Wyjeżdżamy jutro rano, Eriko. Siostra znalazła dla mnie pracę na wsi, w Bawarii. Tutaj nie możemy dłużej zostać. Nie wyżywię dzieci.

Erika ją rozumiała. Chociaż pożegnać przyszło im się nagle, od jakiegoś czasu podejrzewała, że tak się stanie. Od śmierci Penroda Frieda musiała bardzo się starać, żeby zdobyć jedzenie dla rodziny. Matthias rankami wychodził szukać pracy, ale był małym chłopcem i niewiele mu płacono. Pomocy Lorenza nie chciała, gdyż w jej pojęciu była to jałmużna. I w końcu zgodziła się na propozycję siostry. Erika starała się podtrzymać ją na duchu.

– Dzieciom będzie tam lepiej, prawda?

Frieda przytaknęła ze smutnym uśmiechem.

– Ale znowu będziemy pracować na kogoś.

Przypomniała sobie marzenie Penroda, żeby uciec ze wsi i zostać obywatelem miasta. Po to, by lepiej żyć, zarabiać więcej pieniędzy, być wolnym.

– Popatrz, Eriko – powiedziała z rezygnacją – wolność dała nam tylko głód i nieszczęścia. Pewnie nie urodziliśmy się do wolności.

Erika chciała powiedzieć jej, że to nieprawda, ale powstrzymał ją zbolący wyraz twarzy sąsiadki. Uściskała ją serdecznie i życzyła dużo dobrego na przyszłość.

Dużo gorzej czuła się, kiedy następnego dnia żegnała się z Matthiasem. Chłopiec wybuchnął płaczem, a ona musiała udawać radość. Przekonywała go, że na wsi wszystko będzie piękne.

– Zadziwi cię to, co tam ujrzysz: pola, łąki, kury, krowy... I poczekaj, aż zobaczysz krowy z bliska, są wielkie i bardzo piękne. A co dopiero konie!

Matthias słuchał barwnego opisu zwierząt z szeroko otwartymi oczami. Ręką ocierał łzy. Erika zobaczyła, że stojąca nieco dalej Frieda daje jej znak: trzeba było jechać. Pochyliła się i wycisnęła dwa głośne całusy na policzkach chłopca.

– I najważniejsze: bądź grzeczny i pomagaj mamie, dobrze?

Z poważną twarzą, w milczeniu kiwnął głową. Erika podniosła się, mówiąc mu, że mama czeka na niego. Odszedł, ale zrobiwszy kilka kroków, odwrócił głowę.

– Eriko... – zaczął.

– Co? Powiedz mi.

– Przyjedź odwiedzić mnie na wsi, dobrze? Bo nie wiem, czy tam są książki.

– Tak, kochanie... – Głos uwiązał jej w gardle. – Razem będziemy czytać i opowiem ci dużo, dużo historii.

Matthias uśmiechnął się i pomachał do niej ręką. Wsiadł na wózek, w którym leżał niewielki dobytek, obok dwóch małych braci, głęboko uspionych o tej wczesnej porze. Frieda pożegnała się krótkim, cichym „dziękuję”. Erika czekała, póki wózek nie zniknie za rogiem, dopiero potem przesłoniła ręką usta i wbiegła do domu. Rzuciła się na łóżko i tam, na szorstkim prześcieradle

okrywającym siennik, zanosła się od płaczu. Ojciec był już w warsztacie, a ona czuła się strasznie samotna. Jak gdyby pochłonięła ją głęboka dziura, a wszystko to, co znalazło się poza nią, nie było niczym innym, jak tylko chwiejącym się pejzażem, rozsypującym się na drobne kawałki.



Następnego ranka Erika wstała razem z Lorenzem, a kiedy ojciec wyszedł do pracy, z maniackim zacięciem zabrała się do sprzątanania domu. Myśli jej zajmowały takie czynności jak zamiatanie, przynoszenie wody ze studni i pranie; zdawało się, że chce w ten sposób uciszyć wewnętrzny głos, ostatnio coraz silniej dający o sobie znać. Pamiętała, że kiedy była mała, taki głosik zachęcał ją do zabawy, namawiał, aby śledziła ptaszka zataczającego koła w powietrzu, szła za kotem szukającym dla siebie obiadu, przyglądała się muszce, która łapkami stukala się w taką dziwną „buzię” w kształcie trąbki.

Po śmierci matki musiała porzucić zabawy i wziąć na siebie odpowiedzialność za prowadzenie domu. Nigdy jej nie zapomniała, ale głuchy ból, który początkowo czuła, z biegiem czasu słabł – i tylko niekiedy ogarniała ją melancholia.

Ojciec pracował nad swoim wynalazkiem, a popołudnia i wieczory szybko mijały. Czuła się jego współniczką, przyłączyła się do zadania, któremu ojciec poświęcił się z zapalem wielokrotnie przewyższającym dochód, jaki odpusty mu przynosiły. Erika zauważała, że jego wizja sięgała dużo dalej, ku jeszcze ledwo widocznym horyzontom, ku wielkiej niewiadomej, co wносиło atmosferę fascynującej przygody.

Jednak aby ojciec mógł godzinami pogrążyć się w pracy, ona musiała całkowicie zadbać o dom. Rozrywki ograniczyły się do lektury – Lorenz zawsze ją zachęcał do czytania – i do codziennych spacerów w mieście, które starała się jak najlepiej wykorzystać; był to jej jedyny kontakt ze światem.

Pojawienie się Matthiasa wniosło powiew świeżego powietrza do codziennej rutyny. Przy nim Erika wydobyła na światło to, co w niej jeszcze pozostało z dziewczynki. Z Matthiasem mogła się bawić, wymyślać sposoby uprzyjemniania mu czasu, a przy okazji nauczyć chłopca czytać i pisać. Ale poczucie pełni, jakie wówczas miała, zniknęło. Teraz musiała zebrać w sobie siły, oddychać pełną piersią i iść do przodu.

Spacer po ulicach miasta pomagał. Odkrycie, że ludzie żyli swoim życiem, nieświadomi jej nieszczęścia, początkowo gniewało Erikę, ale wkrótce zrozumiała, że nie ona jedna odczuwa ból. Przyglądała się mieszkańcom Kolonii i myślała o tym, jakie dramaty były kiedyś ich udziałem, ilu z nich akurat w tym momencie znosiło podobne cierpienia, ile nieszczęść zdarzało się wokół niej, gdy szła ulicami zadowolona i szczęśliwa. Nie mogła żądać, by świat się zatrzymał, dlatego że ją przytłaczał smutek, tak jak i ona nie przeżywała smutku innych cierpiących. Rozwiązaniem było zatem nie oczekiwanie na pociechę ze strony innych ludzi, lecz wejście do ich świata i zagłębienie się w nim.

Teraz ten wewnętrzny głos mówił jej, że powinna zachowywać się jak osoba bardziej dojrzała i otwierać się na świat. Nie przychodziło jej to wcale łatwo, bo była nieśmiała, ale przymioty charakteru przyciągały do niej ludzi. Przekupki na rynku lubiły ją i często zwracały się do niej z wylewną serdecznością. Stając się kobietą, Erika zauważała, jak bardzo się zmienia. I jak zmienił się sposób, w jaki na nią patrzono.

Jedna z przekupek, która miała kram z rybami, próbowała zainteresować ją swoim synem. Ile razy Erika przychodziła coś kupić, kobieta twierdziła, że jest bardzo zajęta, i wołała syna, żeby ją zastąpił. Tego ranka sytuacja się powtórzyła.

– Antonie! Chodźże tu! – A zwracając się do Eriki, dodała: – Przepraszam cię, kochanieńka, muszę oczyścić zamówione na dzisiaj ryby i roboty mam huk. Anton cię obsłuży. Antonie, chodź tu! Gdzie, u diabła, się podziewa ten nicpoń?!

Chłopak wynurzył się zza skrzynek, które ustawiał za kramem. Podrapał się niezdarnie w głowę brudnymi palcami, pociągnął nosem i wytarł go rękawem. Ze wstydliwym uśmiechem podszedł do matki i spytał, czego od niego chce.

– No, Antonie. Bądź łaskaw obsłużyć Erikę, i zrób to jak należy, to moja ulubiona klientka.

Mrugnęła do Eriki i odeszła na drugi koniec kramu, podczas gdy syn, onieśmielony do bólu, ledwo zdołał zapytać, czego sobie życzy.

– Twoja matka powiedziała, że w czwartki dostajecie piękne pstrągi. I tanie. Macie je dzisiaj?

Anton teraz podrapał się w nogę z miną świadcząca, że nie wie, i spojrzął chyłkiem na matkę. Stojąc nieco dalej, miała oko na to, co się dzieje. Ruchem głowy wskazała mu skrzynię z pstrągami, a na palcach cenę. Anton zakasłał nerwowo, ale zrozumiał.

– Tak. Ile chcesz?

– Tylko dwa.

Wyjął ryby ze stojącej obok na ziemi skrzyni i pokazał Ericie. Kiedy skinęła głową, usiłował nawlec je na sznurek. Jedna upadła na ziemię, więc podniósł ją i czyścił z brudu, otrzepując ręką z jednej i drugiej strony. Zirytował tym matkę, która zajęta innym klientem, niewiele mogła zrobić.

– Antonie! Co ty robisz? Umyj ją porządnie!

Chłopak zaczerwienił się, wymamrotał coś przepraszająco i rozejrzał się za miską z wodą. Erika zasłoniła usta, by nie wybuchnąć śmiechem. Chcąc sprawić, by chłopiec poczuł się mniej zakłopotany, spojrzała w drugą stronę, jak gdyby coś nagle zwróciło jej uwagę, i z jej ust omal nie wydobył się okrzyk zdumienia.

Zobaczyła go na końcu przejścia między straganami. Tego samego pięknego nieznajomego, na którego wpadła kilka miesięcy wcześniej. Uśmiechał się.

I wpatrywał w nią uparcie.

Erika odwróciła się gwałtownie, zdziwiona i zawstydzona. Dłoń zasłaniająca usta opadła na rzemyk zawieszony na szyi dla ozdoby. Zaczęła nim nerwowo kręcić. Na Antona nie zwracała uwagi, myśląc jedynie o nieznajomym młodzieńcu stojącym tak blisko. Podejdzie do niej? Powie coś tym razem? – zastanawiała się. Bała się, a jednocześnie paliła ją natarczywa ciekawość. Poczula, że coś otarło się o jej spódnicę, pochylila się więc, by ją oczyścić, i spojrzała ukradkiem, czy chłopak jeszcze tam stoi. Zobaczyła tylko oddalające się plecy.

W ułamku sekundy serce zaczęło jej bić mocniej i twarz spochmurniała. Kiedy Anton wyciągnął rękę z pstrągami, szybko podała mu monetę. Chciała odejść stamtąd, w nadziei, że jeszcze zdąży. Pożegnała się krótko. Anton spoglądał za nią smutnym wzrokiem, a przekupka biadoliła, że ma takiego głupkowatego syna.



Mając dość długiego siedzenia w swoim kącie, Ernest wstał wreszcie zza stołu. Po raz kolejny przeglądał rachunki i, chociaż notował zyski, uważał, że były niższe od oczekiwanych.

Lorenz zawzięcie zdobił brzegi dużej tacy skomplikowanymi filigranami. Znieruchomiał, kiedy usłyszał, jak Ernest naigrawa się z któregoś z rzemieślników; znak, że jest w złym humorze, a zły humor zawsze odbijał się na nim, tym bardziej że był opóźniony z robotą. Obok niego Olga

najwyraźniej okazywała ślady zmęczenia. Od kilku dni pomagała mu wykańczać gotowe przedmioty, twierdząc, że poza rysunkami zostaje jej dużo czasu. Ale Lorenz domyślał się, że powód był inny. Patrzyła z wyraźnym niepokojem, ilekroć Ernest ganił go z byle powodu. I jego domniemania potwierdziły się tego ranka, kiedy powiedziała mu: „My, artyści, musimy się wspierać”, ze szczerym uśmiechem, od którego Lorenzowi serce zabiło mocniej.

Polerowanie nie było precyzyjną pracą, lecz od kogoś, kto nigdy tego nie robił, wymagało wysiłku. Widząc, że Olga zwolniła rytm, Lorenz obawiał się, iż to on dostanie reprimendę, bo jej Ernest nie odważyłby się nic powiedzieć.

– Pomóc ci? – zapytał.

– Nie, nie trzeba. – Uśmiechnęła się blado. Czoło miała zroszone potem.

Głos Ernesta słyhać było coraz bliżej. Lorenz pracował teraz bardzo szybko, chcąc zamaskować opóźnienie. Olga podniosła na chwilę wzrok na właściciela warsztatu, a gdy poczuła, że jest już niemal przy nich, zaczęła polerować ze zdwojoną szybkością. Zrobiła to tak niefortunnie, że niechcący popchnęła ramię Lorenza. Rylec w jego dłoni znalazł się poza linią rysunku.

– Boże... Lorenz, przepraszam... – wyszeptała.

– Przepraszam? Za co?

Na dźwięk głosu Ernesta poderwała się jak za pociągnięciem sprężyny. Mistrz spojrzał na pracę Lorenza. Uśmiechnął się złośliwie, ale zaraz twarz przybrała surowy wyraz.

– A więc teraz marnujemy czas, co? Nie dość, że się spóźniasz z robotą, to jeszcze popełniasz błędy jak początkujący terminator!

Olga się podniosła.

– To moja wina, mistrzu. Nie mam wprawy, niechcący popchnęłam rękę Lorenza i dlatego popełnił błąd. Nigdy więcej się to nie powtórzy, zapewniam was. – Jasne oczy Olgi błyszczały; można by pomyśleć, że za chwilę wybuchnie płaczem.

Ernest milczał. Spojrzał z pogardą na Lorenza i mruknął coś pod nosem. Gestem dłoni polecił Oldze, by usiadła, odwrócił się i odszedł ze zwieszoną głową. Z lekkim uśmiechem Olga pochyliła się ku Lorenzowi. Mrugnęła porozumiewawczo.

– Nic tak nie ułagodzi fałszywej furii jak łzy kobiety.

Lorenz skrył uśmiech, zaskoczony zręcznym posunięciem Olgi, ale i wdzięczny. Uratowała go przed jeszcze jedną naganą.



Erika przebiegła cały rynek, ale nie znalazłszy tajemniczego młodzieńca, wróciła do domu. Zjadła byle co, bo tylko wtedy, gdy ojciec był w domu, starała się przygotować coś lepszego do jedzenia. Potem ugotowała kolację; wolała to zrobić wcześniej, żeby ryba się nie zepsuła. Dni robiły się coraz dłuższe, więc pomyślała, że pójdzie po ojca do warsztatu. Sprawi mu przyjemność, a dla niej będzie to pretekst, żeby wyjść z domu. Kto wie, może znowu spotka tajemniczego młodzieńca...



Już na ulicy Lorenz podziękował Oldze za to, że wystąpiła w jego obronie.

– Przecież tylko powiedziałam prawdę.

– Tak, ale mogłaś mieć z tego powodu kłopoty. Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

Uniosła palec, udając, że się zastanawia.

– Wiesz, chyba jest coś, w czym mógłbyś mi pomóc...

– Tak...? Powiedz, co mam zrobić? – spytał Lorenz, trochę zaskoczony.

– Nie znam miasta, a czasem miałabym ochotę wynagrodzić sobie długi dzień pracy dobrą kolacją i kuflem piwa, ale nie wiem, dokąd może pójść samotna dama, jak ja. Czy nie znacie, panie, jakiegoś godnego miejsca?

Równie żartobliwym tonem Lorenz odparł:

– Nie tylko wiem, dokąd możecie się udać, pani, nie narażając swego honoru na splamienie. Jestem wam również winien ugoszczenie was. – Uniósł rękę. – Tędy prowadzi droga do Złotego Bażanta, mojej ulubionej gospody.

Olga wykonała ceremonialny ukłon szlachtetnej damy i oparła dłoń na ramieniu Lorenza. Zadowoleni ruszyli w drogę.



Zanim słońce zaszło, Erika uczesała się, nałożyła chustę na głowę, umyła ręce i sprawdziwszy, czy sukienka nie jest poplamiona, wyszła na ulicę.

Miała zamiar iść spacerkiem, ale zupełnie bezwiednie przyspieszała kroku. Myśli kłębiły jej się w głowie i co chwila zatrzymywała się, żeby odzyskać spokój. W końcu uznała pomysł odnalezienia młodzieńca o migdałowych oczach za co najmniej dziwaczny i sama z siebie się śmiała.

Doszła do warsztatu w chwili, gdy Bertram, jeden z najstarszych rzemieślników, zamykał drzwi.

– Jak się masz, ślicznotko? Twój ojciec już wyszedł. Tym razem z wybiciem godziny. Skoro szef wyszedł wcześniej i nie dał mu żadnej dodatkowej roboty... Jak widzisz, miał więcej szczęścia niż ja.

Erika podziękowała za informację i postanowiła pójść do Złotego Bażanta. Wiedziała, że ojciec czasami chodził tam napić się piwa. Robił to zawsze, kiedy dręczył go ciężar bólu, musiał wtedy wyjść z domu, oddalić się od tej namiastki życia rodzinnego i od Eriki, która tak bardzo przypominała mu Ebbę. Najpierw zamierzała zajrzeć przez okno, upewnić się, że tam jest. Gdyby go nie było, znaczyłoby to, że minęli się po drodze i że już pracuje w domu.



Kiedy przekroczyli próg Złotego Bażanta, rozmowy gości gospody nagle ucichły i wszystkie twarze zwróciły się w ich stronę. Za wielkim stołem siedziało dwóch starców, którzy mieszkali w gospodzie, przy innym stole grupa mężczyzn obchodziła jakąś uroczystość, przy jeszcze innym usiadło kilku tragarzy portowych; widać było, że dostali wypłatę za ostatnią robotę i zamierzali się jej pozbyć. Lorenz z ulgą zauważył, że w gospodzie nie jest tłoczno. Wybrał stół i poprosił o talerz wędzonych kielbas, duży dzban piwa i dwa kufle. Zwykle poprzestawał na piwie, ale tego wieczoru zapraszał kobietę i nie chciał sprawić wrażenia, że jest skąpcem.

– Bardzo piękna gospoda, i duża – zachwyciła się Olga. Podniosła kufel i opróżniła go jednym haustem. Zarumieniała się, widząc, że Lorenz się jej przygląda. Spuściła wzrok.

– Przepraszam. Pić mi się chciało.

– Nie masz za co przepraszać. Po to zamówiliśmy piwo, prawda? – Bezpośredniość Olgi wprowadziła go w dobry humor.

Sam wypił do końca i chwycił dzban, by napełnić kufle. Spod oka obserwował Olgę, która swoimi niebieskimi oczami błędziła po gospodzie. Długa szyja dziewczyny przypominała szyję łabędzia.

– Pozwolisz – powiedziała.

Jednym zręcznym ruchem białych dłoni rozpuściła włosy i przeczesła je palcami. Lorenz nie mógł oderwać od niej oczu: złote włosy niczym płaszcz przykryły ramiona, okoliły twarz i napełniły ją światłem. Tak jakby okno skierowane na wschód otwierało się w słoneczny ranek. Olga uśmiechnęła się zalotnie. Lekko rozchyliła dekolt koszulki, odsłaniając szyję w miejscu, gdzie zaczyna się obojczyk. Skóra lśniła jak dziewiczy śnieg w blasku słońca. Lorenz poczuł, że w głowie mu się lekko zakręciło; zamknął oczy i napił się piwa.

Od śmierci Ebby nie spotkał żadnej kobiety, która by mu się podobała, i teraz, w tej gospodzie, powracały zapomniane uczucia. Piwo rozluźniło oboje, więc rozmowa toczyła się gładko. Olę ciekawiło wszystko, co dotyczyło Lorenza: warsztat, złotnictwo, jego życie... On zaś, zapewne olśniony urodą dziewczyny, odkrył, że potrafi być rozmowny, i niemal bezwiednie opowiadał o sobie z naiwnością zakochanego młodzika. Zainteresowanie Olgi mu pochlebiało, sprawiało, że rósł we własnych oczach. Gospoda wypiękniała, jak czarowny pejzaż.



Na pół uchylone okno pod Złotym Bażantem wpuszczało do środka powiew wzmagającego się pod wieczór wiatru. Na zewnątrz natomiast wydobywało się pobrzękiwanie dzbanów i kufli, odgłosy krzyżujących się rozmów, głośnych śmiechów. Erika wsunęła głowę i natknęła się na nieco zamglony wzrok portowego robotnika, który jej w ogóle nie zauważył. Gdy się w pewnym momencie odchylił, zobaczyła, że przy stole pod ścianą siedzi ojciec. Gestykulował, opowiadał coś z ożywieniem, a ona patrzyła na to szeroko otwartymi oczami. Również na młodą dziewczynę z pięknymi długimi blond włosami, jej uśmiech, zaróżowione policzki, wsłuchaną w każde słowo Lorenza.

Pierwszą myślą było: „dziwka”, ale Erika natychmiast ją odrzuciła. Dziewczyna na taką nie wyglądała, a chociaż ubrana była skromnie, emanowała elegancją.

Erika, poirytowana obserwowaną sceną, odwróciła się od okna i poszła do domu. Przez całą drogę nie mogła myśleć o niczym innym. Kim jest ta kobieta? Przekonywała samą siebie, że ojciec, młody jeszcze, miał wszelkie prawo związać się, z kimkolwiek chciał; dlaczego miałby być na zawsze pogrążony w żałobie? Ale w środku cała się gotowała; nie wyobrażała sobie, że w domu może pojawić się inna kobieta. Na to się nigdy nie zgodzi. Jej matką była Ebba i nikt jej nie zastąpi.

Przyspieszyła kroku, by przed zmierzchem wrócić do domu. Rękawem otarła łzy wzburzenia i zaraz sama siebie zgañiła za przesadną podejrzliwość; przecież jeszcze nic się nie stało.



Nad Kolonią zapadała noc. W gospodzie, upinając na nowo włosy, Olga powiedziała, że musi już iść. Dopiero wtedy Lorenz z poczuciem winy przypomniał sobie o Erice. Na ulicach było już bardzo ciemno, więc zaproponował Oldze, że ją odprowadzi, ale ona podziękowała.

– Dzisiaj dużo już dla mnie zrobiłeś, Lorenz.

Skinął ze zrozumieniem głową, chociaż wolałby usłyszeć inne słowa. Niezręczny moment nastąpił, gdy stanęli na wąskim skrzyżowaniu ulic; Lorenz nie wiedział, jak się pożegnać. Chciał pocałować Olę w rękę, lecz pomyślał, że to zbyt ceremonialne, i tylko uścisnął ją delikatnie. Nagle odezwała się jego nieśmiałość i stał nieporuszony.

Olga wykazała więcej zdecydowania; zbliżyła jego dłoń do ust i pocałowała ją. Ruchem tym

zmusiła go, by zbliżył się o krok, i przez moment ich twarze znalazły się tak blisko, że poczuli swoje oddechy. Lorenz jak w transie wpatrywał się w Olgę – jej prosty nos, wyraźnie zarysowane kości policzkowe. Ona oczami wędrowała po jego twarzy, jak gdyby chciała ją zapamiętać, a kiedy ich wzrok się krzyżował, on czuł nagły spazm w piersi. Ogarnął go płomień, zrodzony w trzewiach, i zapragnął przyciągnąć do siebie to kobiece ciało. Reagował na upojny zapach, jędrną skórę, długą alabastrową szyję. Zamknął oczy i zatracił się. Nie był panem własnych czynów.

Olga zbliżyła jego twarz do swojej. Pocałowała go, delikatnie, powoli. Długo. I westchnęła.

Lorenz otworzył oczy i spojrzał prosto w oczy Olgi. Objął ją i całował tkliwie, czule. Tak wiele chciał jej tym pocałunkiem powiedzieć.

Z nieśmiałym uśmiechem Olga cofnęła się o krok. Lorenz zamrugał oczami i spuścił wzrok. Oddalali się od siebie, trzymając się za ręce, póki odległość im na to pozwalała. Olga się odwróciła. Zostawiła Lorenza w ciemnej ulicy, patrzącego za jej znikającą sylwetką.

Co jakiś czas odwracała się, by sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi. Gdy nabrała pewności, nagle skręciła w zupełnie innym kierunku. Idąc szybko, rozpuściła włosy. Nie musiała już grać żadnej roli. Nareszcie będzie mogła odpocząć w pałacu. Nazajutrz znowu wcieli się w Olgę. A tymczasem będzie sobą: Ilse, Ilse Holz.

CZEŚĆ TRZECIA
NA ROZSTAJACH

**Ignorant ślepo wierzy,
człowiek rozumny wątpi i rozważa.**

ARYSTOTELES

Kolonia, październik roku 1436

Jesień nadeszła ledwie kilka dni wcześniej, lecz Lorenz już od dłuższego czasu czuł zmiany w powietrzu. I w swoich własnych emocjach. Ośmieliłby się nawet powiedzieć, że był głęboko poruszony. Przyczyna niepokojącego drżenia serca i mrowienia w całym ciele mogła być tylko jedna. Kobieta. A tą kobietą była Olga. Odkąd zaczęła pracować w warsztacie Ernesta, stawali się sobie coraz bardziej bliscy, aż nadszedł moment, kiedy nie dało się już niczego ukryć. Gdy była u jego boku, wiedział, że może urzeczywistnić każdy plan.

Siedział u siebie w domu, przy stole, i z zapalem drukował kolejny zestaw odpustów dla ojca Wahrheita. Zamówień było coraz więcej, dzięki czemu z końcem miesiąca zostawało mu w kieszeni kilka zaoszczędzonych guldenów.

Ulepszył system. Prowadnice zastąpił niewielką drewnianą kasetą, w której układał czcionki zrobione z ołowiu i cyny. Na niektórych były odlane w metalu litery, inne zaś pozostały puste i służyły za odstępy między słowami. Potem wpadł na inny pomysł: jeśli chce wydrukować całą stronę, to jest wszystkie wiersze naraz, od razu musi pokryć wszystkie czcionki farbą. Z kasetą należało się obchodzić inaczej niż z prowadnicą do stempli; ważyła za dużo, żeby ją podnosić i odciskać litery na papierze. Więc może od drugiej strony? Odwrócił kasetę z czcionkami i przycisnął papier od góry. Przekonał się, że jest to dużo łatwiejsze, ale dosyć męczące. Musiał używać obu rąk i pilnować, aby nacisk na czcionki był jednakowy na całej powierzchni. A mimo to ciągle w jakimś miejscu brakowało farby. Dał rękom odpocząć i pomachał nimi w powietrzu. Twarz rozjaśniła się uśmiechem. Nadstawił ucha: deszcz przestał padać.

Zorientował się, że nie ma już papieru do odbijania kopii. Słońce, ledwo widoczne z za gęstych chmur, chyliło się ku zachodowi. Postanowił wyjść z domu.

– Eriko! – zawołał, spoglądając na pięterko.

– Co się stało, ojcze? – Erika wychyliła się ze schodów.

– Nic się nie stało. Idę do Johanna. Papier mi się skończył.

– Dzisiaj też Olga przyjdzie na kolację? – spytała. W głosie dało się wyczuć rozdrażnienie.

– Nie. Musiała zostać w warsztacie. Ale jutro na pewno przyjdzie.

– No tak – burknęła.

Lorenz zacisnął usta.

– Co, nie podoba ci się?

– Co mi się nie podoba?

– Olga.

– Nie o to chodzi... Nie mogę przyzwyczaić się, że przychodzi tu tak często – powiedziała Erika cichym głosem.

Lorenz dobrze ją rozumiał. Olga, ilekroć przychodziła, starała się być bardzo miła i proponowała pomoc w domu, ale Erika zawsze odmawiała.

– Jest bardzo dobra. Dbą o nas.

Dziewczynka zeszła ze schodów i chodziła nerwowo po pokoju. Odezwała się cicho:

– Wiem o tym. Ale to nie jest mama.

– Nie, nie jest. I nigdy nie będzie.

Erika spojrzała na ojca i uśmiechnęła się. Pomyślała, że dostała od niego wspaniały prezent. Nikt nigdy nie zastąpi Ebby w sercu Lorenza, ale po wielu latach obdarzył uczuciem inną osobę i jego córka powinna to zrozumieć. Miała już trzynaście lat.

– Dobrze, ojcze. Rozumiem.

Lorenz kiwnął głową. Był pewien, że coś między nimi zostało naprawione. I że od teraz sprawy lepiej się potoczą, jego życie się zmieni.



Na ulicy z przyjemnością wciągał w nozdrza wilgotny zapach deszczu. Ruszył szybko przed siebie, patrząc pod nogi i przeskakując przez kałuże. Nagle zderzył się z kimś, a kiedy zaskoczony podniósł głowę, zobaczył znajomą twarz. Fioletowa peleryna na długim brokatowym płaszczu od góry do dołu zapinanym na guziki i fantazyjny kapelusz wyglądały osobiście w tej zaniedbanej okolicy.

– Lorenz! Wybacz! Czasem chodzę zamyślony i nikogo nie widzę.

– Och nie, Yago. To moja wina. To ja nie uważałem, jak idę.

– Jak się miewasz?

– Bardzo dobrze. Wybieram się do księgarni Johanna po papier.

Kupiec spojrzał przyjaznym wzrokiem.

– Idę w stronę rzeki. Masz czas, żeby mi towarzyszyć? Od dawna się nie widzieliśmy.

Lorenz wzruszył lekko ramionami.

– Mogę pójść. Z Johannem zobaczę się później.

– Wspaniale!

Poszli razem różnym krokiem. Ulice o tej porze pełne były ludzi, którzy chcieli wykorzystać każdy promień słońca.

W wilgotnym pejzażu Kolonii szarość ustępowała miejsca światłu.

Po drodze kupiec opowiadał Lorenzowi o swojej ostatniej podróży. Pojechał do Lubeki odwiedzić przyjaciół, a także, korzystając z okazji, zdobyć kilka interesujących go książek. Yago zawsze miał coś ciekawego do opowiedzenia. Zajęcie, którym się trudnił, dawało mu szansę poznania ludzi i miejsc, których Lorenz z pewnością nigdy nie zobaczy.

– Powiedz, jak ci idzie praca?

– Wolniej, niżbym chciał. – Rzemieślnik pokręcił głową.

– Krok po kroku, Lorenz, krok po kroku.

Złotnik się uśmiechnął. Jednostajny szum płynącej wody przypominał mu, gdzie jest. Ren toczył swoje wody tuż u jego stóp. Znaleźli się przy nabrzeżu. Jakiś statek opuszczał miasto w drodze do następnego portu.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył Yago. – Wejdz ze mną, przedstawię cię dobremu dostawcy.

Lorenz zawahał się chwilę, lecz widząc promienną twarz kupca, przyjął zaproszenie. Yago zapukał do drzwi domu nad rzeką. Po chwili otworzyła je dziewczynka w czerwonym kaftaniku, o parę lat młodsza od Eriki. Przybyłych mężczyzn uderzył silny zapach winogron i wina.

– Herr Kaufmann! – zawołała. Rzuciła się do nóg kupca i objęła je ramionami.

– Dzień dobry, mała. – Yago przyklęknął i uściskał ją. Bardzo jej się ten gest spodobał. Podnieśli się obydwójce, po czym Yago dokonał prezentacji: – To jest mój przyjaciel, Lorenz Block.

– Bardzo mi miło, Herr Block.

I dygnęła ceremonialnie. Lorenz się uśmiechnął.

– A to jest Floy – dokończył Yago.

– Bardzo mi miło, Floy.

– Czy możemy wejść? – spytał kupiec, zdejmując kapelusz.

– Tak. Ojciec pracuje w domu.

– Dziękuję, kochana.

Dziewczynka pobiegła przed nimi.

Yago przekroczył próg i rozejrzał się ciekawie wokół siebie. Podobnie Lorenz. Przeszli przez skromne pomieszczenie i znaleźli się w większym pokoju. Zobaczyli mężczyznę, który kręcił dużą korbą, stojąc obok wielkiego cylindra z drewna, wzmocnionego metalowymi obręczami. Lorenz widział kiedyś podobne maszyny, ale tamte używane były do innych celów. Ta miała dodatkowo przytwierdzony drewniany pojemnik.

– To jest Gerard – oznajmił Yago. Floy już stała przy ojcu.

– Czy to prasa? – spytał Lorenz.

– Tak. I stąd wypłynie moszcz, z którego powstanie wino. Różni się trochę od tych, które zapewne widziałeś gdzie indziej. Chciałbyś wiedzieć, jak działa?

– Oczywiście.

Yago pochylił się do Lorenza, chcąc mu wszystko po cichu wyjaśnić, ale głucho trzaski drewnianych elementów maszyny były tak głośne, że musiał niemal krzyżeć.

– Ten cylinder zrobiony z drewnianych listew to korpus prasy, do niego wkłada się winogrona. A ta ruchoma pozioma płyta, czyli tłok – oczy Lorenza pilnie śledziły ruch rąk Yagona, pokazującego poszczególne części – wyciska je, kiedy Gerard, za pomocą tamtej korby, opuszcza ją po spirali do dna cylindra. To nic innego, jak zastosowanie zasady równi pochyłej, co już wieki temu odkryto w Mezopotamii. – Lorenz przytaknął; w warsztacie też czasem stosowano tę zasadę. – Odcisnięty sok spłynie z powierzchni płyty do tej misy, a stamtąd zabierze się go do zbiornika fermentacyjnego.

Mężczyzna przy prasie przerwał pracę i zawołał:

– Yago! Jakże się cieszę! Wszystko jest już dla ciebie przygotowane.

Gerard odwrócił się i wziął bukłak ze stojącej obok beczki. Podszedł z nim do Yagona, mówiąc:

– To ostatni riesling z beczki. Zobaczysz, jaki dobry.

– Dziękuję ci bardzo – powiedział Yago. – Jeszcze dzisiaj wypróbuję. – Po czym dodał: – Gerardzie, to jest Lorenz Block. Mój przyjaciel. Jest złotnikiem.

– Bardzo mi miło, Herr Block. – Podali sobie ręce. – Wydaje mi się, że już was kiedyś widziałem. Pracujecie dla Herr Bluma, prawda?

Lorenz poczuł lekki skurcz na dźwięk tego nazwiska. Nic dobrego się z nim nie łączyło.

– Nie mylicie się. Pracuję dla niego.

– Wstępowałem nieraz do warsztatu po jakiś drobiazg.

– Lorenz jest najlepszym złotnikiem w Kolonii – wtrącił Yago.

– Doprawdy? – spytał winiarz, biorąc to za żart.

– Tak, tak. Te dłonie są wiele warte – oświadczył Yago poważnym tonem.

– A zatem trzeba je chronić. Ja też chciałem trochę o siebie zadbać i dlatego kupiłem to чудо. Nogi są mi wdzięczne. Co prawda ramiona się męczą od kręcenia korbą, ale za to oszczędzam na czasie. Widzicie, ile mam moszczu po kilku minutach? – Gerard poprowadził ich do prasy.

– Właśnie wyjaśniałem Lorenzowi, jak to działa. Bardzo był zainteresowany. Moglibyśmy

jeszcze się przyjrzeć?

– Oczywiście.

Gerard usiadł przy prasie, chwycił korbę i obracając nią, przesuwając płytę wzdłuż śruby. Lorenz przyglądał się uważnie, jak pod naciskiem pojawia się sok. Maszyna robiła straszny hałas, który trwał jeszcze chwilę po tym, gdy Gerard już zatrzymał korbę. Przekrzykując trzaski, Lorenz zapytał:

– Czy możecie regulować nacisk, czy zawsze jest taki sam?

– Kiedy zostaje mało płynu do wyciśnięcia, na tyle zwiększam nacisk, na ile mi stare ramiona pozwalają. Czasem druga osoba pomaga mi wydusić ostatnią kroplę. Sami zobaczcie.

Istotnie, Gerard z coraz większym wysiłkiem obracał korbą, a maszyna jęczała i skrzypiała jak pokutująca dusza.

Nagle Lorenz już nie słyszał hałasu, nie czuł zapachu moszczu, nie śledził wysiłków winiarza. Myślami krążył dużo dalej. Spojrzał na Yagona i spytał:

– Czy wiesz, gdzie można kupić takie urządzenie?

Pytanie kompletnie zaskoczyło kupca. On też w milczeniu przyglądał się pracy maszyny i teraz, zdziwiony, ale i zaciekawiony, odparł z uśmiechem:

– Wiem. Bez trudu taką znajdziesz. Ale po co ci ona? Też masz zamiar robić wino?

– Nie, nie. – Lorenz pomyślał, że jest jeszcze za wcześnie, by wyjawiać, jaki pomysł wpadł mu do głowy. – Jak sądzisz, dużo będzie kosztować?

Yago popatrzył na niego, gładząc brodę. Po chwili odparł:

– Tylko ty, ze swoim talentem, mogłeś zobaczyć w niej sposób na rozwiązanie twoich problemów. Jeśli jest ci potrzebna, z pewnością uda mi się kupić taką prasę za dobrą cenę.

– Naprawdę?

Lorenz otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Wiedział, że takie urządzenie nie będzie tanie, ale przyjaciel mu pomoże.

– Daj mi kilka dni, zawiadomię cię – powiedział.

Złotnik z wdzięcznością chwycił dłoń Yagona. A potem rzucił mu się w ramiona i uściskał go, dziękując raz po raz. Yago nie widział w tym szczególnej swojej zasługi, ale dla Lorenza prasa miała być kolejnym elementem, jakiego potrzebował do skonstruowania swojego wynalazku.

Kolacja tego wieczoru była bardzo wystawna, jak zresztą wszystkie, które Ilse jadła w towarzystwie Nikolasa. Jakże inna niż posiłki spożywane w domu Lorenza i Eriki, którzy mogli sobie pozwolić na kawałek gęsi tylko przy jakiejś szczególnej okazji. Teraz Ilse znajdowała się w pałacyku ze swoim mentorem, otoczona luksusem, i cieszyła ucho miłosną pieśnią dworską, którą śpiewał wędrowny bard. Tak, takiego życia pragnęła znowu spróbować.

Poprawiła jedwabne poduszki i położyła się wygodnie. Nikolas zrobił to samo, tuż przy niej, chciał być jak najbliżej. Powolna melodia lutni akompaniowała temu minnesingerowi⁴, a strofy pieśni mówiły o jego uczuciach do zamężnej damy o imieniu Adalia, której uroda zapierała dech w piersi. On był jej wasalem i pragnął, aby zapomniała o mężu i licznych wielbicielach i całą uwagę skierowała na niego. Ilse w stanie hipnotycznego uniesienia zamknęła oczy. Nikolas delikatnie dotykał jej policzka, a ona z zachwytem wdychała zapach jego skóry, podczas gdy ciepłe światło świec padające na twarz kobiety i nadawało jej wyraz sennej iluzji. Słuchała słów miłości i wyobrażała sobie, że to słowa Nikolasa, jedyne wasala, jakiego pragnęła. Gdyby w tej chwili umarła, w swej wędrowce w przyszłym życiu wspominałaby ten ostatni szczęśliwy moment.

– Pójdiesz jutro do warsztatu?

Słowa Nikolasa przywróciły ją do rzeczywistości. Nie otwierając oczu, odparła:

– Tak, mam tam jeszcze dużo do zrobienia.

– A Lorenz?

Otworzyła oczy.

– Co Lorenz?

– Od jakiegoś czasu nie przynosisz żadnych nowych wiadomości.

– Bo nie ma żadnych – powiedziała i usiadła wyprostowana na poduszkach.

Nie rozumiała, dlaczego Nikolas przerywał przyjemne chwile, pytając o złotnika. Czyżby myślał tylko o tym?

– Jesteś pewna?

– Tak, przekazuję ci to, czego sama się dowiaduję.

– Więc może on wszystkiego ci nie mówi.

– Nieprawda. Niczego przede mną nie tai.

W głosie Ilse dało się wyczuć chłód. Nikolas najwyraźniej uważał, że nie jest z nim szczerą, pomimo wszystkiego, co dla niego zrobiła.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytał.

– Bo ma do mnie zaufanie.

Gromki śmiech Nikolasa głęboko ją zranił.

– Ależ naiwna jesteś! Nie zakochałaś się w nim przypadkiem?

– Głupstwa opowiadasz. – Opuściła wzrok. Serce zabiło jej jak oszalałe.

Twarz Nikolasa stężała. Kiedy się odezwał, w głosie brzmiała irytacja.

– Donoś mi o wszystkim. Chcę konkretnych informacji.

– Nie mogę go do niczego zmusić...

Nikolas podniósł się i nałożył kaftan. Spojrzał na Ilse.

– Znajdź na to sposób.

Głos wisiał jeszcze w powietrzu, kiedy Nikolas wychodził z sali. Ilse została sama. W tle brzmiała pieśń, której już nie słuchała. Po cichu powtórzyła słowa Nikolasa. To ona była jego wasalem. Nie on jej.



Zgniła wilgoć przepelniała całe wnętrze. Światło lampki oliwnej odbijało się złotem na kamiennych ścianach, znacząc drogę idącego mężczyzny. W powietrzu fruwały drobiny kurzu poruszonego jego powolnymi krokami. Szedł spokojnie, przyzwyczajony do tego miejsca, chociaż w wąskim przejściu ledwo można było się pomieścić. Odgłos sunących po ziemi stóp i pomarańczowe światło lampki odbijały się od murów tego podziemnego labiryntu. A także spokojny oddech.

Po jakimś czasie na końcu korytarza pojawiło się inne światło. Stamtąd nie dochodził żaden dźwięk, widać było jedynie ciemne sylwetki od czasu do czasu rysujące się na ścianach jak chińskie cienie w niemym spektaklu.

Postacie odziane w ciemne peleryny pochylały się nad drewnianymi pulpitemi. Przed nimi przy stole siedział Alonso. Podniósł się natychmiast.

– Jak nasze zamówienie?

Stanowczy głos Nikolasa rozbrzmiał wśród murów. Kilka głów odwróciło się i ukazały się ukryte dotąd twarze. Nieistniejące wargi, zapadnięte policzki, rozszarpane nozdrza, zaciśnięte usta. Ślady tortur, chorób, dyskryminacji. Nikolas dał tym ludziom szansę, a oni z niej skorzystali.

– Doskonale. Już prawie kończymy.

Tylko Alonso odpowiedział. Wszyscy inni pozbawieni byli daru mowy. Jeden ruch jego ręki wystarczył, aby makabrycznie okaleczone twarze skryły się pod kapturami. Pióra znowu się poruszyły.

Światło na pół wypalonych świec padało na ich dłonie i blade twarze i nadawało nieco ciepła zimnemu kolorystowi skóry, której słońce nigdy nie oglądało. Wychodzili na zewnątrz tylko nocą, i to też niezbyt często.

Nikolas przechodził od jednego pulpitu do drugiego i przyglądał się kartkom, które jedni przepisywali, a inni z uwagą zszywali.

Tekst ozdabiany miniaturami był reprodukcją niedawno przetłumaczonego starego manuskryptu. Oryginał, zatytułowany Kamasutra, napisany był sanskrytem i pochodził z okresu panowania dynastii Guptów, uważanego za złoty wiek rozwoju kulturalnego królestwa Magadhy w Indiach. Autor manuskryptu, hinduski uczonec Watsjajana, dał w nim opis zdrowych stosunków cielesnych, „boskiego związku” według trzech celów codziennego życia, jakimi są dharma, życie cnotliwe, artha, korzyści materialne, i kama, wszystko, co dotyczy miłości, pożądania, rozkoszy i seksualności. Namiętne uściski, pieszczoty i pocałunki w opisach pozycji erotycznych miały sprawiać, aby zarówno mężczyzna, jak i kobieta dowiedzieli się, jak osiągnąć największą przyjemność.

Nie był to utwór całkowicie Nikolasowi nieznany. Kopista, zaznajomiony z kulturą Wschodu, wiedział o jego istnieniu od dość dawna. Dzieło to nie znalazło sobie jeszcze miejsca w europejskiej purytańskiej moralności, ale chętnych do przeczytania go z pewnością nie zabraknie. I dlatego w tym tajnym warsztacie nie można było poprzestać na jednym egzemplarzu.

– Musisz wszystkie bardzo dokładnie sprawdzić, zanim je zaakceptujesz, Alonso.

Młody człowiek skinął posłusznie głową.

– W paru miejscach papier jest naddarty. Trzeba to naprawić. – Nikolas zmarszczył czoło, oglądając kolejne strony. – I to już za długo trwa.

– Niektóre ilustracje są bardzo trudne.

– Więc będę musiał znaleźć kogoś, kto zrobi je szybciej.

– Nikolas mówił, nie podnosząc głowy. – Znasz nasze terminy. Nie chcę słyszeć żadnych wymówek.

Myślał o tych wszystkich bogatych mężczyznach, jak Otis Wolff, którzy nie mogli się już doczekać chwili, kiedy dostaną książkę do rąk. Alonso, stojący tuż obok, z ruchu warg czytał jego słowa. Nikolas w ten sam sposób, bezgłośnie, powiedział:

– Wiesz doskonale, że mam konkurentów, z którymi muszę walczyć. Są to ludzie gotowi na wszystko, byle tylko kopiować szybciej niż ja i zająć moje miejsce. Musimy ich powstrzymać. Nie zawieź mnie.

– Nie zawiodę. Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie skończymy pierwszego zamówienia. – Wyraz twarzy nie pozostawiał śladu wątpliwości.

Nikolas położył dłoń na ramieniu Alonsa w geście wdzięczności. Uśmiechnął się, pożegnał krótko i odszedł w tę samą ciemność, która go tam przywiodła.



Alonso zamyślony wrócił do swojego pulpitu. Po raz kolejny Nikolasowi udało się osiągnąć dokładnie to, czego chciał. Po raz kolejny Alonso był świadkiem, jak doskonale ojciec opanował sztukę manipulacji. Pamiętał to od czasu, kiedy był dzieckiem.

Stosunek Nikolasa do niego był zawsze autorytarny, a on, jak i wszyscy inni, reagował posłuszeństwem, uległością. Nie mógł protestować, bo tak wiele mu zawdzięczał. A Nikolas posiadał szczególny dar sprawiania, by wszyscy czuli, iż mają wobec niego dług do spłacenia.

Alonso nigdy nie przyznałby się nikomu, jaką odrazę budziło w nim rysowanie nagich ciał. Dobrze wiedział, że ukazujące szczegóły miniatury miały służyć tylko temu, aby obleśni mężczyźni zaspokajali swoje cielesne żądze. Nienawidził tej pracy. Zwłaszcza teraz, kiedy z dala od tego miejsca, na ulicy, na słonecznym rynku, odkrył bodziec do innych przeżyć. Nie zamierzał się tym odkryciem dzielić z Nikolasem.

Ogarnął go wielki smutek; minie kilka dni, zanim znowu dane mu będzie doświadczyć tego niezwykłego przeżycia. Dziewczyna o ciemnych włosach i słodkim spojrzeniu stała się światłem w nieustającej ciemności. Cieszył go sam jej widok; tyle mu na razie wystarczało.

Przypomniawszy sobie dzień, w którym ją zobaczył po raz pierwszy, stojącą spokojnie, ale zaintrygowaną. Patrzyła to na niego, to w ziemię, jak gdyby to spotkanie ją onieśmielało. Od tamtego dnia śledził ją, ilekroć gdzieś ją z daleka zauważył. Czuł, że go do siebie przyciąga. Nikt nigdy nie zwrócił na siebie jego uwagi w taki sposób.

Wiedział o niej tylko, jak ma na imię i czyją jest córką. Erika. Imię, w którym brzmiała odwaga i szlachetność, ale też niewinność i radość, blask i skromność. Obserwując ją, wspominał czasy dzieciństwa, wczesnej młodości, które tak dawno za sobą zostawił. Miał tylko dwadzieścia jeden lat, ale czuł się jak starzec, za wiele już w życiu widział. Postanowił nazywać ją Liebes Mädchen, kochaną dziewczyną.

Wyprostował się na krześle. Obiecał Nikolasowi, że dokończy pracę, ale musiał przedtem zrobić jedną ważną rzecz. Przysunął do siebie czystą kartkę, umoczył pióro w kałamarzu i nie

zastanawiając się, napisał:

Liebes Mädchen,

być może zdziwi Cię ten list. Nie znasz mnie. A może znasz, chociaż nigdy nie rozmawialiśmy. Miałem szczęście widzieć Cię niejeden raz na ulicach Kolonii. Od tamtej chwili nie mogę o Tobie zapomnieć. Nie obawiaj się. Chcę tylko, abyś o mnie wiedziała.

Jestem Twoim najwierniejszym wielbiciele. Widząc Cię, staję olśniony widokiem Twoich oczu, ciemnych jak Twoje włosy, błyszczących jak kora drzew; zachwyca mnie Twój uśmiech, słodki i niewinny, rozświetlający Twoją twarz. Zachwyca mnie sposób, w jaki się poruszasz, z wdziękiem i siłą. Jestem przekonany, że Twój charakter jest równie silny, jak szlachetna jest Twoja uroda.

Niczego od Ciebie nie oczekuję. Może tylko tego, by te proste słowa pokazały Ci, jaki jestem.

Upłynie sporo czasu, zanim będę mógł Cię znowu zobaczyć, spotkać na swojej drodze, nie tylko przypadkiem. Mój ojciec i mentor obarcza mnie obowiązkami, od których nie mogę się uchylać, zadaniami, które muszę wykonać. Któregoś dnia opowiem Ci o tym, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze jest za wcześnie.

Nie wiem jak ani dlaczego, ale chciałbym Ci wszystko wyznać. Powiedzieć, że mam nadzieję, abyś i Ty zechciała mieć nadzieję. Że znajdziemy odpowiedni czas albo że czas nas znajdzie. Ciebie i mnie.

A.F.

Kiedy Lorenz dotarł do Uniwersytetu w Kolonii, Johann już na niego czekał przy wejściu. Poznał go po nieodłącznym zielonym berecie. Miał nadzieję, że długo tam nie zabawi; miał zajęcie w domu, a teraz, z początkiem października, robiło się coraz zimniej, więc chciał wrócić wcześniej, póki komin nie wygaśnie. Księgarz był bardzo tajemniczy i nie chciał mu powiedzieć, po co go wezwał.

Lorenz miał też nadzieję, że jego strój jest odpowiedni i że zostanie wpuszczony do tego inspirującego przybytku, zbudowanego pół wieku wcześniej. Na wydziałach medycyny, prawa, teologii i nauk humanistycznych wykładali najznakomitsi uczeni w Kolonii. Był to czwarty uniwersytet w Świątym Cesarstwie – po uczelniach w Pradze, Wiedniu i Heidelbergu. Powstawanie centrów uniwersyteckich było bezpośrednią konsekwencją rozłamu w dziedzinie nauczania, spowodowanego dysputami politycznymi, doktrynalnymi i teologicznymi. Również władze kościelne nie mogły zapobiec tworzeniu nowych wydziałów teologii, a co za tym idzie – wyboru doktryn. Jednotorowość studiów okazała się równie niemożliwa, jak jednotorowość myślenia.

Większa liczba uczelni nie oznaczała proporcjonalnego wzrostu liczby studentów. Jedyne najbogatsi mogli sobie pozwolić na studiowanie. Ewolucja państwa i jego biurokratyzacja wymagały stałego dopływu pracowników, dlatego uniwersytety stały się idealnym miejscem przygotowującym młody narybek do służby. Każdy książę musiał mieć swoich urzędników.

– Nigdy tu nie byłem. Dokąd mnie prowadzisz, Johannie?

– Zaraz zobaczysz. Bądź cierpliwy.

Lorenz szedł za księgarzem. Opuszczał głowę, gdy tylko ktoś na niego spojrzał. Chociaż była to niedziela, wielu studentów wykorzystywało świąteczny dzień do nauki. Droga prowadziła przez dziedziniec do jednego z kilku budynków. Lorenz przyglądał się kamiennej gotyckiej fasadzie, na której wyrzeźbiony był wąż oplatający się wokół małej czarki.

– To jest wydział medycyny – oznajmił Johann, gdy znaleźli się wewnątrz.

Po obu stronach długiego korytarza wisiały portrety znamienitych uczonych. Poważne twarze na płótnach przyciemnionych upływem czasu, spojrzenia surowe, zdające się śledzić każdego, kto koło nich przechodził. Lorenz miał wrażenie, że za chwilę któryś dopadnie go i powie, że to nie jest miejsce dla niego. Ale Johann szedł pewnym krokiem, mijał kolejne drzwi, aż w końcu jedne z nich otworzył.

W wielkiej auli, od góry do dołu, ustawione były rzędy krzeseł z pulpitemi. Rozbrzmiewał w niej nieznamy głos, sięgał wysoko i ginął w najdalszych zakamarkach. Mówca stał z poważną miną, trzymając w dłoni książkę. Sześć osób w eleganckich kolorowych kaftanach siedziało w pierwszym rzędzie i z uwagą mu się przysłuchiwało. Wszystkie głowy odwróciły się na odgłos zamykanych drzwi. Również mężczyzna o dźwięcznym głosie spojrzał w ich stronę. Wśród słuchaczy Lorenz rozpoznał Yagona. Kupiec zerwał się na nogi.

– Johann, Lorenz! Witajcie!

Nowo przybyli podeszli bliżej. Wszyscy rzucili się witać Johanna, jedni ściskali jego dłoń, inni poklepywali po ramieniu. Zaraz też rozpoczęli ożywioną rozmowę. Lorenz uśmiechał się nieśmiało. Yago stanął obok niego i tajemniczym głosem wyszeptał do ucha:

– Mam już prasę. Nie wiedziałem, czy chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli.

Lorenz, nie mogąc powściągnąć radości, uśmiechnął się szeroko. Nie wierzył własnym uszom, przecież zaledwie trzy dni wcześniej o tym rozmawiali.

– Dziękuję, Yagonie. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę. Ile cię kosztowała?

– Pracuj jak dotąd, i to mi zupełnie wystarczy. Chodź, przedstawię cię kilku kolegom. Johann i ja rozmawialiśmy z nimi o tobie.

Poprowadził go do podium, przy którym chwilę wcześniej jeden z mężczyzn czytał tekst z książki. Lorenz był jak ogluszony. Starał się nie myśleć przez chwilę o radosnej wiadomości i zachowywać jak najpoprawniej. Nerwy miał napięte i czuł fale gorąca w całym ciele. Yago zwrócił się do pozostałych mężczyzn, którzy przerwali rozmowę i spojrzeli wyczekująco, po czym rozpoczął prezentację. Lorenz starał się zapamiętać nazwiska, zatrzymując w pamięci jakiś szczegół dotyczący wyglądu przedstawianych mu osób.

– Stan Weigand.

Miał krótko przyciętą brodkę i ubrany był na czarno.

– Stan jest profesorem na tym uniwersytecie. Specjalizuje się w naukach przyrodniczych, nauce o ziemi i żywych organizmach. Nie jest jedynym nauczycielem pośród naszych przyjaciół. Wszyscy tutaj są wyjątkami, które potwierdzają regułę.

– Jaką regułę? – spytał Lorenz, nieco zdezorientowany.

– Że na uniwersytecie uczy się tylko tego, czego życzy sobie arcybiskup. Kościół jest do tego stopnia zaskorupiały, że nie ma pojęcia o żywotnych pragnieniach ludzi takich jak my, którzy chcą znaleźć odpowiedzi na nieustannie pojawiające się nowe pytania, nowe zagadnienia. Czy uwierzysz, że ciągle mamy profesorów, którzy porzucili uniwersytet w Paryżu, dowiedziawszy się, że jego władze po schizmie wzięły stronę papieża w Awinionie? Wielcy ortodoksi używają Boga jak tarczy wobec każdego problemu. Nonsensownymi sądaniami i ocenami zasłaniają światło rozumu.

– Gdyby Sokrates wstał z grobu... – odezwał się jeden z obecnych.

– ...pomyślałby, że dręczą go koszmary – dokończył drugi.

Lorenz tylko kręcił głową i spoglądał niepewnie, starając się zrozumieć kolejne komentarze.

– Przepraszam, Lorenz, ogromnie się angażujemy i nie ma nikogo, kto by nas powstrzymał.

– Jakie pytania? – chciał wiedzieć złotnik.

– Słucham?

– Mówiłeś o nowych zagadnieniach. Jakich?

– Takich, dzięki którym świat idzie do przodu. Jeśli dołączysz do nas, zrozumiesz, o czym mówię.

Yago kontynuował prezentację, a Lorenz myślał o tym, jak bardzo chciałby dowiedzieć się więcej o tym, co ulepsza świat.

– Leopold Trimm, ekspert w dziedzinie anatomii ludzkiego ciała.

Był tak wielki i gruby, że twarz ginęła w ogromnej fałdzie tłuszczu.

– Leopold jest jednym z niewielu profesorów na tutejszym uniwersytecie, który uważa, że badając ciała zmarłych, możemy się wiele dowiedzieć na temat ludzkiej anatomii, i broni tej opinii – powiedział Yago.

– Robimy, co nam wolno – rozbrzmiał zachrypnięty głos Leopolda.

– Nie, ty robisz dużo więcej niż to, co wolno. – Kupiec wskazał teraz mężczyznę stojącego obok Lorenza. Oczy miał niebieskie jak niebo o świcie, a wzrok bystry, przenikliwy. – To jest Merrill Severin, profesor etyki. Wygłasza bardzo interesujące poglądy na temat zachowań moralnych.

– Wszyscy szukamy szczęścia, Herr Block. Chociaż każdy inaczej je rozumie – profesor rzucił

enigmatyczną uwagę, co sprowokowało śmiech jego towarzyszy.

– Nie każdy, Merrillu, nie każdy. Nie zapominaj o stoikach – wtrącił Stan, jak zwykle ze zmarszczonym czołem i z naganą w głosie.

– Jakżebym mógł o nich zapomnieć! Przecież mam z nimi do czynienia na co dzień. Oni właśnie stanowią największe niebezpieczeństwo. Szukają szczęścia z wielką determinacją i przekonani są, że je znajdują, dręcząc swoje ciało – odparł Merril.

Śmiech znowu rozbrzmiał w wielkiej auli. Miejsce niewątpliwie służyło poważnym dysputom, ale atmosfera była bardzo swobodna. Zdając sobie sprawę z tego, jaki świat tych ludzi otacza, Lorenz zrozumiał, że tego rodzaju rozmowy stanowią ryzyko.

– A to jest Ritter Griep, artysta malarz. Otrzymuje zamówienia od arystokratów. Zdaje się, że i burmistrz Overstolz ma swój portret jego pędzla.

Ritter Griep, poważny, zasuszony, był tak przeraźliwie chudy, że wyglądał na ciężko chorego.

– Chętnie namaluję wasz portret któregoś dnia, Herr Block. Macie niezwykle oczy.

Lorenz się zaczerwienił.

– Ale ja...

– Nie przejmujcie się, Ritter taki jest. Powinniście się zgodzić: to honor, że chce was malować – powiedział Merril, składając głęboki ukłon przed artystą.

– Dziękuję, Merrillu.

Lorenz w końcu przyjął propozycję, choć wiedział, że sprowadzi to na niego tylko kłopoty.

– To jest Ulbrecht Harde, pilny badacz tekstów greckich i łacińskich. Z lubością stara się zrekonstruować kulturę, z której się zrodziliśmy.

– Myślę, że wszyscy to robimy, Yagonie – zauważył posępny Stan. – O ile mi wiadomo, nauki ścisłe nie zabijają naszego zainteresowania literaturą. Nie staraj się spychać nas na margines.

– Ależ nie. Stan, proszę, wybacz mi. Nie tak powinienem był przedstawić Ulbrechta. – Harde nic nie powiedział. Pocierał nerwowo nos, tak samo różowy jak policzki. – On interpretuje idee antycznych mędrców.

Podobnie jak przy poprzednich prezentacjach, Lorenz ukłonił się z szacunkiem.

– Nie bądź taki oficjalny, Lorenz. Jesteśmy wśród przyjaciół. – Yago oparł rękę na jego ramieniu. – A, jest tutaj jeszcze Johann Buchmann, ale z nim już często się spotykałeś.

Lorenz uśmiechnął się porozumiewawczo do księgarza.

– Wiem, że znasz również ojca Martina Wahrheita – kontynuował Yago. – Czasem przychodzi na nasze spotkania, ale dzisiaj jest niedziela i nie mógł zostawić swoich parafian. A więc – zwrócił się do zebranych – macie przyjemność poznać Lorenza Blocka, najlepszego złotnika w Kolonii i wielkiego innowatora w dziedzinie, która i dla nas jest bardzo ważna.

Yago zwrócił się znowu do Lorenza:

– Pytałeś, jakie nowe zagadnienia pojawiają się na świecie, a najciekawsze jest to, że ty także masz swój udział w jednej z takich kwestii. Tak jak i my.

– A o jakie kwestie chodzi?

– Sprawienie, by wiedza była powszechnym prawem człowieka.

– Wiara w człowieka.

– Powrót do źródeł klasycznych, do ich mądrości.

Zdania padały jedno po drugim.

– Tego właśnie chcemy dokonać – dokończył Yago.

– W jaki sposób?

– Zdobywamy książki, które są trudno dostępne. Niektóre tłumaczymy i dzielimy się ich treścią.

– Niektórzy z nas dużo podróżują, odwiedzają klasztory w całej Europie – dodał Ulbrecht.

Lorenz pomyślał o tym, jak niezwykle interesujące życie prowadzą ci ludzie.

– Czy to jest niebezpieczne?

Gromki śmiech rozbrzmiał w auli.

– Zawsze ryzykujesz, kiedy występujesz przeciwko interesom możnego – odparł Yago. Zamilkł na chwilę i dodał: – Ale to wszystko służy wyższemu dobru, jakim jest wiedza. Dlatego jesteśmy tak bardzo w te prace zaangażowani. Miałbyś ochotę zostać i posłuchać?

Zapadła cisza. Drobinki kurzu unosiły się w powietrzu, połyskując w słońcu, które przedostawało się przez wysokie okna. Uczni, bacznie wpatrzeni, czekali na reakcję swojego gościa. Nerwowość i zakłopotanie, jakie Lorenz czuł, przychodząc na spotkanie, zniknęły bez śladu. Teraz chciał już tylko zaspokoić ciekawość.

– Tak. Z największą przyjemnością.

Ogólną radość przerwał Yago, zapraszając Lorenza, by usiadł obok niego.

– Pozwól, że wyjaśnię. Zanim przyszedłeś, czytaliśmy fragment z Arystotelesa. W sferze intelektualnej teologia zajmuje bardzo ważne miejsce. Nie wiem, czy słyszałeś o tym greckim filozofie. Jego dzieła zawsze były znane, ale nie zawsze doceniano trafność jego wywodów. Według teologów Arystoteles i wielu innych klasycznych myślicieli stanowili przykład filozofii chrześcijańskiej zwanej scholastyką, w której dążono do rozumowego udowodnienia dogmatów religijnych. Tutaj zwłaszcza idee Arystotelesa okazały się przydatne.

Zaferowany głos księgarza przerwał wywody kupca. Były to jego pierwsze słowa, odkąd przyszedł.

– Doprawdy zadziwiające. Arystoteles uważał, że to, co uniwersalne, znajduje się w każdej realnej rzeczy. W przeciwieństwie do Platona, który oddzielał te dwie koncepcje. Święty Tomasz z Akwinu... na pewno o nim słyszałeś, bo studiował na tym uniwersytecie... otóż święty Tomasz przystosował poglądy Arystotelesa do treści teologicznych i stał się czołowym reprezentantem scholastyki. Tę metodę stosuje współczesna teologia i filozofia i to jest metoda nauczania na uniwersytetach. Czy wiesz, na czym polega?

Leopold pospieszył z odpowiedzią, podnosząc pulchne palce.

– Na przedstawianiu kwestii, prezentowaniu przeciwstawnych argumentów i dochodzeniu do konkluzji. Tomasz z Akwinu założył, że istnieją prawdy wywodzące się z rozumowania oraz takie, które są pochodną wiary, jak również że w poszukiwaniu prawdy o świecie wiara i wiedza uzupełniają się wzajemnie. Wszystkim zależało na złagodzeniu idei Arystotelesa.

– Istotnie, był trudny do przełknięcia w czystej postaci – zawołał Yago ze śmiechem. – Ale my chcemy odzyskać teksty oryginalne, a nie te, które są naznaczone optyką scholastyków. Nie wolno odsiewać słów wielkiego myśliciela, to niedopuszczalne. I właśnie dlatego nasz drogi Merrill czyta przetłumaczony z łaciny tekst O duszy. Dla Arystotelesa dusza jest tym dla ciała, czym wzrok jest dla oka. Pobudza jego energię, prowadzi przez całe życie. Chcesz posłuchać fragmentu?

– Oczywiście.

Wszyscy umilkli. Profesor przerzucił kartki manuskryptu i szybko znalazł to, czego szukał. Widać było, że doskonale zna tekst. Odchrząknął i zaczął czytać:

– „...Właśnie dlatego rację mają ci, którzy uważają, że dusza nie istnieje bez ciała, ani sama w sobie nie jest ciałem. Dusza musi być substancją rozumianą jako »forma ciała naturalnego posiadającego w możliwości życie«. Substancja ta jest aktem, a zatem dusza jest aktem takiego ciała...”⁵.

Lorenz wsłuchiwał się w melodyjny ton głosu Merrilla. Podobała mu się myśl, że dusza jest oznaką

życia. Dowiadywał się o sprawach, o których nigdy przedtem nie myślał. Zastanawiał się przez chwilę. W przeszłości dotknął dna, siebie obarczając winą za wszystkie nieszczęścia. Teraz było inaczej, życie się do niego uśmiechało: czuł, jak gdyby były w nim dwie dusze i od jednej, tej poprzedniej, już się uwolnił. Czuł się wewnętrznie odnowiony, pokrzepiony na duchu, a ciało też inaczej reagowało. Spotkanie uzmysłowiło mu, że wszystko, co istnieje, jest ze sobą w pewien sposób powiązane, że nie ma duszy bez ciała. Czy należy to traktować jak wezwanie do korzystania z przyjemności życia, czy surowe napomnienie? – zastanawiał się. Kim on był pośród tych uczonych, przewyższających go inteligencją? Dał się ukołysać słowami starożytnego mędrca, słowami przenikającymi do świadomości.

Następnego dnia świt nastał w Kolonii pod czarnymi deszczowymi chmurami jesieni. Późnym popołudniem, po pracy Lorenz szedł szybkim krokiem, chcąc trochę się rozgrzać; dni były coraz krótsze, światła dziennego coraz mniej. Kroki odbijały się echem od ścian walących się domów z kamienia i drewna, jakie przeważały w tej dzielnicy. W oknach bez szyb gdzieś widać było zniszczone nędzą twarze. Mały chłopiec uśmiechnął się, żując w bezzębnych ustach kawałek czarnego chleba. Lorenz w ostatniej chwili uskokzył przed strumieniem brudnej wody, wylewanej z górnego piętra.

Kiedy wszedł do kościoła świętego Michała Archaniola, zauważył, że jest tam wyjątkowo pusto. Umoczył palce w wodzie święconej, przeżegnał się i skierował prosto do zakrystii. Zapukał do drzwi, a kiedy się otworzyły, stanął w nich ojciec Martin. Przywitał Lorenza otwartymi ramionami. Ale na jego twarzy malował się smutek.

– Co się stało, ojciec?

– Wejdz, proszę. Musimy porozmawiać.

Ksiądz zamknął drzwi i usiadł obok Lorenza na niewygodnym drewnianym krześle.

– W końcu stało się to, czego się obawialiśmy – powiedział cicho Martin.

– Nie wiem, o czym ojciec mówi.

– Nie możemy wykonywać naszego wspólnego zadania. Niechęć hierarchów jest silniejsza, niż myślałem.

Lorenz zmarszczył czoło. Nic nie rozumiał. Ale czekał cierpliwie, aż ojciec Martin wyjaśni mu, o co chodzi.

– Osiągnęli to, czego chcieli, Lorenz. Nie obchodzą ich bieda ani potrzeby duchowe, wiara ani dobro kogokolwiek...

Był wyjątkowo rozdrażniony. Zakrył twarz dłońmi i kręcił głową z niedowierzaniem.

– Komu i co udało się osiągnąć?

– Arcybiskupowi. – W tym jednym słowie ojciec Martin pomieścił smutek i rozżalenie. – Wydał edykt zabraniający sprzedaży odpustów, które nie mają jego pozwolenia. Herold to ogłosił dzisiaj rano. Nie możemy nic zrobić. Jeśli się przeciwstawimy, surowo mnie ukarzą.

Mówił głosem mocnym, zdecydowanym i mimo że był zaniepokojony, na kościstej twarzy Lorenz nie zobaczył śladu strachu.

– Dlaczego mieliby ukarać ojca? Przecież to ja robię te kopie.

– Dlatego że jak dotąd nie mają pojęcia o twoim istnieniu, i tak ma pozostać. Ja podpisuję odpusty, co najwyżej będą szukać skryby, który mi pomaga. Nie mają pojęcia, co i kto się za tym kryje. Od momentu ogłoszenia edyktu wszystko, co robimy, jest nielegalne. Jeśli mnie zatrzymają, będzie to koniec mnie i mojej parafii. A tego nie chcę.

Parafia Martina znajdowała się w jednej z najbiedniejszych dzielnic Kolonii. Lorenz, chociaż sam miał niewiele, uważał się za szczęściarza w porównaniu z tymi rodzinami, które nie miały co do garnka włożyć. Tylko Martin o nich dbał. Bez niego byliby straceni.

Żyli w epoce, w której Bóg był obecny na co dzień. To w nim upatrywano źródła wszystkiego – tego, co dobre, i tego, co złe. Człowiek żył w bojaźni bożej, pilnował się, aby być posłusznym

boskim prawom i nie stracić swojego miejsca w raju, kiedy nadejdzie śmierć. Koniec, który czekał każdego, biednego i bogatego. Nie wolno było pozostawać dłużnym wobec Istoty Najwyższej, a grzechy stanowiły największy ciężar. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety potrzebowali odpustów dla otrzymania przebaczenia.

– Nie rozumiem. Przecież ojciec, jako duchowny, może pisać odpusty dla swoich parafian.

– Tak. Ale to nie ma znaczenia. W innych parafiach sprzedają dużo mniej odpustów, bo są droższe. A arcybiskup mówi, że ten nowy edykt ma „chronić” obywateli. W rzeczywistości nie podoba mu się, że nie biorę odpustów pisanych przez kościelnych skrybów, a przy okazji może dzięki edyktowi kontrolować ceny. Poza tym zawsze mnie krytykował wobec wyższych instancji, co też mi w niczym nie pomagało.

W oczach Lorenza kryło się pytanie. Co spowodowało, że Martin wybrał takie, a nie inne życie? Wiedział, że ze swoimi przyjaciółmi z uniwersytetu dyskutowali na tematy ryzykowne, ale co kryło się za decyzją o przyjęciu święceń kapłańskich?

– Teraz będziesz chciał wiedzieć...

Lorenz się wyprostował. Ksiądz wstał i założywszy ręce na plecach, podszedł do okna. Mleczne światło opromieniło ojca Martina i utworzyło wokół niego przedziwną poświatę. Na zewnątrz było szaro i ponuro.

– Pozwól, że na razie powstrzymam się od używania nazwisk tych, którzy są bohaterami mojej historii. – Mówił zwrócony twarzą do okna. – Było kiedyś dwóch obiecujących seminarzystów, pełnych entuzjazmu i nadziei. Chociaż pochodzili z różnych środowisk, w seminarium dzielili celę; łączyły ich też wspólne zainteresowania. Jeden z nich wywodził się ze szlacheckiego, lecz zubożałego rodu. Jako trzeci męski potomek w rodzinie bez wielkiego majątku od dziecka przeznaczony był do duchownego stanu. Wątpliwość początkowo wiara z biegiem czasu się umacniała, aż nadszedł moment, kiedy Bóg objawił mu się jako lekarstwo na wszelkie zło. Drugi młodzieniec przybył do Kolonii z prowincji, szacowny potomek arystokratycznej rodziny. Do seminarium prowadziła go głęboko wierząca matka i wcześniej objawione powołanie, a wiarę ukształtowała Biblia i modlitwy. Mijały kolejne pory roku i wokół tego drugiego seminarzysty życie toczyło się jak w nieprowadzonym niczyją ręką ogrodzie. Do miasta przyjechał nieśmiały chłopak i nie minęło dużo czasu, kiedy dał się omamić czyhającym pokusom. Któregoś dnia jego kolega znalazł go nad ranem śpiącego w tawernie; spędził tam całą noc w oparach alkoholu i nierządu. Obok leżała opróżniona przez złodzieja torba. Podniósł na chwilę głowę i rozchylił oczy, ale w takim stanie ledwo poznał chłopaka, z którymi dzielił celę. Kolega szybko podjął decyzję; pijany seminarzysta już opuścił wezwanie i był spóźniony na jutrznię. I trudno było przewidzieć, co księża pomyślą. Poprosił karczmarza, żeby natychmiast przygotował dużą ilość napoju z mleka, jajek, pieprzu i octu winnego. Wlał półprzytomnemu nieszczęśnikowi kilka łyków mikstury do gardła; ten obudził się momentalnie. Potem powlókł go ulicami Kolonii, aż doszli do celi w seminarium; na szczęście nikt ich nie widział. Przed księżmi wytłumaczył nieobecność złym samopoczuciem. Zrobił kompres z gorącego wosku, co upozorowało gorączkę. Stan po przepiciu dopełnił obrazu człowieka chorego. Wszystko pomyślnie się ułożyło i nikt nigdy nie wątpił w jego słowo. Od tamtego momentu zmieniły się stosunki między dwoma seminarzystami. Sekret im tylko znany podzielił ich, zamiast bliżej związać. Jeden miał wobec drugiego dług wdzięczności i poczucie winy zatruło ich rozmowy.

Ojciec Martin odchrząknął, jak gdyby dalsza część historii miała być szczególnie przykra.

– Ta nauka miała ogromne znaczenie w kształtowaniu charakterów obu młodych ludzi. Z czasem ów nieśmiały bogaty arystokrata zaczął pędzić życie, jakie odkrył owej nocy w oberży, nie przejmował się zbyt poczuciem winy i rygorami wiary, ale, naturalnie, bardzo się pilnował, aby

nikt się o niczym nie dowiedział. Na plotki nie trzeba było długo czekać, lecz nawet jeśli ktoś zechciał go o cokolwiek oskarżać, niczego mu nie udowodniono. Jego skrzętnie skrywane praktyki nie przeszkodziły mu w karierze. Bez przeszkód pisał się w górę. Aż został arcybiskupem Kolonii, takim, jakiego wszyscy znamy.

W zakrystii zapadła głęboka cisza. Lorenz poczuł zimny dreszcz na plecach. A w myślach pojawiło się jedno nazwisko: Dietrich von Moers. Zapytał tylko:

– A co się stało z tym drugim?

– Popadał w najrozmaitsze kłopoty. Niesienie pomocy stało się jego zwyczajem. Spacery po najbiedniejszych dzielnicach Kolonii dały mu możliwość poznania wielu potrzebujących. Pomagał im, nie zastanawiając się, dlaczego znaleźli się w takiej sytuacji. Ale wkrótce to, co robił, i opinie, jakie wygłaszał, zaczęły źle wpływać na jego pozycję w seminarium. Nie miało to dla niego żadnego znaczenia. W tajemniczy sposób drzwi, które powinny były się otwierać w miarę postępów w studiach, zamykały się. Lecz wątpliwości, zamiast osłabić jego wiarę, wzmocniły ją. Nie dotyczyło to jednak niektórych zasad głoszonych przez Kościół. Skończył seminarium, przyjął święcenia kapłańskie i nigdy nie złamał przysięgi ani danego słowa. Do dzisiaj: obiecał kupić od ciebie kolejne odpusty, a teraz, chociaż robi to z ciężkim sercem, musi sprawić ci zawód. – Uśmiechnął się smutno.

– To ty byłeś tym nieugiętym bojownikiem... – powiedział złotnik z błyskiem podziwu w oczach.

– Pochlebiasz mi, Lorenz. Ale jeśli widzisz we mnie bojownika, to znaczy, że źle opowiedziałem tę historię. Grzechy też popełniałem i buntowałem się przeciwko władzy. Miałem dużo kłopotów. I większość z nich sam na siebie sprowadziłem.

– Uważasz więc, że arcybiskup podpisał edykt, bo ciągle chowa do ciebie urazę? Przecież ty mu pomogłeś!

– Jestem też jedynym, który był świadkiem łamania przez niego ślubów. Tak, myślę, że w tym tkwi przyczyna. Świeccy akolici arcybiskupa też są po jego stronie; powiedzmy, że nie przepadają za moimi kazaniami.

Lorenz milczał, rozmyślając o tej niezwyklej historii. Nagle zapytał:

– Więc co mam z tym zrobić? – Pokazał paczkę owiniętą w materiał. Ostatnie odpusty.

– Trzeba je wyrzucić. Nie mogą nikomu wpaść w ręce, to niebezpieczne – powiedział ojciec Martin, biorąc zawiniątko. – Później się tego pozbędę.

Spojrzał na Lorenza dobrotliwym wzrokiem i usiadł obok z odpustami na kolanach.

– Moja sprawa nie może powstrzymać ciebie od tego, nad czym pracujesz. Musisz kroczyć dalej. Wiem, że dokonasz rzeczy wielkich. Dostałeś dar od Boga i nie wolno ci go zmarnować.

– Nie wiem doprawdy, czy powinienem pracować nad moją maszyną. Przynosi więcej kłopotów niż korzyści tym, którzy mogliby jej używać. Poza tym zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał mi przeszkodzić. Jak von Moers.

Radość z pracy nad wynalazkiem, jaka towarzyszyła Lorenzowi w ostatnich miesiącach, zgasła za sprawą jednego podpisu.

– Nie mów tak. Być może bezwiednie stałeś się nadzieją dla wielu osób. Możesz sprawić, że mrzonka nabierze realnych kształtów. Odpusty to był tylko początek. Niebawem przyjdzie walczyć o dużo więcej, i nie możesz się poddać.

– Wczoraj poznałem kilku twoich przyjaciół z uniwersytetu.

– Tak? – spytał, a uśmiech rozjaśnił mu twarz. – Kogo? Lorenz przypominał sobie nazwiska, mając w pamięci charakterystyczne rysy każdego z nich.

– Stan Weigand, Leopold Trimm, Merrill Severin, Ritter Griep i Ulbrecht Harde.

– Tak, to tylko kilku z wielu. Nasze spotkania stają się coraz popularniejsze.

– Ritter chce namalować mój portret – oznajmił Lorenz, śmiejąc się.

– A, to wielki honor! – zawołał ubawiony ojciec Martin.

– Tak mi powiedzieli. Powiedzieli też, że wykonuję dobrą robotę. Że to pomoże im rozpowszechnić ich książki.

– I to prawda, Lorenz. Nawet przez chwilę nie miej żadnych wątpliwości. To, co robisz, jest naprawdę ważne. To cię zbliża do Boga. Czy słyszałeś o Walhalli w mitologii nordyckiej?

– Nie – odparł złotnik.

– Walhalla jest miejscem, do którego trafiają polegli w chwale wojownicy. Ty też jesteś wojownikiem, okazujesz wielką odwagę w tej walce. Nie wolno ci stracić wiary.

Złotnik patrzył na księdza niezdecydowany, ciągle pełen wątpliwości.

– Ale ja nie chcę narazić nikogo na niebezpieczeństwo. W uśmiechu Martina kryło się dużo więcej niż tylko chęć pocieszenia go. Doskonale wiedział, co Lorenz ma na myśli. Czekala go długa droga i nieprzewidziane przeszkody.

– Nikt nie powiedział, że będzie łatwo.

Słońce kryło się za horyzontem. Na pustych ulicach rozbrzmiewał stukot końskich kopyt. Zimny jesienny wiatr smagał twarz Nikolasa, pogrążonego w myślach. Heller Overstolz żądał jego obecności.

Majątek Overstolza nieustannie się powiększał, odkąd rok wcześniej został burmistrzem Kolonii. Ręka nigdy mu nie zdrząła, kiedy podpisywał dekryty, na mocy których zawłaszczwał tereny wcześniej znajdujące się poza zasięgiem jego władzy. Granica pomiędzy realną władzą miasta a tradycyjnymi uprawnieniami właścicieli ziemskich zacierała się coraz bardziej i niebawem Overstolz stał się największym posiadaczem w mieście i okolicy. Był nieobliczalny i bezlitosny, ale to dzięki takiemu postępowaniu umocnił swoją pozycję i zyskał władzę. Wielu chciało współpracować z Bürgermeisterem.

Nikolas nie był wyjątkiem. Z biegiem czasu liczba umów zawieranych z burmistrzem się powiększała, z korzyścią dla obu. Do zadań warsztatu kopisty należało sporządzanie na piśmie dokumentów dotyczących przeprowadzanych transakcji. Tego dnia Heller wezwał go w tym właśnie celu. I to było niepokojące: Nikolas nigdy nie załatwiał osobiście tak drobnych spraw. Coś musiało się za tym kryć. Ich spotkania odbywały się zawsze tam, gdzie burmistrz mógł zademonstrować wagę swego stanowiska w otoczeniu swoich zauszników. Dlatego żądanie Hellera, aby spotkali się w więzieniu, wydawało się niepokojące.

Niebawem pojawił się przed Nikolasem ponury budynek więzienia. Otoczony murem i fosą wyglądał jak zamczysko. Niegdyś spełniał funkcję fortecy, w czasach kiedy w Świętym Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego zamieszki i grabieże były na porządku dziennym. Gdy sytuacja polityczna i militarna imperium się ustabilizowała, budynek zamieniono na więzienie, bo jego mury nie dawały szans na ucieczkę. Zamykano tu najbardziej niebezpiecznych przestępców w Kolonii.

Nikolas przejechał przez most nad fosą i zeskoczył z konia na placu apelowym. Z każdym oddechem w zimnym powietrzu z ust wydobywały się mgiełki pary. Żołnierz odprowadził konia pomiędzy szarymi kałużami, w których odbijało się zakryte chmurami niebo. Z cel docierały żalostne jęki. Inny żołnierz, w hełmie i z piką w dłoni, wskazał Nikolasowi drogę i razem skierowali się ku wielkim drzwiom prowadzącym do jednej z wież. W pozbawionym naturalnego światła wnętrzu Nikolas zobaczył wąski korytarz znaczony płonącymi pochodniami, wydzielającymi silny słodkawy zapach. Powietrze przesiąknięte było wilgocią. Łoskot zamkniętych za nim drzwi rozniósł się w wąskim przejściu. A potem zapadła cisza. Kopistę ogarnęło niejasne uczucie niepokoju.

Weszli do dużego pomieszczenia, również oświetlonego pochodniami. Cienie to wydłużały się, to ginęły w powiewach powietrza wpadającego przez małe otwory okienne. Przytłumiony dźwięk kropeł wody padających na ziemię przerywał przenikający ściany przerażający krzyk.

Nikolas spojrział na żołnierza, być może oczekując jakiegoś wyjaśnienia. Lecz on tylko stanął nieruchomo. Przed nimi w ośmiokątym pomieszczeniu było ośmioro zamkniętych drzwi.

– Wejdźcie tędy. Jego Ekscelencja was oczekuje. – Żołnierz piką wskazał właściwe drzwi.

Nikolas skinął głową. Żołnierz stał nieporuszony, nosal pośrodku hełmu dzielił jego twarz na połowy i niemal zasłaniał oczy. Kopista zastukał do drzwi i otworzył je. Już wiedział, co oznaczały

krzyki: na długim stole leżał półnagi mężczyzna z pierśią zlaną potem i krwią, z brzegu stołu zwisała niczym niepodparta głowa, wykrzywiona z bólu twarz błagała o litość.

Heller odłożył cęgi i wyciągnął ramiona, aby któryś z jego pacholeków zdjął mu skórzane rękawice. Uśmiechnął się szeroko i podszedł do Nikolasa.

– Drogi przyjacielu. – Ucisnął jego dłoń i poklepał po ramieniu. – Chodź, chodź, nie stójmy tu...

Nikolasowi na powitanie udało się tylko wykrzywić usta w zimnym półuśmiechu. Przemoc fizyczna paraliżowała wszystkie zmysły, obezwładniała. Spojrzał na skatowaną ofiarę i wydało mu się, że skazaniec zemdlał z bólu.

Thusty pacholek w skórzanej kamizelce i spodniach, o prostackiej twarzy i pustych oczach, zwrócił się do Hellera pokornym głosem:

– Chyba traci przytomność, Wasza Wysokość.

– Nie pozwól na to. Polej mu twarz wodą – rozkazał. I zwracając się uprzejmie do Nikolasa, powiedział: – Usiądźmy, proszę.

Kopista usiadł na jedynym wolnym krześle naprzeciwko więźnia, na którego twarz pacholek wylewał z wiadra wodę z solą.

– Odsuńcie się nieco od niego – powiedział Heller, wskazując więźnia. – Nie będziecie słyszeć, jak mnie błaga o litość, i napiszecie jego przyznanie się do winy.

Pacholek na znak burmistrza wyszedł i po chwili wrócił z niewielkim stołem. Postawił go przed kopistą, który wyjął z torby papier, kałamarz i pióro. Ułożył je na płaskiej powierzchni, umoczył pióro w atramencie i czekał na instrukcje.

– Sprawa wygląda tak, Nikolasie. – Heller, z poważną miną i rękami założonymi na plecach, przechadzał się wokół długiego stołu, na którym leżał więzień. – Otóż ten tutaj śmieć usiłował zbuntować całą Kolonię. Złapaliśmy go, jak stał na jakiejś beczce i rozbudzał emocje tłumu, opowiadając o złych rządach.

Bez zmruczenia oka Nikolas słuchał wyjaśnień burmistrza, który spojrzał na więźnia i powiedział z sadystycznym zadowoleniem:

– Już nigdy czegoś takiego nie zrobisz, prawda?

– Nie. – Więzień z trudem wydobywał słowa. – Litości, błagam.

Heller wrócił do Nikolasa i z całkowicie obojętną miną kontynuował relację, tak jakby to była zwykła opowieść.

– Opróżniliśmy plac, zatrzymaliśmy go i natychmiast przyznał się do wszystkiego: „Ja, Clement Aurf, jestem winny...”. – Burmistrz przerwał i spojrzał zdziwiony na kopistę. – Nie piszesz, Nikolasie? Wiem, że zwykle przysyłasz Helmutha w takich sprawach, ale mam nadzieję, że jeszcze umiesz posługiwać się piórem...

Nikolas przytaknął ruchem głowy i spojrzał na rozłożoną na stole kartkę. Zaczął pisać pod dyktando burmistrza słowa rzekomo wypowiedziane przez oskarżonego. Światła w pomieszczeniu bez okien było niewiele, oświetlało je tylko kilka pochodni, i Nikolas wysiłał się, by oko śledziło ruch ręki.

– „...jestem winny aktów, o które się mnie oskarża. Przyjmuję pokornie wyrok pięciu lat galer i zaszczyt mi przynosi...”. Bła, bła, bła... – Dłoń burmistrza zakreślała w powietrzu powolne koła. – Resztę dopiszcie sami. Ma to być przyznanie się do winy, konkretnie do spiskowania przeciwko władzy i porządkowi publicznemu. I że był to spisek skierowany przeciwko arcybiskupowi von Moersowi. W ten sposób przyczynię się do umocnienia prestiżu naszego księcia elektora.

Ostatnie słowa kryły więcej, niż wyrażały. Nikolas skinął głową i wrócił do pisania, podczas gdy burmistrz, oparty o stół, na którym leżał więzień, stanął za nim i czekał, aż kopista skończy. Po

chwili znowu się odezwał:

– Tacy ludzie rozumieją tylko język brutalnej siły. Ja nie cierpię takich praktyk, możecie mi wierzyć, ale czasem nie ma innego wyjścia...

Ruchem głowy dał znak pachołkowi. Ten podbiegł do stołu, na którym leżały narzędzia tortur. Chwył cęgi i przytrzymując kolanem rękę więźnia, wyrwał mu paznokiec. Rozległ się chrobot. Ryk bólu przeraził kopistę. Sądził, że skończyli tortury, burmistrz miał przyznanie się do winy. O co mu, u diabła, teraz chodziło? – zastanawiał się Nikolas. Zamknął na chwilę oczy, po czym wrócił do pisania przy wtórze przerażających krzyków. Ledwo mógł się skoncentrować w tej dantejskiej scenerii, więc szybko pisał, co mu kazano. Jedyne, czego pragnął, to skończyć i wyjść jak najprędzej. Czuł potworne obrzydzenie, ale swoje myśli musiał zachować dla siebie.

– Pilnuj, żeby nie zemdlał – rozkazał pachołkowi Heller.

Kat zareagował, wylewając kolejne wiadro wody na twarz więźnia.

– Co robisz, idioto?! – krzyknął burmistrz i odskoczył o krok. Trochę wody spadło na niego.

Z wściekłą miną odsunął się od stołu z umęczonym ciałem. Więzień lekko się poruszył, nie krzyczał już, tylko jęczał z bólu. Nikolas kończył dokument, kiedy Heller znowu się odezwał. Tym razem do niego. Złość mu przeszła, o czym świadczył pogodny ton i przyjacielska forma.

– Zapewne zastanawiasz się, dlaczego cię tu wezwałem. Kopista spojrzął na więźnia, a potem na burmistrza.

Zrozumiał, że jedynym celem wyboru takiej scenerii było wystraszenie go. I burmistrz niewątpliwie ten cel osiągnął. Heller, domyśliwszy się, że Nikolas przejrzał jego zamiary, natychmiast go uspokoił.

– Nim się nie przejmuj, kiedy skończymy, na pewno nic nie powie – rzucił lekceważąco, jak gdyby to było niewarte wspomnienia głupstwo. – Chcę, żebyś się zajął pewną osobą. Przypuszczam, że słyszałeś o brakach w dostawach zboża...

– Tak, coś do mnie dotarło...

– Z pewnością z ust takich łajdaków jak ten. – Machnął ręką w kierunku nieprzytomnego więźnia. – Chodzi im tylko o to, żeby podkopać mój autorytet i zniszczyć popularność. Przecież wiadomo, że zmagazynowanego zboża jest zawsze mniej przed kolejnymi zbiorami. Wszyscy ze smutkiem patrzyliśmy na ofiary głodu... – Zrobił dramatyczną pauzę i dodał: – Ale to nie była moja wina. Zrobiłem wszystko, co mogłem.

– Działal pan, panie burmistrzu, w dobrej wierze, jak zawsze...

W głosie Nikolasa nie zabrzmiał nawet cień ironii.

– Oczywiście, jak zawsze. I teraz musimy znaleźć sprawcę tych aktów przemocy. Tego, który spowodował, że kupcy zbożowi nie mogli dotrzeć do naszego miasta. Chcę, żeby go schwytano. Osoba, która tego dokona, będzie mieć satysfakcję, że pomści prosty lud.

Nikolas zdawał sobie sprawę, że jest to coś więcej niż sugestia. Nie mógł odmówić. Zaakceptował reguły gry i wpadł we własne sieci.

– Czy nie byłoby lepiej działać zgodnie z prawem? Wizerunek pana burmistrza zyskałby niepomierne.

Heller zaczął przechadzać się tam i z powrotem, energicznym krokiem podkreślając każde słowo.

– Wiesz, że nigdy nie kieruję się własnym interesem, lecz interesem miasta. Nie mogę dopuścić, aby podobna tragedia się powtórzyła. Dla mnie najważniejsze jest postępowanie zgodne z prawem, dochodzenie sprawiedliwości, i ten bandyta musi jak najszybciej umrzeć. Nie zasługuje na sąd ani my sądu nie oczekujemy; za długo by to trwało i dałoby jego ludziom szansę odbicia go.

Jest ich wielu i są dobrze uzbrojeni.

– Zatem cała operacja będzie trudna...

– Jest ryzykowna, to prawda, ale mnie interesuje tylko jeden z nich, nie ma potrzeby wszystkich zabijać. Zmija bez głowy sama się wykończy.

Nikolas odczekał chwilę, zanim dał burmistrzowi odpowiedź. Nie chciał sprawić wrażenia, że jest na każde zawołanie, mimo że przecież był.

– Rozumiem.

– Doskonale.

Heller powiedział to takim tonem jak sprzedawca, któremu udało się ubić dobry interes. Ucisnął dłoń Nikolasa, czym dał mu znak, że ma odejść. Kopista pozbierał swoje rzeczy, skinął uprzejmie głową na pożegnanie i wyszedł. Przepęniało go osobliwe uczucie. Był świadkiem okrutnej sceny, której wspomnienie długo nie pozwoli mu spać. Burmistrz doskonale wiedział, w jaki sposób przekazać myśl bez zbędnych słów. I Nikolas nie miał wątpliwości, że gdyby kiedyś został uznany za wroga, zająłby miejsce tego nieszczęśnika, którego krzyki ciągle dzwoniły mu w uszach. Wracał tym samym wąskim korytarzem, który prowadził do sali tortur, świadomy, że przychodzi mu płacić bardzo wysoką cenę za przysługi burmistrza. Któregoś dnia musi to zmienić.

W wigilię Wszystkich Świętych Erika miała już wszystko przygotowane na następny dzień. Od śmierci matki spędzali to święto wspólnie z Lorenzem. Rano szli na cmentarz położyć kwiaty i zapalić świece na grobie Ebby. Potem wracali do domu na wcześniej przygotowany specjalny posiłek. Przed snem Erika myślała o matce, wspominała spędzony z nią czas. Nazajutrz wspólnie z ojcem mieli czcić jej pamięć.

Parę chwil temu wróciła z rynku, obładowana zakupami. Było bardzo zimno – dzięki temu jedzenie nie zepsuje się do następnego dnia. W to święto jedli zwykle karpia i śledzie.

Zabierała się do czyszczenia ryb, kiedy usłyszała lekki chrobot przy drzwiach. Ze zdziwieniem zobaczyła złożoną na pół kartkę przesuwającą się powoli po podłodze. Cień przysłonił szparę i zaraz zniknął. Podeszła ostrożnie, podniosła kartkę i przyjrzała się pieczęci bez żadnego znaku. Twarz rozjaśnił jej uśmiech. Otworzyła drzwi, chcąc dowiedzieć się, kto zostawił list, ale nikogo tam nie było. Wyszła na ulicę i rozejrzała się na wszystkie strony. Ani żywej duszy. O tak wczesnej popołudniowej porze ulica była pusta; ludzie pracowali w swoich warsztatach. Wróciła do domu, cały czas patrząc na kartkę. Na pytania przyjdzie czas.

Postanowiła, że później zajmie się kuchnią. W domu nie było nikogo, ale weszła na górę, szukając spokojnego kąta. Zaciągnęła zasłonę dzielącą jej część sypialni od części Lorenza, usiadła na łóżku i zapaliła świecę. Szybko złamała pieczęć i rozłożyła kartkę z czerpanego papieru. Zdumiało ją pismo – piękne, choć pozbawione wszelkich ozdób.

Liebes Mädchen,

pozwalam sobie napisać do Ciebie jeszcze raz po dłuższym czasie. Mam nadzieję, że nie naprzykrzam się z moimi rozmyślaniami, gdyż wiem, że prowadzisz bardzo pracowite życie. Proszę, nie myśl, że brak wiadomości ode mnie oznacza, iż o Tobie zapomniałem. Przeciwnie, zawsze jesteś ze mną. Kiedy pracuję i kiedy śpię. Co noc śnią mi się Twoje piękne włosy, gładzę je, jak gdyby były w zasięgu mojej ręki, tak jakbym gładził najdelikatniejszy jedwab. Mam nadzieję, że nie uważasz tego za zuchwałość.

Przed chwilą widziałem, jak przechodzisz przez ulicę. Poruszałaś się krokiem pełnym gracji, z oczami skierowanymi ku niebu, gdzie być może krył się jakiś cudowny widok, tylko dla Ciebie przeznaczony. Bardzo chciałbym wiedzieć, co to było, i razem z Tobą podziwiać jego urodę.

Zapewne zastanawiasz się, kim jestem. Proszę się nie niepokoić, wkrótce dowiesz się o mnie więcej. Życie nauczyło mnie niewyczerpanej cierpliwości. Na Ciebie czekać będę zawsze. Co dzień ze zdumieniem odkrywam, że istnieje ktoś tak cudowny i że mnie przypadło w udziale takie szczęście, jeśli nie poznać Cię, to przynajmniej widzieć.

Te listy to jedyny sposób, abym teraz czuł, że jesteś blisko mnie, jedyne światło w wiecznej ciemności. Jesteś dla mnie najlepszym darem, jaki dostałem od życia.

Dzisiaj chcę zaproponować rodzaj gry. Jeśli zgodzisz się, abym dalej pisał, będę wiedział, że odwzajemniasz moje uczucie. Następny list zostawię w murze na końcu ulicy Świętej Agaty, dziesiątego grudnia. Jeśli dobrze poszukasz, znajdziesz go. Teraz pozostaje mi tylko marzyć o tej chwili.

A.F.

Erika drobnym palcem wodziła po ostatnich literach. Coś ją ścisnęło w dołku. Kiedy dostała pierwszy list, pomyślała, że to czyjś żart, ale ten drugi wcale o tym nie świadczył. Wręcz przeciwnie, zapowiadał trzeci, ukryty w załomku muru. Westchnęła, opadła na łóżko i leżała przez chwilę, wpatrując się w jakiś punkt. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi.

Kim jest A.F.? Długo się zastanawiała, ale jakoś nikt jej nie przychodził do głowy. Owszem, tego ostatniego roku paru chłopaków zalecało się do niej, tylko że żaden nie wyglądał na takiego, który umiałby pięknie pisać, żaden też nie miał inicjałów A.F.

Pomyślała o Antonie Fridem, synu właścicielki straganu z rybami. Kiedy przychodziła po ryby, Anton czerwieniał na twarzy i nie wiedział, co robi. Dzisiejszego ranka dał tego najlepszy dowód: matka kazała mu obsłużyć Erikę i Anton tak się zdenerwował, że zapakował śledzia zamiast karpia. Erika zwróciła mu grzecznie uwagę, nie chcąc, żeby czuł się winny, ale to nic nie pomogło. Zawstydzony przeprosił ją, zapakował karpia i czerwony jak rak zniknął za straganem, mrużąc coś niewyraźnie. Z trudem kryjąc śmiech, Erika trzymała w ręce śledzia i opowiadała matce Antona, co się stało.

– Doprawdy, do niczego się ten chłopak nie nadaje! – zawołała gruba straganiarka. – No, mała, zabieraj więc i śledzia. Co za niedojda!



Erika próbowała przypomnieć sobie, czy na widok jakiegoś chłopca czerwieniła się po same uszy. Pomyślała o jednym z terminatorów w warsztacie Lorenza. Anselm. Nie знаła jego nazwiska. Ile razy czekała na ojca przed drzwiami warsztatu, Anselm zatrzymywał się, by się przywitać.

– Cześć, Eriko! – wołał rezolutnie. – Ładnie dzisiaj wyglądasz.

– Dziękuję, Anselmie – mówiła, odsuwając się.

– Nie chciałabyś pójść ze mną na spacer?

Patrzyła na niego z niechęcią.

– Nie. Pewnie, że nie.

Kiedy ojciec wychodził, chłopak szybko zniknął.

Anselm jej się nie podobał. Miał rude włosy i piegi na nosie, a wielkie niebieskie oczy niemal wyskakiwały mu z orbit.

A może imię i nazwisko autora listów, który podpisywał się A.F., w rzeczywistości zaczynały się od innych liter. Garin, syn kowala, też się interesował Eriką. Ile razy przechodziła koło kuźni, wybiegał, żeby z nią porozmawiać. Kiedy po wyjeździe Matthiasa z Kolonii ogarnął ja smutek, Garin był dla niej bardzo dobry, ciągle dawał jej małe, przepiękne przedmioty wykute z kawałków żelaza. Ale był wielkim, silnym chłopcem, zbyt silnym jak dla niej.

Erika wyobrażała sobie, jak zakochany w niej chłopak może wyglądać; najpiękniejszy na świecie, to na pewno. Nagle zapragnęła, żeby to był ten młodzieniec z jasnymi kręconymi włosami, o ciemnej cerze, na którego kilka razy natknęła się w mieście. Ten, który nigdy nic nie mówił. Zaplotła palce i modliła się, żeby to on okazał się autorem listów.

Usiłowała sobie przypomnieć, czy widziała go w dniu, kiedy znalazła pierwszy list; na początku października. Ranek był przyjemny, więc postanowiła pójść na spacer po mieście.

Ulice, jak zwykle w ciepły dzień, pełne były ludzi i w pewnej chwili wpadł na nią chłopak, tak brudny, że wzięła go za żebraka. Już wyciągała pieniądze, kiedy mały bez słowa dał jej kartkę, zapieczętowaną sztancą bez żadnego wzoru. Erika natychmiast złamała pieczęć, a kiedy przeczytała list, rozejrzała się dookoła, zastanawiając się, czy autor nie obserwuje jej z daleka. Ale wśród tłumu nikt nie zwrócił jej uwagi.

Usłyszała jakiś dźwięk przy drzwiach wejściowych. Szybko ukryła list pod kocami, podeszła do schodów i zobaczyła, że ojciec – z Olgą – wrócił z pracy. Nawet nie zauważyła, jak długo leżała na górze, rozmyślając o liście i jego autorze.

Chociaż bardzo starała się polubić tę kobietę, nie mogła przyzwyczaić się do jej częstych wizyt. Nie była naiwna, wiedziała, że Olga bardzo się ojcu podoba. Oczu z niej nie zdejmował, a ona, Erika, wiedziała, co to znaczy.

Zamiast zejść na dół, postanowiła z ukrycia obserwować, co się tam dzieje. Lorenz i Olga usiedli blisko siebie przy stole i zaczęli o czymś cicho rozmawiać. Zamknawszy oczy, Erika starała się zrozumieć szept. Po chwili zamilkli. Kiedy znowu na nich spojrzała, zobaczyła, że głowy obojga zwracają się ku sobie – zaraz się pocałują. Nie byłby to pierwszy raz, chociaż przy niej najczęściej powstrzymywali się od takich oznak czułości. Postanowiła ich zaskoczyć. Usta już się połączyły, kiedy na schodach usłyszeli kroki.

Natychmiast odsunęli się od siebie. Olga zerwała się na równe nogi, a Erika z trudem ukryła uśmiech.

– Nie wiedziałem, że jesteś w domu – powiedział zakłopotany Lorenz.

– Byłam na górze. Zasnęłam na trochę i nie przygotowałam kolacji.

– Nie przejmuj się. Dzisiaj ja gotuję. Zgadzasz się? – zaproponowała Olga, jak zwykle chętna do pomocy.

Erika żałowała, że wcześniej nie zrobiła kolacji. Lorenz wyszedł na chwilę i zostały same.

– Bardzo dużo pracujesz, Eriko. Czasem trzeba pozwolić sobie pomóc.

– Nie potrzebuję pomocy – odparła dziewczyna. I dodała: – Jestem przyzwyczajona i lubię pracować. – Nie chciała być niegrzeczna, Olga niczym sobie na to nie zasłużyła, ale czasem Erika mówiła więcej, niż należało.

– W każdym razie dzisiaj odpoczniesz od pracy. – Olga poszła do kuchni, a Erika ustawiła talerze na stole.

Kobieta poruszała się zręcznie po kuchni, wiedziała doskonale, gdzie znaleźć potrzebne produkty. Po chwili z wielkiego garnka zaczął wydobywać się cudowny zapach zupy jarzynowej. Na zewnątrz powietrze było lodowate, ale ogień w palenisku utrzymywał w domu przyjemne ciepło. Lorenz towarzyszył Oldze i od czasu do czasu próbował zupy. Erika, siedząc przy stole, nie spuszczała z nich wzroku. Piękna rodzinna scena. Ale Olga nie należała do rodziny.

– Gotowe – oświadczyła niebawem.

Lorenz jeszcze raz włożył drewnianą łyżkę do garnka.

– Naprawdę pyszna, Olgo.

– Matka nauczyła mnie robić taką zupę, kiedy miałam mniej lat niż ty, Eriko. Mam nadzieję, że ci będzie smakowała!

Erika zdawała sobie sprawę, że Olga robi wszystko, by się jej przypodobać. Wymusiła uśmiech na twarzy. Gdyby się odezwała, pewnie wymknęłoby się jej jakieś niepotrzebne słowo, a nie chciała sprawić przykrości ojcu. Widziała, jaki jest zadowolony.

Lorenz napełnił miseczki, jak zawsze, kiedy jadał kolacje z Eriką, i po krótkim błogosławieństwie wszyscy zasiedli do jedzenia. Ojciec pochwalił zupę, a Erika przyznała mu rację, choć bez szczególnego entuzjazmu. Po chwili zaczęli rozmawiać o wynalazku.

– Jak ci idzie z prasą? – zaciekawiała się Olga, wskazując na pół rozmontowaną prasę, która zajmowała sporą część pomieszczenia.

Lorenz przełknął łyżkę zupy.

– No cóż, nie mam za dużo czasu. Zdjąłem wszystkie listwy i zastanawiam się, co zrobić z dźwignią do obracania.

Erika wiedziała, że ojciec nie jest aż tak zapracowany, żeby nie poświęcić czasu nowemu urządzeniu. Widać było, że Lorenz trochę się zniechęcił, odkąd ojciec Martin nie zamawiał już odpustów. Najwyraźniej Olga nie miała o tym pojęcia. Erika poczuła się wyróżniona posiadaniem tej informacji.

– Jaki masz problem z dźwignią? – zapytała Olga.

– Drewniana płyta obraca się wokół śruby w kierunku skrzynki z czcionkami. Kiedy naciska na papier, farba się rozlewa i wszystko brudzi – powiedziała szybko Erika, nie podnosząc oczu znad talerza.

Chciała pokazać, że wie o sprawach, którymi ojciec się zajmuje, nie pozostawić wątpliwości co do tego, kto przy tym stole jest ważniejszy. Być może nie wiedziała dużo, ale przynajmniej miała jakieś pojęcie o prasie.

Lorenz spojrział na nią z uśmiechem.

A Erika podniosła wzrok i mrugnęła do niego.

Olga nie dociekała dłużej i resztę wieczoru spędzili na rozważaniu, jak z prasy do winogron zrobić maszynę do kopiowania książek.

Od czasu do czasu Erika spoglądała ukradkiem na przyjaciółkę ojca. Zazdrościła jej urody. Bystre niebieskie oczy patrzyły śmiało, przemawiała zawsze ciepłym, spokojnym głosem. Już w dniu, w którym ją poznała, Erika zauważyła, że mimo niskiego pochodzenia Olga zachowuje się jak ktoś, kto otrzymał doskonale wychowanie. Siedząc teraz przy stole w bursztynowym świetle ognia i świec, w czerwonej tunice sięgającej stóp, wyglądała jak księżniczka z innego czasu, z innego miejsca.

Kiedy skończyli kolację, Olga podziękowała i wstała, szykując się do wyjścia. Robiło się późno. Lorenz odprowadził ją do drzwi, Erika szła dwa kroki za nimi. Wiedziała, że w ten sposób zapobiegnie czułościom przy pożegnaniu. Olga pocałowała ją w policzek, a Erika odwzajemniła ten gest jedynie leciutkim dotknięciem ust. Kiedy przyszło żegnać się z Lorenzem, jeden jego ruch głową w stronę Eriki wystarczył, by Olga powiedziała tylko:

– Chcesz, żebyśmy poszli jutro do...?

– Jutro jest dzień Wszystkich Świętych – przerwał jej Lorenz. – Erika i ja mamy coś do zrobienia, przykro mi. – Spojrział na córkę, radośnie uśmiechniętą.

A więc pamiętał, pomyślała. Pamiętał, że ten dzień był tylko dla nich.

– Rozumiem. Wobec tego innego dnia. Życzę wam dobrej nocy. Zobaczymy się w warsztacie, Lorenz.

Wyszła, w najmniejszym stopniu nie okazując niezadowolenia, co nie uszło uwagi Eriki. Szacunek dla tradycji świadczył na jej korzyść. Biorąc wszystko pod uwagę, przyjaciółka ojca nie była taka zła.

Kilka godzin wcześniej zapadła noc i panująca nad miastem ciemność i cisza świadczyły, że do świtu było jeszcze daleko. Morgenstern siedział w tawernie i opróżniał jeden kufel po drugim. Nie przeszkadzało mu, że jest sam. Miał kilka złotych monet, których nie zamierzał długo trzymać w kieszeni.

Kobieta pracująca w lokalu zmęczonym ruchem zabrała ze stołu kolejny kufel. Właściciel tawerny krzyknął do niej, żeby doniosła więcej piwa: pieniądz klienta jest najważniejszy. Morgenstern napastował ją sprośnymi uwagami i szczypaniem w tyłek, ona się opędziała i raz czy dwa trzepnęła go w policzek. Ubranie pirata, dobrego gatunku, cuchnęło alkoholem.

– To mi się podoba, odważna jak wojak! – Morgenstern zarechotał, łapiąc kufel.

Podniósł go, pociągnął długi łyk i trochę piwa wylało się na kaftan. Odstawił z hałasem kufel, a rękawem otarł z ust pianę.

– Ej, ty, szynkarz! Co z moją kolacją? Umieram z głodu!

Właściciel wyszedł zza baru, wycierając dłonie w fartuch.

– Robi się. Zaraz dostaniecie.

Morgenstern wyjął pół florena z kieszeni i rzucił na podłogę.

– To dla kucharki, niech się pospieszy. A ty – powiedział do kobiety – jak mi dasz spróbować swoich pyszności, też niezłą sumkę obejrzysz.

– Mam męża i dzieci. Nie marnuję czasu na bezceństwa – odparła z obrzydzeniem. Umiała sobie radzić z takimi typami.

– Takie są najgorsze. – Uśmiech na przeciętych szramą ustach Morgensterna był wyjątkowo ohydny.

Z kuchni usłyszeli niezrozumiały okrzyk. Po chwili pojawiła się żona właściciela tawerny z tacą pełną dymiącego mięsiwa. Gdy pochylając się, postawiła ją na stole, pirat zuchwałym okiem przyjrzał się jej obfitemu biustowi. Kobieta odeszła z twarzą w pąsach.

Morgenstern jadł, głośno mlaskając. Nagle zauważył coś przez szybę w oknie i zawołał do mężczyzny stojącego za barem:

– Chyba będziesz miał jeszcze jednego gościa!

– Lepiej niech przyjdzie jutro. Dzisiaj trzymamy tawernę otwartą tylko dla was.

– Otwórz mu. Strasznie tu nudno.

Pomyślał, że dobrze by było trochę się rozerwać przy kolacji.

– Ale... – zaprotestował szynkarz.

– Otwieraj! – rozkazał Morgenstern lodowatym tonem.

Służąca rzuciła właścicielowi pełne złości spojrzenie, kiedy szedł z kluczami do drzwi. Otworzył je i zobaczywszy, że nikt za nimi nie stoi, zawołał:

– Żywej duszy tu nie ma.

Pirat wzruszył ramionami. Jadł dalej kolację, a tłuszcz ściekał mu po brodzie. Szybko opróżnił kufel, zawołał, aby go znowu napełnić, i wreszcie skończył, wyraźnie zmęczony. Wyglądało na to, że zaśnie.

– Potrzebujecie jeszcze czegoś? – Głos szynkarza otrzeźwił go.

Nie otworzył jednak oczu ani nic nie powiedział. Nie miał zamiaru w ogóle się ruszać. Mężczyzna potrząsał piratem, ale bez skutku. Kiedy zaczął sprzątać ze stołu, Morgenstern chwycił go za rękę i mocno ścisnął. Otworzywszy jedno oko, napotkał wściekły wzrok właściciela.

– Ile ci jestem winien? – zawołał. Puścił rękę i wybuchnął pijackim śmiechem.

Przerażony mężczyzna wymamrotał kwotę. Morgenstern wiedział, że szynkarz nie odważy się zaprotestować, jeśli zapłaci mu mniej. Beknął, cisnął na stół kilka monet, wstał i wyszedł. Już za drzwiami usłyszał głębokie westchnienie ulgi.

Listopadowa noc kulila się w powiewach lodowatego powietrza, a strzępki mgły napływały z rogów ulic. Ociężały od jedzenia i piwa, Morgenstern szedł ciemnymi ulicami miasta. Dłoń trzymał na rękojeści rzeźnickiego noża, którego ostrzem można by przeciąć włos na pół w powietrzu.

Miał nadzieję, że Heller da mu to, co obiecał, tak żeby mógł jak najszybciej wyjechać z Kolonii. Jego miejsce było wśród marginesu, ryzykantów balansujących na cienkich linach między prawem i bezprawiem, z dala od tłumów miast. Żaden z jego ludzi nie znał szczegółów, ale świetny interes, jaki dzięki niemu ubił burmistrz, wkrótce miał przynieść większe korzyści. Wymógł od Overstolza dodatkową sumę za swoje usługi i lada dzień powinien ją otrzymać. Skręcił w znaną sobie małą uliczkę. Podchmielony potykał się o wystające kamienie i w końcu padł na twarz. Pozbierał się, mrużąc coś pod nosem, i powłókł się dalej. Jeszcze tylko potrzebował jakiejś dziwki, żeby zakończyć noc.

Światelko nad drzwiami wskazywało wejście do tawerny, której szukał. Ledwo przekroczył próg, usłyszał głos kobiety o obfitych kształtach i szczerbatym uśmiechu.

– Morgenstern! Ty stary łajdaku! W takim stroju ledwo cię poznałam!

Głos Lilith słyhać było ponad śmiechem, przekleństwami i metalicznym dźwiękiem stukających o siebie dzbanów i kufli.

– Cóż to? Czy ja nie mogę też się elegancko ubierać? – Morgenstern zaśmiał się i okręcił dookoła. Zwykły strój, na życzenie Hellera, zostawił na statku.

Lilith odepchnęła mężczyznę, który ją ścisnął, i podeszła do pirata. Ledwo trzymał się na nogach i niemal się na nią przewrócił.

– Ejże! Jak można w ten sposób traktować panienkę?

– Dzisiaj, kochana, przychodzę dobrze uzbrojony... – odparł i ręką sięgnął do sakiewki.

Lilith zaśmiała się bezwstydnie.

– Musimy to opić. Postaw piwo.

Usiedli przy stole obok pijaka, który podśpiewywał coś z zamkniętymi oczami. prostytutkom wolno było zabawiać klientów, pod warunkiem że coś zamawiali. W zamian dostawały napiwek w postaci miski zupy i szklanki piwa.

Szturchnięciem w bok Lilith dała znak Morgensternowi, by zapłacił właścicielowi. Wyjął z sakiewki żadaną sumę, resztę wsunął do woreczka i zaraz poszli na podwórko z tyłu tawerny. Inni klienci byli tak pijani, że nigdzie się nie ruszali.

Podwórko, pełne pustych beczek, odgródzone było od ulicy zniszczonym murem. Lilith, śmiejąc się głośno, stanęła pod ścianą, a pirat twarzą przywarł do jej piersi. Podniósł spódnicę, lecz nawet mimo zamroczenia wyczuł, że kobieta chce go oszukać. Udami ścisnęła wyprężony członek i nie pozwalała, by w nią wszedł. Strzelił ją w twarz, krzycząc:

– Nie przechytrzysz mnie, dziwko!

Lilith dyszała ciężko, a pirat parsknął i prychnął, usiłując się do niej dostać. Nie wiadomo skąd, zabrzmiał przytłumiony śmiech. prostytutka krzyknęła przestraszona i odepchnęła Morgensterna.

– Co, do cholery, stara zdiro?

- Tam, na murze! – jęknęła. – Tam! Wyskoczył nagle... Jakaś szpetna mord... i śmiał się! Odurzony alkoholem i zaskoczony nagłym obrotem spraw pirat nie wiedział, co się dzieje.
- Co ty pleciesz? – Odwrócił się. – Przecież tam nikogo nie ma. Sowa jakaś albo co.
- Przepraszam, ale widziałam, że ktoś wszedł na mur i się gapił, wystraszyłam się...
- Niech to cholera...! I dlatego musiałem przerwać?

Znalazł kamień na ziemi i cisnął nim. Po erekcji nie zostało śladu. Cichym głosem Lilith znowu przeprosiła.

- Może gdybyśmy się jeszcze piwka napili, nastrój by nam wrócił... – odważyła się powiedzieć.
- Być może, ale najpierw musisz skończyć swoją robotę.
- Ręką doprowadził penisa do stanu gotowości.
- Zobaczmy teraz, co te zasznurowane wargi potrafią.
- Zanim się pochyliła, Lilith jeszcze raz spojrziała na mur.
- Spowijała go mgła.



Kiedy Morgenstern wyszedł z tawerny, miał jeszcze w sakiewce kilka monet. Zwykle nosił też na rękach i szyi złote pierścienie i łańcuchy. Nigdy nie wiedział, dokąd go los zawiedzie, dlatego zawsze miał pod ręką coś do sprzedania. Był to jego zestaw ratunkowy, na wszelki wypadek.

Mimo że głowę miał mocną, ilość wypitego tej nocy alkoholu dała o sobie znać. Z trudem trzymał się na nogach, a do Złotego Bażanta, gdzie miał pokój, nie było blisko. Skręcił w ciemną, śmierdzącą uliczkę – jedną z tych, których liczni mieszkańcy używali jako latryny – żeby nie natknąć się na nocnych strażników. Zdawało mu się, że słyszy ich kroki. Był co prawda elegancko ubrany, ale ktoś mógł go rozpoznać po szramie na twarzy i przekłutych uszach. Na wszelki wypadek udał, że sika, kiedy byli całkiem blisko, a potem ruszył dalej. I nagle usłyszał głuchy pomruk.

W głębi uliczki zobaczył parę błyszczących oczu. Ktoś powoli wstawał na nogi. Morgenstern wyciągnął nóż.

– Kto idzie?

Cisza.

Usłyszał hałas za sobą i odwrócił się. Cień przemknął na drugą stronę i zniknął w ciemności. Morgenstern zdołał tylko zauważyć długie poły targnięte wiatrem. Kiedy spojrział znowu tam, gdzie chwilę przedtem połyskiwały oczy, niczego nie dostrzegł.

Morgenstern schował nóż. Zanim wyszedł z uliczki, rozejrzał się w obie strony i przyspieszył kroku.

Wyczuł, że ktoś za nim idzie. Przyspieszył jeszcze bardziej, z zamiarem zmylenia wroga skręcił szybko w wąską uliczkę z dwoma starymi domami na rogach. Skrył się w cieniu. Gdy podejrzany osobnik zbliżył się, Morgenstern rzucił się na niego z nożem. Jednym cięciem sprawił, że człowiek upadł na plecy. Twarz miał białą i jasną, niemal przezroczyście oczy. Z wykrzywionych ust dobywał się przeciągły jęk. Nóż pirata obciął mu część nosa i z otwartych nozdrzy tryskała krew, zalewała usta i ziemię dookoła. Człowiek poruszył się, ręką sięgnął do kałuży, chcąc otrzeć twarz.

– Masz jaja, skurczybyku – mruknął Morgenstern. – Inny by tu wył z bólu.

Kamień uderzył go w głowę.

– Co, do dia...?

Odwrócił się wściekły i zobaczył innego osobnika. Miał na sobie taki sam kaftan z kapturem jak

ten, którego zranił.

– Ach, ty skurwysynie! – Splunął na leżącego na ziemi. – Sam nie przyszedłeś, co? Jeśli myśleliście, że uda wam się mnie okraść...

Podniósł nóż, gotów zaatakować na nowo, gdy dosięgnął go jeszcze jeden kamień. Dwóch osobników zbliżało się z prawej strony, jeden z lewej i jeszcze jeden wychodził z uliczki za jego plecami. Otoczyło go sześć przedziwnych postaci. Z zakapturzonymi twarzami wyglądały jak zjawy z piekła rodem. Stały nieporuszone, milczące, obserwujące. Morgenstern obracał się wokół, nie chcąc żadnej stracić z oczu.

– Ej, wy, zgrajo łotrów! Moja broń gotowa! – zawołał, wymachując nożem w powietrzu.

Nikt się nie poruszył. Ze skroni pirata płynęła krew.

Z ciemności wynurzył się osobnik wyższy niż pozostali, mocno zbudowany. W świetle księżyca włosy wydały się spowite mgiełką. Morgenstern zobaczył nagle oświetloną twarz i badawczo wpatrzono ciemne oczy. Nie spuszczał z niego wzroku, człowiek – najwyraźniej przywódca – dał ręką znak. Sześciu zakapturzonych ludzi wyjęło sztylety. Pirat zacisnął zęby i czekał.

Rzucili się na niego jednocześnie. Morgenstern, wymachując nożem, szukał piersi, w której mógłby zatopić ostrze. Przeżył krwawe starcia z całymi oddziałami wojska. Strachu nie czuł. Zawsze wiedział, że zakończy życie w taki sposób. Jedyne, czego pragnął, to umrzeć z bronią w dłoni. Pierwszy cios – jak ukłucie osy – trafił go w żebra. Drugi, zaraz po pierwszym, w brzuch. Atakowali go, ale jeszcze trzymał się na nogach; nie zamierzał tak łatwo oddać życia. Zdawało mu się, że któregoś trafił szpadą w ramię, lecz kolejny cios w pierś powalił go na ziemię. To był koniec. Odebrali mu nóż. Ranny leżał przed nimi, a oni wbijali sztylety w bezbronne ciało nawet wtedy, kiedy już nie żył. To nie byli ludzie, lecz wygłodniałe dzikie zwierzęta.



Ręce Alonsa drżały, a lodowaty chłód jak ostry nóż przeszywał pierś. Klęczał u boku najciężej rannego i usiłował powstrzymać krwotok z obciętego nosa. Pozostali również doznali obrażeń. Pirat z pewnością był nie lada przeciwnikiem.

Alonso wydał swoim ludziom dokładne instrukcje. Mieli zabrać rannego i na wózku odwieźć do warsztatu, żeby go opatrzyć. Sam wolał wrócić oddzielnie. Zabrał sakiewkę z pieniędzmi, pierścienie i łańcuchy pirata. Łup rozdzieli między nimi następnego dnia. Swojej części nie chciał. Pieniądze były zbrukane krwią, a on nie był mordercą. To, co zrobił, zrobił dlatego, że tak rozkazał ojciec.

Alonso przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej znaleźć się w pałacu, gdzie zajmował oddzielną, jemu tylko przeznaczoną część. Ręce miał pokryte krwią i na nic się nie zdało wycieranie ich połą kaftana. Musi czym prędzej dotrzeć do domu, zmyć krew. I brud.

W pałacu gdzieś palily się światła. Wszedł tylnymi drzwiami, wziął zapaloną świecę i schodami zszedł na dół. Otworzył kluczem żelazne drzwi i znalazł się u siebie. Gdy po kolei zapalał rozmieszczone w kilku miejscach świece, ukazał się pokój tak wielki jak pomieszczenie w warsztacie, w którym wszyscy pracowali. Tu trzymał swoje rzeczy, swoje obrazy i książki, zbierane latami. Tu były pamiątki wczesnego dzieciństwa w Toledo.

Alonso rzucił kaftan na ziemię. Podeszedł do miski pełnej wody, ustawionej na trójnogu w głębi pokoju, i zanurzył w niej dłonie. Szorował je aż do bólu i w końcu usunął najdrobniejszy ślad krwi.

Nie poczuł się lepiej, nie był w stanie wymazać z pamięci tego, co zrobił. Czy ktoś taki jak on był godny miłości dziewczyny czystej, niewinnej jak Erika? Nie zasługiwał na nią. Z takim piętnem nie był jej godzien.

Tego ciemnego listopadowego popołudnia w warsztacie Ernesta praca szła pełną parą. Zima wcześniej zawitała do miasta. Opady śniegu były obfite na terenie całego cesarstwa i Kolonia, choć w mniejszym stopniu, też pokryła się grubą białą pierzyną.

Przedmioty, które wychodziły z warsztatu Ernesta, były małymi dziełami sztuki. Trzeba było za nie dobrze płacić, więc jedynie Kościół i szlacheckie rody mogły sobie na nie pozwolić. Posążki świętych, relikwiarze, puszki na komunikanty i talerzyki na hostie mieszały się z biżuterią, bibelotami i całymi zastawami, świadczącymi o statusie właścicieli. Bardzo często świeckie wyroby ze srebra i złota były przetapiane – albo po to, żeby odzyskać materiał, albo po to, żeby wykonać nowe, zgodne ze zmieniającą się modą dekoracje, naczynia i sprzęty. Równie często złotnictwo miało swój udział w innych uznanych sztukach, w architekturze, rzeźbie czy grawerstwie. Rzemieślnicy całe dni spędzali w warsztatach, pracując w złocie i srebrze, ale żadnego nie było stać na posiadanie choćby jednego takiego przedmiotu.

Ernest oczekiwał przybycia ważnej osobistości. Rycerz Raynard Hendrik, narzeczony Galiany, kuzynki żony burmistrza, odbierał swoje zamówienie. Ślub wyznaczony był za kilka dni i tego wieczoru rycerz w obecności całej rodziny wręczał prezent ślubny – piękne lustro ze szkła weneckiego.

Na polecenie mistrza Lorenz odłożył zamówienie, nad którymi pracował z Olgą. Od kilku dni cały swój czas poświęcał na zdobienie lustra. Raynard był ważnym klientem i Ernest wymagał absolutnej perfekcji. Na ramie lustra, wykonanej w srebrze, metal i szkło tworzyły delikatny ornament z postaciami aniołów. Lorenz polerował ją teraz wilgotną szmatką, dumny ze swojego dzieła.

– Piękne.

Olga przysiadła obok i przyglądała się doskonałym kształtom.

– Dziękuję. – Lorenz aż się zarumienił z zadowolenia.

– Nie dziękuj mi. To jest piękne. – Uśmiechnęła się. – Nie chcę cię zanudzać, bo już kiedyś pytałam, ale jak ty to robisz, że potrafisz wyrzeźbić w srebrze takie małe twarze?

– A ty rysujesz miniatury.

– Rysowanie na papierze to nie to samo co rzeźbienie w metalu.

Siedzieli tak blisko siebie, mówili tak cicho, że ich oddechy niemal się łączyły. Olga zadrżała. W oczach Lorenza była i czułość, i pożądanie. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości: przyciągali się wzajemnie.

Lorenz ciągle trzymał lustro, kiedy Olga położyła dłoń na jego dłoniach. Podniósł lustro i zobaczyli w nim swoje odbicie, twarz przy twarzy, każdy szczegół wyraźny, pełen życia wśród szarości tła. Uśmiechnęli się. Mocne uderzenie w ramię sprawiło, że Olga zadrżała. Odwróciła się.

– Bertram chce, żebyś przyszła – powiedział Anselm, jeden z terminatorów. – Ma jakiś problem z twoim rysunkiem.

– Ależ mnie wystraszyłeś.

Poszła z nim, zastanawiając się, czego stary rzemieślnik znowu chce.

– Zaprzyjaźniliście się, wy dwoje, co? – zapytał Anselm.

Lorenz nie chciał, żeby ktokolwiek w warsztacie wiedział, co ich łączy. Taka informacja sprawiłaby, że Ernest zacząłby traktować złotnika jeszcze gorzej niż dotychczas. Ale młody rudy terminator był natrętny, zachowywał się protekcyjnie i wyraźnie się do niej zalecał. Oldze się to nie podobało; Ilse na jej miejscu od razu powiedziała by Anselmowi, co o nim sądzi.

– Chcę się od niego uczyć – odparła tylko.

Nie miała zamiaru kontynuować rozmowy i szła szybko wzdłuż zniszczonych stołów, przy których rzemieślnicy i terminatorzy, w nieustającym metalicznym trzasku narzędzi, siedzieli pochyleni nad złotem, srebrem, szmaragdami i płynną emalią.

Bertram, stary i doświadczony rzemieślnik, cyzelował srebrną tacę według rysunku Olgi.

– No, wreszcie! – burknął na jej widok. – Wy tłumacz mi, jak ta kreska ma się znaleźć po drugiej stronie. – Pokazał na rysunek.

– Przepraszam, Bertramie. Rzeczywiście chyba niewyraźnie to narysowałam. Zaraz poprawię.

– Pospiesz się. Nie lubię zostawiać roboty niedokończonych – sarknął poirytowany starzec.

Pracownikom warsztatu podobało się to, że pracuje z nimi kobieta. Tym bardziej kiedy okazało się, że w tym, co robi, jest naprawdę dobra. Rysunek skrytykowany przez Bertrama był doskonały, a mimo to wzięła go do poprawienia.

Wróciła na swoje miejsce. Lorenz nadal polerował piękne lustro. Pomyślała, że kobieta, która je dostanie, nie będzie długo zachwycać się jego zdobną ramą, spoglądać będzie w jego serce, w odbicie warte więcej niż srebro. Sama tego doświadczyła, a przyczynił się do tego Nikolas.

Kiedy kopista ponad dziesięć lat temu wziął ją pod swoją opiekę, żyła z włóczegostwa, z tego, co jej przyniósł dzień. Przeniesiona do luksusowego pałacu przyglądała się jego niewyobrażalnemu pięknu – obrazom w kolorach bogatszych, niż kiedykolwiek widziała w rzeczywistości, szlachetnym kamieniom, o których istnieniu nie miała pojęcia, klejnotom błyszczącym silniej niż słońce – i w oczach pojawiały się łzy. Ale z czasem przestała zwracać na nie uwagę; żyła w otoczeniu pięknych przedmiotów na co dzień.

Lorenz przypomniał jej, jak szczęśliwie potoczyło się jej życie.

– Poprawiaś? – Głos Bertrama wyrwał ją z rozmyślań.

– Tak. Proszę. – Nawet nie dotknęła rysunku, lecz Bertram nie zgłosił żadnych pretensji.

Ernest wyszedł ze swojego kąta i zawołał do Lorenza:

– Skończyłeś?

– Tak – odparł, zadowolony ze swojego dzieła.

– Widzę, że nie. Jeszcze trzeba bardziej wypolerować. Zaraz po nie przyjdą, lepiej, żebyś był gotowy.

Odwrócił się i odszedł do siebie. Lorenz nic nie powiedział. Zaciśnął zęby i poruszył parę razy szmatką. Olga z daleka zobaczyła złośliwy uśmiezek na twarzy Ernesta.

Lorenz wykonał dla mistrza bardzo dużo przedmiotów i w tym, co robił, był na pewno najlepszy. Nic mu jednak ta praca nie przynosiła, na nic nie mógł sobie pozwolić, nadal był biedny. Gdyby nie Nikolas, ona – Ilse – też żyłaby w nędzy. Nie wiadomo, co by się z nią stało, kiedy po porzuceniu rodziny pozostał jej tylko żebraczy los.

Od kilku wieczorów była dla Nikolasa bardziej czuła niż zwykle. Żartem powiedziała, że potrzebuje tej czułości, bo zrobiło się bardzo zimno i trzęsie się jak liść na wietrze. Ale kopista jej nie wierzył i każdy gest przyjmował z podejrzliwym wyrazem twarzy. „Czy ty przypadkiem nie masz czegoś na sumieniu?” – zapytał.

Były w niej dwie zupełnie inne kobiety i zastanawiała się, która bardziej się jej podoba. Olga – wrażliwa, niezależna, miała dla Lorenza nieznaną jej dotąd uczucie bezinteresownej serdeczności.

Ilse – kochanka i niewolnica najlepszego kopisty w Kolonii, któremu zawdzięczała absolutnie wszystko.

I oto jedna z nich zamierzała teraz dokonać czynu brzemiennego w skutki.

Dzień pracy zbliżał się do końca i za chwilę rycerz Raynard miał przybyć po odbiór swojego zamówienia. Olga rozejrzała się ostrożnie, sprawdzając, czy wszyscy są jeszcze na swoich miejscach. Krokiem jak najbardziej naturalnym poszła w kierunku drzwi wyjściowych, skrywając w dłoni dłuto. Na półce obok leżało gotowe, owinięte w aksamit lustro. Zasłoniła je swoim ciałem i udała, że szuka na półce jakiegoś narzędzia. Rzuciła jeszcze okiem, czy nikt nie zwraca na nią uwagi, i zacisnęła dłoń na dłucie. Jedną ręką podtrzymała lustro, a dłutem uderzyła kilka razy w owiniętą powierzchnię. Usłyszała trzask szkła. W miejscu, gdzie przedtem widziała swoje i Lorenza odbicie, teraz zostały odłamki. Szybko wróciła na miejsce.

Wkrótce potem przyszedł Raynard. Odziany w piękne futro wspaniale się prezentował na tle otoczenia, gdzie o tej porze dnia panował wielki bałagan. Wszystko w warsztacie pokryte było pyłem szlachetnych metali. Ernest przybiegł czym prędzej powitać rycerza.

– Herr Hendrik! Oczekiwałem was.

– Bardzo się cieszę, Herr Blum. Nie mogłem przyjechać wcześniej, ulice są zasypane śniegiem, więc bardzo się spieszę. Proszę mi pokazać lustro. Chcę je zobaczyć.

– Zachwycicie się. Warte jest każdej monety, jaką zapłaciliście.

Ernest podszedł do półki, delikatnie zdjął lustro i położył na kontuarze. Dwoma palcami rozsuwał aksamit, najpierw z jednego końca, potem z drugiego. Ruchom dłoni towarzyszył chropawy dźwięk, który go zaniepokoił. Odpowiedź znalazł, gdy jego przerażonym oczom ukazał się straszny widok: kryształ rozbity na tysiąc kawałków, tylko srebrne aniołki wokół ramy pozostały nietknięte.

– Jak mogliście...?

Oczy Raynarda rozbłysły gniewem.

– Nie wiem... Bardzo przepraszam...

Ernest przeproszał rycerza, a w myślach przeklinał sprawcę tego zniszczenia.

– Nic nie wiecie! Jasne, że nie. Nie wiecie, co zrobiliście ani komu to zrobiliście. To lustro sprowadziłem z Wenecji dla mojej przyszłej żony, spokrewnionej z burmistrzem. Zapewniam, że nawet nie potraficie sobie wyobrazić, co was czeka.

Rzemieślnicy w osłupieniu słuchali krzyków rycerza. Upokorzony mistrz tylko stał z opuszczoną głową. Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Po kilku długich minutach Raynard odwrócił się i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Ernest podszedł szybko do Lorenza, który jak skamieniały siedział przy swoim stole. Wszyscy patrzyli na mistrza z przerażeniem; jeszcze nigdy nie był tak rozjątrzony. Rzucił lustro na stół, a Lorenz z niedowierzaniem wpatrywał się w swoje jeszcze niedawno piękne dzieło. Zapadła przenikliwa cisza.

– Co się stało? – spytał Lorenz bezbarwnym głosem.

Czerwony z wściekłości Ernest dopiero teraz eksplodował.

Wobec Raynarda musiał się powstrzymać.

– Zaraz ci powiem, co się stało! Nie mam zamiaru dawać ci więcej szans. Przez ciebie wyszedłem na idiotę, w dodatku przed szlachetnie urodzonym... Tego wybaczyć nie można. Zniosłem wiele, i to z anielską cierpliwością, po tym, co zrobiłeś mojej córce. Ale tym razem to już koniec. Słyszysz?

Koniec! Wynoś się z mojego warsztatu i niech tu więcej twoja noga nie postanie! Nigdy więcej!

Już ja dopilnuję, żebyś nigdzie nie dostał pracy!

Lorenz milczał. W głowie huczały mu słowa Ernesta, oskarżającego go o śmierć Ebby. Poczł, że krew zawrzała mu w żyłach. Zapomniał o Oldze, która patrzyła na niego z niepokojem. Ernest już wracał do swojego kantorku, lecz zatrzymał się, kiedy usłyszał za sobą głos złotnika.

– Nikt nie kochał Ebby tak jak ja. Nikt!

Ciągle wściekły Ernest odwrócił się, chcąc raz na zawsze zamknąć zięciowi usta. Lecz spojrzawszy na niego, zbladł.

– Nie pozwolę, żebyś w ten sposób mnie obrażał – ciągnął Lorenz. – Nikt tak jak ja nie przeżył śmierci Ebby, a ty nie masz prawa zarzucać mi czegokolwiek.

Mówił głośno, zdecydowanie, spokojnie. Ale w spojrzeniu utkwionym w oczach Ernesta była furia i groźba. Mogło się wydawać, że za chwilę rzuci się na niego. Mistrz zapewne zastanawiał się, jak na to zareagować, ale Lorenz nie dopuścił go do głosu.

Z trudem tłumiąc gniew, wycedził:

– To ja mam ciebie dosyć. Jesteś nędznikiem. Wiesz dobrze, że jestem twoim najlepszym złotnikiem i że beze mnie stracisz niejedno zamówienie. Dlatego nigdy się nie zgodziłeś, żebym mógł zdawać egzamin na mistrza. Wiesz, że gdybym miał swój warsztat, ty byś został bez klientów. Znosiłem to wszystko dla córki, dla dobra rodziny. Winien mi jesteś dużo więcej niż to, co mi do tej pory dałeś, mnie i twojej wnuczce, krwi twojej krwi. Ale już jest za późno. Nie chcę cię więcej oglądać.

Odszedł w stronę drzwi. Zanim je otworzył, powiedział jeszcze:

– Nie martw się o moją przyszłość, raczej módl się, żebyś to ty nie popadł w ruinę, osamotniony, zniechęcony przez wszystkich. Jak każdy, kto nikogo nie kocha ani nie szanuje.

Poszukał wzrokiem Olgi. Rzucił jej spojrzenie poważne, badawcze, które odczuła jak cios w pierś.

Ona sprowokowała tę sytuację i czuła się winna. A jednocześnie ogarnęła ją fala wzruszenia i dumy, kiedy usłyszała słowa Lorenza.



Parę godzin później ktoś zapukał do drzwi. Lorenz nikogo nie oczekiwał, Erika dawno spała. Jedyne od paleniska padało nieco światła.

– Przykro mi.

Olga mówiła szeptem.

– To nie twoja wina – odparł ze spuszczoną głową.

– A Erika?

– Śpi.

Lorenz zaprosił ją do środka. Był załamany z powodu utraty pracy. Usiedli przy stole.

– Co robiłeś po ciemku? – spytała ciepłym głosem.

– Nic. Siedziałem i myślałem. Jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Lustro było w porządku, kiedy je odkładałem, wierz mi. Naprawdę nie wiem, jak to się mogło stać...

Olga położyła rękę na jego ramieniu.

– Może ktoś położył na wierzchu jakieś narzędzia... Nie myśl już o tym, krwi sobie tylko napsujesz.

Lorenz westchnął ciężko. Olga miała rację. Na nic nie zda się myślenie o całej sprawie. Nawet przez moment wydało mu się całkiem prawdopodobne, że zrobił to sam Ernest, żeby mieć pretekst do pozbycia się go. Myśl jednak była bezsensowna i wołał się nią z Olgą nie dzielić.

– Nie martw się, Lorenz. Nawet jeśli on po namyśle nie zwróci się do ciebie, zrobi to ktoś inny.

– Powiedział, że nikt mnie nie weźmie do swojego warsztatu.

– Ernest myśli, że jest kimś ważnym, a w rzeczywistości jest nikim. Nie wierz w to, co mówi.

Lorenz uśmiechnął się łagodnie. Wdzięczny był Oldze za słowa pociechy. Rozumiała go i wiedziała, jak podtrzymać na duchu. Zdał sobie sprawę, że jest mu potrzebna bardziej, niż mu się wydawało.

– Poza tym teraz będziesz miał więcej czasu, by zająć się prasą. Rozwiązałeś już problem ze śrubą? – zapytała z uśmiechem.

– Nie. Jeszcze muszę nad tym popracować.

– Teraz będziesz mógł skończyć – powiedziała Olga zadowolonym głosem.

Lorenz wziął między palce kosmyk jej jasnych włosów i założył za ucho. Takie miękkie i jedwabiste. Olga najmniejszym ruchem nie okazała, że jej to przeszkadza. Była taka piękna. Nie mógł odwrócić wzroku od zaróżowionych ust, przez które przemawiały słowa zachęty. Chciał ich dotykać, cieszyć się ich aksamitnym smakiem. Powoli zbliżał twarz do jej twarzy, czuł jej oddech i pocałował ją. Pocałunkiem gorącym, namiętym. Czas się zatrzymał, a Lorenz poczuł, że problemy zniknęły.

Oddechy stawały się coraz szybsze. Lorenz przygarnął mocniej głowę Olgi, a ona pieściła jego szyję i plecy. Nie odrywając ust, wstali i lekko kołyszącymi krokami doszli do paleniska. Nie widzieli żadnych przeszkód, nie mieli żadnych wątpliwości. Uklękli na zimnym klepisku. Lorenz się odsunął.

– Zaczekaj – powiedział.

Wyjął koc z komody i rozłożył na twardej ziemi. Usiedli na nim, Lorenz zdjął kaftan i spodnie, Olga suknię i koszulę. Patrzył na piękne nagie ciało. Piękniejsze, niż to sobie tyle razy wyobrażał. Gdy zobaczyła szramę na plecach Lorenza, delikatnie jej dotknęła i pocałowała.

– Boli cię? – zapytała.

– Nie. Już nie – odparł.

Przyciągnął Olę i znowu się całowali, nierozłączni. On dotykał twardych piersi, potem ust, a ona już znalazła nabrzmiąły członek. Płomienie ognia rzucały rozmigotane cienie na nagie ciała. Olga położyła się, była gotowa. Lorenz nie zawahał się ani chwili.

Kiedy w nią wszedł, zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Drgnienie i pchnięcie, drgnienie i pchnięcie, i następne, i następne... Biodra Olgi unosiły się i opadały, coraz szybciej, coraz gwałtowniej. Pieściła go, jęczała w spazmach niebiańskiej rozkoszy, błagała o więcej. Ugryzła go, kiedy zasłonił jej usta, by nie krzyczała. Gdy wyczuł skurcz, jeszcze raz pchnął z całej siły. Olga osiągnęła szczyt i drżała z rozkoszy. Wówczas eksplodował. Z trudem powstrzymał dobywający się z gardła krzyk.

Opadł na nagie piersi Olgi. Czuł uspokajający dotyk jej dłoni. Milczeli obydwój, bez tchu, złani potem. Ekstaza powoli malała i cichła.

W palenisku został już tylko przygasający żar. Rozgorączkowane ciała traciły ciepło i po chwili czuć już było jedynie lodowate powietrze. Lorenz wyciągnął jeszcze jeden koc. Przykrył nim Olę i siebie; chciał być z nią jeszcze trochę, zanim nadejdzie świt. Położył się obok niej, przyciągnął do siebie i otoczył ramieniem.

– Gdyby ta chwila mogła trwać wiecznie... – powiedział.

Ale Olga się nie odezwała. Pomyślał, że zasnęła.

Minęły dwa tygodnie i Lorenz nadal był bez pracy. Słowa Ernesta szybko rozniosły się po całej Kolonii i żaden mistrz złotniczy nie zamierzał komplikować sobie życia przez mieszanie się do sprawy. Lorenz był w kilku warsztatach, lecz w każdym potraktowano go odmownie. Mistrzowie złotniczy, tacy jak Hahn, Geert czy Roger, z którymi Lorenz kiedyś współpracował, teraz odwrócili się od niego. Ernest zrobił wszystko, aby zięć nie mógł wykonywać zawodu, któremu poświęcił życie.

Incydent z lustrem pociągnął za sobą oplakane skutki. W mieście powtarzano, że owego wieczoru rycerz Raynard przybył do zamku burmistrza w stanie z trudem hamowanej wściekłości. Członkowie rodziny, wstrząśnięci sytuacją, bez zwłoki opuścili zamek. Widok przyszłego męża w takiej kondycji wywołał u Galiany atak spazmatycznego płaczu, który słyhać było daleko poza murami. Agripina, chcąc złagodzić rozpacz kuzynki, poprosiła męża, aby szybko poczynił odpowiednie kroki. Warsztat Ernesta zapłaci wysoką cenę za to, co się stało. Ślub odbył się, jak planowano, tydzień później, przy dźwiękach dzwonów katedry.

Tego listopadowego popołudnia Lorenz siedział zamyślony przy rozpalonym palenisku. Erika poszła sama na spacer. Ostatnio zdawała się zajęta sprawami, którymi najwyraźniej nie chciała się z nim dzielić. Pomyślał, że pewnie zawiódł ją swoim postępowaniem. A tak bardzo pragnął, aby znowu patrzyła na niego jak wtedy, kiedy pomagała mu odbijać litery. Kiedyż to było!

Jedynie związek z Olgą trwał. Odkąd Lorenz został wyrzucony z warsztatu, przychodziła odwiedzać go codziennie. Martwiła się o niego, a poza tym donosiła mu o wszystkim, co się działo w warsztacie. Opowiedziała mu, że Ernest na kolanach błagał Raynarda o wybaczenie. Całował go po rękach, kiedy parę dni później rycerz przybył do warsztatu z kilkoma strażnikami miejskimi i zażądał wypłacenia odszkodowania za lustro w wysokości wyznaczonej przez burmistrza. Ernest wysupływał pieniądze i bąkał słowa przeprosin, chociaż wszyscy widzieli, że się gotuje z wściekłości. Na pewno nieprędko dostanie teraz dobre zamówienia. „Ma to, na co sobie zasłużył”, oświadczyła Olga. Lorenz po raz pierwszy od wielu dni się uśmiechnął.

Ciepło płynące z paleniska ogrzewało mu ręce i twarz. Siedział tam już dobrą chwilę i zmrok niemal zapadł. Zamknął oczy, wsłuchując się w trzask rozżarzonych bierwion. Może uda mu się zasnąć na chwilę. Ostatnio nocę spędzał bezsennie, leżał z otwartymi oczami i zastanawiał się, co robić. Musiał przerwać prace nad prasą drukarską; niewiele zostało do ich zakończenia, powinien tylko sprawdzić, jak działa urządzenie po wprowadzeniu różnych zmian, ale uznał, że egoizmem byłoby wydawanie ostatnich pieniędzy na metal i papier. Miał przecież córkę na utrzymaniu.

Podniósł się powoli. Podeszedł do półki w kuchni, wziął z niej glinianą miseczkę i otworzył kurek małej beczułki z okowitą. Patrząc, jak naczynie się napełnia, pomyślał o ironii losu. Ten napój pojawił się dwa wieki wcześniej w Italii, w czasach kiedy alchemicy poszukiwali eliksiru zapewniającego życie wieczne, a skończyło się na tym, że stał się lekiem na przeróżne choroby. Lorenz zapragnął, aby ta woda życia uleczyła i jego życiowe bolączki.

Pociągnął spory łyk i znowu usiadł na krześle przy stole. Przez okno zobaczył, że znowu sypie śnieg. Nieczęsto widział miasto przykryte białym puchem, zmienione, zupełnie inne. Widok opadających powoli, miękkich białych płatków wyciszył go, uspokoił. Zamknął oczy. Trzaski

palącego się drewna już nie budziły w nim grozy. Po pożarze przez wiele lat każdy większy czy mniejszy płomień wywoływał napięcie, które trwało, póki ogień nie wygasł. Wydawało mu się, że pojawia się nagle, znikąd, że zaskoczy i zdradzi. Ale to się zmieniło. Dotknął szramy na plecach; już mu prawie nie przeszkadzała. To, że znowu obudziły się w nim uczucia do kobiety, zmieniło jego postrzeganie samego siebie; to, że zakochał się w Oldze, pomogło mu. Żył w przekonaniu, że nigdy nie zrzuci z siebie ciężaru winy, a kiedy przewyciężył ten stan, znalazł się znowu na rozdrożu. Upił jeszcze jeden łyk.

Wyciągnął się w krześle. Nogi zaczęły mu ciążyć, wydało mu się, że rosną, wydłużają się. Gliniana miseczka wysunęła się z ręki. Opadł z sił i powoli zanurzał się w ciemną czeluść; za dużo wypił i był zmęczony. Znikał dom, miasto, nawet czas. Poczł się wyczerpany, w głowie obrazy przesuwały się, jeden po drugim, ze zdumiewającą szybkością. I zasnął.

Znalazł się w szarym tunelu oświetlonym kilkoma świecami. Olga tuliła go do siebie, czuł jej ciepło i miękką skórę dłoni na szyi. Szczęśliwy, wciągnął głęboko jej zapach. Pocięszała go i raz po raz powtarzała, żeby się nie martwił, że będzie dobrze. Kiedy odwrócił głowę, twarz, którą zobaczył, nie była twarzą Olgi. Stała przed nim Ebba. Jego zmarła żona spoglądała na niego ze swoim czarującym uśmiechem. Miała ciemne włosy, długie, piękne. I nagle jak oszalała zaczęła dłońmi tłuc w kamienną ścianę. Z poranionych palców płynęła krew. Lorenz błagał, aby przestała, lecz ona nie słuchała. Coraz gwałtowniej uderzała pięściami. Chciał ją powstrzymać, chwycić w ramiona, kiedy zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie się poruszyć. Zacięnął oczy. Niech się skończy ten koszmar, pomyślał. I obudził się wystraszony. Ktoś stukał do drzwi.

Zdezorientowany, spojrzął na nie czerwonymi ze zmęczenia oczami. Znowu usłyszał stukanie, silniejsze tym razem, więc wstał; w głowie mu się zakręciło i omal nie upadł. Myśl, że to może być Olga, dodała mu sił. Chwiejnym krokiem podszedł do drzwi i otworzył.

Ujrzał człowieka, którego nigdy wcześniej nie widział. W starej ciemnej pelerynie z wytartym kapturem niepokojąco ocieniającym twarz trudno by go było rozpoznać. Białe płatki śniegu opadały powoli, nadając scenie tajemniczą, nierealną oprawę. Lorenz przetarł oczy.

– Kim jesteś? – zapytał schrypniętym od długiego milczenia głosem.

Przybysz nic nie powiedział.

Wydawało się, że przerażająca cisza zawładnęła całym miastem. Lorenz miał przynajmniej za sobą swój dom ogrzany ogniem paleniska, miękkim światłem od niego padającym. Tajemniczy człowiek podniósł rękę, siną i kościstą. Trzymał w niej pakunek, którego Lorenz wcześniej nie zauważył.

– To dla mnie?

Nieznamy potwierdził skinieniem głowy. Trzymał pakunek w wyciągniętej dłoni, stojąc nieruchomo. Lorenz, niezbyt pewny, co powinien zrobić, wziął go w końcu. Był płaski, owinięty delikatnym jedwabiem. To drogi materiał, a więc nadawca przesyłki nie był byle kim. Posłaniec odwrócił się i bez słowa zniknął. Przez chwilę słyhać było jego kroki na miękkim śniegu, a potem zupełnie umilkły.

Lorenz zamknął drzwi, nie zdejmując wzroku z pakunku. Usiadł przy stole, zapalił świecę i zastanawiał się, co może się w nim znajdować. Położył go na stole i ostrożnie rozwiązywał wąską tasiemkę. Bał się, że może zniszczyć zawartość. Palce mu drżały.

Najpierw zobaczył skórzaną sakiewkę. Potrząsnął nią i poznał ten dźwięk. Zdumiał się jednak, gdy po otwarciu zobaczył tak wielką liczbę złotych monet. Na pierwszy rzut oka musiało to być przynajmniej czterdzieści guldenów. Patrzył na nie i nie wierzył własnym oczom. Ktoś ofiarowywał mu pieniądze. Palila go ciekawość. Szukał więc dalej i po chwili znalazł pojedynczą kartkę.

Zapisana była pismem eleganckim, prostym, bez żadnych ozdobników. Rzucił się do czytania.

Herr Block,

powód, dla którego piszę ten list, zapewne Pana zdziwi. Niemniej pewien jestem, że przyjmie go Pan z radością. Nie będę owijać w bawełnę: wiem, nad czym Pan pracuje, znam cel, do którego Pan dąży. Zapewniam Pana, że jest to również moim celem.

Znam Pana obecną sytuację. Proszę pozwolić sobie powiedzieć, iż nie jest bez wyjścia. Musi Pan dalej pracować nad wynalazkiem i razem powinniśmy działać dla wspólnego dobra. Pan jest potrzebny mnie, a ja jestem potrzebny Panu. Nie ma najmniejszej wątpliwości.

To właśnie jest powód, dla którego otrzymuje Pan ten list. Poza zaliczką znajdzie Pan w przesyłce bardzo ważną książkę. Powiedziałbym, że należy do sfery zainteresowań społecznych, ale nie chciałbym popełniać grzechu pychy. Powiem tylko, że nie wszyscy byliby zadowoleni z jej rozpowszechniania. Chociaż wielu tak sądzi, nie wywodzi się ze źródeł chrześcijańskich; jej rodowód jest dużo wcześniejszy. I ma olbrzymie znaczenie. Pańska praca musi być utrzymana w sekrecie. W tajemnicy większej niż Pana najgorszy grzech. Nie wolno Panu o tym opowiedzieć nikomu, Lorenz, gdyż życie Pana – tak jak i moje – znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Zapłacę Panu sto złotych guldenów za pięćdziesiąt kopii tego manuskryptu. Połowę już Pan otrzymał, pozostałą część dostanie Pan po zakończeniu pracy. Daję Panu czas do Nowego Roku. Spotkamy się poza murami miasta, w południowej części, przy szpitalu dla trędowatych. O świcie. Kiedy skończy Pan tę pracę, proszę się nie martwić. Nadejdzie więcej takich listów jak ten.

Wierzimy w Pana.

List nie był podpisany, a na papierze obejrzanym pod światło Lorenz nie zobaczył też żadnego znaku wodnego. Ten, kto go napisał, zachował całkowitą anonimowość. Poczul miłe łechtanie w żołądku.

Rozwinął materiał, którym owinięty był manuskrypt. Zszyte strony oprawione były w skórę, na której wyryty został tytuł: Etyka Nikomachejska. Autor: Arystoteles.

Od razu przypomniał sobie, gdzie już słyszał to nazwisko. Grecki uczony, o którym w dniu, gdy Lorenza zaproszono na uniwersytet, rozmawiali poznani tam profesorowie. Może któryś z nich zechce mu pomóc. Profesorowie bardzo pragnęli, aby Lorenz mógł już używać swojego wynalazku, bo dzięki niemu umiłowane przez nich książki dotarłyby do większej liczby odbiorców. Ojciec Wahrheit o czymś takim kiedyś napomknął. Lorenz poczuł ogromną wdzięczność. Tak, na pewno, myślał. To musieli być oni.

Wrócił pamięcią do owego dnia, chcąc przypomnieć sobie, czego się wówczas dowiedział. Arystoteles był owym starożytnym filozofem, którego nauki teologowie włączyli do scholastyki. I oto teraz Lorenz miał przed sobą egzemplarz jego dzieła, napisany po łacinie, a więc nie był to ten, z którego Merrill Severin czytał wtedy urywki. Mieli do niego zaufanie.

Lorenz patrzył na manuskrypt z miłością w oczach, wdychał silny zapach skóry. Otworzył go

i zafascynowany delikatnie przewracał strony. Na każdej widział dziesiątki wierszy podzielonych w dwie kolumny. Miał trzydzieści trzy dni na zrobienie pięćdziesięciu kopii. Książka nie była wprawdzie gruba, ale on, po ulepszeniu prasy, nie wydrukował jeszcze ani jednej strony. Jednak teraz nareszcie miał pieniądze. Mógł wrócić do drukowania.

Zatrzymał wzrok na jednym akapicie.

„W tak wielkiej liczbie czynności, sztuk i nauk, następstwem będą ich cele. I tak celem medycyny jest zdrowie; budowniczych statków – statki, strategii – zwycięstwo, a nauk ekonomicznych – bogactwo”⁶.

Lorenz jeszcze raz wspomniał słowa Merrilla, profesora etyki, który mówił, że wszyscy ludzie szukają szczęścia, ale dla każdego to szczęście ma inną postać. W czym on odnalazłby szczęście? Zdawał sobie sprawę, że od dawna podejmuje błędne decyzje. Teraz jednak jego wizje zaczynały przybierać zdumiewająco realną formę i korygowały następstwa owych decyzji.

Wyrzucony przez Ernesta po tylu przepracowanych dla niego latach, niemal natychmiast otrzymał tak dobrze płatne zajęcie. Poza tym jest Olga. Olga, która pojawiła się jak anioł wybawiciel, przywracając mu nadzieję, kiedy sądził, że nadziei dla niego już nie ma.

Był zaledwie w połowie drogi do urzeczywistnienia marzenia swojego życia, marzenia, które towarzyszyło mu, odkąd był małym chłopcem, i które miało sprawić, by człowiek się doskonalił, stawał się coraz lepszy. Wiedział, do czego dąży, zawsze wiedział, i teraz okazało się, że jest wielu, którzy chcą pomóc mu osiągnąć cel. Tym celem było przekształcenie prasy w maszynę do kopiowania książek – po to, aby ludzie tacy jak Johann, Yago, Merrill, Ritter czy Ulbrecht mogli osiągnąć swój dużo ważniejszy cel: krzewienie wiedzy.

– Dziękuję – szepnął, choć nie był pewny, do kogo się zwraca.

Z początkiem grudnia nadeszła fala wielkich mrozów, i ulice Kolonii pokryły się lodem. Tego popołudnia Nikolas wybrał się na konną przejażdżkę wzdłuż rzeki. Pejzaż w oddali gęstniał w słabym świetle słońca, nabierał lekko fioletowego koloru. Być może to szczypiące w twarz mroźne powietrze przypomniało Nikolasowi młode lata. Powędrował myślami w ostre, czyste powietrze gór Grenady.

Światło w Al-Andalus było inne: bardziej niebieskie, migotliwe i lżejsze. Czasem w jasne zimowe dni promienie słońca dawały odrobinę ciepła i odbijały się od śniegu, oślepiając przechodniów; mogło się wydawać, że Ziemia przybliżyła się do królewskiej gwiazdy. Pewnie suchość gleby i wysokość gór odgrywały w tym rolę. Nikolas wspominał mały dom, w którym mieszkał w Grenadzie, bielony wapnem, z jednym piętrem. Miał wtedy tyle samo lat co teraz Alonso i przyjechał tam po to, aby nauczyć się zawodu ojca, który był cyrulikiem.

W czasach, gdy na kontynencie europejskim często dochodziło do gwałtownych zmian ustrojowych, jaśniejący przepychem emirat Grenady witał cudzoziemców, przybyszów z królestw chrześcijańskich, niecywilizowanych i barbarzyńskich, z mieszaniną gościnności i wyniosłości. Nikolasa oczarowały zwyczaje panujące w tym wysublimowanym świecie i styl życia zamieszkujących go ludzi – do tego stopnia, że nawet nie chciał zauważyć pojawiających się oznak powolnego upadku. Były to dla niego lata owocne, lata nauki i niezwykłych odkryć. I rozczarowań. Jego młodzieńcza prostoduszność zagubiła się na stromych, kamienistych stokach, prowadzących do Albaicin, dzielnicy rzemieślników.

Pełen nadziei Nikolas przybył do miasta, które niegdyś należało do bardzo silnego imperium. Bratobójcze walki sprawiły, że Antequera i inne ważne miasta znalazły się w rękach kastylijskich rekonkwistatorów.

Chociaż na monolocie muzułmańskiej władzy pojawiały się pęknięcia, Arabowie byli jeszcze w stanie zadać przeciwnikom śmiertelne ciosy i odzyskać utracone ziemie. Król Jusuf III, wielki poeta i człowiek wykształcony, podczas jednej z wojen odbił Gibraltar. Ten sam król, którego brat i poprzednik na tronie – Muhammad VII – przez szesnaście lat kazał trzymać go w lochach zamku Salobreria.

Niemniej wyłom, jaki uczynili Kastyljczycy na terenach prowadzących do malageńskiego wybrzeża, oznaczał początek końca. Niezwyciężone dotąd królestwo Grenady straciło władzę i zamieniło się w odizolowaną od reszty świata enklawę.

Pierwszy rok pobytu był męką. Ojciec opłacił podróż, Nikolas powinien więc poświęcić czas na to, po co przyjechał: zdobycie wykształcenia. Jednak zrzędzeniem losu poznał islamskich filozofów, prawdziwych humanistów, którzy byli też lekarzami. I wtedy czas męki stał się czasem marzeń. Czytając dzieła Awerroesa i Awicenny, młody Nikolas stopniowo zgłębiał tajniki kultury, która go od początku fascynowała. Poglądy tych uczonych do tego stopnia wpłynęły na jego spojrzenie na świat, że zdecydował się wybrać zupełnie inną drogę edukacji niż ta, którą wyznaczył mu ojciec. Odkrył, że bardziej niż ciało ludzkie interesuje go umysł. Medycyna, nauka będąca w owym czasie w powijakach, zajmowała się sprawami ziemskimi, a udzielanie pomocy chorym ograniczało się do puszczania krwi, amputowania kończyn i robienia gorących okładów.

Stykał się z uczonymi osobistościami i pogłębiał studia nad filozofią. Przekonał się wówczas, że jedyną formą przekazywania tych myśli przez wieki historii są książki, przywilej mniejszości.

A wszystko zaczęło się w dniu, kiedy jeden z jego znajomych zaprowadził go do warsztatu, gdzie wytwarzano papier. Gdy znalazł się na miejscu, Nikolas oczu nie mógł oderwać od widoku mężczyzn, którzy specjalnymi młotami uderzali w płachty materiału. Rozdrobnione w ten sposób włókna wkładali do wielkich kadzi wypełnionych wodą; tam zamieniały się w jednolitą masę. Następnie papiernik zanurzał w kadzi prostokątną formę, nabierał do niej masy i po usunięciu wody dokładnie wypełniał powierzchnię cienką warstwą. Po wyschnięciu z formy zdejmowano arkusz papieru. Tę metodę sprowadzili do Europy Arabowie i dla Nikolasa to nowe doświadczenie było objawieniem.

Nikolas z wielkim zainteresowaniem poznawał kolejne etapy tworzenia książki. Garbowanie skóry na okładki i ich wytłaczanie, rodzaje farby, zdobienie filigranem, iluminacje... Każdy krok był odkryciem nowej techniki, nowym bodźcem do pracy.

Medycyna w tym momencie odeszła na bardzo daleki plan; stała się w pojęciu Nikolasa czymś, co należało do świata jego rodziców, co było przeszłością. Świata, z którym on nie chciał mieć nic wspólnego. Dla niego otwierał się świat książek i miał go poznać dzięki doświadczonym nauczycielom.



Nawet nie wiedząc kiedy, Nikolas znalazł się przed bramą pałacyku. Słońce już zachodziło. Zostawił konia, przeszedł przez długi westybul i po chwili był już w ogrodzie. Dźwięk kroków odbijał się na kamiennych płytach pokrywających ziemię. Usiadł na brzegu fontanny. Nie chciał nikogo widzieć; ogarnęła go nostalgia i zapragnął pobyc sam ze sobą, przywołać w pamięci to, co – jak mu się wydawało – zapomniał. Spoglądał na swój dom, taki piękny jak te, które widział w ogrodach Grenady. Wrócił myślami do miasta Maurów.



Każdego dnia, po skończeniu wyczerpującej nauki w warsztatach najlepszych kopistów, Nikolas wspinał się na Albaicin stromą ulicą Caldereria Nueva. Spacerował niezliczonymi uliczkami i zatrzymywał się w miejscach, skąd roztaczał się piękny widok na okolicę. Pewnego wieczoru pod koniec lata znalazł taki ustronny kącik i nagle przed oczami ujrzał przepiękną bryłę z czerwonego kamienia – to Alhambra pilnowała miasteczka uczeplonego góry. Z drugiej strony rozpościerała się żyzna równina, na której muzułmanie, mozarabowie i muwalladzi⁷ uprawiali swoje pola w zdumiewającej harmonii. W wielu miejscach dym z rozpalonych ognisk wznosił się wysoko do nieba. Jeszcze dalej za poszarpaną sylwetką wiecznie ośnieżonych gór kryło się Morze Śródziemne i malageńskie wybrzeże. Kiedy tak siedział zamyślony, los sprawił, że jaskółka narobiła mu na ramię. Nie dość, że ubranie się pobrudziło, to i piękny zachód słońca stracił niemal cały urok. I wtedy usłyszał kobiecy śmiech. Odwrócił się.

Nieznamoma wpatrywała się w niego dobrych kilka chwil. Twarz miała zasłoniętą welonem, widać było jedynie oczy – ciemne, błyszczące, figlarne, uczernione henną. Ubrana w długą jasnozieloną tunikę z rękawami. Poprawiła welon i oczy jej rozbłysły. A potem w ułamku sekundy zniknęła w uliczce del Gato. Gdy Nikolas zajrzał za róg, śladu po niej nie było.

Nawet teraz, ponad dwadzieścia lat później, nie mógł zapomnieć tego olśniewającego widoku, tej pary obserwujących go roziskrzonych jak węgielki oczu. Był to pierwszy raz, kiedy zobaczył swą

ukochaną Kaoutar.

W ciągu następnych miesięcy Nikolas codziennie przychodził na mały placyk, siadał koło fontanny i czekał godzinami w nadziei, że ją zobaczy. Lato minęło, potem jesień i przyszła zima. Któregoś dnia, kiedy pogrzebał wszelką nadzieję, ktoś do niego podszedł. Był to czarny służący.

– Moja pani chce was widzieć – powiedział bez wstępów.

Nikolas wstał i poszedł za nim, oddając się w ręce opatrności. Służący poprowadził go do alei de los Tristes, wzdłuż której płynęła rzeka Darro, wciśnięta pomiędzy wzgórze Alhambry i Albaicin. Służący wskazał na okno z otwartą metalową kratą i tam, za lekko rozchyloną żaluzją, Nikolas dojrzał te same ciemne oczy. Podszedł ostrożnie, rozejrzawszy się w obie strony, chcąc się upewnić, że nikt go nie obserwuje. Pierwsza rozmowa z Kaoutar odbyła się przez żaluzję.

– Skąd jesteś? – zapytała, wpatrzona w jego jasne, niemal białe włosy.

– Z Kolonii.

Zapadła niczym niezmacona cisza. Kaoutar pewnie próbuje sobie wyobrazić nieznaną kraje, pomyślał Nikolas. Postanowił, że kiedyś ją tam zawiezie. Tego dnia nie zamienili ze sobą zbyt wielu słów.

Potem spotykali się coraz częściej. Ledwie jedno spotkanie się skończyło, Nikolas z utęsknieniem czekał na następne. W czasie rozmów, które były coraz dłuższe, poznał dzieje Kaoutar. Jej ojcem był wielki wezyr Al-Amin. Mogła wychodzić z domu tylko w jego towarzystwie, a ponieważ miał bardzo dużo obowiązków, Kaoutar żyła praktycznie w zamknięciu. Czasem tylko, gdy bardzo nalegała, pozwalał jej na samotny spacer. Ale to się zdarzało bardzo rzadko.

Nikolas nie potrafił żyć bez tych ukradkowych spotkań. Był zakochany, pragnął bliskości Kaoutar. Każdego poniedziałkowego wieczoru przechadzał się aleją de los Tristes; jeśli krata była otwarta, podchodził ostrożnie, aby porozmawiać z ukochaną, jeśli zaś była zamknięta, siadał po przeciwnej stronie ulicy i czekał. Jeżeli nie pojawiała się na ulicy, nieszczęśliwy wracał do domu.

Pewnego wieczoru czarny służący podał mu kartkę: następnego dnia Kaoutar miała wyjść z domu, pojawić się publicznie. Nikolas wpadł w euforię, od tak dawna marzył o tej chwili... Chciał jak najszybciej spotkać się z nią, bez świadków, bez pośpiechu, bez czujnych oczu opiekunów, bez żaluzji...

Odurzający zapach jaśminu unosił się wokoło, kiedy zobaczył ją obok ojca na placu Bib-Rambla. Nie było miasta bardziej jaśniejszego światłem niż Grenada na wiosnę. Wszystko błyszczało jak wypolerowane srebro. Mieszkańcy okazywali radość na widok wezyra. Jakiś linoskoczek szedł po linie z długim kijem dla utrzymania równowagi. W zebranym tłumie tylko Kaoutar i Nikolas nie zwracali uwagi na spektakl. Wpatrywali się w siebie.

Ulice Alcaicerii były o tej wczesnej porze pełne ludzi, którzy chcieli zobaczyć wezyra. Z pomocą kilku służących Kaoutar wymknęła się z orszaku i ukryła w pobliskiej bramie. Ojciec szedł dalej, mając z obu stron dwóch rosłych giermków z bułatami za pasem. Za nimi postępował liczny harem, a także matka i dwie siostry Kaoutar w pięknych barwnych jedwabnych strojach.

U wyjścia z labiryntu ulic na Nikolasa i Kaoutar czekał powóz. Przejechali rozległe pola de la Vega i dotarli do Alhamy. Razem.

Nikolas nigdy nie zapomniał tego dzikiego spojrzenia kobiety, która wśród wielu mężczyzn wypatrzyła właśnie jego. Kaoutar zdjęła welon, odsłoniła wesołą twarz, w której błyszczały kocie oczy. Miała długie, sięgające pasa, czarne jak smoła włosy. Tak pięknej twarzy Nikolas nigdy nie widział. Śmiało dotknął jej policzków – tyle razy marzył o tym – a ona czuła żar jego palców. Zapomnieli o całym świecie, całowali się z otwartymi oczami, odzyskiwali utracony czas.

Odpoczywali w gorących łaźniach i oddawali się rozkoszom cielesnym.

Następnego dnia zamierzali wyruszyć do Kadyksu z portu w Salobreni. Mieli wiele planów: w chrześcijańskich królestwach odzyskanych przez rekonkwistę będą żyć szczęśliwi, z dala od ojca Kaoutar, który nie zaakceptowałby ich związku, z dala od jego ludzi. Nie wiedzieli, że właśnie oni, ludzie wezyra, śledzili każdy ich krok.

Nikolas został aresztowany. Półtora miesiąca później odbył się proces. Wezyr wiedział, że największą karą, jaką mógł nałożyć, było odmówienie Nikolasowi kontaktu z córką. Tym sposobem uniknął skazania chrześcijanina na karę śmierci na ziemi arabskiej i zaskarbił sobie wdzięczność Kaoutar. Ostatecznie skazał go na banicję. Po pięciu latach spędzonych w kraju, który tak ukochał, Nikolas musiał z niego wyjechać na zawsze. Nie pozwolono mu nawet pożegnać się z Kaoutar.



W ogrodzie domu w Kolonii Nikolas rozmyślał o tym, jak odległe w czasie były tamte bolesne przeżycia. Spojrzał w niebo na księżyc w ostatniej kwadrze, wyraźny, srebrzysty. Jeszcze raz wrócił pamięcią do tamtych lat.



Od kilku dni siedział w wilgotnej celi więzienia w Grenadzie. Wiedział już, że wkrótce zostanie wypędzony, pozostało tylko czekać. Białawe światło przemykało się przez kraty w oknie. Kilka nocy wcześniej usłyszał uderzenie w kratę, a po chwili u jego stóp upadł kamień. Owinięty był kawałkiem papieru z wiadomością, która nim wstrząsnęła: Kaoutar była w ciąży.

Stracił głowę. Jedyłą myślą było uciec z tego miejsca – rękami zerwać żelazne pręty, paznokciami przebić ściany... Ale przecież nic nie mógł zrobić.

Trzy dni później wywieziono go z więzienia na starym zniszczonym wozie, z rękami związanymi na plecach, pozbawionego całego dobytku. Towarzyszyły mu drwiące okrzyki przyglądającego się jego hańbie tłumu, a on pragnął tylko zobaczyć tamte czarne oczy, które go zniewoliły. Nie było mu to dane. Zawieziono go do granic królestwa, do miasteczka Ubeda.

Został zupełnie sam. Nie było ani jednej osoby, do której mógłby zwrócić się o pomoc, czuł, że nic nie utrzyma go przy życiu. Nie zatrzymał w pamięci szczegółów z tamtego okresu, wymazał wszystkie dni, kiedy żył jak żebrak, chodził od kościoła do kościoła, wędrował od miasteczka do miasteczka, bez woli, bez pragnień.

Dopóki nie dotarł do Toledo. Tam odnalazł Zacariasa i życie znowu się odmieniło.

Zacarias był sefardyjskim Żydem, człowiekiem mądrym, spokojnym, a przede wszystkim dobrym, którego Nikolas poznał w Grenadzie. Zajmował się tłumaczeniem uczonych ksiąg z greckiego, arabskiego i aramejskiego. Cieszył się tak znakomitą reputacją, że żydowska społeczność na całym półwyspie często wzywały go do siebie, aby dzielił się z nimi swoją wiedzą. Jego tolerancyjne i pełne szacunku stanowisko wobec innych religii uczyniło z niego postać powszechnie lubianą. W młodym Nikolasie dojrzał tak silne pragnienie wiedzy, że wkrótce narodziła się między nimi prawdziwa przyjaźń.

Znalazłszy Nikolasa w tak niefortunnej sytuacji, Zacarias natychmiast przyjął go pod własny dach, kupił ubranie i dał zajęcie. Nikolas przyjął tę pomoc z wdzięcznością i przez jakiś czas pracował jako felczer. Miesiące mijały spokojnie, pomiędzy księgami i filozoficznymi dysputami. Lecz dziesięć miesięcy po aresztowaniu postanowił wybrać się w od dawna planowaną podróż.

Przebrany za Araba przekroczył granicę królestwa Grenady. Chciał wrócić w tylko jedno miejsce.

I oto stanął przed kratą, przez którą tyle razy rozmawiał z Kaoutar. Bardzo długo czekał, aż pojawi się ukochana księżniczka. Ale ku najwyższemu zdumieniu w miejsce młodej, radosnej dziewczyny zobaczył kobietę zimną i wyniosłą. To nie była Kaoutar: zniknął z oczu migocący blask. Tak bardzo pragnął odnaleźć w niej jakiś znajomy rys, że nie zauważył zbliżających się ludzi wezyra. Ktoś ich zawiadomił. Nikolas nie chciał wierzyć, że to mogła być ona.

Tym razem nie mógł oczekiwać łagodnego wyroku. Wiedział, czego może się spodziewać za powrót do miasta mimo ciężącego na nim wyroku banicji, więc przyjmie karę śmierci jako ostatni dar. Nic nie miało znaczenia, skoro Kaoutar już go nie kochała.

Niebawem zrozumiał, dlaczego nastąpiła w niej taka zmiana. Doszła do jego uszu wieść, że została zaręczona z księciem z Arabii. Był to zaaranżowany związek, mający na celu umocnienie wpływów panującego rodu przeciwko rosnącemu w siłę klanowi Abencerrajes. Arabski szejik zapewniał jej królewski status i przymykał oczy na fakt, że kobieta, którą brał za żonę, nie była dziewicą. Nikolas oprócz miłości nie miał jej nic do zaoferowania.

Któraś wieczoru leżał z zamkniętymi oczami na parapecie okna swojej celi, kiedy strażnik zapowiedział wizytę. Gdy Nikolas zobaczył, kto pojawia się za strażnikiem, zerwał się na równe nogi. Wezyr Al-Amin, ojciec Kaoutar. Ubrany był na białą, jak w głębokiej żałobie. Z rękami założonymi na plecach i opuszczoną głową przechadzał się po celi.

– Czy wiesz? Twoim przeznaczeniem było umrzeć jutro.

Nikolas otworzył oczy ze zdumienia. To oznaczało, że śmierć może nie nadejść.

– Ale tak nie będzie. Wyjedziesz, tym razem na zawsze. Zabierzesz ze sobą swojego syna. Jeśli wrócisz, zabiję was obu.

Nikolasa zaskoczyła ta decyzja, ale nie odważył się pytać o cokolwiek. Będzie żył i wychowywał syna, spłodzonego z Kaoutar. Nie musiał wiedzieć więcej.

Przyjął los dany mu przez wezyra i odjechał z Grenady z synem i obietnicą, że nigdy nie wróci. Chłopiec miał na imię Al-Uns. Nikolas nazwał go Alonso. Tylko on będzie znał jego pochodzenie.

Jadąc powozem, z czułością spoglądał na dziecko. Rozumiał powody decyzji wezyra, cieszącego się prestiżem na dworze opanowanym przez intrygantów: Alonso odziedziczył czarne oczy matki, ale włosy miał jasne jak słońce. Minister sułtana czegoś takiego nie mógłby ukryć. To był jego, Nikolasa, syn i jego los został naznaczony.

Alonso stał się zadośćuczynieniem za straszne życiowe rozczarowanie. Nikolas odkrył, że w decydujących momentach każdy kieruje się własnym interesem. Wyruszył w drogę do Toledo z nowymi obowiązkami, odpowiedzialny za nowe życie. W Grenadzie wiele się nauczył i teraz całą tę naukę przekaże synowi.



Alonso stał się już dorosły. Był pojętym uczniem, silnym i inteligentnym mężczyzną, nikomu nie udało się go nigdy zranić. Nie zawracał sobie głowy takimi błahostkami jak miłość czy czułość. Serce mu nie drżało przed żadnym wyzwaniem, czy to przy władaniu piórem, czy szpadą. Nikolas rzadko to okazywał, ale rozpierała go duma. Podniósł się z wilgotnego obramowania fontanny i odszedł, znacząc ślady kroków na kamiennej ścieżce.

Nie mógł powstrzymać się od ziewania. Wspominanie dawnych lat wprowadziło go w melancholijny nastrój, nie miał ochoty dzielić nocy z kimkolwiek, chciał tylko zanurzyć się w pokrzepiającym śnie.

Wszedł do sypialni. Zanim się rozebrał, wziął z patery owoc i zadumany, jadł go powoli. Pomyślał, że przywoływanie wspomnień przypomina schodzenie stromym zboczem: trudno jest się zatrzymać. Już w łóżku wyciągnął się w jedwabnej pościeli i zamknął oczy. Za kilka godzin wstanie świt, życie potoczy się dalej. Miał nadzieję, że kiedyś będzie mógł wspominać przeszłość z nostalgicznym uśmiechem. Teraz jednak powinien przestać o tym myśleć. Sen i przeszłość połączyły się w jedno.



Po kolejnym wydaleniu z Grenady Nikolas pojechał do Toledo, aby spotkać się z Zacariasem. Sefardyjczyk zgodził się zająć jego synem, a on po jakimś czasie postanowił zrealizować plan, który wcześniej zaczął się rodzić w jego głowie: udać się do rodzinnego miasta, Kolonii. Nie zamierzał jednak przed czasem wyjaśniać celu swojej podróży.

Wrócił do Toledo dwa lata później. Kiedy zobaczył je z daleka, wzniesione na wzgórzu opływanym meandrami Tagu, wyglądało jak pomalowane złotem. A kiedy po przejechaniu przez Baba al-Jahud, Bramę Żydów, tuż przy nurcie rzeki znalazł się wewnątrz murów, uliczki już nie były szare, lecz pomarańczowe. Strażnicy miejscy zajmowali swoje stanowiska przy wszystkich bramach, mostach, przy każdym przejściu. Ostatnie promienie słońca kryły się za horyzontem rysującym się za gajami oliwnymi. Z nadejściem zmroku chrześcijanie, żydzi i wyznawcy islamu kończyli swoje zajęcia i wracali do domów. W całym Toledo powoli zapadała cisza.

Podróż nie była łatwa, gdyż zimą duża część Płaskowyżu Iberyjskiego pokrywała się grubą warstwą bieli. Kiedy Nikolas przekroczył mur dzielnicy żydowskiej i wjechał w ulicę Santo Tome, uszczęśliwiony Zacarias wyszedł mu na spotkanie. Zaprowadził go do pokoju, w którym spokojnie spał Alonso. Miał już dwa lata. Bardzo się zmienił, odkąd ojciec widział go ostatni raz, urósł, wyglądał na zdrowe, silne dziecko. Uśmiechnął się do synka. Zacarias stał w progu, nic nie mówił, ale zdawał się czymś przejęty. Po cichu obaj przeszli do sąsiedniego pokoju, zjedli coś i napili się wina. Gdy siedzieli przy stole, Zacarias powiedział, ostrożnie dobierając słowa:

– Nikolas, muszę powiedzieć ci coś ważnego.

– Dobrze, drogi Zacariasie. Ale pozwól, że najpierw podziękuję ci za wszystko, co robisz dla mojego syna. Prawdziwym błogosławieństwem jest mieć ciebie za przyjaciela.

Zacarias podziękował, ale wyraz troski nie zniknął z jego twarzy.

– Nie będę owijał w bawełnę. Musisz wiedzieć, co zauważyliśmy u Alonsa.

Nikolas się wystraszył.

– Jest głuchy. Mówi, trochę bełkocąc, śmieje się, a kiedy płacze, zapewniam cię, że słyhać go w całej dzielnicy.

– Uśmiechnął się lekko. – Ale twój syn nie słyszy.

W pierwszej chwili Nikolas chciał zapytać, czy to absolutnie pewne, jednak skoro Zacarias mu to

relacjonował, nie mogło być żadnej wątpliwości. Miał do niego pełne zaufanie.

– Sądziś, że można to wyleczyć?

Zacarias nie od razu odpowiedział.

– Nie znam przypadku wyleczenia osoby głuchej od urodzenia. Wszystko może się zdarzyć z woli Boga, lecz nasz Jahwe nie tworzy praw, które mogą sobie zaprzeczać.

– To znaczy, że nie powinienem spodziewać się, że odzyska słuch. To chcesz powiedzieć, prawda?

– Tak. Ja bym przyłożył większą wagę do wykształcenia go tak, aby głuchota nie była dla niego utrudnieniem. Znam kogoś, kto nam chętnie w tym pomoże. To będzie wymagać czasu, ale chłopiec nauczy się czytać z ruchu warg. Początki będą z pewnością trudne, lecz twój syn rozwine w sobie szczególną wrażliwość. Upośledzenie jednego zmysłu wyostreza pozostałe, co przygotowuje mózg do lepszego niż u innych funkcjonowania. Ty też powinieneś włożyć w to jak najwięcej wysiłku. Zwłaszcza jeśli zamierzasz zabrać go ze sobą...

Ostatnie zdanie powiedział, ściszej głoś. Nikolas zdawał sobie sprawę, że Zacarias nie chciał go niepokoić swoimi uwagami. Ciągle jeszcze nie wiedział, jak długo zostawi Alonsa pod jego opieką.

– Jeszcze nie teraz, drogi Zacariasie. Chcę go wychowywać i kształcić, ale potrzebuję więcej czasu. Muszę dokończyć to, co zacząłem w Kolonii. – Zawiesił głos, a w jasnych oczach tańczyły ogniki. – Otworzyłem skryptorium, pierwsze, które nie należy do Kościoła. Było z tym trochę problemów, ale teraz już zaczyna nieźle funkcjonować. Wydaje mi się, że dobrze to zorganizowałem.

Zacarias wyprostował się na krześle. Nie był szczególnie zdziwiony.

– Wiedziałem, że na nic mniejszego się nie porwiesz.

– Dziękuję, przyjacielu. Dlatego muszę jeszcze poczekać, zanim zabiorę Alonsa. Niczego nie może mu brakować, kiedy przyjedzie.

– Nie martw się, Nikolasie. Jak długo będzie można, zostanę w Toledo i będę szczęśliwy, mogąc opiekować się twoim potomkiem.

– Dziękuję, Zacariasie. Wiesz dobrze, jak wiele twoja przyjaźń dla mnie znaczy... Dlaczego powiedziałeś „jak długo będzie można”?

Żyd westchnął ciężko.

– Ach, Nikolasie! Obawiam się, że nadchodzi zły czas dla ludzi mojego wyznania... Chyba pamiętasz, co zrobiono z Wielką Synagogą. Naszą piękną świątynię wzniesli, z pozwoleniem Alfonsa Dziesiątego Mądrego, mudeharscy budowniczy. Odebrano ją naszym wyznawcom i stała się katolickim kościołem, Santa Maria la Blanca.

– Kiedyś chrześcijanie też tam odprawiali msze, a muzułmanie się modlili.

– Tak, ale tamte czasy dawno minęły. Wszystko zmierza ku gorszemu, Nikolasie. Od dawna nie współzjemy w przyjaźni. O siebie i o żonę się nie martwię, jesteście starzy. Martwię się o dzieci i wnuki.

Zapadła cisza. Często się zdarzało, że mężczyźni nie wypowiadali na głos swoich myśli.

Alonso spał dalej w sąsiednim pokoju, a myśli Nikolasa krążyły wokół niego. Potrzebny był temu malutkiemu dziecku, porzuconemu przez matkę i dziadka. Dla niego postanowił zbudować fortecę, skorupę, która ochroni go przed egocentryzmem ludzi. Lata spędzone w Grenadzie nie były zmarnowane: dały mu doskonałe wykształcenie. W świecie książek czuł się szczęśliwy, i dlatego zdecydował, że wróci do Kolonii, otworzy własne świeckie skryptorium, z którego – poprzysiągł sobie – wychodzić będą najlepsze księgi. To był jego dar i tego był gotów bronić zębami i pazurami.

Żeby urzeczywistnić swój plan, musiał poświęcić wszystkie siły, każdą godzinę i każdy dzień. Nie mógł sam opiekować się dzieckiem i nie było w Kolonii nikogo, komu mógłby zaufać. Kiedy jego ojciec dowiedział się, że Nikolas nie zostanie cyrulikiem, oznajmił, że nie chce go więcej widzieć. Tylko dzięki wstawiennictwu matki Nikolas nie został wydziedziczony, ale stosunki z rodziną zostały zerwane. Martwiła go konieczność korzystania z czyjejs pomocy, lecz innego wyjścia nie było. Natomiast Zacarias przyjął i jego, i Alonsa z otwartymi ramionami, niczego w zamian nie żądając.

Usłyszeli płacz chłopca. Kiedy weszli do pokoju, młodsza córka Zacariasia już go trzymała w ramionach.

– Nic się nie stało. Trzeba go tylko przewinąć. Ja to zrobię, ojcze.

Zacarias skinął głową. Jego żona też zaraz przybiegła. Matka i córka traktowały Alonsa jak jeszcze jednego członka tej niezwyklej rodziny, i Nikolas z obawą pomyślał o dniu, w którym będzie wyjeżdżał z nim do Kolonii. Zacarias zdawał się czytać w jego myślach. Kiedy wyszli z pokoju dziecka, powiedział:

– Ciężko im będzie rozstawać się z małym, ale wierz mi, już się z tym pogodziły. Wiedzą, że miejsce Alonsa jest przy tobie. Nic ich nie uczyni bardziej szczęśliwymi niż widok zdrowego, zadbanego chłopca, odjeżdżającego razem z tobą.

– Wierzę ci. Będę wam wszystkim dożgonnie wdzięczny.

Zacarias podniósł rękę, jakby sobie coś nagle przypomniał.

– Byłbym, zapomniał. Mówiłem ci przedtem, że znam kogoś, kto może nam pomóc. To Yosef Albo. Mówi ci coś to nazwisko?

– Tak. Mój ojciec dawno temu o nim wspominał.

– Nie dziwię się. Yosef jest doskonałym medykiem i teologiem. Przebywa obecnie w Toledo, kończy pisać dzieło o początkach judaizmu. Słyszałeś może o dyspucie w Tortosie? Nikolas musiał przyznać, że nie. Siedzieli znowu w dużym pokoju przy kominku, z którego dochodził trzask palących się polan. Znajomy dźwięk sprawiał, że Nikolas czuł się jak u siebie w domu. Cichy melodyjny głos przyjaciela odprężał; lubił go słuchać. Usadowił się wygodniej.

– Opowiem pokrótce. Kiedy żydowski lekarz papieża Benedykta Trzynastego przyjął chrześcijaństwo, Jego Świątobliwość, zachęcony nadzieją na kolejne nawrócenia, zwołał spotkanie w Tortosie, podczas którego uczeni żydowscy i chrześcijańscy wysuwali argumenty na rzecz wyższości jednej religii nad drugą. Yosef naturalnie wziął w niej udział. Dysputa trwała blisko dwa lata, od lutego tysiąc czterysta trzynastego roku do listopada tysiąc czterysta czternastego. Skończyła się tym, że wielu zgodziło się ze stwierdzeniem, że Talmud nie jest prawdą objawioną i że Mesjasz już nadszedł...

– To znaczy – przerwał mu Nikolas – że odrzucili swoją wiarę i zwrócili się ku chrześcijaństwu.

Zacarias przytaknął.

– Oprócz Yosefa. On, mimo nacisków ze strony papieża, nigdy tego nie zrobił. I na tym nie poprzestał. Rozpoczął pracę nad dziełem, w którym w prosty sposób wyjaśnia podstawy judaizmu. – Zacarias mówił dobitnie, z zacięciem. – Zatytułowane jest Sefer ha-Ikkarim.

– Księga pryncypiów – powiedział Nikolas. – Mam nadzieję, że dostanę egzemplarz, kiedy będzie skończone. Jeśli trzeba, sam zrobię kopię.

– Tym już ja się zajmę, nie martw się. Otóż Yosef przyszedł zobaczyć Alonsa tutaj, w naszym domu. Powiedział nam, na czym polega niedomaganie chłopca, i zaproponował sposób nauczania go mowy, pomimo że nie może słyszeć. I nie musisz się niepokoić, nauczymy go języka twojego kraju, ale przebywając z nami, pozna też naszą mowę.

– Zrobię wszystko, żeby się ich jak najlepiej nauczył. Mój syn wyrośnie na mądrego człowieka.

– Znając ojca, nie mam prawa w to wątpić. – Zacarias się uśmiechnął.

Nikolas spędził kilka następnych lat nad doskonaleniem swojego planu. Początkowo mieszkał w skromnym domu w Kolonii i całe zarobki wkładał w skryptorium, mieszczące się w starej, porzuconej w połowie budowy bazylice, którą musiał niemal w całości zrekonstruować. Zajmował się sprzedażą książek, ale i sam robił kopie. Poświęcał na nie wiele godzin i spod jego ręki wychodziły dzieła na najwyższym poziomie. Był wobec siebie niezwykle wymagający, tak jak i wobec zatrudnianych w skryptorium ludzi.

Łatwo nie było, ale plan zrealizował.

Bardzo szybko nauczył się okazywać uniżoność i służalczość wobec ludzi władzy. Taka postawa była przez nich mile widziana, a to oni przecież stanowili główne źródło dochodów. Równie szybko zorientował się, że wśród patrycjuszy Kolonii wielkim zainteresowaniem cieszy się pewien rodzaj książek, które – dla swojego dobra – musiał kopiować w tajemnicy. Zaspokojenie tych zainteresowań było w takim samym stopniu trudne, co intratne. Ale wymagało pełnej dyskrecji. Z czasem arystokraci i bogaci mieszczenie z Kolonii i okolic ujawniali kopiście swoje najgłębsze sekrety. W efekcie nie było manuskryptu, którego by nie skopiował, bez względu na jego treść. Nikolas wyrobił sobie reputację.

Sekretne zamówienia mnożyły się z zawrotną szybkością.

Nikolas kopiował te książki poza skryptorium. Nie miał zaufania ani do nadzorca Helmutha, ani do żadnego ze skrybów. Gdyby się dowiedzieli, znalazłby się na ich łasce. Konsekwencje mogłyby być poważne, dlatego musiał działać w sekrecie. Znalazł wówczas inne miejsce, opuszczone i posępne, a ci, którzy tam pracowali, nie mogli zdradzić tajemnicy: podobnie jak jego syn żyli w ciszy i milczeniu.

Bez trudu znajdował porzuconych chłopców, wałęsających się po ulicach. Niektórzy urodzili się niemi, ale większość nie mogła mówić, ponieważ zostali okaleczeni – taką karę wymierzono im za popełnienie jakiegoś przewinienia. I ci młodzi ludzie, zepchnięci na margines, bez przyszłości, ze wszystkich sił wyrażali Nikolasowi wdzięczność za szansę, jaką im stworzył. Wpoił im jedną pasję: sprawność w kopiowaniu liter. Płacił za to miejscem do spania, miską zupy i od czasu do czasu jakąś nagrodą.

I w końcu, dzięki spadkowi otrzymanemu po śmierci ojca, Nikolas zbudował dom, o jakim marzył. Mały pałacyk w jednej z najlepszych dzielnic Kolonii, zdobiony na wzór domów w Grenadzie. W nim jego syn z mieszanego związku znajdzie swoje miejsce. Nadszedł czas sprowadzenia Alonsa do Kolonii.

Trzy lata minęły od ostatniej podróży Nikolasa do Toledo. Alonso tej zimy kończył pięć lat. Kiedy kopista wszedł do domu Zacarias, chłopiec go nie poznał. Nikolas poczuł, jak gdyby czyjaś dłoń zacisnęła się na jego sercu. Rodzina sefardyjczyków powitała go z radością i wszyscy usadowili się wygodnie, ciekawi wiadomości z dalekiego świata.

Zacarias dokonał rzeczy wielkiej. Syn Nikolasa miał wprawdzie trochę kłopotu z wymową, ale operował większym słownictwem niż jakiegokolwiek dziecko w jego wieku. Będzie dobrze, pomyślał Nikolas.

Pożegnanie odbyło się w atmosferze radości i smutku. Trudno było przewidzieć, kiedy znowu się zobaczą. Jesień malowała Toledo kolorem szarobrązowym; opadłe z drzew liście pokrywały kamienne ulice. Wśród łez rodzina sefardyjczyków życzyła odjeżdżającemu pomyślności i szczęścia. Alonso spoglądał niepewnym wzrokiem na ojca, którego przecież nie znał, widział go tylko kilka razy w swoim krótkim życiu. Ojciec i syn wsiedli do powozu i ruszyli w drogę. Nikolas

nie odwrócił się, by pomachać na pożegnanie; łzy płynęły mu po policzkach.

Podróż do dalekiej Kolonii była wyczerpująca, lecz spokojna. Nikolas pokazywał synkowi zmieniające się krajobrazy, w miarę jak kierowali się na północ kontynentu. Im dalej jechali, tym bardziej zmieniały się kolory, pojawiały się coraz to inne odcienie ochry. Żółto-brunatne lasy liściaste ustępowały zieleni lasów iglastych i górskich pól i łąk. Alonso przyglądał się wszystkiemu jak oczarowany: nigdy przedtem nie wyjeżdżał z Toledo i nie wiedział, jak wielki może być świat.

Mijał tydzień za tygodniem. Na ostatnim etapie podróży zdarzyło się coś, co zaważyło na przyszłości ojca i syna. Dotarli już do Ardenów i zamierzali spędzić noc w gospodzie w pobliskim miasteczku. Nikolas i Alonso w milczeniu jedli kolację, kiedy do gospody weszła grupa żołnierzy. Jeden z nich, zwalisty pyszałek, zwracał na siebie uwagę donośnym głosem i śmiechem. Z daleka przywitał ojca i syna. Nikolas, mając pełne usta, tylko skinął głową. Alonso, który we wszystkim naśladował ojca, powtórzył gest z takim wdziękiem, że żołnierz wesoło się roześmiał.

– Taki mały i tak dobrze wychowany! Z pewnością będzie świetnym rycerzem, kiedy dorośnie. – Podszedł do nich. – Jak się nazywacie, mój dobry panie?

Alonso zmarszczył nos; poczuł zapach alkoholu. Spojrzał na ojca, który przyzwalająco skinął głową.

– Alonso – powiedział, wymawiając imię na swój sposób.

Żołnierz nie zrozumiał. Ale zaraz roześmiał się i zawołał:

– Zanim coś powiesz, musisz połknąć to, co jesz, synu. No, bądź tak dobry, przełknij i powtórz, jak się nazywasz.

Alonso patrzył na niego uważnie. Nic w ustach nie miał, więc przełknął ślinę i powiedział jeszcze raz:

– Alonso.

Żołnierz uniósł brwi i zdziwiony spojrzał na Nikolasa.

– Mój syn jest głuchy, dlatego z trudem wymawia słowa. Nazywa się Alonso.

Twarz żołnierza zastygła w wyrazie żalu i wstydu. Głośno pozdrowił chłopca, a znizywszy głos, powiedział do Nikolasa:

– Przepraszam. Bóg z pewnością ma już dla niego miejsce w niebie, żeby mu wynagrodzić takie nieszczęście. Niech Pan was błogosławi, dobry człowieku.

Nikolas poczuł, jak krew się w nim burzy. Niewiele brakowało, a spoliczkowałby tego typu. Ale się powstrzymał. Alonso jadł kolację, nie zwracając na nic uwagi. Nikolas zdał sobie sprawę, że musi go chronić bardziej, niż mu się na początku wydawało.

I tak było; pierwszą myślą był zawsze on.



Leżąc w łóżku, Nikolas patrzył na pierwsze promienie słońca nad horyzontem. Niebawem będzie musiał wstać i zacząć kolejny ciężki dzień. Pozwolił sobie jeszcze chwilę pospać. Wtulił twarz w poduszki, chcąc zapomnieć, że dzień już nadszedł.



Od chwili powrotu do Kolonii Nikolas trzymał Alonsa z dala od ludzkich oczu. Nawet część domu była wydzielona tylko dla niego. Nie chciał, aby ktokolwiek traktował go protekcyjnie albo z pogardą. Nauczył go czytać, pisać, posługiwać się kilkoma ważnymi językami. Chłopiec poznał także tajniki sztuki kopiowania manuskryptów. Ojciec pragnął dać mu dostęp do takiej wiedzy,

jaką on sam miał szansę otrzymać, i ukształtować go na przywódcę.

W takich warunkach Alonso rozwijał się szybko. Razem z liczbą potajemnych ksiązek powiększała się grupa ludzi do ich przepisywania i wkrótce Nikolas wyznaczył Alonsa na nadzorcę warsztatu i wszystkich pracowników. Zaczął pozwalać im wychodzić do miasta, żeby zaspokajali swoje potrzeby. Alonso im wtedy towarzyszył i pilnował ich, kiedy późną nocą chodzili do najgorszych spelunek na spotkania z prostytutkami. Wydawali swoje marne grosze i ani razu nie powstała im w głowie myśl, żeby któregoś dnia umknąć z warsztatu.

Jego syn wyrósł na przystojnego, dobrze zbudowanego młodzieńca, ale też nieufnego. Kobiety były poza sferą jego zainteresowań. Nigdy chyba nie próbował słodczy zakazanego owocu. Czas spędzał albo w warsztacie, albo w swoich pokojach. Nigdy też nikt nie widział go w towarzystwie panny. A spośród kobiet, które dzieliły jego, Nikolasa, łóżę, tylko Ilse wiedziała, że jest jego synem. Żadna nie mogła go zranić.

W przyszłości Alonso zostanie dziedzicem majątku Nikolasa. A gdy to nastąpi, nikt nie będzie w nim widział osoby upośledzonej. Niech Bóg da mu to, co mu się należy; on, Nikolas, niebo przygotował dla niego tutaj, na ziemi.

Dziesiątego grudnia rano na ulicy Świętej Agaty rozległy się głośnie kroki, a po chwili zza ciemnej bramy wynurzyła się niewyraźna postać. Dopiero kiedy jasne promienie słońca dotknęły stroju, w jaki była odziana, na tle czarnej ściany rozpoznać można było dziewczynę w żółto-brązowym płaszczu. Na delikatnej twarzy Eriki malowało się olbrzymie napięcie. Wreszcie nadszedł ten dzień.

Rozejrzała się wzdłuż wąskiej ulicy i pobiegła do samego końca, do muru, który ją zamykał. Wyjścia stąd nie było. Dotykała każdego kamienia po kolei, drobnymi piąstkami stukała w nie, obwodziła brzegi, szukała tego jednego. Czowała wilgoć pod palcami, od kropel wody i mokrego piasku drętwiały jej dłonie, a zimno było tak przenikliwe, że zaczęła się trząść. Ale nie rezygnowała.

Jeden się poruszył. To tutaj. To musiał być ten kamień, na pewno. Wyjęła go i zajrzała do czarnej dziury. Na samym końcu zobaczyła jasny kawałek papieru. Szybko włożyła do środka rękę i go wyciągnęła. Wróci do domu i tam przeczyta list. Ukryła skarb na piersi, pod płaszczem, chcąc go trochę ogrzać; zimny kamień pozbawił go ciepła. I szczęśliwa, czym prędzej pobiegła wąskimi uliczkami.

Był to trzeci list. Erika chętnie przystała na grę, zaproponowaną przez tajemniczego wielbiciela. Dlaczego miałyby odmówić? Przez cały miesiąc liczyła dni do tego ranka. Spać nie mogła po nocach, wyobrażając sobie, co może znaleźć w liście.

Erika większą część dnia spędzała sama, dlatego lubiła chodzić ulicami miasta bez żadnego celu. Wracała do domu dopiero wtedy, kiedy trzeba było pomóc ojcu albo Oldze w przygotowaniu kolacji. W czasie tych spacerów rozpamiętywała każde słowo z listów, one sprawiały, że czuła się inna, wyróżniona. Ta gra należała tylko do niej, nikt nie miał dostępu do jej sekretu. Nawet ojciec nic o tym nie wiedział. Puszczala wodze wyobraźni, dotykała gładkiej, delikatnej twarzy, ręki, która te listy pisała. Autor na pewno był postacią bez skazy, jego życie toczyło się z dala od brudu i błota, zalegających miasto. Na pewno nie jeździł powozem, lecz zawsze konno, na białym koniu, tak szlachetnym jak on sam. Tylko na pięknym koniu wyobrażała sobie tego młodzieńca o czarnych oczach i złotych włosach, którego przypadkiem spotkała na ulicy. Chociaż nigdy się do niej nie odezwał nawet jednym słowem, chciała wierzyć, że to on. Gorąco tego pragnęła. Ale A.F. napisał, że jeszcze jest za wcześnie na rozmowę.

Niedawno spotkała go przypadkiem w księgarni Johanna. Poszła tam kupić papier i kiedy go zobaczyła, tchu jej nagle zabrakło. Ubrany był bardzo elegancko; kaftan podkreślał szczupłą sylwetkę i rzucał się w oczy w tym małym, zastawionym tysiącem przedmiotów pomieszczeniu. Żywe barwy stroju kontrastowały z szaroburymi kolorami zalegających na półkach książek. W powietrzu w świetlnej mgiełce kręciły się cząsteczki kurzu.

Najwyraźniej nie widział, kiedy weszła, i nie odpowiedział na jej powitanie. Stał w milczeniu, patrząc na księgarza i Yagona, który im towarzyszył. Przed nimi leżała rozłożona wielka mapa Samarkandy, a Yago opowiadał o jedwabnym szlaku i o karawanserajach dla podróżnych przemierzających w celach handlowych Azję, północną Afrykę i południowo-wschodnią Europę. W tych gościńcach, budowanych w stosunkowo niewielkich odległościach, odpoczywali kupcy

i zwierzęta, obładowane towarami tak cennymi jak bursztyn, koral i, oczywiście, jedwab. Erika słuchała z zainteresowaniem, bacząc, żeby przypadkiem nie spojrzeć na młodego człowieka. On zaś przyglądał się jej ukradkiem. To na pewno on przysyłał jej listy. Podjęła grę, udając, że niczego się nie domyśla, ale najbardziej pragnęła, żeby przemówił i ujawnił swoje uczucie. To musiał być on.

Yago dalej z zapałem opowiadał o mapie. Był to prezent od pewnego podróżnika, przesłany mu przez króla Kastylii, którego spotkał w czasie jednej ze swoich peregrynacji. Mapa była narysowana tak, jak gdyby oglądało się te wszystkie miejsca z góry. Erika podeszła bliżej i niechcący dotknęła lekko ramienia młodzieńca. Spojrzał zaskoczony, a ona nieśmiało pochyliła głowę. Ogień płonął jej w piersiach i czuła, że mogłaby pofrunąć w stronę nieba i stamtąd kreślić to, co widziała.

Kiedy Yago skończył swoją opowieść, młody człowiek skinął głową na pożegnanie i skierował się do wyjścia. Był już przy drzwiach, gdy Johann gromkim głosem przypomniał mu o paczce, którą zostawił na stole. Chłopak nie zareagował. „Co za dziwak”, mruknął księgarz. Erika, zmobilizowana sytuacją, złapała pakunek i pobiegła za nim. Gdy dotknęła jego pleców, odwrócił się i widząc, że to ona, cofnął się o krok. Spojrzał na nią tymi czarnymi jak ocean oczami i tym razem Erika nie odwróciła wzroku. Serce łomotało jej jak szalone. Teraz. Teraz powie jej, jak bardzo ją kocha. Czekala w milczeniu, wstrzymując oddech. I nie stało się nic. Jakieś dzieci przebiegły szybko ulicą. Głos idącego za nimi mężczyzny, zapewne ojca, brzmiał groźnie. Powiew lodowatego wiatru z otwartych drzwi uderzył ją w twarz. Podała młodzieńcowi paczkę.

Spojrzał na pakunek i jak ktoś przebudzony z głębokiego snu wziął go do ręki. Skinął głową i odszedł. Zawiedziona, patrzyła, jak znika wśród przechodniów na ruchliwej o tej porze dnia ulicy.



Wróciwszy do domu, Erika zobaczyła, że ojciec ciągle siedzi w tym samym miejscu, w którym go zostawiła przed wyjściem, zajęty anonimowym zleceniem sprzed kilku dni. Po raz pierwszy od bardzo dawna pracował z zapałem – i to ją niezmiernie cieszyło. Po kłótni z Ernestem przez wiele dni chodził przygnębiony, lecz teraz ten ciężki czas miał już za sobą. Silne światło poranka padało na jego szczupłą sylwetkę.

– Zaraz przyjdę – powiedziała Erika, wchodząc po schodach.

Drżącymi rękami zdjęła płaszcz i włożyła list pod siennik, razem z poprzednimi. Nie chciała go czytać, kiedy ojciec był w domu, mógłby przecież w każdej chwili wejść na górę i odkryć jej tajemnicę. Musi poczekać, aż ojciec wyjdzie, wtedy, w samotności będzie się cieszyć każdym pięknym słowem. Ale to czekanie może okazać się trudne. Szybko zbiegła na dół.

– Pomóc ci? – spytała dźwięcznym głosem.

– Co się stało? Spieszysz się do czegoś?

– Nic się nie stało. Chciałam ci pomóc.

– To masz, zawieś te kartki; po drugiej stronie jeszcze nie ma tekstu. Przydałby się nam dodatkowy sznurek, albo nawet dwa – powiedział, pokazując na krzyżujące się w całym pomieszczeniu splecione linki.

Erika kiwnęła głową. Znała system. A ojciec musiał mieć pewność, że nic nie przeszkodzi mu w pracy.

Lorenzowi udało się stworzyć swoje dzieło. W ciągu niespełna miesiąca przekształcił prasę do wina w maszynę do kopiowania książek i już zaczął jej używać. Miał teraz na to całe dnie. Gdy tylko rozwiązał problem śruby, wszystko inne przyszło samo. Zbudował ramę z pionowymi prowadnicami, które sprawiały, że pod wpływem nacisku opuszczała się pozioma drewniana płyta.

Erika obserwowała, jak Lorenz specjalnym pędzlem nakłada farbę na czcionki, po czym z wielką ostrożnością umieszcza na nich papier. Z czasem odkrył też, że można od razu drukować dwie kolejne strony książki na większych kartkach; wystarczyło je tylko potem odpowiednio złożyć. Wymagało to dokładniejszego przygotowania, ale w tym samym czasie można było wydrukować dwa razy więcej stron. Lorenz obrócił dźwignię i opuścił płytę tak, aby przycisnęła papier. Potem podciągnął ją w górę i na czystym papierze ukazały się równe kolumny wierszy w czarnym kolorze. Podał wydrukowaną stronę Erice, a sam umieścił w prasie następną kartkę.

– Ilu kopii tych dwóch stron ci brakuje?

– Tylko pięciu.

Lorenz nie odrywał wzroku od swojego wynalazku, nie miał ochoty na rozmowy. Erika patrzyła na niego z czułością; ojciec zasługiwał na najwyższe uznanie. Tyle lat pracował nad prasą, jeszcze teraz pamiętała dzień, w którym wpadł mu do głowy pomysł mechanicznego pisma.

Był to pogodny niedzielny ranek którejś wiosny, kiedy obydwójce spacerowali ścieżką nad Renem. Na bezchmurnym niebie słońce świeciło tak mocno, że kolory otaczającego krajobrazu nabierały niezwykłej intensywności. Trzeba było niemal przymykać oczy. Od śmierci matki minęło zaledwie kilka lat. Do miasta zawitała galera cesarza, wzbudzając zainteresowanie wielu mieszkańców. Niektórzy tłoczyli się w porcie, inni zbierali się na ścieżkach wzdłuż rzeki. Frieda i Penrod też tam byli. Matthias był maleńki, a jego bracia jeszcze nie pojawili się na świecie. Erika posmutniała na wspomnienie tamtej przyjaznej rodziny, której już zabrakło.

Ojciec zszedł do samego brzegu i usiadł na kępie trawy, jakich pełno wyrastało na piasku. Nerwowo obracał obrączkę na palcu; należała do Ebby. Wpatrywał się w spokojny nurt wody. Erika podeszła bliżej i otoczyła jego szyję ramionami. Uśmiechnął się, ale był to uśmiech pełen smutku. Usiadła koło niego i tak trwali w bezruchu nad błękitną, toczącą się przed nimi masą wody.

Gdy się podnieśli, Lorenz wziął ją na rękę i mocno uściśnął. Przy nagłym ruchu obrączka z wypukłą literą „E” ześlizgnęła się i spadła na wilgotny piasek. Złotnik postawił Erikę na ziemi i pochylił się, by ją podnieść. I kiedy już miał ją w rękę, przykucnął, przyglądając się w milczeniu śladowi, jaki litera zostawiła na piasku.

Jeszcze raz włożył obrączkę w wilgotny piasek. Erika przypatrywała się temu, nie wiedząc, co ojciec robi. Litera znowu zostawiła ślad. Powtórzył to kilka razy, tworząc wokół siebie kształt trójzębu. I to był początek wszystkiego.

Kilka lat później, kiedy znowu zainteresował się drukiem, wymyślił metalową sztabkę i pieczęcie z wrytymi literami. W ten sposób stworzył pierwsze słowo. Następnym krokiem były prowadnice z rzędami liter, potem kaszta wielkości strony z literami i ślepymi czcionkami. A teraz ta wielka prasa i dwustronny druk. Erika czuła wielką radość, mogąc być świadkiem kolejnych osiągnięć ojca.

Prasa była ostatecznym, największym dziełem. Niezwykłe zamówienie zmobilizowało Lorenza do wprowadzenia koniecznych poprawek. Na skończenie druku dano mu czas do świętego Sylwestra. Czy nowy rok okaże się początkiem nowego życia?

Głos ojca wyrwał Erikę z zamyślenia.

– Wiesz, w tej książce opisują bardzo ciekawe rzeczy.

– Jakie? – spytała, podchodząc bliżej. Lorenz nie przerywał pracy.

– Przeczytałem tylko te strony, które drukują. Tyle razy się upewniam, czy wszystkie czcionki są na swoim miejscu, zanim opuszczę dźwignię, że niektóre fragmenty znam na pamięć.

– I co mówi Arystoteles, ojczu?

– Czy wiesz, że zadedykował to dzieło swojemu synowi?

– Nie, nie wiedziałam.

– Otóż tak. Poza innymi sprawami chciał, aby syn wiedział, co to jest szczęście.

– I co to jest?

– No właśnie, Eriko. Szczęście może oznaczać bardzo wiele rzeczy. Każdy widzi je inaczej, ale dla każdego jest największym dobrem. To powiedział mi na uniwersytecie jeden z przyjaciół Johanna.

Erika nie miała wątpliwości, co w tej chwili byłoby dla niej największym dobrem. Nie wystarczyły jej inicjały A.F. Szczęście znalazłaby w ramionach ukochanego. Ale starała się nie myśleć o tym. Ożywionym głosem ojciec mówił dalej:

– Zdaniem Arystotelesa najtrudniej jest odkryć, czym jest to dobro, a kiedy już wiemy, łatwo znaleźć sposoby cieszenia się nim.

– Ma dużo racji. Można pragnąć tylu rzeczy...

– To prawda. Dlatego jeśli ktoś myli się w wyborze ostatecznego celu, postępuje źle. Arystoteles mówi, że szczęście to działanie duszy zgodnie z wymogami dzielności.

Erika uniosła brwi ze zdziwienia.

– Nie musisz czytać Arystotelesa, żeby wiedzieć, że jesteś dzielny.

Lorenz się uśmiechnął.

– Eriko, zawstydzasz mnie. Powtarzam tylko to, co pewien Grek wiele, wiele lat temu chciał przekazać ludziom.

– To powiedz mi więcej! – zawołała wesóło.

Rozchyliła karminowe usta w uśmiechu. Doskonale wiedziała, że ojciec doświadcza nowych emocji. Do niedawna miał tylko ją. Z jednej strony cieszyła ją ta zmiana, z drugiej zaś nie mogła nie tęsknić do czasów, kiedy była dla niego najważniejsza. Teraz jej ojciec tworzył coś wielkiego. Wszyscy tak mówili, a tymczasem on sam powinien w to uwierzyć.

Tego samego ranka Dietrich von Moers kończył śniadanie w swoim biurze w Pałacu Episkopalnym w Kolonii. Pałac był jedną z wielu rezydencji, jakimi dysponował w Nadrenii, ale też jedną z najulubieńszych, dlatego często tam przyjeżdżał. Arcybiskup elektor starał się doprowadzić do zjednoczenia terytoriów Dolnego Renu i Westfalii. Przez pewien czas do jego funkcji należało administrowanie diecezją w Paderborn. Ale koszty utrzymania jedności na tym terenie były olbrzymie i wynikały z tego tylko walki i zniszczenia. Von Moers nie chciał dopuścić do siebie myśli, że Kolonię mógłby spotkać podobny los. Zrobi wszystko, co w jego mocy, aby temu zapobiec.

Służący stał w pobliżu, oczekując na jego rozkazy. Pałac godny był rangi arcybiskupa. Wypełniony dziełami sztuki olbrzymiej wartości, znajdował się na ulicy sąsiadującej z kolońską katedrą. Niebawem miał być w niej zainstalowany Dzwon Trzech Króli, odlany dwadzieścia lat wcześniej.

Von Moers ręką dał znak służącemu, aby zabrał tacę.

– Niech wszystko będzie przygotowane do wizyty hrabiny. Zawiadomić mnie, jak tylko przyjedzie, i żeby mi nikt nie przeszkadzał, kiedy będę ją przyjmował.

Służący skłonił się i wyszedł. Arcybiskup został sam i korzystając z wolnej chwili, postanowił się zdrzemnąć. Skrzyżował ręce na brzuchu, zamknął oczy i po chwili powolnemu oddechowi towarzyszyło chrapanie. Promień słońca przedostał się przez ciemne zasłony, nie otarł się jednak o potężną figurę.

Hrabina Berta von Kerff należała do najżarliwszych wiernych w całym arcybiskupstwie Kolonii. Jej darowizny sfinansowały dużą część budowy katedry. Wysiadła z powozu, prostując tęgą sylwetkę i pomarszczoną szyję. Za nią szła jej bratanica Agnes. Miała dopiero piętnaście lat, lecz była nad podziw rozwinięta i gdziekolwiek się pojawiała, zwracała na siebie uwagę mężczyzn.

Szambelan oczekiwał pań u wejścia do pałacu. Wewnątrz ściany westybulu zdobiły kolorowe gobeliny i złoczone dekoracje. Równie bogate były stroje hrabiny i młodej damy: włoskie aksamity i jedwab. Z ceremonialnym ukłonem służący poprowadził gości przed oblicze księcia elektora.

– Książę przyjmował znamienitego przedstawiciela papieża, który przybył nieoczekiwanie, prosząc o audiencję. Dlatego nie mógł osobiście przyjąć wielmożnych pań, jak tego pragnął. Usilnie prosi o wybaczenie, hrabino.

Starsza pani skinęła głową. Nie miała w zwyczaju rozmawiać ze służbą. Idąca za nią Agnes splonęła rumieńcem, kiedy wyczuła na sobie oczy służącego. Przez ułamek sekundy wahał się między podziwianiem jej niewinnej twarzy i wypełniającego głęboki dekolt biustu.

Szambelan specjalnie prowadził obie damy długą drogą. Przechodzili przez liczne pokoje ukazujące całe bogactwo Kościoła. Obrazy namalowane przez najlepszych portrecistów, rzeźby w marmurze i brązie, meble ze szlachetnego drewna obite kosztowną materią... Dietrich von Moers wiedział, w jaki sposób wyrzeć wrażenie na swoich gościach.

Weszli do sali, w której wisiały grube fioletowe kotary. Oświetlona była lampkami oliwnymi, a nad kotarą górował wielki krucyfiks z czarnego drewna. Służący się oddalił, a hrabina i Agnes czekały. Po kilku minutach kotara się rozsunęła i Dietrich von Moers wyszedł je powitać.

– Pani hrabino, co za zaszczyt...

Hrabina przyklękła i ucałowała pierścień arcybiskupa.

– Wasza Ekscelencjo, wieleb...

– Proszę, proszę – przerwał jej. – Będę wdzięczny, jeśli hrabina porzuci protokół, dla mnie to przyjemność i przywilej, że zechciałyście mnie odwiedzić, pani, ze swoją...

Hrabina podniosła się i wzięła Agnes za rękę.

– Ta śliczna i roztropna panna to moja bratanica, Agnes. Chciałam ją przedstawić Waszej Ekscelencji i porozmawiać o sprawie, która mnie niepokoi.

Patrzyła na niego pewnym siebie, dumnym wzrokiem. Von Moers uśmiechnął się błogo do panny i okazując zainteresowanie dylematem hrabiny, powiedział szybko:

– Przejdźmy do pokoju, gdzie będziemy mogli spokojnie rozmawiać. Będzie nam wygodniej, światła też jest tam więcej.

Rozsunął kotarę, zza której wszedł i która zasłaniała drzwi prowadzące do pokoju przeznaczanego dla specjalnych gości. Jedynymi meblami były stół z sześcioma nogami ze szlachetnego drewna, zdobiony brązem, dwa krzesła i mahoniowy fotel ustawiony na podwyższeniu. Tuż za fotelem znajdował się wizerunek Chrystusa Pantokratora na złotym tle. Przez olbrzymie okno wpadało jaskrawe światło. Von Moers zaczekał, aż hrabina i jej bratanica zajmą miejsca, po czym sam usiadł.

Siedzieli w milczeniu, podczas gdy służący podawali zimne przekąski. Po ich wyjściu arcybiskup zapytał, biorąc do ust mały owoc:

– Jakaż to sprawa może trapić duszę tak pobożną jak pani, hrabino?

– Wasza Ekscelencjo... Ośmielam się zwrócić do was, korzystając z waszej obecności w Kolonii, gdyż niepokoi mnie postępowanie świadczące o upadku moralności w jednej z waszych parafii.

– W której to? I co tam się dzieje?

– To kościół wyraźnie odchodzący od przykazań boskich. Świętego Michała Archaniola.

Arcybiskup się zdziwił. Już wydał edykt zabraniający sprzedaży odpustów w tej parafii.

– Co się stało?

– Już od dawna dochodzą mnie słuchy o kazaniach tamtejszego księdza. Wiele godnych zaufania znajomych pań mówiło mi o niebezpieczeństwie, jakie niosą jego słowa, i chciałam to sprawdzić osobiście.

– Ojciec Martin Wahrheit?

– Tak. Ten proboszcz broni teorii koncyliaryzmu⁸. Jestem pewna. – Głos hrabiny brzmiał stanowczo.

Na twarzy pojawił się wyraz zawziętej irytacji, co się arcybiskupowi nie podobało. Nie znosił skarg. Milczał przez chwilę, starając się opanować. Bardzo często był zmuszony ukrywać swoje naturalne reakcje. Pogryzał powoli owoc, chcąc zyskać na czasie.

W tamtych latach odbywał się sobór bazylejski. Toczyła się wówczas dysputa pomiędzy tymi, którzy uważali, że sobory powinny stanowić najwyższą władzę, oraz tymi, którzy bronili wyższości Ojca Świętego. Eugeniusz IV, ówczesny papież, był zdeklarowanym obrońcą swojej roli jako władcy absolutnego. Zwłaszcza po doświadczeniach sprzed wieku, kiedy w wyniku wielkiej schizmy w tym samym czasie wybranych zostało trzech papieży. Zwolennicy soborów opowiadali się za ukróceniem świętokupstwa, obrońcy papieża zaś twierdzili, że dla umocnienia chrześcijaństwa potrzebny jest jeden autorytarny zwierzchnik.

Dietrich von Moers nigdy nie ukrywał, że znalazł się wśród kandydatów na tron Piotrowy

było jego wielką ambicją. Z gorliwością stawał po stronie zwolenników władzy papieskiej, stając się w ten sposób wyrazicielem poglądów najbardziej konserwatywnych warstw społecznych. Podobnie jak hrabina von Kerff.

Starsza pani siedziała sztywno wyprostowana, nawet nie tknęła jedzenia. Niebo się zachmurzyło, w pokoju nagle pociemniało. Cień padł na kamienną twarz hrabiny.

– Składa pani doniesienie, hrabino? Czy ma pani dowody? – spytał roztropnie von Moers.

– Mam. Ten ksiądz jest heretykiem – odparła dama. – Przede wszystkim zlekceważył władzę Kościoła, sprzedając więcej odpustów niż gdziekolwiek w Kolonii. I sprzedaje te odpusty po obniżonych cenach motłochowi kolońskiemu, biedocie i łobuzom, którzy są tylko źródłem problemów. Na domiar tego znieważa Święty Kościół, wygłaszając świętokradcze poglądy.

Księżę elektor spojrział ukradkiem na bratanicę hrabiny, która w zamyśleniu pojadała winogrona. Zastanawiał się, po co hrabina ją przyprowadziła.

– Proszę mówić dalej.

– Mogę z pewnością stwierdzić, że ten ksiądz wyraża poglądy dużo bardziej zatrważające. – Przerwała na chwilę, po czym dodała: – Obawiam się, że jest husytą.

Berta von Kerff miała na myśli zwolenników Jana Husa, który mówił o potrzebie zreformowania Kościoła, między innymi poprzez swobodę głoszenia Słowa Bożego i upowszechniania ubóstwa wśród kleru jako formy przeciwstawienia się blichtrowi Watykanu. Za szerzenie takich poglądów Hus został obwołany heretykiem i w 1415 roku skazano go na śmierć na stosie. Mimo to jeszcze na soborze bazylejskim niektórzy opowiadali się za tym, by husyci swobodnie głosili swoje nauki. Do niedawna jego śladem podążało wielu wyznawców.

– To bardzo poważne oskarżenie, hrabino.

– Obym się myliła, Ekscelencjo – powiedziała, spuszczaając wzrok. Ręce jej drżały nerwowo.

Arcybiskup pokręcił głową. Martin, nieszczęsny idiota, pomyślał von Moers. Nie wracał już pamięcią do lat razem spędzonych w seminarium. Ale prawdą było, że ten kontestator szedł przez życie, zachowując się tak, jak gdyby jego moralne zasady miały większą wartość niż zasady innych ludzi, przekonany, że jest w stanie oprzeć się każdej pokusie. Intencją Martina było sprawić, aby von Moers czuł ciężar winy za popełniony w młodości niewinny błąd. Ale czas umieścić obu na swoich miejscach. I podczas gdy on został arcybiskupem i księciem elektorem, Martin był nawiedzonym proboszczem, przyjacielem i obrońcą opryszków. Oto nagroda za jego prawość i honor.

Niemniej oskarżenie go o herezję wywołałoby sprzeciw mieszkańców Kolonii. Liczba biednej ludności wielokrotnie przewyższała liczbę ludzi bogatych, i ci biedni ślepo go wielbili. Gdyby mu się cokolwiek stało, wszyscy podnieśliby bunt. Arcybiskup nie chciał mieć do czynienia z miastem zbuntowanym, ale też nie mógł stracić przychylności hrabiny von Kerff ani innych ważnych osobistości. Musiał podjąć decyzję.

– Ekscelencjo – hrabina mówiła dalej – niepokoję się także o moją bratanicę. Tak jak do moich uszu, również do niej docierają słowa tego podłego człowieka. A moim życzeniem jest, aby błędne idee nie zakorzeniły się w umyśle osoby tak młodej i bezbronnej.

Starsza dama pochyliła się nieco, odchrząknęła i tonem dużo mniej stanowczym powiedziała:

– Wiem, że na wiele się ośmielam, lecz już wyjaśniłam moje motywy. Nie mogę nie odczuwać niepokoju wobec poważnego niebezpieczeństwa, na jakie narażone jest to łagodne boskie stworzenie – spojrziała na bratanicę, a Agnes delikatnie dotknęła ręki ciotki – i inne młode panny, które zostaną ogłupione grzesznymi teoriami i oderwane od Chrystusa i od Świętego Kościoła. Ośmielam się prosić Waszą Ekscelencję, powołując się na wszystkie lata, kiedy miałam zaszczyt

cieszyć się waszą przyjaźnią i korzystać z waszych rad, abyście udzielili jej duchowej pociechy. Wiem, że wasz czas, Ekscelencjo, jest ograniczony ze względu na liczne obowiązki w naszym mieście i poza nim, ale proszę, abyście zrobili wszystko, co w waszej mocy. Nie ma znaczenia, czy będzie to tylko jeden dzień, czy tyle dni, ile uznacie za wystarczające, aby mieć pewność, że w sercu mojej Agnes zagościła prawdziwa wiara, a nie żadna herezja.

Arcybiskup spojrział na dziewczynę. Spokojnie obserwował delikatne rysy i nieśmiałe spojrzenia, jakie mu ukradkiem rzucała. Miała pełne karminowe usta i drobne dłonie, którymi poruszała nerwowo na podolku. Krągłe, gładkie piersi unosiły się z każdym oddechem. Dietrich von Moers odwrócił wzrok na leżące przed nim na biurku dokumenty.

– Wątpię, aby w sercu tego uroczego stworzenia mogło mieścić się jakiegokolwiek zło, hrabino.

Lecz Berta von Kerff nie ustępowała.

– Bardzo proszę, Ekscelencjo.

Von Moers uniósł małe okrągłe oczy, westchnął i powiedział z uśmiechem:

– A więc dobrze. Skoro hrabina uważa, że tak powinno być, z radością udzielę tej młodej damie nauk, aby upewnić się, że diabeł nie będzie miał do niej dostępu.

Agnes, posłuszna wobec ciotki, siedziała ze spuszczonego wzrokiem.

– Tak się cieszę. Bardzo dziękuję, Ekscelencjo. A co do tej drugiej sprawy...

Arcybiskup nie pozwolił jej skończyć.

– Nie miej wątpliwości, pani, że wezmę pod uwagę pani starania o dobro duszy. Jesteś, pani, wspaniałym przykładem dla bratanicy i dla całej naszej społeczności. Jestem przekonany, że Agnes też tak to odczuwa, prawda? – zwrócił się do dziewczyny.

Zażenowana, z twarzą w pąsach, odparła:

– Tak, Ekscelencjo.

Głos Agnes zabrzmiał jak źródłana woda.

– Myślę, hrabino, że ponieważ mam teraz wolną chwilę, możemy te nauki zacząć od razu. Proszę się o bratanicę nie martwić. Służba odwiezie ją do domu, jak tylko skończymy. Resztę dnia będziesz mogła, pani, poświęcić swoim sprawom, których, nie wątpię, jest wiele.

W całym pałacu panowała niczym niezmacona cisza. Słońce znowu zajaśniało i na nowo rozbłysły złote kolory strojów obu kobiet. Hrabina, wyraźnie rozpogodzona, skinęła głową. Wstała, zebrała w dłoń spódnice i pożegnała się z bratanicą. Książę elektor odprowadził ją do drzwi. Dodała sobie otuchy słowami:

– Uspokaja mnie pewność, że Wasza Ekscelencja będzie wiedzieć, co należy zrobić.

Ucałowała pierścień i wyszła. Arcybiskup z uśmiechem podszedł do Agnes. Wziął ją za rękę i wyczuł, że cała drży.

– Proszę się nie niepokoić. Z pewnością moje nauki będą panience wielką pomocą. Przejdziemy do innego pokoju. Panuje tam wielki spokój i nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Arcybiskup rozsunął kotarę i przepuścił Agnes przed sobą. Zachwycił go zapach perfum. Lecz w głowie uparcie krążyła myśl o doniesieniu hrabiny i przeklinał rozdroże, na jakim się znalazł. Dietrich von Moers nie znosił, żeby ktokolwiek mówił mu, co ma robić.

Obydwoje z trudem łapali oddechy. Olga zwinęła się w kłębek w ramionach Lorenza. Zlane potem ciała jeszcze drżały, wstrząsane lekkimi spazmami. Ona była ciągle pobudzona, zawsze tak było, kiedy on już osiągnął orgazm. Była nienasycona. Wypróbowali przeróżne pozycje, łóżko Lorenza trzeszczało, kiedy oddawali się igraszkom; udało im się nawet sprawić, że deska złamała się pod ich ciężarem. Olga siedziała na nim tyłem i niemal bez tchu, szybkimi posuwistymi ruchami bioder prowokowała... Lorenz musiał się wstrzymać, przedłużyć stosunek. On był zaspokojony, ale ona nie.

Chciał, jak zawsze, i ją doprowadzić do rozkoszy. Włożył palce między jej nogi, wyczuł ciepłą wilgoć i pieścił jej ciało palcami, penetrując coraz szybciej, coraz głębiej... Przykryta kocem Olga poruszała spragnionym ciałem, gryzła poduszkę, którą ścisnęła kurczowo, wydawała namiętne jęki. Palce Lorenza poruszały się coraz szybciej, wsuwały się i wysuwały raz po razie, nieprzerwanie. Lepka substancja rozplątywała się po jego ręce, po udach Olgi, którymi tarła i ścisnęła jego rękę.

W chwili gdy zaczął odczuwać zmęczenie, ciało Olgi wygięło się w łuk, biodra zadrżały. Krzyknęła z rozkoszy i opadła, kołysząc piersiami. Dotknęła ręki Lorenza, na znak, że już nie trzeba, i on posłusznie wyjął palce. Leżała na plecach, odzyskiwała oddech – zaspokoila żądzę. Lorenz uśmiechnął się zadowolony. Słońce nagle wpadło przez małe okno, aż musiał zamrużyć. Położył się obok niej.

Byli w domu sami. Erika wyszła na jeden ze swoich długich spacerów i zwykle wracała w porze kolacji.

– Jestem szczęśliwy – powiedział.

Olga odwróciła głowę. Była ciągle zaróżowiona od wysiłku.

– Naprawdę? – spytała.

– Tak – odparł. – Mamy wszystko, co jest nam potrzebne. Wiem, że sobie poradzimy.

Tego ranka Olga przyszła do Lorenza ze smutną twarzą. Natychmiast zdał sobie sprawę, że musiało się wydarzyć coś złego.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony.

– Muszę wyjechać.

– Co? Dokąd?

– Jeszcze nie wiem...

Słowa Olgi zabrzmiały jak cios w samo serce.

Wiedział, że jej praca w warsztacie Ernesta nie miała trwać długo. Ale sądził, że po tym, co ostatnio wspólnie przeżywali, poszuka sobie podobnego zajęcia w Kolonii. Kiedyś napomknęła o tym, że jeździła od miasta do miasta z podobnymi zamówieniami. Dzięki tym podróżom i pracy w warsztatach złotniczych doskonale opanowała sztukę rysowania. Erfurt, Norymberga, Frankfurt, Brema... Przemierzała imperium z północy na południe i ze wschodu na zachód, wszędzie doskonaląc swą kreskę. Unikala rozmów na ten temat, bo wiedziała, że Lorenzowi sprawia to przykrość. Przy milczącej zgodzie uznali, że lepiej nie myśleć o nadejściu dnia, w którym będą musieli się rozstać. Lorenz nigdy nie wyjeżdżał z Kolonii i nie zamierzał tego robić. Lecz ten ze strachem oczekiwany moment nadszedł i należało coś przedsięwziąć.

– Nie możesz zostać tutaj? – spytał w końcu.

– W Kolonii nie znajdę pracy. Nikt mnie nie zna. A od czasu sprawy z Raynardem Ernest stracił swoją pozycję. W dodatku ty byłeś najlepszym złotnikiem i odkąd ciebie nie ma, nie mogą wykonywać zamówień tak szybko jak kiedyś. Nowych prawie nie dostaje, a te, które ma, nie wymagają umiejętności rysownika. I jestem przekonana, że nie zaofiarowałyby pracy kobiecie, która się z tobą związała. Poczekam jeszcze kilka dni i wyjadę...

Siedzieli przy stole. Lorenz podał jej szklankę gorącego mleka. Wypiła z wdzięcznością. Zza okna dochodziły przytłumione odgłosy burzy śnieżnej i wszędzie panował przejmujący chłód. Kiedy chwilę wcześniej Lorenz zobaczył, jak Olga, owinięta wełnianym kocem, z zaróżowionymi policzkami, pojawia się w niewyraźnym świetle wczesnego ranka, wydała mu się aniołem.

– I dokąd chcesz pojechać?

– Odwiedzę kilka warsztatów, zanim zdecyduję. We wszystkich kiedyś pracowałam, mistrzowie byli zadowoleni z mojej biegłości w rysunkach. I pora roku jest dobra. Zbliża się Boże Narodzenie i każdy, kto ma dobre mniemanie o sobie, chce mieć nową srebrną zastawę ze specjalnie wygrawerowanym wzorem. Najpewniej po to, żeby zaproszeni goście patrzyli na nią z zawiścią.

– No tak. Rozumiem.

Olga dotknęła czule jego dłoni.

– Ja też nie chcę wyjeżdżać, Lorenz. Ale nie mam innego wyjścia. Muszę jeść, jak wszyscy, i dlatego muszę pracować...

Mówiła głosem zduszonym, usiłowała nie pokazać, że dławi ją płacz. Podawała mu wszystkie powody, które zmuszały ją do wyjazdu z Kolonii, i przekonywała, że jej decyzja pójścia drogą, którą sobie wyznaczyła, jest nieodwołalna. Mówiła o konieczności pracy, o swoich potrzebach, o... Lorenz nie słyszał tych argumentów, zdawało się, że gdzieś w tle wiatr poruszał gałęziami drzew. Dla niego tylko jedno było ważne. Słowa same się wymknęły.

– Kocham cię – przerwał jej w pół zdania.

Zamilkła i utkwiała w nim szeroko otwarte oczy. Zamierzała chyba coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Kocham cię, powtórzył do siebie. Wiedział, jakie to ważne słowa. Często bił się z myślami, nie wiedział, czy odważy się je powiedzieć. Kochał Olgę, kochał ją od tygodni, od miesięcy, kochał jej twarz i jej ciało, ale kochał ją też za to, że od początku była dla niego duchową podporą; kochał jej – jak się zdawało – bezgraniczną czułość i wrażliwość.

– Nie musisz nic mówić. – Lorenz uniósł dłonie.

– I ja cię kocham – powiedziała szybko, zdziwiona własnymi słowami.

Lorenz się uśmiechnął.

– Więc nie możesz wyjechać, Olgo. Od czasu, gdy straciłem żonę, nigdy nie byłem taki szczęśliwy. Nie mogę pozwolić ci odejść. Czy tego nie rozumiesz? Tyle rzeczy się wydarzyło ostatniego roku...

Mówił z ożywieniem. Pragnął przekonać ją, jak wiele dla niego znaczy, jak bardzo potrzebuje jej obecności. To dla niej skrywane były w głębi duszy te słowa. Promieniował energią człowieka zbudzonego z ożywczego snu.

– A ty zawsze byłaś wtedy ze mną. Pomogłaś mi, kiedy niemal wszystko straciłem, spojrzeniem mówiłaś mi, że jestem dla ciebie ważny.

– Jesteś ważny.

Lorenz się zarumienił.

– Tak wiele dla mnie znaczysz. Bez ciebie niczego bym nie osiągnął. Dałaś mi siłę i wolę

przetrwania, kiedy myślałem, że wszystko się skończyło. Jeśli odejdziesz, zaprzepaścimy wszystko to, co przeżyliśmy razem. I nie wiem, czy potrafię się pozbierać... kolejny raz.

Nie odrywał wzroku od jej błękitnych oczu, pełen nadziei. Będzie walczył do końca, żeby tylko go nie opuściła. Życie nauczyło go, że aby zdobyć jakieś dobro, trzeba pokonać wiele przeszkód. Jego dobrem, jego przyszłością była Olga. Obydwoje milczeli, jak gdyby czekając na rozwiązanie, które nie nadchodziło.

– Zamieszkać ze mną – odezwał się nagle. I czekał. Cisza stała się jeszcze głębsza.

– To szaleństwo. Co by powiedziała twoja córka? – zapytała.

Zamyślił się. Tak jak to często robił, delikatnie, z czułością założył kosmyk złotych włosów za ucho ukochanej. Olga zamknęła oczy; ciepły, znajomy gest sprawił jej przyjemność. Lorenz musi pokazać, że jego postanowienie jest niezłomne.

– Porozmawiam z nią, kiedy wróci. Na pewno zrozumie.

Olga westchnęła i w zamyśleniu przesuwiała dłoń po czole.

To nie był dobry znak.

– Powiedz coś, proszę. Twoje milczenie mnie przygnębia.

– Zastanawiam się, Lorenz. To poważna decyzja, której nie możemy ot tak podejmować. Co powiedzą twoi sąsiedzi? Przecież nie jesteśmy małżeństwem. Kiedy się zorientują, zaczną się plotki. Żadne z nas na tym dobrze nie wyjdzie.

– Nie obchodzą mnie sąsiedzi ani ich gadulstwo. Tę decyzję musimy podjąć razem, teraz. Jasne, jeśli chcesz, weźmiemy ślub. Dam ci wszystko, czego tylko pragniesz. Jeśli marzysz o jakiejś pięknej uroczystości, będziesz ją miała. Twoje szczęście jest moim szczęściem. Kochamy się, więc nie wiem, w czym tkwi problem – rzekł. Podniósł się i podszedł do okna. – A może... a może to wszystko tylko mi się wydaje, może to nieprawda – dodał cicho.

Ogołoczone z liści gałęzie poruszały się na silnym wietrze. Słońce rozpuszczało resztki szronu, krople wody spadały na ziemię. Kilka kobiet, ubranych w ciepłe płaszcze, wracało do domów, kryjąc się w cieniu murów. Zastanawiał się, gdzie jest Erika.

Olga, zaniepokojona, zwróciła się do niego:

– To prawda! – krzyknęła. – Ale jesteśmy razem od niedawna, może jeszcze nie znamy się dobrze. A jeśli któregoś dnia dowiesz się o mnie czegoś, co cię przerazi? Zostawisz mnie i będę musiała odejść, szukać innego miejsca.

Lorenz wybuchnął śmiechem.

– Nigdy cię nie zostawię, Olgo. Może tobie łatwiej by to przyszło, bo życie z wariatem uczepionym prasy i spędzającym całe dni na kopiowaniu manuskryptów jest chyba dosyć trudne. Spytaj Eriki, ona wie najlepiej. Jestem jedynie pewien, że nie przekonamy się o tym, jeśli nie spróbujemy.

– Wiem – wyszeptała, spuszczając wzrok.

– I bez ciebie zginę, tego też jestem pewien.

Podszedł do niej powoli. Olga zawsze okazywała przy nim swój silny charakter. Ale teraz, siedząc pochylona na krześle, wyglądała jak niepewna niczego dziewczynka. Zadrżała. Lorenz uklęknął przed nią i dotknąwszy brody, delikatnie podniósł jej głowę. Łza potoczyła się po policzku i spadła na jego dłoń. Olga wyszeptała jakieś niezrozumiałe słowa.

– Co powiedziałaś? Nie słyszałem – rzekł, zbliżając twarz do jej twarzy. Czuł, jak bije jej serce.

Olga nabrała powietrza.

– Dobrze. Zostanę z Eriką i z tobą.

Lorenz uśmiechnął się szeroko, przekonany, że łzy Olgi były łzami radości. Chwył ją w ramiona i tak trwali przez chwilę, spleceni w uścisku. A potem zwarli usta w gorącym pocałunku. Od tej chwili nic ich nie rozłączy.

Kilka godzin później Nikolas szedł ulicami Kolonii owinięty grubym płaszczem w kolorze czerwieni. Podbity futrem strój chronił go od zimna, a zdobne koronki nadawały niezwykle wykwintny wygląd. Chłód przenikał każdy skrawek ciała snujących się o tej porze przechodniów, kąpiście jednak z pewnością nie groził. Mijający go mężczyźni i kobiety, w zniszczonych pelerynach ze zgrzebnej wełny, rzucali mu pełne podziwu spojrzenia. Nikolas roztaczał wokół siebie charakterystyczną aurę, sprawiał wrażenie, że nic nie jest w stanie wyrządzić mu krzywdy.

Zbliżał się do katedry, kiedy jego uwagę przyciągnął widok dwóch osób. Nie odróżniały się szczególnie od większości ludzi na placu – para ubrana była w takie same szarobure peleryny. Nikolas stanął jak skamieniały. Wokół kręcili się przechodnie, nie sądził więc, że go zauważyli, tak byli sobą zajęci. Mężczyzny nigdy przedtem nie widział, znał go tylko z opowiadań. Między innymi z opowiadań kobiety, która mu towarzyszyła. Ją znał doskonale; żył z nią od ponad dziesięciu lat. A teraz trzymała pod rękę złotnika, opierała głowę na jego ramieniu i przechadzali się przytuleni, nieczuli na zimno, które dręczyło innych śmiertelników.

Lorenz mówił coś do niej, a ona słuchała z uśmiechem. Para zakochanych. Nikolas poczuł nagle ukłucie w żołądku, właściwie nie wiedział dlaczego. Ilse była jedną z jego kobiet, nie żywił dla niej żadnego szczególnie gorącego uczucia. A przynajmniej tak sobie czasem powtarzał. A jednak zirytował go sposób, w jaki spoglądała na młodego złotnika, rozluźniona, skupiona na nim tylko, z pogodnym uśmiechem, rozjaśniającym całą twarz. To nie mogło być uczucie udawane; sprawiała wrażenie, że jest u boku tego mężczyzny bardzo szczęśliwa. Na Nikolasa nigdy tak nie patrzyła, może na początku, ale zupełnie nie mógł sobie tego przypomnieć. Znajdą się w niezmiernie delikatnej sytuacji, kiedy będzie z nią rozmawiał.

Wszedł do katedry, majestatycznej gotyckiej budowli, i udał się w stronę chóru. Rozmiary katedry sprawiały, że wydał się sobie mały, a jednocześnie uwznioślony. Samo spoglądanie w górę na olbrzymie filary, ku kopułom, dawało uczucie unoszenia się w powietrzu. Podeszedł do nastawy znajdującej się w połowie głównej nawy. W głębi widać było tryptyk głównego ołtarza z relikwiarzem Trzech Króli. Nikolas uśmiechnął się ironicznie; wydało mu się nieprawdopodobne, że ludzie jeszcze wierzyli w takie bajki. Skręcił w prawo, w stronę jednego z dwóch konfesjonałów. Zobaczywszy, że ktoś się tam spowiada, usiadł w ławce naprzeciwko. Ten dzień von Moers poświęcał na spowiadanie przedstawicieli wyższych sfer Kolonii. Światło sączyło się przez wysokie witraże wiązkami w różnych kolorach, które o każdej porze dnia wywoływały inny efekt.

Z konfesjonału wyszła dama w dojrzałym wieku i w eleganckim stroju w niebieskawej tonacji. Przezroczyta gaza skrywała nieco przywiedle piersi, wymykające się z dekoltu. Nikolas poznał ją: markiza Amara von Kummer. W prezencie od męża dostała piękny mszał, zamówiony wcześniej do skopiowania w jego skryptorium. Na widok Nikolasa dama skinęła lekko głową i zniknęła między filarami. Teraz przyszła jego kolej.

- Pochwalona niech będzie Matka Boska... – powiedział, zagryzając wargę. Sytuacja go bawiła.
- ...bez grzechu poczęta... – Arcybiskup von Moers przerwał i odezwał się po chwili: – Nikolasie, to wy?
- Tak, Wasza Świątobliwość.

– Co za niespodzianka! Nie wiedziałem, że nalezycie do tych, którzy chcą zmyć swoje grzechy – powiedział arcybiskup podejrzliwie.

– Dzisiaj jest dzień, w którym Wasza Ekscelencja pochyła się nad zbłąkanymi owieczkami. Jak mógłbym pominąć taką okazję?

– Sądząc z tonu, przyszedliście spędzić miło czas. Jeśli taka jest wasza intencja, możecie od razu odejść, tu przychodzą ludzie, którzy naprawdę potrzebują ode mnie duchowego wsparcia. Wy możecie mnie znaleźć w innym miejscu i w innym czasie, nie sądzicie? – Był wyraźnie poirytowany.

– Przychodzę coś wyznać...

Dietrich von Moers zamilkł.

– Mówcie, co was gnębi?

– Muszę powiedzieć w tajemnicy konfesjonału, że mam już wasze zamówienie, Wasza Świętobliwość.

Arcybiskup omal nie uderzył pięścią w oparcie krzesła. Zaciskając z wściekłości zęby, wydusił:

– Nikolasie, jesteście bluźniercą i nie mam najmniejszej wątpliwości, że sześcicie w piekle! Ośmielacie się kpić ze świętej tajemnicy spowiedzi?

– Jak Wasza Ekscelencja wie, kiedy sprzedawałem tę książkę, złożyłem obietnicę, że będzie to jedyny egzemplarz, ale najwyraźniej uszu Waszej Ekscelencji doszła informacja o jej istnieniu. Prosiłście, aby i wam dostarczyć kopię, co zmusiło mnie do złamania słowa danego szlachetnemu rycerzowi, który ją u mnie kupował. A ja, człowiek słaby, kierujący się przyjaźnią do Waszej Ekscelencji, postanowiłem zrobić nową kopię wyłącznie dla was. To właśnie wyznaję, Ekscelencjo, to, że nie dotrzymałem obietnicy.

Była to subtelna forma przypomnienia arcybiskupowi, że obaj zaangażowali się w sprawę, o której lepiej było milczeć. Dietrich von Moers nie mógł zaprzeczyć, ale też nie mógł nie wykorzystać okazji i ostrzec go, by miał się na baczności.

– Rozgrzeszam was, ale podkreślam: to nie jest ani miejsce, ani czas.

– Nie zamierzałem przynosić książki ze sobą, proszę mnie tak źle nie osądzać. Chciałbym zawiadomić, że mam przygotowane kilka mszałów. Wasza Ekscelencja może dać je w prezencie pobożnym duszom, którymi tak chętnie się opiekuje. Na samym spodzie znajdziecie swoją książkę. Muszę tylko wiedzieć, kiedy zastanę Waszą Ekscelencję w pałacu, żeby przypadkiem nie wpadło to w niepowołane ręce.

Arcybiskup z westchnieniem podparł głowę.

– Dobrze już, dobrze... Przyznaję, że nie brakuje wam pomysowości. Przynieście mi to wszystko jutro do pałacu.

Von Moers rzucił okiem na rzędy ławek.

– Zdaje się, że na dzisiaj skończyłem. Odprowadźcie mnie do wyjścia, chcę o czymś porozmawiać.

Wyszli z konfesjonału i w milczeniu udali się do bocznych drzwi. Znienacka pojawiła się przed nimi hrabina Berta von Kerff. Nikolas zauważył grymas irytacji na twarzy arcybiskupa, a zaraz potem okraszony fałszywą słodczą uśmiech.

– Opatrzność boska pozwala mi cieszyć oczy pani świętobliwą obecnością, hrabino.

– Wasza Ekscelencjo. – Skinęła lekko głową i pochyliła się, by ucałować pierścień. Nikolas przyjrzał się długim pomarszczonym palcom. – Winna jestem wdzięczność za czas poświęcony bratanicy.

– Uczyniłem to z przyjemnością, pani. To takie ufne i niewinne stworzenie. Wyjątkowo uduchowiona, jak święta.

Nikolas przysłuchiwał się z poważną miną. Ale paliła go ciekawość: bardzo chciałby wiedzieć, jak wygląda to stworzenie obdarzone zaletami świętej. Hrabina i arcybiskup pożegnali się z obietnicami kolejnych spotkań.

Von Moers i Nikolas szybko wyszli z katedry. Na zewnątrz, czując powiew lodowatego wiatru, arcybiskup owinał się szczelnie obszerną peleryną. Czekali już na niego żołnierze z gwardii pałacowej. Utworzyli szpaler, którym miał dojść bezpiecznie do powozu.

Jeden z żołnierzy stanął przed Nikolasem.

– Cofnąć się – rozkazał.

Nikolas poczuł, że krew się w nim gotuje; żołnierz nawet mu do brody nie sięgał. Zaczerwienił się, utkwiał w nim groźne spojrzenie i nie ruszył się ani o krok.

– Niech przejdzie. Jest ze mną! – zawołał arcybiskup już z powozu.

Żołnierz odsunął się, a Nikolas przeszedł przez szpaler z pogardliwym półuśmiechem. Nigdy nie miał dobrego zdania o żołnierzach, bez względu na to, co i kogo reprezentowali.

Kiedy powóz ruszył, von Moers zaczął rozmowę.

– Nie mam zamiaru rozliczać was z tego, co tam się wydarzyło – wskazał ręką za siebie. – Ale mam nadzieję, że to się nie powtórzy...

Nikolas uniósł brwi z wyrazem absolutnej szczerości.

– Nie zamierzałem was obrazić, Wasza Ekscelencjo.

Von Moers skrzywił usta, a spomiędzy warg wydostał się dźwięk niczym syk węża. Nikolas poczuł, że cierpnie mu skóra na karku.

– No, już dobrze, dobrze. – Von Moers machnął ręką.

W ciszy, która zapadła, słyhać było tylko stukot końskich kopyt. Na nierównej, pokrytej kamieniami ulicy powóz przechylał się na wszystkie strony. Ledwo przejechali kawałek drogi, obstąpili ich żebracy w łachmanach – wyciągali ręce po jałmużnę, popychali się, czepiali powozu i jeszcze bardziej utrudniali jazdę. Von Moers starał się hamować złość.

– Odpędź ich! – zawołał do stangreta. Po czym zwrócił się do Nikolasa: – Słyszeliście o odpustach w tamtym kościele? – Wskazał kościół Świętego Michała Archanioła, koło którego przejeżdżali.

– Tak. Ktoś mi mówił. Wasza Ekscelencja została zmuszona do podpisania edyktu, prawda?

– Proboszcz tyle ich sprzedawał i po tak śmiesznych cenach, że wywołało to olbrzymie poruszenie. Przebaczenie nie może być tanie.

– Ale Wasza Ekscelencja znalazła adekwatne rozwiązanie, jak zawsze.

– Cóż, niektórym to nie wystarcza.

Z jakiegoś powodu Nikolas odniósł wrażenie, że role spowiednika i grzesznika zostały odwrócone. Arcybiskup zamierzał mu coś wyznać. Może dlatego, że łączyła ich wiedza o nagannych postępkach. Najszacowniejsze osoby w Kolonii powierzały im sprawy osobiste, które, gdyby je ujawnić, zniszczyłyby ich reputację. Jeden żądał w zamian skruchy, podczas gdy drugi miał we wszystkich swój udział. Wiedzieli o swych przywarach i słabostkach i obaj na swój sposób byli stronami zainteresowanymi. Obserwowanie na co dzień przypadków oszustw, kłamstw i przestępstw poruszyłoby nawet najbardziej wprawnych w tych kwestiach.

– Ufam, że zachowacie dyskrecję, co więcej, oczekuję dyskrecji – ostrzegł arcybiskup.

– Tak będzie – zapewnił Nikolas.

Von Moers spoglądał przez okno, wpatrując się w jakiś odległy punkt. Pełna ludzi ulica, którą jechał luksusowy powóz, nie była już tak wyboista i konie biegły teraz równym truchtem. Słabe promienie słońca padały na podłogę powozu. Twarz arcybiskupa skryta była w cieniu.

– Ojciec Martin Wahrheit nie jest szczególnie lubiany w tym mieście. Ma... jak by to powiedzieć... własne spojrzenie na rolę kapłaństwa i na Pismo Święte. Jest ono na tyle własne, że niejeden już raz odszedł od wierności doktrynie. A to oddala go od Boga. Ja jestem człowiekiem wyrozumiałym i wiem, że dobrze jest przystosować się do miejsca, w którym się znajdujemy, ale jestem i muszę być zdecydowanym obrońcą zasad. Nikolasie – spojrzał na niego – dobrze wiecie, będąc właścicielem skryptorium, że jeśli popuści się cugli, wszystko zaczyna się wymykać spod kontroli. Brak ładu prowadzi do bezładu. A stąd prosta droga do chaosu. Czy chaos przynosi komukolwiek pożytek?

Nikolas zauważył, że objeżdżają powozem niemal całą Kolonię i coraz bardziej oddalają się od Pałacu Episkopalnego. Pokręcił przecząco głową, a dłoń arcybiskupa zacisnęła się w pięść.

– Jest zatem moim obowiązkiem chwycić cugle i nie dopuścić do tego, aby miasto znalazło się w niebezpieczeństwie.

– Kolonia? Wybaczcie, Ekscelencjo, ale nie rozumiem, w jaki sposób odpusty rozdawane w jednej z najbiedniejszych dzielnic naszego pięknego miasta mogą mu zagrozić.

– Nikolasie, nie jesteście na tyle dalekowzroczni, żeby przewidzieć efekty takiego działania. Odpusty to ledwie drobnostka. Najważniejsze jest to, co i w jaki sposób ów ksiądz przekazuje w swoich kazaniach.

Von Moers mówił coraz głośniej.

– Spróbujcie sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby wierni dali się uwieść argumentom tego księdza: przestaliby być owieczkami bożymi, staliby się winowajcami. A ci, którzy popełniają wykroczenia, jaki język potrafią zrozumieć? Jedyne język ognia i krwi. I do tego nie można dopuścić.

– Tak, ma Wasza Ekscelencja rację. Proszę wybaczyć moją niewiedzę, Ekscelencjo. – Twarz mu spochmurniała, zdawał sobie sprawę, jak niebezpiecznie byłoby nie przyznać mu racji.

– I dlatego nasz drogi burmistrz musi mi w tym pomóc.

Nikolas otworzył oczy ze zdumienia. Nie przypuszczał, że von Moers zechce wciągać Overstolza do swoich rozgrywek. Powszechnie wiadomo było, jak nisko go cenił.

– Sądziłem, że jest to sprawa wyłącznie Kościoła...

Ksiązę elektor niecierpliwie potarł brodę. Powóz co chwilę podskakiwał na wyboistej drodze.

– Nieporządek w jednej parafii prowadzi do nieporządku w całym mieście. Nie sadzę, żeby Heller tego chciał. Wiem, że muszę go mieć po swojej stronie, chociaż nie mam zbyt dużego zaufania do ludzi, którzy dają się powodować ambicją. Niedawno w konfesjonale klęczała przede mną jego żona, baronowa Agripina. Źle swoje sprawy prowadzi ten, kto w dążeniu do władzy zapomina o małżeńskich obowiązkach.

– Czy może wyznała jakąś niedyskrecję?

– Co też opowiadacie? Nigdy nie zdradzam tajemnicy spowiedzi!

– Naturalnie. Przepraszam. Ciekawość mnie poniosła.

– Agripinę, tak cnotliwą, bardzo smucą nieustanne wyjazdy męża. To doskonale wychowana młoda dama, co zawdzięcza swemu szlchetnemu ojcu. Tak młodej żony nie wolno zostawiać samej sobie... – Kapłan nie dokończył zdania, a po dłuższej chwili milczenia dodał: – Ojciec Martin Wahrheit będzie postawiony przed sądem i Heller odegra w tym swoją rolę.

Arcybiskup znowu spojrzał w przestrzeń za oknem. Tak jak i Nikolas. Kopista zdawał sobie sprawę, że von Moers chce zdobyć jego przychylność ze względu na bliskie stosunki Nikolasa z burmistrzem. Z pewnością nie będzie to jedyna rozmowa na ten temat, nie miał co do tego wątpliwości.

Niebo nad zszarzałymi dachami domów zaczynało ciemnieć. Von Moers kazał stangretowi jechać wprost do pałacu. Kopista wykorzystał ten moment i poprosił o pozwolenie na pożegnanie się. Było mu wszystko jedno, w jakiej części miasta się znajdzie.

Gdy tylko powóz się oddalił, Nikolas ruszył szybko przed siebie. Musiał się uspokoić. Potrząsnął płaszczem, jakby strzepywał kurz z drogi. Nie mógł się już doczekać, żeby znaleźć się w swoim pałacyku, wziąć gorącą kąpiel i napić się dobrego likieru z własnej piwniczki. Po rozmowie z arcybiskupem pozostał mu w ustach gorzki posmak. Słyszał o tym księdzu Wahrheicie. Biedacy go uwielbiali. Z doświadczenia Nikolas wiedział, że popularność ma dwie strony: owszem, przysparza przyjaciół, ale i wrogów. I staje się niebezpieczna, kiedy ci drudzy są silniejsi od pierwszych. A von Moers stawał po stronie silniejszych.

Erika obudziła się wcześniej. Nawet słońce jeszcze nie wstało. Poruszyła się pod grubym kocem i nadstawiła ucha, aby upewnić się, czy wszyscy jeszcze śpią. Spokojne oddechy Lorenza i Olgi świadczyły, że sen mają głęboki. Spod poduszki wyjęła czwarty list od tajemniczego adoratora.

Od ostatniego tym razem upłynęło mniej czasu, ledwie tydzień. Poprzedniego wieczoru wróciła z długiego spaceru i kiedy zdejmowała z siebie kolejne warstwy zimowego okrycia, list wypadł spomiędzy nich jakby za sprawą magii. Nawet nie zauważyła, kiedy A.F. tam go włożył. Ojciec i Olga kręcili się po domu i niewiele brakowało, a na pewno zobaczyliby leżącą na podłodze kartkę.

Erika czekała na chwilę, kiedy będzie sama. Otworzyła list i z lubością dotykała go palcami, wyglądała małe zagięcia. A.F. wiele ryzykował, przesyłając go w ten sposób. A kiedy pomyślała, że był tak blisko, poczuła dreszcz niepokoju... i zachwył.

Było jeszcze ciemno, ale wstała i ubrała się po omacku. Ostrożnie stawiała stopy na drewnianych schodach. Nie chciała nikogo obudzić skrzypieniem. Na dole wszystko poszło łatwiej. Okryła się płaszczem i resztką żaru w palenisku zapaliła świeczkę.

W zaledwie dziesięciu liniijkach anonimowy autor obiecywał jej wspólną przyszłość, która – dawał na to słowo – nie była odległa. Jak zawsze, tak i teraz, ogarnęła ją wielka radość, lecz gdy skończyła czytać, niewiele tej radości zostało. Od czasu, kiedy dostała pierwszy list, minęły ponad dwa miesiące i bardzo już chciała zobaczyć tego, który je wysyłał, cieszyć się, a nie ludzi obietnicami. Tyle razy modliła się do Boga, żeby sprawił ten cud, lecz Stwórca wyraźnie nie zamierzał jej wysłuchać. Może był zajęty ważniejszymi sprawami. Erika czuła się bezradna i niespokojna. Nie była już przecież dzieckiem. Gra ją zmęczyła, a rozwikłanie tajemnicy zanadto się przeciągało.

Nic innego nie zaprzętało jej ostatnio głowy. Jednakże o istnieniu ukochanego nikomu nie powiedziała. Nie miała zresztą komu się zwierzać. Erika westchnęła głęboko i pomyślała, że nadszedł wreszcie czas zaspokoić ciekawość. Od paru dni już myślała, jak to zrobić.

O tak wczesnej porze na ulicach nie było żywego ducha. Zimową porą szron pokrywał każdy zakamarek, ulice były śliskie, więc musiała iść bardzo ostrożnie. Chłód wciskał się przez wełniany płaszcz, zasłoniła twarz i starała się wstrzymywać oddech, żeby mieć przez chwilę wrażenie ciepła. Szła dość długo i wreszcie znalazła się na małej uliczce w pobliżu północnej bramy w murach miasta. Strażnik zacierał ręce i tupał nogami, inaczej chybaby zamarznął. Erika pomyślała, że gdyby musiała wzywać pomocy, przynajmniej on by usłyszał.

Zastukała do wąskich drzwi, ukrytych w cieniu. Po chwili otworzyła je stara kobieta z siwymi włosami do pasa. Miała na sobie długi czarny strój i wyglądała, jakby dopiero co wstała z łóżka.

– Kto mi głowę zawraca o tej porze? – spytała zachrypniętym głosem.

– Przepraszam, że tak wcześniej przychodzę, Frau Hexe, potrzebuję pani pomocy.

Erika nawet się nie zająknęła, ale czuła, że zaczyna ją ogarniać strach.

– Zapłacisz więcej, za to żeś mnie obudziła... – ostrzegła staruszka, ledwo ruszając pomarszczonymi wargami. Szmaragdowe oczy kryły się w sieci zmarszczek.

– Zapłacę.

– No to wchodź w moje skromne progi.

Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła Erikę do środka. Jak w taniej knajpie z czerwonymi lampkami wszędzie stały kryształowe buteleczki pełne dziwnych kolorowych substancji: na podłodze, na półkach zawieszonych na ścianach... Aż kichnęła od silnego zapachu szafranu.

– Przepraszam za bałagan – powiedziała starucha. – Ale widzisz, że nie mam dużo miejsca.

Spojrząwszy w stronę prawie wygaszonego paleniska, Erika zobaczyła duży sagan, podobny do tego, jaki miała w domu. Pełen był gęstej, ciemnej mazi. W pobliżu sagana na drewnianym kiju siedział kruk. Początkowo myślała, że jest martwy, bo w ogóle się nie ruszał. Ale kiedy podeszła bliżej, odwrócił się i usiłował ją dziobnąć.

– Nie lubi obcych – oznajmiła Frau Hexe. Dorzuciła drewna do ognia i usiadła. – Chodź tu. Nie mam zamiaru marnować czasu.

Erika podeszła i siadła obok niej. Na stole leżały pióra i coś, co wyglądało na kawałki zwierząt i roślin. Otrząsnęła się z obrzydzenia.

– Więc w czym mam ci pomóc?

Erika się zakłopotowała. Po raz pierwszy poważyla się na tak niebezpieczny krok. Wiedziała, że czarownice i wiedźmy są prześladowane. Już przed wiekami wydano prawa potępiające czary. Celem było zwalczanie pogaństwa, którego praktyki były jeszcze mocno zakorzenione wśród ludu. Każdy miał w pamięci procesy czarownic, oskarżanych o paktowanie z diabłem i kończących życie w swędzie palonych ciał.

– Słyszałam, że zajmujecie się stręczycielstwem.

Cała Kolonia wiedziała o ciemnych interesach, jakie Frau Hexe prowadziła z kilkoma burdelami w mieście. Ale też mówiono, że nikt lepiej od niej nie wiedział, co stanowi esencję miłości. Podobno miała sto lat i połączyła węzłami uczucia mężczyzn i kobiety, niektórych nawet w sobie zakochanych.

– Tak, to prawda. Sprzedaję miłość, między innymi. Ale powiedz mi, panienko, jakież to uczucie dręczy cię w tak młodym wieku, że przychodzisz z tym do mnie?

Erika wyjęła z kieszeni płaszcza ostatni list i podała go starej kobiecie. Dłonie, pomarszczone i żyłaste, zakończone były zakrzywionymi, żółtymi pazurami.

– Jakie to piękne... List miłosny! Miłość dworska jest ze wszystkich najczystsza, prawda, kochana? – zapytała szczerze ubawiona.

Wydawało się, że kobieta nie traktuje listu poważnie. Oddała go Ericie.

– Oczy mam stare i ledwo co nimi widzę. Bądź tak dobra i przeczytaj mi.

Spojrząwszy na list, Erika zobaczyła, że kobieta trzymała go do góry nogami. Odchrząknęła nerwowo i nieśmiało zaczęła czytać. Policzki się jej zaróżowiły, a po chwili poczuła, że twarz jej płonie. A gdy skończyła, milczenie czarownicy ją zirytowało. Żałowała, że w ogóle przyszła.

– Szlachetna jest ręka, która napisała te słowa – odezwała się w końcu Frau Hexe. – Twój mężczyzna naprawdę cię kocha.

Erika poczuła się lepiej.

– Ale wygląda na to, że nie ma zamiaru nic zrobić, żeby się do ciebie zbliżyć... A mężczyzna i kobieta powinni w ten sposób umacniać miłość do siebie; nie wiem, czy mnie rozumiesz, moja droga...

Erika otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Ta starucha dość nieprzyzwoicie sobie poczynała.

– Dlatego przyszłam – odważyła się powiedzieć.

– Nie martw się. On miał tę kartkę w ręce, a to wystarczy, żeby moja magia mogła zadziałać. Niedługo dostaniesz wiadomość od ukochanego i nie będą to tylko słowa pisane, zobaczysz.

Czarownica wzięła do ręki drewniany móździerz, który stał w pobliżu nieruchomego kruka.

Włożyła do niego kilka korzonków ze szklanych pojemników i wlała ciemny płyn, który wyglądał jak krew.

– Pozwolisz? – spytała. Tak mocno pociągnęła za włos Eriki, że dziewczyna krzyknęła. – Nie jęcz.

Oderwała kawałek listu i włożyła go do mózdzierza. Teraz zanurzyła ręce w ciemnej masie i dobrze ją ugniatała. Poruszając powoli lepkimi poczerniałymi palcami, wymawiała słowa w nieznanym Ericie języku.

Mówiła coraz głośniej, łączyła słowa, modulowała głos jak w długiej modlitwie. Przymknięte powieki drgały, unosiły się, widać było same białka. Ciałem wstrząsały silne spazmy. Mijały długie minuty. Z sagana na żywym teraz ogniu paleniska dochodziło głośne bulgotanie. Wyglądało na to, że wszystko się z niego wyleje. Erika zaczęła się zastanawiać, czy nie jest już za późno, żeby stamtąd uciec.

I wtedy czarownica umilkła. Chwyciła pojemnik z dziwną mieszaniną i cisnęła go do ognia.

– Gotowe. Pół guldena – oświadczyła, zwracając się do Eriki z wyciągniętą dłonią.

– To już wszystko?

Nic na to nie usłyszała.

Erika wstała, potrząsając niedowierzająco głową. Wyjęła monetę z sakiewki i podała ją czarownicy, po czym pozbierawszy to, co zostało z listu, zamknęła za sobą drzwi. Z chmur padały zimne krople deszczu.

Idąc do domu, zaczęła żałować, że tam poszła. Po raz pierwszy była świadkiem czegoś takiego. Stara kobieta wyglądała, jakby ją sam diabeł opętał. A jeśli słowa przez nią wypowiedane zniszczą to, co istnieje między nią i ukochanym? A jeśli jego kolejny krok będzie efektem czarów, a nie tego, że ją kocha? I nagle poczuła w sobie wielki niepokój.

Przyspieszyła kroku. Ulice już się zapełniły ludźmi idącymi ciężkim krokiem do swoich warsztatów. Zaciśnęła dłonie i pobiegła, przeskakując zaśnieżone miejsca, jeszcze bardziej śliskie od tych mokrych od deszczu. Czowała wilgotny chłód w gardle i w piersiach. W długiej drodze przez miasto ani razu się nie zatrzymała, jak gdyby chciała uciec przed wyrzutami sumienia. Łzy na twarzy mieszały się z zimnymi kroplami deszczu.

Z hukiem otworzyła drzwi do domu. Olga zajęta była składaniem prania. Erika bez słowa wpadła po schodach na górę, zaciągnęła zasłonę i rzuciła się na łóżko, kryjąc twarz w poduszce. Zaczęła się trząść. Płaszcz był przesiąknięty deszczem. W ręce ciągle trzymała list, na pół porwany. Spojrzała na niego i wybuchnęła tłumionym płaczem.

Zza zasłony dobiegł ją cichy głos.

– Eriko? Dobrze się czujesz?

Olga, z zatroskaną twarzą, wychyliła się zza zasłony.

– Tak... – Erika wytarła łzy kocem. Szczękała zębami z zimna. Schowała list i usiadła.

– Mogę wejść? Twój ojciec poszedł spotkać się z Johannem – powiedziała Olga ciepłym głosem.
– Rozchorujesz się, jeśli się nie wytrzesz. – Podała jej ręcznik.

Od poprzedniego tygodnia, kiedy Olga zamieszkała z nimi, Erika coraz bardziej oddalała się od ojca. Winiała go za to, że nie porozmawiał z nią przed podjęciem tak ważnej decyzji, która miała bezpośredni wpływ na ich życie. Lorenz tylko zawiadomił ją, że teraz będzie ich w domu nie dwoje, lecz troje. Owszem, spytał, czy to w porządku, czy się zgadza, ale było już za późno. Pominął ją i czuła się zdradzona. Zostały jej tylko listy, a być może przez swoją dziecinną niecierpliwość zaprzepaściła szansę na prawdziwą miłość.

Erika kiwnęła głową. Wzrok utkwiała w podłodze. Olga usiadła koło niej na łóżku. Chyba się mną

martwi, pomyślała dziewczyna. Wzięła ręcznik i wytarła włosy, twarz, ramiona... Pozwoliła, żeby Olga przykryła ją kocem, i dopiero wtedy poczuła ciepło.

Kiedy przed sześcioma miesiącami pierwszy raz zobaczyła Olgę, obudziła się w niej zazdrość; ta kobieta była piękna, z taką urodą mogła zauroczyć każdego. Dlaczego wybrała ojca? Później, widząc, że Olga zdobyła serce Lorenza, Erika przeżywała okres gniewu i zazdrości. Nie życzyła sobie, żeby ta kobieta zajęła miejsce matki, drażniło ją, że stawiała się dla ojca coraz ważniejsza. Ale nie sprzeciwiała się i w końcu przyzwyczaiła do jej częstych wizyt. Tamte uczucia zastąpił smutek. Olga nie była złą kobietą, ale ojciec źle postąpił, nie liczył się z nią, Eriką, i to ją bolało.

– Jesteś taka smutna – powiedziała cicho Olga.

Erika przytaknęła. Zamknęła oczy i powoli się uspokajała. Po chwili milczenia Olga znów się odezwała.

– Kiedy miałam tyle lat co ty, wiele razy czułam ogromny smutek. To prawo młodości: wszystko, co czujesz, staje się takie olbrzymie, prawda?

– Czasem za bardzo – szepnęła Erika.

Olga uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Twój ojciec jest bardzo z ciebie dumny. Wiesz o tym? Zawsze powtarza, jaka jesteś mądra, ile mu pomagasz...

– Teraz nie potrzebuje mojej pomocy. Ma ciebie.

– Wiem, że decyzja, żeby z wami zamieszkać, była pospieszna.

– Trochę.

– Ale, Eriko, my tego nie planowaliśmy. Ja miałam zamiar wyjechać i...

– Ojciec poprosił, żebyś została. Wiem o tym.

Obie zamilkły, szukając właściwych słów. Erika wiedziała, że Olga nie ponosi żadnej winy; wiedziała, że powinna być dla niej miła, ale nie mogła się na to zdobyć. Miała tylko ochotę krzyczeć i być sama. I żeby nikt jej nie słyszał.

– Ojciec obdarza cię bezgraniczną miłością. Czasem popełnia pomyłki, wszystkim nam się to zdarza, ale uwielbia cię i dla ciebie dałby z siebie wszystko. Ja nie chcę zajmować twojego miejsca ani miejsca twojej matki w jego sercu, nigdy tego nie zrobię. Wasze miejsce jest w nim wyryte na zawsze. Czasem opowiada mi o Ebbie, mówi, że jesteście jak dwie krople wody.

– Ja jej nie pamiętam...

– To normalne. Byłaś bardzo mała, kiedy to się stało.

Słowa Olgi brzmiały szczerze. Patrzyła na Erikę bez przerwy, mając nadzieję, że i ona na nią spojrzy. Ale jeszcze było za wcześnie.

– Ty jesteś dla mnie bardzo ważna. Jesteś cudowną dziewczyną, naprawdę, Eriko, i chciałabym cię lepiej poznać, zostać twoją przyjaciółką. Chciałabym, żebyś mogła powiedzieć mi o wszystkim, co sprawia, że jesteś smutna.

Deszcz przestał padać. Słabe światło wpadało przez okno, odbijało się od desek podłogi i kilku mebli i tworzyło otaczającą wszystko białawą poświatę, rodzaj mgiełki spowijającej każdy gest, każde słowo. Erika milczała. W głowie kłębiły jej się myśli, które mogłaby wyrazić, ale usta milczały. Nie była pewna.

Przyjaciółka. Erika nie miała przyjaciół, odkąd Matthias i Frieda wyjechali z Kolonii. Bardzo jej ich brakowało, zwłaszcza w ciągu ostatnich miesięcy, kiedy jedna po drugiej następowały ważne zmiany, a ona nie miała z kim podzielić się troskami. Ojciec był zawsze zajęty, poza tym chyba mu się nie spodobało, że jego córka flirtuje z jakimś chłopakiem. Erika dojrzewiała, i chociaż czasem wpędzało ją to w panikę, nie była już małą dziewczynką. Lorenz zdawał się tego nie

zauważać, co okazywał, nie pytając jej o zdanie przy podejmowaniu decyzji.

Olga wstała, gotowa odejść.

– Zostań – wyszeptala Erika.

Wreszcie spojrzala na Olge. Ciemna sylwetka odbijala sie w promieniach slonca. Z twarzy Olgi zniknal wyraz niepokoju, usmiechnela sie i usiadla z powrotem obok Erika.

– Pokazę ci coś, ale nic o tym nie powiesz ojcu – ostrzegla.

– Oczywiście. To będzie nasz sekret.

Erika uniosla koc. Wyjela kartke i podala ja Oldze.

– To list?

Ciemne oczy Erika wpatrywaly sie wyczekujaco, kiedy Olga przebiegala wzrokiem skreslone slowa. Dziewczyna miala nadzieje wyczytac z jej twarzy cos, co posluzy jej za wskazowke.

– Ten mlodzienc za toba szaleje – powiedziala Olga, podnoszac znad listu roziskrzony wzrok.

– Tak myslisz? Nawet nie wiem, kto to jest, ale te listy... – Erika zlozyla rece na piersiach.

– Tak, na pewno. I wiem, co chcesz mi powiedziec.

Dziewczyna zaczerwienila sie. Nie przypuszczala, ze bylo to tak oczywiste.

– Tez jestem kobieta, Eriko, i wiem, ze ten chlopak cie kocha. Wiec to jest powod twoich dlugich spacerow? I dlatego przed wyjściem z domu nakladasz roz na policzki?

– No tak, to znaczy, ze wszystko bylo widać. – Przesunela dlonia po czerwonej jak burak twarzy.

– Nie martw sie. Twój ojciec niczego nie zauwazyl.

Odetchnela z ulga. Drgnela, kiedy dlon Olgi glaskala jej dlugie, ciagle wilgotne wlosy. Od dawna nikt tego nie robil i poczula, ze po policzku plynie lza. Olga otworzyla ramiona i przytulila ja. Erika pozwolila sie ukołysac. Potrzebowala kobiecej czulości, bliskości osoby, która pomoglaby jej znalezc odpowiedzi na nurtujace pytania.

– Chyba wszystko zepsulam – wyszeptala z placzem, nie podnoszac glowy z piersi Olgi.

– Dlaczego mialabyś wszystko zepsuc?

– Dlatego ze chcialam, musialam juz wiedziec, i dzisiaj rano poslam do czarownicy, Frau Hexe, zeby ja poprosic o napoj milosny. Ale ja nie chce, zeby on mnie kochal przez jakies czary. Chce, zeby mnie kochal dla mnie, taka, jaka jestem naprawde, nie potrzebuje innej magii niz magia jego serca...

Mowila szybko, jednym tchem... Plakala coraz rzewniej i oddychala coraz szybciej.

– Poszlas do czarownicy? Slysalam o niej duzo plotek. Mowia, ze dodaje krew do tych ekstraktow i ze zawarla pakt z diablem.

Erika nagle zdala sobie sprawe, ze opowiada doroslej osobie, jak nieodpowiedzialnie sie zachowala. Odsunela sie od Olgi i ze spuchnietymi od placzu oczami i zalana lzami twarza czekala na reprimende.

– Gdzie ona mieszka? – spytala Olga.

Dziewczyna zawahala sie, ale po chwili opowiedziala ze szczegolami o porannej wizycie, nedznej budzie pelnej dziwnych przedmiotow i martwych zwierzat. Opowiedziala o saganie z wydobywajacym sie z niego zapachem szafranu, o kuku, o szklanych miskach i maściach, o wygladzie tej kobiety... I o czarach. Mowila bez przerwy, polykajac lzy.

Przypominanie sobie ponurego doswiadczenia bylo okazaniem skruchy.

– Juz dobrze, nie martw sie. Pojde z nia porozmawiac. Jestem pewna, ze za pare miedziakow odwoła czary.

Erika spojrzala na nia ze zdumieniem i przestala plakac.

– Zrobisz to dla mnie?

– Naturalnie, Eriko. Powiedziałam ci, że możesz we wszystkim na mnie liczyć. O niektórych trudnych sprawach nie można opowiadać mężczyźnie zajętemu swoimi drukami i wynalazkami – powiedziała, naśladując spokojny głos Lorenza.

Roześmiały się. Erika była jej wdzięczna i już się tak nie martwiła.

– Zobaczysz, niedługo dowiesz się, kim jest twój ukochany. Teraz wydaje ci się, że koniec jest daleki, ale powoli twoje marzenie zacznie się spełniać.

– Naprawdę tak myślisz?

– Jestem pewna – odparła, głaszcząc ciemne włosy Eriki. – Chodź do mnie, Liebes Mädchen.

Padły sobie w ramiona i trwały dobrą chwilę w serdecznym uścisku. Silniejsze o tej porze promienie słońca padały wprost na nie. Erika była już spokojna i zupełnie jej nie przeszkadzało, że słyszy te dwa słowa z ust Olgi.

Lorenz był zmartwiony. Ostatnio dotarły do niego niepokojące wiadomości. Im dłużej o nich myślał, tym bardziej uczucie niepokoju zastępował gniew. Tak, był zbulwersowany tym, co się stało.

Niesprawiedliwość, o której czytał w Etyce Nikomachejskiej Arystotelesa, na jego oczach przybierała coraz bardziej wyraźny kształt, niczym groźny, wymykający się kontroli cień, który swoją masą przytłacza niewinnych. Lorenz pomyślał o arcybiskupie Kolonii. Książę elektor głęboko skrywał niezmywalny grzech, którego jedynym świadkiem był Martin Wahrheit i którego nic nie mogło zmazać. I oto teraz człowiek odważny, nieulekły, postępujący zgodnie z sumieniem i dekalogiem, ma być sądzony przez ludzi obłudnego Dietricha von Moersa. Sprawiedliwość stawała się niesprawiedliwością.

Tego właśnie ranka, jak każdego dnia, złotnik udał się do księgarni Johanna, nie mając pojęcia, czego się tam dowie. Zamierzał kupić proszek do farby, by móc dalej drukować kopie. Miał około dwóch tygodni na skończenie zamówienia i był pewien, że zdąży. W księgarni zastał kilku przyjaciół księgarza. Interesowali go od pierwszego dnia, kiedy ich poznał, zaraził się ich optymizmem, fascynowało go to, w jaki sposób pojmują świat. Już kilka razy brał udział w ciekawych dyskusjach z tymi ludźmi. Ale kiedy zobaczył ich tego rana, wiedział, że stało się coś bardzo poważnego. I rzeczywiście tak było.

Kilku z nich siedziało na piętorku z twarzami poszarzałymi, przerażonymi.

– Nie możemy w to uwierzyć, Lorenz – powiedział Johann. – Wszyscy wiedzieliśmy, że jego idee niektórym się nie podobają, ale nikt z nas nie wyobrażał sobie, że posuną się tak daleko.

Na twarzy Johanna widać było zmęczenie. Bez przerwy przymykał zapadnięte, zaczerwienione oczy. Jąkając się, opowiedział Lorenzowi o tym, co stało się ostatniej nocy – ojciec Wahrheit został zatrzymany przez ludzi burmistrza.

– Miejmy nadzieję, że ta kłoda, którą mu teraz rzucono pod nogi, stanie się dla niego szczeblem do wyższego poziomu mądrości. Czy nikt nie ma żadnej informacji, która by nas uspokoiła? – zapytał Leopold Trimm, kiwając się ciężko z boku na bok.

– Ja wiem to, co wszyscy – odparł Stan Weigand, gładząc brodę. – Czterech żołnierzy z gwardii miejskiej zabrało ojca Martina w nocy, żeby postawić przed sądem. Przypuszczam, że go przesłuchali, ale nie wiem, jakie wyciągnęli wnioski. To barbarzyńcy! – krzyknął oburzony.

– O co jest oskarżany? – chciał wiedzieć Lorenz.

– Nawet tego nie wiemy. Ale dla nikogo nie jest tajemnicą, że jego kazania nie były dobrze przyjmowane przez hierarchów – rzekł Stan.

Tylko Lorenz zapytał o coś, o czym wszyscy myśleli, ale nikt nie odważył się powiedzieć głośno.

– Sądzicie, że to może mieć coś wspólnego z naszymi spotkaniami?

Spojrzeli po sobie.

– To znaczy... czy to, o czym się tu rozmawia, może być niebezpieczne?

Leopold odezwał się po chwili.

– Z pewnością... – powiedział cicho. – Myślę, że od dzisiaj musimy trochę bardziej uważać, na wszelki wypadek...

Profesor popatrzył na swoich towarzyszy, szukając wsparcia.

– Wszyscy doskonale wiemy, że propagowanie wiedzy stanowi ryzyko, zawsze tak było – odezwał się Johann. – Teraz jednak stało się realnym niebezpieczeństwem, i to akurat wtedy, kiedy znajdujemy się na dobrej drodze.

– Spojrzał ukradkiem na Lorenza.

Złotnik poczuł ciarki na plecach. Zatrzymanie Martina pokazało mu, jakie mogą być konsekwencje tego, w co się zaangażowali.

Wystraszyli się, słysząc czyjeś kroki. Ktoś wchodził po schodach. Spoglądali po sobie niepewnym wzrokiem. Wysuszone drewno skrzypiało.

– Jesteście tam? – rozległ się spokojny głos Yagona Kaufmanna.

– Tak, jesteśmy. – Stan się rozgniewał. – Dlaczego nie wołasz głośno od progu?

Wszedł Yago w drogim futrze. Zdjął je i usiadł razem ze wszystkimi przy stole. Okiennice były zamknięte. Rozmieszczone w całym pokoju świece dawały lekko pomarańczowe światło. Kontrastowała z nim gęsta czerń kątów, do których nie docierał blask nikłych płomieni. Jakieś stare przedmioty na półkach sprawiały wrażenie, że za chwilę spadną im na głowy.

– Dopiero się dowiedziałem. To straszne – powiedział cicho.

Wszyscy obecni przytaknęli milcząco. Poczuli, jak ogarnia ich chłód.

– Jestem pewny, że znowu będzie z nami za kilka dni. To człowiek bardzo kochany i poważany przez wszystkich, arogancją byłoby go karać. Czy ktoś wie, kiedy odbędzie się proces? – spytał kupiec, przerywając napiętą ciszę.

– Nie. Ale nie będą zwlekać. Wizyty arcybiskupa nie trwają długo, a jest tu już od ponad tygodnia. Niedługo będzie musiał wrócić do Bonn.

– Zatem wkrótce będziemy świadkami pokazu erudycji naszego drogiego proboszcza. Czy wiecie, czego Martin by się teraz po nas spodziewał? – spytał Yago.

Mężczyźni patrzyli na niego ponuro.

– Chciałby, żebyśmy nadal robili to, co najlepiej umiemy robić – mówił. – Jego uwięzienie powinno być dla nas zachętą do dalszej walki. Von Moersowi nie uda się nas zastraszyć.

Obecni przy stole kręcili głowami, niepewni, choć wiele by dali, żeby ze spokojnym sercem móc przyznać kupcowi rację. Lorenz pomyślał, że Martin był jedyną osobą, która przywróciła mu wiarę. Spojrzał na twarze tych uczonych mężów, jego przyjaciół, i zobaczył na nich zwątpienie. Zwykle ożywione, teraz gasły jak wypalająca się świeca. Uważał, że to, co mówił Yago, jest prawdą; wiedział, że wobec trudności ojciec Wahrheit nigdy nie dałby się zastraszyć. Był jak odważny wojownik, nieustępliwy w walce, oni zaś powinni tę walkę kontynuować. Pobudzony do działania zapalem przyjaciela, przełamał nieśmiałość.

– Wiecie z pewnością, że prasa jest już gotowa?

Johann się ucieszył. Nawet ledwo dostrzegalnie się uśmiechnął, pochylony nad dzielącym ich stołem.

– To wspaniale, Lorenz. Wspaniale.

Złotnik był tak zajęty kopiami zamówionej książki, że w ostatnich tygodniach rzadko się z nimi widywał. Nie powiedział im również, jaką książkę kopiuje, choć miał na to wielką ochotę.

Stan podniósł do ust kufel z palonej gliny i napił się ciepłego już piwa. Wytarł brodę i zapytał:

– I jak działa?

Lorenz opowiedział im o swoim wynalazku. Kiedy wyjaśniał, w jaki sposób zamienił prasę do wina w prasę drukarską, z twarzy słuchaczy zniknął powoli wyraz niepewności i zwątpienia. Już byli przekonani. Wiedzieli, gdzie są i po co się spotykają, i nie zamierzali tego zmieniać. Pytania

i odpowiedzi następowały po sobie, jak fale na wodzie.

– Ile kopii możesz zrobić w ciągu dnia?

– W jeden dzień, pytacie? No, to nie jest takie proste... Drukuję dużą liczbę kopii jednej strony, potem robię następną. Tym sposobem uzyskuję dużo egzemplarzy oryginalnej strony; a właściwie za jednym razem kopiuję dwie następujące po sobie. A kiedy przechodzę do kolejnej, muszę zmienić skład czcionek.

Zebrani przy stole wpatrywali się w Lorenza z niemym podziwem, kiedy odpowiadał na ich wszystkie pytania. W miarę upływu czasu przychodzili do księgarni inni przyjaciele Johanna: Merrill Severin, Ulbrecht Harde, Ritter Griep... Byli zziębnięci, więc nie zdejmując kolorowych peleryn, ruszali się nieustannie, siadali i wstawali, a jednocześnie dopytywali się o wydajność maszyny, chcieli zobaczyć, co potrafi zrobić. Atmosfera stawała się coraz gorętsza. Pojawiły się też pytania co do przyszłości. Mogli się spodziewać, że wkrótce znajdą się w niebezpieczeństwie, i należało rozważyć bardzo wiele spraw.

– Jeżeli w ciągu kilku dni można zrobić dziesiątki egzemplarzy, jakie będą tego konsekwencje? – spytał profesor etyki, spoglądając na towarzyszy swoim bystrym wzrokiem. – Ten wynalazek może być jak broń obosieczna, panowie. Nie możemy mieć pewności, że każdy, kto dostanie do ręki książkę, doceni jej treść lub będzie umiał właściwie ją pojąć.

– Co przez to rozumiesz, Merrillu? – spytał gniewnie Johann.

– Książka taka jak na przykład Dekameron w rękach osoby o mało subtelnych intencjach wywoła efekt odwrotny od tego, jaki chcemy osiągnąć. Umysły sprośne zajmą się pikantnymi szczegółami, a nie tłem. Nie zwrócą uwagi na to, że jest to krytyka społeczeństwa, nie znajdą przyjemności w konstrukcji opowieści. Odczytają tylko banalną opowieść o kobiecie zdradzającej męża z kochankiem.

– Ale Merrillu, to jest ryzyko, którego nie da się uniknąć – odparł Yago, pociągając łyk piwa.

Wszyscy byli już bardziej zrelaksowani.

Lorenz słuchał uważnie. Pomyślał, że gdyby Johann nie pożyczał mu książek, niczego by nie przeczytał; tej, o której właśnie mówiono, też nie. Dekameron bardzo mu się podobał. Boccaccio opisał, jak siedem kobiet i trzech mężczyzn, uciekając przed zarazą, znajduje schronienie w okolicach Florencji. Dla zabicia czasu postanawiają, że przez następnych dziesięć dni każde z nich opowiadać będzie jakąś historię. Dziesięć historii, dziesięć dni. Stąd wziął się tytuł manuskryptu, bo deka hemeron po grecku oznacza „dziesięć dni”. Tematy dotyczyły spraw świeckich, opowiadano o bujnym życiu, o inteligencji i sprawności ludzkiego umysłu, a głównym motywem stała się miłość, w każdej formie, pod każdą postacią. Eros rządził światem na tych stronicach, pełno było na nich odniesień do wzorców świata, które ci uczeni ludzie chcieli przywrócić i zinterpretować.

– Każda zmiana może być brzemienna w skutkach i czasem trudno mieć nad nimi kontrolę, Merrillu. Szybkie reprodukcje książki sprawi, że stracimy władzę nad nią, jej historią, nad tym, dokąd trafi. Nie będzie już jedyna, wyjątkowa, tu przyznaję ci rację. – Głos Johanna zabrzmiał donośnie. Wstał i swymi ciemnymi oczami spojrzął w jakiś odległy punkt, poza tymi ścianami, tym miastem, tym czasem. – Ale w zamian nawet ludzie niezbyt bogaci będą mogli ją czytać, zwiększy się dostęp do wiedzy, bo nikt nie będzie decydował, w jaki sposób ją rozpowszechniać, ani pieniądze, ani religia nie obetną skrzydeł temu, kto chce się nauczyć.

Słowa księgarza zapadały w świadomość jego towarzyszy. Jeśli się wahali, to dlatego, że żyli w takim, a nie innym czasie – w czasie, kiedy patrzenie daleko w przyszłość było dla nich wyjątkowo trudne. Musieli bardzo dokładnie przemyśleć każdą decyzję, aby nie popełnić błędu.

Lorenz spoglądał na nich jak na postacie ze wspomnianej wcześniej książki, Dekameronu. Podobnie jak tamci ukrywali się przed groźącym z zewnątrz złem i – zebrani wokół stołu w słabym świetle świec – prowadzili rozmowy na ważne tematy. Tylko że tutaj oni sami byli bohaterami swoich opowieści, ich postępowanie było motorem działań. Pragnienie rozpowszechniania wiedzy miało wreszcie się ziścić. A jego dzieło będzie narzędziem, które to umożliwi. Po raz pierwszy Lorenz poczuł się częścią całej grupy.

– Czy przypadkiem nie tego zawsze pragnęliście? – zapytał.

W spojrzeńiach tych wszystkich odważnych ludzi rozbłysła nadzieja. I wszelkie wątpliwości rozproszyły się jak chmury rozstępujące się przed nagle rozbłysłym słońcem.



Korzystając z tego, że Lorenz był w księgarni, Ilse wyszła z domu. Im bardziej oddalała się od tej części miasta, tym mniej pozostawało w niej z Olgi. Rozpuściła włosy i rękawem wyszarzałej peleryny wytarła twarz. Nie chciała, żeby Nikolas zobaczył ją brudną. Dużo trudniej jednak było pozbyć się uczuć, które Olga żywiła dla Lorenza i Eriki.

Powtarzała sobie raz i drugi, że wypełnia polecenia Nikolasa. Człowieka, któremu zawdzięczała wszystko, człowieka, który przywrócił ją do życia, kiedy została z niczym. Czuła, że myśli coraz bardziej jej się mącą.

Skryta pod kapturem szła szybko, bo droga była daleka. Niebawem znalazła się blisko murów miasta, gdzie, jak jej wyjaśniła Erika, mieszkała Frau Hexe. Ale przedtem musiała wstąpić w inne miejsce. Od bardzo dawna tam nie przychodziła.

Nikogo nie było w pobliżu. Rozejrzała się jeszcze w prawo i w lewo i zagłębiła w wąską uliczkę. Zastukała do drzwi, a kiedy się otworzyły, weszła do środka. Słabe światło, które przedostało się przez szparę w drzwiach, zniknęło po ich zamknięciu.

Ilse zeszła po schodach za człowiekiem, który jej otworzył. W milczeniu, z pochodnią w ręce, poprowadził ją do jednego z dużych pomieszczeń. Tam zobaczyła Alonsa pochylonego nad stołem, zajętego, jak zawsze, pisaniem. Odetchnęła z ulgą: Nikolasa przy nim nie było. Panowała tam wilgoć, jak w winnej piwniczce, i unosił się zapach pleśni i wilgotnej ziemi.

– Dzień dobry, Alonso. Ojca nie ma? – spytała, kiedy na nią spojrział.

– Niedługo przyjdzie.

Usiadła naprzeciwko. Miała dla niego tkliwe uczucia. Zdawała sobie sprawę, że Nikolas tak zorganizował jego życie, aby go chronić, ale ona widziała, że jest osamotniony, odtracony. W jakiś sposób to ich łączyło.

– Co piszesz? Skończyłeś miniatury?

– Nie. To bardzo trudne, pracochłonne. Odpoczywam sobie, zanim do nich wrócę.

– I tymczasem... – Ilse uniosła się trochę, żeby rzucić okiem na kartkę.

– To nic ważnego.

Zwinął szybko papier i włożył go do koszyka stojącego na brzegu stołu. Ale Ilse zdążyła przeczytać dwa słowa w pierwszej linijce. Widziała je tego samego ranka, w innym miejscu, w innych rękach. Liebes Mädchen.

– Możesz mi powiedzieć, Alonso. Nikomu nie zdradzę twojego sekretu.

– Co powiedzieć?

– O liście – odparła z uśmiechem, pokazując na koszyk. Alonso spuścił wzrok. Kilka godzin wcześniej Ilse pocieszała nieszczęśliwą Erikę, przekonaną, że zniszczyła budzącą się miłość.

Widziała łzy rozpaczy dziewczyny bolejącej nad tym, że tak wiele dzieli ją od nieznanego. Alonso musi wiedzieć, że ona go nie odrzuci, jak inni. Dotknęła jego ramienia, żeby spojrzął na nią i czytał z jej warg.

– Widziałam twój ostatni list do Eriki. Pokazała mi. Szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Mięśnie twarzy napięły się.

– Ona cię kocha, Alonso. Nie musisz się niczego obawiać. Żyje dla twoich listów.

– To dlatego, że mnie nie zna.

– Wie, jakim uczuciem ją darzysz, a to jest najważniejsze. Dlaczego uważasz, że cię nie zna?

– Nie wie o moich złych czynkach. Nie jest ich mało.

– Wszyscy mamy sekrety.

Pogłaskała go po policzku. Miłość Alonsa i Eriki musi przetrwać wszystkie przeciwności. Są młodzi i mogą wybrać swoją drogę życia. Są jak młody pęd, który rozkwitnie w nowym świecie pragnień i możliwości ich spełnienia. Dla Ilse było już za późno; dla nich nie.

– A co będzie, gdy usłyszy mój głos? Wystraszy się.

– Nie, Alonso. Kiedy kogoś kochasz, wiele rzeczy nie ma żadnego znaczenia. Erika nawet nie zauważy. Kocha cię bez pamięci.

– Jak ty ojca?

Zakłopotana się. Przecież nie o Nikolasie myślała.

– Tak. Jak ja kocham twojego ojca. – Nie chciała tego, ale głos jej zadrżał. – Przyszłość należy do was, Alonso. Nigdy nie wolno ci w to wątpić.



Kilka godzin później przyszedł Nikolas i szybkim krokiem udał się do mniejszego pomieszczenia, gdzie Alonso siedział sam przy świetle świecy. Uciekał tam ze swoimi manuskryptami, kiedy nie miał ochoty nikogo widzieć. Noc już prawie zapadła, ale wszyscy kopiści jeszcze pracowali.

Lampka oliwna w ręku ojca i świeczka wyznaczały jaśniejszy punkt w gęstej ciemności. Nie było widać ani ścian, ani sufitu; tylko oni i stół, na którym Alonso coś pisał na kartce. Nikolas stał przez chwilę w progu, czekając, aż syn podniesie głowę. Nie chciał go przestraszyć. Lecz Alonso natychmiast wyczuł jego obecność i przerwał pracę.

– Spodziewałem się, że cię tu zastanę! – zawołał ojciec wesoło. – Przeszkadzam?

– Nie, ćwiczyłem litery – odparł Alonso, wstając.

Nikolas był w świetnym humorze. Przynosił dobre wiadomości. Postawił lampkę na stole, usiadł i wyciągnął woreczek pełen monet.

– Kupiec tyle zapłacił?

– Aż trudno uwierzyć. Dał mi o wiele więcej niż arcybiskup. I więcej, niż kiedyś zapłacił Herr Wolff, pamiętasz? Jak widzisz, Kamasutra ma wielu wiernych czytelników. – Nikolas roześmiał się szeroko.

Alonso pokręcił głową. Wyraz zadowolenia na twarzy był wymuszony.

– Bardzo staraliście się skończyć na czas, ale było warto. Mam kolejne zamówienia i obawiam się, że będziecie musieli zrobić kilka nowych egzemplarzy.

Zawsze posłuszny, Alonso w milczeniu skinął głową.

– Ile nam zostało?

– Tuzin.

– Doskonale. Mam jeszcze kilku klientów spoza Kolonii. Planuję wyjazd na jutro i zabiorę

połowę.

Nikolas dzielił się z Alonsem każdym pomysłem, odkąd ten był dzieckiem. Zawsze milczący, zdawał się nieobecny; ojciec, zapominając o nim, swobodnie o wszystkim rozmawiał. Kiedy się zorientował, było już za późno. Z czasem stało się to zwyczajem: niektóre sprawy wyjawiał tylko jemu, co w jakiś sposób przynosiło mu ulgę. Z kim miał dzielić swoje sprawy, jeśli nie z własnym synem?

– Masz. Rozdziel to między twoich kopistów. – Wyjął garść monet z woreczka i włożył do ręki Alonsa. – Muszę się przygotować. A mam jeszcze jedną wizytę przed wyjazdem.

Wstał. Twarz jaśniejąca na czarnym tle, sylwetka szczupła, elegancka.

– Zaczekaj, ojczu, mam coś do powiedzenia – rzekł chłopak.

– Słucham.

– Ilse była tu niedawno.

Nikolas się uśmiechał. Obecność Ilse w warsztacie mogła oznaczać tylko dobrą nowinę. Jakże udany dzień! Zadowolony, potrząsnął płową czupryną.

– I czego chciała?

– Tylko powiedzieć, że sprawy toczą się zgodnie z założeniami i że przez jakiś czas się tu nie pojawi.

Wyraz twarzy Nikolasa nagle się zmienił. Zmarszczył czoło i oczy mu pociemniały.

– Dlaczego?

– Żeby nie wzbudzać podejrzeń.

– Jakich podejrzeń? Przychodzi tu od początku i nikt jej jak dotąd nie widział.

Poczuł, że krew się w nim burzy. Ta kobieta miała prawdziwy talent do irytowania go. Najpierw z własnej inicjatywy sprowokowała sytuację, w wyniku której zamieszkała u złotnika. Nawet z nim o tym wcześniej nie rozmawiała. Chciał wierzyć, że była to właściwa decyzja, ale rozzłościło go to, że ostatni się o niej dowiedział. Kiedy tamtej nocy nie spała w domu, usprawiedliwił ją, tłumacząc sobie, że jeśli Ilse nie zbliży się do Lorenza, wówczas złotnik, zniechęcony, zwolni rytm pracy nad wynalazkiem. Nikolas żądał, aby w żadnym wypadku do tego nie dopuściła. Przypomniła mu o tym, kiedy ostatnio pytał o postępy w pracy. A teraz odmawiała przychodzenia na umówione spotkania.

Jeśli istniało coś, czego nie znosił, było to nieposłuszeństwo. Ilse miała obowiązek informowania go o wszystkim, tak jak jej nakazał. Nie chciał słuchać bezsensownych wymówek. Przez głowę przemknęło mu wiele niewesołych myśli. Nawet to, że może Ilse kierowała się własnymi motywami, zamiast postępować według jego planów. A może już widziała ukończony wynalazek Lorenza, ale nie miała zamiaru powiedzieć o tym Nikolasowi? A może zamierzała go zdradzić i spędzić resztę życia u boku tego nieszczęśnika?

Zdjęła go złość. Dlaczego tak go rozdrażnił jej widok na placu przed katedrą, trzymającej pod rękę tego biedaka? Ciemność w pomieszczeniu zdawała się go przygniatać i na chwilę zabrakło mu tchu.

– Ojczu, wszystko w porządku? – spytał Alonso, widząc, że Nikolas zmienił się na twarzy.

Ten z trudem wciągnął powietrze i odparł:

– Nikomu nie można wierzyć...

Chodził szybko w kółko, machał rękami, usiłował złapać oddech. Alonso nie patrzył wprost na ojca; rzucał tylko krótkie niespokojne spojrzenia to na niego, to na podłogę. Nikolas pomyślał, że może syn nie chce „słyszeć” obelg padających z jego ust. Nie wpadło mu do głowy, że być może syn woli nie oglądać jego odsłoniętej duszy. Poza tym nie było tajemnicą, że Alonso szanuje Ilse. Słyszeć to było w sposobie, w jaki się do niej zwracał. Nieraz Nikolas widział ich rozmawiających,

a nawet śmiejących się. Przypuszczał, że syn traktuje ją jak siostrę.

– Dała mi dla ciebie, ojczcie – powiedział chłopak, podnosząc rękę.

Nikolas się zatrzymał. Alonso trzymał w ręce rysunek. Oczywiście zrobiła go Ilse. Miękką kreską, pewną ręką. Widział przecież, jak pióro tańczyło na papierze w jej drobnej dłoni. Uśmiechnął się; Ilse go nie zdradziła.

– Wyraźny rysunek – powiedział nagle ożywiony Alonso. – To jest maszyna do kopiowania książek. Powiedziała, że najwięcej czasu zajmuje złożenie strony – wskazywał różne części szkicu – bo litery trzeba układać w tej drewnianej skrzyni tak jakby z drugiej strony lustra. Potem trzeba je pokryć farbą, położyć papier, opuścić prasę, wysuszyć... Ale kiedy wszystko jest przygotowane, kolejną kopię można zrobić, zanim my umoczymy pióro w kałamarzu.

Nikolas wziął do ręki lampkę i przysunął ją do kartki.

– W tych odstępach między wierszami nie mieszczą się ilustracje – powiedział. – Wygląda na to, że nic nie zagraża twojej pracy miniaturzysty.

Patrzył z zainteresowaniem na rysunek i już się nie złościł.

– Nie jest tak, ojczcie – rzekł Alonso. – Ilse mówi, że te odstępy można powiększyć. Można tam wkładać formy z rycinami, takie jak te, których używa się do okładek ze skóry. Trochę trwa przygotowanie, ale potem kopiuje się je tak samo szybko.

Nikolas bardzo dokładnie oglądał każdy szczegół rysunku. Gdy już wszystko zrozumiał, złożył niecierpliwie kartkę i odezwał się głosem spokojnym, lecz zdecydowanym:

– Kiedy ją zobaczysz, powiedz, że ma mnie zawiadamiać o każdej zmianie. Przynęła, a przynęta nie może złamać. – Po czym wyszedł.

Na ulicy zatrzymał się w ciemnym zaułku. Nie potrafił umiejscowić źródła niepokoju, jaki go ogarnął: zarówno maszyna Lorenza Blocka, jak i postępowanie Ilse wzbudziły w nim poważne obawy.

Nie zwlekał z podjęciem decyzji i natychmiast ruszył szybkim krokiem.

Kilka dni później Kolonia obudziła się w gęstej mgle. Wilgotne szare plamy pokrywały ulice, panowała przygnębiająca atmosfera. Na drzwiach parafii Świętego Michała Archanioła ktoś przybił oficjalny dokument: wyrok na ojca Martina Wahrheita wydany przez sąd.

Kiedy parafianie to zobaczyli, nie mogli uwierzyć własnym oczom. Proboszcza Martina, człowieka, który im zawsze pomagał, zdobywał jedzenie dla głodnych i miejsce do spania dla bezdomnych, który w swoich kazaniach pocieszał i dodawał odwagi, skazano na straszną karę.

Od dnia, kiedy księdza uwięziono, kościół był zamknięty. Niektórzy parafianie chodzili na nabożeństwa gdzie indziej, ale bardzo wielu, powodowanych gniewem, wiernie stawiało się przed drzwiami w godzinach mszy. Klękali i modlili się. Błagali Pana, aby sprawił, że wyrok zostanie uchylony, a ksiądz uwolniony.

Wiadomość o zbierających się przed kościołem wiernych natychmiast dotarła do uszu burmistrza. Nie chcąc zaognić sytuacji, zostawił ich w spokoju. Wyrok miał być niebawem wykonany i Overstolz obawiał się, że ta grupa wiernych zamieni się w grupę wichrzycieli. Wydał tylko rozkaz, aby kilku żołnierzy pilnowało porządku i aby pod żadnym pozorem nie rozpędzali parafian.

Żołnierze chodzili wokół klęczących. Kilkoro mężczyzn i kobiet w łachmanach wznosiło żarliwe modły w upiornie mroźnej atmosferze. Trzęsąc się z zimna na lodowatej ziemi, błagali o łaskę litościwego Boga. Ich widok przerażał patrzących. Nawet jeden z żołnierzy, widząc ten ogrom rozpaczy, zagryzał wargi, nie mogąc opanować wzruszenia.



Dwudziestego pierwszego grudnia Lorenz wyszedł z domu. Zapłakałaby, ale powstrzymała go obecność Olgi i Eriki, a także poczucie onieśmienia i odpowiedzialności. Obie usiłowały go pocieszać.

Szedł ulicami miasta, odrętwiały, bez celu, myśląc o tym, jak straszna niesprawiedliwość się dokonała, i o tym, że nic nie mógł zrobić, aby temu zapobiec. I ogarnął go przerażający smutek na myśl, że nigdy już nie zobaczy ojca Martina. Smutek był tak widoczny, że wzrok mijających Lorenza ludzi zatrzymywał się na chwilę na jego nieszczęśliwej twarzy. Zadrżał od powiewu lodowatego wiatru.

Bezwiednie, ogarnięty rosnącym gniewem, przyspieszył kroku. W tym, co się stało, i on miał swój udział. Też był winny. Czyż nie on robił kopie odpustów? Wiadomość o poczynaniach duchownego tylko spotęgowała nienawiść von Moresa i innych hierachów. Gdyby ksiądz sprzedawał oficjalne, pisane przez kościelnych skrybów odpusty, nic by się nie stało. Lorenz też powinien być ukarany, jak ojciec Wahrheit. Musiał się zatrzymać, bo zabrakło mu tchu.

Przechodził koło Złotego Bażanta i nie zastanawiając się, wszedł do środka. Panowała tam zwykła wesola atmosfera. Mężczyźni i kobiety w kolorowych kaftanach popijali piwo, niefrasobliwi, obojętni wobec tragedii. Usiadł przy stole i zamiast łagodnego piwa zamówił kieliszek mocnego sznapsa. Chciał ukarać ciało i o wszystkim zapomnieć.

Pierwszy kieliszek wypił jednym haustem. Aż wyprostował się, czując żar, jaki go ogarnął.

Zauważył to karczmarz Meyer i zaniepokojony podszedł do niego. Poradził Lorenzowi, zawsze tak rozważnemu, żeby nie pił więcej, lecz ten spojrzał tylko zaczerwienionymi oczami. Widać było, że jest bliski płaczu. Gestem poprosił o dolewkę.

Na ulicy poczuł, że zbyt wiele wypił alkoholu. Zrobiło mu się niedobrze i zatrzęsł się z zimna. W pobliżu portu poszedł w kierunku rzeki wąskimi przejściami między wyładowanymi ze statków wielkimi skrzyniami. Dopiero tam, z dala od ludzkich oczu, usiadł na ziemi i zapłakał. Łzy spływały po policzkach, łzy żalu i gniewu po dniach nerwowego oczekiwania i daremnej nadziei. Trząsł się cały od płaczu i zimna. Doszedł go smród odpadków pomieszany z nieprzyjemnym zapachem wody i znowu zrobiło mu się niedobrze. Ale to go najmniej obchodziło.

Po jakimś czasie oddech stał się bardziej miarowy i Lorenz przestał płakać. Oczy miał spuchnięte i bolała go głowa. Jakiś robotnik portowy kazał mu się stamtąd wynieść, więc Lorenz powlókł się z powrotem w stronę miasta. Nadal męczył go głuchy ból i paliło w żołądku.

Na szczęście zdołał umknąć w boczną uliczkę i nie wpadł pod koła wozu, pędzącego na plac przed katedrą. Dowożono nim drewno do olbrzymiego stosu, na którym tego dnia miał spłonąć ojciec Martin Wahrheit.



Z pomocą służącego Dietrich von Moers, arcybiskup i książę elektor Kolonii, wsiadł do oczekującego powozu. W ręce trzymał pastorał. Usiadł wygodnie, wyprostował poły czerwonego ornatu przykrywającego białą albę i czekał, aż stangret ruszy. Potem zdjął piuskę i miękką białą chusteczką wytarł z czoła kropelki potu. Odetchnął głęboko. Był gotowy. Za chwilę odbędzie się egzekucja tego niepokornego księdza, który zawsze tkwił w pobliżu jak cień, kwestionującego władzę hierarchii, kwestionującego jego władzę. Spojrzał w niebo, a widząc, że słońce kryje się za gęstymi chmurami, prosił Boga, by tego dnia nie padało.

On był sędzią, który wydał wyrok, i teraz w jego obecności ten wyrok zostanie wykonany. Mimo że nie rezydował w Kolonii, tu było jego miejsce. Powóz objechał część miasta, zanim dotarł do placu przed katedrą, miejsca egzekucji.

Von Moers wykorzystał chwile podróży, przebiegając myślami rozprawę, która odbyła się za zamkniętymi drzwiami. Dumna postawa Martina przypomniała mu proces Jana Husa sprzed dwudziestu lat; o husytach napomknęła niedawno hrabina Berta von Kerff. Jedyne pozytywne efekt soboru w Konstancji – skazanie Husa za herezję. Miał nadzieję, że zwolennicy Martina Wahrheita nie będą tacy zagorzali.

W pobliżu katedry von Moers usłyszał krzyki tłumów wypełniających plac i okoliczne ulice. Zgromadzeni ludzie sprawiali wrażenie, że nie mogą się doczekać egzekucji. Niemal całe miasto tam się znalazło. Arcybiskup poruszył się na siedzeniu; pomyślał, że wielu młodych księży jest wstrząśniętych śmiercią Husa, i Martin z pewnością do nich należał.

Na widok zbliżającej się gwardii księcia elektora, ludzie rozstępowali się z pochylonymi głowami i trzymali z daleka od halabard skierowanych grotami w ich brzuchy.

Dietrich von Moers, w całym swym majestacie, wysiadł z powozu i skierował się na trybunę, miejsce honorowe, wzniesioną ponad głowami spóółstwa. Towarzyszyć miał mu burmistrz Overstolz i inne ważne osobistości, świeckie i kościelne. Zauważył wśród nich dominikanina, z którym rzadko rozmawiał, ale który zawsze sprawiał przytłaczające wrażenie. Prawie niewidoczny pod czarną kapą narzuconą na biały habit, należał do tych, którzy wyrzekli się reguły mistyków niemieckich sprzed wieku, i był jeszcze bardziej nieustępliwy w kwestiach wiary niż on, von Moers. Arcybiskup nie zdziwił się więc wcale, kiedy mnich poprosił, by pozwolono mu

uczestniczyć w torturach ojca Martina. Von Moers nie chciał brać w tym udziału.

– Dzień dobry, Wasza Ekscelencjo arcybiskupie – przywitał go Heller, zrywając się na nogi.

Von Moers spojrzał na twarz Hellera – ostre rysy, wytrzeszczone oczy i cienkie linie brwi; nie był w stanie dostrzec, czy za słowami burmistrza nie kryje się ironia. Uśmiechał się do arcybiskupa serdecznie na oczach wszystkich osób, krzykiem dopominających się rozpoczęcia spektaklu. Von Moers wyczuł nagle tak drażniący zapach, mieszaninę koziej skóry i potu, że z trudem ukrył grymas obrzydzenia.

– Dzień dobry, Bürgermeister – odparł. – Czy wszystko jest już gotowe?

Heller skinął głową, nie do końca przekonany.

– Od kilku dni obserwujemy zwolenników księdza. Nie wyglądają groźnie, ale są żarliwymi wiernymi. A to nie jest dobry znak.

– Ejże, naprawdę obawiacie się, że ci ludzie w łachmanach pokonają waszych żołnierzy?

Burmistrz uśmiechnął się z przymusem i mrugnął nerwowo. Nie lubił wykonywać czyichś rozkazów, a teraz, nie godząc się na to wewnętrznie, właśnie to robił. Gdyby odmówił, parę ważnych osób w mieście nie omieszkałoby zadać mu kilku pytań.

– Nie należy lekceważyć gniewu rozbudzanego przez fanatyzm. Widok tego rodzaju aktu wyzwala najciemniejszą stronę człowieka.

Heller mówił, ale arcybiskup już go nie słuchał. W głębi placu ukazał się wóz, a na nim ojciec Martin. Ręce miał związane. W jednym z domów przy placu oczekiwał na śmierć. Gdy książe elektor usiadł, burmistrz poszedł w jego ślady. Jak dwa posągi, jeden czerwono-biały, drugi czarny, hierarcha i polityk wyraźnie odróżniali się od stojącej u ich stóp masy ludzkiej, w wyszarzałych, zniszczonych okryciach. Mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi mówili bez przerwy, rozglądali się w podnieceniu; wokół słyhać było głośny szum. Wśród tego tłumu arcybiskup zauważył chłopca, może dziesięcioletniego, z buzią umazaną błotem, który machał do niego ręką. Pochylił się ku Hellerowi, chcąc kontynuować rozmowę.

– Nie po raz pierwszy biorę udział w takim „akcie”, jak to nazwaliście, i obawiam się, że nie po raz ostatni. Mogę was zapewnić, że teraz, w tej chwili, wszyscy tu obecni – ręką zatoczył koło – są w strachu. Być świadkiem czyjejś śmierci, tak strasznej... To może przerazić każdego. Ale budzi też niezdrową ciekawość, na którą dwie rzeczy się składają: oglądanie koszmaru, czegoś, co może być obrazem piekła, oraz konstatacja, że oni żyją. Wiecie, o czym pomyślą, kiedy to się skończy?

Heller zaprzeczył ruchem głowy. Czekał na odpowiedź hierarchy, który w swym bogato udekorowanym fotelu, z pastorałem w dłoni, przyjął majestatyczną pozę.

– Pomyślą: co za szczęście, że to nie mnie spalili. I nawet ten, który wie najbardziej nędzne życie, wróci do domu szczęśliwy i zadowolony. Wierzcie mi, burmistrzu, nic bardziej nie podnosi na duchu niż porządna egzekucja.

Burmistrz nie odpowiedział, ponieważ hałas wzmógł się, kiedy ojca Martina wprowadzono na stos. Dwóch żołnierzy trzymało go pod ręce, niemal go wlekli. Na twarzy duchownego widać było ślady tortur, mimo to malował się na niej spokój. Głowę trzymał wysoko podniesioną. Szedł, potykając się.

Stojący najbliżej ciskali zniewagami, wygrażali pięściami, inni spluwali z pogardą. Von Moers patrzył z twarzą poważną, ale w głębi duszy był zadowolony. Spojrzał ukradkiem na burmistrza.

Heller nerwowo obserwował tłum. Kilku mężczyzn w głębi placu zwróciło jego uwagę. Tylko oni spośród całego tłumu stali w milczeniu. Ubrani byli na czarno. Zabębnił szczupłymi palcami w podłokietnik fotela, spodziewając się, że na dany znak żołnierze zajmą się nimi. Ale oni, jak i reszta ludzi, czekali na rozwój wypadków. Hałas był taki, że burmistrz nawet nie mógł

wykrzyknąć rozkazu. Zaczynał się coraz bardziej denerwować.

Obok ojca Martina stanął inny ksiądz, z pergaminem w dłoniach. Kiedy żołnierze upewnili się, że ofiara jest mocno przywiązana, ksiądz poprosił o ciszę. Zamierzał odczytać wyrok.

– Martinie Wahrheit, synu Moguncji, obywatelu wolnego miasta Kolonii. Zgodnie z prawem zostaliście oskarżeni o wykorzystywanie funkcji proboszcza w kościele Świętego Michała Archaniola w tym mieście do używania słów niemających podstaw i niemoralnych oraz do podburzania waszych parafian do nieposłuszeństwa wobec dogmatów naszego Świętego Kościoła, a tym samym do popełnienia ciężkiego grzechu herezji.

Większość przysłuchujących się, krzyżąc, powtarzała oskarżenia. Niektórzy parafianie skazanego modlili się, a mężczyźni w czerni, w głębi placu, nadal stali spokojnie i w milczeniu. Burmistrzowi wydawało się, że zauważył ostro zakończony przedmiot pod peleryną jednego z nich. A jeśli to broń – przemknęło mu przez głowę?

– Martinie Wahrheit, dana wam jest ostatnia szansa wyznania waszych grzechów przed ludźmi i Bogiem. Jeśli okażecie skruchę, kat zetnie waszą głowę, a wasze ciało zostanie spalone. Jeśli trwać będziecie w upartym milczeniu i zaprzeczycie prawdzie, karą będzie śmierć w ogniu, aby płomienie oczyściły waszą duszę i uratowały was przed ogniem piekielnym. Jaka jest wasza odpowiedź, Martinie Wahrheit?

Na placu zapadła głucha cisza. Słyszeć było tylko przyspieszone oddechy.

– Ojciec jest niewinny! Zabijacie dobrego człowieka!

Heller podskoczył w fotelu. To nie był głos z głębi placu.

Mężczyźni w czerni w dalszym ciągu stali spokojnie. Te słowa padły z ust kogoś ukrytego w tłumie.

– Dał mi jeść, kiedy byłem głodny! – krzyknął ktoś inny.

– Co ty mówisz? To heretyk! – zawołał stojący obok niego.

Wdali się w kłótnię, która natychmiast przeniosła się dalej w tłum. Ludzie stawali po stronie jednego albo drugiego, padały coraz ostrzejsze słowa, w ruch poszły pięści. Zaczęła się pierwsza przepychanka.

Heller, wyraźnie niespokojny, spoglądał to na podejrzanych z głębi placu, to na bijących się, wreszcie na swoich żołnierzy. Pomyślał, że był to może czyjś manewr dla odwrócenia uwagi. Lecz jego gwardia zaraz stłumiła bójkę i zabrała jej uczestników.

Teraz burmistrz obserwował uważnie mężczyzn w czerni, zapamiętując szczegóły: jeden miał dobrze przyciętą, zadbaną bródkę, drugiego z powodu tuszy nie można było nie zauważyć, a trzeci sprawiał wrażenie podchmielonego, tak zaróżowione miał policzki i nos. Wyglądali na notabli. Gdyby wysłał do nich strażę i nie znaleziono by żadnej broni, wyszedłby na durnia. Postanowił czekać.

Arcybiskup wstał i podniósł rękę, żądając ciszy. Cały plac zamilkł, zdawało się, że powietrze zastygło, a czas się zatrzymał.

– Martinie Wahrheit! – Głos Dietricha von Moersa, zwykle łagodny i melodyjny, zagrział jak grom. – Zadano wam pytanie. Odpowiadajcie!

Wszystkie spojrzenia skierowały się na księdza. Uniósł głowę w kierunku arcybiskupa. Ledwo mógł otworzyć oczy opuchnięte od tortur, a twarz – nie do rozpoznania – pokryta była zaschniętą krwią. Na wargach ukazał się leciutki uśmiech.

– Dzisiaj zabijasz mnie, ale i na ciebie przyjdzie kolej. Wkrótce wyjdą na jaw twoje winy i przyjdzie ci za nie zapłacić.

Odpowiedź wprawiła obecnych w osłupienie. Oczekiwali błagania o łaskę albo zniewag

i bluźnierstw. Arcybiskupa nie zdziwiły jednak słowa ojca Martina. Z wściekłością w oczach wybełkotał:

– Ty nędzniku.

Usiadł. Zaciskając dłonie, wydał rozkaz podpalenia stosu. Heller przyglądał mu się ze zdumieniem. Książe elektor odebrał słowa skazańca jak przejrzystą aluzję do przeszłości.

Płomienie, rozgorzałe od obficie obtoczonych w smole polan, strzeliły w górę. Von Moers nie odrywał wzroku od ojca Martina. Pragnął z całej siły, żeby skazaniec zareagował jak wielu innych, kiedy otacza ich potworny żar: żeby ostatecznie słowa były stekiem przekleństw, grubiańskich obelg, żeby lud zobaczył, że sam diabeł płonie na stosie. Ale tak nie było. Zamiast przekleństw dała się słyszeć modlitwa. Tłum krzyczał i klaskał.

Wśród głośnego trzasku płonącego drewna i krzyków ludzi prawie nie można było zrozumieć słów skazanego. Jedno tylko zdanie z Biblii zabrzmiało czysto i wyraźnie: Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią⁹.

Niebawem czarny gęsty dym rozniósł się nad placem, ludzie kasłali. Katedra skryła się w ciemnej, szybko rosnącej chmurze.

Arcybiskup wydał dokładne instrukcje. Chciał, żeby stopy ojca Martina objęły wielkie płomienie, żeby ogień lizał całą postać, żeby widać było, jak płonie wszystko jednocześnie – odzienie i włosy – jak oczy wypadają z orbit, jak zamienia się w poczerniałą masę.

Ojciec Martin żył jeszcze, kiedy swąd palonego ciała wypełnił plac. Powietrze stawało się ciężkie, dym utrudniał oddychanie. Martin nie mógł już mówić; płuca były pozbawione tlenu. Głowa mu opadła i ciałem wstrząsały drgawki. Ściągną się wykręcały, a mięśnie napinały od żaru. Ojciec Martin Wahrheit umarł.

Owacje i krzyki ustały.

Heller przyglądał się scenie z kamienną twarzą. Czasem rzucał ukradkowe spojrzenia na milczący teraz tłum zafascynowany płomieniami. Potem poszukał wzrokiem mężczyzn w głębi placu. Niepokój zniknął, kiedy przez czarny dym zobaczył, że ciągle tam są. W ich oczach nie było już gniewu; jedynie rześiste łzy płynęły po policzkach. W oniemiałym tłumie grupka płaczących mężczyzn była jakby oazą na pustyni, a ich płacz – iskrą nadziei dla wspólnoty żyjącej w strachu.

Burmistrz rozejrzał się po twarzach swoich towarzyszy na trybunie i rozsiadł się wygodniej. Płomienie jeszcze nie zagasły i do tego momentu nikt nie zamierzał się ruszyć. A przynajmniej do chwili, kiedy wstanie arcybiskup.

Von Moers nie odwracał wzroku od ciągle płonącego stosu. Ani wtedy, kiedy spłonęły już sznury przytrzymujące drewniany bal i opadło, jak ciężki tobół, poczerniałe ciało. Powiew wiatru uniósł drobinki popiołu w stronę trybun i kilka niewielkich cząstek opadło na odświętny strój arcybiskupa. Strząsnął je z irytacją. Nawet po śmierci ksiądz potrafił go denerwować. Podniósł się z uczuciem niesmaku i z wysoko podniesioną głową zszedł po kilku stopniach trybuny. W drodze do powozu uśmiechnął się lekko. Walka Martina Wahrheita wreszcie się skończyła.

CZEŚĆ CZWARTA

ZOBOWIĄZANIE

**Nie chciałbym wiedzy, którą by mi ofiarowano
pod warunkiem, że z nikim się nią nie podzielę.**

LUCIUS ANNAEUS SENEKA

Wcześniej rano następnego dnia Lorenz poszedł do domu księgarza. Johann spał jeszcze, kiedy obudziło go walenie do drzwi i wołanie.

– Lorenz? Dobrze się czujesz?! – wykrzyknął z niepokojem na jego widok.

Złotnik wszedł do środka przygarbiony, z poszarzałą twarzą.

– Tak, tak, tylko nie mogłem spać w nocy. Bo... czuję potrzebę zobaczenia go, pozdrowienia go, pomodlenia się. Czuję się jak zdrajca przez to, że nie byłem z nim wtedy. – Milczał przez dłuższą chwilę, wydawało się, że chce coś wyznać. – Ale... wolałbym nie iść sam.

Johann skinął głową; on też spędził bezsenność. W zaczerwienionych, smutnych oczach Lorenza zobaczył siebie. Powiedział, że pójdzie się ubrać, i wszedł na górę. Poczł dławienie w gardle na myśl, co tam zobaczą. Ale wiedział, że jemu także jest to potrzebne.



Szli w milczeniu ze wzrokiem wbitym przed siebie. Tylko czasem, spoglądając ukradkiem na Lorenza, Johann zauważał, jak jego twarz tężeje. Kiedy podniósł głowę, zobaczył sylwetkę katedry majaczącą nad dachami domów. Byli blisko. W zimnym powietrzu ciągle unosił się szczególny zapach, mdląca mieszanina palonego drewna i ciała. A gdy znaleźli się na placu, Johann musiał zakryć usta ręką. Przed nimi leżały zwały popiołu i jakieś tłące się jeszcze, niespalone do końca kawałki drewna. Obok paru żebraków usiłowało przy tych szczątkach ognia ogrzać zziębnięte kości, a garstka kobiet i mężczyzn modliła się na kolanach. Kilka kroków dalej stało dwóch żołnierzy, którzy bacznie wszystko obserwowali.

Spojrzenia zanoszących modły i Lorenza się skrzyżowały, a kilkoro skinęło głowami w geście pozdrowienia. Poznawali się we wspólnym bólu. Johann poczuł się nieswojo, bał się, że za chwilę dotknie stopą jakiejś części tego, który był jego przyjacielem. Na widok zwęglonego ciała ogarnęła go przerażająca pustka. Jednak najbardziej poruszyło go, że miał przed oczami ostateczny dowód śmierci ojca Martina. Zdjęła go litość nad człowiekiem, który odszedł z tego świata w tak straszny sposób.

Lorenz zapragnął pójść w ślady kilku wiernych zebranych wokół resztek ognia. Czuł się jak zmęczony długą podróżą wędrowiec. Ugiął kolana, zamknął oczy i szeptem zaczął odmawiać modlitwę. Ale zabrzmiała mu fałszywą nutą. Wolał wyobrazić sobie rozmowę z księdzem, jak gdyby był teraz przy nim. Najpierw przeprosił go za to, że nie znalazł w sobie siły, by stanąć u jego boku poprzedniego dnia. Nie chciał pamiętać go jako ofiary niesprawiedliwości. Pragnął go pamiętać takiego, jaki był za życia. A także nie chciał chować w sercu jeszcze silniejszej nienawiści. Chociaż jakie inne uczucie mogło wywołać to zabójstwo?

Lorenz zdawał sobie sprawę, że winien jest księdzu życie. Pomimo tortur i okrutnej śmierci ojciec Martin Wahrheit nie wyznał, jaki był udział złotnika w pisaniu odpustów. Gdyby to zrobił, sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Lorenz oszukiwał się przez moment, myśląc, że wówczas władze zainteresowałyby się jego wynalazkiem i okazałyby wielkoduszność, wiedział jednak, że tak by się nie stało.

Ojciec Martin do końca pozostał wierny sobie, a on, Lorenz, będzie mu za to dozgonnie

wdzięczny. Chciał obiecać, że częściej będzie brał udział w nabożeństwach i okazywał swoją wiarę, ale nie mógł oszukiwać ojca Martina. Odkrycie parafii świętego Michała Archanioła tylko trochę uleczyło rany z przeszłości. I ciągle jeszcze nie czuł potrzeby bliższego związku z Kościołem i jego rytuałami. Tym bardziej że miał świadomość, iż to najwyższy przedstawiciel chrześcijaństwa w Kolonii był głównym sprawcą śmierci jego przyjaciela. Jedynie wiara prostych ludzi, takich jak ci, którzy znosząc zimno, modlili się obok niego – tylko to powstrzymywało go od zupełnego odsunięcia się od Kościoła.

Johann cierpliwie czekał, aż Lorenz skończy modlitwę. Od czasu do czasu rzucał okiem na żołnierzy, przechadzających się leniwym krokiem i zajętych rozmową między sobą.

Nagle do klęczących zbliżył się mężczyzna z twarzą czerwoną jak burak. Lorenz akurat się podnosił z kolan. Sądząc, że nieznajomy chce się przyłączyć do modlitwy, lekko skinął głową na powitanie. Tamten jednak splunął na niego.

– Nie rozumiem, dlaczego was wszystkich nie wyłapia! Modlicie się za heretyka! To hańba!

Lorenz znieruchomiał, nie wiedząc, jak zareagować. Zrobił to któryś z modlących się mężczyzn. Wstał i z pokorą i smutkiem na twarzy powiedział:

– Dla nas był miłosierny i szczodry, zawsze nam pomagał. Dlatego przyszliśmy tu złożyć mu hołd.

– Złożyć hołd heretykowi?! – Intruz znowu splunął, tym razem na ziemię. – Może jesteście wrogami naszego Świętego Kościoła?

Spurpurowiał ze wzburzenia i zacisnął pięści. Żołnierze podchodzili bliżej, gotowi w każdej chwili interweniować.

– Więcej stosów potrzeba, żeby miasto z takiej hołoty oczyścić! – krzyknął z wściekłością.

Zdumienie Lorenza przeradzało się w gniew. Johann przytrzymał go za ramię.

– Zostaw tych dobrych ludzi w spokoju! – zawołał złotnik.

Mężczyzna się roześmiał.

– Ej, ty, co ci krew jeszcze w żyłach płynie... Co mi zrobisz, odstępczo? Klątwę na mnie rzucisz?

Teraz Johann mocno trzymał za ramiona Lorenza, który wyglądał, jakby chciał uderzyć czerwonego z wściekłości mężczyznę.

– Lorenz, uspokój się! Nie widzisz, że chce cię sprowokować?

– Puść go, staruchu! Ja się nie boję żadnego wielbiciela szatana!

Kilku przechodniów uznało, że powinni poprzeć typa z krwistą gębą.

– Wynoście się z miasta! Ten, kto się modli za heretyka, modli się za diabła. Niby dlaczego go spalili?! – wrzasnęła jakaś stara kobieta.

Dwaj żołnierze już podeszli.

– Stójcie! Co tu się dzieje?

– Co się dzieje? Modlą się za heretyka, to się dzieje! Dlaczego władza na to pozwala, co?

Wysoki żołnierz z szerokimi barkami stanął pomiędzy wściekłym mężczyzną i grupą stojącą przy resztkach ognia. Nikt już się nie modlił. Na twarzach jednych był gniew, na innych – zmęczenie i smutek.

– Mamy wyraźny rozkaz niedopuszczania do awantur. Heretyka już spalono. No już, idźcie swoją drogą.

Kolega żołnierza, mały i chudy, zaciskał nerwowo zęby i potrząsał halabardą. Wystarczyło, żeby powstrzymać jakikolwiek niewłaściwy krok. Przechodnie zaczęli się rozchodzić, rzucając jeszcze wyzwiskami i obelgami. Lorenz podszedł do żołnierza.

– Dziękuję wam. Ci tutaj – wskazał na małą grupkę – to ludzie prości, którym ten człowiek pomógł. Smucą się i chcą tylko uczcić jego pamięć.

Żołnierz przeżuwał jakąś myśl. Po chwili powiedział:

– Niewiele honoru musiał mieć ktoś, kogo skazano za herezję, nie sądzicie?

Lorenz się zdumiał.

– Jak...?

– Myślę, że wszyscy powinniście wrócić do domu. Możecie się tam modlić, ile chcecie. Tutaj tylko prowokujecie ludzi.

– Ale... panie żołnierzu... ojciec Martin... – odezwała się jakaś kobieta.

– Ojciec jak-mu-tam został skazany przez władze tego miasta, więc bądźcie uprzejmi iść po dobremu, jeśli nie chcecie, żebym was popędził, jasne?! – zawołał, po czym odwrócił się i odszedł z kolegą, aby nadal pilnować porządku na placu.

Mężczyźni i kobiety z rezygnacją na twarzach przeżegnali się po raz ostatni i powoli zaczęli odchodzić. Delikatny powiew musnął ich twarze, poczuli się podniesieni na duchu. Jedna z kobiet wypowiedziała słowa, które im wszystkim przemknęły przez myśl:

– To on. Pozdrawia nas.

Spojrzeli na siebie oczami pełnymi łez i uśmiechnęli się.

Lorenz stał jeszcze chwilę, patrząc na leżące na ziemi prochy przyjaciela. Potem, pochylony pod ciężarem żalu i gniewu, odszedł. Johann podążył kilka kroków z tyłu, nie chcąc się narzucać. Dopiero kilka ulic dalej zrównał się z przyjacielem i idąc obok, czekał, aż ten zrzuci ciężar z serca.

– Dlaczego? Dlaczego, Johannie? Jak mogli tak postąpić z Martinem?

– To proste... Chcą umocnić zaufanie do władzy.

– Ale władza się myli! To niesprawiedliwe! Jak można zabić człowieka za kilka kartek papieru?

Boże drogi, Johannie, a na co skazą mordercę, jeśli nie ma wyższej kary?

– Rozumiem cię, Lorenz. Ja też czuję się winny... Zapewne powinniśmy byli pomóc mu w inny sposób...

Lorenz się zatrzymał. Dręczyło go poczucie winy, że jego praca nad wynalazkiem przyczyniała się w pewnym stopniu do śmierci Martina. Teraz zastanowił się i po chwili zawołał:

– Martin mówił mi, że on i arcybiskup znali się za młodu! Już wtedy wynikły między nimi spory, a arcybiskup nie pozbył się tej zady z serca.

Księgarz dotknął jego ramienia.

– Lorenz, przestań się już dręczyć. Arcybiskupem powodowała zemsta, a nie to, że nasz przyjaciel popełnił jakiś naganny czyn. Dietrich von Moers pokazał swoje prawdziwe oblicze, podłość i mściwość. I właśnie dlatego musimy pilnować, aby pamięć po Martinie pozostała nienaruszona. Jego śmierć nie pójdzie na marne, dał nam przykład, czym jest umiłowanie życia i wierność zasadom. Arcybiskup, jego przeciwieństwo, jest nędznikiem, który kocha tylko władzę. Czekają go cierpienie i upadek, do nas zaś należy przyszłość. Jesteśmy po właściwej stronie, Lorenz, chociaż teraz naprawdę trudno w to uwierzyć.

Lorenz milczał, z jego oczu płynęły łzy, ale zdobył się na niewyraźny uśmiech. Objęli się w serdecznym uścisku. Słowa księgarza zapadły mu głęboko w serce: słowa znamienne. Wiedział na pewno, że odnalazł punkt odniesienia, opowiedział się po jednej stronie i nareszcie był we właściwym miejscu. To tak, jak gdyby całe jego życie do tej pory było bezładem, chaosem, a teraz nabierało znaczenia i równowagi.

Po drodze Lorenzo niczym innym nie myślał; tak, był po właściwej stronie, a wewnętrzny głos ostrzegał, aby nigdy jej nie porzucił. Nareszcie przestał się bać.

– Johannie...

– Co takiego, Lorenz?

– Muszę ci coś pokazać. To zamówienie, nad którym pracuję od kilku dni. Nikomu o tym nie mówiłem, bo uważałem, że tak będzie roztropniej. Ale chcę, żebyś zobaczył.

Księgarz uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Nie możesz teraz powiedzieć, co to jest? Jakiś klejnot?

– Klejnot? Nie, nie, nic z tych rzeczy. To jest tekst, Johannie, książka. Chociaż... to chyba coś więcej niż tylko książka. To zobowiązanie. Zrozumiesz, kiedy zobaczysz.

Johann odzyskał dawny ton i dobry humor.

– Tajemniczy jesteś! Nie rozumiem... Zobowiązanie? Wobec czego, a może wobec kogo?

Lorenz poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

– Wobec siebie, przynajmniej... Wobec nas wszystkich i wobec Martina Wahrheita, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

Lorenz wydał się bardziej ożywiony, a przynajmniej świadczył o tym rażny krok. Johann, przyzwyczajony do siedzącego trybu życia, z trudem za nim nadążał, ale nie protestował. Pałała go ciekawość, silniejsza niż obawa, że zabraknie mu tchu. Dotarli na miejsce.

– Dzień dobry, ojciec, jak się czujesz? – spytała Erika z troską w głosie.

Bała się zobaczyć u niego, jak poprzedniego wieczoru, bezbrzeżny, przejmujący smutek. Płacz rodzica wprawia w zakłopotanie i odbiera otuchę każdemu dziecku. Bo czymże jest płacz rodzica, jeśli nie zachwianiem się najmocniejszej podpory, na jaką dziecko zawsze może liczyć?

– Dobrze, Eriko, dochodzę do siebie. Zaprosiłem Johanna, bo chciałbym pokazać mu, nad czym pracujemy.

– A... – Zaskoczył ją widok księgarza, stojącego za ojcem. – Witajcie, Herr Buchmann – powiedziała z szacunkiem. W ciemnych oczach kryło się pytanie, lecz ojciec niemal niedostrzegalnym gestem dał jej znak, że przyjaciel jest godny zaufania.

– Gdzie jest Olga? – spytał.

– Wyszła kupić coś do jedzenia. Spizarka jest prawie pusta, a mamy jeszcze dużo pracy. Złożyłam następną stronę. Chcesz zobaczyć próbkę?

Lorenz sprawdził szybko kartkę, którą mu podała. Kiedy odwrócił się do księgarza, napotkał jego zdumiony wzrok. Johann nie mógł uwierzyć własnym oczom: pokój niczym nie różnił się od małego warsztatu – prasa, resztki metali, wszędzie mnóstwo zadrukowanych kartek. Lorenz podniósł ostrożnie kilka ułożonych w kolejności stron i podał mu je.

– Ale... Lorenz, to... to niemożliwe!

Położył plik na stole, wyjął z kieszeni okulary i pochylił się nad wydrukowanym tekstem. Im dłużej przebiegał wzrokiem kolejne linie, tym bardziej twarz mu się rozjaśniała.

– To wspaniała kopia, litery są równe, wyraźne... Jak spod ręki najlepszego kopisty, ale... ty to zrobiłeś za pomocą maszyny, prawda? – Pokazał palcem prasę.

Lorenz się uśmiechnął. Nie potrafił ukryć zadowolenia.

– Tak. I ciągle robię postępy. Teraz chcę wydrukować całą książkę. I nie tylko ja. Właśnie to ci chciałem pokazać. Usiądź, proszę.

Nie musiał powtarzać. Johann szybko zajął miejsce przy stole, ciekaw każdego szczegółu. Lorenz poszperał między papierami i znalazł list, który otrzymał z zamówieniem. Podał go Johannowi i czekał na jego opinię.

– Coś takiego... Rzeczywiście dobrze udało ci się to ukryć, bo ja absolutnie nic nie wiedziałem. To jest naprawdę niezwykle. A książka jest prawdziwym klejnotem. Arystoteles! Ten, kto ci to przysłał, albo ma dostęp do wielkich dzieł, albo ma dużo pieniędzy... A sądząc po sumie, jaką ci zapłaci, prawdopodobnie i jedno, i drugie. Czy możesz powiedzieć, kto jest tym mecenasem?

– Nie.

Lakoniczna odpowiedź stropiła księgarza.

– Miałem nadzieję, że ty mi powiesz – dodał Lorenz.

Johann przeczytał list jeszcze raz.

– Nie, mówię szczerze. Nie mam pojęcia, kto może się za tym kryć.

– Czy mam więc coś podejrzewać? Nie ufać tej osobie? – spytał Lorenz z niepokojem.

Johann zdjął okulary i zmarszczył czoło.

– Prawda jest taka, Lorenz, że od czasu, kiedy zająłeś się odpustami, moi przyjaciele i ja opowiadaliśmy o twoim wynalazku, jego znaczeniu, tym, do których mieliśmy zaufanie. Wiesz przecież, że wiele osób podziela nasze poglądy, również poza Kolonią. Nie jesteśmy zorganizowani ani nie chcemy tworzyć żadnej organizacji. Dążymy tylko do tego, żeby każdy na swoim terenie upowszechniał wiedzę.

– Ojciec Martin powiedział mi, że odpusty to był dopiero początek, że wkrótce przyjdzie nam walczyć o wiele więcej. Czy myślisz, że to mógł być on...?

Księgarz westchnął.

– Tego nie wiem, Lorenz, chociaż mam wątpliwości. Kontakty naszego przyjaciela ograniczały się do jego parafian i nie sądzę, żeby oni mogli złożyć taką ofertę. Wiem, że był jakiś rzemieślnik, podobnie jak on pojmujący chrześcijaństwo, i to wszystko. My poznaliśmy Martina przez Yagona. Jeden z jego klientów tak dobrze się wyrażał o kazaniach Martina, że Yago nie oparł się chęci poznania go. Był zachwycony jego prawością i od tamtej pory Martin przychodził na nasze spotkania. Nie zawsze, bo parafianie byli dla niego najważniejsi.

Johann pocierał palcami nasadę nosa, gdzie od dawna używane okulary zostawiły trwałe ślad.

– Dobrze pamiętam, że marzeniem jego było, aby kiedyś...

Głośne „dzień dobry” Olgi przerwało mu w pół zdania.

Zmieszany wstał, a Olga, zdziwiona wizytą, przyglądała się nieznajomemu.

Lorenz nie bardzo wiedział, jak ją przedstawić. Żona?

W jego odczuciu była żoną, ale przecież nie zawarli małżeństwa. Nie wdał się w wyjaśnienia.

– Zdaje mi się, że spotkaliśmy się przy jakiejś okazji. Lorenz opowiada o was cuda, Johannie.

Bardzo mi miło was poznać. – Olga uśmiechała się radośnie.

Johann się zarumienił. Zakłopotany zdjął z głowy zielony beret.

– Ja też was chyba kiedyś widziałem... To znaczy, pamiętam, że... ee... – Zakasłał nerwowo. –

Nie można nie zauważyć takiej urody, prawda?

Szeroko otwarte oczy Olgi rozbłysły, a na policzkach wystąpiły rumieńce. Johann wypiął dumnie pierś i roześmiał się zadowolony, że nie tylko udało mu się powiedzieć komplement, ale że zrobił to z takim powodzeniem.

– Zrobiłam zakupy i zaraz przygotuję coś do jedzenia – powiedziała Olga, patrząc z rozbawieniem na Lorenza. – Johannie, zechcecie uczynić nam zaszczyt, prawda?

– Naturalnie. Będzie to dla mnie największa przyjemność. – Pochylił się w ukłonie, a ona lekko dygnęła. Erika zasłoniła usta, żeby się nie roześmiać. Obie zabrały się zaraz do gotowania.

Johann mrugnął do Lorenza i mruknął cicho:

– Ale z ciebie nicpoń. Gratuluje i bardzo się cieszę.

– Eem... dziękuję... – odparł Lorenz, drapiąc się w głowę.

– Przy okazji... – księgarz pochylił się – czy możemy spokojnie rozmawiać... no, na każdy temat?

– Tak, Erika i Olga wiedzą o wszystkim. Co więcej, bez nich w ogóle bym tego nie popchnął do przodu.

Mimo zapewnienia przyjaciela księgarz rzucił jedno podejrzliwe spojrzenie na Olkę. Pokręcił głową, po czym swym zwykłym spokojnym głosem powiedział:

– Jeszcze mi nie pokazałeś, jak to urządzenie działa, Lorenz. Czy nie zechciałbyś zrobić tego teraz?

Złotnik wstał od stołu i obaj podeszli do prasy. Uznał, że najlepszą formą wyjaśnienia zasady działania wynalazku będzie wydrukowanie kilku stron. Pokazał przyjacielowi różne rodzaje ruchomych czcionek, opowiedział o sposobie ich wykonania, o tym, jak udało mu się ulepszyć maszynę i jak się składa strony. Powiedział też o nieudanych próbach z farbą...

– Dużo trudu kosztowało mnie wytworzenie właściwej farby. Kiedy miałem już rozwiązane problemy z czcionkami i zacząłem drukować farbą, której używają kopiści, stwierdziłem, że wszystkie moje wysiłki idą na marne. Pod naciskiem rozlewała się po całym papierze. Więc spróbowałem rozpuścić sadzę w składniku gęściejszym od wody. Udało się z tłuszczem; tłusta farba utrzymuje się na czcionce nawet pod naciskiem. Schnie dłużej, to prawda, ale rezultat jest doskonały.

Z radosnym entuzjazmem obaj zabrali się do drukowania stron nowej książki.

– To coś niezwykłego! – zawołał Johann. – Kiedy mówiłeś o tym parę dni temu, nawet nie mogłem sobie takiej maszyny wyobrazić. A teraz widzę, z jaką szybkością i jakie doskonale można mieć kopie, i wiem, że koszty będą nieporównywalnie niższe, Lorenz, nieporównywalnie!

– Tak, zmniejszą się koszty i zwiększy liczba wydrukowanych tomów. To właśnie starałem się wtedy u ciebie w domu wyjaśnić. Spójrz na tę książkę, na przykład. Jak długo musiałby ją przepisywać kopista?

Johann skrzywił się.

– Zależy, czy byłby to kopista pracujący w warsztacie Nikolasa, czy...

– Nikolasa Fischera?

– Tak. Słyszałeś o nim? Jego skryptorium cieszy się wielką sławą. Kopiują książki dużo szybciej niż gdzie indziej, ale... nie tak szybko jak ta maszyna! Skoro o tym rozmawiamy, czy wiesz, jak te egzemplarze będą rozprowadzane? Bo jeśli tyle ich u ciebie zamówiono, to chyba po to, żeby je sprzedać?

Złotnik rozłożył ręce.

– Nie wiem nic więcej ponad to, co jest w liście. Myślę, że będą sprzedane, ale nie mam pojęcia komu ani gdzie. Merrill zapewne byłby przeciwny...

– Nie słuchaj go. Im więcej egzemplarzy, tym większa szansa, że trafią w odpowiednie ręce. Gdyby tak i w moich się znalazł... – dodał pozbawionym nadziei głosem. – Ale brakuje okładek, pewno nie wiesz, kto się tym zajmie...? Tak, tak, wiem – zamachał rękami – wybaczone pytania, ale to wszystko jest takie emocjonujące... Całe życie spędzam przy książkach, lecz czegoś takiego nigdy nie widziałem!

Lorenz patrzył na niego z rozbawieniem.

– Chyba trochę przesadzasz?

– To prawda, Lorenz. Nigdy!

Erika zaprosiła wszystkich do stołu. Odkąd w domu pojawiło się więcej pieniędzy, Olga nie skąpiła najedzeniu: na stole był biały chleb, mleko, miód, boczek i nawet kurze jajka. Johann oblizwał usta na widok takich smakołyków, a Lorenz cieszył się, że może ugościć przyjaciela. Spoglądał z wdzięcznością na Olę i Erikę.



Poprzedniego dnia, z powodu przygnębiającej atmosfery, nikt nawet kęsa chleba nie wziął do ust. Teraz podekscytowani sukcesem obaj mężczyźni powrócili do dobrej formy. Erika i Olga ze zdumieniem przyglądały się, z jakim apetytem jedli. Żal i ból skryli głęboko w sercach, a teraz

pokazywali, jak silne jest pragnienie podążania do przodu.

Po skończonym posiłku księgarz z lubością poklepał się po brzuchu.

– Lorenz, winien ci jestem obiad. Po takich wspaniałościach nie wymagam się byle czym.

– Nic mi nie jesteś winien. Może tylko to, żebyś częściej do mnie przychodził.

– Takimi argumentami – pokazał stół – na pewno mnie przekonasz.

– Johannie – Lorenz wrócił do poprzedniej rozmowy – zaczęłeś mówić o marzeniu ojca Martina...

W oczach księgarza przemknął cień. Uśmiechnął się smutno.

– Ach tak, rzeczywiście. – Rozejrzał się, jak gdyby chciał się upewnić, że nikt obcy nie słucha.

Ten instynktowny ruch wydawał się zupełnie bezcelowy. – Nie wiem, czy słyszałeś o Wiklifie...

– Pamiętam, że to nazwisko padło z ust samego Martina.

– Bardzo możliwe. Wiklif był angielskim teologiem, zwolennikiem reform Kościoła. Naturalnie sobór w Konstancji skazał go za herezję, chociaż – Johann zdawał się mieć jakieś wątpliwości – dzięki swoim kontaktom uniknął wykonania wyroku.

Przerwał na chwilę. Lorenz cierpliwie czekał.

– Wiklif był pierwszym, który przetłumaczył Biblię na język narodowy, jego język ojczysty. To było zasadniczym powodem potępienia, ale stało się także jego spuścizną: obrona idei, że Słowo Boże kierowane jest wprost do wierzącego, bez pośredników, którzy by je tłumaczyli.

– To wspaniała idea!

– Prawda? Jego książki spalono, ale spuścizna pozostała. Wielu, jak Jan Hus czy ojciec Martin, podążało tym samym śladem. I to było wielkie marzenie naszego przyjaciela, przetłumaczenie Biblii na niemiecki. Uważał, że byłoby to doskonałe narzędzie do nauki czytania.

Lorenz widział Martina Wahrheita głośno mówiącego o tym marzeniu. Wyobrażał sobie, jak proboszcz czyni wszystko, co w jego mocy, żeby Biblia dotarła do najbiedniejszych, nawet uczy na niej czytania. Z pewnością by to zrobił. Z pewnością.

W pokoju zapadła cisza. Erika siedziała strapiiona. Chciałaby znaleźć chociaż jedno słowo otuchy, ale w głowie miała pustkę. W końcu podeszła do ojca i położyła mu dłonie na ramionach. Lorenz z wdzięcznością je pogładził.

– Nie wiem, czy nadejdzie dzień, kiedy marzenie ojca Martina się spełni, ale tego nie wykluczam – powiedział Johann. – Tym bardziej teraz, kiedy zobaczyłem twój wynalazek.

– Też chciałbym w to wierzyć – odparł Lorenz. Spojrzał na Erikę. – Mamy dużo pracy. Trzeba drukować następne strony.

– To wspaniałe dzieło. Czy chcesz, żeby ci pomóc? – spytał Johann.

Lorenz pokręcił głową.

– Dziękuję, ale nie trzeba. Ty masz swoją księgarnię, tam jesteś potrzebny. A ja mam swoje pomocnice, które, dzięki Bogu, pracują niezamordowanie.

Olga i Erika, objęte ramionami, podeszły do nich. Johann się uśmiechnął.

– Zostawiam cię zatem w dobrych rękach, przyjacielu. Dziękuję wszystkim za wspaniały poczęstunek. Nawet nie wyobrażacie sobie, jak bardzo mnie ta domowa atmosfera podnosi na duchu.

Wstał i pochylił głowę w geście pożegnania. Lorenz towarzyszył mu do drzwi. Podał księgarzowi rękę, a ten wziął go w ramiona i serdecznie uściskał.

– Zawiadamiaj mnie o wszystkim, Lorenz. I, proszę cię, nie trać ducha.

– Z pewnością nie. Mojego postanowienia nic nie złamie... Jestem mu to winien.

Spoglądał za księgarzem oddalającym się w labirynt uliczek. Zimno było przenikliwe

i przechodnie, skuleni, poruszali się szybko, grzejąc się własnym ciepłem. Lorenz spojrział w niebo, bezchmurne, połyskujące metalicznym błękitem. Wszedł do domu i zamknął drzwi. Otrząsnął się z zimna, jak gdyby chciał strzepnąć z ramion ciekłą warstewkę kurzu.

Erika i Olga zaczęły bez niego. Szybko opuszczały i podnosiły dźwignię prasy; podział pracy był ustalony i każda знаła swoją rolę. Na ich widok Lorenza opanowało wielkie wzruszenie. Zakasawszy rękawy, podszedł do dwóch kobiet, które stanowiły treść jego życia. Najlepszym sposobem na przezwyciężenie problemów jest stawienie im czoła. Ojciec Martin Wahrheit byłby z niego dumny.

W pałacyku Nikolasa od kilku dni panowało podniecenie. Za parę godzin miała się zacząć uroczystość organizowana w noc świętego Sylwestra, ostatnie wspomnienie pogaństwa w ciągu dwunastu nocy obejmujących czas od narodzin Chrystusa do dnia Objawienia Pańskiego. Dla niektórych dzień ten był również pożegnaniem roku, podczas gdy inni mieli zwyczaj żegnać stary i witać nowy rok w marcu, wraz z nadejściem wiosny i jej ducha odnowy.

Rzymianie dedykowali miesiąc styczeń Janusowi, bogu o dwu twarzach spoglądających w przeciwnych kierunkach. Jedna stara, a druga młoda, symbolizowały zmianę, oznaczały koniec tego, co odchodziło, i początek nowego. Istniał zwyczaj, że w tym czasie dzielono się z bliskimi miodem, daktylami i figami, życząc sobie, by nadchodzący rok był słodki. Lecz kiedy zwyczaj rozprzestrzenił się po Europie, Kościół zakazał go, uznając to za wyraz pogaństwa. Jednak nie udało się odebrać ludziom chęci do fetowania nocy świętego Sylwestra.

Nikolas wiedział, że w salach, w których będą przebywać goście, większość arabskich ozdób musi być zakryta insygniami i symbolami chrześcijaństwa. Nie mógł sobie pozwolić na wzbudzenie nieprzychylnych reakcji zaproszonych gości. Ta noc miała dostarczyć przyjemnych wrażeń, ale też, a może przede wszystkim, miała przynieść owoce.

Niebawem zaczęli się pojawiać pierwsi goście, za nimi stopniowo przybywali następni. Większość nie ukrywała zachwytu dla wystroju sal i dobrego gustu kopisty. W miejsce ceramicznych ornamentów powieszono gobeliny tkane złotą nicią. Kolorowe ściany zostały przykryte płótnami o religijnej treści, w stonowanych kolorach, a lampy z brązu w kształcie kielicha zastąpiono wymyślnymi świecznikami. W obawie przed zbyt dużą dociekliwością Nikolas ukrył przedziwny zegar bez ciężarków, piasku ani wody, który kupił w czasie jakiejś podróży do Norymbergi i o którego niepewnym pochodzeniu nigdy nie mówił. Zniknął zapach aloesu z kadzidełek, a w zamian czuć było w powietrzu aromat macerowanych i gotowanych w winie ziół, pachnidła używanego przez zaproszone damy, które, oparte na ramionach swoich mężów, omiały trenami długich sukni kamienny dziedziniec. Ubrane w najelegantsze stroje, żony ważnych osobistości z Kolonii dumnie prezentowały głębokie dekolty w sukniach, przewiązanych w talii szarfami. Rękawy sukien były mocno dopasowane i sięgały palców, a głowy niemal wszystkich dam zdobiły czepce w kształcie stożka. Wyglądały jak wieżyczki kolońskiej katedry.

– Macie, panie, przepiękny dom! – zawołała Roderica, żona Otisa Wolffa, najbogatszego spośród zaproszonych feudała w okolicy.

– Dziękuję, lecz z pewnością wiecie, pani, że waszego też można pozazdrościć – odparł Nikolas, całując dłoń damy.

Stojąc w drzwiach głównej sali, kopista witał kolejnych gości. Pochlebiał panom i prawil wyszukane komplementy paniom. Jego kobiety, z wyjątkiem Ilse, zajęły się tego wieczoru usługiwaniem zaproszonym gościom. Odprowadzały ich w głąb domu i oferowały napoje.

– Nikolasie, po raz pierwszy jestem w waszym domu. Muszę przyznać, dotąd myślałem, że mieszkacie w skryptorium! – zakrzyknął Otis, śmiejąc się hałaśliwie; miał zwyczaj parskać śmiechem, kiedy słyszał własne dowcipy.

– To nawet niezły pomysł. – Nikolas podtrzymał żartobliwy ton. – W ten sposób dni byłyby

dłuższe i mógłbym je lepiej wykorzystać.

Przeprosił Wolffów, aby powitać Hellera Overstolza i jego rodzinę. Burmistrzowi towarzyszyła żona, Agripina, jej kuzynka i stary przyjaciel Nikolasa, Raynard.

– Szczęśliwego świętego Sylwestra, panie burmistrzu – powitał Overstolza skinieniem głowy, po czym ucałował dłoń jego małżonki.

– Wzajemnie, Nikolasie – odparł Heller i również pochylił głowę. – Znasz już nowego członka naszej rodziny.

– Tak, tak jest istotnie. – Nikolas z wyszukaną uprzejmością powitał Raynarda.

– Drogi Nikolasie. Pozwól, że przedstawię ci moją piękną żonę, Galianę.

– Przyznaję ci rację, Raynardzie. Nie mam nawet cienia wątpliwości, że twoja pani jest personifikacją piękna. – Nikolas uśmiechnął się i ujął dłoń damy, by ją ucałować.

Młoda Galiana nie była wyjątkiem i, podobnie jak inne panie, pokraśniała, słysząc zachwyt w słowach kopisty, który, ubrany w długi kaftan z ciemnoniebieskiego aksamitu, prezentował się nadzwyczaj elegancko.

Zgodnie z ustalonym porządkiem, od najwyższego rangą do najniższego, przedstawiciele wyższych sfer zajmowali miejsca przy długim stole. Wyglądał niezwykle bogato. Podekscytowani widokiem, lecz pamiętający o zachowaniu form biesiadnicy nie mogli się doczekać spróbowania leżących na stołach smakołyków. Tego wieczoru arystokracja dworska, właściciele ziemscy, bogaci mieszczaństwo, kupcy i wpływowi rzemieślnicy dzielili stół i poczęstunek i zostawiali na boku istniejące między nimi antagonizmy. Przygotowane na tę ucztę dania były różnorodne i mogły zadowolić wszystkie gusty. Na początek podano soczewicę, aby zapewnić w nowym roku powodzenie w sprawach finansowych. Potem na licznych półmiskach pojawiły się kolorowe kompozycje różnorodnych ryb, mięs i ptactwa, do wyboru, w zależności od upodobań. Nie zapomniano o jarzynach. A kiedy przyszła pora deseru, na stole ustawiono tace z Frankfurter Brenten, marcepanowymi ciasteczkami. Naturalnie potrawom towarzyszyło wino w olbrzymich ilościach, którym co chwila wznoszono toasty. Nikolas wiedział, że po alkoholu ta grupa ludzi, silnych, mających wielką władzę, zamieni się w łatwą do prowadzenia trzódkę. Dlatego odstąpił od zwyczaju podawania wina w jednym pucharze, który krążył od biesiadnika do biesiadnika, i zarządził, aby przed każdym stał kielich pełen bachusowego trunku.

I rzeczywiście, kiedy podano drugie danie, wino już zaczęło szumieć w głowach i języki się rozwiązywały.

– Chcesz, żebyśmy przybrali na wadze, Nikolasie? Pomyślimy, że nas tuczysz jak prosięta przed zaszlachtowaniem! – śmiejąc się, gromkim głosem zakrzyknął najmożniejszy bławatnik w Kolonii, uczestnik tajnych partyjek karcianych. Zawtórowali mu inni, z mniejszym lub większym entuzjazmem.

– Obawiam się, że będziemy musieli pójść w ślady Nikolasa. Widzieliście, ile sztuk padło w tym roku z powodu mrozu? – Kupiec, zajmujący się zaopatrywaniem miasta w żywność, machnął ręką w stronę półmisków pełnych wieprzowych mięs.

– Jeśli ich zimno nie zabije, my to zrobimy. Cóż innego pozostaje? – zawyrokował Wolff, niezainteresowany tak prozaicznymi sprawami.

Czas upływał i przy stole robiło się coraz głośniejsze. Uwagi, nawet rzeczowe czy wnikliwie, pod wpływem alkoholu nabierały żartobliwej nuty.

– Tak już jest, że obrońcy moralności oznajmiamy nam kategorycznie, iż nie wolno zabijać boskiego stworzenia... a w każdym razie zanim nadejdzie jego czas, Otisie.

Biesiadnicy wybuchnęli śmiechem, ubawieni komentarzem Nikolasa. Na tego rodzaju

spotkaniach wesołe uwagi i dowcipy miały zapewnioną publiczność. Zawsze towarzyszył im chór rechoczących słuchaczy, choć nie wszyscy wiedzieli, na czym polega dowcip i z czego się śmiać.

– Skoro mówimy o moralności i bożych stworzeniach, zauważam, że nie ma wśród nas naszego drogiego arcybiskupa – powiedział Heller, pociągając łyk wina. Zajmował najważniejsze miejsce u szczytu stołu.

– Nie mógł przyjechać. Obowiązki trzymają go w Bonn, jak mi powiedziano.

Heller ukrył cień uśmiechu.

– Jaka szkoda. Zabraknie nam jego opatrnościowych pouczeń.

Wszyscy przytaknęli, przekonani o szczerości słów burmistrza. Tylko Nikolas wyczuł w nich nutkę złośliwości.

W rozmowach brali udział niemal wyłącznie mężczyźni. Kobiety milczały, a tylko niektóre pozwalały sobie pochwalić serwowane dania albo popisać się jakimś szczególnym wyczynem małżonka. Przy stole zastawionym misami z jedzeniem i dzbanami z winem wybitni mężowie Kolonii prowadzili uprzejme rozmowy i skrywali prawdziwe intencje: poznać sekret albo słabostkę osoby siedzącej obok. Wszystko po to, żeby później móc się podzielić zdobytą wiadomością ze swoimi kompanami i chełpić tym, że im takie błędy czy gafy nigdy się nie przytrafiły.

– Nie zapomnijcie zostawić trochę jedzenia na talerzu do północy, jeśli chcecie, żeby wasze spiżarnie były przez cały rok pełne – powiedział kupiec dostarczający żywność dla miasta.

– To są dziwaczne pomysły biedoty. Nasza spiżarnia jest pełna – odparł Wolff. – To praca i wysiłek dają jedzenie, a nie przesady. Sam diabeł je wymyślił. – Spojrzał na Rodericę, z dumą wsłuchującą się w każde jego słowo.

– Wszyscy wiemy, że w ostatnich czasach borykaliśmy się z dużymi trudnościami, Herr Wolff. I niektórym było ciężej niż innym – odezwał się kuśnierz. – Ale według mnie następują widoczne zmiany.

Wiele przyczyn sprawiło, że na przełomie wieków czternastego i piętnastego sytuacja gospodarcza Europy była wyjątkowo ciężka. Po kilku latach dobrej pogody i obfitych zbiorów przysły ostre zimy, a to źle wpłynęło na rolnictwo. Epidemie i plagi dziesiątkowały ludność. W ciągu ostatnich czterech wieków jej liczba drastycznie spadła: Europa straciła trzecią część mieszkańców. Ponadto feudalny porządek społeczny zaczynał się chwiać. Powstawało wojsko najemne, już niezwiązane kontraktem lennym z feudalnym panem. Pieniądz odgrywał coraz większą rolę i coraz powszechniej operowano pojęciem wynagrodzenia za służbę czy pracę. Rozwijające się miasta stawały się centrami władzy, tworzyła się nowa klasa społeczna – burżuazja. Stopniowo zwiększała się dysproporcja pomiędzy dochodami najbogatszych i mniej zamożnych mieszczan, co doprowadziło do niemal codziennych protestów rzemieślników, zorganizowanych w cechach.

– Mówicie o trudnościach, o których już dawno zapomnieliśmy. Wieśniacy mają dostatecznie dużo swobód i widać, że rolnictwo się podnosi. Świata nie da się zmienić ot tak. Na to nie można pozwolić. – Wolff nie zamierzał dopuścić do dyskusji.

Był przedstawicielem tej części posiadaczy ziemskich, która miała najboleśniej odczuć zmiany w Europie: zlikwidowanie hierarchicznego, rygorystycznego systemu feudalnego i oddanie władzy w ręce dynamicznie rozwijającej się burżuazji.

Kolacja zakończyła się podaniem marcepanowych ciasteczek. Smakując rozpływającą się w ustach słodycz, wielu pomyślało, jak dobrze byłoby ją odczuć wszystkimi zmysłami.

– Cóż za delicje, Herr Fischer! Co to jest? – odważyła się zapytać żona kuśnierza, najwyraźniej zainteresowana przepisem.

Kuśnierz spojrział na nią spod oka, gestem karcąc ją za brak taktu. Jak śmiała się odezwać, niepytana? Ani jej, ani żadnej innej kobiecie nie przystoi w ten sposób zabierać głosu. Było to źle widziane, tym bardziej że przerwała rozmowę mężczyźn. Prawdopodobnie wino spowodowało tak bezwstydne zachowanie. Kuśnierz gwałtownym ruchem odsunął jej pucharek.

Nikolas pospieszył rozładować napięcie.

– Przywiozłem je z Frankfurtu specjalnie na dzisiejszą okazję. A co do przepisu, przykro mi, ale nie potrafię powiedzieć. Pochlebia mi jednak to pytanie, i naturalnie postaram się zaspokoić pani ciekawość tak szybko, jak tylko będę mógł.

Żona kuśnierza, niezmiernie zażenowana, słabo się uśmiechnęła.

Następnie Nikolas podniósł się od stołu i oznajmił, że kiedy tylko goście zechcą, mogą przejść do sąsiedniej sali, gdzie czeka na nich muzyka i tańce. I tak powoli biesiadnicy nieco ociężałym krokiem ruszyli w stronę dochodzących ich uszu dźwięków.

W dużej sali tanecznej poza młodym chórem znajdowała się grupa muzyków grających na harfie, flecie, cytrze i cymbałach. Przyjemne melodie wypełniały przestrzeń, podczas gdy zdumieni goście z zachwytem spoglądali na wielkie arabskie gobeliny. Po chwili, gdy większość zaproszonych rozpoczęła taniec parami, trzymając się za ręce, tworząc koła i inne figury taneczne, Raynard podszedł do Nikolasa. Chciał z nim porozmawiać na osobności. Teraz mogli wreszcie zapomnieć o sztywnych konwenansach.

– Dobrze wyglądasz, Raynardzie. Stan małżeński ci służy.

– Dziękuję. To prawda, jak dotąd nie mogę narzekać.

Z tonu jego głosu Nikolas wywnioskował, że przydałoby się coś więcej niż tylko przyjacielska pogawędka. Raynard odwrócił głowę w stronę tańczących par i zatrzymał wzrok na Agripinie, która poruszała się wdzięcznie w takt muzyki. Niewiele więcej potrzebne było kopiście, żeby wszystko zrozumieć. I nagle słowa arcybiskupa von Moersa na temat żony burmistrza przybrały formę pewności.

– Chcesz mi o czymś powiedzieć? – spytał ostrożnie.

Raynard ukrył grymas zniecierpliwienia.

– Nie każ mi mówić, Nikolasie... – Zniżył głos niemal do szeptu.

– Wydało mi się, że to ty do mnie podszedłeś. Czy może się myłę? – Kopista się uśmiechnął. Sytuacja go bawiła.

Raynard pokręcił głową. Nie był pewny, czy dobrze robi. Spojrział na żonę, Galianę, która pozdrowiła do wesółym gestem. Posłał jej wymuszony uśmiech. Pociągnął Nikolasa do oddalonego od ludzi i muzyki kąta.

– Agripina ma zmysł przekonywania. Nie można jej odmówić niczego, o co prosi...

Mówił szybko, szukając wymówek i usprawiedliwień. I unikał wzroku Nikolasa.

– Czy to oznacza, że wdaleś się w romans z żoną burmistrza?

Raynard, patrząc Nikolasowi prosto w oczy, potwierdził skinieniem głowy. Ale na twarzy nie było radości ani dumy. Nikolas wiedział dlaczego.

– Wiesz, że Hellerowi nie brakuje oczu? Ma argusowy wzrok.

Jego przyjaciel znowu przytaknął.

Myśli Nikolasa już krążyły wokół tej informacji. Rycerz Raynard, stary znajomy, wyznał mu tajemnicę, która mogła go kosztować nawet życie. Jeśli kiedyś zechce mu odmówić przysługi, Nikolas będzie wiedział, jak go przekonać.

Powiedział kilka uspokajających słów i przypomniał Raynardowi, jakie są jego obowiązki. Dał jeszcze parę rad, po czym, przepaszając, oddalił się: musiał zadbać o innych gości.

Dołączył do tańczących w takt wysokich dźwięków melodii. Udawał przy tym, że alkohol szumi mu w głowie tak samo jak innym, choć w rzeczywistości był zupełnie trzeźwy. Goście zapomnieli o umiarze i bez żenady śmiali się i wesoło podskakiwali. Również kobiety tańczyły z werwą w rytm wesołej muzyki.

– Czy dobrze się pan bawi, panie burmistrzu? – Nikolas podążył za Hellerem, który, spragniony wina, odłączył od tańczących i wrócił do biesiadnego stołu.

– Doskonale. Ta uczta... muszę powiedzieć, że odniosłeś sukces. Gratuluję.

Nikolas uśmiechnął się z zadowoleniem. Widać było, że burmistrz też sporo wypił, bo dość niewyraźnie wymawiał słowa.

– Tego właśnie chciałem.

Heller pociągnął łyk wina i już zamierzał odejść, kiedy kopista go zatrzymał.

– Chciałbym z panem chwilę porozmawiać, panie burmistrzu.

– Oczywiście, Nikolasie. Twoje życzenia są dla mnie rozkazem – zażartował.

– Zgodziłbym się mieć chociaż trochę takiej władzy – powiedział wesoło Nikolas. – Ale muszę prosić pana o przysługę.

– Wiesz, że słów „przysługa” i „musieć” nie wolno nigdy używać w jednym zdaniu? Ty, który żyjesz w świecie ksiązek i uczonych sentencji... powinieneś o tym wiedzieć.

– Naturalnie. A zatem powiem, o jaką przysługę chodzi.

– Dobrze, słucham. Jeśli pozwolisz...

Heller przysunął sobie krzesło, które zajmował w czasie uczty. Nikolas usiadł obok niego.

– Ma pan, panie burmistrzu, kontrolę nad piratami, którzy pilnują ładu na rzece.

– Jasne. Nie tylko mam kontrolę... sprawuję całkowitą kontrolę nad wszystkim, co jest przywożone do tego miasta i z niego wywożone – powiedział, unosząc ramiona w patetycznym geście.

– Nie wątpię. I stąd właśnie moja prośba.

– A jakaż to prośba?

– Chcę mieć wolną drogę dla dostawy dla mnie w najbliższym czasie.

– Co to będzie? Może to kolejne sekretne książki, które tak drogo sprzedajesz? – Zaśmiał się rechetliwie. – Bo jeśli to znowu będą pikantne opowieści, chciałbym jedną dostać w zamian. Ostatnio czuję się trochę osamotniony, rozumiesz. – Mrugnął do kopisty.

Nikolas pomyślał o tym, co mu wyznał Raynard.

Zareagował szybko; był przekonany, że Heller w tym stanie nie będzie skłonny do podejrzeń.

– Proszę pozwolić, że zatrzymam to dla siebie. To są tylko wielkie, ciężkie skrzynie. Powiem jedynie, że w żadnym wypadku nie przyniosą uszczerbku splendorowi Kolonii.

Z całej siły pragnął zakończyć rozmowę. Kiedy burmistrz prosił go o przysługę, Nikolas wyświadczał ją, o nic nie pytając, choć zdawał sobie sprawę, że Heller zawsze kieruje się niskimi pobudkami. Nikt nie mógł znać zamiarów kopisty, tak szczelnie były skrywane, ale co do jednego przy tej wymianie grzeczności miał absolutną pewność: jak dotąd burmistrz nigdy nie złamał danego słowa. I o to mu tylko chodziło.

Nikolas wstrzymał oddech, obserwując, jak wyłupiaste oczy Hellera błędzą przez chwilę i zatrzymują się na suficie. Zapewne toczył ze sobą walkę, lecz w końcu powiedział:

– Dobrze. Masz moje słowo. Ale możesz być pewny, że zażądam rewanżu, kiedy mi to będzie najbardziej odpowiadać. – Chwiejąc się nieco, uniósł się z krzesła. – A teraz pozwolisz, że wrócę do mojej żony. Noc jest wyjątkowo piękna i zbyt atrakcyjnie się zapowiada, bym miał ją spędzać z tobą. Nie obraż się, ale ani twoje dłonie, ani skóra, ani zapach farby, jaki rozsiewasz, nie

stanowią dla mnie podniety! – zawołał ze śmiechem i odszedł, lekko się zataczając.

Nikolas przyglądał się, jak Overstolz się oddalał; pomyślał, że tej nocy Agripina nie ucieknie od zaspokojenia oczekiwań męża. Mając jeszcze w uszach obietnicę burmistrza, Nikolas odetchnął z ulgą. Uśmiechnął się szeroko. Teraz może już przestać udawać. Zobaczył, że Raynard idzie w jego kierunku, z pytaniem w oczach i lękiem. Gdy mijał Hellera, spuścił głowę.

Było już bardzo późno. Nikolas uznał, że spełnił swój obowiązek wobec gości i nadeszła pora opuszczenia ich. Uzyskał to, czego chciał; teraz pozostało mu tylko czekać. Czekać, ale ani na moment nie zaniedbać nierozstrzygniętych spraw.

Wyszedł dyskretnie, z nikim się nie żegnając, i zniknął za drzwiami prowadzącymi do prywatnych komnat. Ukłucie w sercu – poczucie utraty Ilse – zapowiadało niespokojną noc.

Pod czarnym płaszczem nocy gęsto usianej gwiazdami tylko sowy pohukiwaniem potwierdzały swoją widmową obecność. W oddali, zza horyzontu zaczynało wynurzać się łagodne światło, zapowiedź dnia i przyszłości. Był pierwszy stycznia roku 1437, Nowy Rok. Dzień, w którym o tak wczesnej godzinie niewielu jeszcze mieszkańców Kolonii robiło pierwszy krok w długiej drodze ku malującej się w różowych kolorach przyszłości.

Jednym z nich był Lorenz Block wsiadający przed domem na mały wóz. Koń grzebał nogami w ziemi i poruszał zadem, niemal dotykając nim poprzecznej deski, która służyła za siedzenie dla woźnicy. Lorenzowi, gotowemu do drogi, z zimna dreszcz przebiegł po kościach. Odwrócił głowę i spojrzął na Olgę stojącą w progu domu. Uśmiechem chciał pokazać, że wszystko jest w porządku, chociaż w głębi duszy nie był tego całkiem pewien. Ona pożegnała go w milczeniu, spokojna, zadowolona.

Przez prawie całą noc nie zmrúżyli oka. Trzeba było przejrzeć każdą książkę i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Zdarzało się, że jakaś strona gniotła się w trakcie drukowania albo przyklejała się do czcionek, farba się rozmazywała, brudziła papier. Kiedy skończyli sprawdzanie, wyciągnęli się w łóżku i rozmawiali, snując plany na przyszłość, marząc, że może się ziszcą. A gdy nastał świt i dzwony z pobliskiego kościoła Świętej Cecylii zabrzmiały na jutrznię, załadowali wynajęty poprzedniego dnia wóz. Mieli szczęście, że udało im się jakiś znaleźć, gdyż w dniu świętego Sylwestra zapotrzebowanie na wozy i uprzęże było ogromne. Przewożenie osób i żywności stało się w tym dniu niemal głównym zajęciem. Z ust do ust ludzie przekazywali sobie wiadomości o uczcie wydawanej przez Nikolasa Fischera, wybitnego obywatela miasta, kupca i właściciela licznych świetnie prosperujących interesów. Przy dochodzących z oddali dźwiękach muzyki towarzyszącej takim spotkaniom Olga i Lorenz ładowali wózek z większą przyjemnością; czasem, mijając się w drodze po nową paczkę, zatrzymywali się na moment i delikatnie całowali.

Ta noc jeszcze bardziej ich do siebie zbliżyła.



Erika przyglądała się temu przez okno na pięterku. Martwiła się. Wiedziała, że ojciec naraża się na wielkie niebezpieczeństwo, bo przecież źródło zamówienia było okryte absolutną tajemnicą. A Lorenz od początku powtarzał, że kopiowanie książek za pomocą mechanicznych urządzeń może wzbudzić podejrzenia. Księgarz Johann Buchmann i jego przyjaciele często opowiadali się za ograniczeniem wpływu Kościoła na proces rozpowszechniania wiedzy; wynalazek ojca przysłużyłby się ich sprawie. Kopiowanie nie byłoby już tak ciężką i kosztowną pracą. Skończyłoby się zamawianie niewielkiej liczby kopii: jednej czy dwóch do biblioteki jakiegoś klasztoru czy zaledwie jednej, na życzenie możnego pana, który chciałby – dla podkreślenia swojej pozycji – posiadać drogie manuskrypty, choć i tak nigdy zapewne by ich nie przeczytał. Jej ojciec w niespełna miesiąc, na maszynie wymagającej co prawda dalszego udoskonalenia, był w stanie wydrukować pięćdziesiąt kopii z pomocą tylko dwóch osób. Erika nie miała pojęcia, ilu skrybów musiałoby pracować, żeby wykonać taką samą pracę w tak krótkim czasie. Ale przypuszczała, że

potrzeba by ich bardzo, bardzo wielu.

Niespokojna myśl zachmurzyła jej czoło. Za wszelkiego rodzaju ambicjami dorosłych kryło się tyle nienawiści i podejrzeń, tyle jątrzących się przez lata zapiekłych uraz. Poczwała się nagle bezbronna, jak mała dziewczynka, którą jeszcze do niedawna była. W wielkich ciemnych oczach zalśniły łzy. Pomyślała o matce, o tym, jak strasznie za nią tęskni i jak bardzo odczuwa jej brak w takich momentach.



Lorenz za mocno ściągał lejce. Nie był przyzwyczajony do powożenia i czuł, że źle to robi. Tym bardziej że mniej myślał o wozie i koniu, a więcej o tym, co przewoził. Pięćdziesiąt egzemplarzy książki rozłożonych na spodzie drewnianego wozu było jak pięćdziesiąt kawałków ołowiu, spowalniających i tak nieprędki chód konia. Minawszy Altmarkt, wjechał w Wilhelmstrasse, u której końca roztoczył się przed nim widok majestatycznego Renu, wielkiej srebrnej tafli z połyskującym w niej światłem księżyca. Dalej pojechał wzdłuż rzeki i skręcił dopiero w Leyenstapel. Stamtąd prosta droga doprowadziła go do murów w południowej części miasta. Dwóch strażników stało nieruchomo opartych o ściany po obu stronach wysokiego łuku bramy. Twarze mieli zasłonięte hełmami. Lorenz pomyślał, że być może śpią. Raczej na pewno. Nieco wystraszony, zwolnił konia. Strażnicy żadnym gestem nie okazali, że cokolwiek słyszą, wjechał więc – z zamkniętymi oczami – w otwartą bramę. Stukot końskich kopyt odbił się echem od ścian. Jak ktoś, kto spodziewa się ciosu, miał wciąż zamknięte oczy, kiedy znalazł się po drugiej stronie. Dopiero po chwili ze strachem je otworzył. Zobaczył przed sobą ponury krajobraz, chociaż od wschodniej strony niebo już przybierało jasnoniebieską barwę. Złakł się, kiedy usłyszał za sobą wyraźny głos.

– Ej, ty! A dokąd to się wybierasz?

Słowom towarzyszył metaliczny chrzęst zbroi. Lorenz zatrzymał wóz i siedział jak skamieniały, oczekując najgorszego.

– Dlaczego nie zatrzymałeś się przed bramą? Każdy musi dostać pozwolenie na wjazd do miasta i wyjazd.

– Skoro mnie nie zatrzymaliście, pomyślałem, że nie muszę...

– Pomyślałem, pomyślałem... – przedrzeźniał go strażnik. – Koller! – zaryczał. – Chodź no tu, jakiś mądrała nam się trafił.

– Wiecznie robisz to samo – burknął kolega. – Puść go. Wygląda, jakby miał z głodu umrzeć.

Strażnik stanął przy Lorenzu i przyglądał mu się wyzywającym wzrokiem. Po chwili, ciągle mając go na oku, podniósł płótno przykrywające wózek. Zaskoczyło go to, co zobaczył.

– Koller, chodź tu, migiem! – wrzasnął.

– Co znowu? Ja ci nie zawracam głowy moimi... – mówił drugi strażnik. Szedł, powłócząc nogami. Ale kiedy zajrzał do wózka, twarz mu się rozjaśniła i zaśmiał się szeroko, ukazując trzy poczerńiałe zęby. – Dobra robota, Bawer. A ty co, przed władzą się nie zatrzymujesz?

Lorenz wiedział, że powinien był to zrobić, ale nagle jakaś wewnętrzna siła popchnęła go do działania. Nie miał innego wyjścia. Odpowiedział głosem pewnym, ale nie prowokacyjnym.

– Pomyślałem sobie, że jeśli to, co wiozę, spodoba się władzy, to się podzielę, ale, oczywiście, gdyby udało mi się tego uniknąć...

Uśmiechy strażników powoli ustępowały miejsca zdumieniu. Lorenzowi ciarki przebiegły po plecach. Gotów był popędzić biednego konia. Nie zamierzał tanio sprzedać życia.

Nie musiał. Koller wybuchnął niepohamowanym, rubasznym śmiechem. Bawer, spojrzawszy na

niego, też się zaśmiał, ale bez przekonania, nie widział w tej sytuacji nic śmiesznego.

– Cholera! – wrzasnął. – To mi się podoba! Bez owijania w bawełnę. Dostyc mam tych nudziarzy, tłustych i chciwych, którzy chowają mięso pod słomą. Wymyślają sztuczki godne szulerów, żeby tylko nie wydać grosza. Na Boga się klęę, woźnico, nie brak ci odwagi!

Lorenz już zamierzał się uśmiechnąć, ale poczuł, że chociaż stara się opanować nerwy, policzki zaczynają mu drgać. Nie poruszył się więc ani nie reagował na pochwały.

Strażnik zdjął całe płótno i odsłonił zawartość wozu. Jego oczom ukazał się świniak, rozebrany już na części, różowy i apetyczny. Koller już od dawna nie jadł świeżego mięsa. Wyglądało na to, że wszystko idzie po myśli Lorenza.

– Wiesz co? Będę miał dla ciebie litość. Weźmiemy tylko żeberka i ten kawałek schabu; wystarczy nam. A ty pojedź sobie dalej, dokądkolwiek jedziesz – powiedział żołnierz i znowu pokazał niekompletne uzębienie.

– Sprawiedliwie – odparł krótko Lorenz.

– Bawer, idź po drewno.

– Ale to ja zatrzymałem wóz. Dlaczego mam teraz chodzić po drewno?

– Bo jak nie pójdiesz, to cię nieźle opieprzę i jeszcze przyłożę.

– Dobrze już. Zawsze taki gbur musi z ciebie wyłazić? No tak, silniejszy jesteś... Pożałujesz, jak stracisz moją cenną przyjaźń – pojękiwał Bawer półżartem.

Głosy strażników i chrzęst ich zbroi cichły i mieszały się z niezbyt jeszcze donośnym szmerem budzącego się do życia pobliskiego portu.

Lorenz, nieco odprężony, jechał pokrytymi szronem polami. Rozpościerał się przed nim przynębiający widok. O tej wczesnej porze mgła przesuwiała się i gęstniała nad rzeką, brzegi sprawiały ponure wrażenie, jakby zostały przeniesione z najgorszego koszmaru. Wokół snuły się jakieś postacie, wycieńczone, kuśtykające i potykające się, kryjące swoje zdeformowane ciała pod zniszczonymi opończami.

Jadąc wozem i patrząc na tych ludzi z wysokości prowizorycznego kozła, Lorenz czuł się szczęściarzem, ale też zdawał sobie sprawę, że grozi mu niebezpieczeństwo. Gdyby ci ludzie, wszyscy razem, chcieli go zaatakować, bez trudu by go pokonali, pomimo kalectwa i słabości. O ileż jednak lepszy był jego los; on miał w życiu cel i mógł zaznawać spokoju u boku ukochanych osób. A jeszcze niedawno sam przypominał tych nieszczęśników – osamotniony, niezdolny do radości, nieumiejący znaleźć wspólnego języka z innymi ludźmi, niemogący ukoić umęczonej duszy w łagodnych objęciach miłości.

Im dłużej jechał, tym więcej tych sponiewieranych postaci pojawiało się na jego drodze. Z kijami w dłoniach, twarzami zdeformowanymi trądem, owinięte szmatami tak samo brudnymi jak ciało.

Lorenz wiedział, że za murami miasta, w pobliżu rzeki, jest kilka wielkich lazaretów. Ale nie miał pojęcia, że w ostatnim czasie rozrosły się bezładnie.

Przed laty zbudowano je z przeznaczeniem dla ludzi i zwierząt z konieczności poddawanych kwarantannie. Takie budynki musiały się znajdować przy każdym porcie. Skończyło się na tym, że stały się miejscem odosobnienia dla cierpiących na choroby uznane za zaraźliwe. Miasta zapomniały o lazaretach w chwili, gdy je stworzono. W ciągu wszystkich lat ich istnienia ani ksiądz, ani balwierz się tam nie pojawili.

Tak był zajęty własnymi myślami, że nie zauważył, co się dzieje za nim, dopóki nie usłyszał jakiejś szamotaniny. Kilku żebraków, poczuwszy zapach mięsa, rzuciło się w stronę odkrytego wozu; strażnicy zdjęli płótno, ale go potem nie założyli z powrotem. Kiedy więc Lorenz spojrział za

siebie, jeden z tych nędzarzy już trzymał nogę świni i starał się ją wyrwać. Był kulawy i co chwila tracił równowagę, ale zdobywczy nie wypuszczał. Za nim kilku innych przepychało się w groteskowym biegu. Lorenz pomyślał, że wszyscy ci wygłodniali ludzie szybko rozszarpaliby i pożarli również jego wychudłego konia. Owinął lejce dwa razy wokół kołka na siedzeniu i skoczył do tyłu.

Grubą gałęzią migdałowca, którą trzymał na siedzeniu, zaczął okładać rękę żebraka, ale ten nie dawał się odpędzić. Wówczas Lorenz chwycił kawał żeberka i cisnął w bok, na drogę. Żebrak rzucił się za mięsem. Kilku, potykając się, zrobiło to samo, ale już następni tłoczyli się przy wozie. Wtedy Lorenz zaczął wyrzucać pozostałe mięso na obie strony drogi. Coraz więcej nędzarzy walczyło między sobą, żeby zdobyć choć kawałek. Poszły w ruch ręce i pięści. Twarze brudne i popękane od mrozu wykrzywiały się w nadludzkim wysiłku; w tej walce o przetrwanie choćby jednego dnia musieli wykrzesać z siebie wszystko. Ci, którzy nie mieli szans w jednym miejscu, przechodzili teraz do innej grupki, sądząc, że tam będzie im łatwiej coś zdobyć, a ci, którzy już ściskali jakiś ochłap, bezzębnymi ustami wpijali się w surowe mięso.

Przygnębiony tym widokiem Lorenz wrócił na swoje siedzenie. Wziął lejce do ręki i popędził konia. Na szczęście mgła znowu gęstniała i nawet gdyby chciał, nie mógłby widzieć końca brutalnej walki o przetrwanie. Biały opar miał wielką moc; ale Lorenzowi pozostał w ustach gorzki posmak, jak wówczas, gdy pragniemy powstrzymać cisnące się do oczu łzy. W gniewie smagnął konia batem, karząc go za niesprawiedliwość losu.



Wkrótce potem, za zakrętem, zobaczył przed sobą lazaret, ostatni na tej budzącej grozę drodze. W ciszy i we mgle kwadratowy budynek z kamienia wyglądał jak posępne widmo. Lorenz przejechał jeszcze kilka metrów i zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Usłyszał trzepot skrzydeł i szybko odwrócił głowę. Czarne ptaszysko siedziało z tyłu wozu. Miał wrażenie, że ptak na niego patrzy i rzuca zły urok. Lorenz nie wierzył w zabobony, ale teraz czuł, że opuszcza go odwaga. Wszystko to nie wróżyło dobrze, i ganił siebie za to, że wybrał się w tę podróż sam.

Nagle mgłę przecięła strzała i ptak z krakaniem spadł na ziemię. Lorenz mimowolnie się pochylił: gdyby strzałę skierowano w niego, prawdopodobnie też trafiłaby do celu. Trzepotanie skrzydeł słabło, a krakanie zupełnie ustało. W pobliżu nie było nikogo, nie widział nawet dobrze budynku lazaretu. Czekał.

Po jakimś czasie mgła zaczęła szybko rzednąć. I wtedy zobaczył postać w czarnej pelerynie z kapturem, z kuszą opartą na ramieniu. Za nią stał solidny kryty wóz, a na siedzeniu Lorenz dostrzegł innego osobnika w takim samym stroju. Złotnik poczuł, że coś go ściska w gardle i znowu ogarnia go strach. Nic nie wiedział o człowieku, dla którego kopiował książki, i teraz był na jego łasce, z dala od miasta, z dala od domu.

To wrażenie jeszcze bardziej się wzmogło, kiedy człowiek z kuszą zaczął się do niego zbliżać. Minął go, nawet na niego nie spoglądając, i wskoczył na tył wozu. Kiedy zdjął grube skóry, zobaczył wydrukowane strony powiązane sznurkami; pięćdziesiąt pakunków. Wtedy podeszły trzy inne osoby, którym człowiek w czerni je podawał. Lorenz nie odważył się poruszyć. Wysoki mężczyzna w czerni na wozie stojącym kilkanaście kroków przed nim też siedział nieporuszony. W wypielegnowanych dłoniach opartych na kolanach trzymał lekko lejce. Coś błysnęło na palcach, na pewno klejnot, chociaż z tej odległości Lorenz nie mógł być pewny.

Gdy wszystkie paczki zostały przeniesione, szósty osobnik, który przez cały ten czas siedział za woźnicą, wyciągnął z wozu mały węzełek i skórzaną sakiewkę. Irytująco powoli przyniósł ją

Lorenzowi.

Wóz ruszył, zabierając po drodze mężczyznę, który wręczył Lorenzowi zapłatę. Lorenz czuł się tak samo jak wtedy, gdy przejechał przez bramę i usłyszał za sobą głos strażnika: niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Obserwował ruchy wszystkich sześciu mężczyzn. Dopiero teraz zobaczył wyraźnie klejnot na dłoni powożącego: był to piękny, bogato zdobiony pierścień z głęboko osadzonym zielonym kamieniem. Na nim, złotniku, perfekcja wykonania zrobiła wielkie wrażenie.

Mgła znowu gęstniała, jak gdyby posłuszna życzeniom ludzi w czerni. Zajrzał do sakiewki dopiero, kiedy został sam. Zobaczył, że jest w niej nie mniej niż dwieście guldenów. Pięćdziesiąt za już wydrukowane strony. A reszta? Otworzył węzełek leżący na kolanach i w środku znalazł nową książkę. Wyczuł, że jest równie ważna jak poprzednia. A więc nie było drogi odwrotu. Pomimo niebezpieczeństw będzie pracował nad ulepszaniem swojego wynalazku z jeszcze większym zapalem. Jednak gnębił go niepokój.

Wielce szanowny Herr Block,

z ogromną radością ponownie do Pana piszę. Płonę z ciekawości, aby obejrzeć rezultat Pana pracy. Wiedząc, ile wytrwałości i staranności wkłada Pan w każde ze swoich zadań, jestem przekonany, że nie zawiedzie Pan moich oczekiwań. I właśnie dlatego znajdzie Pan tu moją następną propozycję.

W przypadku pierwszej książki przedsięwzięliśmy wielkie środki ostrożności, lecz teraz, w przypadku tej drugiej, musimy być jeszcze bardziej ostrożni. Długie ramię Kościoła potrafi sięgnąć najskrytszych zakamarków. Z pewnością nie życzylibyśmy sobie, aby i nas na katedralnym placu spotkał okrutny los świętej pamięci ojca Wahrheita.

Z niecierpliwością oczekuję chwili, kiedy tak daleko posunięta ostrożność okaże się niepotrzebna i będziemy mogli, jak lojalni sprzymierzeńcy, którymi już jesteśmy, śmiać się z aury tajemniczości towarzyszącej naszym spotkaniom. Marzę o dniu, kiedy Pana wynalazek, ujrzy światło dzienne i żaden przedstawiciel Kościoła nie ośmieli się podnieść głosu przeciw Pana bezspornemu talentowi.

Ale dość pochwał. Przejdźmy do tego, co naprawdę ważne: dzieło, myśl, kultura. Książka. Następne zlecenie, jak już wspomniałem, jest z samej swojej natury dużo bardziej niebezpieczne. Chodzi o tekst tłumaczenia Ewangelii na nasz język. Nasza niedostatecznie doceniana niemiecka mowa nie wymaga żadnego bodźca z naszej strony, aby istnieć. Wystarczy, że używając jej codziennie, w najwyższym stopniu potwierdzamy to istnienie. Lecz teraz staje przed nami szansa rzucenia wyzwania Kościołowi, który narzuca nam sposób myślenia, nie pozwalając rozumieć tego, w co wszyscy wierzymy. Pan jest jedyną osobą, dzięki której każdy wierzący będzie mógł poddać ocenie to, czego naucza Kościół.

Wiem, że mnie Pan nie zawiedzie. Tak jak mam nadzieję, że ja nie rozczarowałem Pana wysokością wynagrodzenia, na jakie Pana wysiłek, zasługuje. Po zakończeniu pracy otrzyma Pan sumę w takiej samej wysokości jak ta, którą Pan znalazł w sakiewce. Odda Pan skończoną pracę obok tego samego lazaretu co dzisiaj, o świcie pierwszego dnia kwietnia. Kopii ma być dwieście. Tak, dobrze Pan przeczytał: dwieście kopii. Musimy mieć wysokie aspiracje. Kto będzie chciał mieć kopię książki, dostanie ją. Wtedy każdy, niczym niepowstrzymany, bez pośredników, będzie mógł wyrobić sobie zdanie na temat Bożych słów.

Sprawy techniczne pozostawiam w Pana rękach. Stawiam tylko jeden warunek: książka ma być niewielka, zwyczajna. Nie jest przeznaczona dla okazałych zamkowych bibliotek. Jej misją jest zmienić koleje dziejów naszego Świętego Cesarstwa, a przynajmniej

świadomość żyjących w nim ludzi.

Wierzymy w Pana, Herr Block.



Lorenz trzymał list w dłoniach. Zamyślił się. Erika i Olga, wpatrzone w niego, czekały w napięciu, co powie. Po chwili, która wydała się im wiecznością, spojrział niemal niewidzącym wzrokiem i smutno się do nich uśmiechnął. Zdawał sobie sprawę, że naraża je na niebezpieczeństwo; przygniatało go poczucie odpowiedzialności.

List pozostawił w nim uczucie goryczy, mieszaninę wiary w przyszłość i żalu za przeszłością. W głębi duszy skłaniał się ku przekonaniu, że wszystko to, co już przeżył, było dobre, nie oczekiwał niczego lepszego. Ale było to przekonanie całkowicie mylne, zważywszy, że większość dramatycznych sytuacji tkwiła w przeszłości. Im bardziej się od nich oddalał, tym bardziej skupiały się w czasie; wydawało mu się, że śmierć żony, utrata pracy, śmierć przyjaciela zdarzyły się tego samego feralnego dnia.

Przyszłość zapewne mogła być lepsza, lecz teraz nie wiedział, jak potoczą się jego losy, czy czeka go więzienie, tortury i szafot, czy szczęście i sukcesy. Mógł stracić córkę, Olę – albo je obydwie – a także wszystko, co posiadał. Mógł zostać wygnany... Ale spoza tych pesymistycznych wizji ukazywała się postać człowieka, który mówił mu, że musi z determinacją iść do przodu: ojciec Martin Wahrheit. Poczł przyływ nadziei; upór i wytrwałość zawsze są nagradzane.

Pierwsze zamówienie wykonał dobrze. Po przedziwnym spotkaniu przy lazarecie podróż powrotna przebiegła spokojnie. Na drodze wzdłuż rzeki nie pozostał żaden żebrak, kaleka ani trędowaty, których wcześniej zwabił zapach mięsa. Z nastaniem dnia mgła unosiła się powoli, ukazując otwartą przestrzeń – płaską, lekko chropawą od cienkiej warstwy śniegu, kryjącej ślady niedawnego pożaru. Koń szedł spokojnie, kołysany melodyjnym rytmem nurtu rzeki, a szum wody tłumił odgłosy dochodzące z żyjących już swoim życiem dzielnic.

Gdy znalazł się przy wjeździe do miasta, obaj strażnicy, Bawer i Koller, siedzieli przy ognisku, obgryzając kości. Na widok Lorenza pomachali nimi i coś krzyknęli. Usta mieli pełne jedzenia, wargi tłuste. Oplącała się ta drobna inwestycja. Znowu stanął mu przed oczami obraz dwóch nędzarzy, najbardziej powolnych pośród chmary pozostałych, którym dostały się tylko resztki flaków. Bili się o ochłap deptany na ziemi, ubabrany trawą i piaskiem. Głodni i zdesperowani walczyli o niego jak dzikie zwierzęta. Ale ten nędzny kawałek wydłużyłby ich agonię o parę dni, może tygodni, i wcześniej czy później i tak musieliby się poddać. A on, Lorenz Block, martwił się o rozpowszechnianie wiedzy.

I znowu, gdy pogrązał się w takich myślach, ratował go ojciec Martin. Przypomnił sobie zdanie, które od niego usłyszał: „Czasem bardziej potrzebny jest pokarm dla duszy niż dla ciała. Zupą nie przywrócimy godności”.

Usiłował sam siebie przekonywać, że zamówienie musiało wyjść od kogoś, kto bezpośrednio lub pośrednio jest związany ze środowiskiem Johanna Buchmanna. To właśnie księgarz mówił mu, że spopularyzowanie Biblii przetłumaczonej na niemiecki było niespełnionym marzeniem ojca Wahrheita. Mógł więc wyciągnąć logiczny wniosek, że jeden z jego przyjaciół chciałby w pośmiertnym hołdzie to pragnienie ziszczyć.

Postanowił pójść do księgarni.

Przewracając strony, Johann stwierdził, że jest to rzeczywiście niemieckie tłumaczenie Ewangelii według Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. Był zdumiony tym, że trzyma w rękach

egzemplarz książki, o którego istnieniu nawet nie wiedział. Dotykał stron delikatnie, z zamglonym wzrokiem.

Nagle ożywił się i zawołał:

– Czy mogę ją zatrzymać?!

I nie czekając na odpowiedź, rzekł:

– Rozumiem, że to niemożliwe. Proszę, nie martw się. Słowa nikomu nie powiem. – Ale nie wypuścił książki z rąk, a oczy błyszczały mu jak dziecku, które dostało cukierek. Znowu ją otworzył, śledził linijki tekstu. – To jest najprawdopodobniej przekład Wulgaty.

– Wulgaty?

– To wersja Biblii przełożona z języka starołacińskiego na łacinę potoczną. W czasach Karola Wielkiego, mówię o wieku dziewiątym, pomyślano, że trzeba zdobyć i przetłumaczyć taką właśnie wersję, dokładniejszą i łatwiejszą do zrozumienia. Chyba słyszałem, że Wulgata oparta jest na tłumaczeniu świętego Hieronima z piątego wieku.

– Ale to jest tylko fragment Biblii.

– To prawda. Niewielki fragment, ale bardzo ważny, bo daje nam opis życia Chrystusa. A w pracach prowadzonych pod auspicjami Karola szczególny nacisk położono na Ewangelie i Księgę Psalmów. – Johann zamyślił się, po czym powiedział: – Nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jakie trzeba mieć kontakty, żeby zdobyć takie dzieło. To zlecenie, drogi przyjacielu, tworzy historię, nie mam najmniejszej wątpliwości.

Lorenz niemal wyrwał manuskrypt z rąk Johanna i pożegnał się, zostawiając go podnieconego, ale i skruszonego z powodu swojego zachowania. Wracał do domu pogrążony w niewesołych myślach; był pełen obaw. Przełożenie Ewangelii na niemiecki samo w sobie stanowiło zagrożenie. Dawało bowiem zwykłym ludziom możliwość czytania tekstów, które dotąd dostępne były po łacinie, by tylko Kościół zajmował się ich przekładem, interpretacją i rozpowszechnianiem. To dzieło otwierało okno, którym wpływało świeże powietrze: stwarzało szansę poznania Słowa Bożego bez pośrednictwa Kościoła. Znalezienie go u kogokolwiek najprawdopodobniej oznaczałoby stos dla właściciela. A w przeciwieństwie do Wiklifa on, Lorenz, nie miał znajomości wśród ludzi będących u władzy.

Wszedł do domu z czołem zlanym potem. Olgi nie było. Powiedziała Erice, że musi się przejść, żeby rozładować napięcie po porannych wrażeniach.

Bardzo teraz potrzebował Olgi.



Pozbywszy się swej fałszywej osobowości, Ilse zeszła schodami w tajnym warsztacie. W pomieszczeniu, w którym pracowali kopiści, zastała Nikolasa tam, gdzie zawsze siadał w czasie swoich rzadkich wizyt: przy wielkim stole, z otwartą książką. Tylko on, wyczuwając jej obecność, podniósł wzrok i przebiegł oczami jej postać od góry do dołu. Wrócił do książki, bez jednego gestu, bez jednego słowa. Ilse z pokorą zniosła to chłodne powitanie. Jego pogarda oznaczała jej triumf. Jeśli Nikolas okazywał oziębłość, znaczyło to, że choć pragnął być człowiekiem wolnym od zobowiązań, Ilse Holz nie była mu obojętna. Wydawało jej się, że to, co łączy ją z Lorenzem, to miłość, ale świadoma była ceny, jaką za to płaci. Tylko czy utracona godność nie jest ceną zbyt wysoką?

– Dzień dobry, Nikolasie. – W tym warsztacie, jak w łóżku, konwencjonalne formy były zbyteczne. Nic z tego, co się tam działo, nie wyszłoby poza jego ściany.

Siedzący obok Alonso spojrział na nią bystro.

– Po co przyszłaś? Ostatnim razem powiedziałaś, że nie możesz przychodzić, kiedy chcesz.

– Przyszłam po następne polecenia – oznajmiła Ilse.

– Można tylko czekać. Ty nadal wykonuj pracę słodkiej kochanki, żeby nam się biedaczyna nie rozpraszał. Sama mówiłaś, że tak się może stać, jeśli go zostawisz – powiedział Nikolas ze złośliwym uśmiechem.

Ilse wykrzywiła usta w grymasie.

– Tak było kiedyś, Nikolasie, teraz nie ma nic więcej do zrobienia. Ty masz to, czego chciałeś, a Lorenzowi nie jestem potrzebna, żeby ulepszał maszynę. Jest gotowa, nic w niej nie musi zmieniać. Skrzynki odpowiadają różnym wymiarom stron i czcionek, marginesy i odstępy można poszerzać i zmniejszać do woli, prasa opuszczana jest miarowo, a farba rozprowadzana równomiernie... Nawet szczotki, których na początku używał do rozprowadzania farby, zastąpił drewnianym wałkiem, oklejonym miękką skórą. Zaoszczędza farby, bardzo drogiej, jak sam wiesz. Może chcesz, żebym już z nim została na zawsze? Ostrzegam cię, w końcu może się okazać, że zechcę zostać...

Nikolas poczuł się, jakby mu ktoś dał w twarz. Ilse to zauważyła.

– Musimy czekać. Po prostu. Zachowaj spokój i pomagaj mu przy następnym zleceniu. Niech skończy na czas. Bądź przy nim i rób wszystko, żeby nie stracił do ciebie zaufania ani wiary w sukces tego, co robi. Koniec jest już bliski, w każdym razie takie są oczekiwania.

Ilse przyjęła to do wiadomości i zobaczyła, że dalej nie może się posunąć. W głębi duszy nie była pewna, ale nie chciała zamykać za sobą żadnych drzwi. Od tego mogła zależeć jej przyszłość. Dlatego musiała wiedzieć, czy Nikolas ma wobec niej ukryte zamiary.

– Dobrze. Na razie będę robić to, o co mnie prosisz, ale musisz wiedzieć, że ta sytuacja wcale mi się nie podoba. Mam nadzieję, że to długo nie potrwa.

– Nie martw się. Na pewno nie potrwa długo. – Patrzył w jej niebieskie oczy, ale w głosie brzmiała nuta goryczy. – I pamiętaj, jaka jest twoja rola w tej grze.

Zajął się znowu leżącą na stole książką. Ilse nie wiedziała, czy ma się już pożegnać. Nagle ogarnęło ją poczucie przemożnego zagubienia i pomyślała, że jednak przeciągnęła strunę. Odruchowo zwróciła głowę w stronę kopistów siedzących przy swoich stołach: wszyscy się jej przyglądali. Jedni z błyskiem pożądania w oczach, inni z twarzami obojętymi i szklanym wzrokiem, jeszcze inni z dziecięcą tkliwością, a któryś z prawdziwym zrozumieniem. Ilse, która czasem dzieliła z nimi godziny pracy w warsztacie, była im za to głęboko wdzięczna. Przepęliło ją takie wzruszenie, że nie mogąc dłużej znieść napięcia, odwróciła się i wybiegła. Brakowało jej tchu.

Szła już górnym korytarzem, kiedy usłyszała za sobą jakiś głos. Nie miała zamiaru się zatrzymywać, lecz nagle poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Przerazona, przyłgnęła do ściany, jak zwierzę, które czuje zbliżające się niebezpieczeństwo. Stał przed nią Alonso. Jedyne słabe światło przedostawało się licznymi szparami w murze, niczego nie oświetlając, pozostawiając wszystko w cieniu. Jasne włosy Alonsa lśniły na czarnym tle.

– Nic ci nie jest?

– Nie, przepraszam. Nie wiem, co mi się stało – odparła Ilse. Z trudem oddychała.

– Muszę prosić cię o przysługę – powiedział Alonso, patrząc w ziemię. – Chciałbym, żebyś opiekowała się Eriką.

Ilse się uśmiechnęła. Powoli odzyskiwała spokój.

– Robię wszystko, co w mojej mocy, Alonso. To wspaniała dziewczyna.

– Wiem. – Po chwili dodał: – Czasem, kiedy wychodzi rano i na ulicy zbiera do góry włosy, odsłaniając twarz, widzę w jej oczach nieśmiałość i czułość. Na rynku prawie zawsze spuszcza

wzrok, kiedy kogoś mija. Lecz kiedy widzi dzieci, cała twarz się jej zmienia. Jakby miała ochotę iść do nich i bawić się z nimi. Bardzo cierpiała po wyjeździe małego Matthiasa. Jest silna, bardzo silna, a mimo to łatwo ją zranić. Nie chciałbym tego.

– Widzę, że dużo o niej wiesz...

Alonso się spieszył.

– Zrobisz, o co cię proszę? Będziesz się nią opiekować?

– Nic mnie to nie będzie kosztowało, Alonso. Zrobię to. Obiecuję, że będę ją chronić.

– Dziękuję. – Chłopak odwrócił się, poszedł korytarzem w stronę warsztatu i zniknął w ciemności.

Kiedy Ilse wyszła ze skryptorium, poczuła na twarzy zimny dotyk mroźnego powietrza. Myśli jej bez przerwy krążyły wokół Nikolasa i Lorenza; zastanawiała się, co przyniesie przyszłość, przypominała sobie dawne przeżycia, niektóre radosne, inne wprawiające w stan absolutnego oszołomienia. Tylko czas pozwolił, aby doświadczyła ich więcej z Nikolasem, ale emocje, jakie dały jej chwile spędzone z Lorenzem, też były silne. Niezwykle silne. Tak rozmyślając, zniknęła w uliczkach miasta, aby znów stać się Olgą.

Kopista, szanowany obywatel miasta Kolonii, w gęstej mgle nie widział nic, co znajdowało się dalej niż jego dłonie. W jednej ręce trzymał lampkę oliwną, a drugą machał przed sobą, jak gdyby to mogło mu pomóc posuwać się do przodu.

Unoszący się wokół ciężki, przygniatający odór sprawiał, że mgła przypominała mętną zawiesinę. Zawartość niezliczonych dołów kloacznych przeciekała do łożyska rzeki i zanieczyszczała ją fekaliami, a także wszystkim, co na terenie miasta ulegało procesom gnicia. Majestatyczny Ren mścił się, wypełniając powietrze potwornym smrodem.

Wiele statków i łodzi zacumowało już dzisiaj w porcie kolońskim, chociaż widać było jedynie czubki ich masztów, i to tylko w chwili, gdy powiew cuchnącego powietrza przecinał gęstą biel mgły.

Nikolas z niepokojem oczekiwał na przybycie statku z ładunkiem, który przygotował z wielką troską i wysiłkiem. Z pewną melancholią wsłuchiwał się w łagodny szum rzeki, przypominając sobie, jak wiele razy sam z różnych powodów płynął wodami Renu. Zupełnie bezwiednie stanął mu w pamięci obraz babki ze strony ojca. Zmarła, kiedy był małym chłopcem, ale ciągle pamiętał wiele z opowiadanych przez nią baśni, których bohaterem była to wielka rzeka. Zwłaszcza jedna, o potężnym Renie, dobrotliwym ojcu i jego córkach, i o kosztownościach ukrytych na dnie rzeki. Ileż to razy wyteżał wzrok, usiłując dojrzeć ów skarb w głębokiej toni. Teraz miał własny skarb, a przynajmniej za chwilę dostanie go w swoje ręce. I znajdzie go nie na dnie rzeki, lecz na jej powierzchni.

Na tej przystani, oddalonej nieco od portu, nie było nikogo oprócz niego, Alonsa i kilku jego ludzi, wiernych, milczących, teraz zziębniętych. Czekają też paru robotników portowych. Żaden przedstawiciel władzy nie będzie sprawdzać ładunku ani zadawać pytań. Żołnierze i urzędnicy celni nawet się do nich nie zbliżyli. Heller dotrzymał słowa.

Chlupot wody – znak, że statek się zbliża – wytrącił Nikolasa z rozmyślań. Na pokładzie od dziobu do rufy panował ruch. Marynarze zwijali żagle i trzymali ster, dobijając do nabrzeża. A kiedy przycumowali, załoga szybko zniknęła szukać rozrywki w mrokach nocy. Dokerzy zaczęli znosić ładunek ze statku na nabrzeże. Nikolas nakazał swoim ludziom, aby z chwilą gdy ładunek znajdzie się na nabrzeżu, zaczęli przenosić go na wozy – pięć solidnych, krytych płótnem furgonów. Skrzynie były bardzo ciężkie, lecz im szybciej to zrobią, tym lepiej. Mimo cichego przyzwolenia władz Nikolas nie chciał żadnych pytań.

– Zaczniemy od zniesienia skrzyń, a potem po równo umieścimy je na wozach.

Alonso chrapliwym głosem wydawał kolejne rozkazy. Robotnicy portowi patrzyli w zdumieniu na te dziwne postacie w ciemnych pelerynach z kapturami, skutecznie ukrywającymi ziemiste twarze.

Kiedy więc pierwsze drewniane skrzynie zostały zniesione ze statku, ludzie Nikolasa zaczęli szybko je ładować. Poruszali się jak mrówki gromadzące zapasy na zimę. Noc była mroźna.

Pośród mgły i ciemności widać było ich sylwetki poszarzałe od szronu, łańcuch ludzki, który ciągnął się od statku do czekających wozów. Wszystkie pięć wypełniało się w mgnieniu oka.

– Ostrożnie. – Nikolas chwycił za ramię jednego z niezbyt uważnych dokerów. – Towar jest bardzo kruchy i cenny. – W głosie była groźba.

Robotnik, człowiek wielki i barczysty, otrząsnął się tylko.

– Nie pierwszy raz rozładujemy ciężkie skrzynie.

Koledzy spojrzeli na niego z przerażeniem. Tylko głupiec śmiałyby odezwać się w ten sposób do Nikolasa Fischera.

– O nic cię nie pytałem – powiedział kopista przez zaciśnięte zęby. – Ostrzegłem cię. Jeżeli okaże się, że nie byłeś dość ostrożny, gorzko tego pożałujesz.

Robotnik musiał dostrzec w twarzy Nikolasa coś, co sprawiło, że wołał zamilczeć. Bez słowa wrócił do pracy.

Ciężkie powietrze dusiło, brakowało go w płucach i skrzynie zdawały się jeszcze cięższe. Słyszał tylko szuranie nóg po piasku i nieustanny szmer wody.

W pewnym momencie jeden z robotników portowych chciał pomóc ludziom Alonsa, przekonany, że osoby o tak słabowitym wyglądzie nie dadzą rady przenosić ciężarów. Jego dobre chęci nie zostały docenione. Ujrzał, jak postaci w ciemnych pelerynach szybko podnoszą jedną z największych skrzyń. Uznał, że lepiej pilnować własnego interesu.

Cała akcja nie trwała długo. Organizacja była sprawna i każdy miał dokładne instrukcje. Nikolas, stojący przy jednym z wozów, czuwał nad wszystkim. Alonso instruował, jak najlepiej rozkładać skrzynie w wozach.

– To już wszystkie – powiedział, przykrywając ostatni wóz grubym płótnem.

– Doskonale. Ruszamy.

Niemal jednocześnie z poleceniem Nikolasa zakapturzeni pomocnicy zajęli miejsca na pięciu wozach. Robotnicy portowi w milczeniu patrzyli za odjeżdżającymi.

Pierwszym wozem jechali ojciec i syn; pozostałe dołączały kolejno. Oni wyznaczyli trasę, a także szybkość, z jaką ta tajemna karawana się poruszała.

Powoli zbliżali się do miasta. Gdzieś w nocnych ciemnościach jaśniało kilka oświetlonych okien. Mgła nie była tu już tak gęsta i połyskiwała kolistymi żółtawymi plamami. Nikolas i jego ludzie jechali spokojnie, byli przyzwyczajeni do poruszania się w cieniu. W panującej ciszy mijali ulice i place, a jedynymi dźwiękami były stukot końskich kopyt i rżenie koni.

Czasem natknęli się na jakiegoś przechodnia, który zatrzymywał się, zdumiony takim niezwykłym widokiem. Wtedy wybierali inną drogę, zupełnie pustą.

– Skręć w następną – powiedział Nikolas do syna, który trzymał lejce. Przedtem upewnił się, że nie idzie za nimi żaden ciekawski.

Mówił cicho, lecz bardzo wyraźnie, jak zawsze, kiedy rozmawiał z Alonsem.

– Dobrze się tej nocy spisaliście.

Oczy Alonsa kierowały się niespokojnie to na drogę, to na usta ojca.

– Dziękuję.

Nikolas uśmiechnął się i poklepał syna po ramieniu. Napięcie mijało.

– Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, będziemy mieć tyle pieniędzy, że nawet gdybyśmy żyli sto lat, nigdy ich nie wydamy. – Skrzyżował dłonie na kolanach i wyprostował się na siedzeniu. Zostawiali za sobą ponurą, niepokojącą atmosferę portu. A mimo to upewnił się, czy kaptur dobrze osłania jego twarz.

Alonso skinął głową.

Dojeżdżali już do przeciwległej części miasta w pobliżu północnej bramy, do celu podróży. Zbliżał się kolejny trudny moment i na twarzy Nikolasa znowu pojawił się wyraz napięcia.

Jeden za drugim wozy wjeżdżały w uliczkę, słabł stukot końskich kopyt, a w końcu ucichł zupełnie, jakby koniom zabrakło energii, by dalej ciągnąć ten ciężar. Nikolas wstał z siedzenia i rozejrzał się. Zwykle nic się w tym miejscu nie działo, ale wołał się upewnić.

– W porządku. – Podniósł ręce na znak, że czas na następny punkt planu.

Zeskoczył z wozu i wszedł do warsztatu. Chwilę potem wynurzyła się z niego nowa grupa wymizerowanych postaci w czarnych tunikach. W mgnieniu oka skrzynie znalazły się wewnątrz.

Całe miasto spało, nieświadome krzątający, w której ludzie ci, jak w transie, ze wzrokiem wbitym w skrzynie, gdy je nieśli, lub w ziemię, gdy wracali z pustymi rękami, posłusznie wykonywali polecenia Alonsa.

– Odstawiaj na tył domu kolejne opróżnione wozy – powiedział do jednego z nich, tego, którego gardło przecinała gruba szrama. – Kiedy skończysz, pomożesz znosić towar na dół. Konie wyprzęgniemy później.

Chłopak skinął głową i pospieszył wykonać polecenie. Gdy siedział już nawozie, ściągnął lejce, wóz cofnął się i wystraszył stojącego z tyłu konia. Trwająca do tej pory cisza została nagle przzerwana. Łomot dochodzący z drugiego wozu przeraził wszystkich: jedna ze skrzyń zsunęła się na ziemię, odpadły z boku kawałki drewna i przez dziurę zaczęła wysypywać się jej zawartość. Metalowe przedmioty różnych kształtów toczyły się z hałasem, ich migotliwy blask odcinał się od ulicznego błota.

– Co to jest? – zawołał Nikolas zduszonym głosem.

Rozjuszony dopadł wozu, przy którym kilku ludzi już zbierało zabłocone przedmioty. Alonso też podbiegł z wyjaśnieniami.

– Koń się przestraszył i cofnął...

– Dosyć. – Spojrzał na Alonsa rozplamionym wzrokiem. – Szybko to pozbierajcie.

Nikolas usiłował dojrzeć w ciemnościach, czy przypadkiem hałas nie zwabił jakiegoś ciekawskiego. Nikogo nie zobaczył. Mgła i niska temperatura tej nocy zapewniły dyskrecję. Wrócił do warsztatu i czekał, aż jego ludzie skończą wnoszenie skrzyń. Odprężył się dopiero wtedy, kiedy wszystkie znalazły się w warsztacie. Miał tylko nadzieję, że nic nie uległo zniszczeniu. Każdy z tych przedmiotów miał wyznaczone dokładne miejsce w planie, który Nikolas już niedługo zrealizuje. Jeśli chce, by sprawy potoczyły się po jego myśli, wszystkie tryby w tym mechanizmie muszą do siebie pasować.

Lorenz zdążył wydrukować zamówione książki do pierwszego kwietnia. Efekt był doskonały, chociaż pracy towarzyszyły przez cały czas napięcie i nerwy. Nieraz nachodziła go myśl, że kopiowanie tłumaczenia Ewangelii równa się ogłoszeniu, że zamierza spłonąć na stosie. Przed Eriką i Olgą starał się zachować spokój, ale sypiał źle, a w ciągu dnia rzadko kiedy się do nich odzywał i często chodził poirytowany. Ratowało go wsparcie Olgi, niewyczerpana cierpliwość Eriki i entuzjazm Johanna.

W ostatnich tygodniach przyjaźń z Johannem stała się bardziej zażyła. Lorenz miał czasem obawy, którymi nie mógł albo nie chciał dzielić się z Olgą lub Eriką. A potrzebny był mu ktoś o autorytecie księgarza, kto dodawałby mu otuchy. Właśnie tego wieczoru, kilka dni po oddaniu wydrukowanych egzemplarzy, zaprosił go na kolację. Pretekstem było uczczenie szczęśliwego zakończenia pracy. Miał też specjalny prezent dla Johanna; wiedział, że księgarz będzie zachwycony, pomimo że posiadanie czegoś takiego było ogromnie niebezpieczne.

Pomagając kobietom w przygotowaniach, wspomniał pewien ranek sprzed kilku tygodni, kiedy poszedł do Johanna po nieprzespanej nocy. Zastał go z tyłu księgarni, pochylonego nad małym stołem, z nieodłącznymi okularami na nosie, studiującego jakieś teksty.

– Sprzedał mi je student, zmęczony studiowaniem medycyny. Bardziej go interesowało poznanie świata i potrzebował pieniędzy na podróż. Widać, że się do studiów nie przykładał, bo są prawie nietknięte! – Johann się roześmiał.

Wyciągnął rękę na powitanie, a widząc poważną minę Lorenza, zrozumiał, że złotnik czymś się martwi.

– Chodzi o Ewangelie? – spytał poufnym tonem. Samo wypowiedzenie tego słowa, nawet w takim miejscu, z dala od ciekawskich uszu, napawało lękiem.

– Tak.

Lorenz westchnął głęboko.

– I tak, i nie – poprawił się. – Nie wiem, Johannie... Ciągle myślę, że chyba źle robię.

Księgarz podsunął mu taboret. Lorenz usiadł, a wówczas Johann powiedział:

– Widzisz – zdjął okulary – już wcześniej mówiłem, że propozycja, jaką ci złożono, jest bardzo odważna. Szlachetna, niewątpliwie, ale bardzo...

– Ryzykowna, wiem o tym. I może dlatego ciągle myślę o tym, co spotkało ojca Martina – powiedział Lorenz. – Został spalony na stosie, a jego wina była znacznie mniejsza. Co się stanie, kiedy odkryją, co robię? Jestem pewien, że go torturowali, żeby go nakłonić do przyznania się. A ja? Ja nie mam ani tyle siły, ani wiary; ogarnia mnie panika na myśl, że mógłbym wyznać, że Erika i Olga mi pomagały. Albo że ty o tym wiesz. – Posmutniał. – Boję się. Co gorsza, przeraża mnie to, że z mojej winy mogliby ucierpieć moi najbliżsi, rozumiesz mnie?

Johann pokiwał głową.

– Ten strach to rzecz normalna, Lorenz. Ja też bałbym się, gdybym był na twoim miejscu. – Poglądził nerwowo brodę.

– Jeśli to ci się może na coś przydać, rozmawiałem z kilkoma bardzo zaufanymi osobami i żadna z nich nic nie wiedziała o poprzednim zleceniu, o Arystotelesie. Prosiłem, aby postarały się

dyskretnie dowiedzieć, skąd dostajesz te zamówienia.

– Sądziś, że z jakiegoś innego miasta? Może z Moguncji? Albo z Bonn?

Johann się zamyślił.

– Drogi przyjacielu, wierzę, że Yago będzie wiedział, gdzie pytać. Dzięki podróżom i kontaktom może uda mu się wywiedzieć. To bardzo prawdopodobne, że chodzi o kogoś z odległego miasta, byłaby to też forma chronienia ciebie. Gdyby książkę tam znaleziono, ty byłbyś bezpieczny. Przynajmniej tak mi dyktuje logika.

Lorenz skinął głową.

– Tak, to ma sens. Wyjaśniałoby też, czemu punktem odbioru jest lazaret, za murami miasta.

– No tak, ale nie odbiegajmy od tematu. Dlaczego teraz zastanawiasz się, czy powinieneś zrobić te kopie, jeśli obawiasz się, że możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie? Mówiłeś zdaje się, że je zrobisz pomimo wszystko.

Lorenz oparł wyprostowane ręce na kolanach.

– Nie zaprzeczę, że suma towarzysząca temu zleceniu jest atrakcyjna. Naprawdę potrzebuję pieniędzy.

– Z pewnością zrobiłbyś to nie tylko z takiego powodu – wtrącił Johann.

– Oczywiście, pieniądze są po to, żeby móc kupić jedzenie i ubranie. Tu chodzi o coś innego.

Milczał, wzrok miał nieobecny. Po chwili, jakby budząc się, powiedział:

– To było marzenie ojca Martina, pamiętasz? Takie piękne. Zrozumiałem je dopiero teraz, kiedy wzięłem te teksty do ręki. Przeczytałem je, Johannie, i zapewniam cię, że czytanie Ewangelii we własnym języku jest cudownym doświadczeniem.

To tak, jakbym sam rozmawiał z Bogiem, jak gdyby ewangelisci usiedli obok mnie i opowiadali o życiu Chrystusa. Chciałbym ci coś pokazać.

Podniósł się i poszukał w kieszeniach. Wyciągnął mały kawałek papieru i znowu usiadł.

– Popatrz tutaj – powiedział, wskazując linijkę tekstu.

Johann pochylił się i przeczytał głośno:

– ...prawda was wyzwoli¹⁰. Tak, znam to.

W oczach Lorenza zajaśniały łzy.

– Czy ty sobie wyobrażasz, Johannie? To jest prawdziwy powód; dlatego warto drukować tę książkę i wszystkie inne. Nabieram coraz większego przekonania, że tę maszynę trzeba było wynaleźć, a los chciał, że to mnie udało się ją stworzyć. Świat pełen książek! Najróżniejszych, wszędzie! Takiego świata chcę dla mojej córki, świata, w którym każdy ma dostęp do prawdy.

Księgarz patrzył na Lorenza z wielką czułością. Z tych słów wywnioskował, że złotnik nie przyszedł do niego po radę, przeciwnie, wiedział doskonale, co ma robić. Po prostu chciał dzięki rozmowie z przyjacielem pozbyć się trosk. Za gorącymi słowami Lorenza kryło się serce człowieka zaangażowanego, człowieka gotowego walczyć o wolność. Może nawet bardziej zaangażowanego niż którykolwiek z jego znajomych. Przypomniał mu się inny wers z Biblii: ostatni będą pierwszymi¹¹.

Rozmawiali jeszcze na lżejsze tematy. Lorenz nie dał się namówić na szklaneczkę sznapsa albo innego trunku, gdyż czekało go jeszcze dużo pracy.

– Pokażesz mi, kiedy skończysz? – spytał Johann nieco melancholijnym głosem.

– Zrobię więcej – Lorenz się uśmiechnął – zaproszę cię do nas na kolację i wszyscy razem to uczymy. Wiesz, że jesteś zawsze mile widziany. Erika i Olga też się ucieszą. Bardzo cię lubią.

– Dziękuję, Lorenz.

– To ja dziękuję tobie, Johannie.

Ściskali sobie mocno ręce, kiedy jakiś klient wszedł do księgarni. Chwilę potem sylwetka Lorenza mignęła w oknie i zniknęła. A przez małe okno wślizgnęła się ukośna, biaława wiązka światła.



Wydrukowanie dwustu egzemplarzy książki wymagało dużo czasu. W ciągu ostatnich tygodni Johann, zapraszany przez Lorenza, a także wiedziony ogromną ciekawością, kilkakrotnie do niego zachodził. Za każdym razem z jakimś prezentem: stągwią wina, rybą albo wisiorkiem dla Eriki. Lorenz zawsze chętnie go przyjmował, wykorzystując te chwile na zrobienie przerwy w pracy. A księgarz nie przestawał zachwycać się znakomitą jakością druku i samą książką; trzymał ją, przewracał strony, jak gdyby chciał czytać urywki. Kiedy zbliżał się dzień oddania książek, zapytał Lorenza, czy nie mógłby się dowiedzieć od tajemniczego mecenasa, jaka jest cena egzemplarza, bo chciałby kupić jeden do prywatnej kolekcji.

– Nie sądzę, żeby ten, który odbiera zamówienie, był tym mecenasem, to raczej ktoś przez niego przysłany. Ale spróbuję, nie martw się.

Johann pokiwał głową ze smutkiem. Lorenz miał z pewnością rację.

– To chciałbyś mieć jeden egzemplarz? Mimo ryzyka? – spytał złotnik.

– Nie zapominaj, że jestem księgarzem – odparł ze śmiechem Johann. – To moja praca.

Lorenz też się uśmiechnął. Dla Johanna Buchmanna praca i pasja stanowiły jedność. Pomyślał, że znajdzie sposób, aby sprawić przyjacielowi przyjemność, ale nic teraz nie powiedział.

– Co więcej – mówił dalej Johann – tu jest twoja cenna „dedykacja”, jeszcze jeden powód, żeby mieć taki egzemplarz...

Johann miał na myśli zdanie, które Lorenz dodał na dole pierwszej strony. Tam, gdzie zwykle widniało nazwisko kopisty lub nazwa skryptorium, z którego pochodziła kopia, Lorenz wpisał jeden wers. Ponieważ całą pracę otaczała tajemnica i nie było żadnej możliwości zapytania mecenasa, czy wolno mu zadedykować druk ojcu Martinowi, Lorenz znalazł inny sposób. Wybrał trzydziesty drugi wers z ósmego rozdziału Ewangelii według świętego Jana: ...und werdet die Wahrheit erkennen, und die Wahrheit wird euch frei machen¹².

Nazwisko ojca Martina. Wahrheit. Prawda. Dlatego Lorenz wybrał ten wers. Chciał, żeby aluzja była bardziej przejrzysta, a słowo Wahrheit bardziej widoczne, i w tym celu wytopił kilka czcionek według wzoru naśladowującego pochyle pismo, którego nauczył się w dzieciństwie. W ten sposób litery nazwiska wyróżniały się pośród tekstu drukowanego gotykiem. Wiedział, że dobrze zrobił, kiedy zobaczył wzruszony wzrok Johanna; księgarz nie potrzebował słów, doskonale rozumiał intencję.

– Kto nie znał ojca ani nic nie wiedział o jego losie, na pewno nie zwróci na to uwagi – powiedział księgarz ze smutkiem.

– To nieważne. Nie zniknie przesłanie, jego przesłanie, i to, co skłoniło mnie do pracy nad tą książką. Myślisz, że to się nie spodoba temu, kto mi zlecił pracę?

– Z pewnością nie. – Johann, kręcąc energicznie głową, sprawił tak komiczne wrażenie, że na twarzy Lorenza ukazał się smutny uśmiech.



Oddanie wykonanego zlecenia odbyło się dokładnie tak samo jak poprzednio. Tajemniczy wóz, sześciu osobników w czerni i absolutna cisza. W ostatniej chwili Lorenz, pozbywszy się strachu,

zapytał głośno, czy jakieś egzemplarze będą sprzedawane zainteresowanym kolończykom. Kierujący operacją nawet na niego nie spojrzął, popędził konia i zniknął, błysnąwszy raz pierścieniem. W dłoniach złotnika zostały obiecane pieniądze i kolejny list z informacją, że niebawem otrzyma następne zlecenie. Lorenz nawet ucieszył się, że będzie mógł odpocząć po trzech miesiącach nieprzerwanej pracy. Zarobione pieniądze pozwolą na spokojne życie przez jakiś czas, a on z chęcią cieszyć się będzie chwilami spędzonymi z Olgą i Eriką. Im też należał się odpoczynek.

– Co powiecie na pomysł – rzekł następnego dnia po odwiezieniu książek – żebyśmy uczcili w domu wydrukowanie dwustu egzemplarzy? Któregoś dnia moglibyśmy kupić dobre mięso i piwo i zaprosić jakiegoś przyjaciela, na przykład Johanna...

Olga się uśmiechnęła.

– Masz ochotę już mu ją dać, prawda?

Lorenz się zaczerwienił.

– Nie mam cierpliwości czekać do jego urodzin.

Olga podeszła, pocałowała go mocno w policzek i czule objęła. Lorenz zmieszał się trochę, bo obok siedziała Erika. Ale ona tylko odwróciła wzrok i się uśmiechnęła. Minęła jej już początkowa nieufność i Olga stała się kimś w rodzaju współnika jej epistolarnej miłości.

Listy wciąż nadchodziły, coraz bardziej płomienne. Olga powiedziała, że wiedźma za parę florenów odwołała swoje czary, za co Erika dziękowała jej ze łzami w oczach. Kolejne przesyłki zdawały się dziennikiem jej własnego życia. Jak gdyby A.F. obserwował ją, nawet szpiegował, lecz pisał o wszystkim tak pięknie, z taką miłością i szacunkiem, że w Erice nigdy nie zbudziły się żadne podejrzenia. Jej adorator w zawołany sposób napomykał o dolegliwości, jaka go dręczy: wynikało z tych aluzji, że ma kłopoty z mówieniem. Ale dla Eriki nie miało to najmniejszego znaczenia. Daleka od odtrącenia tajemniczego młodzieńca, uznała, że przydaje mu to aury wzruszającej bezbronności. Kiedy stanie przed nią, obejmie go najczulszym uściskiem, stale sobie powtarzała.

Modlitwy Eriki wreszcie zostały wysłuchane. W jednym z listów chłopak zawiadomił ją, że niebawem się spotkają. Błagał ją tylko o jeszcze trochę cierpliwości. A od chwili, kiedy się spotkają, będą razem. Na zawsze.

Z płonącymi policzkami i bijącym sercem, uszczęśliwiona, pokazała list Oldze. Uściskały się i przyjaciółka ojca życzyła jej szczęścia. Obie płakały.

Erika nie zauważyła smutku w błękitnych oczach Olgi. Jej łzy powiązała z emocjonującą chwilą, ale tego dnia i w ciągu wszystkich następnych jej przyjaciółka i powierniczka poruszała się jak duch, wlokący za sobą najcięższe kajdany. Lorenz zauważył jakąś różnicę, lecz ukończenie druku wprowadziło go w stan takiej szczęśliwości, że uznawszy, iż jej zachowanie jest efektem zmęczenia, nie zwracał na to uwagi.



Johann przyszedł na kolację ze stągwią wina i wielkim bochnem świeżo upieczonego chleba. Olga i Erika przebrały się w swoje najelegantsze stroje, nie tyle dla księgarza, ile po to, aby sprawić przyjemność Lorenzowi, któremu bardzo zależało, żeby spotkanie miało specjalną oprawę. Minął tydzień od czasu oddania kopii i tajemniczy mecenas nie wystąpił z żadnymi zarzutami, Lorenz uznał zatem, że jego niekonsultowany krok nie spotkał się z dezaprobatą.

Kiedy pytał Johanna, czy pośród jego ostatnich nabytków znalazło się jakieś niebezpieczne dzieło, księgarz odwracał wzrok i dawał wymijające odpowiedzi. Ubawiony sytuacją Lorenz nadal

go wypytywał, odsuwając moment, kiedy wyjawi mu, dlaczego go zaprosił.

Erika i Olga, odważne współniczki całego przedsięwzięcia, przysłuchiwały się, nie otwierając ust. Staraly się nie uśmiechać, kiedy księgarz przyciszał głos, żeby wymienić ryzykowne tytuły albo wygłosić mało ortodoksyjne poglądy.

W pewnym momencie Johann zapytał, czy Lorenzowi udało się dowiedzieć czegoś na temat sprzedaży kopii Ewangelii w języku niemieckim. Wówczas na umówiony wcześniej znak złotnika Olga wyjęła z komody niewielką paczuszkę, podała ją Erice, ta zaś przekazała ją ojcu, a Lorenz ceremonialnym gestem wręczył przyjacielowi.

– Zapomnij o naszym kliencie i jego tajemnicach; zrobiłem jedną kopię więcej. To jest dwieście pierwszy egzemplarz. Specjalnie dla ciebie, Johannie.

Księgarz wziął Biblię do ręki z nieopisaną radością; można by w tym momencie zgasić wszystkie lampki i świece, a malujące się na twarzy Johanna szczęście wystarczyłoby do oświetlenia całego pokoju.

Zajadali się pysznymi daniami i prowadzili ożywione rozmowy, ale Johanna nękała jedna sprawa, o której nic nie mógł powiedzieć w czasie tego cudownego wieczoru: pomimo starań nie dowiedział się, od kogo pochodzą zlecenia. Ani nawet z jakiego miasta. Trzymał książeczkę na kolanach, pilnując, żeby nie spadła, i starał się odpędzić niepokój. Wzniósł toast z przyjaciółmi, świadomy, że coś mu unyka, i szeroko się uśmiechnął.

Po kolacji tylko księgarz zauważył zatroskany wzrok Olgi. W pewnym momencie spojrzała na niego, a w tym spojrzeniu kryła się prośba, aby nie dał po sobie niczego poznać. Nie chciał psuć przyjemnej atmosfery i tylko ledwo zauważalnie skinął głową. Popatrzył na palenisko. Ogień płonął żywo, a mimo to przeniknął go nagły dreszcz.

Słońce wpadało ukośnie przez olbrzymie okna biblioteki w pałacu arcybiskupa. Wiosna zawitała na dobre i nareszcie można było odetchnąć po długiej zimie, która na tej szerokości geograficznej trwała dłużej, niż wynikałoby to z kalendarza. Na marmurowym stole, niedużym i okrągłym, stała srebrna rzeźbiona taca, a na niej smakowity posiłek: suszone owoce, wędzony łosoś, biały chleb, masło, mleko, konfitury... Obok, ułożona w stosik, leżała korespondencja i wszelkie raporty, które w opinii sekretarzy mogłyby zainteresować Jego Ekscelencję.

Pulchna figura arcybiskupa przemieszczała się z impetem po błyszczącej posadzce. Von Moers miał na sobie długi jedwabny płaszcz, z brzegami zdobionymi sobolowym futrem, którego fałdy układały się miękko, niczym ciało pełzającego węża. Usiadł w wielkim fotelu przy stole i zaczął skubać suszone owoce; delektował się nimi, ale na jego twarzy malowała się niechęć. Jadł jak ptaszek, ale nieustannie. Ukrywał swoje łakomstwo, udając powściągliwość.

Spośród dokumentów otrzymanych tego dnia jeden zwrócił jego uwagę. Odsunął na bok pakiety z listami, w których zawsze proszono o pieniądze w przesadnie uprzejmych słowach, i wziął do ręki niewielką książkę w nowiutkiej oprawie. Wyglądała niewinnie, jak jedna z wielu nowości, które kopiści rozrzucają po całym obszarze Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego przysyłali mu do zaakceptowania. Zaczął przeglądać ją z umiarkowanym zainteresowaniem, jak ktoś, kto zabiera się do czytania bajek Ezopa.

Ale nagle krew zaczęła mu pulsować w skroniach, a w oczach pojawił się błysk wściekłości, o ile tak wysoko postawiona osobistość mogła pozwalać sobie na tak spontaniczne okazywanie odczuć. Książka była przekładem Ewangelii na niemiecki, czymś, czego nikt nigdy przedtem nie oglądał, co nigdy nie istniało. Z pewnością często słychać było głosy krytyków rzymskiego zwierzchnictwa domagające się przekładów na języki narodowe, ale nikomu nie udało się tego dokonać. Arcybiskup słyszał tylko o jednym przypadku, na wyspach zachodnich, ale ów tłumacz nie znajdował się już wśród żywych i nic o swojej pracy nie mógł powiedzieć. Von Moers odłożył książkę na stół, powściągnął furie i zaczął szperać między papierami. Zdawało mu się, że z książką przyszedł list, i rzeczywiście, list okazał się anonimowym donosem. Furia znowu dała o sobie znać i arcybiskup jednym ruchem zrzucił ze stołu wszystkie dokumenty.

Równie wściekłym ruchem szarpnął za sznur zwisający obok fotela. Natychmiast pojawił się kleryk, pełniący funkcję osobistego sekretarza, i czekał, aż arcybiskup się do niego odezwie. Coś musiało się stać: Jego Ekscelencja nigdy nie pozwalał, aby mu przeszkadzano w czasie posiłku. Spojrzawszy na tacę, kleryk zobaczył, że nawet syryjskie figi leżały nietknięte. Von Moers trzymał w dłoniach niewielką książeczkę i sprawiał wrażenie, że myślami jest bardzo daleko.

W wielkiej pałacowej bibliotece jego głos zabrzmiał jak trzask pioruna.

– Niech mi tu natychmiast przyjdzie burmistrz!



Prowadzony przez szambelana Heller Overstolz szedł korytarzem, z trudem ukrywając irytację. Udzielał akurat audiencji, kiedy pojawił się posłaniec z żądaniem bezzwłocznego przybycia do pałacu arcybiskupa. Żadnej innej informacji mu nie przekazano. Ta kolejna

interwencja władzy kościelnej spowoduje, że znowu będzie musiał zmienić porządek spraw w ratuszu. Ponadto tego rodzaju wezwania zazwyczaj niosły ze sobą kłopoty i zmartwienia, a tolerował je tylko dlatego, że nie miał innego wyjścia. Pocięszał się jedynie myślą, że z pewnością nadejdzie kiedyś dzień, w którym nie będzie musiał się podporządkowywać kaprysom arcybiskupa. Choć nie miało to raczej nastąpić w bliskiej przyszłości.

Przed drzwiami do biblioteki stał kleryk. Na widok Hellera otworzył je natychmiast i zapowiedział jego przybycie. Następnie cofnął się o krok, przepuścił burmistrza przed sobą i cicho zamknął drzwi. Arcybiskup spojrział na przybysza i tylko uniósł brwi.

Heller zbliżał się zdecydowanym krokiem, lecz napotkawszy twardy wzrok księcia elektora, wielkiego Dietricha von Moersa, arcybiskupa Kolonii, stracił energię. Gdy był już blisko, rzucona z całej siły książka upadła na wypolerowaną podłogę: dźwięk podobny był do plusku wody. Zatrzymała się tuż przy butach burmistrza, eleganckich, brązowych, z długimi noskami. Spojrział ze zdziwieniem na arcybiskupa, po czym schylił się, by podnieść książkę. Otworzył usta, chcąc wygłosić powitalną formułkę, ale nie udało mu się powiedzieć nawet słowa.

– Czy to ty może jesteś Heller Overstolz, burmistrz tego miasta? Czy to ty jesteś odpowiedzialny za bezpieczeństwo wolnego miasta Kolonii? – grzmiał von Moers tubalnym głosem.

Kompletnie zaskoczony, burmistrz wydukał:

– T... Tak. Ja...

– A, nie. Myślę, że nie. Jesteś po prostu chytrym i durnym urzędniczyzną, ślepym na wszystko z wyjątkiem własnych interesów, nie widzisz nic poza czubkiem własnego nosa – mówił arcybiskup impertynenckim tonem.

Heller zamierzał odeprzeć atak i powiedzieć, że nie jest żadnym urzędniczyzną i że potrafi podejmować własne decyzje, ale w końcu zmilczał. Nigdy nie pozwalał, aby ktokolwiek tak się do niego zwracał, jednak teraz sprawa musiała być poważna. Kiedy zostanie rozwiązana, być może weźmie odwet za upokorzenie. Tymczasem, pomyślał, rozsądnie będzie odczekać.

– Nie odpowiadasz? Czy to ja mam może wykonywać za ciebie twoją robotę? – pytał dalej arcybiskup. – Czy wiesz, co to jest?! To, co trzymasz w rękach?

Odkąd Heller zajął się polityką, nauczył się, że na atak należy odpowiadać atakiem, ale tym razem był tak skonsternowany, że nie potrafił znaleźć właściwych słów.

– Książka.

– Książka, książka – przedrzeźniał go arcybiskup. – I nic więcej nie wiesz? Widziałeś, co w niej jest?

Heller otworzył ją i przeczytał kilka wersów.

– Wygląda na Ewangelię – rzekł.

– Rzeczywiście, ale nie wydaje ci się dziwne, że je rozumiesz? – spytał von Moers, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

– Dlaczego mam nie rozumieć? Napisane są w naszym języku... – Uświadomiwszy sobie, co powiedział, burmistrz zamilkł.

– Na Boga Ojca, czy zdajesz sobie sprawę, co mogłoby się stać, gdyby ta książka znalazła się w powszechnym użytku, gdyby ją czytał każdy, kto chce? Ci głupcy uznaliby, że sami potrafią znaleźć drogę do Boga... Nie będą potrzebowali pośredników, powstanie nieopisany zamęt, w konsekwencji Kościół straci swoją moc. Zapanuje chaos. Chaos! – krzyknął. – Tylko my mamy wiedzę i umiejętność rozumienia i głoszenia Słowa Bożego. My! – Z wściekłością uderzył się w pierś.

Burmistrz spokojnie słuchał. Próbował nie zwracać uwagi na egzaltację arcybiskupa, lecz

wyraźnie dojrzał jego obawy. Pomyślał, jak niewiele dla niego, polityka, znaczą przywileje Kościoła i utrzymywanie sytuacji, dzięki której sprawował najwyższą władzę w mieście, stał się szarą eminencją, nie zawsze pozostającą w cieniu. Właśnie dla niego, który starał się oddzielić sfery działania Kościoła od zarządzanej przez niego sfery administracyjnej. Von Moers zdawał się czytać w jego myślach.

– Możesz być pewny, że jeśli ja upadnę, wielu za sobą pociągnę. Kamień na kamieniu nie zostanie z tego miasta. Kolonia to ja. Bez względu na to, jak bardzo cesarz Zygmunt Luksemburski i papież Eugeniusz wywyższają siebie – ostrzegł księżę elektor.

– Rozumiem. Proszę zostawić to mnie, Wasza Ekscelencjo księżę arcybiskupie.

– Niczego nie rozumiesz, Heller – powiedział von Moers z pogardą. – Zawiodłem się na tobie. I jeśli teraz nie poczynisz skutecznych kroków, dowiesz się, jak daleko sięga długie ramię Świętego Kościoła katolickiego.

Niecierpliwym ruchem dłoni wskazał mu drzwi.

To wystarczyło, aby burmistrz zrozumiał, że rozmowa została zakończona. Skłonił głowę i twarzą zwrócony w stronę von Moersa, cofał się do wyjścia. Drzwi za jego plecami otworzyły się i Heller za nimi zniknął. Wzrok arcybiskupa spoczął na błyszczących szybach w oknach, dzielących bibliotekę od ogrodu, a dłoń sięgnęła do miseczki z suszonymi figami. Ginęły jedna po drugiej w mięsistych różowych ustach.

Wszedł kleryk. Arcybiskup z niewzruszonym spokojem jadł owoce, powoli, lecz bez ustanku. Jego asystent pomyślał, że być może pomylił się i Jego Ekscelencja w ogóle go nie wzywał. Czekał jednak cierpliwie. W końcu, nie zmieniając pozycji, von Moers powiedział:

– Wyślij posłańca do Nikolasa Fischera. Przyjmę go o zmroku.



Heller wyszedł z pałacu arcybiskupa z nieprzyjemnym uczuciem. Omal go żółć nie zalała. Nie godził się na pogardliwe traktowanie, a von Moers ośmielił się go znieważać. Jednak na razie nie mógł pozwolić sobie na zemstę, w każdym razie nie na tym, na którym najbardziej chciał się zemścić. Pomyślał, że jedyne, co może zrobić, to skierować urazę na człowieka odpowiedzialnego za spowodowanie tej trudnej sytuacji. Znajdzie go, a wtedy ten zapłaci za krzywdę burmistrza.

Przypomniawszy sobie, że kilka miesięcy wcześniej wyświadczył przysługę Nikolasowi. Wiedział o jego mrocznych związkach z potajemnie kopiowanymi książkami, które – według niego – były zupełnie nieszkodliwe, powstawały jedynie ku uciesze ważnych osobistości. I teraz w nagle wyostrzonej i żądnej krwi świadomości Hellera Overstolza zrodziła się wątpliwość. Popęłił poważny błąd, postąpił wbrew regule, dzięki której znalazł się tak wysoko: nigdy nikomu nie ufać. Czy było możliwe, że Nikolas Fischer, jego wspólnik w różnych mało przejrzystych sprawach, ośmielił się zgrzeszyć przeciwko rygorystycznym normom Kościoła? Czy było możliwe, że zrobił to za jego plecami, zdradził jego zaufanie? Jeśli tak, on to ujawni.

Gdy wrócił do ratusza, zebrał wokół siebie grupę najlepszych żołnierzy ze straży, z których większość posiadała dostateczną umiejętność czytania. Wkrótce rytmiczny stukot podbitych metalem obcasów rozbrzmiewał w wąskich uliczkach. Mieszkańcy Kolonii już się domyślili, że nad ich głowami zawisło niebezpieczeństwo. Nikt nie wiedział, jakie popełniono przestępstwo, lecz z pewnością tego kwietniowego dnia ktoś ze skruchą się do niego przyzna.



W skryptorium Nikolasa Fischera, jak zawsze, panowała cisza, przerywana jedynie syczeniem świec i chrobotem piór posuwających się po papierze. Gdzieś przeleciała mucha. Kiedy więc usłyszano walenie do drzwi, wszyscy przeczuwali, co się stanie. Kopiści spojrzeli na Nikolasa, który siedział przy swoim dużym stole, sprawiając wrażenie osoby oczekującej tej wizyty. Zabrzmiały trzy kolejne gwałtowne uderzenia w drzwi. Nikolas położył pióro na stole i cienkim patyczkiem zaznaczył stronę w otwartej książce na pulpicie. Zamknął ją, po czym ręką dał uspokajający znak Helmuthowi i wolnym krokiem podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, wściekłe spojrzenie Hellera przeszło go jak zatruta strzała.

– Nie wyglądasz na zaskoczonego... – zauważył burmistrz, przekroczywszy próg skryptorium.

– Cieszę się, że mogę pana burmistrza przyjąć w naszym skromnym miejscu pracy. Wszyscy są tutaj mile widziani, a obecność pana burmistrza sprawia nam szczególną radość – odparł Nikolas spokojnym głosem.

Overstolz spojrział na niego z ukosa.

– Arcybiskup otrzymał doniesienie o tym, że na terenie Kolonii krążą nadzwyczaj niebezpieczne książki. To twoja dziedzina! – krzyknął. – Co o tym wiesz?

Nikolas udał lekkie zdziwienie i powiedział łagodnie:

– Proszę mówić ciszej. O moich książkach... „specjalnych” arcybiskup doskonale wie. Nie ma chyba zamiaru z ich powodu się teraz niepokoić.

– Otóż ta książka go zaniepokoiła. I nie bez powodu. Gdzie są? Gdzie je ukrywasz? Spróbuj tylko mnie oszukać. – Overstolz pogroził palcem tuż przed twarzą kopisty. Nikolas nie drgnął.

– Moje książki są zawsze kopiowane na zamówienie. I nie ma w nich nic niebezpiecznego.

– Nie wierzę ci.

Nikolas zorientował się, że samymi słowami sytuacji nie załagodzi.

– Więc co mam zrobić? Nigdy bym się panu nie sprzeniewierzył. Dzięki panu burmistrzowi jestem tu, gdzie jestem – skłamał. – Ale jeżeli pan mi nie ufa... Herr Gebel! – krzyknął. – Proszę towarzyszyć tym ludziom i niech sprawdzają, co chcą.

Helmuth z odległości obserwował obu mężczyzn. Drgnął na dźwięk swojego nazwiska. Kiedy zobaczył, że pierwszy żołnierz daje znak swoim ludziom, z niezbyt tęgą miną stanął przed nimi. Przelotny uśmiezek pojawił się na twarzach kilku młodych kopistów, ale zaraz zniknął; zdawali sobie sprawę z wiszącej nad nimi groźby. Podważenie zaufania do skryptorium ze strony władz miasta oznaczało głód i nędzę dla wszystkich.

Żołnierze szli między stołami, rzucali się na leżące na nich książki, przewracali kartki, szukali skrytek, spodziewając się w nich coś znaleźć. Podzielili się na dwie grupy: jedni szperali przy stołach kopistów, pozostali rewidowali stoły i półki w centralnej części skryptorium, gdzie często przechowywano materiały dla kopistów. Wszystko to po chwili znalazło się na podłodze.

– Co właściwie zamierzacie znaleźć? – spytał Nikolas. – Może byśmy zaoszczędzili czas i pieniądze, gdybyśmy ustalili, co to ma być. Przede wszystkim pieniądze.

– Doskonale wiedzą, czego szukają – odparł burmistrz, nie patrząc na niego. – To mała książka z okładkami z cienkiej miękkiej skóry. Ale mają rozkaz nie przepuścić niczego.

– Niech więc się przestaną trudzić. Takich książek nigdy tu nie robimy.

Na ich oczach trwał spektakl zniszczenia. Kałamarze spadały na kamienną posadzkę, rozbijały się na drobniutkie kawałeczki, a ich czarna zawartość rozlewała się dookoła. Pióra się łamały, skopiowane strony latały w powietrzu. Uczniowie nie odważyli się nawet podnieść głów, ale czeladnicy gotowi byli protestować. Patrzyli na swojego mistrza, oczekując jednego słowa, lecz powstrzymali się, widząc w jego oczach milczący zakaz. Gdy obie grupy skończyły

przeczesywanie stołów i magazynu – pod gniewnym wzrokiem Helmutha – zabrali się do kopistów. Obszukiwano ich, a jeśli któryś nie chciał, aby go dotykano, gestem prostym i skutecznym był ostrzegany, że spotkać go może coś dużo gorszego.

Nikolas był tym widokiem zgnębiony. Wydawało mu się, że patrzy na wybuch ślepej, niszczycielskiej siły barbarzyńców. Zwrócił się do Hellera. Musiał się dowiedzieć, jaką rolę odgrywa on w tej sytuacji.

– Czy jestem o coś oskarżony? Przysięgam, że ja...

Burmistrz nie pozwolił mu dokończyć.

– Nikt cię o nic nie oskarża. Ale w razie gdybyś zapomniał, to ty prosiłeś o pozwolenie na wwiezienie do Kolonii towaru niewiadomego pochodzenia. Kto mi powie, że to nie były te właśnie książki?

– Ja ci to mówię, Heller. – Nikolas ośmielił się zwrócić do burmistrza po imieniu. – Nie było tam ani jednej książki. Masz moje słowo. Nasze skryptorium to nie żaden interes na wielką skalę. Zawsze przedkładaliśmy jakość nad ilość. Książki kopiujemy dla elity, nie dla motłochu... – tłumaczył, używając pogardliwych słów, jakie nieraz zdarzyło mu się usłyszeć z ust władzy miejskiej.

Dowodzący oddziałem żołnierzy podszedł do burmistrza i bezceremonialnie przerwał Nikolasowi. W zimnych oczach widać było ślepe oddanie. Patrząc na niego, Nikolas pomyślał, że taki zbir, gdyby dostał rozkaz, bez wahania wbilby sztylet w serce każdego z kopistów, nie oszczędziłby też właściciela skryptorium, po czym wytarłby ręce w okrycie zabitego.

– Niczego nie znaleźliśmy, panie burmistrzu.

Overstolz wpił zimny wzrok w Nikolasa. Nie czekał, żeby kopista dokończył zdanie.

– Muszę coś mieć, Nikolasie. Nie wyjdę z pustymi rękami. Powiedz, co wiesz.

Nikolas przypomniał sobie więźnia w budynku miejskiego aresztu, jego przeszywający krzyk. Strach ścisnął go za gardło.

– Szukasz księgi, której my nie kopiowaliśmy. W Kolonii jest wiele osób, które zajmują się kopiowaniem i sprzedają książek. Ponadto największe kłopoty są wewnątrz Kościoła. Po cóż ja miałbym na siebie jakieś ściągać? Moje sprawy dobrze się toczą, sam wiesz...

– Wszyscy chcemy mieć więcej, niż mamy, Nikolasie.

– Pytaj w mieście, w bibliotekach, klasztorach, u introligatorów, księgarzy... Tam szukaj. Winnego znajdziesz wśród nich. Tutaj nie ma nic.

Heller Overstolz patrzył w milczeniu. Pierwsza decyzja okazała się chybiona. Pomyślał, że nie ma co teraz zaciskać sznura na szyi Nikolasa Fischera, chociaż nie wierzył, że jest niewinny, a przynajmniej, że nic nie wie. Był zbyt sprytny i zbyt wpływowy. Niczego w Kolonii nie wydrukowano bez jego wiedzy.

– Zgoda, Nikolasie. Dałeś mi dobrą wskazówkę. Będę tam szukał, ale nie sądzę, że jesteś bezpieczny – ostrzegł go. – Jeśli nie znajdę tego, czego szukam, wrócę tu. Wtedy będziesz musiał przekonać mnie o swojej niewinności. Dzisiaj przekonałeś mnie tylko, że powinienem na później odłożyć podejrzenia. Tylko o tym.

W głowie Nikolasa jeszcze raz rozbrzmiał krzyk torturowanego więźnia. Sprawa, która znalazła się w rękach burmistrza, wymagała zdecydowanych kroków i surowego zakończenia. Przypomniał sobie wyjazd z Al-Andalus, kiedy wiedział, że nigdy nie będzie mógł tam wrócić. Bieg życia niektórych ludzi wyznaczają nieoczekiwane wydarzenia. Przez myśl przebiegły mu obrazy syna, Ilse, Avy, pięknego domu, majątku... A potem pustka. Do wnętrza zdewastowanego skryptorium dochodziły oddalające się rytmiczne kroki żołnierzy. Usunięcie śladów zniszczenia

będzie go dużo kosztować.

Stein Rosberk robił bilans ostatnich dochodów w swoim biurze w introligatorni. Z przyjemnością wdychał silny – dla niego mimo upływu tylu lat wciąż upajający – zapach futer i skór. Jego warsztat mógł liczyć na dobrych klientów tej miary co słynny kopista Nikolas Fischer, który na dodatek ponad rok wcześniej stał się jedynym dostawcą garbowanych skór.

W warsztacie wykonywano różnego rodzaju oprawy. W zależności od przeznaczenia książki oprawa była albo bardzo prosta, albo wyszukanie dekoracyjna. Niemal wszystkie zamawiane przez Herr Fischera mieściły się w tej drugiej kategorii. Oprawy ozdabiane były rzeźbionym marmurem, złotem lub srebrem, emalią i drogimi kamieniami.

Stein usłyszał nagle silne uderzenia do drzwi. Taki łomot nie zapowiada niczego dobrego, pomyślał. Odsunął papiery i wyraźnie zdenerwowany wstał od stołu. Ręce i broda mu drżały.

– Emilu, zobacz, co tam się dzieje.

Jeden z nadzorców, mężczyzna okazałej postury, poszedł otworzyć. Ledwo uchylił drzwi, grupa żołnierzy rzuciła się do środka. Na czele stał człowiek w czerni, z odsłoniętą głową. Nie był to uniform gwardii miejskiej z trzema koronami w herbie i jedenastoma płomieniami na pancerzu. Stein rozpoznał w nim Rolfa Rysena, pracownika ratusza, poborcę podatkowego, słynącego z przymiotów innych niż przyjazna natura. Stein nie znał go osobiście, lecz gdy poborca się zbliżył, mógł potwierdzić słowa tych, którzy musieli spełniać jego kategoryczne żądania: kosmyki rzadkich jasnych włosów na czole, cienki nos, którym zdawał się węszyć, i małe oczka ukryte pod gęstymi brwiami – wszystko to nadawało mu wygląd szczura.

– Wypełniamy rozkazy Jego Ekscelencji burmistrza Hellera Overstolza. Mamy przeszukać cały warsztat i sprawdzić, czy książki, które tu oprawiacie, nie przekraczają przepisów przewidzianych przez nasze słuszne prawo – oznajmił, nie czekając na odpowiedź.

Stein drżącą ręką przecesał siwe włosy. Głos mu uwiązł w gardle. Wszystkim znane były sposoby, jakie stosował burmistrz Overstolz, żeby zdobyć informacje o sprawach, które badał. A skoro przysłał Rysena, musiało to być coś bardzo poważnego. Początkowo Stein myślał, że poborca przyszedł po nowe podatki. Dlatego wzmianka o książkach zupełnie go zaskoczyła.

– Wy jesteście Herr Stein Rosberk? – upewnił się Rysen.

– Tak, tak. Proszę, wchodźcie. – Introligator odzyskał głos. – Szukajcie, gdzie chcecie. Tutaj nie zajmujemy się takimi książkami. Nigdy bym nie naraził mojego dobrego imienia...

Rysen chudą ręką dał znak, aby żołnierze weszli dalej. Szybko rozbiegli się po wszystkich zakamarkach warsztatu i wszystko, co się znalazło na ich drodze, rzucali na podłogę. Ze stosów książek chwyтали jeden egzemplarz po drugim, śledzeni surowym wzrokiem poborcy. Stein kręcił w zdumieniu głową i zagryzał wargi.

Najpierw zabrali się do tych, których było najwięcej, tych, które miały zwykłe oprawy z pergaminu lub skóry. Gdy z nimi skończyli, Rysen kazał im przeszukać miejsce, gdzie jeszcze nie byli. Stojąca tam kobieta, z igłą w dłoni, zasłaniała kilka stosów książek już oprawionych, gotowych do wysłania. Bez odrobiny szacunku żołnierze pchnęli ją na podłogę, a potem chwyтали i otwierali książki grzbietami do góry tak, aby poborca je widział. Stein, kulejąc, podszedł do młodej pomocnicy, która wstrzymując łzy, nie ruszała się z miejsca, gdzie upadła. Wśród książek

nie było tego, czego szukali, lecz w tej szarpaninie wyrywali strony i okładki, z których większość została pozbawiona cennych ozdób.

Stein czuł, że się dusi. Kiedy był zdenerwowany, twarz i delikatne uszy pokrywały się krwistą czerwienią i zaczynało mu brakować powietrza. Starał się nie okazać gniewu, bo wiedział, że sprowadzi to na niego jedynie kłopoty. Ale kiedy Rysen zwrócił się do niego, nie mógł ukryć płonącej z wściekłości twarzy.

– Co wam jest? – zapytał poborca, jakby coś podejrzewał.

– Nnn... Nic – odparł. Usiłował brzmieć przekonująco i wznosił modły, żeby wróciła zwykła bladość.

– Jesteście pewni? – Rysen zmrużył oczy.

– Nic mi nie jest.

Wysłannik burmistrza zamknął usta, ale nieustannie nimi poruszał, tak jak i nozdrzami, jakby chciał wywąchać ofiarę. Cały czas wydawał żołnierzom nowe polecenia, każąc im sprawdzać te same miejsca, w których już byli. Z każdym rozkazem głos stawał się bardziej władczy, a co chwila przymykane oczy ciskały gromy. Powtarzał podwładnym, aby sprawdzili każdy zakamarek warsztatu, a oni skrupulatnie wykonywali polecenie, zaczynając plądrowanie od nowa. Rysen pobudzał swoich ludzi do agresywnego zachowania, a ci zupełnie bez sensu niszczyli wszystko, czego dotknęli. W kącikach jego ust dał się zauważyć złośliwy uśmiech, widok tej dewastacji sprawiał mu przyjemność.

Teraz przeszli do biura właściciela. Wszystkie starannie ułożone dokumenty latały w powietrzu. Pieczęcie, pióra, pudełka dotąd stojące na półkach, znalazły się na podłodze, deptane ciężkimi buciorami żołnierzy. Drzwi szaf otwierane kopniakami i pięściami rozpadały się na części, nawet stół został zniszczony, podobnie jak kilka wiszących na ścianie dekoracyjnych płócien.

Kiedy nie pozostał żaden kąt do przeszukania, poborca dał sygnał odwrotu. Chcąc dać do zrozumienia, że zniszczenia dokonane zostały niezupełnie bez powodu, na pożegnanie krzyknął z groźbą w głosie:

– To nie jest ostatni raz!

Z Rysenem na czele żołnierze w milczeniu opuścili warsztat. Stein stał nieporuszony. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, wziął do ręki kilka porwanych egzemplarzy i zaczął zbierać z podłogi brakujące strony. Powoli się uspokajał i pąsowy kolor zniknął z twarzy. Ogarnięty przejmującym smutkiem nie był w stanie powstrzymać łez.



W niewielkim warsztacie kopistów, którym kierował brat Fremont Watson, panowała, jak zwykle, niezmacona cisza. Nie pracowało tu wielu zakonników, gdyż przyklasztorny kościół Świętej Łucji nie należał do najbardziej znanych. Mieścił się w Deutz, na przeciwnym brzegu Renu. W rezultacie starego sporu o tereny ziemskie, sprzed lat i z innym arcybiskupem, klasztor został odsunięty od ważnej strefy działań Kościoła nie tylko pod względem terytorialnym, ale i ekonomicznym. Opat miał do dyspozycji niewielkie środki na utrzymanie klasztoru i ziemi, na której się znajdował.

W ostatnich latach znacznie zmniejszyła się liczba zamawianych ksiązek, i w konsekwencji dochody Fremonta Watsona. Papier i farba były drogie, a nie zawsze mógł liczyć na uzyskanie kredytu, mimo łaskawości niektórych pobożnych kupców.

Ostatnie zamówienie przyjął od bogatego kupca, który chciał olśnić narzeczoną pięknym egzemplarzem brewiarza. Młoda dama nie rozumiała ani słowa po łacinie, ale złota oprawa, jakiej

zażyczył sobie kupiec, warta była więcej niż niejeden klejnot. Lecz człowiek ten, posiadacz wielkiego majątku, znany był z niechęci do rozstawania się ze swoimi guldenami. Tak więc większa część ustalonej ceny musiała być przeznaczona na materiały i w efekcie opat miał otrzymać za całą pracę absurdalnie małe pieniądze. Ale zgodził się. Cóż innego mógł zrobić?

Teraz brat Fremont z wielką uwagą rysował jedną z miniatur. Wzrok miał już gorszy niż kiedyś i niełatwo szło mu zrobić dobrą kopię. Efekt zapewne nie będzie doskonały, lecz nie mógł się teraz nad tym zastanawiać.

Usłyszał jakieś krzyki, ręka mu drgnęła i źle pociągnął kreskę. Zirykowany, podniósł głowę. Zmarszczył brwi, kiedy zobaczył, że pozostali kopiści też przerwali pracę. Jeszcze czekał, chcąc się upewnić, czy hałas nie był przypadkiem wytworem wyobraźni. Twarz miał sympatyczną i krótkie ciemne włosy zmierzwił wokół równiutko wygolonej tonsury. Ponieważ znowu usłyszał hałas przy drzwiach, położył pióro koło kałamarza, wstał i ciężkim krokiem poszedł je otworzyć. Stary i przysadzisty, posuwał się powoli, powłócząc nogami. Wydawało się, że za chwilę potknie się o własny habit. Kiedy otworzył wielkie podwoje, ujrzał osobnika o twarzy gryzonia.

– Wy jesteście Fremont Watson, opat tego klasztoru?! – zawołał przybysz.

– We własnej osobie – odparł zakonnik, spoglądając okrągłymi, bystrymi oczami na nieznanego. – A wy kto jesteście? Jak weszliście do klasztoru?

– Nazywam się Rolf Rysen, jestem poborcą podatkowym w Kolonii. Przyjeżdżamy z wyraźnym rozkazem Jego Ekscelencji burmistrza Hellera Overstolza, aby przeszukać wasze książki i sprawdzić, czy wszystkie są dozwolone przez chrześcijańskie prawo.

– A jakim innym prawem mam się rządzić?

Rysen niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

– Ja tylko spełniam rozkazy.

– Arcybiskupa? – chciał się upewnić opat.

– Nie. Już mówiłem, że przysłała nas Jego Ekscelencja...

– Burmistrz Heller Overstolz. Tak, tak. Słyszałem.

Brat Fremont nie okazywał niepokoju. Miał wątpliwości co do tego, czy burmistrz miał prawo rozciągać jurysdykcję na teren jego klasztoru, ale w ciągu całego życia był świadkiem tylu oburzających aktów ze strony arcybiskupa, że nie zamierzał denerwować się taką drobnostką. Niech sobie szukają, czego chcą, uznał. Nie znajdą żadnego powodu, żeby go o cokolwiek oskarżać. Odsunął się i wpuścił mężczyzn do środka.

– Szukacie czegoś konkretnego?

– Tego nie musicie wiedzieć.

– W porządku – odparł brat Fremont i wrócił do swojej pracy.

Kiedy żołnierze wyrzucali na podłogę stosy papieru i książki, zakonnicy siedzieli nieruchomo przy stołach i przyglądali się temu w niemym przerażeniu. Tylko opat pracował dalej, ignorując obecność dzikusów. Nie miał zamiaru marnować czasu.

Przeszukanie niewielkiego warsztatu, tak prostego i skromnego, nie trwało długo. Oprócz stołów i paru półek nie było tam żadnych mebli, nie było innych pomieszczeń ani żadnych zakamarków.

– Tylko tyle macie książek? – spytał Rysen z niedowierzaniem.

– Tak, nie mamy wielkich możliwości, jak widzicie.

– A biblioteka? Gdzie jest?

Starając się ukryć gniew, jaki czuł na myśl, że żołnierze dokonają takiego samego spustoszenia jak w warsztacie, opat zaoferował się ich tam zaprowadzić. Prosił tylko, żeby starali się jej nie

zniszczyć, gdyż nie ma za co kupić nowych książek. Jednak na to Rysen miał jedną odpowiedź:

– Ja tylko spełniam rozkazy.

Brat Fremont poszedł przodem. Wąskimi korytarzami, a potem po schodach doszli do biblioteki. Wzdłuż czterech ścian stały wysokie półki. Przedstawiały smutny widok. Na każdej półce widniały puste miejsca, kiedyś zajęte przez inne książki. Zakonnicy musieli ich wiele sprzedać, żeby móc przetrwać w czasach wielkiej biedy. Zostały im zwykle książki, w zniszczonych oprawach ze skóry, o wartości raczej emocjonalnej niż intelektualnej. Mimo to dla opata Fremonta Watsona była to najcenniejsza część klasztoru.

Żołnierze rzucili się do półek. Wyszarpili książki niecierpliwymi ruchami, jak sępy szukające padliny. Jeśli nie byli pewni, pokazywali je Rysenowi, a potem ciskali na podłogę. Opat stał w milczeniu przy drzwiach, czekając, aż zniszczą, co im zostało do zniszczenia. Pomyślał, że zapewne z woli Boga został poddany kolejnej próbie.



Johann Buchmann miał sen o lekko rozkołysanym bezkresnym lazurowym morzu. Siedział w głębokim fotelu przy palenisku na piętrze księgarni i zapadł w poobiednią drzemkę. Książka, którą czytał, spadła na podłogę, a ręka zwisała z poręczy fotela.

I nagle, wydawać by się mogło bez powodu, ten idylliczny obraz rozpadł się na drobne kawałeczki. Zdezorientowany,

Johann otworzył oczy i zobaczył człowieka, którego nigdy przedtem nie widział. Oddział żołnierzy z marsowymi minami stał na schodach. Pomyślał, że może to jakiś senny majak, ale kiedy poczuł silne uderzenie w twarz, wiedział, że jest to bolesna rzeczywistość. Co robią żołnierze w moim domu? – zastanawiał się. Z pewnością nic dobrego.

Wyskoczył z fotela. Przetarł oczy i zapytał uprzejmie:

– Czym... czym mogę służyć?

– Drzwi były otwarte – oświadczył człowiek w czerni. – Nazywam się Rolf Rysen. Wypełniamy rozkazy burmistrza. Mamy przeszukać księgarnię i sprawdzić wszystkie książki. Musimy się upewnić, że prawo nie jest naruszane.

Johann uniósł ze zdziwienia brwi, ale poczuł, że kark mu tężeje. Okazał spokój, wiedząc, że musi trzymać nerwy na wodzy. Nagły głośny trzask płonących drewnien przerwał ciszę, człowiek w czerni odskoczył od kominka i niecierpliwie czekał na odpowiedź księgarza.

– Służę z największą przyjemnością. Książki, które sprzedaję, są na dole. Możecie szukać, ile chcecie – powiedział szybko.

Rysen zszedł po schodach, a za nim jego ludzie. Natychmiast zaczęli wyrzucać książki wypełniające wszystkie półki. Johannowi serce zamarło, kiedy wyobraził sobie, co po sobie zostawia: setki powyrywanych kartek, walających się po podłodze, poplamionych, podartych. Ale nie to go w tej chwili najbardziej niepokoiło.

Wychylił się ze schodów, chcąc się upewnić, że żołnierze są pochłonięci wypełnianiem rozkazu. W jednym kącie pokoju na górze stał stół, przy którym czasem pracował. Poszedł tam po cichu i otworzył małą szufladkę. Serce zaczęło mu bić jak oszalałe i ręce drżały ze zdenerwowania. Szybko wyjął książkę z Ewangeliami, prezent od Lorenza, i przycisnął do piersi, jakby chciał ukoić przyspieszony oddech. Czytał ją tego dnia.

Nieostrożnością było trzymać ją w tej szufladzie, zamiast gdzieś ukryć. Spojrzał wokół siebie: półki, szafki, kanapa... Znowu wychylił się ze schodów, musiał wiedzieć, jak dużo czasu mu zostało. Stąpając ostrożnie, by nie zatrzeszczał ani jeden stopień, wrócił do sypialni. Podszedł do

stojącej w rogu ciężkiej komody z metalowymi nitami. Położył na niej książkę i z wielkim wysiłkiem, jak najciszej, zaczął powoli odsuwać mebel od ściany. Za wszelką cenę nie mógł dopuścić, żeby się z hukiem przewróciła. Kiedy wreszcie uznał, że wystarczy mu miejsca, przytrzymał komodę, ale nie zauważył sterczących gwoździ i pokaleczył sobie palce. Wytarł je szybko w kaftan i nie zważając na ból, wyciągnął z muru cegłę. Odwrócił się, by wziąć książkę z komody, lecz czyjeś chude palce zrobiły to przed nim. Kiedy podniósł głowę, napotkał wzrok tego samego człowieka, który uderzeniem w twarz obudził go z drzemki.

– Co tu macie? – spytał. Otworzył książkę i powoli przewracał strony.

Zaciśnięte usta Johanna drżały.

Po chwili usłyszał głos poborcy, czytający zdanie z Ewangelii przetłumaczonych na niemiecki. Na widok wykrzywionej z wściekłości twarzy Rysena poczuł, że strach chwytą go za gardło.

– Co za czelność?! – krzyknął poborca, patrząc na Johanna z obrzydzeniem.

Księgarz rozluźnił mięśnie twarzy. Stał przed nim w milczeniu.

Wściekłość Rysena przekroczyła granice. Ryknął dziko, wzywając żołnierzy na górę, a następnie kazał wyprowadzić księgarza. Mimo że Johann nie stawiał oporu, związali mu ręce jak zwykłemu opryszkowi, brutalnie popychali po schodach tak, że obijał się o ścianę i potykał na stopniach, i wsadzili na czekający na ulicy wóz. Księgarz pomyślał, że spotka go taki sam los jak ojca Wahrheita. Zdrętwiały ze strachu i zimna, wiedział, że nadszedł kres.



Kiedy wóz zatrzymał się przed miejskim więzieniem, Johannem wstrząsnął dreszcz zgrozy. Kamienna budowla wyglądała jak olbrzymi grobowiec. Niewielu z tych, którzy tam wchodzili, kiedykolwiek znowu oglądało światło słońca. Wleczony przez dwóch żołnierzy, przekroczył próg i znalazł się w przedsionku piekła. Za dziedzińcem weszli w długi korytarz, oświetlony płonącymi pochodniami. W ciężkim, wilgotnym powietrzu zewsząd dochodziły majaczące głosy i bolesne jęki.

Nie mógł iść sam. Żołnierze atletycznej budowy trzymali go mocno pod pachami, jak szmacianą lalkę. Doszli do ośmiokątnej sali i tam, bez chwili wahania, skierowali się do jednych z ośmiorga drzwi.

Za nimi Johann zobaczył dwóch mężczyzn. Jednego z nich widział z daleka, gdy ten wygłaszał przemówienie, drugiego ujrzał dopiero teraz.

– Przeprowadźcie go tu – rozkazał burmistrz Overstolz. Przyjrzał się księgarzowi, po czym spytał stojącego obok Rysena: – To on?

– Tak, Wasza Ekscelencjo. To on – odparł poborca, rzucając mściwe spojrzenie. – Znaleźliśmy ten egzemplarz, kiedy usiłował go ukryć, wyglądał jak przerażone zwierzę. Książka jest taka sama jak ta, którą mi opisaliście.

Johann poczuł zimny pot na plecach. Skąd burmistrz miał inny egzemplarz? – przemknęło mu przez głowę. Musiała to być kopia Lorenza. Znowu zdał sobie sprawę, że nie udało im się dowiedzieć, kto te kopie zamawiał. Może Lorenz został wykorzystany. Może wpadł w pułapkę.

– Zostawcie nas samych. Tylko jeden jest mi potrzebny – powiedział Heller do żołnierzy. – Ty też możesz iść – zwrócił się do Rysena.

Gdy wszyscy wyszli, Heller zbliżył się do długiego stołu, na którym leżały różne narzędzia. Wahając się, dotykał kilku, a potem wziął do ręki cęgi.

– Siadaj, przekłety. Powiesz mi, skąd masz tę książkę, a przy okazji... zapłacisz za moją krzywdę.

Johann się nie bronił. Usiadł tam, gdzie mu kazał żołnierz. Wyczuł, że buty ma czymś umazane, a kiedy spojrział w dół, zobaczył na podłodze krew nieszczęśników, którzy siedzieli przed nim na tym krześle. Bez słowa poddał się losowi.

Nawet nie próbował powiedzieć czegokolwiek na swoją obronę. Nic by mu to nie dało. Ostatnią myśl poświęcił Martinowi Wahrheitowi i błagał Boga o siłę, aby nikogo przed śmiercią nie zdradzić.

Przed zapadnięciem zmroku kopista Nikolas Fischer pędził galopem do pałacu arcybiskupa. Nie miał powodu, aby się czegokolwiek obawiać, lecz po wizycie Hellera zrodziła się w nim wątpliwość, której nie mógł się pozbyć. Stajenny przytrzymał konia i Nikolas lekko zeskoczył z siodła. Poprawił kapelusz i udał się do wejścia.

Czekał tam na niego kleryk, który odprowadził go przed oblicze von Moersa. Nikolas przyklęknął, ujął dłoń arcybiskupa i ucałował pierścień. Zauważył, że tym razem dłoń nie jest tak wiotka, jak przy innych okazjach, uznał więc, że należy mieć się na baczności.

– Przypuszczam, że złożył ci wizytę nasz szlachetny burmistrz – odezwał się arcybiskup.

– Wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy.

Duchowny położył ręce na książce, którą trzymał na podolku.

Wyglądała jak mszał, mały i skromny egzemplarz, leżący na bogato zdobionej szacie, pod upierścienionymi palcami. Oprawa nie była zniszczona.

– Ta książka – podniósł ją; w jego ręce wydała się czymś niewinnym, jakimś drobiazgiem – to największa napaść na mój urząd, na moją osobę, odkąd jestem arcybiskupem Kolonii. Haniebna prowokacja.

Podał książkę Nikolasowi, odczekał, aż ten dokładnie ją obejrzy, po czym zapytał bez ogródek:

– Kto to zrobił?

Nikolas się zastanowił.

– Ktoś, kto wie, co robi. To tania książka, ale dobrze wykonana. Staranny układ stron. Ten, kto się tego podjął, zna się na swojej robocie.

– Kto w Kolonii ma takie możliwości kopiowania?

– Tylko ja.

Von Moers spojrział na niego badawczo. Małe źrenice płonęły. Wstał i z dłońmi skrzyżowanymi na plecach podszedł wolno do wysokiego okna. Nie przypominał uduchowionego sługi bożego, za jakiego chciał uchodzić.

– Tak myślałem.

– Ale ja tego nie zrobiłem – powiedział kopista. – Więc nie mam pojęcia, kto to może być. Nie jest zszyta przez zawodowego introligatora, widać ścieg, kilka stron jest luzem, pewno z pośpiechu. Ale tekst jest idealnie równy. – Przekartkował książeczkę i poczuł lekki powiew na twarzy. – Nie ma znaków wodnych, równie dobrze może pochodzić z Wenecji. Czy Waszą Ekscelencję nie łączy szczerą przyjaźń z dożą? – Wolę brudy prac w domu – oznajmił arcybiskup.

– Chodzi mi nie tyle o szukanie winnego, ile o utrzymanie kontroli nad tym, co się w moim dominium publikuje. A tutaj mamy wspólny interes.

– To prawda – zgodził się kopista. Po czym zapytał: – To na pewno wydrukowano w Kolonii?

– Nie ma wątpliwości. Dlatego konieczne będą zmiany we władzach miasta. – Spojrzął na Nikolasa. Przesłanie nie mogło być jaśniejsze.

– Heller zaczął poszukiwania w niewłaściwym miejscu, ale on i jego ludzie z pewnością odnajdą trop.

– Ja też tak sądzę, Nikolasie. Ale to ja musiałem wskazać mu trop, temu psu gończemu. A to mi

się nie podoba.

– Rozumiem.

– Wy, Nikolasie, macie dar trzymania się w cieniu. Nikt nie wie za dużo o waszej przeszłości, o waszej rodzinie. Macie olbrzymią władzę. Ale zawsze mocno stoicie po stronie porządku.

– Byłby to dobry moment na umocnienie tej roli... – powiedział kopista, mając nadzieję, że arcybiskup dokończy zdanie, czym potwierdziłby jego przypuszczenia.

– Jestem pewien, że niedługo będziecie umieli wyciągnąć właściwe wnioski z naszej rozmowy.

Nikolas przełknął ślinę.

– Chce Wasza Ekszelencja powiedzieć...?

Von Moers ruchem ręki powstrzymał go od dokończenia pytania. Powiedział wystarczająco dużo. Od tego momentu działalność kopisty będzie zależała od „wyciągania właściwych wniosków” z jego słów. Arcybiskup, odwrócony tyłem, nadal stał przy oknie, więc Nikolas podszedł, aby przyklęknąć przed wyciągniętą do pocałowania dłonią. Ręka po ucałowaniu wróciła na plecy, a Nikolas wyszedł z gabinetu z pochyloną głową.

Przez otwarte drzwi zajrzał kleryk, chcąc sprawdzić, czy arcybiskup czegoś nie potrzebuje. Zabrał tacę z suszonymi owocami i napar z ziół. Odchodząc, usłyszał:

– Niech zaprzęgają konie. Natychmiast wyjeżdżamy do Bonn.



Raynard i Agripina postępowali bardzo ostrożnie. Spotykali się już od dłuższego czasu, ale nie mogli dopuścić, aby o ich związku plotkowano w całej Kolonii. Miasto pełne było ludzi gotowych plotkę wziąć za prawdę i ciekawskich, chętnych do zajrzenia w cudze życie. Jedno słowo, i Heller Overstolz dopatrzy się reszty w czyimś spojrzeniu albo geście. Wbrew temu, jak by to mogło wyglądać, uznali, że lepiej będzie spotykać się w domu Agripiny niż w jakimkolwiek innym miejscu. Mężczyźni zawsze łatwiej usprawiedliwić swoją obecność w różnych miejscach, podczas gdy zachowanie kobiety mającej coś do ukrycia mogło być bacznie obserwowane przez wrogą płęć męską. Zwłaszcza kiedy kobietą była młoda i piękna żona burmistrza.

Heller miał swoje przyzwyczajenia i nie zamierzał tracić wolności, jaką cieszył się za kawalerskich czasów, więc małżonkowie żyli osobno, chociaż pod jednym dachem. Raynard regularnie przychodził do komnat Agripiny pod osłoną nocy i w dyskretnej asyście zaufanej służącej. Była głucha od urodzenia, a Raynardowi polecił ją Nikolas, kiedy usłyszał wyznanie rycerza. Agripina natychmiast ją zatrudniła. Również i za to powinna być kopiście wdzięczna.

Kiedy na wybrukowanym dziedzińcu zabrzmiał stukot końskich kopyt, mięśnie Raynarda stężały. Agripina spała głęboko u jego boku. Poglądził miękko jej włosy i poczuł, że zadrżała. Cichy jęk przypomniał mu chwile, kiedy kochali się po zapadnięciu nocy. Ukląkł na podłogę, pochylił głowę przed szpadą, która oparta o ścianę formowała krzyż, i zaczął się modlić.



Ręka Hellera drżała, kiedy otwierał drzwi; wracał do domu z poczuciem porażki. Rzadko się zdarzało, żeby więzień tak długo się opierał. Świtało już, a burmistrz nadal nic nie wiedział. Johann Buchmann odmawiał przyznania, że książka trafiła do niego ze znanych mu źródeł i że wiedział o istnieniu innych kopii. On ich nie miał. Burmistrz poszedł prosto do swoich pokojów i nalał sobie wina ze srebrnej amfory. Chciwie opróżnił jeden kielich, potem drugi i trzeci. Nie szukał w picu przyjemności, jak wtedy, gdy torturował więźnia. Teraz chciał tylko zaspokoić pragnienie,

przestać myśleć. Kiedy się położył, był kompletnie pijany.



Raynard skończył modlitwę. Wziął broń, okrył się peleryną i wyszedł na korytarz. Nie miał poczucia czasu, ale dookoła panowała ciemność i cisza. W myślach przemierzał tę drogę tysiące razy. Znalazłszy się pod drzwiami sypialni burmistrza, usłyszał równomierne chrapanie. Zaskrzypiały, kiedy je lekko popchnął. Instynktownie chwycił za rękojeść szpady i nadstawił uszu. Chrapanie nie ustało. Zamknął za sobą drzwi i zza paska wyjął sztylet. Ostrożnie zbliżył się do kolumn adamaszkowego baldachimu. Heller leżał rozwalony na łóżku, z otwartymi ustami, odwróconymi dłońmi, pustym kielichem obok. Raynard ścisnął rękojeść sztyletu, ostrzem skierowanego w dół. Nigdy podstępnie nie zaatakował człowieka, bezbronego w pijackim śnie. Stał przez chwilę, przyglądając mu się jak ojciec, który patrzy na nowo narodzone dziecko zadziwiony cudem życia.

Lecz nagle Heller otworzył oczy, musiał wyczuć niebezpieczeństwo. Raynard rzucił się na niego jak pies na upolowaną ofiarę. Znał sztukę walki i wiedział, że stłumi krzyk ofiary; wbijając sztylet między żebra. Drugą ręką zasłaniał mu usta i wtedy zobaczył w oczach burmistrza potworny strach. Heller nie mógł już wydobyć z siebie głosu, ale to spojrzenie było krzykiem. Raynard wiedział, że długo nie wymaże tego widoku z pamięci. Kiedy ofiara zaprzestała walki i ręce zastygły w bezruchu, Raynard wyciągnął sztylet i wytarł go w strój martwego Hellera Overstolza. Potem zostawił otwarte okno i wyszedł na korytarz.

Nic nie mąciło ciszy. Stąpając ostrożnie, wrócił do sypialni Agripiny. Naga, leżała na brzuchu, głęboko uszpią. Raynard rozebrał się i położył obok niej. Całował jej plecy, a ona leciutko zadrżała we śnie. Dłonią pieścił uda, wędrując w dół i w górę, i dotknął pochwy. Teraz poruszała ciałem w takt jego pieszczot. Raynard poczuł, że krew pulsuje mu w skroniach, opadł na nią, ciągle uszpią, i wszedł w nią.

Obudziła się natychmiast. Rękami ścisnęła poduszkę, gryzła ją, nie czuła żadnej przyjemności. Każde pchnięcie było jak gwałtowne uderzenie batem. Ale Raynard musiał rozładować napięcie, stłumić lęk. Kierował nim tylko instynkt. I zamienił się w bestię. Skończył wreszcie i opadł na nią zmęczony, a kiedy złapał oddech, powiedział:

– Ręce mam zbroczone krwią.

Czekał na choćby jedno spojrzenie, jedno słowo, pragnął jej aprobaty. Ale Agripina nie odwróciła się. Po chwili usłyszał, że cicho płacze. Długo płakała i Raynard poruszył się niespokojnie, nie wiedząc, co robić. Wyrzucał sobie, że może działał za wcześnie, zbyt impulsywnie. Nie mógł powstrzymać się od rzucenia przekleństwa na Nikolasa Fischera. Ubrał się, zanim nastał świt. O umówionej godzinie służąca z lampką w dłoni czekała przy drzwiach. Raynard ukląkł przed łóżkiem, ujął dłoń Agripiny i spojrzał w jej zapłakane oczy.

– Kocham cię, najdroższa – wyszeptał z żarem w głosie.

Agripina objęła go gorącym uściskiem. Było w nim wyznanie miłości i oddanie, zapewnienie o mocy jej uczucia, sięgającego dalej niż ten czas i to miejsce. Ponad zbrodnie, grzechy i wszelką nikczemność.

Świt nad Kolonią wstał w palących kolorach czerwieni. Po niebie pełzały poszarpane fragmenty chmur, a porywisty wiatr pędził ulicami, szukając otwartych przestrzeni. Gdy zaczęli pojawiać się pierwsi mieszkańcy, jakaś niewidzialna siła kierowała ich kroki na plac przed katedrą. A tam podmuchy wiatru szarpały arkuszem papieru na głównych drzwiach świątyni. Przybity był zwykłym nożem z okrągłą rękojeścią, tekst napisano niewprawną ręką. Afisz informował, że Hellera Overstolza, burmistrza Kolonii, spotkała śmierć za popełnione grzechy. On był tym, który rozkazał piratom zaprowadzić jego prawo na Renie; on był tym, który czerpał korzyści ze sprzedaży taniej i niezdrowej żywności; on był tym, który magazynował ziarno najlepszej jakości, póki jego wartość nie wzrosła czterokrotnie; jego zbrodnie pozostały nieukarane i wyznaje je teraz przed Najwyższym. Wiadomość, jak grom z nieba, spadła na miasto, targane tego dnia wichrem, z którym uleciały wszelkie uczucia żalości i bólu. Nikt w Kolonii nie oplakiwał jego śmierci, z niczyich ust nie usłyszano modlitwy za jego duszę.

Erika przechadzała się pomiędzy straganami na rynku w poszukiwaniu czegoś na wieczorny posiłek. Z wiosną dni stawały się coraz dłuższe, a ten ranek byłby nawet ciepły, gdyby nie porywisty wiatr. Mimo że przyszła bardzo wcześnie, na głównym rynku było już dość dużo ludzi, którzy chcieli kupić jak najświeższy towar. Wiadomość o śmierci burmistrza powtarzana była z ust do ust. Erika przypominała sobie Matthiasa i Friedę, nieżyjącego już Penroda i tylu innych zmarłych z głodu. Ale smutne myśli nie zepsuły jej nastroju tego ranka.

Uśmiechnęła się, patrząc, jak sprzedawca przygotowuje dla niej przepiórki. Minęło ledwie kilka miesięcy, a ich kolacje wyglądały zupełnie inaczej! Wszystko się zmieniło. Ojciec nie zamykał się już w domu, nie był taki skryty, często wychodził, świadomy, że wysiłek długich lat zaczyna dawać owoce. Olga okazała swoje dobre strony, opiekowała się obydwójgiem i starała się, jak mogła, uszczęśliwić Lorenza. Nie mogli chcieć więcej.

Erika zatrzymała się na chwilę, zastanawiając się, co kupić do przepiórek. Nawet nie zauważyła, kiedy rynek się zapełnił. Zapomniała, że z poprawą sytuacji materialnej niepomierne wzrosła liczba mieszkańców. W całym mieście prowadzono różnego rodzaju roboty, ludzie przybywali do pracy ze wszystkich stron, a zakupy robili właśnie tutaj.

Zgromadzeni na rynku mieszkańcy poszturchiwali się i krzyczeli; cisza wypełniła się kakofonią dźwięków. Podniósłszy wzrok, Erika widziała tylko głowy, gołe albo przykryte kapturami. Przeciskała się w gęstniejącym tłumie, pamiętając, że kiedy rynek tak się zapełniał, złodziejzaski o zwinnych palcach pozbawiały sakiewek nieuważnych klientów. Mocno ścisnęła ręką swój woreczek i przepchnęła się dalej.

Jednak było jej coraz trudniej posuwać się do przodu i zaczęła się winić za to, że się nie pospieszyła z zakupami. Aż podskoczyła, kiedy poczuła czyjąś rękę na ramieniu; pomyślała, że to jeden z tych złodziejzasków, których starała się uniknąć. Już zamierzała go odepchnąć, lecz zmieniła zdanie, usłyszawszy cichy głos.

– Liebes Mädchen – szepnął jej do ucha nieznajomy i delikatnie wziął za rękę.

Nie mogła uwierzyć: on stał za nią. Zadrzała ze wzruszenia. Nareszcie dowie się, kim jest tajemniczy A.F. Młodzieniec o złotych włosach, tego była pewna. Warto było tak długo czekać.

Przez tyle miesięcy wyobrażała sobie ten moment, marzyła, że nareszcie będzie mogła wpatrywać się z zachwytem w jego jasną twarz, wdychać jego zapach, rozkoszować się dotykiem jego ust. Odwracała się już, chcąc spełnić marzenie, gdy nieznajomy szeptem ją powstrzymał. Zaskoczona, posłuchała go, czuła jego oddech na szyi i usłyszała:

– Będę czekać na rogu za twoim domem.

W milczeniu skinęła głową. Poczowała takie samo mrowienie jak wtedy, kiedy dostawała od niego listy. Wypuścił jej rękę, a ona kątem oka zauważyła, jak znika w tłumie za nią.

Przepychała się energicznie, żeby jak najszybciej wyjść z rynku. Znalazła wreszcie wąskie przejście między ludźmi i pobiegła pędem. W drzwiach domu wpadła na Olgę, która akurat wychodziła. Widać było, że jest czymś zaniepokojona.

– Nic ci nie jest? – spytała szybko Erika. Spieszyło się jej na spotkanie.

– Zaraz wrócę. Muszę kupić kilka ręczników u Gretchen.

– Wracam z rynku, mogłam ci je przynieść! – zawołała.

– Nie przejmuj się, zaraz będę z powrotem.

Erika tak bardzo chciała jej powiedzieć, że za chwilę pozna swojego ukochanego. W ostatnich miesiącach Olga podnosiła ją na duchu, kiedy wydawało jej się, że ten moment nigdy nie nadejdzie. Jednak widząc, że Olga nie ma ochoty na rozmowę, pomyślała, że powie jej o tym później.

Zamierzała zostawić zakupy w domu i szybko wyjść. Lecz przy stole siedział ojciec, zajęty lekturą. Poczowała się niepewnie. Wiedziała, że nie może mu jeszcze powiedzieć o epistolarnym związku z A.F., a nie chciała kłamać. Mogła to być dla niej najtrudniejsza batalia, bo ojciec z pewnością nie zareagowałby tak jak Olga. Na razie będzie to nadal trzymała w tajemnicy.

– Dzień dobry, ojciec – powiedziała, podchodząc i całując go w policzek.

Pobiegła do kuchni.

– Dużo rzeczy przyniosłaś. Pomóc ci?

Erika już zdążyła położyć wszystko na miejsce.

– Tylko cztery – odpowiedziała. Nie patrzyła na niego, z trudem ukrywała przyspieszony oddech.

Lorenz niczego nie zauważył. Wrócił do czytania.

Erika wbiegła szybko na pięterko i usiadła na łóżku; musiała złapać oddech. I musiała znaleźć jakąś wymówkę dla ojca. Powie mu, że ma ochotę iść na spacer, jak tyle razy w ostatnich miesiącach. Przy odrobinie szczęścia będzie tak zajęty książką, że o nic nie spyta. Wstała, poprawiła tunikę i rozpuściła włosy. Odetchnęła głęboko i powoli zeszła na dół.

– Ojciec, muszę wyjść na chwilę.

Zacisnęła pięści i wstrzymała oddech. Poszła szybko w stronę drzwi. Dopiero tam usłyszała słowa ojca.

– Uważaj na siebie.

Na ulicy, ogarnięta euforią, zaczęła biec. Zdawało się, że chce wyzwolić rozpierającą ją energię. Miała ochotę krzyczeć. Zbliżając się do miejsca, w którym oczekiwał na nią anonimowy adorator, zwolniła kroku. Szła powoli, uważnie się rozglądając.

Za ukrytego w cieniu domu wynurzyła się postać i szła w jej kierunku.

Erika zatrzymała się, nieco zakłopotana. Ujrzała przed sobą te jasne włosy, o których tak często śniła, i te ciemne oczy, na zawsze wyryte w pamięci. Młodzieniec z rynku, ten sam, którego spotkała w księgarni Johanna i na którego natrafiała przelotnie – jak na zjawę – przy innych okazjach, ten sam, który od ponad pół roku pisał do niej namiętne listy i dedykował jej najpiękniejsze słowa. Nareszcie. Była taka szczęśliwa, wydał się jej olśniewająco piękny.

Stała przed nim nieruchomo, z rumieńcami na policzkach, i tylko dłonie zaciskały się na tunice i lekko ją gnioły. Nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

On przerwał niczym niezmaconą ciszę.

– Z trudem przychodzi mi wierzyć, że stoisz tu przede mną. Wypowiadał słowa z przerwami, z akcentem przypominającym język dalekiego, egzotycznego kraju. Przypomniała sobie, że w jednym z ostatnich listów napomknął o swojej ułomności, i znowu zapagnęła troszczyć się o niego.

– Mnie też – odparła nieśmiało.

Uśmiechał się łagodnie. Erika widziała, że oczu nie odrywa od jej ust, śledzi każdy ich ruch.

– To wielka przyjemność móc rozmawiać z tobą osobiście.

– Dotknął jej ręki.

Erika wyjęła dłoń spod tuniki i pozwoliła mu ją pocałować. Zadrżała, kiedy poczuła dotyk jego ust.

– Widzisz. – Zbliżył się i ściszył głos. Twarz mu spoważniała. – Chciałbym zaprosić cię na spacer i porozmawiać o tym wszystkim, czego w listach nie mogłem na...

– Ja też bym bardzo chciała – przerwała mu. Zdając sobie sprawę, że zachowała się niegrzecznie, powiedziała: – Przepraszam, mów dalej.

Alonso się uśmiechnął. Odchrząknął i rzekł z poważną znowu twarzą:

– Jednak najpierw muszę powiedzieć ci o czymś bardzo ważnym, i nie mamy dużo czasu.

– Przerażasz mnie. Proszę, mów, o co chodzi.

Nie wypuszczając jej ręki, Alonso poszedł w głąb uliczki. Patrzył w ziemię i widać było, że nie wie, od czego zacząć. Wreszcie zatrzymał się i powiedział:

– Jedna z Ewangelii wydrukowanych przez twojego ojca znalazła się w rękach władz miejskich i kościelnych.

Serce Eriki zamarło. Patrzyła na Alonsa z przerażeniem w oczach.

– Znaleźli ją w księgarni waszego przyjaciela Johanna Buchmanna. Księgarnia jest zamknięta, a jego aresztowano. Pójdzie pod sąd. Twój ojciec jest w niebezpieczeństwie. I ty też.

Dopiero teraz Alonso spojrzał na Erikę.

– To niemożliwe. Jak mogli...?

Erika potrząsała głową, nie mogąc uwierzyć jego słowom. Alonso dotknął jej policzków. Czowała jego oddech na ustach.

– Posłuchaj mnie dobrze. Musicie jak najszybciej wyjechać z Kolonii. I nigdy nie wracać.

Erika odsunęła się gwałtownie. Nie takich słów się spodziewała. Nie mogła jasno myśleć.

– Dlaczego mnie o to prosisz? Przecież dopiero się poznaliśmy...

– Ponieważ ponad wszystko nie chcę, żeby stało ci się coś złego.

Teraz Erika opuściła głowę. Patrzyła w ziemię, jakby tam szukając odpowiedzi. Alonso uniósł jej brodę. Zamknęła oczy, czuła cudowny dotyk jego palców. Zaraz je otworzyła, aby widzieć tę piękną twarz. Pochylił się i dotknął ustami jej ust. Stali tak połączeni pocałunkiem, nareszcie razem. Oczy Eriki się zaszklily. Alonso cofnął się o krok.

– Nie chcę wyjeżdżać, wolałabym zostać tu na wieki. Ale jeśli to, o czym mówisz, jest prawdą, muszę natychmiast zawiadomić ojca.

Alonso skinął głową. Po policzkach Eriki płynęły łzy, a on wycierał je czułymi palcami.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Wierzyła mu.

– Kiedy się zobaczymy?

– Ja cię znajdę.

Nie mogła oderwać rąk od jego rąk. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła zostać przy swoim ukochanym, ale życie ojca znalazło się w niebezpieczeństwie. Wiedziała, co jest jej obowiązkiem. Odchodziła powoli, potem przyspieszyła kroku i nagle, o czymś sobie przypomniawszy, odwróciła się do niego.

– Nie powiedziałaś mi, jak się nazywasz! – krzyknęła.

Sylwetka młodzieńca już zniknęła pomiędzy szarymi domami.



Lorenz zagłębił się z przyjemnością w książce, której czytanie odkładał przez kilka poprzednich miesięcy. Zajęty był zleceniem anonimowego mecenasa i na nic innego nie miał czasu. Czekał na nowe, mógł ze spokojem zajmować się codziennymi sprawami.

Otwarte z wielką siłą drzwi odbiły się od ściany. Wróciła Erika, z twarzą czerwoną i oddechem ciężkim jak po długim biegu. Lorenz odłożył książkę.

– Co się stało? – spytał zaniepokojonym głosem.

– Johann... – odparła, podchodząc do stołu.

– Co się stało z Johannem?

– Zatrzymali go. Zamknęli księgarnię i zabrali go.

Lorenz otworzył szeroko oczy, przerażony.

– Ale... dlaczego?

– Znaleźli twoją książkę. Ten prezent od ciebie.

W głowie miał pustkę. To niemożliwe, myślał. Kolejny raz, nie.

– Ale kto mógł...? Nikt...

– Powiedział mi to... – Zawahała się, ale po chwili dokończyła: – Przyjaciel.

– Kto?

Lorenz spojrzał na nią spod groźnie ściągniętych brwi. Nie odpowiadała, stała w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt.

– Eriko, kim jest ten przyjaciel? – Chwycił ją za ramię.

Ledwo dosłyszalnym szeptem powiedziała:

– Ktoś, kto pisał do mnie listy przez ostatni rok.

Lorenz nie posiadał się ze zdumienia.

– Ale... jak... się ośmieliłaś? Ukrywałaś to przede mną przez tyle czasu... – Urwał. Próbował zrozumieć, co do niego mówiła. – Ktokolwiek to był, mógł cię okłamać.

Erika spojrzała ojcu prosto w oczy i powiedziała ostro:

– Nie, ojcze. Ja mu wierzę. Powiedział też, że mamy natychmiast wyjeżdżać. Że nam również grozi niebezpieczeństwo.

Słowa Eriki zawisły w powietrzu. Lorenz wybiegł na ulicę. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, a nogi same go niosły. Nie widział nic ani nikogo, chciał tylko znaleźć się w tym zakątku Kolonii, gdzie w towarzystwie swojego przyjaciela spędzał wspaniałe chwile. Chciał na własne oczy zobaczyć, że to prawda.

Szybko tam dotarł. Kiedy stanął przed księgarnią, omal nie upadł. Księgarnia Johanna była bardzo dokładnie zamknięta: ktoś zabił główne drzwi grubą deską.

Podszedł bliżej, aby upewnić się, że nikogo nie było wewnątrz. W małym przedsionku leżały podeptane i podarte kartki. Gdy zajrzał do środka przez małe okienko, ujrzał to, czego tak bardzo

się obawiał. Półki były ogołoczone. Na podłodze walały się stopy otwartych książek z powyrywanyymi stronicami. W jakimś kącie dojrzał zielony берет Johanna. Wydawał się zawieszony w czasie, niemy ślad potwornej tragedii.

Erika miała rację. Johanna zatrzymano. Lorenz wracał szybko do domu i po drodze spotykał grupki mieszkańców rozmawiających o wydarzeniach z poprzedniego dnia. Jedni ze smutkiem opowiadali, jak żołnierze wywlekali biednego księgarza, inni twierdzili, że musiał coś przeszkrobać, skoro go zabrali. Przy okazji dowiedział się o śmierci burmistrza. Cała władza w mieście spoczywała teraz na barkach arcybiskupa.

Kiedy zamknął za sobą drzwi domu, zobaczył, że Erika nie jest sama. Obok niej siedział Yago Kaufmann. Na widok Lorenza podszedł i mocno go uściskał.

– Przyjacielu, co za nieszczęście.

Lorenz tylko potrząsał głową. Bał się, że jeśli zechce coś powiedzieć, popłyną łzy, które za wszelką cenę chciał powstrzymać.

– Dowiedziałem się od jednego z moich służących.

Obaj usiedli przy stole, razem z Eriką. Wpatrywała się w nich w milczeniu.

– Byłeś tam? – spytał Yago.

– Tak. Zniszczyli wszystko.

– To straszne. Biedny Johann. – Kupiec potarł dłonią czoło. – Od wczoraj sprawdzają kopistów, intrologatorów i księgarzy. Każdego, kto mógł mieć jakiś związek z jedną książką... To hańba. Zobacz tylko, do czegośmy doszli.

Lorenz nic nie mówił.

– Johann tak się cieszył z tej książki – powiedział Yago, widząc, w jakim stanie jest jego przyjaciel.

Ale złotnik nadal milczał. W głowie rozbrzmiewało jedno słowo: „winny”. On jeden był odpowiedzialny za tę tragedię, a jego córka i Olga również nie były bezpieczne. Nie chciał nawet dopuszczać do siebie myśli o torturach. Zostało chyba tylko czekać, aż władze po nich przyjdą. Oddech zamierał mu w piersiach, brakowało powietrza.

Promienie słoneczne wpadały przez wąskie okno, przynosiły ciepło, wspomnienie dni szczęśliwych, czasu tak dramatycznie zakończonego. Ciałem Lorenza wstrząsnął gwałtowny spazm.

Yago wstał nagle. Chwile ciszy dały mu impuls do przejęcia kontroli nad sytuacją.

– Lorenz, najpierw był ojciec Martin, a teraz Johann... – Chodził niecierpliwym krokiem. – Lepiej, żebyśmy znaleźli bezpieczne miejsce, przynajmniej na jakiś czas. Kilku naszych przyjaciół już to zrobiło. Zajmiemy się tobą i Eriką, nie musisz się niczym przejmować. Najlepiej byłoby, żebyście ze mną poszli. Wsiądziemy na statek jeszcze dzisiaj. Mam dom w Strasburgu, możecie tam zostać, jak długo chcecie...

Yago zaczynał się denerwować.

– Erikę ostrzeżono o niebezpieczeństwie – wtrącił Lorenz. – Kto ci to powiedział? – zwrócił się do córki.

– Ktoś, komu w pełni ufam.

– To nam wystarczy – odparł Yago. – Jakich jeszcze dowodów potrzebujesz? Musimy ruszać, Lorenz.

– Ale nie ma Olgi.

– Nie mamy czasu do stracenia.

– Muszę ją znaleźć, Yagonie. Nie mogę jej porzucić. Jej też grozi niebezpieczeństwo.

Zamilkli wszyscy, zastanawiając się, co robić. Olga poszła coś kupić na rynku, ale długo jej już nie było. Yago chodził nerwowo po pokoju. Wreszcie Lorenz powiedział to, czego się spodziewali, ale nie chcieli usłyszeć.

– Wy jedźcie pierwsi. Dogonię was w porcie.

– Lorenz, nie wiem...

– Bez ciebie nie pojedę! – zawołała Erika oburzonym głosem.

– Tutaj ja podejmuję decyzje. Jestem twoim ojcem. Pojedziesz z Yagonem. Spakuj, co się da.

Spojrzała na niego ze złością i bez słowa wstała od stołu. Weszła na górę przygotować tobolek.

Lorenz serdecznym tonem powiedział do Yagona:

– Jeśli do południa nie przyjdę, odpływajcie. Znajdę was w Strasburgu.

– Jesteś pewien? Nie powinieneś...

– Jestem pewien – przerwał mu Lorenz.

– No dobrze – odparł zrezygnowany kupiec. A potem, uznawszy, że nadszedł odpowiedni moment, dodał: – A co z tym?

Pokazał ręką prasę, teraz uśpioną, ale gotową do drukowania nieskończonej liczby książek.

– Nie możesz jej tak zostawić. To jest dowód twojej winy.

Lorenz spojrzał na tę maszynę, której skonstruowanie kosztowało go tyle wysiłku. Nigdy nie myślał, że z jej powodu ludzie będą umierać ani że będzie musiał uciekać z Kolonii, swojego miasta. Wierzył, że jego wynalazek posłuży do upowszechniania wiedzy, a przyniósł zniszczenie i śmierć.

– Wiem, co mam zrobić.

Erika zeszła na dół tak samo zagniewana. Ojciec podszedł do niej. Powinna go zrozumieć, chciał tylko, żeby była bezpieczna. Gdyby miała ponieść śmierć z jego powodu, nigdy by sobie tego nie wybaczył. Objął ją ramionami. Najpierw broniła się, ale zaraz sama go mocno uścisnęła. Chcieli tym uściskiem zachować część siebie na czas rozstania.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptał jej do ucha.

Uśmiechnęła się.

– Wiem, ojczu.

Poszukiwanie Olgi nie przyniosło rezultatu. Nie mógł opuścić miasta bez niej, lecz jednocześnie, kiedy gorączkowo przemierzał ulice, zdał sobie sprawę, że już ucieka i nie odnajdzie jej; coraz bardziej oddalał się od domu, błędził w miejscach nieznanach, w których nigdy nie był albo ich nie pamiętał. Znał miasto na tyle, że powinien rozpoznać wszystkie uliczki, ale widziane przez mglistą zasłonę strachu umykały z jego świadomości. Miasto stało się nagle czymś groźnym, scenerią nadchodzącej klęski. Jeśli nastąpi, Lorenz był pewny, że będzie to klęska ostateczna.

Zaszedł do straganu Gretchen, ale córka bławatnika powiedziała mu, że Olgi w ogóle tego dnia nie widziała. Lorenz zmartwił się, sprawa się komplikowała. Gretchen zaczęła długi wywód o kłopotach ze sprzedażą nowego towaru, mimo że materiały były coraz lepszej jakości i wybór kolorów coraz większy... Złotnik nie czekał, nie miał czasu na słuchanie o codziennych problemach.

Stał na środku głównego rynku, jak zwykle tętniącego życiem, i zastanawiał się, co robić dalej. Rozejrzał się ponad głowami kupujących i gapiów, szukając znajomej twarzy. Olga była wysoka, a jej uroda wyróżniała ją spośród mieszkańców o raczej nijakiej powierzchowności. Długie włosy miała zwykle splecione w warkocz albo upięte w kok na czubku głowy. Rozpuszczała je tylko wtedy, kiedy byli sami. Poczuł lekkie łaskotanie w okolicy serca, otaczające twarze straciły ostrość, stały się żółtawymi, tańczącymi w źrenicach punkcikami. Wypatrzył bowiem dziewczynę w głębi targowiska, za giełdą zbożową, w pobliżu rzeki. Pobiegnął w tamtą stronę, przepychając się między ludźmi. Już ją niemal miał, znowu będą razem. Tak krótko się nie widzieli, lecz Lorenzowi ten czas wydał się wiekiem. Gdy znalazł się o krok od niej, dziewczyna odwróciła się i... nie była tak piękna, nie miała tak jasnych włosów, w linii pleców nie widział dobrze mu znanej dumnej postawy. Skóra nie była tak biała, miękka i delikatna, palce tak długie, paznokcie tak połyskujące. To nie Olga.

Zdesperowany Lorenz szukał dalej i doszedł do rzeki. Być może tam wpadnie mu do głowy jakiś pomysł, jak wtedy, gdy siedział na piasku z Eriką i wymyślił mechaniczne pismo. Ale w hałasie i rozgardiaszu na nabrzeżu i pośród krzyków robotników portowych nie był w stanie jasno myśleć. Widział przed sobą bystry strumień ludzi i towarów, szemrzący zgiełkiem głosów. Spojrzał za siebie. Zobaczył mężczyznę, który zdawał się uważnie mu przyglądać. Lorenz wystraszył się – a więc już go śledzą. Po chwili człowiek zarzucił sobie na plecy ciężką pakę i założył taśmę na czoło. Robotnik portowy. Lorenz odetchnął z ulgą.

Objawiło mu się, jak światełko w ciemnej grocie, inne miejsce: Złoty Bażant. Może Olga spotkała kogoś i poszła tam na piwo. Pełen nadziei ruszył szybko przed siebie i zagłębił się w labirynt uliczek.

Karczmarz Meyer był bardzo zajęty i tylko burknął, gdy Lorenz zwrócił się do niego z pytaniem. „Ani jej nie widziałem, ani nie wiem, kto to jest”. Trzymał w rękach tacę z dwiema wielkimi stągwiami piwa. Do południa zostało jeszcze trochę czasu, ale w karczmie panował ścisk i gwar. Z wiosennym ociepleniem wielu pragnęło świętować przetrwanie kolejnej surowej zimy. Lorenz rozejrzał się, lecz oprócz dwóch usługujących dziewczyn nie zobaczył żadnej innej kobiety. A więc pomylił się, sądząc, że tutaj znajdzie Olę. Znowu pomyślał, że może jednak

kręciła się po rynku, cieszyła hałasem, kolorami, dniem... życiem, dobrą pogodą. Potem wróciła do domu, minęli się, on zdesperowany i niespokojny, ona zaś ożywiona, wypoczęta. Postanowił zatem też wrócić jak najszybciej. Gdy zamknął za sobą drzwi karczmy, gwar zelżał, a kiedy odszedł parę kroków, przestał go słyszeć zupełnie.

Nieco spokojniejszy przebył już znaczną odległość i wtedy znowu opanowało go bliżej nieokreślone uczucie. Założywszy, że Olga jest bezpieczna w domu, przestał się chwilowo o nią niepokoić, natomiast wydało mu się teraz, że do niego samego zbliża się i zawisa nad nim zapowiedź nieszczęścia. Zatrzymał się; gdzieś z tyłu dobiegł go odgłos kroków. I cisza. Nie był pewien, czy to echo jego własnych kroków, czy może ktoś inny też przypadkiem się zatrzymał. A może naprawdę był śledzony?

Wolał nie przechodzić koło księgarni Johanna, choć to zaoszczędziłoby mu trochę czasu, i wybrał bardziej krętą drogę. Jeśli ktoś za nim szedł, w małych uliczkach łatwiej będzie mu się ukryć. Żeby się upewnić, schował się za rogiem domu: kroki nie były echem jego kroków. Słyszał je – niespieszne, lecz pewne, coraz bliższe, coraz groźniejsze. Bał się, że lada chwila ujrzy śledzącego go człowieka. Co wówczas mogłoby się stać? Był przecież bezbronny. Pomyślał, że postępuje głupio. Powinien uciekać. Po co miał odkrywać, kto za nim idzie? Ale było już za późno. Zobaczył zbliżającego się powoli mężczyznę odzianego w pelerynę.

Lorenza zastanowiła jego sylwetka. Mężczyzna nie szedł środkiem ulicy, w dłoni trzymał kij, którym dotykał ścian domów. Gdy mijal go, Lorenz wstrzymał oddech. Nareszcie wiedział, dlaczego ów człowiek idzie w taki sposób, powoli i ostrożnie. On żył w wiecznym mroku: był ślepy. Począł, aż ślepiec dojdzie do końca uliczki, i kiedy zniknął mu z oczu, spokojniejszy poszedł do domu.

Olgi nadal nie było. Zaczął myśleć o niej jak o kimś utraconym. Wzrokiem ogarnął kuchnię: kamienny ściek, którym spływała przynoszona codziennie przez Erikę woda, palenisko z gasnącym żarem, zniszczony stół, odsunięty pod ścianę, żeby zrobić miejsce dla prasy, drewniana szuflada z czcionkami i stos drewnianych ramek, które służyły mu do składania i drukowania tych ostatnich stronic. Patrząc na to wszystko, zrozumiał, jak bardzo zmieniło się jego życie, odkąd rozpoczął prace nad maszyną, która wydawała się teraz jakimś przedziwnym monstrum, osiadłą na mieliźnie barką, sto mil od najbliższego brzegu.

Zrozumiał też, dlaczego nie może zostawić po niej śladu. Stanowiła dowód przestępstwa. Jak dotąd nikt nie wiedział, że książki wychodziły spod tej prasy, i pomimo wszystko Lorenz rozumiał, że świat nie jest gotowy na ten wynalazek. On sam byłby temu przeciwny, gdyż dwóch jego przyjaciół zapłaciło najwyższą cenę za istnienie tej maszyny, jeden spalony na stosie, drugi więziony, torturowany, oczekujący sądu – z pewnością również czeka go stos. Jeśli nie znajdą innego winnego, Johann stanie się kozłem ofiarnym, a kara, jaka go spotka, będzie przestrożą dla wszystkich, którzy mają nieprawomyślne poglądy. Mogliby nawet ośmielić się zataić to, że u księgarza znaleziono egzemplarz Ewangelii. Ale jak? Wcześniej czy później dwieście kopii pojawi się w Kolonii...

Chyba że...

Chyba że wszystko to było pułapką. Chyba że od początku resztę kopii ukryto przed wzrokiem osób niepowołanych w jakimś niedostępnym miejscu. Lorenz miał już dosyć rozważań prowadzących donikąd. Zło się dokonało, należało teraz modlić się, aby nikt więcej za to nie zapłacił.

Od kilku godzin czekał na Olgę i dłużej nie mógł zwlekać. Zbliżała się pora spotkania w porcie. Przed podjęciem decyzji, czy zostanie, aby odszukać Olgę, czy u jakiegoś znajomego zostawi dla niej wiadomość, miał jeszcze ostatni obowiązek do spełnienia: usunąć po sobie wszelki ślad. Ten dom dla Olgi też nie byłby bezpieczny, gdyby wróciła. Zabrał się do rozpalania ostatniego ognia w palenisku.

Na kępcę słomy ułożył stosik z małych kawałków drewna. Gdy potarł krzemieniem ogniwo łańcucha, iskra natychmiast chwyciła ściółkę. Ogień obejmował ułożone na krzyż drewnianka, a Lorenz, uniesiony gniewem, niszczył swoje dzieło, wyrwał drewniane elementy z coraz większą furią, aż w końcu przewrócił prasę, rujnując przy tym podłogę. Wyjął z paleniska płonące polano i wrzucił do środka prasy, tam gdzie trzymał kasety z czcionkami. Płomienie strzeliły w górę, karmione drewnem i resztkami farby. Jak oszalały biegał po pokoju i dorzucał do ognia, co tylko mógł.

Przewrócone półki i rozrzucone na podłodze przedmioty tylko zwiększały siłę ognia. Duże gliniane garnki z tuszczem, używanym do ulepszenia farby, rozbijały się na tysiąc kawałków i przenosiły płomienie na belki i ściany; stosy papieru, niektóre zadrukowane, inne jeszcze czyste, podsycaly ogień; nowe czcionki, czekające na składanie, rozsypywały się jak niecierpliwie palce szukające dla siebie bezpiecznego miejsca.

Niebawem wszystko płonęło, a Lorenz, jak zahipnotyzowany, stał z pustym wzrokiem utkwionym w żywioł.

Nie mógł nie pamiętać innego pożaru, w innym czasie, w innym domu, który też był jego domem... Zobaczył Ebbę, ukochaną żonę, śpiącą, niczym niezagrożoną, tak jakby ów straszny wypadek nie był niczym więcej, jak tylko sennym koszmarem, jakby uratował ją z płomieni i położył pod rozłożystym, kwitnącym drzewem. Pod błękitnym niebem Ebba odpoczywała w jego ramionach. Nagle się zachmurzyło, nie były to jednak chmury burzowe, czarne i groźne; Lorenz miał wrażenie, że niebo oddala się i ciemnieje; nie rozświecilały go płomienie, które strzelały w górę. Od strony połyskującej światłem, spokojnej laguny zbliżał się statek, a jego kapitan ruchem ręki wzywał ich do siebie. Gdy się na nim znaleźli, zauważył, że morzy go głęboki sen i że Ebba nigdy się nie obudzi. Płomienie objęły ją na zawsze.

Usłyszał hałas, który wyrzucił go ze statku. Temperatura wokół niego wzrosła, ogień się rozprzestrzenił. Lorenz powrócił do rzeczywistości i zobaczył, że otaczają go płomienie, które sam wywołał. Poczul silny ból blizny na plecach.

Płonąca belka zagrażała mu drogę do wyjścia. Pomyślał o Erice. Pokonał strach i przeskoczył drewno w miejscu, gdzie ogień go jeszcze nie chwycił. Na czworakach doczołgał się do drzwi. Kiedy je pchnął, silny powiew powietrza z furią rozżarzył płomienie. Rzucił ostatnie spojrzenie za siebie. W głębi prasa i czcionki płonęły, zniszczone, utracone na zawsze, stopione w jedną bezkształtną masę. Efekt niezliczonych godzin pracy i poświęcenia ostatecznie zniknął. Nie czuł ani wyrzutów sumienia, ani niemocy; jedynie nieokreślone poczucie odkupienia. Nareszcie uwalniał się od dwóch upiórów, dręczących go już od zbyt dawna: obsesji drukowania i śmierci żony. Pokona je i stanie się innym człowiekiem.

Wyszedł na ulicę, która na pierwszy rzut oka wydała mu się pusta. Kiedy się oddalił, usłyszał głosy kilku sąsiadów, już biegli z wiadrami wody. Skrył się za rogiem i przez chwilę obserwował scenę, chcąc upewnić się, że nikt go nie widział. Nie zobaczył nikogo.

Silny cios w głowę powalił go na ziemię. Lorenz stracił przytomność.

Ocknął się przerażony. Powietrze było tak wilgotne, że po twarzy spływały strumienie potu. Usiłował podnieść głowę, ale ostry ból przeszył go od szyi po czoło; zacisnął zęby. Z kącików ust ciekły strużki śliny. Dopiero kiedy ból zaczął powoli zanikać, mógł otworzyć oczy. Ciemność absolutna. Leżał na brzuchu na mokrej ziemi, wyczuł jej trochę w ustach. I wtedy sobie przypomniał.

Dotknął karku, wymacał na nim guz. Poczł coś pod palcami – nie był pewny, czy to zaschnięta krew, czy może brudna ziemia. Nie wiedział, jak się tu dostał.

Usiadł ostrożnie i poruszył głową. Wydawało mu się, że ktoś ją nakłuł szpilkami. Odchrząknął. Język miał sztywny, jak brudna szmata. Chciało mu się pić. Położył dłonie na ziemi, coś przemknęło i otarło się o jedną: karaluch, szczur? Nie wiedział. I nic nie widział.

Uderzono go, kiedy patrzył na płomień pożerające jego dom. To oznacza, że został aresztowany i wrzucony do celi. A skoro go aresztowano, Johann go wydał. Przez zacisnięte wargi przeklął księgarza i tę bandę głupców. Ale zaraz pożałował. Nie mógł winić starego przyjaciela za jego miłość do książek. Nikt inny tylko on, Lorenz, sprawił, że Johann z takim entuzjazmem popierał jego pomysł. Powinien winić siebie za swoją głupotę.

Ogarniał go coraz silniejszy gniew. Pulsujący ból w głowie nie ustawał. Oparł skronie na dłoniach i powtarzał z furją:

– Przekłęci, przekłęci! Co mnie teraz czeka? Mam umierać? Za jakąś nędzną, głupią książkę?

Czuł się wszystkiemu winny, oskarżał się o to, że zapragnął widzieć siebie w roli bohatera, że ryzykował na darmo, że postępował wbrew nakazom władzy, kiedy rozsądniej było być jej posłusznym...

Myśli kłębiły się i mamrocząc, wyrzucał je z siebie w tym monologu bez sensu. Ścisnął głowę dłońmi. Wydawało mu się, że to wielkie obcęgi zaciskają się na obolałej czaszce. Zaczął krzyczeć.

Zapłakał gorzkimi łzami, w ciszy. Rękami objął kolana i skulił się w sobie. W głowie miał kłębowisko natrętnych myśli. Kołysał się i powoli uspokajał, już nie płakał i tylko wpatrywał się w ciemność szeroko otwartymi oczami.

– Biedny Johann – szepnął.

Wydawało mu się niemożliwe, żeby jego przyjaciel nie wyznał wszystkiego, i wyrzucał sobie, że dał mu ten prezent. Obawy, jakie go niemal codziennie nawiedzały w czasie, gdy drukował kopie Ewangelii, nabrały realnego kształtu. Przede wszystkim księgarz z pewnością był torturowany i teraz przyszła jego kolej. A Erika? Czy udało jej się uciec z Yagonem? Nie wiedział i serce zakolało mu z trwogi. A Olga?

Wstał. Chciał zrobić kilka kroków, ale nawet nie wiedział, jakiej wielkości jest ta cela. Posuwał się ostrożnie z rękoma wyciągniętymi przed siebie.

Z powodu napięcia i strachu brakowało mu powietrza, zdołał się jednak zorientować, że znajduje się w małym pomieszczeniu o kamiennych ścianach i bez okna, ale drzwi były zrobione z solidnego drewna. Nie znalazł pryczy ani siennika, wiadra czy dzbana z wodą ani nic do jedzenia. Nadstawił uszu, lecz chrobotu szczurów nie usłyszał. Ale na pewno były karaluchy i być może pluskwy i inne robaki.

Był zupełnie załamany. Zamknęli go w zarobaczonej dziurze, w jakiejś piwnicy, spływającej wodą. Ale... dlaczego nie został zatrzymany przez strażników? Przypomnił sobie słowa świadków aresztowania Johanna. Dlaczego więc nikogo nie widział ani niczego nie usłyszał, zanim dostał cios w głowę od tyłu? Nie miał wyglądu niebezpiecznego łotra, jego zbrodnią było wydrukowanie książki, a nie napaść na kogoś czy zabójstwo...

Pomyślał, że władze z ogromną determinacją szukają tajemniczego drukarza. Ale skąd dowiedzieli się o książce?

Zasłonił usta w przerażeniu.

– Boże najświętszy!

Zdrajca w grupie przyjaciół Johanna! Pokręcił głową, choć bardzo go bolała. Nie potrafił uwierzyć, że którakolwiek z tych czcigodnych osób mogła być zdrajcą. On do nich dołączył niedawno, był nowy, ale pozostali znali się od lat. Dlaczego mieliby zdradzać? Dlaczego mieliby samych siebie oskarżać? Mogło też się zdarzyć, że zatrzymano tych tajemniczych osobników, którzy w lazarecie odbierali wydrukowane książki. Ale oni widzieli tylko jego. Gdyby ich złapano, podaliby jego nazwisko, a nie Johanna.

Oparł się o ścianę. Zrobiło mu się słabo i kręciło się w głowie. Ściana pokryta była mieszaniną wody i kurzu, niemal aksamitną warstewką brudu przenikającego przez pory. Było mu wszystko jedno. Nie chciał o niczym myśleć, tylko położyć się i spać, spać... Lecz myśli w głowie nie dało się powstrzymać. Modlił się żarliwie, żeby Erika była bezpieczna. I Olga... Co się stanie z Olgą? Co się z nią stanie, kiedy zobaczy dom w płomieniach albo zgliszcza?

Ogień. Lorenz przypomniał sobie płomień wypełzające drzwiami i oknami. Zamiar zatarcia za sobą wszystkich dowodów, plan ucieczki, ratowania życia spelzł na niczym. Został zamknięty w cuchnącej kloace. Walił pięściami w ściany.

– Ogień. Zawsze ogień! – krzyczał.

Mówiono, że ogień oczyszcza, ale dla Lorenza ogień był kwintesencją nieszczęścia: pochłonął jego żonę, strawił życie przyjaciela, pożarł jego dwa domy i wynalazek, owoc tylu lat pracy. A teraz... teraz nadchodziła jego kolej. Zdawało się, że jego droga życiowa prowadziła do samego piekła. Opuścił głowę i wyobraził sobie, że oto ziemia pęka i w blasku płomieni otwierają się przed nim wrota piekieł. Wyczuł w powietrzu dziwny zapach. Siarka? – zastanawiał się.

Skupił się i zaczął uważnie nasłuchiwać. Wstrzymywał oddech. Żadnego dźwięku. Nic. Może tylko leciutki szmer przemykających się insektów. Zauważył, że chociaż krzyczał wielokrotnie, nikt mu nie odpowiedział, nikt mu nawet nie kazał zamilknąć. Najpierw nieśmiało, jak gdyby nie chciał nikomu zawracać głowy, potem coraz głośniejsze, a w końcu rozpaczliwym krzykiem domagał się odpowiedzi. Czy na to został skazany? Czy ma umrzeć opuszczony, jakby był gorszy od zwierzęcia? Zacisnął pięści, zacisnął zęby. Nie zniszczą wszystkich, pomyślał. Yago na pewno uciekł z jego córką, inni też z pewnością uciekli. Jego zabijają, Johanna także, jeśli do tej pory tego nie zrobili, ale to już nie miało znaczenia. Świat się zmieni, tego nie da się powstrzymać.

Chodził w ciemności żywszym krokiem. Wypełniał go gniew, ale poczuł także przypływ odwagi. To ma być kres jego życia? A więc dobrze! – myślał. Chcą go poddać torturom? Niech tak zrobią! Chcą go spalić żywcem? Sam podpalił stos! Nie popełnił żadnej zbrodni i nie miał zamiaru okazywać skruchy. Pomyślał, że przemawia przez niego arogancja, ale usprawiedliwił ją strachem, ciosem, jaki otrzymał, i tym, że nie wie, gdzie się znajduje.

I znowu opadło go przygnębienie. Jeśli jego przeznaczeniem było umrzeć tutaj z głodu, po cóż ma robić z siebie bohatera? Kiedy zostanie stracony na publicznym placu, i tak znajdzie się ktoś, kto powie, że sobie na to zasłużył, bo nie dano by mu prawa do obrony. Nie miał tego prawa ojciec

Martin, nie będzie go miał on.

Dotknął ręką piersi. Serce biło spokojnie. Nie pozostało mu nic poza czekaniem. Co odczuwa ten, który wie, że czeka go nieuchronna śmierć? Oparł się plecami o ścianę i westchnął głęboko. Zamknął oczy. Ramiona zwisały wzdłuż ciała. Był zlany potem. Czuł gorąco, ale odbierał je jak coś, co istniało poza nim, jak gdyby zerwała się nić łącząca ciało z umysłem.

Nagle w szparze pod drzwiami ukazało się chwiejne światelko. Usłyszał kroki. Ktoś się zbliżał. Oddech Lorenza stał się przyspieszony, urywany, serce biło jak oszalałe.

Trzask w zamku zabrzmiał jak grzmot, Lorenz poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Drzwi skrzypnęły i otworzyły się. Stała w nich bezkształtna postać. Złotnik zmrużył oczy, oślepiony światłem pochodni. Kiedy mógł coś zobaczyć, rozróżnił dwie osoby. Z przodu postać kobiety, z tyłu mężczyzna w kapturze, z pochodnią w dłoni. Lorenz poczuł, że skóra mu cierpnie na plecach.

– Erika?

To niemożliwe, nie mogli schwytać Eriki, jego niewinnej córki! – myślał gorączkowo. Kobieta podeszła bliżej. Lorenz, do tej pory stojący przy ścianie, zbliżył się do niej. Mężczyzna podniósł wyżej pochodnię. Wtedy Lorenz zobaczył jej twarz.

– Olga! Moje życie!

Z płaczem chwycił ją w objęcia.

– Wybacz mi. Wybacz, że cię w to wplątałem. Nawet nie wiesz, jak mi jest przykro...

Przyciągnęła go do siebie, tylko na sekundę. Nie zrobiła nic, aby go uściskać. Stała przed nim wyprostowana, ze wzrokiem nieruchomym, kamienną twarzą.

– Co... co się stało? Co ci zrobili? – zapytał zaskoczony.

Patrzył na nią, usiłował wyczytać coś z oczu utkwionych gdzieś za nim. Olga była... inna. Patrzył na długie, jasne, ładnie upięte włosy, na zdobną jedwabną suknię, na twarz, piękniejszą niż kiedykolwiek przedtem, ale zimną, nieruchomą.

– Olgo... szukałem ciebie w całym mieście, naprawdę, nie wiń mnie, proszę – mówił żałośnie, ale coraz mniej pewnie. Nie wiedział, co oznacza ten bogaty strój w tym miejscu.

– Dlaczego mu nie odpowiesz?

Pytanie zadał stojący za nią mężczyzna, ukryty w cieniu. Głosem poważnym, głębokim, w którym brzmiała nutka ironii. Lorenz zmrużył oczy, chcąc dojrzeć przysłoniętą kapturem twarz. Niewiele zobaczył. Więc znowu spojrzął na Olgę i tym razem ona też zwróciła ku niemu wzrok, na ułamek sekundy. Rozchyliła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła, a po policzkach potoczyły się łzy.

Lorenz nie wytrzymał napięcia, zrobił krok w jej stronę, lecz ona podniosła rękę, cofnęła się i odwróciła, chcąc ukryć skruszoną twarz.

– Olgo... – powiedział zduszonym szeptem.

Wydało mu się, że wszystko wokół niego zaczyna wirować, opanowały go nudności. Świadomość, że Olga go odtrąciła... Powściągnany ból był torturą. Może gdyby krzyczała, obrzuciła go obelgami, może wtedy łatwiej by mu było to znieść. Ale obojętność, pogarda... Stała przed nim tak wyniosła, chłodna, blada jak widmo.

Mężczyzna z pochodnią wysunął się do przodu i stanął przy niej. Podniósł drugą rękę i zdjął kaptur. I wtedy Lorenz go zobaczył.

Na palcu błyszczał pięknie grawerowany, zdobiony zielonym kamieniem pierścień, ten sam, który tak go zaintrygował, gdy oddawał wydrukowane książki przy lazarecie.

Pierścień.

I jego właściciel, Nikolas Fischer, kopista.

Czy on zamówił druk książek i czy to on go zadenuncjował?

Lorenz przyglądał mu się z uwagą. Zrobiło mu się nieswojo, kiedy zdał sobie sprawę, że jest to walka między nimi dwoma. Ale ten pierwszy miał w ręku znaczony karty, czuł się silny, pewny siebie, przekonany o zwycięstwie. Jedyne, z czego ten drugi zdawał sobie sprawę, to to, że niemal wszystko, co mu przyniosło życie, przykryte było warstwą szarego dymu, podobnego do mgły często wiszącej nad rzeką. Nie rozumiał, dlaczego Olga, jeszcze przed chwilą wystraszona, stoi teraz spokojna i zimna u boku człowieka, który z niego uczynił marionetkę.

Olga. Nawet nie wiedział, czy to jest jej prawdziwe imię. Każda spędzona z nią chwila, błakająca się w pamięci, zamieniała się teraz w bolesne dźgnięcie, które przypominało mu, jak nierozumnie postępował. Tak jakby żył we śnie, nagle przerwany ciosem w głowę. Niczego nie był pewny, każde uderzenie serca to kolejna wątpliwość. Czy rzeczywiście jego wynalazek był sukcesem? Czy córce naprawdę groziło niebezpieczeństwo i musiała uciekać z Yagonem? Czy jego żona nie żyje? Czy kiedykolwiek żyła? Myśli tłoczyły się w głowie, rozbłyskiwały jedna po drugiej...

Lorenz stracił całą pewność siebie. Zdawał się kurczyć w sobie, maleć, miał wrażenie, że nic nie znaczy. Jedynym pragnieniem było zniknąć, przepaść gdzieś.

– Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach, Herr Block – powiedział Nikolas.

Lorenza zdziwiły jego słowa. Brzmiały jak przeprosiny, a to było ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał.

– Musieliśmy działać w ten sposób dla bezpieczeństwa – kontynuował kopista. – Nie chcieliśmy, by ktokolwiek dowiedział się, czym się zajmujecie. Wielkim problemem dla wszystkich byłoby, gdybyście wpadli w ręce władz. Wy sami z pewnością jesteście ostatnią osobą, która by sobie tego życzyła.

Nikolas mówił jasno, spokojnym głosem, nie było w nim ani groźby, ani protekcjonalności. Słowa brzmiały szczerze, a mimo to Lorenzowi wydało się, że coś się za nimi kryje. Odnosił wrażenie, że słucha wyuczonej na pamięć litanii, sto razy ćwiczonej, wypowiedanej na jednym tonie, bez pauz, bez zacięć.

– Dla nas wasz wynalazek ma olbrzymią wagę.

Lorenza znowu zalał potok myśli. Znał Fischera. Cała Kolonia знаła znakomitego kopistę, Nikolasa Fischera. Dlaczego zainteresował się wynalazkiem, który mógł stać się konkurencją dla jego świetnie prosperującego interesu? Jeśli prasa drukarska się przyjmie, całkowicie zmieni się sposób wydawania książek i jego usługi okażą się niepotrzebne. Mechaniczny druk wyprze skrybów. On, musiał przyznać, przyczynił się do tego.

– Przypuszczam, że nie dopuścicie, abym dalej pracował nad wynalazkiem – powiedział Lorenz.

– Jesteśmy od takiej myśli jak najdalej, Herr Block. Ale teraz dobrze będzie, jeśli się poznamy.

– Ja was znam. Jesteście Nikolas Fischer. Wasza sława sięga daleko poza mury Kolonii. I jesteście tym, który w oszukańczy sposób zlecał mi druk książek. Nie mam co do tego

najmniejszej wątpliwości. A ja... ja okazałem się głupcem.

– Nie bądźcie dla siebie tacy surowi. Tak, użyłem podstępów, ale to był jedyny sposób, abyście spokojnie zajęli się ulepszeniem prasy.

– Po co? Dlaczego chcecie, żeby prasa drukarska była powszechnie używana? Dlaczego zadenuncjowaliście Johanna? Dlaczego, jak dotąd, tylko Johann został zatrzymany? Olga i moja córka, poza mną, były jedynymi osobami, które wiedziały o istnieniu dodatkowego egzemplarza. A mojej córce ufam ślepo.

– Ilse – powiedział Nikolas – zdaje się, odegrała najmniej wdzięczną rolę w całej tej historii. Ale ja nie wydałem księgarza. Moje skrytorium również zostało zniszczone. Na szczęście byłem ostrożniejszy niż wasz przyjaciel. I wy. Nie powinniście byli nikomu nigdy dawać do ręki kopii tak niebezpiecznej książki. Poza tym przecież raczej zadenuncjowałbym was. Do niedawna nie mieliście pojęcia, że byłem wmieszany w całą sprawę. I nie wydałem was.

Ilse, pomyślał Lorenz. To jest twoje imię. Ilse stała z opuszczoną głową. Unikała wzroku złotnika i pokornie trzymała się boku Nikolasa. Sprzeczne myśli opanowały Lorenza. Potrzebował wiary, że była szczerą, kiedy dla niego nosiła imię Olga, a teraz pozoruje oziębłość. A jednak tak nie było, zrozumiał, że zgadza się z każdym słowem Nikolasa, i chciał znaleźć w sobie nienawiść. Lecz nie potrafił; dla niego zawsze będzie Olgą, jasnowłosą dziewczyną, która ożywiła i podbiła jego serce. Spojrzał na nią. Czuł, że za chwilę straci równowagę, wystarczyłby jeden powiew wiatru. Nogi się pod nim ugięły i bezwładnie, bez słowa osunął się na ziemię. Gdyby jakikolwiek dźwięk miał się wydobyć z jego ust, byłby to rozpaczliwy szloch.

Po chwili Nikolas chwycił go za ramię i pomógł wstać. Lorenz musiał natychmiast zamknąć oczy, bo głuchy ból zamglił mu wzrok i krew pulsowała w skroniach jak młot. Nie wiedział, czy długo był nieprzytomny. Uniósł powieki.

– To nie jest wina Ilse – odezwał się Nikolas. – Pomysł był mój, ja ją do tego namówiłem, ja nią kierowałem. Mam nadzieję, że nie będziecie mieć do niej żalu. I mam też nadzieję, licząc na waszą życzliwość, że i do mnie nie będziecie czuć urazy. Chodźcie z nami, chcę wam coś pokazać.

Przepuścił ich przed sobą, Ilse szła pierwsza. Po bokach ciemnego korytarza oświetlanego pochodnią w ręce kopisty otwierały się przejścia do innych pomieszczeń. U jego końca do łańcucha na ścianie włożona była inna płonąca pochodnia. Ilse wyjęła ją i podała Nikolasowi. W silniejszym świetle widać było, że korytarz robi się coraz bardziej kręty i w końcu otwiera się na duże pomieszczenie, w którym pod ścianą stały kolumny książek. Wilgoć ich jeszcze nie zniszczyła, zatem musiały się w tych fatalnych warunkach znajdować od niedawna.

Lorenz przyglądał się im podejrziwie.

– Tak – powiedział Nikolas – to są Ewangelie przez was wydrukowane. I Arystoteles. Wykonaliście olbrzymią pracę. Włożyłem w te książki wielkie pieniądze i liczę na to, że któregoś dnia się zwrócą. Jestem pewien, że zadziwi nas cena, jaką wielu znajomych zechce zapłacić za te jedyne wspaniałe książki. Ale ta chwila jeszcze nie nadeszła. Zwłaszcza jeśli chodzi o Ewangelie. – Ostrożnie wziął do ręki jeden egzemplarz. – Muszę wam pogratulować pomysłu uczczenia pamięci ojca Wahrheita. Znakomity – powiedział, gładząc delikatnie pierwszą stronę. – Ale zostawmy to już. Jest coś jeszcze, co chcę wam pokazać.

Teraz szli korytarzem, który to zwężał się, to poszerzał. Lorenz miał uczucie, że prowadzą go na rzeź. Maszyna drukarska została zniszczona, należało więc wyeliminować jego, ostatnie ogniwo, bezpośredni dowód na jej istnienie. Traktowany był z szacunkiem, nie zakuli go w kajdany ani nie torturowali, poza ciosem, który go obezwładnił. Mimo to błędzenie w labiryncie ciemnych korytarzy, każdy krok, każde słowo tego wysokiego, kulturalnego człowieka stawało się ciężarem

nie do zniesienia.

Wreszcie Ilse się zatrzymała. Szeroki próg zapowiadał wejście do obszernego pomieszczenia. Pierwszy wszedł Nikolas. Ilse została przed drzwiami i odwróciła się do Lorenza. Spojrzeli na siebie. W jej oczach zobaczył niepokój. Czyżby prosiła o wyrozumiałość mężczyznę, który wierzył, że był kochany? Zauważył też, że drżą jej kąciki ust. Czy to oznaka, że słabnie jej opór? Zrobił krok do przodu, chciał ją chwycić w ramiona, powiedzieć, że wybacza, że z pewnością wszystko było nieporozumieniem. Powiedzieć, że rozumie jej lojalność wobec dawnego patrona, są jednak sprawy, których nie można pozorować, związek, jaki istnieje między nimi, jest silny i głęboki. Ale w tym momencie na progu stanął Nikolas i Lorenz nie odezwał się ani słowem.

– Wchodźcie, proszę. Jesteśmy na miejscu – oznajmił kopista.

Ilse odwróciła się od Lorenza i weszła do środka. Został w ciemnym korytarzu, po czym sam przekroczył próg.

W półmroku dojrzał wznoszącą się przed nim dziwną konstrukcję. Nikolas szedł wzdłuż ścian i zapalał zawieszane na nich pochodnie, i dopiero wtedy to, co było cieniem i ciemnym kształtem, przybrało swoją pełną formę. Lorenz nie wierzył własnym oczom: oto stała przed nim, w całej okazałości, maszyna, dokładnie taka sama jak jego. Można by pomyśleć, że ktoś wszedł do jego domu, ugasił pożar i wyniósł nietknięty płomieniami wynalazek.

W miarę jak kopista zapalał kolejne pochodnie, można było ocenić wielkość pomieszczenia. Zdumiony Lorenz nie wiedział, czy śni piękny sen, czy może to, co widzi, jest sennym koszmarem. Z każdym nowym źródłem światła, jak za dotknięciem różdżki, wynurzała się z ciemności nowa prasa. A kiedy wszystkie światła były zapalone, zobaczył kilkanaście maszyn ustawionych rzędami, jak oddział żołnierzy, czekających na rozkaz rozpoczęcia pracy. Lorenzowi wydawało się niemożliwe, aby widok ten miał cokolwiek wspólnego z rzeczywistością. Podeszedł i dotknął pierwszej z nich, przesuwając dłonią po kanciastych, szorstkich krawędziach, a spojrzawszy na pozostałe, zauważył, że wszystkie podobne są do jego prasy jak dwie krople wody.

W głębi tej wielkiej sali znajdowało się przejście, też bez drzwi, do innego pomieszczenia. Dochodzące stamtąd światło było jaśniejsze, ostrzejsze, pochodziło z silniejszego źródła. Słychać było stukot narzędzi, a nieustający hałas świadczył o tym, że praca odbywa się w szaleńczym tempie. Tu zaś, pośród nieruchomych pras, panowała głęboka cisza.

Nikolas zostawił Lorenza, żeby oglądał wszystko, co chce, a sam stanął w przejściu między tymi dwoma pomieszczeniami. Obok niego Ilse, skupiona i uważna, ale też nie tak pewna siebie jak dawniej. Nie zrobiła tego, żeby sprawić przykrość złotnikowi. Stała tam tak, jak stoi dziecko koło ojca lub uczeń koło swego mentora.

Lorenz zdecydował się podejść do nich, ale co chwilę oglądał się za siebie.

– Co o tym sądzicie? Czy dobrze zrobiliśmy? – spytał Nikolas.

Lorenz nie wiedział, co ma powiedzieć. Był zupełnie zdezorientowany. Do czego najlepszemu kopiście w Kolonii potrzebne takie maszyny? – zastanawiał się.

Weszli do jasno oświetlonego pomieszczenia.

– Tutaj robimy odlewy czcionek. To dopiero początek. Mamy tylko jedno niewielkie stanowisko, ale rezultaty są dobre, bo stosujemy waszą kombinację metali: dwie części cyny i jedna ołowiu. – Nikolas wyjął ze skrzynki kilka małych sztabek i pokazał Lorenzowi końcówki z literami. Złotnikowi niewątpliwie były dobrze znane. – Będziemy ich dużo potrzebowali, kiedy wszystkie prasy zaczną pracować.

– Ale... co...? – Lorenz nie dokończył pytania.

– Chcecie zapewne zapytać, dlaczego ktoś taki jak ja, z dobrze prosperującym skryptorium,

chce stworzyć konkurencję dla siebie samego – rzekł Nikolas, uśmiechając się. – To bardzo proste. Zawsze stałem po stronie nowoczesności. Za mojej młodości tylko Kościół miał kontrolę nad książkami i ja byłem pierwszym, który ten monopol złamał. Wy także byliście pionierem, ale nie sądzicie, że nie znajdą się tacy, którzy stworzą to samo, co wy. Nie trzeba będzie długo czekać. A kiedy ten moment nastąpi i ludzie dowiedzą się, czym jest prasa drukarska, niech inni sięgają po laury, ja ich nie chcę. Raczej wam by się należały – zasugerował. – Mnie potrzeba będzie kilku lat, żeby osiągnąć zysk i poprawić moją pozycję.

– A co się stanie z waszymi rzemieślnikami? O tym nie myśleliście? W Kolonii mówią, że dbacie o swoich ludzi. Czy może teraz ich oszukacie?

– Herr Block, świat się zmieni bez względu na to, czy to się moim kopistom podoba, czy nie: muszą się przystosować, a nie przeciwstawiać. Od lat dostarczam zakazane książki do najlepszych bibliotek w mieście, i zawsze z tego skromnego ukrytego warsztatu. – Pokazał ręką na dziwaczne postacie, zajęte napełnianiem form stopionym metalem. Lorenzowi przypominały ubranych na czarno osobników spod lazaretu.

– Dlatego – mówił dalej – nic się nie zmieni. Moi ludzie już zaczęli przysposabiać się do nowych zadań, tak jak wy to zrobiliście. Do osiągnięcia dobrych rezultatów potrzebna mi jest wasza współpraca.

– Już ją mieliście bez mojej zgody – powiedział Lorenz wzburzonym głosem. Po raz pierwszy okazał niezadowolenie.

Wrócił do pomieszczenia z prasami. W milczeniu przechadzał się między nimi, pocierając skronie. Nie miał drogi ucieczki. Ciężył mu powściągany gniew. Potrzebny był czas, aby Erice i Yagonowi udało się uciec przed stosem. Miał nadzieję, że chociaż tyle osiągnie, ale czy to wystarczy? Jakie jeszcze wstrząsy go czekają?

Jeszcze raz przesunął dłonią po drewnianych płytach prasy. To było jego dzieło, maszyna, o której stworzeniu myślał przez niemal całe życie. I ten obcy mu ją ukradł. Nie odrywał wzroku od prasy, nie chciał wrócić do rzeczywistości.

Nikolas, jego ukryty w cieniu mecenas. Jemu, w jakimś sensie, zawdzięczał ostatnie miesiące pracy. Jego pieniądze zapewniły mu cały potrzebny materiał: papier, na którym robił dziesiątki prób, olbrzymie ilości farby i metalu... Przyzwyczajony był do tego, że jeśli klient ponosił wszystkie koszty zamówienia, stawał się tym samym jego właścicielem.

Pamiętał czas, kiedy dostał pierwsze zamówienie, krótko po tym, jak Ernest wyrzucił go ze swojego warsztatu. Pamiętał, jak bardzo ucieszył się listem, który otwierał mu okno na świat. Czy ta Ilse, już nie Olga, też była za to odpowiedzialna? Poczł się jak szmaciana lalka w rękach wszechmocnego, który robił z nim, co chciał, i którego pieniądze ratowały wszakże od nędzy jego i jego córkę, ale to nie znaczyło, że ich życie do niego należy; byli ludźmi, a nie dziełami sztuki złotniczej.

Erika. Błagał Boga, którego dawno zapomniał, żeby opiekował się nią i Yagonem na drodze do Strasburga. Rękawem kaftana wytarł ukradkiem łzę na policzku. Erika. Czy ją jeszcze zobaczy? Nie wiedział, jaki los szykuje dla niego jego mecenas.

Usłyszał, że Nikolas mówi coś po cichu do Ilse. Gdy się odwrócił, zobaczył, że kopista gładzi jej złote włosy, i serce mu się ścisnęło. Znowu ogarnął go gniew, lecz zdołał go opanować. Olga czy Ilse, teraz już wiedział na pewno, była częścią tego pokrętnego planu. A mimo to czuł się z nią związany. Co za głupiec! – wyrzucał sobie. Jak mógł dać się tak oszukać?

Nabrał głęboko powietrza do płuc, żeby pozbyć się ciężaru w piersiach; czuł go, odkąd wrócił do przytomności w tym strasznym miejscu. Kątem oka zauważył, że Nikolas gwałtownie gestykuluje. Wyglądał na oburzonego. Może Ilse wystąpiła w jego obronie. Może ciągle go kochała.

– Herr Block.

Lorenz zwrócił się w stronę dwojga intrygantów.

– Nie martwcie się, nie życzę wam źle – powiedział kopista. – Najlepiej będzie, jeśli wyjedziecie na jakiś czas, przeczekacie, póki sprawy w Kolonii się nie ułożą, i po dwóch, trzech latach wróćcie, przejmiecie ten warsztat i wasz wynalazek wreszcie zostanie doceniony. Proszę was tylko, abyście przez ten czas zachowywali milczenie. Nikt nie może wiedzieć, że książki z mojego warsztatu nie są kopiowane ręcznie. Ani że nie są jedynymi egzemplarzami.

Lorenz szukał wzrokiem oczu Ilse. Miał nadzieję, że obdarzy go tym samym co niegdyś spojrzeniem. Ale patrzyła uparcie w ziemię.

– Dla nas, którzy jesteśmy za postępem, sytuacja staje się coraz bardziej niebezpieczna – tłumaczył się Nikolas.

Złotnik nie był przekonany co do szczerości słów kopisty. Chodziło mu po głowie to, co powiedział Yago: w bliskim otoczeniu mógł być zdrajca. Ten sam człowiek, który zniszczył jego młodzieńcze marzenie zostania sławnym kopistą, teraz pozbawiał go możliwości robienia tego, co było dla niego najważniejsze. Zdawało się, że Nikolas czyta w jego myślach.

– Zaufajcie mi. Mam dla was wielki podziw, a ten, kto podziwia mistrza, nigdy nie zrobi mu

krzywdy. Moim zamiarem było potajemnie wesprzeć pomysł i w ten sposób mieć w nim swój udział. Dawno mogłem na was donieść, a jednak tego nie zrobiłem, prawda? Wręcz przeciwnie. Sprowadziłem was tutaj, podczas gdy władze przeczesują miasto, szukając was.

Lorenzowi wydało się, że już dosięgły go ostrza sztyletów. Tylko on ponosił winę za to, co się stało.

– Tak, Herr Block. Dla władz jesteście zbiegiem, ukrywacie się przed wymiarem sprawiedliwości i musicie uciekać. Jeśli nie macie dokąd jechać, ja wam pomogę, znam właściwych ludzi. Po jakimś czasie, kiedy wszyscy zapomną o tych aktach przemocy, wróćcie i dołączycie do mnie, w tym warsztacie. – Ręką zatoczył koło wokół siebie. – Będziemy pracować razem i razem sprawimy, że ta maszyna stanie się naszym triumfem. Na początku trzeba będzie zapewne trzymać wszystko w tajemnicy, ale z czasem ujawnimy ją światu. Skruszymy okowy przemocy! – Nikolas mówił coraz głośniejszym głosem i słowami pełnymi żywiołowego optymizmu ukazywał wizję przyszłości.

Lorenz odetchnął z ulgą. Plan obmyślony przez tego człowieka dawał mu większe gwarancje, niż gdyby miał zostać sam w mieście, zdany na los szczęścia. Ilse wstawiła się za nim. Tego był pewien. Będzie mógł wyjechać i spotkać się z Eriką w Strasburgu.

– Wyciągniecie mnie z Kolonii? – spytał.

Nikolas wybuchnął śmiechem.

– Naturalnie. Macie dokąd jechać?

– Tak – odparł Lorenz. Wolał nie wdawać się w szczegóły.

– Zatem zostańcie tutaj, a ja pójdę po ludzi, którzy będą wam towarzyszyć. Zostawiam was samych, żebyście się pożegnali.

Odczekał, aż Nikolas wyjdzie, i dopiero potem podszedł do niej. Ilse cofnęła się, nie wiedząc, czego się spodziewać. Lorenza ogarnął gniew: ojciec Wahrheit zginął na stosie, Johann został uwięziony, jego córka znalazła się w niebezpieczeństwie, on sam... Myśli przebiegały lotem błyskawicy, miał tyle pytań, nie wiedział, od czego zacząć. Chciał dostać od niej odpowiedzi, które by mu pomogły zrozumieć całą sytuację. Stała przed nim, delikatna w słabym świetle. Olga, ta sama, która czułymi pieszczotami przywróciła pragnienie kochania i wymazała koszmary od lat męczące go po nocach. Kochał ją, jak mógłby nie kochać?

– Przez cały czas dla niego pracowałaś? – spytał ze smutkiem w oczach.

– Tak.

Nie podniosła głowy i oddech miała przyspieszony. Piersi unosiły się pod okrywającymi ją jedwabiami. Lorenz dobrze ją znał, a przynajmniej tak sądził. Żył z nią przez tyle miesięcy i wiedział, że taki oddech oznacza niepokój.

– Kochałaś mnie chociaż?

Wyrzucił z siebie słowa z niepowstrzymaną siłą. Musiał to wiedzieć. Przynajmniej to.

Przez chwilę nic nie mówiła, a potem podniosła głowę i spojrzała na niego tymi niebieskimi oczami, które były jak pokarm dla jego duszy. Olga płakała.

– Tak, tak, kochałam cię. I wciąż cię kocham, Lorenz.

Pokręcił głową.

– Dlaczego? Dlaczego byłaś mu posłuszna? Dlaczego to zrobiłaś?

Ilse oparła się o ścianę, westchnęła głęboko i spojrzała gdzieś poza nim, w górę.

– Mogłabym ci podać tysiąc powodów.

– Podaj choćby jeden – powiedział szybko. Nie wiedział, kiedy wróci Nikolas, i musiał wykorzystać ten czas ofiarowany mu na ostatnią rozmowę, zanim rozstaną się na zawsze.

– On dał mi wszystko, kiedy byłam w nędzy. To bardzo szczodry człowiek.

– Kazał ci zbliżyć się do mnie? Spać ze mną? Rozkochać mnie w tobie?

Stłumiła szloch.

– Tak.

– Jak możesz kochać kogoś tak nikczemnego?

– Ty tego nie zrozumiesz.

– Nie, nie rozumiem. W głowie mi się nie mieści, że byłaś zdolna do takich kłamstw. To... –

szukał słowa – to nieludzkie, Olgo... czy Ilse, już sam nie wiem – powiedział z goryczą.

Zamilkł. Wszystko go bolało, jakby dostał nie jeden, lecz setki ciosów. Miał nadzieję, że powie mu, iż nigdy go nie kochała; tylko to chciał usłyszeć. Czuł, że siły go opuszczają.

Odezwała się głosem ściszym, pełnym smutku. Patrzyła w przestrzeń, chcąc być może przywołać wyraźny obraz tamtych dni z przeszłości, które by wszystko usprawiedliwiły.

– Żyłam na ulicy, Lorenz, błąkałam się po drogach, byłam skazana na śmierć. On mnie uratował. Ukształtował, dał mi życie. I, na swój sposób, mnie kocha.

Lorenz z ciężkim westchnieniem usiadł na stołku przy prasie. Był zgnębiony. Ilse mówiła dalej, trochę pewniejszym głosem:

– Ale coś się we mnie zmieniło. I jeśli zechcesz, pojedę z tobą...

Opuścił głowę. Nie mógł pojąć, co mówi ta kobieta. Zdradziła go, a teraz żąda czegoś od niego. Tak jakby nie dał jej z siebie wystarczająco dużo, jakby to on miał naprawiać swoje błędy.

– Nie mogę. – Pokręcił głową. – Nie wiem, czy umiałbym ci wybaczyć.

Słowa brzmiały twardo, zdecydowanie. Ilse się rozplakała. Łzy powstrzymywane przez długie miesiące oszukańczej gry potoczyły się po policzkach, zamieniły w tłumiony szloch. Zburzyły jego spokój.

– Przepraszam... – wyszeptała.

Lorenz gładził jej włosy, jedwabiste, błyszczące, tak jak dawniej to robił. Pocięczał ją. Klęczała przy nim, z twarzą ukrytą na jego kolanach.

I tak trwali, on w milczeniu, ona pragnąca odkupić wszystkie popełnione grzechy. Płacz przycichał, wracał spokojny, równomierny oddech. Lorenz wiedział, że nigdy więcej nie zobaczy Olgi. Zamknął oczy. Poddął się nastrojowi intymności, paradoksalnie najbardziej prawdziwemu od chwili, gdy się poznali.



Nikolas uznał, że usłyszał wystarczająco dużo, i opuścił swoją kryjówkę. Ukradkiem przeszedł do pomieszczenia, gdzie jego ludzie pracownicy odlewali niezliczone ilości czcionek. Uśmiechnął się na myśl o bliskiej przyszłości: zamiast pióra w dłoni będzie miał do dyspozycji litery z metalu. Już niedługo hałas pracujących maszyn zburzy grobową ciszę dotąd rządzącą w głęboko ukrytym miejscu. Skończą się omyłki, skończy się przepisywanie stron ręcznie.

Podszedł do syna, który na jego widok przerwał pracę.

– Co się stało, ojcze? – spytał zaniepokojony.

– Nie martw się, wszystko jest w porządku. – Wsunął rękę pod jego ramię i poprowadził w odległy kąt. – Musimy dodać jeden szczegół do naszego planu.

– Jaki?

– Wydajesz się zdenerwowany, synu. Dlaczego?

Alonso spuścił wzrok.

– Nie musisz się o nic martwić. Sprawy potoczą się jeszcze lepiej niż dotąd. Dlatego chcę z tobą porozmawiać. – Umilkł na chwilę, po czym dodał: – Siadaj tutaj.

Usiedli obydwaj na małych stołkach.

– Odnoszę wrażenie, że Herr Block jest słabego charakteru i nie wytrzyma tej presji. A moje wrażenia nigdy nie są błędne. – Odchrząknął lekko. – Myślę, że należy... pozbyć się go. Oczywiście Alonsa pociemniały. Widać było, że ta decyzja mu się nie podoba.

– Ale dlaczego? – zapytał.

– Wiem, że tego nie braliśmy pod uwagę, ale musisz zrozumieć. Jak wiesz, w moim planie kryło się ryzyko. Nie mogłem bezpośrednio włączyć się do pracy nad tym wynalazkiem, musiałem działać z ukrycia, jak we wszystkim, co dotąd osiągnęliśmy, Alonso. W tych czasach trzeba okazać więcej sprytu od innych, i to tak, aby o tym nie wiedzieli. Dlatego go szpiegowaleś. Kiedy odkryliśmy, że żyje bez kobiety, udało nam się znaleźć dla Ilse zajęcie w warsztacie złotniczym. Musieliśmy mieć wszystkie informacje. W momencie gdy zrozumieliśmy, jaką wagę ma ten jego wynalazek, zamówieniami daliśmy mu impuls do dalszej pracy. No a gdy sami mieliśmy już maszyny, nie można było zostawić go z warsztatem w mieście, gdzie każdy mógłby mieć do niego dostęp. My musieliśmy stać się jego zbawieniem. Powinniśmy być wdzięczni, że sam spalił prasę, zaoszczędził nam pracy. Dobrze wiesz, że według planu Lorenz, znalazłszy się w trudnej sytuacji, bez domu, bez prasy drukarskiej, miał zgodzić się pracować dla nas. Ale podsłuchałem jego rozmowę z Ilse i wiem, że się nie zgodzi. Jeśli pozwolimy mu odjechać, na pewno nas zdradzi. To zagraża naszemu bezpieczeństwu.

Alonso słuchał uważnie.

– Ale to ty, ojczu, chciałeś pokazać Lorenzowi, co zrobiłeś – powiedział z wyrzutem.

– I to był błąd. Myślałem, że to go przekona, ale tak się nie stało.

Nikolas zamilkł. Pozwolił wejść Lorenzowi do swojego królestwa, to prawda. Zrobił to, żeby się nim poszczycić i pokazać, co można osiągnąć dzięki wynalazkowi prasy drukarskiej. A może w grę wchodziła pycha i chciał, aby Lorenz wiedział, jak nim manipulował, żeby osiągnąć swój cel. Nie spodziewał się natomiast reakcji Ilse, która gotowa była go opuścić po tym wszystkim, co dla niej zrobił. Nie mógł powiedzieć o tym Alonsowi, żeby go bardziej nie niepokoić, ale jeszcze teraz czuł płomień gniewu, kiedy przypominał sobie Ilse wyznającą miłość złotnikowi.

Alonso obserwował ojca; spodziewał się więcej informacji.

– Samo sprzedawanie kopii wykonanych na tych maszynach jako kopii pisanych ręcznie może być niebezpieczne. Więc dodatkowe ryzyko jest nam niepotrzebne, Alonso. Jesteś zbyt młody, żeby to zrozumieć, ale jeszcze się nauczysz. Od dość dawna unikamy sytuacji krytycznych, nie sądzisz? – Pokazał ręką widmowe postacie, zajęte wyłącznie pracą, niezwracające uwagi na nic innego.

Chociaż wcześniej z ich ręki zginął Morgenstern, Nikolas zdawał sobie sprawę, że jego ludzie z ukrytego warsztatu nie są zabójcami i że wymaga bardzo dużo. Ale kierowała nim żądza władzy. Ze śmiercią Lorenza wszystko wróci na właściwe tory: nikt inny nie będzie miał drukarni, nikt nie będzie jego cieniem i Ilse z nim zostanie.

– Ten człowiek stanowi ogromne ryzyko, Alonso – powiedział jeszcze. – I nie zapominaj, że to wszystko jest dla ciebie; jest i będzie twoim królestwem.

Nastąpiła chwila ciszy. Żaden z nich się nie odzywał. Nikolas zobaczył, że syn powoli porusza głową. W górę i w dół. Zgadzał się. Na moment pojawił się na twarzy Nikolasa uśmiech zadowolenia. Alonso zaś opuścił głowę i nerwowo kręcił palcami.

Przekrzykując hałas, Nikolas zawołał:

– Kay, Roth, chodźcie tu!

Dwaj pracownicy cyzelujący czcionki przy świetle świec podeszli natychmiast. Usta drobnego Rotha były cienką linią, jakby mu ktoś wyciął wargi. Kay miał zsunięty ciemny kaptur i widać było głęboką szramę na gładkiej szyi, ale zaraz pospiesznie ją zakrył.

– Pojedźcie z nim.

Obydwaj skinęli głowami.

– I pozbędziecie się złotnika.

Nikolas zadał sobie pytanie, dlaczego wysłał Kaya i Rotha z Alonsem. Naturalnie po to, żeby nie zdarzyło się nic nieprzewidzianego, ale i dlatego, że – świadomie czy podświadomie – nie chciał, aby ręce jego syna splamiły się krwią.



Poruszyli się niespokojnie, kiedy usłyszeli kroki. Ilse natychmiast wstała, a za nią złotnik. Nikolas wszedł w towarzystwie trzech mężczyzn, którzy na Lorenzu wywarli groźne wrażenie. Może dlatego, że dwaj z nich mieli twarze ukryte w kapturach czarnych wygniecionych tunik, stroju, który stawał się mu coraz bardziej znajomy.

– Przepraszam, że przerywam – powiedział Nikolas.

– Jeśli nie jestem ci potrzebna, pójdę już – rzekła Ilse. Twarz miała ukrytą w cieniu.

– Dobrze. Pożegnaj się z Herr Blockiem.

Tylko podała mu drobną, lecz silną rękę. Lorenz chwycił ją i palcem rysował kreskę na delikatnej skórze dłoni, chcąc po raz ostatni poczuć jej ciepło, jej miękkość, których nigdy nie będzie mógł zapomnieć.

– Dużo szczęścia na przyszłość – powiedziała Ilse. I porzucając za sobą przeszłość, zniknęła w ciemności.

Lorenz został z czterema nieznanymi i poczuł, że skóra mu cierpnie.

– W podróży towarzyszyć wam będzie mój syn, Alonso. To dobry chłopak. – Alonso się uklonił. – Pojadą z wami także jego dwaj pracownicy, Kay i Roth.

Lorenz podszedł bliżej i przyglądając się zakapturzonym osobnikom, zauważył u jednego z nich te usta bez warg. Jego koścista sylwetka wydała mu się znajoma, przypominał ponurą postać, która potajemnie dostarczyła mu pierwszy anonimowy list – pierwszą przyczynę kłopotów, w jakich się znalazł.

– Jestem wam niezmiernie wdzięczny – odparł Lorenz.

– Jedźcie z nimi. Musicie ruszać natychmiast.

Ruchem głowy Nikolas dał znak ludziom, a ręką wskazał wyjście. Do Lorenza na pożegnanie powiedział:

– Z pewnością jeszcze się zobaczymy, Herr Block. Wierzę, że nastąpi to niedługo. – Odwrócił się i tym samym zakończył spotkanie.

Lorenza zmroziła myśl, że mógłby w to miejsce wrócić. Prosił Boga, aby pragnienie kopisty nigdy się nie spełniło.

Jazda była wyjątkowo męcząca. Wóz trzął się na kamieniach, na każdej nierówności terenu. Przesiąknięty był wonią papieru, farby i skóry, jak zauważył ze smutkiem Lorenz. Spojrzał ukradkiem na swoich towarzyszy: dwóch młodych, Kay i Roth, ignorowało go, Alonso siedział z przodu, trzymał lejce, kierował wozem zaprzężonym w dwa konie i nie oglądał się do tyłu.

Zrobiło się bardzo ciemno. Lorenzowi zdawało się, że stracił rachubę czasu. Nie miał pojęcia, jak długo trzymano go w zamknięciu. Porządnie dostał w głowę, ale nie mógł chyba być nieprzytomny dłużej niż parę godzin. Westchnął, spoglądając na gwiazdy. Z daleka doszedł go szum rzeki. Wierzył, że Yago zdołał wywieźć Erikę do Strasburga, daleko od szalejącego fanatyzmu.

Był zmęczony. Nie jadł i nie pił od dość dawna, czuł się odrętwiały i marzył tylko o tym, żeby spać, choćby krótko. Spać i na chwilę zapomnieć o tym brzemieniu w skutki dnia. Uśmiechnął się gorzko, myśląc, jak wszystko się zmieniło. Rano, kiedy wstał, dzień zapowiadał się wspaniale. Był szczęśliwy, cieszył się życiem, miał przed sobą przyszłość. A teraz jego życie i wszystkie plany zawały się jak domek z kart. Godziny najlepszego przyjaciela były policzone, ukochana go zdradziła, nie wiedział, czy córka jest bezpieczna, a sam... Ukrył twarz w dłoniach. Niespełniony marzyciel.

Szmer wody w rzece oddalał się, kiedy wóz wjechał głębiej w coraz bardziej gęstniejący las. Nieba nie było widać i jedynie światło księżyca czasem przebijało się między gałęziami. Lorenz siedział na bocznej ławce. Po jego prawej stronie Alonso leniwie popędzał konie, po lewej Roth, z groteskowo wykrzywioną twarzą, a naprzeciwko Kay, z głową opuszczoną i zakrytą kapturem. Lorenz spojrział do tyłu, biaława poświata tworzyła przedziwny obraz – jakby jasne kolumny na tle ciemnego lasu.

Wóz tak nagle wyskoczył przed siebie, że Lorenz poczuł silne szarpnięcie w karku i aż się zgiął z bólu. Ale zauważył, że ten ruch zaalarmował jego opiekunów. Wydało mu się, że zaraz się na niego rzucą. A więc nie tylko towarzyszyli mu w podróży; mieli go również pilnować.

Zastanowił się. Nikolas zdecydował, aby zniknął, dopóki sytuacja się nie unormuje, a potem, po powrocie, mieli pracować razem, ale... Jeśli tak bardzo zależało mu na współpracy, mógł się włączyć od samego początku. Lorenz byłby zaszczycony, gdyby najlepszy kopista w Kolonii, być może w całej Nadrenii, zaoferował mu pomoc. Lecz zamiast tak uczynić, Nikolas pozostał w cieniu, knując plan kradzieży jego wynalazku.

Mimo że zimno przenikało go do szpiku kości, Lorenza oblał pot. I choć był bardzo zmęczony, zachował ślad trzeźwości umysłu: groziło mu niebezpieczeństwo. Nikolas nie miał zamiaru mu pomóc. Kazał wywieźć go na południe. Jadą nocą, przez rozległe, gęste lasy, ku nieznanemu przeznaczeniu. A ci dziwni ludzie, na pół kaleki, na pół zjawy, pilnowali go jak więźnia prowadzonego na szafot.

Pomyślał o ucieczce, ale nie znał tych lasów. Ponadto ich było trzech, a on jeden. Zastanowił się nad wszystkimi możliwościami. Jeśli polecono im go zabić, wywiozą go w miejsce, w którym nie będzie świadków jego śmierci. Włosy stanęły mu na głowie na myśl, że może zostać zgłodzony, a jego ciało porzucone gdzieś jak kupa gnoju. Starał się zachować spokój, lecz serce zabiło mu szybciej. Strażnicy – bo tak teraz o nich myślał – otrząsnęli się z letargu i uważnie mu się

przyglądali.

Jak w ataku gorączki poczuł, że zaczyna go ogarniać panika. Stracił nadzieję, nie wierzył, że wyjdzie z tego żywy, przeciwnie, pewny był śmierci. Powinien uciec, teraz, zaskoczyć ich, biec przez nieznany las, modlić się, że znajdzie kryjówkę, schroni się przed tymi okrutnikami. Tak, byli okrutnikami, wybranymi na jego katów. A on nie chciał umierać; nie w ten sposób i nie teraz.

Oddał się w opiekę wszystkim świętym i wyskoczył z wozu. Nie jechali zbyt szybko, szczęście mu dopisało: wylądował na nogach i nie stracił równowagi. Rzucił się między gęste drzewa. Za sobą usłyszał niezrozumiałe wrzaski i parskanie nagle zatrzymanych koni.

Czuł ból w piersiach, ale biegł zygzakiem między drzewami i zaroślami, chcąc utrudnić pościg. Niskie gałęzie uderzały go i raniły twarz, więc je gwałtownie odpychał rękami. Słyszał swój oddech, świszczący i urywany z wysiłku i strachu, i trzask gałęzi łamanych i deptanych przez jego prześladowców. I pohukiwanie sów, zaskoczonych najazdem na swoje terytorium. Potknął się i upadł na dno wyschniętego strumienia, pełnego śliskich liści. Po omacku, chwytając się wystających korzeni, wspiął się na drugi brzeg. Nie zwracał uwagi na poranione ręce. Celem było przeżyć.

Nie miał pojęcia, czy biegnie prosto, czy może kręci się w koło, nie umiał zorientować się w tym gąszczu. W słabym świetle ledwie widział, gdzie postawić stopy. Serce biło jak szalone, oddech stawał się coraz krótszy, ból w piersiach przypominał dźgnięcie noża między żebrami: tracił siły. Posuwał się wolniej na niepewnych, chwiejnych nogach. Wiedział, że dłużej tego nie wytrzyma, że zaraz upadnie na ziemię. A jednocześnie nie mógł się zatrzymać...

Omam się nie rozplakał, kiedy zobaczył w pobliżu jednego z prześladowców. Tamten miał go w zasięgu ręki. Lorenz zdał sobie sprawę, że to już koniec; potknął się i przewrócił. Prześladowca chwycił go za włosy i przyparł do ziemi. Z ust pozbawionych warg wydobył się nieludzki krzyk, który zaalarmował pozostałych. Lorenz z przerażeniem ujrzał myśliwski nóż w zaciśniętej pięści i niemal fioletową z wysiłku i wściekłości twarz Rotha. A po chwili dosięgło go parę silnych ciosów w szczękę. Zobaczył, jak nóż się unosi, jeszcze sekunda, i Roth poderżnie mu gardło, jak kurczakowi. Usiłował bronić się, protestować, lecz nie znalazł w sobie siły. Zamknął oczy i wyszeptał kilka słów modlitwy.

Lorenz usłyszał głośny suchy trzask, przypominający pęknięcie łupiny orzecha, i poczuł na twarzy gorące, gęste krople. Krew. Otworzył oczy w chwili, gdy napastnik z tłumionym jękiem przewracał się na niego. Szybko go od siebie odepchnął. Martwe ciało Rotha opadło na bok, odsłaniając zakrwawiony tył głowy. Lorenz nic nie rozumiał. Podniósł wzrok i zobaczył syna Nikolasa z grubą gałęzią w rękach. To on zadał ten śmiertelny cios.

Lecz teraz dobiegł go inny dźwięk. Zdumiony Kay przyglądał się tej scenie i zdawał się gestami klócić z Alonsem. Potem wszystko ucichło. Kay zdjął kaptur, chcąc zapewne postraszyć widokiem potwornie zdeformowanej szyi, i z nożem w ręce rzucił się na Alonsa.

Gałąź pomogła synowi Nikolasa utrzymać dystans. Poruszał nią szybko, lecz jego rywal wpadł we wściekłość. Zręcznie unikał ciosów. W pewnym momencie zbliżył się na tyle, że zranił go czubkiem noża. Obaj mężczyźni byli potężnie zbudowani, Alonso nieco wyższy od Kaya, ale obaj odznaczali się niezwykłą zwinnością. Lorenz oparł się o drzewo i próbował unieść powoli obolałe ciało. Z tego, co się działo, rozumiał jedynie, że syn Nikolasa broni go przed atakiem wysłanników swego ojca.

Lorenz wstał w końcu, choć od biegu i ciosów Rotha jeszcze mu się kręciło w głowie. Kierowany impulsem, pochylił się i ze zwiotczalej dłoni wyciągnął nóż. Z zaciśniętymi szczękami obserwował walkę Alonsa z przeciwnikiem. Do nikogo nie mógł mieć zaufania.

Nagle gałąź wypadła z rąk Alonsa. Z czymś w rodzaju triumfu na pokiereszowanej twarzy Kay

rzucił się na niego. Alonso upadł, ale bronił się, waląc go nogami w piersi. Przyhamował atak, choć nie zdołał go całkiem odeprzeć. Kay wymachiwał nożem i nie pozwalał mu się podnieść. Alonso śledził wzrokiem uzbrojoną dłoń niebezpiecznie zbliżającą się do jego gardła.

Lorenz spojrział na nóż w swojej dłoni. Przez chwilę zastanawiał się, co ma zrobić. Nigdy przedtem z nikim się nie bił, na nikogo nie rzucał się z bronią. Teraz musiał podjąć decyzję, a czasu było mało. Jeśli zginie Alonso, on będzie następną ofiarą. Zrobił kilka niepewnych kroków w stronę walczących mężczyzn. Wziął nóż w obie dłonie, z czubkiem skierowanym w dół. Musiał tylko ugodzić Kaya w plecy i wszystko się skończy.

Był już blisko i omal nie upadł, kiedy noga Kaya trafiła go w łydkę. Niemowa, siny z wściekłości, zostawił Alonsa i odwrócił się, chcąc skoczyć i zaatakować Lorenza. W tym momencie złotnik z krzykiem, w którym pobrzmiwały strach i wola przeżycia, uderzył. Nóż nie pozostał mu w dłoni.

Wbił go w szyję, powyżej obojczyka. Kay, z przerażeniem w oczach, zdołał zobaczyć, że rękojeść ociera się o jego szczękę. Ustami trysnęła krew, a wokół rany tworzyła się wielka ciemna plama. Z niemych ust wydobył się jedynie krwawy pęcherzyk, Kay osunął się na kolana, a potem padł na ziemię.

Lorenz cofnął się jak od żarzących się węgli. Z dreszczem grozy patrzył na martwe ciało Kaya. Nigdy się z nikim nie bił, a teraz u jego stóp leżał człowiek zabity jego ręką.

Syn Nikolasa zbliżył się i położył dłonie na ramionach Lorenza. Zobaczył, że jego rany nie są ciężkie: trochę zakrzepłej krwi w okolicy nosa i spuchnięte oko.

– Dziękuję – powiedział swoim chropawym głosem.

Lorenz miał tylko jedno pytanie.

– Co teraz?

– Teraz nic wam nie grozi. Chodźcie ze mną. Musimy stąd odjechać – odparł Alonso i natychmiast ruszył w kierunku drogi, gdzie zostawili konie.

– Dokąd?

Alonso nie zwolnił kroku. Lorenz dopędził go i pociągnął za rękaw.

– Dokąd? – powtórzył.

– Czekają na nas przyjaciele. Zaufajcie mi. – Uśmiechnął się.

Nie miał więc złotnik innego wyjścia, jak iść za tym młodym człowiekiem, który uratował go przed śmiercią w lesie. Czuł, że na ramionach dźwiga wszystkie troski tego świata.

Gdy spokojniejszym krokiem dotarli z powrotem do wozu, Alonso powiedział:

– Połóżcie się i odpocznijcie trochę. Czeka nas długa droga.

Lorenz pragnął zapytać go, dlaczego miałby mu ufać, dokąd jada, kim są czekający na nich przyjaciele, kim byli jego towarzysze podróży, co było powodem kłótni, dlaczego musieli zabić, aby żyć... Ale Alonso emanował opanowaniem, spokojem i tego właśnie Lorenz najbardziej w tej chwili potrzebował.

Postanowił jednak uważać, mieć oczy otwarte, lecz gdy konie ruszyły, kołysanie wozu natychmiast go uspiło. Ani trzaski, ani kamienie ani dziury w drodze go nie obudziły, póki nie poczuł na ramieniu dłoni Alonsa.

– Dojeżdżamy – powiedział syn Nikolasa.

Na pół śpiący Lorenz usiadł i rozejrzał się dookoła. Wyjeżdżali z lasu. Niebo pojaśniało, a na wschodzie pojawiała się fioletoworóżowa plama. Nadchodził świt. Zobaczył, że zbliżają się do skrzyżowania dróg. Nikogo tam nie było, ale Alonso zatrzymał wóz.

Zeskoczył i dał znak Lorenzowi, żeby zrobił to samo.

– Ale tu nikogo nie ma... nikogo nie ma – wyjąkał złotnik.

– Pewno ukryli konie na małej polanie, niedaleko. Zaraz tu będą, nie lękajcie się.

Lorenz, pojękując cicho, zszedł z wozu. Wszystko go bolało, zwłaszcza w lewym oku czuł piekący ucisk. Znowu znalazł się w sytuacji, której nie rozumiał. Skulił się w sobie i objął ramionami, żeby odpędzić przenikliwy wilgotny chłód.

– Spójrzcie. O, tam. Już są.

Alonso pokazywał na miejsce między dwoma drzewami, po przeciwnej stronie krzyżówki. Lorenz dojrzał ciemną postać. Sądząc po stroju, była to kobieta. Na jego widok zaczęła biec.

– Ojczy!

– Boże miłosierny, Erika!

Erika biegła z otwartymi ramionami, rzuciła się ojcu na szyję i ścisnęła z całej siły. Lorenz jęknął cicho, kiedy niechcący dotknęła bolesnego miejsca.

– O Boże, ojczy! Co oni ci zrobili? Twoja twarz!

Delikatnie pocałowała spuchnięte oko.

– To nic, nic, kochanie... Jak ty się czujesz? Tak mi ciebie brakowało, córeczko!

Zamierzał zapytać o Yagona, ale zobaczył go, idącego w ich stronę, szeroko uśmiechniętego.

– Wiedziałem, że można temu chłopakowi zaufać – powiedział kupiec. – Oto jesteś znowu z nami, cały i zdrowy!

– Yago... Erika... Czy może jesteśmy w Strasburgu? – spytał skonsternowany.

Yago pokręcił głową.

– Nie, drogi przyjacielu, ale niedługo tam będziemy. – Spojrzał na Erikę. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli ona ci o tym opowie.

Erika stała koło ojca, ale nie wypuszczała jego ręki z dłoni. Ukradkiem spojrzała na Alonsa. Z zażenowania policzki jej spąsowiały.

– To jest tak, ojczy... Pamiętasz, że mówiłam ci o przyjacielu, który pisał do mnie listy? To on. – Ruchem głowy pokazała Alonsa.

Lorenz aż usta otworzył ze zdumienia.

– On? Syn Nikolasa? – Zmarszczył czoło i dodał: – Czy wiesz, co nam zrobił ten... ten okrutnik? – zapytał z goryczą w głosie. Stał mu w pamięci obraz Olgi... a teraz Ilse.

Erika skinęła głową.

– Tak, wiem. Alonso wszystko mi wczoraj powiedział. Na początku pomagał mu opracować plan. Nikolas jest jego ojcem i był mu to winien. Alonso urodził się głuchy i ktoś inny zamknąłby go w klasztorze. Lecz Nikolas dał mu doskonałe wykształcenie i miał w nim współnika w swoich interesach.

Lorenz chciał się odsunąć od córki. Już ten listowny związek uważał za niewłaściwy, a teraz dowiaduje się, że był to związek z synem człowieka, który wykorzystał go i chciał zabić. Ale Erika go przytrzymała. Mówiła spokojnie, ze spokojem kobiety dojrzałej. Lorenz czuł ucisk w sercu, ilekroć Erika spoglądała na Alonsa i z trudem ukrywała radosny uśmiech.

– Kiedy Alonso dowiedział się, jakie są zamiary Nikolasa, nie mówiąc nic ojcu, zajął się obmyśleniem planu ucieczki. Najpierw zawiadomił mnie o niebezpieczeństwie. Potem, kiedy zbiry Nikolasa cię złapały, to Alonso i Olga wszystko przygotowali. Olga opuściła nasz dom, ale cały czas była w pobliżu, pilnowała nas. Śledziła nas, gdy wychodzę z Yagonem. Poszła za nami do portu i o wszystkim nam powiedziała. Ustaliliśmy, że tu się spotkamy. Alonso przyrzekł sprowadzić cię tutaj całego i zdrowego.

Lorenz zmarszczył czoło.

– To dlaczego do tego dopuścił? Dlaczego pozwolił, żeby to wszystko się wydarzyło? Mógł nas

ratować wcześniej, nie sądzisz?

Spojrzał w oczy Alonsa, śledzącego z uwagą tę rozmowę, i nie odrywając od niego wzroku, powiedział:

– A Olga nie jest Olgą. Na imię ma Ilse.

Erika posmutniała.

– Tak, o tym też wiem. Sama mi powiedziała. Ty pewno jej nie wierzysz, ale ja tak. Wiem, że ona cię kocha, lecz jej miłość nie jest tak silna jak miłość Alonsa. Nie czuje się na siłach porzucić Nikolasa. Dlatego nie mogli za wcześnie ujawnić swoich planów. Musieli czekać na odpowiedni moment. Poza tym ci kalecy ludzie pracujący dla Nikolasa... mimo że to Alonso nimi kierował, są wiernymi sługami jego ojca. Słuchali Alonsa tylko dlatego, że Nikolas im kazał. A gdyby Alonso przeciwstawił się ojcu, wiedzieliby, po której stronie mają stanąć. Pewno miałeś okazję się przekonać...

Pogładziła ostrożnie opuchniętą twarz ojca.

– Alonso nie znał tego ostatniego szczegółu w planie Nikolasa. Poza tym potrzebował czasu na to...

Erika wyciągnęła rękę i Alonso wyjął spisane na pergaminie dokumenty, które ukrył na wozie pomiędzy innymi papierami, owiniętymi mocnym płótnem. Podał je Erice, a ona ojcu.

– Co to jest?

Odezwał się Yago.

– To dokładne kopie listów żelaznych Świętego Cesarstwa, upoważniających do wjazdu do każdego miasta zachodniej Europy. Alonso nie tylko skopiował tekst, ale też zrobił to na oryginalnym papierze, identycznym atramentem, i doskonale podrobił pieczęcie. To wam pomoże zacząć nowe życie z dala od wszelkich niebezpieczeństw.

Yago położył rękę na ramieniu Lorenza. Erika zostawiła ojca i serdecznie uściskała Alonsa. W zmęczonych oczach złotnika jeszcze błąkała się nieufność, ale wysłuchał tego, co kupiec miał mu do powiedzenia.

– Posłuchaj mnie, przyjacielu. Wiesz, że masz zapewnione w Strasburgu bezpieczne schronienie. Znam też kogoś, kto da ci pracę w swoim warsztacie złotniczym. I dom do zamieszkania. Życie potraktowało cię brutalnie, to prawda, ale daje ci teraz nową szansę. Ja ufam temu młodzieńcowi. Jak widzisz, dotrzymał słowa, jesteś tutaj z nami. Mógł nas wszystkich zdradzić, uwięzić, skazać na śmierć. Musisz zrozumieć, jaki krok uczynił Alonso: porzucił warsztat, ojca, swoje życie w Kolonii. Po to, aby ratować twoje życie. I, naturalnie, Eriki.

Lorenz patrzył na córkę, przytuloną do Alonsa. Widząc ją w jego ramionach, zdał sobie sprawę, że w jakimś sensie traci córkę. Jego mała dziewczynka stała się kobietą. Bolał go ten widok, ale musiał przyznać, że ona promienieje szczęściem. A chłopak, który jej to szczęście daje, parę godzin przedtem uratował mu życie.

– Teraz Alonso też jest zbiegiem – powiedział Yago. A szeptem dodał: – Chyba nie chciałbyś stracić córki, tak jak Nikolas stracił syna...

Lorenz popatrzył przed siebie. Różanopalca jutrzeńka rozpraszała nocną mgłę i zapowiadała nowy dzień. Niebo było bezchmurne. W oddali rozbrzmiewał świergot ptaków: las się budził.

– Jak dotrzemy do Strasburga? – spytał Lorenz.

Uśmiechnięty, zadowolony z siebie Yago pospieszył z odpowiedzią.

– Wsiadamy na statek w najbliższym porcie. Od Strasburga, przyjacielu, dzielą nas niecałe dwa dni drogi.

Lorenz znowu skulił się w sobie, po czym, podrapawszy się w głowę, powiedział dużo weselszym

tonem:

– Doskonale. Na cóż więcej mamy czekać? W Kolonii zostawiam jedynie popioły.

Patrząc na niego, Erika była pewna, że ojciec pragnie zacząć życie od nowa. Tak jak i ona pójdzie nową drogą. Spojrzała na Alonsa i uśmiechnęła się. Była szczęśliwa. Jasno widziała, co chce zrobić, co chce osiągnąć. Zmiany jej nie przerażały. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się w Strasburgu, poznawać ulice miasta, poznawać jego mieszkańców.

Wyruszyli w podróż ku rozległym horyzontom, za którymi jaśniała nadzieja.

Epilog

Strasburg, 21 marca 1442 roku

Drogi i zawsze szanowany ojcze,

ośmielam się zwrócić do Ciebie po latach, gdyż uważam, że winien Ci jestem wyjaśnienie mojego postępowania. Zdaję sobie sprawę, iż być może nie życzysz sobie nic o mnie wiedzieć, dlatego zrozumieć, jeśli nie przeczytasz tego listu, a nawet zniszczysz go, aby nie pozostał po nim żaden ślad. Oby tak się nie stało, obyś zechciał czytać te pokorne słowa, mam bowiem wiadomości, które mimo upływu pięciu lat i mimo odległości, jaka nas dzieli, dotyczą Ciebie.

Od dawna pragnąłem do Ciebie napisać. Ale powstrzymywały mnie ostrożność, konieczność znalezienia dla siebie nowego miejsca, a nade wszystko obawa, że nie zechcesz mnie zrozumieć. Lecz teraz, mimo iż tyle czasu minęło, czuję Twoją bliskość i wiem, że muszę się tych obaw pozbyć. Ostatnio wspominam lata spędzone u Twojego boku, nauki, jakie mi wpoileś, i to, że dzięki Tobie stałem się tym, kim obecnie jestem.

Wybacz potok myśli. Jest tyle spraw, o których chciałbym Ci napisać, że brak mi cierpliwości, aby je ułożyć we właściwym porządku. Przyznam się, że najbardziej chciałbym mieć Cię przy sobie i o wszystkim Ci opowiedzieć. Ponieważ nie jest to możliwe, ta biała kartka najbliższa jest rozmowie, którą wcześniej czy później powinniśmy podjąć.

Odkładam to, co jest nieuniknione: wyjaśnienie powodów mojego nieposłuszeństwa i ucieczki z Kolonii. Nie sądz, że mam wątpliwości, bo żałuję mojego postępowania. Tak nie jest. Tym, czego się również od Ciebie nauczyłem, jest trwanie przy swoich decyzjach. Obawiam się raczej, że potraktujesz moje słowa jak wyrzuty, co nie byłoby sprawiedliwe. Przynajmniej nie we wszystkim.

Nie wiem, czy zauważyłeś, że od dłuższego czasu nie podobały mi się Twoje metody działania. Jestem pewien, że i Tobie były przykre. Morgenstern był zapewne jedynym, który zasłużył sobie na los, jaki mu zgotowaliśmy, ale nawet wtedy nie widziałem jeszcze drogi, którą mam pójść. Wiem, jak bardzo zależało Ci na utrzymaniu obu warsztatów, zwłaszcza tego tajemnego, bo z niego wychodziły najbardziej odważne książki i był poza tym miejscem, gdzie chroniony przez Ciebie, spędzałem najwięcej czasu razem z moimi towarzyszami, tymi nieszczęśnikami, którym dałeś szansę życia. Myślę, że zbyt zbliżyłeś się do słońca i jego promienie stopiły wosk na Twoich skrzydłach. Nie mogłem uwierzyć, że po latach poświęconych pięknu i mądrości weszliśmy na mroczną drogę prowadzącą do władzy.

Mimo to pozostałem u Twojego boku, wspomagałem Cię we wszystkich Twoich poczynaniach, także w tym ostatnim, które nas rozdzieliło: szpiegowaniu Lorenza Blocka i wciągnięciu go w pułapkę. Dla mnie jest to dowód na istnienie Boga, bo Jego wolą musiało być, abym dzięki tej sprawie poznał moją ukochaną, moje przeznaczenie. I tu, z całym szacunkiem, powiem, co mam Ci do zarzucenia. Postąpiłeś niesprawiedliwie, kiedy kierując się moją fizyczną ułomnością i własnym zawodem miłosnym w młodości, skazałeś mnie na życie bez miłości. Twoja gorycz, jak gruba zasłona, przesłaniała mi wszystko, dopóki nie poznałem Eriki. A kiedy zasłona opadła, wiedziałem, że mogę kochać i być kochany. Zapewniam Cię, lata z nią spędzane są moimi najszczęśliwszymi latami. Wiele dałbym, abyś potrafił mnie zrozumieć!

Alonso odłożył pióro i przeczytał ostatnie zdanie. Nigdy nie miał pewności, czy rzeczywiście ojciec wyznaczył dla niego życie w cieniu, podobne do egzystencji mnicha, zamiast pozwolić mu poznać miłość kobiety i założyć rodzinę. Ale też nigdy nie pozbył się tej nadziei. Nie mógł winić ojca za to, że widząc jego ułomność, chciał uchronić go przed bólem, jaki tylko miłość może zadać. Nie mógł mu zarzucać, że nie zrobił wszystkiego, aby dać mu najlepsze wykształcenie, ochronę najlepszą z możliwych.

Odkąd, dzięki Yagonowi, urządził się w Strasburgu, utrzymywał kontakt z Ilse. Ucieszyła się na wiadomość, że znalazł pracę wśród ksiązek i rozwijał swój talent miniaturzysty. Dzielił się z nią swoim szczęściem u boku Eriki i zawiadomił ją o ich ślubie, trzy lata po opuszczeniu Kolonii. Miał wprawdzie ochotę nalegać, aby pobrali się wcześniej, uznał jednak, że lepiej będzie najpierw wypracować sobie pozycję w warsztacie i zdobyć pieniądze. I – co nie mniej ważne – miał więcej czasu na zaskarwienie sobie zaufania Lorenza. Gdy osiągnął już i jedno, i drugie, wyprawili wesele.

Ale radość przyćmił niepokój o Ilse. Po ucieczce Alonsa Nikolas stracił zwykłą werwę i optymizm. Objęcie tronu cesarskiego przez Habsburgów, rodzinę katolicką, mającą głęboki szacunek dla władz lokalnych, spowodowało, że von Moers i nowy burmistrz, chcąc zaskarbić sobie przychylność nowego rodu, stosowali cały szereg przebiegłych sztuczek dla pognębienia rywala. Nikolas brał w ich dysputach aktywny udział.

Ilse, oddana Nikolasowi i uzależniona od jego pochwał, została z nim. Nawet po tym, kiedy pośrednio przyczyniła się do skazania Johanna, powiedziała bowiem Nikolasowi o dodatkowej kopii Ewangelii, którą Lorenz zrobił dla przyjaciela. Uczyniła to, bo uważała, że zgodnie z umową było to jej obowiązkiem. Nikolas słowem nie zareagował, jednak Ilse po błysku w oku wyczuła, że to on kazał wysłać egzemplarz do arcybiskupa i spowodował dramat księgarza. Ale nie mogła powiedzieć, że wcześniej to zaplanował. Ilse nie odważyła się o tym z nim rozmawiać, lecz od początku dręczyły ją ogromne wyrzuty sumienia.

Rok temu straciła swoją uprzywilejowaną pozycję w pałacu. Zastąpiła ją piękna młódka o bujnych kształtach. Alonso zauważył, że z czasem w listach Ilse w miejsce ironicznego tonu pojawił się cynizm i przygnębienie zamiast nostalgii. Gniew zamieniał się w gorycz. Alonso uważał, że ojciec popełnił błąd. Miał cudowną kobietę, która kochała go do szaleństwa, i tracił ją przez zacięty upór i strach przed cierpieniem. Nie mógł mu tego jednak napisać w liście; korespondencję z Ilse prowadził w tajemnicy, za jego plecami.

Ośmielam się powtórzyć to, co napisałem wcześniej, z jednego powodu: Ty, ojcze, podejmowałeś decyzje za mnie. Tak, dzięki Tobie miałem dostęp do najlepszych ksiązek, wielkich uczonych i artystów. Mogłem rozwijać talent, który w innych warunkach

pozostałby mierny. Dzięki Tobie wiem, co to znaczy walczyć, być wytrwałym i upartym. Dzięki Tobie nauczyłem się tak wiele i z bólem myślę, że całe to bogactwo chciałeś zaprzepaścić. Mnie nie możesz oszukać. Pamiętam, jak rozjaśniały się Twoje oczy, kiedy książka, którą otrzymaliśmy, była prawdziwym klejnotem. I nawet najpiękniejsze oprawy tak nas nie zachwycaly, jak to, co było w nich napisane. Mam wyryte w pamięci, że potrafiłeś całymi godzinami pogrążyć się z zachwytem w lekturze tych książek. I z jaką cierpliwością potrafiłeś przepisywać tekst, wiedząc dobrze, że odkrywanie piękna jest Twoim przeznaczeniem. To wszystko zawładnęło moją duszą i ją ukształtowało. I dlatego nadeszła chwila, kiedy musiałem odmówić wykonywania Twoich rozkazów. Widzisz, nie jestem aż tak słaby, żeby wystraszyć się niezbyt czystych gier, jak to, w jaki sposób zwiedliśmy Lorenza, ale... zabić go...? Mój ojciec? Ten wyrafinowany duch na grząskiej drodze do zachłanności i nieśmiertelnej sławy? To było zbyt trudne do zniesienia. Musiałem temu zapobiec. I tak postąpiłem.

Nie planowałem śmierci Kaya i Rotha, chciałem ich pokonać w walce. Zamierzałem zawieźć Lorenza w ustalone miejsce, gdzie czekać mieli jego przyjaciele, aby pomóc mu ująć z życiem. Wiedziałem, że moi towarzysze gotowi byli za Ciebie umrzeć, więc mogłem spodziewać się konfrontacji. Ale wypadki potoczyły się szybko i moje ręce zostały splamione krwią. Nie jestem z tego dumny. Jest to skaza na mojej duszy, której nie zmyję do końca moich dni. Ale jest też pokłonem dla mojego nowego życia. Do Ciebie, ojcze, wrócić nie mogłem. Do Ciebie wrócić nie chciałem. Wiem, że są to słowa ciężkie, lecz z o wiele cięższym sercem przyszło mi patrzeć, jak niewinni ludzie umierają, pogrążeni w morzu cudzych ambicji. Jak ojciec Martin. Jak Johann Buchmann. Patrzeć na to, co chciałeś uczynić Lorenzowi.

Świeczka zgasła. W ciemności Alonso wstał od stołu i po omacku doszedł do drzwi. Światło było mu potrzebne, bo chciał dokończyć list. W sąsiednim pokoju Erika spała w fotelu. Prawą rękę trzymała delikatnie na brzuchu. Była w szóstym miesiącu ciąży. Alonso się uśmiechnął. Od kilku tygodni Erika musiała spać po kilka razy w ciągu dnia. Wyglądała pięknie. Kiedy patrzył na nią, zastanawiał się, czy można kochać kogoś tak bardzo, jak on ją kochał. Chyba nie, pomyślał. Poszedł po cichu do kuchni, zapalił lampkę oliwną i wrócił do listu.

Siadając przy stole, przypomniał sobie moment, kiedy otrzymali tragiczną wiadomość o śmierci Johanna. Lorenzem tak to wstrząsnęło, że przez ponad rok nie był w stanie wziąć książki do ręki. Johann nie zginął na stosie. Jego ciało znaleziono w rzece, tydzień po zamordowaniu burmistrza. Heller, znany ze skłonności do tortur, z pewnością usiłował wydobyć z niego zeznanie, które by mu przywróciło uznanie arcybiskupa. W oczach przyjaciół Johann stał się bohaterem i męczennikiem. Zasłużył na niebo.

Wszyscy przyjaciele księgarza opuścili Kolonię. Tylko Yago nie zerwał związków z miastem. Dzięki temu, że mieszkał poza murami, dzięki znajomościom i sprytowi udało mu się nie znaleźć w kręgu podejrzeń. W Strasburgu pomógł Alonsowi zdobyć pierwsze zamówienia, a Lorenzowi pracę w warsztacie złotniczym. Lorenz zaprzyjaźnił się tam z innym Niemcem, z Moguncji, który okazał się jego bratnią duszą. Interesował się książkami i popadł w radosny entuzjazm, kiedy usłyszał o wynalazku Lorenza. W Strasburgu spotkać można było wiele niespokojnych umysłów, ludzi zainteresowanych rozpowszechnianiem wiedzy i kultury, z którymi zarówno złotnik, jak i Alonso szybko znaleźli wspólny język.

Wrócił do pisania listu.

Napisałem już, że mam nadzieję w przyszłości móc spotkać się z Tobą i rozmawiać w cztery oczy. Jeśli się zgodzisz, będziemy musieli trochę poczekać. Teraz chcę być przy mojej żonie, a przez następnych kilka miesięcy będę się opiekować nią i naszą latoroślą. Tak, naszym dzieckiem. Pragnę Cię z radością i dumą zawiadomić, że będziesz dziadkiem.

Potem wybiorę się w podróż do Kolonii, żeby się z Tobą zobaczyć. Chciałbym, abyś wiedział, że pierwsze myśli po urodzeniu dziecka skieruję ku Tobie. I żebyś nie próbował mnie znaleźć, ja do Ciebie przyjadę.

Na koniec chcę powiedzieć o maszynie drukarskiej Lorenza. Wiem, że już konstruowane są podobne. Niedługo, jeśli nie już teraz, będą ich używać kopiści we wszystkich krajach. Piszę o tym, żebyś wiedział, że tego procesu nie da się powstrzymać. Na szczęście wielu ludzi chce, żeby świat się zmieniał na lepsze, codziennie pracują, żeby takie słowa, jak „wiedza”, „szacunek”, „wolność”, „postęp” sięgały do wszystkich zakątków. A ten wynalazek będzie na pewno dźwignią postępu.

Jestem przekonany, że w głębi serca też pragniesz nadejścia nowego. I do Twojego serca apeluję, ojcze, aby tego pragnienia nie pochłonęło bagno władzy.

Wierzę w Ciebie i Ci się polecam.

Twój syn,

Alonso Fischer

Przeczytał dokładnie cały list. Odniosł wrażenie, że miałby jeszcze wiele do powiedzenia, że pisał o czymś, co nie było bardzo ważne, i ledwo napomykał o rzeczach istotnych. Odłożył pióro i przygotował wosk. Był to pierwszy list do ojca i nie chciał już więcej o nim myśleć. Jeśli opadną go wątpliwości, nie zdecyduje się nigdy go wysłać i straci ojca na zawsze. Jak napisał na wstępie, było bardzo możliwe, że ojciec w ogóle go nie przeczyta, ale musiał przynajmniej spróbować. Ilse powie mu, jaka będzie reakcja Nikolasa, i w zależności od tego Alonso zaplanuje przyszłą wizytę. Jeśli ojciec się go wyrzeknie, cicho zamknie za przeszłością drzwi. Ale w głębi serca czuł, że tak nie będzie.

Wstał i przeciągnął się. Dzień był długi i męczący. Po południu, kiedy skończył swoje miniatury, poszedł do Lorenza, zajętego rysowaniem różnych planów. Alonso stanął przy stole i przeglądał masę rozrzuconych kartek. Od jakiegoś czasu teść znowu zajmował się swoim dawnym wynalazkiem. Rysował schematy, opisywał je, a nawet u góry napisał: „Maszyna drukarska”.

Kolega Lorenza z warsztatu wyznał mu, że oszczędza pieniądze na podróż powrotną do Moguncji, swojego rodzinnego miasta. Nie ukrywał, że kiedy się tam urządzi, zajmie się drukowaniem książek. Lorenz opowiedział mu swoją historię, nie po to żeby go zniechęcić, lecz żeby był świadomy niebezpieczeństw. Ale kolega niebezpieczeństwami się nie przejmował. W niejednej groźnej sytuacji już się znalazł. Alonso dobrze pamiętał tę rozmowę, był przy niej. Człowiek ów, podekscytowany perspektywą posiadania własnej drukarni, pokręcił tylko głową

i zawołał: „Nikt nie powstrzyma postępu! A już na pewno nikt nie powstrzyma tego upartego kozła, Johanna Gutenberg!”. I zaśmiał się beztrąsko. Widząc go w tak radosnym nastroju, Lorenz z ochotą zabrał się do planów.

Powiedział, że jego wynalazek jest własnością wszystkich, więc chętnie podzielił się swoją wiedzą z każdym, kto tego zapragnie. Nie zależało mu na chwale, lecz na tym, aby prasa wszystkim służyła. Alonso zauważył, że rychły wyjazd przyjaciela do Moguncji zasnuł wzrok Lorenza mgiełką melancholii. Być może nadejdzie dzień, kiedy i on wróci do Kolonii i odzyska to, co mu zostało zabrane.

Zgasił świeczkę i z lampką oliwną w ręce wyszedł z pokoju. Erika już nie spała. Spoglądając na duży brzusek, czytała głośnie książkę.

Czytała ją swojemu synkowi.

Od autora

W powieściach zawierających wątki historyczne trudno jest ustalić granicę pomiędzy faktami i fikcją. Ta powieść jest fikcją, apokryficzną historią powstania pierwszej prasy drukarskiej. Celem jej nie jest próba ani potwierdzenia, ani obalenia teorii dotyczących autorstwa tego dzieła, lecz przedstawienie pewnej wizji prawdopodobnych „ojców” wynalazku. Zapewne nigdy nie dowiemy się, jaka w rzeczywistości była kolejność wydarzeń. Można zatem przyjąć, że opisana tu wersja, niewątpliwie kontrowersyjna, również mogła być prawdziwa. Wprawdzie dostępne źródła umieszczają wynalazców drukarni w Holandii, autor wolał jednak trzymać się utrwalonego w powszechnej świadomości niemieckiego pochodzenia prasy. Nie ma natomiast żadnych wątpliwości, że wielkie wynalazki były zawsze efektem współdziałania wybitnych umysłów, powiązanych ze sobą wydarzeń i okoliczności. Dlatego wysiłek jednostki często prowadzić może donikąd, a postęp wiązać się będzie zawsze z działaniem zbiorowym i tym samym jakiegokolwiek próby jego powstrzymania są bezcelowe.

Autor pozwolił sobie na pewne odstępstwa w opisie wydarzeń, przenosząc akcję powieści do Kolonii, choć należy wspomnieć, że w rzeczywistości miały one miejsce w niedalekiej Moguncji. Odstępstwem jest również to, że w powieści na czele władz miejskich stoi jeden burmistrz, podczas gdy w owych czasach wolnym miastem Kolonią rządziło wspólnie dwóch burmistrzów, co jest z pewnością ciekawostką historyczną.

Powieść, którą autor oddaje do rąk czytelników, jest hołdem dla wynalazców. Oni wybiegają myślą naprzeciw potrzebom ludzkości, podejmują wyzwania, wspomagają postęp. Do innych należy właściwe stosowanie ich wynalazków.

Podziękowania

Wydawcom Carmen Fernandez de Blas i Javierowi Poncemu za ich profesjonalizm i entuzjazm. Anie D'Atri za umiejętne doprowadzenie tej powieści do jej edytorskiego finału. Maurowi Cavallerowi za częste dyskusje i konstruktywne wskazówki. Miquelowi Cunillovi i całej rodzinie Cunill Orfebres za otwarcie wrót do świata klejnotów i złotników. Montse za współpracę w zbieraniu wstępnej dokumentacji. Claudii Maurer, niestrudzonej entuzjastce, kopalni wiedzy, za uwagi na temat miasta i epoki. Doktorowi Andreasowi Freitagerowi, archiwście i zastępcy dyrektora Archiwum Uniwersytetu Kolońskiego, za jego wiedzę i pomoc. Matthiasowi Demlowi z Dombauhütte przy katedrze kolońskiej za jego szczegółowe wyjaśnienia dotyczące budowy katedry. Jesusowi Corrochanowi, Marisol Martinez, Bei Patrace, Jesusowi Taboadzie, Lai Sullastres i Elsie Busquet za wnikliwą i rzetelną redakcję książki.

Całej mojej rodzinie i przyjaciołom – dobrze wiedzą, o kim myślę, pisząc te słowa – za wsparcie w chwilach zwątpienia, za wiarę w sukces tej powieści i za nieustanną pomoc w trakcie pisania.

- [1](#) Typ pisma używanego od IV do X wieku.
- [2](#) Al-Andalus – arabska nazwa południowych ziem Półwyspu Iberyjskiego, do 1495 tylko kalifat Grenady.
- [3](#) Mt 19,24. Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 2003.
- [4](#) Minnesinger – śpiewak, trubadur. Od minnesang – miłosna liryka śpiewana.
- [5](#) O duszy, księga II, tłum. Paweł Siwek.
- [6](#) Etyka Nikomachejska, tłum. Daniela Gromska, PWN, Warszawa 2012.
- [7](#) Mozarabowie – chrześcijanie, żyjący pod dominacją Arabów, częściowo zarabizowani; muwalladzi – Hiszpanie, którzy przeszli na islam.
- [8](#) Doktryna w katolicyzmie, zgodnie z którą sobory powszechne są najwyższą władzą Kościoła.
- [9](#) Łk 23,34.
- [10](#) J 8, 32.
- [11](#) Mt 20, 16.
- [12](#) I poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli.